

okc. 12. 974

11/974

WSPOMNIENIA

z lat przedwojennych i z wędrówki przez Świat podczas wojny

Stanisława Ścibor-Marchockiego

Napiszę te wspomnienia na podstawie moich notatek z lat wojny. Nie wszystkie mi one ocalały i te okresy odtwarzam z pamięci. Ktoś może zarzucić mi, że pomieszczenie zdarzenia ważne, często tragiczne z błędostkami, ale takie jest życie. Ludzie, którzy żyli w tamtym okresie odchodzą bezpowrotnie i coraz mniej jest tych co to pamiętają i dlatego te wspomnienia spiszę, żeby pozostał po nas ślad, bo życie przechodzi.

Nie staraj się rozwodzić nad scenami dramatycznymi, bo nikogo nie chciałem obwiniać i do nikogo już nie czułem przy pisaniu nienawiści, lub złości, bo według założenia, że "kto wszystko zrozumie ten wszystko wybaczy" uważam, że należy nienawidzić i zwalczać złe systemy i ustroje, ale nad złąmi ludźmi należy się jedynie litować. Zresztą nie ma ludzi zupełnie złych, tak jak nie ma zupełnie dobrych, bo wszyscy są ułomni. Tak jak nie ma złych czy dobrych narodów, tylko mogą być złe systemy nimi rządzące.

A człowiek - "na rozległych przestrzeni i czasie człowiek jest punktem malutki, uciekającą wodą są jego cierpienia, snami rozkosze" - śni się i prześni jak napisał kiedyś, dawno temu Marek Aureliusz.

I. P o m o r z e

Ojciec mój po demobilizacji zaczął studia rolnicze na S.C.G.W. w Warszawie, lecz nie wytrzymał finansowo i po pierwszym roku przeniósł się do Bydgoszczy do Akademii Rolniczej. W Bydgoszczy życie było o wiele tańsze jak w Warszawie, a poza tym mieszkał wówczas tam, także po zdemobilizowaniu Dziadek Juliusz. Po przeniesieniu Akademii do Cieszyna, kończył Ojciec mój studia już w Cieszynie. W ostatnim roku studiów, dla podreperowania własnych finansów, dorabiał pracując jako asystent w katedrze globanawstwa Wyższej Szkoły Szkoły Rolniczej w Cieszynie.

Odbываяc praktykę rolniczą w Kościerzynie, trafił Ojciec do Puca, który wówczas już należał do Dziadka Edwarda Hulewicza i poznał tam Mamusię. 2 stycznia 1923 roku odbył się ślub moich Rodziców w kościele w Grabowie, leżącym niedaleko Puca, gdzie wówczas proboszczem był kolega szkolny Dziadka. Na ślubie moich Rodziców, ze strony Ojca, był stryjeczny jego brat, podówczas kapitan artylerii, Konstanty zwany w rodzinie Kociem. On zafundował piękny bukiet z białych róż, gdyż ubożego studenta nie stać było na taki wydatek.

Rodzice moi po ślubie, do ukończenia Ojca studiów, zamieszkali w Cieszynie. Ojciec ukończył studia i otrzymał dyplom "Dyplomowanego Agronoma" na początku lata 1923 roku.

Od 1 sierpnia Rodzice zamieszkali w Toruniu, gdzie Ojciec pracował w Pomorskiej Izbie Rolniczej jako referent oświaty rolniczej. Mieszkali na Bydgoskim Przedmieściu. Tam urodziła się 27 marca 1924 roku moja siostra Jadwiga, zwana w rodzinie Wisią. W okresie tym panowała szalona dewaluacja marki polskiej. Mamusia wspominała, że za główkę kapusty na targu płaciła miliony marek. Pensje wypłacano pracownikom kilka razy w miesiącu, bo nikomu nie starczyły na cały miesiąc szybko tracące swą wartość pobory.

W 1925 - 26 roku Ojciec mój pracował jako rządca w majątku Łądyn w powiecie Lipno na Kujawach. Była to oryginalna praca. Jak wspominał Ojciec - właściciel tego majątku kawaler, swoją matkę i młodsze rodzeństwo trzymał jak mówią roszanie "w czornom cieliu", a sam przepijał i przegrywał w karty dosłownie wszystkie dochody. Pensji i ordynarii pracowników nie płacił całymi miesiącami, a pracownicy jak nie ukradli czegośkolwiek to nie mieli co jeść. W tym czasie z Rodzicami mieszkał Dziadek Juliusz, a Mamusia nie miała dosłownie co gotować i żeby nie paczki z Puca od jej rodziców, to przymieraliby głodem.

Pewnego razu zapaliła się stodoła pełna pszenicy. Ojciec z robotnikami

ratowali jak mogli, a gdy wrócił z miasta właściciel, zrobił Ojcu awanturę za ten ratunek, bo on chciał żeby się wszystko spaliło, a tak stracił część pieniędzy z odszkodowania.

Była tam obok majątku plebania, a w niej wówczas mieszkał ksiądz staruszek - asceta. Dzielił się wszystkim z ubogimi parafianami i żył dosłownie w nędzy. Z dawna w tym dworze był zwyczaj, że po sumie w święta i niedziele zapraszali księdza na obiad. Właściciel uznał to za nadmierne obciążenie i zerwał z tym zwyczajem, a obiad ten dla staruszka księdza był dotychczas jedynym dobrym posiłkiem w tygodniu. Nie miał on gospodyni i sam sobie pitrasik cokolwiek co miał.

W żąźynie Ojciec wytrzymał niecały rok i przeniósł się na posadę rządcy do majątku Kamienica koło Tucholi, własności państwa Górskich. Był to wzorowo prowadzony duży majątek.

Dziadek Juliusz zwany w rodzinie Ulem, a przez Wisię nazwany Działdział, w tym czasie przeniósł się do stryja Andrzeja, który miał wówczas posadę w Małopolsce Wschodniej.

Zimą 1925 - 26 roku Mamusia zamieszkała w Pucu u swoich rodziców i w tymże Pucu urodziłem się 28 lutego 1926 roku. Podobno był wówczas piękny słoneczny poranek i z tego wrócono mi szczęście w życiu. Chrzcił mnie w Grabowie tenże sam ksiądz, który dawał ślub moim Rodzicom.

Puc był kiedyś dużym majątkiem "rycerskim". Dziadek mój kupił Puc na przełomie 1918 - 19 roku od Niemca von Gildenfeldt'a. W tym czasie dużo Niemców sprzedawało swoje nieruchomości na terenach mających przypaść Polsce. Później dostali oni od swoich władz nacjonalistycznych w Berlinie nakaz odkupywania tychże nieruchomości za wszelką cenę. Tenże von Gildenfeldt procesował Dziadka do śmierci. Dużą część gruntów Puc Dziadek rozparcelował w krótkim czasie i zostawił sobie resztówkę kilkudziesięciu hektarów z dużym jeziorem i kawałkiem lasu przylegającym do tegoż jeziora. Dwór w stylu pałacu niemieckiego, z płaskim dachem krytym papą, alez ozdobiony wnękami z ustawionymi w nich figurami nimf i bogiń greckich wielkości człowieka, stał na wysokim wzgórzu nad jeziorem. Przed dworem od strony jeziora rosły potężne, piękne buki o gładkich pniach sięgających dachu dworu i olbrzymich rozłożystych koronach. Tuż za tymi bukami teren schodził stromo wąskimi tarasami do brzegu jeziora. Patrząc z ganku w stronę jeziora, po lewej ręce park ~~zamykał~~ ogródzony murem z żelaznymi sztaketami, przylegał do szosy, a w prawo ciągnął się wzdłuż brzegu jeziora aż do lasu. Po drugiej stronie dworu zaczynało się podwórze bardzo rozległe jak na tamą resztówkę. Przed gankiem Dziadek zasadził półkolem krzewy bzów i jaśminów, żeby oddzielić podjazd od podwórza. Podwórze odgrodzone było od szosy murem i stajnią, w której mieściła się wozownia na powozy i karotę, oraz duży kórnik. Naprzeciw dworu ciągnęła się olbrzymia drewniana stodoła kryta trzcina. Na jej szczycie od strony

szosy było stare wysokie gniazdo bocianie. Co roku bociany dobudowywały to gniazdo i w czasie gdy je pamiętam, gniazdo to było bardzo wysokie i wychylone na zewnątrz szczytu stodoły. Za stodołą biegła polna droga do Grabowa. W jednej z przybudówek stodoły, których kilka mieściło się od strony podwórza pomiędzy wrotami, była stolarnia, gdzie gospodarzył Rąbca - stary "stelmach" czyli stolarz - kołodziej, który robił mi taczki, łódeczki z żaglami i sterami i inne zabawki. Na przedłużeniu dworu, tuż za gankiem kuchennym, stała duża murowana chlewnia, a za nią parterowy spichrz. Czworobok podwórza zamykała murowana z kamieni i cegły duża obora, w której mieściła się też owczarnia. Przed oborą była murowana z kamieni gnojownia, a za oborą, już w sadzie, był ogrodzony wysoką siatką wybieg dla gęsi.

Za oborą rozciągał się na stokach wzgórza schodących do jeziora, stary sad owocowy, gdzie stały ule - koszki - okrągłe, wykonane ze słomy. Pszczółkami tymi zajmowała się babcia Jadzia Kłopotowska - siostra mojej Babci, rezydująca wówczas stale w Pucu. Sad był rzadki i rozległy, w połowie rozdzielony głębokim rowem melioracyjnym, przez który przerzucone były drewniane mostki z barierkami z brzeziny. Sad w najdalszym krańcu przylegał do lasu. Część sadu przylegała do zabudowań - był to stary sad ze starymi, kilkudziesięcioletnimi drzewami owocowymi. Natomiast za rowem rozciągał się nowy sad - założony po I-ej wojnie przez Dziadka. Kiedyś w początkowym okresie po kupnie Puca Dziadek mój zaprowadził porządki w parku i sadzie. Z tego okresu był właśnie nowy sad, a także wychodzące na wiosną szerokie wały narcyzów i szafirków, ciągnące się wzdłuż zarośniętych później alejek parkowych i klomby zdziczałych bylin. W czasie gdy jak pamiętam wszystko było już mocno zapuszczone i zdziczałe, gdyż Dziadek stał w tym czasie bardzo źle finansowo. Pamiętam jak my jeszcze mali, rwaliśmy krokusy kwitnące na trawnikach w parku i nie mogliśmy się nadziwić, że nie można ich było zerwać całych, a urywał się tylko sam kielich.

Dziadek był lekarzem okulistą, miał nawet swego czasu propozycję objęcia katedry w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, ale nie przyjął tego, gdyż nie znosił miasta i dlatego kupił Puc żeby mieszkać na wsi. Jak pamiętam Puc, zawsze na podwórzu przy bramie było pełno furmanek, a i pieszo też dużo przychodziło pacjentów do Dziadka. Była to przeważnie biedota. W skrzydle dworu mieściła się tak zwana apteka - gabinet lekarski Dziadka, gdzie przyjmował swoich pacjentów. Byli to kamieniarze, wówczas bardzo liczna grupa robotników drogowych, tłukąca zwożone na drogi polne kamienie, oraz chłopci z dalekich nawet nieraz okolic, których Dziadek leczył za darmo, a nie rzadko dokładając lekarstwo ze swojej apteki. Leczył darmo i chodził, jak pamiętam, w połatanych butach i wytartych ubraniach.

Dawny właściciel Puca - Niemiec ciągle procesował się z Dziadkiem, bo

chciał odzyskać Puc. Jakimś cudem miał świadectwo ubóstwa, chociaż posiadał podobno żadną wille, i koszty procesowe z reguły musiał pokrywać Dziadek. Naturalnie w tych warunkach Niemiec nic nie tracił, a Dziadek choć wygrywał kolejne procesy, to właściwie przegrywał finansowo. Oprócz tego rozparcelowana część gruntów nie przyniosła przewidywanego dochodu, gdyż przypadła na okres dewaluacji i pieniądze straciły zupełnie wartość, a sprzedaż ta była fatalna tak, że nim poszczególne raty Dziadek otrzymywał - straciły już one zupełnie swą wartość. Poza tym wszystkim Dziadek był bardzo łatwowierny i jak ktoś go poprosił o pożyczkę lub żyrowanie to bez namysłu pomagał, a nie wszyscy ci ludzie byli uczciwymi i nie zawsze regulowali swoje długi. Wszystkie te sprawy spowodowały duże trudności finansowe Dziadka, ale my wówczas mali, nie wiedzieliśmy nic o tych trudnościach i dla nas Puc był prawdziwym rajem.

Okresu zamieszkiwania Rodziców w Kamienicy naturalnie nie pamiętam. Podobno były tam bardzo dobre warunki pracy i płacy, ale Ojciec chciał czegoś samodzielnego. Trafika się, zdawało mu się, dobra okazja i za oszczędności i częściowo pożyczone pieniądze wydzierżawił folwarczek Rumie pod budującą się wówczas Gdynią. Właścicielem Rumii był wówczas jakiś "biały" Rosjanin. Tenże pan zastrzegł sobie w kontrakcie dzierżawnym, że wszelkie spory wynikłe w związku z tą dzierżawą będą rozpatrywane wyłącznie sądem polubownym. Gdy Ojciec obsiał wszystko i zaczął gospodarzyć, ów pan zaczął najspokojniej parcelować grunty folwarku. Ła interwencje Ojca nie odpowiadał. Zwołany sąd polubowny złożony z obywateli ziemian stanął po jego stronie i Ojciec mój sprawę przegrał.

W Rumii był duży drewniany dom, gdzie ponoć straszyle, w którym mieszkaliśmy. Po wojnie widziałem schody i resztki fundamentów po spalonym domu. Z tego okresu dzieciństwa mam mało wspomnień i to mglistych. Pamiętam, że bardzo mi się podobał młody fornał Janek, który mnie woził wozem na krótkie przejażdżki i wówczas marzyłem, że jak wyrosnę to zostanę fornałem. W Kamienicy i Rumie mieliśmy wylicę Muchę, która była bardzo do nas dzieci przywiązana. Mamusia wspominała, że kiedyś, gdy Mucha miała szczeniaki, zastała mnie leżącego pomiędzy nimi i ssącego Muchę.

Po tym krachu finansowym z dzierżawą, Ojciec dostał posadę instruktora rolnego w Pomorskim Towarzystwie Rolniczym w Toruniu na teren trzech powiatów. Dostał służbowe mieszkanie w Chojnicach. Mieszkaliśmy w domu należącym do niejakiego Rydla - Niemca, właściciela fabryki maszyn rolniczych w Chojnicach. Nasze mieszkanie i biuro Ojca zajmowało wysoki parter. Pod nami były mieszkania od strony podwórza parterowe, a od strony ulicy - sutereny. Tam mieszkał między innymi Kosobudzki z liczną rodziną. Był on stolarzem zatrudnionym w fabryce Rydla. Miał syna starszego ode mnie, też Stasia, z którym przyjaźniłem się. Gdy Staś miał iść do szkoły,

Rydel wezwał Kosobudzkiego i zapowiedział mu, że Staś ma iść do niemieckiej szkoły. Gdy Kosobudzki odpowiedział, że jest Polakiem i jego syn będzie chodził do polskiej szkoły, Rydel mu zagroził, że będzie tego on żałować, a gdy Kosobudzki zapisał Stasia do polskiej szkoły, następnego dnia zastał swoje miejsce pracy zajęte, a na interwencję u Rydla usłyszał że to za Stasia został zwolniony. Ojciec mój chodził z Kosobudzkiem do starosty o pomoc, ale władze polskie były w tym wypadku bezsilne, gdyż nie miały podstaw prawnych przeciwko Niemcowi. Ponieważ Kosobudzkiemu groziła nędza, Dziadek mój przyjął go do pracy do Puca, gdzie Kosobudzki zajął miejsce Rąbcy i mieszkał tam z rodziną do wojny. Co się stało z nimi z chwilą wkroczenia tam Niemców, nie dowiedziałem się nigdy.

Wracając do pobytu w Chojnicach, utkwіło mi w pamięci kilka szczegółów. Mieszkała tam z nami moja ukochana niania Gercia /Gertruda/, która mnie rozpuszczała i zażarcie broniła przed laniem wymierzonym mi przez Ojca za byle przewinienie. Lecz gdy Rodziców nie było w domu, a Gercia siedziała z nami w kuchni, a ja ciągle uciekałem jej do pokoju, wówczas ona żeby mnie zatrzymać mówiła mi, że w ciemnym pokoju pod meblami czają się smoki, które rzucają się na mnie jak tam wejść. Nie pamiętam, czy to w ten czas skutkowało, ale długie lata, gdy wchodziłem do ciemnego pokoju to odczuwałem lęk. Kiedyś zrobiłem "doświadczenie" na oszklonym balkonie od strony podwórza, Gercia powiesiła ręczniki kąpielowe, które w międzyczasie wyschły. Porwałem z kuchni zapałki i bardzo poważnie próbowałem czy ręcznik jest palny. Spłonęły ręczniki i firanki, a szyby balkonowe popękały - byłem tym zdziwiony nō i dostałem tęgie lanie.

Innym razem wybrałem się z Stasiem Kosobudzkiem na wycieczkę - poszliśmy na łąki za miasto i na torfowiska, gdzie kopano torf. Łaziliśmy po jakichś groblach między sadzawkami pozostałymi po wybranym torfie i po innych wertepach. Dziwnym trafem nie potopiliśmy się i wróciliśmy wieczorem do domu. Lanie za to było bardzo mocne. Na drugi dzień Gercia ocierając kły pokazywała moje tyłce części ciała kumoszkom na podwórku, które kiwały nade mną głowami z politowaniem.

W Chojnicach Wisia poszła do pierwszej klasy szkoły powszechnej. Ja o dwa lata młodszy zazdrościłem jej tego. Dostałem też jak i ona tabliczkę z rysikiem i gąbką. Wówczas było jeszcze, bardzo moim zdaniem mądre, uczenie pisania w pierwszej klasie na tabliczkach kamiennych w drewnianych ramach. Pisało się rysikiem, a niepotrzebne ścierało się wilgotną gąbką. Tabliczki te miały z jednej strony na czarnym tle czerwone linijki a na drugiej kratkę do rachunków.

Latem odbyły się pierwsze w Chojnicach pokazy lotnicze. Za miastem na rozległym błoniu lądowało kilka samolotów. Zebrało się bardzo dużo ludzi i piloci robili w powietrzu różne ewolucje, a następnie po lądowaniu można było z bliska oglądać samoloty, a nawet kilku szczęśliwców lotnicy

przewieźli nad miastem. Tegoż roku widziałem po raz pierwszy przelatujący nad miastem niemiecki balon sterowy "Zepelin", który leciał do Prus Wschodnich nad Pomorzem. Po tym chciałem być lotnikiem.

W Chojnicach też nastąpiła w naszym domu żałoba po śmierci Dziadka Juliusza. Rodzice jeździli na pogrzeb do Leska, a myśmy zostali z Gercią. Po powrocie Mamusia chodziła w żałobie.

W Chojnicach byłem pierwszy raz w kinie. Wyświetlali jeszcze niemy film o męce Pana Jezusa. Pamiętam, że w przerwach/wówczas jeszcze przy zmianie taśmy były przerwy i paliło się światło/ ciągle wstawałem z fotela i kręciłem się, bo mi się podobało, że fotel się sam podnosił. Ojciec postraszył mnie wówczas, że za każde opuszczenie fotela trzeba płacić nowy bilet i to poskutkowało.

Raz dzieci z podwórka naszego domu, a ja z nimi, wybraliśmy się na owoce do sadu Rydla. Sad ten był odgrodzony od strony podwórka siatką. Starsze dzieci lekko przeszły przez ten płot, a ja utknąłem na siatce. Rydel przegnął dzieci, a mnie zastał na nieszczęsnym płocie zaczepionego ubraniem za siatkę. Musiałem śmiesznie wyglądać zaczepiony na szczycie płotu, bo Niemiec roześmiał się, zdjął mnie i dał mi dwie gruszki. Ale więcej łam nie chodziłem.

W Chojnicach też popełniałem pierwszy mord - bawiąc się z innymi dziećmi zabiłem w dołku żabę kamieniem. Po tym wyczynie nie mogłem wieczorem zasnąć - męczyło mnie wspomnienie zabitej żaby - dręczyło sumienie. Po latach, w czasie wojny, ze śmiechem strzelałem do żywych ludzi i nie miałem takich wyrzutów - jak to się człowiek stępiea.

Początkowo Ojciec miał bardzo dobre warunki pracy - był instruktorem kółek rolniczych na trzy powiaty, miał służbowe mieszkanie i biuro i służbowy samochód, którym jeździł w teren. Kiedyś latem zabrał nas z Gercią. Pamiętam drogi wysadzone jabłoniami. Gdy podczas przerwy w jeździe Ojciec rozmawiał z jakimś rolnikiem, podniosłem jabłko z pod drzewa - Gercia kazała je spowrotem położyć i powiedziała, że to są jabłka tego pana, który dzierżawi te drzewa i to byłaby kradzież. Drzewa były zadbane, należycie prowadzone, a owoco dzierżawca sprzedawał. Piękne to były zwyczajem i ludzie o nie wypaczonych pojęciach uczciwości.

Z Chojnic jeździło się latem na niedzielę nad jezioro Charzykowskie. Były tam żaglówki i łódki i można się było kąpać. Pamiętam, że raz przywaliśmy żaglówką, którą prowadził Ojca znajomy urzędnik ze starostwa. Bardzo mi się podobała taka jazda.

Z Chojnic jeździliśmy kilkakrotnie do przyjaciela mego Ojca, właściciela żadnego majątku, starego kawalera - pana Chrzanowskiego. Był to bardzo sympatyczny pan. Lubił bardzo dzieci i dogadzał wszystkim znajomym zapraszając do siebie i goszcząc serdecznie. Kiedyś zebrała się

przewieźli nad miastem. Tegoż roku widziałem po raz pierwszy przelatującego nad miastem niemiecki balon sterowy "Zepelin", który leciał do Prus Wschodnich nad Pomorzem. Po tym chciałem być lotnikiem.

W Chojnicach też nastąpiła w naszym domu żałoba po śmierci Dziadka Juliusza. Rodzice jeździli na pogrzeb do Leska, a myśmy zostali z Gercią. Po powrocie Mamusia chodziła w żałobie.

W Chojnicach byłem pierwszy raz w kinie. Wyświetlali jeszcze niemy film o męce Pana Jezusa. Pamiętam, że w przerwach/wówczas jeszcze przy zmianie taśmy były przerwy i paliło się światło/ ciągle wstawałem z fotela i kręciłem się, bo mi się podobało, że fotel się sam podnosił. Ojciec postraszył mnie wówczas, że za każde opuszczenie fotela trzeba płacić nowy bilet i to poskutkowało.

Raz dzieci z podwórka naszego domu, a ja z nimi, wybraliśmy się na owoce do sadu Rydla. Sad ten był odgradzony od strony podwórka siatką. Starsze dzieci lekko przeszły przez ten płot, a ja utknąłem na siatce. Rydel przegnał dzieci, a ja stałem na nieszczęsnym płocie zaczepionego ubraniem za siatkę. Musiałem śmiesznie wyglądać zaczepiony na szczycie płotu, bo Niemiec roześmiał się, zdjął mnie i dał mi dwie gruszki. Ale więcej tam nie chodziłem.

W Chojnicach też popełniłem pierwszy mord - bawiąc się z innymi dziećmi zabiłem w dołku żabę kamieniem. Po tym wyczynie nie mogłem wieczorem zasnąć - męczyło mnie wspomnienie zabitej żaby - dręczyło sumienie. Po latach, w czasie wojny, ze śmiechem strzelałem do żywych ludzi i nie miałem takich wyrzutów - jak to się człowiek stępie.

Początkowo Ojciec miał bardzo dobre warunki pracy - był instruktorem kólek rolniczych na trzy powiaty, miał służbowe mieszkanie i biuro i służbowy samochód, którym jeździł w teren. Kiedyś latem zabrał nas z Gercią. Pamiętam drogi wysadzone jabłoniąmi. Gdy podczas przerwy w jeździe Ojciec rozmawiał z jakimś rolnikiem, podniosłem jabłko z pod drzewa - Gercia kazała je spowrotem położyć i powiedziała, że to są jabłka tego pana, który dzierżawi te drzewa i to byłaby kradzież. Drzewa były zadbane, należyście prowadzone, a owoce dzierżawca sprzedawał. Piękne to były zwyczajem i ludzie o nie wypaczonych pojęciach uczciwości.

Z Chojnic jeździliśmy latem na niedzielę nad jezioro Charzykowskie. Były tam żaglówki i łódki i można się było kąpać. Pamiętam, że raz przywialiśmy żaglówką, którą prowadził Ojca znajomy urzędnik ze starostwa. Bardzo mi się podobała taka jazda.

Z Chojnic jeździliśmy kilkakrotnie do przyjaciela mego Ojca, właściciela żadnego majątku, starego kawalera - pana Chrzanowskiego. Był to bardzo sympatyczny pan. Lubił bardzo dzieci i dogadzał wszystkim znajomym zapraszając do siebie i goszcząc serdecznie. Kiedyś zebrała się

cała gromadka dzieci w naszym wieku. Pan Chrzanowski wszystkim dziewczynkom ofiarował z powagą pierścionki oświadczając, że są jego narzeczonymi. Miał śliczne konie i lubił się nimi chwalić. Pamiętam jak kiedyś oprowadzając liczne towarzystwo, w przelotnym spojrzeniu zauważył kulającego konia. Zaraz kazał wołać kowala. Konia obejrzeni i okazało się, że w kopycie tkwił gwóźdź. Pan Chrzanowski był według opinii mego Ojca świetnym gospodarzem i dobrym Polakiem. Musieli tak samo oceniać go Niemcy, bo zaraz po wkroczeniu w 1939r na tamte tereny zamordowali pana Chrzanowskiego za tę jego Polskość.

Jeździliśmy także do państwa Sikorskich, którzy mieli majątek w pobliżu Chojnic. Z tego pamiętam, że kiedyś rozbawione towarzystwo sadzało mnie przed gankiem na dachu wyżła, a ja systematycznie spadałem z niego podczas jazdy i orzekli, że nie umiem jeździć konno.

W 1930 r latem w Pucu i okolicy była epidemia szkarlatyny i nie mogliśmy tam jechać. Z tego powodu Ojciec wynajął mieszkanie nad jeziorem niedaleko Chojnic. Był tam folwark, w którym gospodarzyła rodzina. Właścicielem był stary gospodarz, a pracownikami jego synowie i zięćciowie, w większości już mający własne dzieci. Z wnukami gospodarza bawiłem się - oni między innymi pasli bydło. Imponował mi zwłaszcza jeden starszy ode mnie chłopiec, który dosiadał krowy i jeździł na nich konno. Kiedyś z Gercią byliśmy z całą rodziną gospodarza na torfowisku - oni wszyscy dorośli i dzieci kopali i układali torf na suszenie na opał na zimę.

Był to dość duży majątek, a wszystkie prace wykonywali sami współwłaściciele bez żadnego najmu - najprawdziwszy "kołchoz" rodzinny.

Tam spotkała mnie pierwsza duża przykrość w życiu - rozstanie z moją ukochaną Gercią. Jak się dużo później dowiedziałem, z powodu wzmagającego się kryzysu, obcięli Ojcu pensję i na tyle pogorszyły się warunki finansowe, że nie stać go było na opłacanie służącej. Bardzo przeżyłem to rozstanie. - Więcej Jej już w życiu nie widziałem.

Tam też przechorowaliśmy się z Wisią na odrę. Z tego letniska nie wróciliśmy już do Chojnic, tylko pojechaliśmy do Puca.

W czasie pobytu na Pomorzu na lato i wszystkie większe święta jeździliśmy do Puca. Tam też przyjeżdżało nasze cioteczne rodzeństwo - Danka i Zbyszek Szydelscy. Wuj Staś Szydelski - mąż ciotki Ireny, siostry Mamusi, był urzędnikiem w ministerstwie komunikacji - specjalistą samochodziarzem. Mieli willę na Żoliborzu na ul. Sułkowskiego 24 ze sporym ogrodem, w którym po pracy wuj Staś oddawał się z zamiłowaniem ogrodnictwu. Ciągłe tam coś nowego sprowadzał i sadził. Miał między innymi wspaniałe jeżyny o grubych, pionowo rosnących pędach z olbrzymimi owocami. Takich jeżyn nie spotkałem już nigdzie.

W Pucu wzdłuż jeziora biegła aleja, przy której rosły oryginalne krzewiaste kępy buków. Na jeziorze było kilka pomostów i łódka. Gdy byłem

starszy, kółka ta była moim marzeniem i pokusą. Była stale zamknięta na gruby łańcuch i kludkę. Potrafiłem jednak ją odpinać i pływałem po jeziorze. W braku schowanego wiosła, wycinałem sobie długi kij olszynowy z nadbrzeżnych zarośli i nim posługując się pływałem po całym jeziorze. Nieraz po takiej eskapadzie była bura, a nawet jeśli był obecny mój Ojciec, pas w robocie, ale nie odstraszało mnie to od chęci pływania. Gdy byłem trochę starszy lubiłem łowić ryby na wędkę. Mur oddzielający park od szosy wchodził dość daleko w jezioro. Przechodziłem po nim na sam jego koniec i siedząc okrakiem łowiłem. Woda była czysta tak, że widziało się pływające wokół haczyka ryby.

Któregoś lata gdyśmy byli w Pucu były manewry wojskowe. Pełno było wszędzie wojska i wówczas pierwszy raz widziałem przeciągającą drogę artylerię i piechotę w zwartych sztykach. Bardzo mi się podobało wojsko i marzyłem wtedy, że jak wyrosnę to zostanę żołnierzem.

Na Boże Narodzenie zbierało się w Pucu dużo gości. Razu pewnego gdy byli wujostwo Szydelscy z dziećmi, wuj Dzierżyk, wujostwo Karwatowie z Jankiem, wuj Fred Fiwński no i ciocia Skawa Wróblewska - ciocia Skawa przebrała się za św. Mikołaja i wręczała nam podarki. Byłem bardzo przejęty gdy słyszałem jak św. Mikołaj nas strofował. W pewnej chwili Wisia zauważyła wystający z pod burki pantofel cioci. Rzuciła się do nóg Mikołajowi i odkryła całe nogi cioci, no i tak się skończył nasz mił o św. Mikołaju.

Ciocia Skawa jak ją nazywaliśmy, bardzo ją kochając, nie była naszą krewną tylko dawną nauczycielką Mamusi i cioci Ireny, starą panną, która nas rozpieszczała. Pracowała w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu w dziale książek dla dzieci i młodzieży i zaopatrywała nas we wszystkie ładne książki, na które wydawała sporą część swojej pensji.

Po świętach ^{w 1930 roku} pojechaliśmy do Warszawy do wujostwa Szydelskich, a od nich po kilku dniach dalej do Nowogródka i Korelicz.

Po latach Ojciec wspominał jak dostał tę posesję. Warunki pracy i wynagrodzenia w Pomorskim Towarzystwie Rolniczym pogorszyły się tak znacznie z powodu kryzysu, że nie dawały możliwości utrzymania rodziny, więc Ojciec zaczął się rozglądać za inną pracą. Tymczasem Gercia pracując u wujenki Mamusi posłyszała rozmowę gości, że państwo Żółtowscy poszukują administratora do swoich majątków i dała o tym znać moim Rodzicom.

Majątki - Bolcieniki koło Bieniakoń, Korelicze, Przecieniewicze, Rajca i folwark Ludwikowo w powiecie Nowogródzkim - należały do Janiny hr. Żółtowskiej z domu Putkamer, wnuczki Maryli Wereszczakówny, ukochanej Mickiewicza. Matka pani Żółtowskiej - pani Putkamerowa z domu Rieniowicz, była bardzo sympatyczną panią, zahukaną przez córkę jedymaczkę. Pan Żółtowski był profesorem filozofii uniwersytetu w Poznaniu i tam państwo Żółtowscy spędzali większość roku, a latem mieszkali w Bolcienikach. W

Koreliczach natomiast mieszkał stałe administrator - plenipotent. W 1930 roku zmarł stary administrator i państwo Żółtowscy szukali nowego. Ojciec zgłosił swą kandydaturę. Państwo Żółtowscy wywieźli się wszystkiego o Ojca i Jego rodzinie i po naradzie rodzinnej przyjęli Pani Putkamerowa miała jedno "zastrzeżenie" - że Ojciec był jeszcze bardzo młody, ale jak sama stwierdziła "to szybko przechodzi". Majątki były po wojnie mocno zniszczone i zadłużone, ale już w połowie lat trzydziestych Ojciec mój wyprowadził je z długów.

II. Korelicze.

Był początek stycznia 1931 roku. Śniegi w Nowogródzkim leżały głębokie. Z Warszawy dojechaliśmy pociągiem do Nowojelni, a do Nowogródka kolejką wąskotorową, która wlokła się niemikosiernie. Z Nowogródka do Korelicz gdzie Ojciec mój dostał posesję administratora, jechaliśmy saniami. Z powodu dużego mrozu nakrywali mnie z głową baranią, z pod której co pewien czas starałem się wychylić choć głowę. Miałem wtedy nie całe pięć lat. Jechaliśmy, zdawało mi się wtedy, bardzo długo. Po odległościach na Pomorzu, gdzie z Pucu do Kościerzyny było 6 km, odległość 22 km z Nowogródka do Korelicz wydawała mi się bardzo wielka. Nareszcie dojechaliśmy. Dom był niski - murowana oficyna pamiętająca 18 wiek, o ścianach tak grugych, że wiosną gdy już były otwarte okna, kładłem się w oknie i gdy ledwie wytykałem nos na zewnątrz, całe wyciągnięte nogi leżały jeszcze na parapecie. Sufity były nierówne, wielokrotnie niedokładnie skrobane i z tego powodu miały na sobie najprzeróżniejsze desenie. Przed snem, gdy się im przypatrywałem, widziałem tam różne obrazy. Pamiętam, że w jednym miejscu wyglądało zupełnie tak jak na rycinie w Biblii księdza Wajka, którą lubiłem przeglądać w Pucu w bibliotece u Dziadka. - chmury na niebie przed ukazaniem się Pana Boga. Oficyna była długa i stała frontem na zachód. Przed gankiem z grubymi kolumnami był niewielki gazon gęsto zarośnięty starymi kasztanami, otoczony płotem ze sztachet. Za tym płotem zaczynało się podwórze.

Nasze mieszkanie mieściło się w południowej części domu, od strony ogrodu warzywnego, rozciągającego się na południowym stoku wzgórza. Przed oknami od południa rosła stara rozkożysta jabłoń, rodząca drobne lecz bardzo smaczne jabłka późno ~~zaxxxxx~~ letnie. Wiosną gdy kwitła, gałęzie osypane kwieciami wchodziły wprost w okna. Pod naszym mieszkaniem była podwójna piwnica murowana z dużych kamieni i sklepiona łukowo z wejściami od podwórka gospodarczego. Za kuchnią, w tejże oficynie mieścił się wówczas nasz kórnik. Dalej za nim mieszkał pan Banczerewicz - zarządzający stawami i rybołóstwem, a za jego mieszkaniem w szczycie od podwórza mieściła się serowarnia, w której z majątkowego mleka wyrabiali świetne sery zwane tam litewskimi, a którą arendował pan Słucki - Żyd z miasteczka.

Wśród krzewów bzu przy podwórzu nieopodal naszego mieszkania stały budy, w których mieszkały wówczas dwa psy podwórzowe - wielki, kłapouchy Burek i mniejszy, szpicowaty Reks. Krótco po naszym przyjeździe zrobił się z mego powodu gwałt. Pani Bancerewiczowa wpadła do nas do kuchni i zaczęła lamentować, że ja poszedłem do psów, a Burek jest bardzo zły i napewno mnie pogryzie. Wszyscy obecni wybiegli mnie ratować, a tymczasem ja najspokojniej jeździłem konno na Burku. Więcej obawiałem się Reksa, który skakał na mnie, a Burek dał się graskać, ~~ciągnąć~~ ciągnąć za uszy i jeździć na sobie. Do jego śmierci byłem zawsze z nim w najlepszej komitywie.

Wisia drugą klasę do półrocza uczyła się w domu w Pacu i półroczną świadectwo uzyskała po egzaminie w szkole w Kląnczu, a drugie już w Koreliczach też uczyła się w domu. Uszyła ją panna Kibildisówna, starsza już osoba, nauczycielka ze szkoły powszechnej w Koreliczach, która mieszkała w jednym pokoju w tak zwanym pałacu, a stożowała się u nas. Panna Kibildisówna przed Koreliczami uczyła w szkole w Puszczy Malibockiej i opowiadała jak zimą wilki podchodziły do wsi i często zaglądały do okien niskich chat i podkopywały się do obór i chlewów wyrządzając nieraz duże szkody.

Na wiosnę przyjechał do nas stryj Ignas - stryjeczny brat Ojca - głuchoniemy. Ukończył on jakąś szkołę i umiał czytać i pisać, a także mówił dość zrozumiale, a do niego trzeba było mówić bardzo powoli i wyraźnie, wtenczas on patrząc na usta rozumiał co się do niego mówiło. Zamieszkał w gościnnym pokoju w pałacu.

Tak zwany pałac był właściwie dużym drewnianym domem o bardzo wysokich pokojach i dużych oknach, z wysokim gankiem i tarasem - blindażem obok niego. Blindaż ten był wybudowany przez niemieckie wojsko podczas pierwszej wojny, w czasie gdy stał w tych stronach front, a w pałacu mieścił się jakiś sztab. W czasach pokojowych służył jako piwnica. Pałac był zrujnowany podczas wojny bolszewickiej i tylko w skrzydle mieszkał rządca - pan Myślicki, stary kawaler z matką, oraz panna Kibildisówna i jeden pokój służył jako gościnny. Reszta wymagała gruntownego remontu. Pałac ten wybudował dla siebie stryj pani Żółtowskiej - Putkamer, który był gróźlikiem. Dlatego dom był bardzo widny, z wysokimi pokojami i bardzo ciepły i suchy. Stał na szczycie wzgórza osłonięty od wschodu starym parkiem, frontem na zachód, a od południa okna wychodziły na zbocze pokryte starym sadem. Później pałac został wyremontowany i częściowo przebudowany i przenieśliśmy się do niego, ale początkowo mieszkaliśmy ponad rok w starej oficynie.

Wiosną kupił Ojciec nam małego konika karego, bardzo spokojnego. Ujeżdżaliśmy na nim z Wisią, a konik ten cierpliwie znosił włożenie po głowie i ogonie, wchodzenie pod brzuch i tp. nasze wyczyny.

Latem odbywały się manewry i pamiętam jak pewnego razu przyjechał

jakiś oficer kawalerii w sprawach kwater dla wojska i okazało się, że był to kolega mego Ojca z czasów wojny, a wówczas rotmistrz z 27 pułku ułanów - pan Rożałowski, którego Ojciec nie widział od czasów wojny. Pamiętam jak dziś jak witali się i ściskali przed furtką na podwórzu. W następnych latach rotmistrz był stałym naszym gościem zawsze przez wszystkich mile widzianym. On szkolił mnie w jeździe konnej już od tego lata. Zapowiedział mi, że dopuki nie nauczę się dobrze trzymać na koniu, nie wolno mi jeździć w siodle ze strzemionami, a cała nauka odbywała się na czapraku bez strzemion.

Od początku naszego pobytu w Koreliczach stajnia była przeze mnie stale nawiedzana. Początkowo furmanem był młody chłopak Kola Łazarewicz, który chyba w 1932r poszedł do wojska. Pamiętam jak Kola przyjechał na urlop i przyszedł pokazać się - w długim kawaleryjskim płaszczu, dzwoniąc ostrogami i z szablą u boku wszedł przez główny ganek - chłopak jak malowanie. Na jego miejsce został furmanem starszy już człowiek Michał Koronko, zwany przez wszystkich Michałkiem. Był on świetnym furmanem, a konie w jego ręku chodziły jak najlepsze kłusaki. On sam mało piśmienny umiał się wszędzie znaleźć i wszystko załatwić. On też pozostał furmanem do wojny, gdyż po powrocie Koli z wojska Michałko z pomocą kowala namówił go żeby nie zgodził się wrócić na to miejsce, bo to dla niego nie honor. i Kola został zwykłym fornalem.

Michałko miał żonę, grubą babę, patentowanego lenia. Kobieta ta urodziła osiemnaścioro dzieci, z czego żyło tylko troje i to tylko z powodu opieki mojej Matki. Najstarszy z żyjących Pawlik jakoś sam się uchował, był o trzy lata starszy ode mnie. Tolik /Anatol/, był już umierający na zapalenie płuc jako kilkuletni chłopiec. Doktor Lewicki, który go leczył, orzekł że nic nie da się już zrobić, a Mamusia bankami i kompresami wyratowała go. Przez dłuższy czas codziennie chodziła do "browaru", jak w Koreliczach nazywali budynek po gorzelni, w którym wówczas mieszkał Michałko z rodziną. Michałkowa musiała według Mamusi dyspozycji gotować posiłki i utrzymywać czystość, a Mamusia leczyła no i pomogło - Tolik wyzdrowiał. Odtąd nosił szkaplerzyk Matki Boskiej Niepokalanej, który mu Mamusia zawiesiła na szyi podczas choroby. Następną dziewczynkę, gdy się urodziła, Mamusia kazała przynosić co dzień do nas, kąpała ją i karmiła butelką, a następne posiłki dla niej dostawała Michałkowa już przygotowane w butelkach. Gdy po jakimś czasie zaniechano tego, okazało się w niedługim czasie, że dziecko jest całe odparzone i owrzodzone z brudu i zagałdzone. I znowu zaczęło się noszenie do nas codziennie. Dziewczynka chrzczona była w obrządku prawosławnym i na imię dostała Anna. Chrzesnymi byli Mamusia i pan Chutorowicz, ówczesny pisarz z majątku. W połowie lat trzydziestych panowała w okolicy Korelicz epidemia zapalenia opon mózgowych wśród dzieci i dziewczynka ta wówczas zmarła. Po jakimś czasie urodziła się

Michałkom jeszcze jedną dziewczynką i ta była chrzczona w obrządku katolickim, dostała na imię Maria i Mamusia była jej chrzesną. Z tą dziewczynką Michałkowa przychodziła blisko dwa lata i Mamusia ją utrzymała w zdrowiu. Pamiętam jak kiedyś widziałem Pawlika jak karmił małą Anię, bo Michałkowa potrafiła zostawić dziecko na cały dzień i siedzieć gdzieś na plotkach. Było to już wtedy gdy dziewczynka zaczęła chodzić, ale jeszcze sama nie umiała jeść. Pawlik nie miał nic gotowanego i brał razowiec gryzł go i przeżuwał, a potem taki przeżuty dawał siostrze z ust do ust.

Podwórze w Koreliczach było rozległe, budynki stały "nieporządnie" rozrzucone. Naprzeciw oficyny, w której początkowo mieszkaliśmy, stała długa drewniana stajnia kryta gontem. Wschodnią ścianę podwórza stanowiła kuźnia i wsunięta nieco za stajnię stolarnia. W kuźni gospodarzył cały czas mistrz kowalski - Komorowski, początkowo ze swym szwagrem - Milkiem, a po karnym zwolnieniu go za kradzież, do spótki w kuźni przybył Staś Straszko - kowal siłacz, który potrafił w rękach na zimno giąć podkowy. Oprócz nich zawsze byli tam jeszcze jacyś uczniowie i czeladnicy. W stolarni stale pracowało dwóch majstrów, a później jako współlokator - rymarz. Naprzeciw kuźni, szczytem do podwórza stała wielka obora, a opodal niej, frontalnie trzypiętrowy murowany z kamienia i cegły spichrz z "podwałem" czyli piwnicą w szczycie. Spichrz ten był budowany z myślą jako centralny dla kilku majątków tak, że po oddaniu Michalina i Berezowca na osadników wojskowych, był użytkowany tylko w części. Poniżej spichrza, na stoku od strony traktu, wzdłuż drogi wiodącej do niego z podwórza, rozciągała się wielka murowana z czerwonej cegły stodoła, z przystawionym od tyłu "maneżem" - kwadratowym budynkiem, w którym kiedyś stał wielki kierat, a w moich czasach była owczarnia. Na skraju południowego stoku, za gazonem oficyny, stał długi budynek mieszkalny - "ośmiorak" pracowniczy, a za nim na dole nad rzeczką drugi budynek mieszkalny, po starej gorzelni zniszczonej podczas najazdu bolszewickiego, tak zwany "browar", zamieszkały także przez pracowników. Jak zamieszkaliśmy w Koreliczach, na dole browaru stały krowy pracowniczce, a nad nimi mieszkali pracownicy. Potem Ojciec wybudował na skraju podwórza w pobliżu ośmioraku oborę na bydło pracownicze, a obok niej znowo chlewnię dla trzody pracowniczcej, a oba budynki mieszkalne zostały wyremontowane. Poza tym przed wojną budowano przy drodze na Rutyce ośmiorodzinny budynek mieszkalny, gdzie poszczególne mieszkania składały się z dużej izby, kuchni, sieni i komory, oraz były wyposażone w piwnicę i oddzielny strych, a każde mieszkanie miało oddzielny ganek.

Były na podwórzu w Koreliczach dwie studnie bardzo głębokie. Jedna na środku podwórza, początkowo z drewnianymi cembrowinami, które za mojej pamięci zastąpiono betonowymi kręgami. Drewniane cembrowiny były tak

obszerne, że kręgi wpuszczano na bloczku do środka, a po ustawieniu ich obsypano z zewnątrz żwirem. Podobno weszło do tej studni ponad 80 kręgów. Woda z niej była bardzo zimna i krasztakowo czysta i bardzo smaczna. Przy studni stały rzędem duże koryta wydłubane z topoli, do których spływała pompowana ręczną pompą głębinową woda. Tu pojono konie i Kopeć nalewał wodę do beczek na dwókolnych wózkach, które podwoził do pałacu i oficyny do użytku domowego. Druga studnia była jeszcze głębsza, była bliżej obory i z niej wodę do koryt pompowano koniem założonym do kieratu. Tam pojono bydło. Kiedyś coś trzeba było naprawić w pompie w tej studni i kowal zszedł do niej po klamrach wbetonowanych w cembrowiny. Po chwili na dole oszabł. Komorowski wszedł z liną po niego i wyciągnęto go, a Komorowski po wyjściu mówił, że na dole brakuje powietrza do oddychania. Na szczęście remonty pompy wówczas zdarzały się bardzo rzadko.

Wspomniałem o Kopcju. Był to starszy już człowiek, który był w Koreliczach stróżem nocnym, a poza tym jak wspomniałem dowoził wodę oraz rąbał drzewo opażowe. Nocne stróżowanie polegało na tym, że wieczorem po zmroku spuszczał psy podwórzowe i kładł się gdzieś i spał owinięty wielkim kożuchem. Kiedyś wyskołoczył z chlewni wieprzek i Nora i innymi psami dopadła go i żywcem wyszarpała mu szynkę. Wieprzek darł się tak, że pobudził wszystkich. Zbiegli się na podwórze fornale nawet mieszkający w browarze, a Kopeć spał wówczas na wozie z sianem stojącym na podwórzu i nie obudził się. Takie było jego stróżowanie, ale mimo to jakoś specjalnie nic nie ginęło.

W samych Koreliczach było ponad 800 ha gruntów ornych, a na tym utrzymywano ponad 150 krów dojnych z odchowem młodzięży, około 40 par koni roboczych, parę wyjazdowych i ogiera z całym przychowkiem. Poza tym była trzoda chlewna i owce, początkowo proste mieszańce, a potem sprowadzone przez Ojca owce pomorskie, których przed wojną było już ponad 600 sztuk w stadzie. Do pracy przy tym było zatrudnionych sporo ludzi, a więc i dzieci w majątku było pełno.

Dość prędko po przyjeździe do Korelicz zaprzyjaźniłem się z Micią, Piecią i Pawlikiem. Byli to nierozłączni przyjaciele, o trzy lata starsi ode mnie. Micia - Mieczysław Komorowski syn kowala, Piecia - Piotr Misiul syn starszego robotnika /stanowisko równorzędne obecnemu brygadziście polowemu/, Pawlik - Paweł Woronko syn Michałka furmana. Od małego trzymali się razem. Razem bawili się i chodzili do szkoły, razem odrabiali lekcje i później pracowali. Kiedyś zimę Micia rąbiąc drzewo rozrąbał sobie stopę - mały palec wisiał na małym kawałku mięśnia. Zawieźli go do doktora Lewickiego i ten zeszył mu ranę i zestawiał kości palca tak, że zrosło mu się całkiem dobrze i po wyleczeniu wcale nie kulał. Piecia i Pawlik zrobili wówczas Mici kule żeby mógł się poruszać i cały czas opiekowali

się nim. W przyszłości razem pracowali, a podczas wojny razem zginęli z rąk partyzantki sowieckiej, bo nie chcąc zostawić ранnego przyjaciela polegli wszyscy trzej. Ale to było dużo później. Wówczas gdy zaprzyjaźnieniem się z nimi miałem 5 lat, a oni po 8.

Miasteczko Korelicze, zaczynające się zaraz za parkiem okalającym od wschodu pałac i sad leżący na południowym ~~wzrostu~~ zboczu, było jak to na Kresach zamieszkałe prawie wyłącznie przez Żydów trudniących się handlem i rzemiosłem. Pozostałością zaborów był stan prawny polegający na tym, że grunt miasteczka należał do dworu, a właściciele domów płacili czynsz dzierżawny za działki budowlane i ogrody na rzecz dworu. Natomiast ulice miasteczka były własnością dworu. Gdy na przykład Benin - ~~żyd~~ Żyd - właściciel młyna parowego, stojącego również na ziemi czynszowej, zakładał światło elektryczne w miasteczku - musiał uzyskać zgodę na postawienie słupów energetycznych na ulicach od właściciela majątku. Niektórzy bogatsi mieszkańcy wykupili swoje place, ale większość wolała płacić niewielki czynsz. W początku lat trzydziestych miasteczko nie miało bruku na ulicach i rynku, a na głównych ulicach leżały drewniane chodniki. Były to łaty ułożone ~~wzdłuż~~ w pewnych odstępach, do których przybite były po dwie deski ułożone wzdłuż ulicy. Po większym deszczu, a zwłaszcza jesienią chodniki te w wielu miejscach prosto pływały w kałużach, a gdy w tym czasie ktoś podskoczył na tym chodniku to z pod niego wybrzyziwały fontanny błota. Była to pozostałość po rosyjskim zaborze, gdyż władze carskie niechętnie dawały zezwolenie na kładzenie utwardzonych nawierzchni i chodników w miastach i miasteczkach "ziem zabranych". Z czasem wybrukowano ulice i rynek, a wszystkie chodniki porobiono betonowe. Wzdłuż tych chodników posadzono drzewka, a czystości pilnowała policja. Każdy właściciel posesji czy sklepu był obowiązany do sprzątnięcia określonego odcinka ulicy. W krótkim czasie po skończonym targu szedł sobie pan Kowalski czy inny policjant i w razie zauważenia nieporządku najspokojniej nakładał na winowajcę mandat - dwa złote. W krótkim czasie po wprowadzeniu tego zwyczaju miasteczko było zawsze czyste. Na rynku pośrodku stały hale, w których mieściły się żydowskie ~~sk~~ sklepiki. Między innymi miał tam swój sklepik stary Kaganowicz ojciec Kaganowicza - komisarza ludowego ZSRR. Mamusia zaopatrywała się w potrzebne produkty spożywcze u Zelika mającego sklepik "towarów spożywczych i kołonialnych" w tejże hali. Wszło w zwyczaj, że gdy wracałem ze szkoły a Zelik mnie zobaczył to wołał mnie i dawał mi cukierek w landrynkę w kształcie laleczki. Nie wiem dlaczego właśnie zawsze taki sam, a nie inny. Na rogu rynku przy głównej ulicy stała szeroko rozłożona karczma z niskim gankiem, a po drugiej stronie ulicy była apteka magistra Lamiota - bardzo poważnego starszego Żyda. Za karczmą z bramą od rynku miał swój skład materiałów budowlanych Szuster - Żyd milioner - posiadający swoje

piece wapienne, składy materiałów budowlanych w innych miasteczkach, dzierżawiący wszystkie sady dworskie w dużej okolicy i prowadzący handel owocami na dużą skalę. Był on współnikiem młynów parowych, tartaków oraz dużej przetwórci owocowo - warzywnej wybudowanej w początku lat trzydziestych w Baranowiczach. Lecz gdyby ktoś obcy spotkał go - myślałby, że ma do czynienia z żebrakiem - zachmaniarzem - taki miał na codzień wygląd.

Idąc od majątku, poniżej parku, lecz jeszcze na wzgórzu stała cerkiew prawosławna. Od niej w dół schodziła ulica dochodząca do traktu pod kątem prostym i zapewne dla tego zwana Załamanką. Przed cerkwią Załamanka przechodziła znów pod kątem prostym w ulicę dochodzącą do rynku. Na dole na Załamance miał swoją masarnię starszy już, brodaty Żyd - Chajmicia. Kupował on stale zbywające cielęta z majątku. Był praktykującym starozakonnym, ale w handlu obchodził przepisy talmudu. Pamiętam jak kiedyś jechałem z Ojcem na folwark Ludwikowo, a droga tam prowadziła przez Załamankę, i spotkaliśmy akurat na ulicy Chajmicie. Było południe i sobota czyli szabas. Ojciec zagadnął Chajmicie dlaczego nie odbiera umówionych cieląt. Na to on popatrzył na słońce, które akurat zachodziło za chmurę i powiedział - "uś proszę pana dziś szabas to ja nie mogę handlować, ale właśnie słońce zachodzi, to ja zaraz będę mógł pojechać po te cielęta". /U Żydów doba liczyła się od zachodu słońca do następnego zachodu/.

Naprzeciw cerkwi miał sklep z materiałami piśmiennymi, słodyczami i wyrogami tytoniowymi Żyd, którego nazwiska nie pamiętam. W sobotę zawsze sklep był otwarty choć pusty. Gdy wchodziło się do tego sklepu, w drzwiach od mieszkania nieodmiennie pojawiał się właściciel i oznajmiał, że dziś nie handluje bo to szabas. Gdy mówiło się mu, że np. potrzebny mi jest zeszyt, on kładł żądany zeszyt na ladzie i mówił "a pieniądze połóż na tackę". No i on przecież w szabas nie handlował.

Z rynku odchodziły na wschód dwie ulice schodzące się po pewnym czasie w jedną, która przechodziła przez wieś Korejlicze, przez most na rzeczce Rucie i dalej przechodziła, w trakt idący do Mira przez Turzec. Już za rzeczką na skraju wsi stała siedmioklasowa szkoła, a za nią budynek urzędu gminy. Za gminą było jeszcze tylko kilka domów i w jednym z nich mieściła się bursa dla dzieci osadników wojskowych prowadzona przez Związek Osadników Wojskowych.

Pierwszą klasę uczyła mnie w domu panna Kibiłdisówna, a do drugiej chodziłem już do szkoły. Chodziła nas z majątku cała gromada dzieci. Pierownikiem szkoły był wówczas pan Dulemba, a pierwsze klasy uczyła panna Ciołkówna. Wójtem był w tym czasie pan Szymel - osadnik wojskowy, którego córka Zosia była moją koleżanką z klasy. Sekretarzem gminy był pan Chawtek, kawaler, legionista od Cleandrów. Miał on wielkiego psa, który

Sam chodził po zakupy z koszykiem w zębach. Szedł do sklepiku w hali na rynku, pozwalał Żydowi wyjąć zeszyt z zamówieniami i włożyć towary do koszyka, ale nie pozwalał wyjmować. Żyd zapisywał wydane towary a raz w miesiącu pan Chawtek rozliczał się z nim. Dla nas pies ten był ciekawostką nie lada. Pamiętam jak kiedyś opadły go psy miasteczkowe, On postawił koszyk na ziemi i odgryzał się im, ale od koszyka nie odszedł, a że był wielkim psem, dał sobie z napastnikami radę.

Większość imion i nazwisk młóich rówieśników ze szkoły w Koreliczach wyleciała mi z pamięci. Pamiętam Masłowicza - syna bogatego gospodarza z miasteczka, posiadającego zabudowania w widłach dwu ulic wychodzących z rynku w stronę szkoły. Był jedynakiem, chłopcem inteligentnym i bardzo ambitnym. Jego dziadek był majstrem samoukiem - robił wialnie i inne urządzenia przydatne w gospodarstwie wiejskim. U nich w sieni stały dwie duże beczki, w których przechowywali gotowane borówki zaprawione miodem, a w nich całe gruszki i jabłka. Masłowicz wyciągał z borówek gruszki długim drewnianym widelcem i częstował nas. Bardzo nam one smakowały. Kiedyś po powrocie ze świąt Bożego Narodzenia z Puca, bo jeździliśmy tam prawie co roku aż do śmierci Dziadka, i bytności po drodze w Warszawie u wujostwa Szydelskich, opowiadałem Masłowiczowi, że Zbyszek Szydelski miał mały samochodzik zupełnie jak prawdziwy, napędzany pedałami, w którym można jeździć po ulicy - nazajutrz Masłowicz powiedział mi, że jemu matka kupi mały autobusik, żeby mógł jeździć do szkoły, a ja w to uwierzyłem.

Moim rówieśnikiem był syn doktora - Janusz Lewicki. W pierwszych latach państwo Lewiccy mieszkali w domu weterynarza pana Szabuni, a później we własnym domu. Pani Lewicka była dentystką, a pan Lewicki lekarzem wszystkich specjalności, gdyż był sam na dość dużym terenie.

Chodził ze mną razem do szkoły i bawiliśmy się razem, syn młynarza z młyna wodnego w Koreliczach, należącego do dworu, Ciechaniewicz. Często chodziłem z nim do młyna, bo lubiłem przyglądać się pracy w młynie, a poniżej koła młyńskiego, zwłaszcza wiosną, pojawiała się dużo ryb dobrze widocznych w czystej wodzie. Czasem młynarze polowali na nie ościeniem.

W klasie były dzieci z miasteczka i okolicznych wsi. Byli wśród nas Polacy, Białorusini, Tatarzy polscy i Żydzi. Przez cały okres pobytu mojego w szkole w Koreliczach, poza nielicznymi waśniami z Żydami, wszyscy trzymaliśmy się razem zgodnie - nie znaliśmy różnic narodowościowych czy wyznaniowych, a tym bardziej "klasowych" jak tego encą komuniści. Były w szkole nadprogramowe lekcje języka białoruskiego prowadzone przez pana Fedorkiewicza - nauczyciela matematyki, a pochodzenia miejscowego Białorusina, bardzo sumiennego i sprawiedliwego człowieka. Chodziłem na te lekcje, bo chodzili na nie moi koledzy, choć muszę się przyznać nie bardzo przykładałem się do tej nauki, co miał mi za złe pan Fedorkiewicz. Gdy były zimą ostrzejsze mrozy wozili nas z majątku saniami.

Nauka nie sprawiała mi na ogół trudności choć nie bardzo się do niej przykładałem. Inaczej było z niektórymi dziećmi ze wsi - musiały dodatkowo uczyć się poprawnie mówić po polsku, bo w domu mówiły po "chłopsku" czyli gwara polsko - białoruską lub po białorusku. Mimo to były wśród nich wypadki wielkich zdolności. Miałem kolegę z pobliskiej wsi Rowiny, z biednej rodziny białoruskiej, nie pamiętam jego nazwiska. Chodził do szkoły aż do mrozów bosó i w samodzielnym kapocie ojcowej, był wysoki i chudy. Uczył się we wszystkich klasach na samych piątkach. Na drugie śniadanie przynosił prażony bób lub groch. Ja mając zawsze kanapkę z wędliną lub serem najczęściej zamieniałem się z nim - mnie bardzo smakował ten bób, a on ze smakiem zjadał moją kanapkę. Po latach razem zdawaliśmy egzamin wstępny do gimnazjum w Nowogródku i on zdał ten egzamin na piątkę, ale nie został przyjęty z braku miejsc. W Nowogródku było tylko jedno gimnazjum, a obejmowało duży teren gdzie było dużo osadników wojskowych, których dzieci miały pierwszeństwo we wstępie. Ja też zdałem na piątkę, ale dyrektor gimnazjum od razu zapowiedział memu Ojcu, że nie będę przyjęty bo jest mało miejsc, a Ojca stać na posłanie dzieci do szkół w Wilnie. Później i do dziś nie mogę sobie darować, że gdy Tatusz zapowiedział mi, że spełni każdą moją prośbę jak zdam egzamin na piątkę, a ja po spełnieniu tego warunku nie poprosiłem o umieszczenie tego kolegi w gimnazjum, a tylko poprosiłem o dwie kajzerki z szynką. Ale poprostu nawet mi to do głowy nie przyszło że bym mógł prosić o coś więcej, a w tym czasie po kilku godzinach spędzonych w klasie byłem głodny.

Gdy byłem w trzeciej czy czwartej klasie była jak co roku akademie na 3-go Maja. Odbywała się jak zwykle w remizie straży pożarnej, bo w szkole nie było takiej dużej sali. Brałem udział w przedstawieniu i z tego powodu byłem "bardzo ważny". Chłopcy ze starszych klas podglądali przygotowania do występów podnosząc kurtynę. Z jednym z nich - Czerkasem, synem osadnika wojskowego, miałem o to kłótnię podczas której chciałem mu odebrać chorągiewkę, a on nie oddając mi jej podrapał mi do krwi rękę. Poskarżyłem się kierownikowi panu Dulembie, no i usłyszałem zamiast skarcenia Czerkasa - pochwałę za to, że nie dał sobie odebrać sztandaru.

Miałem w szkole w klasie koleżankę - córkę pocztmistrza z Korelicz, pana Asanowicza - polskiego Tatarę. Uczyła się bardzo dobrze i często gdy opóściłem lekcje z powodu choroby, właśnie od niej pożyczałem zeszyty dla uzupełnienia materiału lekcji. Kiedyś stojąc z kolegami na ganku ich domu, w którym mieściła się agencja pocztowa, przekomarzałem się i w pewnej chwili powiedziałem - "a ja jestem hrabią". Stojący na tymże ganku młody krewniak pana Asanowicza - niestety nie pamiętam jego nazwiska - zwrócił się do mnie - "pamiętaj Staś, że urodzenie nie jest niczyją zasługą, a każdy jest tylko tyle wart, ile sam wypracuje w życiu". Takie pojęcia krążyły wśród prostych polskich Tatarów na naszych Kresach - był to na wskroś zdrowy i prawy element.

W Koreliczach nie było kościoła tylko w niedzielę przyjeżdżał ksiądz z Miechniewicz i odprawiał mszę św. w szkole, gdzie na ten czas ustawiano ołtarz w jednej z klas. Religii katolickiej uczyła nas jedna z nauczycielek, a do pierwszej komunii przystępowaliśmy w oddalonych o 15 km Miechniewiczach, gdzie była nasza parafia. Stał tam duży barokowy kościół. Zachowała się jakimś cudem fotografia z naszej pierwszej komunii. Stoję na niej z boku w pierwszym rzędzie mocno "nadęty". A było to tak. Do komunii ustawili nas na stopniach kościoła do fotografii. Dziewczęta na przodzie, a chłopcy wyżej w dalszych szeregach. Stałem między chłopcami z sierocińca w Adampolu, a przede mną stała dziewczynka, córka osadników wojskowych. Chłopcy stojący koło mnie zaczepiali ją trącąc świecami, a ona popłakiwała. W pewnej chwili matka dziewczynki weszła pomiędzy nas i zaczęła robić mi awanturę, że to ja czapiam się jej córki i dokuczam jej. Powstało zamieszanie no i nie chciałem wogóle stać do tej fotografii, ale matki moich koleżanek i kolegów tego chcieli i ustawiono mnie właśnie z boku. No i stąd moja mina.

Był w Koreliczach zorganizowany półszwadron Krakusów. Był to odpowiednik Strzelca zorganizowany dla kawalerzystów. Zbiórki i ćwiczenia odbywały się w niedziele po mszy św. na terenie majątku. Dowódcą był mój Ojciec ale na ćwiczeniach najczęściej dowodził pan Ostrowski - rządcą - podporucznik rezerwy. Uszyli mi mundur, komendant posterunku pan Świerkowski podarował mi starą austriacką szablę dużo krótszą od polskich wojskowych, które dostali Krakusi, no i ćwiczyłem razem z nimi dosiadając kuca, a później jednego z koni wyjazdowych. Gdy byłem w czwartej klasie wypadły akurat zawody strzeleckie w szwadronie. Dopuszczono mnie do nich. Strzelnica była zrobiona w jarze za cukrownią, jak nazywano budynek stojący w polu za traktem, który przed pierwszą wojną był wybudowany na cukrownię, a w moich czasach służył za stodołę. Wystrzeliłem wówczas wymaganą ilość punktów - 75 na 100 możliwych, - i na 11-go listopada podczas uroczystości przed pomnikiem Marszałka Piłsudskiego, który wybudowano pomiędzy szkołą a gminą, gdy była obecna cała nasza szkoła i duża ilość dorosłych mieszkańców, rotmistrz z 27 pułku ułanów wręczał Krakusom zdobyte odznaki strzeleckie. Szwadron stał w szeregu konno i każdy wyczytany podjeżdżał pod pomnik, gdzie stał rotmistrz i odbierał z jego rąk odznakę i legitymację. Gdy mnie wyczytano podjechałem i odebrałem swoją odznakę - zupełnie "puchłem z dumy".

Tego roku szwadron pojechał na uroczystość Bożego Ciała na procesję do Miechniewicz. Naturalnie pojechałem razem. Szliśmy z obnażonymi szablami po obu stronach baldachimu. Pamiętam, że za mną szedł Michałko. Akurat podczas procesji zarwał się wichura i przyszła burza. Ludzie z procesji pochowali się, a my szliśmy dalej. W powrotnej drodze oddali mi lancę z proporcem i jechałem przed szwadronem no i byłem z tego bardzo dumny.

Do Krakusów należeli prawie wyłącznie osadnicy wojskowi z Marysina, Michalina i Berezowca. Z kilkoma młodszymi z Marysina zaprzyjaźniłem się i kilkakroć jeździłem do nich po ćwiczeniach.

W Koreliczach gdy tam zamieszkaliśmy, jak już wspomniałem, początkowo mieszkaliśmy w oficynie, a już chyba na drugą zimę przenieśliśmy się do wyremontowanego pałacu, a pan Myślicki zamieszkał w oficynie.

Od wczesnej wiosny pan Myślicki już od 3-ej rano chodził po podwórzu i odmawiając różaniec doglądał wszystkiego. Koło 8-ej służąca wynosiła mu na tacy śniadanie, które zjadał na podwórzu lub w którymś z budynków gospodarskich, a dopiero na obiad w przerwie obiadowej wracał do domu. Był bardzo wysokim i szczupłym, starszym już mężczyzną - doskonałym typem pana Podbiptę z Trylogii Sienkiewicza, zawsze spokojnym i bardzo sprawiedliwym. Kiedyś oborowy, przezywany przez wszystkich "Kapustę" z powodu bardzo niskiego wzrostu ale krępej budowy, a przy tym wielki złoźnik, mając do pana Myślickiego o coś złość, z furią złapał duży kamień i z nim rzucił się na niego. Pan Myślicki w jednej chwili wytrącił mu kamień z rąk, złapał go za kołnierz i jak piórko podniósł na wyciągniętej ręce do góry. Chwilę go tak potrzymał, następnie postawił go spowrotem na ziemi i spokojnym głosem zapytał: "no co, już ci kochaneńki przeszło?". A gdy Ojciec mój chciał ukarać za ten wybryk "Kapustę", pan Myślicki stanowczo się temu sprzeciwił stwierdzając, że przecież nic się nie stało.

Kiedyś na początku, gdy mieszkaliśmy jeszcze w oficynie, Rodzice wyjechali do Nowogródka i długo nie wracali. ~~Przekam~~ Pawiliśmy się z Nisią w ogrodzie i już zgłodnieliśmy, wówczas staruszka - matka pana Myślickiego zawołała nas do siebie i poczęstowała nas kanapkami z polędwicą i kawą z mlekiem. Pamiętam, że ta polędwica bardzo nam smakowała, była mocno wędzona i podsuszona tak po litewsku, zupełnie inna jak u nas bywała.

W następnym roku pan Myślicki przeniósł się do Bolcienik, gdzie był samodzielnym rządcą aż do wkroczenia bolszewików. Tamtejsi pracownicy nie dali mu zrobić krzywdy i wybrali jednogłośnie na przewodniczącego, zorganizowanego tam przez sowiety kołchozu. Podczas okupacji niemieckiej pan Myślicki dalej był gospodarzem w Bolcienikach, a po ponownym wkroczeniu tam sowietów, znowu przewodniczącym kołchozu.

Po panu Myślickim rządcą w Koreliczach został pan Ostrowski, którego Ojciec sprowadził z Pomorza. Gdy przyszedł do Korelicz był jeszcze kawalerem i gospodarzka mu jego ciotka, starsza już osoba. Pan Ostrowski w niedzielę po południu z zapakem ćwiczył Krakusów w zastępstwie mego Ojca, który był nominalnym dowódcą.

Od dłuższego czasu majątek Przecieniewiczze, położony w odległości 5 km od Korelicz, a należący również do hr. Żółtowskiej, dzierżył pan Erazm Razowski - stary kawaler, mieszkający ze swymi trzema siostrami - panną Tosią, panną Hanią i wdową, panią Marią Żołnierkiewiczową oraz starą ciotką.

Nie wiem dokładnie dlaczego państwo Łazowscy dostali wymówienie tej dzierżawy, ale w każdym razie w 1933 czy 34 roku przenieśli się na dzierżawę do Rutkiewicz, a do Przecieniewicz na samodzielnego rządcę poszedł pan Ostrowski. W krótkim czasie ożenił się i krótko przed wojną urodziła się im córeczka, której chrzestnym został mój Ojciec. Mieszkali tam szczęśliwie do wojny. Pan Ostrowski nie został zmobilizowany, a zaraz po wkroczeniu bolszewików aresztowali go i słuch po nim zaginął. Pani Ostrowska z malutką Urszulką przeszła zimą w 1940 roku przez zieloną granicę do GG. Po odnalezieniu grobów Katyńskich na liście zidentyfikowanych znalazł się i pan Ostrowski.

Po panu Ostrowskim w Koreliczach rządcą został pan Szarogrodzki kawaler, który poprzednio, do śmierci mego Dziadka, był rządcą w Fucu. On gospodarzył w Koreliczach do wojny. Nie został zmobilizowany. Gdy wchodzili bolszewicy wziął swój sztucer, dobrał ode mnie naboje z zapasów Ojca, dosiadł jednego z koni wyjazdowych, ale gdy Wisia przy pożegnaniu powiedziała, że szkoda żeby bolszewicy wzięli naszego ogiera, przerzucił siodło na ogiera angloaraba i pogonił za wycofującą się policją i kopostami. Podobno ogiera zostawił w Bolcienikach, a sam znalazł się w obozie internowanych na Łatwie. Tam na 11-go Listopada Polacy wywieszali Polskie Flagi, a Litwini zaczęli strzelać do wywieszających. Kilku zabili, a między zabitymi znalazł się i pan Szarogrodzki. Pochodził z Wyszkowa n/Bugiem.

Ale muszę się cofnąć się o kilka lat.

Wiosną 1935 roku wszyscy na Kresach przeżyli wstrząs spowodowany śmiercią Marszałka Piłsudskiego. O ~~chorobie~~ chorobie wiedzieli wszyscy, ale Jego śmierć była naprawdę wstrząsem. Gdy doszła wieść o Jego śmierci prości ludzie płakali po Nim jak po kimś bliskim. W dzień uroczystości pogrzebowych Mamusia wystawiła na ganek nasze radio. Zebrało się na ganku i przed nim duże grono pracowników majątku - fernali, rzemieślników i ich rodzin, był Słucki - arendarz serowarni - Żyd z miasteczka, byli przygodni interesanci z biura majątkowego - chłopci. Wszyscy w skupieniu i z powagą wsłuchiwali się w doniesienia radiowe. Wielu z nich płynęły łzy. Płakał Żyd - Słucki, płakał prawosławny białogwardzista Misiul, mieszkający w Polsce na prawach azylu, płakały kobiety, żony pracowników. To były naprawdę szczere łzy. Wszyscy zadawali sobie pytanie - co teraz będzie? Marszałek kojarzył się z wolnością i spokojem tych stron. Starsi pamiętali pożogi i rabunki czasu najazdu bolszewickiego. Wielu mężczyzn walczyło pod komendą Marszałka - Dziadka, jak Go powszechnie na Kresach nazywano. Wszyscy przeżywali do niedawna trwogę gwałtów, mordów i podpalania wykonywanych przez agentów sowieckich nasyłanych z za kordonu. Jeszcze w początku lat trzydziestych wiosną co noc widziało się łuny podpalanych dworów, plebanii, osad wojskowych, szkół i budynków gminnych. Dopiero przysłany przez Dziadka na wojewodę Kostek - Biernacki zdołał ukrócić ten proceder. KOP szczelnie

zamknął granicę, a wszystkich złapanych na gorącym uczynku dywersji agentów bolszewickich, nie będących obywatelami polskimi, zaczęto skazywać na śmierć. Posypały się wyroki i nie znaleźli się ochotnicy na dywersję w Polsce. Poprzednio władze polskie szły na wymianę połapanych dywersantów za Polaków aresztowanych po stronie sowieckiej, tam stale mieszkających i specjalnie aresztowanych na zakładników. Tym sposobem dywersja w Polsce była zupełnie bezkarna, bo bolszewicy zawsze znaleźli u siebie miejscowych Polaków, których po tamtej stronie granicy zostało bardzo dużo na zakładników.

Jesienią 1936 roku Rodzice moi umieścili Wisię w internacie i szkole powszechnej Sióstr Nazaretanek w Nowogródku. Chodziło o lepszy start do gimnazjum, gdyż szkoła ta była prowadzona na bardzo wysokim poziomie. Ja pozostałem nadal w szkole w Koreliczach. Kiedyś będąc z Mamusią w Nowogródku odwiedziliśmy Wisię. Było tam już po lekcjach i akurat trafiliśmy na obiad. Siostra kierowniczką zaprosiła Mamusię na obiad i orzekła że co prawda mężczyznom do bufektarza nie wolno wchodzić, ale ja nie jestem jeszcze mężczyzną więc i mnie zaprasza na obiad. Pamiętam, że to powiedzenie ubodło mnie strasznie.

Do piątej klasy poszedłem w Nowogródku do szkoły powszechnej Sióstr Nazaretanek. Wisia wicną zdała egzamin do gimnazjum i została przyjęta w Nowogródku. Rodzice wynajęli mieszkanie i zamieszkaliśmy z Mamusią. U Nazaretanek wstąpiłem do Harcerstwa. Tu znaleźli się nowi koledzy. Często bawiliśmy się na górze zamkowej, chodziliśmy do lasu do Horodziłówki. Służyliśmy do mszy w Farze Nowogródzkiej. Uczyłem się nie źle. Pamiętam tylko, że pani Zofia Sokółowska - nasza wychowawczyni klasy - polonistka zawsze miała mi za złe, że czytając "śpiewałem" - nie podobało się jej, że kończąc każde zdanie zniżalem głos. Ale w innym wypadku zawsze mnie chwaliła - mówiła, że najlepiej z całej klasy robiłem porządek po robotach. W piątej klasie u Nazaretanek był obowiązkowy język francuski, którego uczyła rodowita Francuzka - madame Nowogrodzka. Przyjechała ona przed pierwszą wojną jako guwernantka, wyszła za mąż za pana Nowogrodzkiego, który zmarł po kilku latach i tak pozostała w Nowogródku. Chodziłem dodatkowo z Galasiewiczem, kolegą z klasy, na lekcje do m-dame Nowogrodzkiej. Uczyła grę w loteryjkę francuską. Podczas takiej lekcji trzeba było mówić wyłącznie po francusku. Trzeba przyznać, że ta metoda bardzo mi odpowiadała. M-dame Nowogrodzka miała po swym mężu turecki "różaniec" i zegarek kieszonkowy, podobno zdobyte pod Chocimem przez przodka pana Nowogrodzkiego.

W szkole u Nazaretanek wszędzie były parkiety i siostra porządkowa co dzień chodząc po korytarzu i sali gimnastycznej zestrugiwała nożem wosk z dużego krążka, który my chodząc i biegając wcieraliśmy go w podłogę. Wosk był tani, a froterka darmowa. Trzeba zaznaczyć, że obowiązkowo

w tej szkole trzeba było nosić pantofle, a buty zostawiało się w szatni.

Kierowniczką szkoły była wówczas siostra Dominika - niska i tęgawa. Zdaje się, że mnie lubiła choć strasznie łobuzowałem. W kolegów z mojej klasy pamiętam nazwiska: Gedymina - syna urzędnika sądownego, Galasiewicza syna wyższego urzędnika z Izby Skarbowej, Danko Karpowicza z ziemiańskiej rodziny z okolicy Nowogródka, Marszałków i Zwierkę, a z szastej klasy Hercega - syna komendanta PKU, a naszego zastępowego oraz bliźniaki Adasia i Macka - nie pamiętam ich nazwisk, podobnych do siebie nie do rozróżnienia. Nosili oni w klapie bluzy literki A - Adaś i M - Maciek dla rozróżnienia ale na lekcjach zwykle trzymali je w rękach, a gdy któryś z nich został wywołany do odpowiedzi, ten który lepiej znał przedmiot wkladał szybko literkę wywołanego i prawie zawsze im się to udawało.

Drużynowym naszej drużyny był gimnazjalista Łoś, pochodzący ze wsi Strelniki położonej niedaleko Korelicz obok Tudorowa.

Gdy dzwonnica w Farze była otwarta, lubiliśmy wchodzić na górę. Z dzwonnicy można było wdrapać się na strych Fary gdzie mieszkali stada gołębi. Stróp Fary jest półkolisty i gruby na szerokość jednej cegły, pośrodku są otwory, z których zwieszają się świeczniki. Gdy patrzyło się przez taki otwór na dół cierpła skóra, bo zdawało się że pod naszym ciężarem wysuną się pojedyncze cegły i zleci się na dół. Fara ma dwie wieże, w jednej są schody z wejściem z zewnątrz i wiszą dzwony, a druga nie miała wejścia, od dołu, a kiedyś były schody ze strychu do podziemi. Schody te dawno spruchniały i wówczas widać tam było jedynie marnie ich resztki. Ponieważ do podziemi z kościoła wejście było zakryte potężną kamienną klapą, więc myśleliśmy o tym żeby tam zejść przez tą wieżę, ale na szczęście nie wykonaliśmy tego, bo skończyłoby się to połamaniem kości. A nas nęciło przejść z podziemi Fary do lochów zamkowych, do których wejście z zamku było zasypane.

Drugie lochy były pod kościołem św. Michała. Syn kościelny z tego kościoła chodził ze mną do piątej klasy i opowiadał mi, że kiedyś jego ojciec wszedł do tych lochów i cały kawał szedł podziemnym chodnikiem, który miał się ciągnąć do zamku, ale na pewnej odległości był zawalony. Nie wiem ile w tym było prawdy, ale bardzo chcieliśmy się tam dostać, lecz też bezskutecznie.

W czasie mego pobytu w Nowogródku ciągle przebudowywano i utwardzano ulice i budowano betonowe chodniki. Nowogródek po zaborach był nędzną miejsciną, bo władze rosyjskie starały się zatrzeć ślady dawnej świetności i zniszczyć wszelkie ślady dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. W tym celu zlikwidowali województwo Nowogródzkie i podzielili je na grodzieńską i mińską gubernie, a sam Nowogródek został tylko powiatem. Dopiero w dwudziestym wieku Polacy zlikwidowali drewniane chodniki i błotniste ulice. Właśnie gdy chodziłem do piątej klasy, z błotnistej załki Farnego powstała zupełnie ładna, szeroka ulica z równymi betonowymi chodnikami.

A na stoku pod górą zamkową założono duży i rozległy park.

Czas leciał szybko. Na przedwiośniu Mamusia wróciła do Korelicz żeby dopilnować ogrodu, a z nami czasowo do wakacji zamieszkała niejaka pani Maria - starsza już osoba, wynajęta na ten okres przez mych Rodziców. Przy niej stanowczo łatwiej było mi się wykręcać od nauki i przyskać na węgry... było tyle ciekawych rzeczy. W wielkich kałużach w fosie zamkowej pojawiły się traszki. W jaskach lasu w Horodzikówce wszystko ożywało i rozkwitało i słońce pięknie świeciło. Nie darmo Wisia kiedyś ułożyła wierszyk: Wieje wietrzyk, słońce świeci

Wiejcie z budy wszystkie dzieci.

Nasza buda w blaskach słońca

Wcale nie jest czarująca.

Na wakacje zapowiadał się wyjazd drużyn harcerskich z Nowogródka na Zlot Wileńskiej Chorągwi. Między innymi z naszej drużyny z uwagi na koszty z tym związane większość nie mogła jechać i w rezultacie pojechało nas tylko dwóch. Złączono nas do drużyny gimnazjalnej. Plecaki, menażki, namioty i cały sprzęt kuchenny wypożyczyło drużynie wojsko. Zbiórka była w szkole podstawowej Nr. 2, gdyż położona była najbliższej stacji kolejki wąskotorowej którą dojechalismy do Nowej Wsi, gdzie siedliśmy do pociągu specjalnego, wiozącego harcerzy do Wilna. Byliśmy dwaj z powzechamiaka najmłodszy w drużynie. W Wilnie wysiedliśmy, załadowaliśmy sprzęt na ciężarówkę, a drużyny zebrane w większe oddziały pomaszzerowały do lasów na północ od Wilna, gdzie nad Wilią było miejsce przeznaczone na obóz drużyn męskich. Obóz żeński był oddalony od naszego o kilka kilometrów. Po dłuższym marszu przyszlismy na miejsce gdzie już były złożone nasze rzeczy. Obozowy wyznaczył miejsce dla naszej drużyny, rozstawiliśmy namioty i urządziliśmy kuchnię. Wyznaczeni starsi chłopcy wykopali w pewnej odległości od obozu na wyznaczonym miejscu doł i urządzili latrynę. Inni ugotowali posiłek i zrobili się wieczór. Po apelu i modlitwie wszyscy, oprócz wyznaczonych na noc wart, poszli spać. Nas najmłodszych mocno oszczędzano, co nam się nie podobało.

Zlot trwał dwa tygodnie. Były w tym czasie wspólne ogniska, wycieczki na zwiedzanie Wilna, a nawet nocny alarm. W tym alarmie chodziło o szybkość przybycia poszczególnych drużyn na plac zbiórki. Przyszlismy jedni z pierwszych, ale trzeba przyznać, że nas najmłodszych starsi prawie nieśli - każdy każdego z kapało dwóch starszych pod pachy i to był bieg. Po zbiórce i sprawdzeniu stanów, rozdzielono nas - starszych chłopców zebrano oddzielnie. Nas młodszych poprowadzili dość daleko i rozstawiono po ciemku w "obronie". Między nami, trochę z przodu były stanowiska ogniowe ckm z obładą wojskową. Na tą linię obronną nacierali starsi harcerze. Ckm-y strzelały ślepyimi nabojami długimi seriami. Mieliśmy obraz prawdziwej walki. Po skończonych ćwiczeniach powróciliśmy już razem swoimi drużynami do obozu i

poszli spać. Odbyły się międzyróżynowe zawody w biegu przełajowym z przeróżnymi przeszkodami. Z każdej drużyny szły wyznaczone zespoły i w naszym byłem i ja. Nasza drużyna wypadła zupełnie dobrze.

Odbył się też ogólny wymarsz do Wilna, gdzie uczestniczyliśmy we mszy św. w Ostrej Bramie i po mszy odbyło się ślubowanie Harcerzy całej chorągwi. Akurat przed tym wymarszem przebiłem sobie nogę i mocno kulałem, ale nie chciałem zostać w obozie. Zabrał mnie i mojego kolegę z klasy samochodem do Wilna Komendant Chorągwi Wileńskiej Harcmistrz ^{Matus} Puciata. Na mszę i ślubowanie dołączyliśmy do swojej drużyny, a po tym Harcmistrz zabrał nas z powrotem, a przed wyjazdem z Wilna zafundował nam w cukierni "Wschodniej" po dużej porcji chałwy z buzą. Byliśmy z tego powodu strasznie dumni.

Na obozie tym spotkałem po raz pierwszy ojca Tomasza Roztworowskiego jezuitę, opiekuna harcerstwa, który opowiadał nam jak w dwudziestym roku prowadził kompanię harcerską do ataku na bolszewików przez Korelicze i wpław przez Serwecz. W Serweczy zalegli pod bardzo silnym ogniem ckm-ów bolszewickich bijących od Berezowca. Zginęło wtedy pięciu harcerzy z jego kompanii, ale gdy lotnik podał im wiadomość, że idzie wsparcie, ruszyli na przód i pognali czubaryków aż za Mir. Poległych w rzece harcerzy wyłowiono dopiero koło Szczors z Niemna i tam ich pochowano we wspólnej mogile. To że nie wiedziałem wcześniej o tej mogile miał mi ojciec Tomasz zażek.

Na tym Zlocie poszczególne drużyny robiły sobie na wzajem różne kawały. Koło nas obozowała drużyna ze Szczuczyna, której drużynowy był mocno tęgi. Nasi chłopcy którejs nocy podkradli się i zwędzili mu spodnie. Rano po pobudce biedny drużynowy musiał przyjmować apel w gatkach no i było z tego dużo śmiechu.

Dwa tygodnie przeleciały szybko. Jeszcze zdążyłem stać raz nocą na warcie i zdać sprawność kucharza. W końcu zebraliśmy obóz, zrobiliśmy za sobą porządek tak, że nie było śladu po naszym biwaku i ruszyliśmy do Wilna na stację. Specjalny pociąg dowiózł nas do Nowojelni, wąskotorówka do Nowogródka i nastąpiło pożegnanie. Ponieważ nie przyjechali po mnie, zatrzymałem plecak i poszedłem do domu piechotą. Uszedłem już kawał drogi, gdy w Sielci idąc pod górę spotkałem bryczkę z Korelicz, a w niej Mamusię i ciocię Sławę, które z Michażką jechały do Nowogródka. Zabrali mnie, odwozłem odrazu i zdałem plecak i na późny obiad wróciliśmy do Korelicz. Była to pierwsza moja przygoda poza domem.

Gdy byłem z Rodzicami ostatni raz na Gwiazdkę w Pucu, znalazłem na szafie skrzypce. Okazało się, że były to skrzypce Dziadzi. Poprosiłem Go żeby dał mi je. Dziadzia jak zwykle siedział w bibliotece, gdzie lubił przesiadywać w chwilach wolnych od zajęć. Wziął skrzypce, obejrzał je i nastroił, a później zagrał "Boże coś Polskę". Wydawało mi się, że grał bardzo ładnie.

Gdy skończył oddał mi skrzypce i powiedział żebym się uczył grać. Po powrocie do domu zacząłem sam się uczyć grać. Wystukiwałem nuty na fortepianie i grałem je na skrzypcach. Nie miałem nut do nauki gry na skrzypcach więc wyciągnąłem śpiewnik "Pieśni patriotyczne i narodowe" Fr. Barańskiego, gdzie były słowa pieśni, a osobno do nich nuty i wybierałem prościejsze melodie. Tak po pewnym czasie nauczyłem się kilku melodii, a między nimi "Polak nie służy". Niestety Rodzice nie zauważyli moich chęci i wysiłków i gdy poszedłem do gimnazjum do Wilna, zamiast mi dać dodatkową naukę gry na skrzypcach, załatwili mi dodatkowe lekcje francuskiego.

Początkowe posterunek policji w Koreliczach mieścił się w budynku mieszkalnym przy "cukrowni" za młynem Benina. Pan Świerkowski był komendantem, a jednym z trzech policjantów był pan Kowalski - kawaler, który miał stary rower. Był sympatycznym człowiekiem i chętnie pożyczał mi ten rower. Na nim nauczyłem się jeździć, a ze mną i moi koledzy.

Wiosną 1936 roku Tatuś kupił nam rowery - Wisia damski, a mnie męski. Były drogie, ale wprost niezniszczalne. Państwowa Fabryka Uzbrojenia "Łucznik" część swej produkcji rzuciła na rynek i nasze rowery były właśnie z tej firmy. Wisia bardzo dbała o swój, ale ja tłukłem swój do spółki z kolegami, jeździliśmy na nim we trójkę, a nierzadko i we czwórkę, a jemu nic nie psuło się, a najwyżej czasem przebiliśmy oponę.

Gdzieś w tym czasie przybył mi nowy kolega. Na polowego stróża, coś w rodzaju obecnego strażnika łowieckiego, tylko utrzymywanego przez majątek, przyjęty został szwagier Straszków - Mackiewicz. Jego starszy syn, młodszy ode mnie o rok był najniższym z nas, miał na imię Bolesław, a pobiewał było w naszej gromadzie już dwóch Bolków, a nie było u nas w zwyczajny wołać po nazwisku więc nazwałem go Boluńcio i tak już zostało. Wkrótce Boluńcio stał się moim nierozłącznym przyjacielem. Jego ojciec umiał wypychać ptaki i sporo różnych ptaków mi wypchał.

Nie wspominałem, że jak uzyskałem ~~mój~~ odznakę strzelecką - wujek Dzierżyk, mój chrzesny, podarował mi dubeltówkę, starą swoją strzelbę kalibru 28. Była trochę rozklekotana ale Julek rybak - strażnik stawowy, przepowiadacz pogody zupełnie nieomylny i majster do wszystkiego - naprawił ją i odtąd polowałem podczas wakacji na stawach ludwиковskich. A była tam nie przebrana moc najprzeróżniejszego ptactwa. No i jak coś ciekawego upolowałem to zanosilem do ojca Boluńcia, a on wypychał i odnosił do kancelarii Tatusiowi. Naturalnie Tatuś płacił za robotę nam i oddawał mi wypchany okaz.

Z Boluńciem budowaliśmy samoloty z desek, kolejki, itp rzeczy. Jeździliśmy do lasu do Przecieniewicz, gdzie w gęstwinie świerków mieliśmy swój obóz "dzikich ludzi". Szalasy zbudowaliśmy z gałęzi świerkowych, gotowaliśmy zupy z czarnych jagód, smażyliśmy jajecznicę z przywiezionych z domu jaj, jedliśmy drewnianymi łyżkami. Łyżki nauczył nas wyrabiać z kawałków brzozy Kazik Straszko, który w tym czasie był w Przecieniewiczach gajowym i stał się naszym głównym doradcą w sprawach leśnego życia.

Kazik Straszko miał wypadek - wypędzał konie w sobotę wieczorem na paszę na łąki pod Ludwikowem. Przy przejeździe przez mostek, pod koniem na którym jechał załamały się bale i koń wpadł w dziurę. Przy szarpaniu się konia belka zdrugotała Kazikowi łokieć prawej ręki, Zbólą czy od wstrząsu Kazik zemdlął. Na szczęście leżał na suchym. Konie rezbiegły się i pały. W niedziele zauważono rozpięzchłe konie i znaleziono nieprzytomnego Kazika. Ojca wówczas nie było w Koreliczach. Mamusia poszła po doktora Lewickiego, który stwierdził zupełną "kaszę" z łokcia - było podobno trzynaście kawałków - usztywnił rękę o orzekł, że trzeba natychmiast wieźć Kazika do szpitala. Mamusia telefonicznie wezwała taksówkę z Nowogródka i po przyjeździe jej wyprawiła Kazika z doktorem Lewiskim. W szpitalu wojewódzkim chirurg po prześwietleniu stwierdził, że może jedynie usztywnić rękę na zawsze i powiedział, że tylko profesor Michejda w Wilnie może ją uratować. Doktor Lewicki tą samą taksówką zawiózł Kazika do Wilna do kliniki profesora. Tam Kazik przeleżał kilka miesięcy, przeszedł kilka operacji, ale po wyjściu władał ręką prawie normalnie. Jedynie nie do końca mógł ją zginać. Naturalnie cały koszt przejazdów i leczenia poniósł majątek. Po wyzdrowieniu Kazik dostał rentę inwalidzką, a Ojciec posłał go na kurs do Grodna, po skończeniu którego został gajowym. Krótco był gajowym w Rajcy, a potem już do wojny mieszkał w Przecieniewiczach. Ożenił się i krótco przed wojną urodził im się synek, którego chrzestnym był Tatus. Po wkroczeniu bolszewików w pierwszym wywozie w lutym 1940 roku wywieźli i Kazika z rodziną, a ponieważ w tym czasie były straszne mrozy - w Nowogródku trzymało przez dłuższy czas 46 stopni - wiele małych dzieci z tego wywozu zamarzło w drodze. Ten los spotkał i małego synka Kazika.

Chyba w 1936 roku przenieśli się do Nowogródka pan Dulemba i pan Szymel. Kierowniczką szkoły została pani Dworzecka, a do gminy sprowadzili się państwo Graccy. Mieli trójkę dzieci - Danię - moją rówieśnicę, Zbyszka - starszego ode mnie o dwa lata i młodszego Gustawa. Szybko zaprzyjaźnilimy się z nimi i wspólnie spędzaliśmy wakacje.

Do szóstej klasy do półrocza chodziłem w Nowogródku do Kazeretank i mieszkalem na stacji u państwa Wadasów na ul. Piłsudskiego, ale nie bardzo garnąłem się do nauki i po Świętach zostałem w Koreliczach i chodziłem do szkoły. W szkole w Koreliczach oprócz starych kolegów była również Dania Gracka, która była moją pierwszą sympatią.

W 1937 roku na wiosnę zmarł w Pucu Dziadek. Ja pogrzb pojechał Tatus, bo Mamusia wyjechała do Pucy wcześniej, gdy tylko dowiedziała się o chorobie Dziadka, który poprostu przeziębł się jeżdżąc załatwiać jakieś sprawy majątkowe, czy sądowe i dostał zapalenia płuc. Jak zwykle nie chciał się położyć do łóżka i gdy wreszcie Mamusia namówiła go na to, było już za późno. Dostał krwiotoku i zmarł. Mnie na pogrzb nie wzięli. Chowali Dziadka w Kościerzynie. Zebrały się tłumy ludzi, przeważnie dawnych pacjentów.

Leczył dziadek biedotę i ta biedota nie dała wieść trumny końmi, tylko całą drogę niesli ją na zmianę całej sześć kilometrów ze dworu do kościoła, a po mszy na cmentarz. Po pogrzebie sprawami majątkowymi zajął się wuj Dzierżyk z Tatusiem i uznali, że nie da się utrzymać Pucu z powodu zadłużenia, no i sprzedali Puc. Babcia przeniosła się do wujka Dzierżyka do Kielec, gdzie wówczas miał posadę w monopolu tytoniowym, a do nas przyjechała Sonia na dożywocie. Była Polką i katoliczką, nazywała się Zofia Butrym, pochodziła z zaścianka z Wileńszczyzny. Jako młoda dziewczyna przyjechała z kimś u kogo służyła do Odessy i tam po jakimś czasie trafiła do moich Dziadków - Rodziców Ojca. W Odessie przeżyła cały przewrót bolszewicki, dręczyli ją i prześladowali bolszewicy za to, że chodziła do kościoła i nie chciała do nich przystać choć była tylko służącą czyli według nich proletariuszką, a Jej wrogość uważali za zdradę. Po wojnie stryj Andrzej wystarał się jej o przyjazd do Polski w ramach repatriacji, a ponieważ wówczas, po powrocie od bolszewików sam mieszkał w Pucu, więc i Sonię tam sprowadził. Sonia została w Pucu jako gospodyni i była naszą drugą Babcia. Kochała nas jak własne wnuki. Przy urodzeniu każdego z nas sadziła nowy mirt. Jak byliśmy w Pucu zawsze pokazywała nam te mirty pieczokowicie przez nią hodowane i mówiła, że przydadzą się na nasze wesela. Przywiozła te mirty do Korelicz. Biedna, bo żaden mirt nie doczekał się wesela któregoś z nas.

Sonia u nas wzięła w swój zarząd chów drobiu i kuchnię i nieraz Mamusia nie mogła postawić na swoim tylko musiało być tak jak Sonia tego chciała.

Latem tego roku umarła ciocia Sława. Dłuższy czas chorowała na raka. Robili jej operację, po tym była jakiś czas u nas, a gdy znów jej się pogorszyło pojechała do Poznania do tejże kliniki, gdzie ją operowali i mimo wysiłków lekarzy tam zmarła. Rodzice jeździli na jej pogrzeb.

Latem był w majątku pożar - zapaliła się drewniana chlewnia i spłonęła doszczętnie. Większość trzody uratowali pracownicy, oni też nie dopuścili do rozprzestrzenienia się pożaru na oborę i stajnię. Ponieważ była obawa, że stajnia się zapali, bo było bardzo sucho i wiał w jej stronę wiatr, wypuścili klacze z małymi źrebiętami na podwórze. Spłoszone konie całym stadem zaczęły biegać po podwórzu utrudniając ratunek i zagrażając stratowaniem ratującym. Wszystkie wysiłki fernali ażeby je wypędzić w pole spełzły na niczym. I wówczas przybiegł z ogrodu nasz kuc, który stale chodził luzem. Kuc obiegł stado i poprowadził je na drogę do traktu. Wszystkie klacze i źrebaki poszły za nim. Nikt nie zajął się tym gdzie one idą, bo wszyscy byli zajęci pożarem. Adaś Straszko dosiadł ogiera i pogalopował do miasteczka po straży pożarną. Akurat był targ i ulice i rynek, przez który musiał przejechać, były zatłoczone furmankami i ludźmi. Opowiadano potem, że ogier w pełnym galopie przekakiwał przez spóźniałskich, którzy nie usunęli się w porę z drogi. Gdy straż przyjechała ze swoją motopompą, dogasiła dopalające się szczątki chlewni. Oborę uchronił rząd topól oddzielający ją od ognia, bo stała blisko, a

kryta była dranicą, tak że nie pomogło by polewanie z wiader wodą. Topole po tym pożarze uschły i wycięli je, ale swoje spełniły. Ten pożar i to ratowanie stoi mi zawsze w oczach. Przecież paliło się dworskie - pańskie, a ratowali z narażeniem życia nie tylko pracownicy ale i ich żony, które przybiegły ze swych mieszkań, które wcale nie były zagrożone. Ten obraz zadawał kłam teorii komunistycznym o wrogości robotników do "panów gnębicieli".

Po pożarze zaczęto szukać klaczy i okazało się, że kuc najspokojniej całe stado wyprowadził na pole koniczyny pod Ludwikowo. Przeprowadził je traktem i przez Załamankę i znalazł dobrą paszę. Był to kuc kasztan, którego Ojciec kupił nam po śmierci starego karego konika, któregośmy mieli na początku zamieszkania w Koreliczach. Był bardzo mądrym zwierzęciem. Lubił jabłka więc chodził do sadu i objadał co smaczniejsze odmiany, a gdy Żyd - arendarz chciał go wygnąć udawał, że chce go gryźć i Żyd uciekał. Zimą kulawa Mańka parowała ziemniaki dla trzody w budynku na środku podwórza. Kuc lubił parowane ziemniaki i pilnował kiedy Mańka będzie je gniotła, wówczas wsadzał łeb do tego pomieszczenia i szczerzył zęby tuląc równocześnie uszy. Wyglądało to groźnie i Mańka "poddawała się", a kuc wyjadał ziemniaki. W stajni stało około 40 par koni roboczych. Był stajenny, który przygotowywał dla wszystkich koni obroki, a po zadaniu obroków zamykał drągiem wejście do stajni. Drąg był na tej wysokości, że koń ani krowa nie mogli wejść, ale kuc jak tylko nie było w stajni nikogo, wchodził pod drągiem na zgiętych nogach, wyjadał obroki i tak samo wychodził, a robił to tak sprytnie, że stajenny przez długi czas nie mógł go złapać na tej sztuczce. Gdy go za długo według jego mniemania męczyłem ujeżdżając na nim po ogrodzie i parku, zrzucał mnie i uciekał rzęź nie dając się złapać. Ale mnie nie zostawiał. Kiedyś spadłem z niego i leżałem dłuższy czas nie ruszając się. Kuc przez jakiś czas pasł się opodal, ale widocznie zaniepokoił się, podszedł do mnie i zaczął obwąchiwać i trącać nosem. Dopiero jak się poruszyłem odszedł uspokojony. Mimo małego wzrostu był bardzo silny. Nieraz gdy chodził bez zajęcia brano go do wożenia wody z rzeczki do podlewania ogrodu. Dużą drewnianą beczkę na dwukółce, z którą duże konie miały co robić, on wyciągał z rzeczki i wciągał pod stromą stosunkowo górą zupełnie swobodnie. W 1938 roku po manewrach Ojciec sprzedał kuca wraz z bryczuszką majorowi Dilleniusowi, który miał jeszcze wówczas małe dzieci. Major zaraz po tym został przeniesiony do Pomorskiej Brygady Kawalerii i zabrał Kuca na Pomorze.

Nie wspominałem o Aleksandrze, a był to bardzo ciekawy człowiek. Aleksander Buliński był od niepamiętnych czasów ogrodnikiem w Koreliczach. Był nim już wtedy gdy pani Żółtowska była jeszcze małą dziewczynką i nosił ją wówczas na rękach. Za mojej pamięci Aleksander miał ponad dziewięćdziesiąt lat, chodził kolebiąc się z nogi na nogę, ale nic co tyczyło się sadów, ogrodu i parku nie mogło być zrobione bez zgody i aprobaty Aleksandra. Pamiętam, jak kiedyś gdy Ojciec przy obiedzie powiedział do pani Żółtowskiej, że trzeba będzie dosadzić

drzew w sadzie, bo jest dużo pustych miejsc - pani Żółtowska powiedziała, że trzeba się o tym porozumieć z Aleksandrem, bo bez jego wiedzy nic nie można w sadzie zmieniać. Aleksander zakładał przed laty sady w Korelidzach, Przecieniewiczach i Rajcy oraz w wielu innych majątkach w okolicy. Miał szereg wynodowanych przez siebie odmian jabłoni i grusz, sam szczepił i sadił. Poza tym opiekował się pszczołami. Jako mały chłopiec lubił z nim chodzić do pszczół. On nie używał siatki, a pszczoły go nie żądliły. Wiosną gdy dokuczał mu reumatyzm odkrywał kolana, sadzał pszczoły na ciele, podrażniał je żeby żądliły, a potem nożem ściągał pszczołę tak, że nie traciła ona żądka i odlatywała do ula. W następnych latach pokazywał mi jak się szczepi drzewka. W wieczór wigilijny po wieczerzy brał siano z pod obrusa i nim przewiązywał swoje wyróżniane jabłunki. Wierzył, że to powoduje dobre owocowanie tych drzew w następnym roku. Zmarł Aleksander w lecie 1936 roku. Wieżdy i osiągnięć w pracy hodowlanej w sadownictwie miał napewno nie mniej jak sławny rosyjski Mieczurin, tylko nie poszedł z bolszewikami i był cichym i pracowitym człowiekiem oddanym swym chlebowodawcom. Wdowa po pogrzebie zamieszkała u córki w sąsiedniej wsi Ogrodniki, gdzie zawożono jej deputaty i ordynaryj. Przychodziła czasem do Mamusi, a po wkroczeniu bolszewików wzięła na przechowanie pamiątkowe nasze papiery rodzinne, w których między innymi były dokumenty Minkowieckie Reduxa.

W 1938 roku latem Ojciec kupił dwa kajaki, które pozostawały na stawach Ludwikowskich. Gdy je przywieźli były akurat żniwa. Brałem kuca, zaprzęgałem go do jednokonnego wozu i jeździłem zwozić zboże. Misiul uczył mnie układania na wozie snopów i od rana do wieczora byłem na polu. Pamiętam, że Tatusz gniewał się na mnie za to, że siedzę na polu, a nie obejrzałem nawet nowych kajaków, a mnie ciągnęło do pracy przy żniwach. Potem na Syberii przydała mi się nauka Misiula, gdy pracowałem w kołchozie było "jak znalazł". Po żniwach przeprosiłem się z kajakami i wysiadywałem na stawach.

Folwark Ludwikowo położony był na niewielkim wzniesieniu na łąkach w dolinie Serweczy, do której wpływała nasza rzeczka Ruta. Granicą łąk majątkowych była właśnie Ruta, oddzielająca je od łąk i pól miasteczka i wsi Korelicze, dalej Serwecz oddzielała je od łąk Berezowca, a od północy granicą był rów odprowadzający wodę ze stawów do Serweczy. Na skraju tych łąk, od strony korelickich pól rozciągały się stawy rybne. Droga do Ludwikowa biegła pomiędzy stawami i była wykładana stale faszyną, gdyż torfiasty grunt uniemożliwiał jazdę. Woda do stawów doprowadzana była rowem z Ruty przez specjalny jaz, a nadmiar odprowadzał do Serweczy wspomniany rów graniczny. Od strony pól były najpierw płytkie i małe stawy zarybkowe porośnięte trawą. Po odbyciu tarle samce i samice wypuszczano do dużych stawów letnich, a po odchowaniu zarybku do pewnej wielkości, przenoszono go do większych stawów spuszczając z nich wodę wraz z zarybkiem, a stawki zarybkowe stały do następnej wiosny bez wody i porastały trawą.

Letnie stawy rybne były dość płytkie, ale miały do dwudziestu hektarów wielkości i były w płytkich częściach zarosnięte szuwarami.

W 1935 roku Ojciec mój postanowił pobrać dwa stawy, a stare przedzielić wzdłużnymi groblami, tak żeby wykorzystać lepiej ich obszar nie zwiększając głębokości. W tym czasie okoliczne wsie białoruskie były przeludnione i było tam dużo zbędnych rąk do pracy, ale propaganda sowiecka głosiła bojkot dworów i okazało się, że na miejscu nie ma chętnych do pracy przy budowie stawów, chociaż zapowiadały się dobre zarobki, bo była to praca akordowa. Wówczas przedsiębiorca pojechał w Kieleckie i przywiózł dwustu mężczyzn. Zakwaterowano ich w barakach i robotę wykonali w ciągu jednego lata nicznie przy tym zarabiając. Było trochę więcej kłopotu bo trzeba było im zapoczątkować zakwaterowanie i wyżywienie, ale robota była na czas wykonana i już w następnym roku stawy te dały pierwszy dochód. Tymczasem we wsiach okolicznych brakowało zajęcia i zarobków. Tak to propaganda sowiecka "szkodziła" dworom, a "brała w opiekę" wieś białoruską.

Na stawach były łodzie rybackie, którymi rybacy rozwozili łubin paszowy dla karpia. Myślny wykorzystywali te łodzie, gdy tylko były wolne, do pływania a ja często polowałem na wodne ptactwo z łodzi. Ptactwa tego było na stawach nieprzebrane ilości. Wiosną tysiące batalionów urzędowały na groblach toki - samczyki biły się zażarcie, rozpościerając szeroko swe przepiękne kryzy i zupełnie nie zważając na nadjeżdżających ludzi. Roje różnych gatunków kaczek, kurki wodne, kulony, kuliki i bekasy, różne gatunki mew i rybitew, czaple i baki, a nawet wielkie orki, mieszkają co roku w szuwarach i na starych wierzbach, lub przylatywały na żer na stawy. Dwa stawy ciągnęły się wzdłuż rzeczki i były od niej oddzielone wysokim wałem. W stawach tych co roku odławiano po kilkanaście dużych kilkuletnich szczupaków. Ponieważ woda do stawów dopływała przez jaz zaopatrzony w gęstą kratę, co wykluczało tę drogę, a na zimę stawy zostawały zupełnie bez wody, więc długi czas nie wiedziano jak stare kilkuletnie szczupaki dostają się do tych stawów, w których czyniły znaczne szkody, zjadając masowo młode karpie. Kiedyś Julek rybak powiedział żeby Ojciec przyjechał na wał nadrzeczny podczas deszczu. Akurat byłem krótko po tym z Ojcem na Ludwikowie gdy lunął deszcz i pojechaliśmy na ten wał. Był to rewir Julka i on pierwszy wypatrzył to zjawisko. Podczas deszczu trawa porastająca wał była mokra. W czystej wodzie rzeczki widać było pływające ryby. Co jakiś czas duży szczupak rozpędzał się w rzeczce i wyskakiwał na zbocze wału, a następnie podskakując i pełznąc na przemian wydostawał się na grzbiet wału, no a z tamąd już ślizgiem po skarpie dostawał się do wody w stawie. Nie wszystkim szczupakom to się udawało i niektóre staczały się napowrót do rzeczki, ale część przechodziła trawiasty wał. Ciekawe było skąd szczupaki wiedziały, że za wałem jest żywa i rybna woda, a nie sucha łąka. Po naczynym stwierdzeniu tego sposobu, Ojciec kazał prosto przeorać

górną wału i szczupaki utykały w piasku. Po tym zaoraniu, po deszczu można było znaleźć usnięte szczupaki na wale.

Na stawach poza szczupakami, największymi szkodnikami były czaple i nury, a na zarybkowych rybitwy i mewy. Rybacy mieli dubeltówki i dostawali za odstrzał tych szkodników dodatkowe wynagrodzenie. Z ubitego ptactwa zbierali łapki i co pewien czas przynosili do biura, gdzie otrzymywali zapłatę: za czaplę 1 zł, za nura 50 gr, a za mcwę czy rybitwę 30 gr. Ja miałem układ z rybakami taki, że oni płacili mi za moje odstrzały połowę, a ja im oddawałem zdobyte łapki. Tak gospodarzyłem, że starczało mi zawsze na proch, śrut i kapiszony, bo sam robiłem sobie naboje.

Specjalistą od polowania na czaple był Julek, który potrafił w swoim rewirze ubić przez lato do dwudziestu sztuk, a była to sztuka nielada, bo podejść czaplę na odległość strzału jest bardzo trudno, no a rybackie strzelby nie były wysokiej klasy.

Kiedyś widziałem bociana, który upolował dużego karpia i nie mógł z nim wzlecieć. Biedak męczył się długo i w końcu musiał zrezygnować ze zdobyczy. Czapla bierze nawet bardzo duże ryby, bo w locie kładzie głowę na barki i ciężar zdobyczy leży prawie w środku ciężkości ptaka, a bocian lata z wyciągniętą szyją do przodu i ciężar dużej ryby, której nie zdoła połknąć przeważa go tak, że nie może utrzymać równowagi w powietrzu.

Na stawach nauczyłem się pływać. Pierwszego lata dla bezpieczeństwa rybacy zrocili mi z grubego sitowia dwa pęczki przewiązane dwoma sznurkami, które wiązali mi pod pachy i tak puszczali mnie na głęboką wodę. Było to coś w rodzaju kamizelki ratunkowej - nie można było znurkować ani tym bardziej utonąć. Po jakimś czasie pływałem już bez tego zupełnie dobrze.

Jak już wspominałem ^{wtedy} od ośmiu lat, od chwili gdy zdobyłem odznakę strzelecką, miałem dubeltówkę i odtąd każdego lata polowałem na stawach. Zwykle brałem kilka naboji do starej ładownicy, którą odziedziczyłem po Dziadku Juliuszu, i jechałem na stawy, gdzie brodziłem całymi godzinami po szuwarach. Znałem te stawy jak własny pokój i wiedziałem gdzie jakie ptactwo lubi żerować. Z każdego polowania przynosiłem jedną, a czasem kilka kaczek. Więcej przyjemności sprawiało mi podchodzenie i podpatrywanie ptactwa niż samo zabijanie, bo gdybym chciał tylko strzelać to można było ubijać ptactwo wodne dosłownie setkami. Wystarczało strzelić raz w górę na postrach, a zrywały się olbrzymie stada, do których można było strzelać bez celowania i zawsze się coś trafiło.

Każdego lata przyjeżdżał przynajmniej raz pan Żółtowski ze swymi krewniakami i przyjaciółmi. Wtedy były organizowane polowania z nagonką, bo panowie ci nie lubili brodzić po zalewach, tylko stawali rozstawieni na groblach, a nagonka wypłacała ptactwo.

Pan Żółtowski pozostawał zwykle dłużej. Był to przemiły starszy pan. Był profesorem filozofii Uniwersytetu Poznańskiego i bardzo bogatym człowiekiem, ale z każdym rozmawiał uprzejmie jak równy z równym.

Bardzo lubił sam wyjechać bryczką w pole. Często mówił mi że bym wziął kucyka z bryczuszką i zabierał się ze mną. Jechaliśmy w pole. Nie pozwalał popędzać kucyka batem i tak truchtem jechaliśmy przed siebie. Zatrzymywał się przy pracujących w polu i lubił z nimi rozmawiać. Znał wszystkich starych pracowników i wypytywał się o ich rodziny i kłopoty. Gdy były żniwa dziewczyny pilnowały takich przejazdów hrabiego i wiązały go starym pbyczajem. Pan Żółtowski wypytywał się ilu jest na polu do wykupu no i płacił tyle złotych ilu było przy żniwie. Lubiał też rozmawiać z pracującymi na przylegających do majątkowych pól, poletkach chłopami. Znał wszystkich starszych gospodarzy i interesował się ich życiem.

Zimą w Bolcienikach zdarzył się na polowaniu wypadek. Po strzale pana Żółtowskiego oddanego do zajęcia, rikuszetująca w bok śrucina skałeczyła chłopca z nagonki w oko. Pan Żółtowski niezwłocznie zawiózł go do Wilna do znanego okulisty. Ten wyjął śrut, ale stwierdził trwałe uszkodzenie oka. Pan Żółtowski nie zrezygnował i niezwłocznie powiózł chorego do Szwajcarii do światowej sławy okulisty, który leczył jakiś czas chore oko lecz też nie przywrócił go do zdrowia. Po powrocie do Bolcienik, pan Żółtowski kazał wydzielić z gruntów majątku 15 ha dobrej ziemi, postawić na niej budynki, zaopatrzyć w inwentarz i to gospodarstwo przekazać poszkodowanemu, przepraszając go raz jeszcze za krzywdę, którą mu wyrządził. Cjciec mój był przy tym, bo załatwiał wszystkie formalności prawne z tym związane. W jakiś czas po tym był pan Żółtowski u nas w Koreliczach. Był tym wypadkiem bardzo zgnębiony i ciągle się gryzł, że ten człowiek cierpiał przez niego. Po tym wypadku zupełnie stracił chęć do pdowania. A w zasadzie nie było w tym nic jego winy. Strzelał ze świetnej broni i twardym, jak wszyscy śrutem. Nikt nie mógł przewidzieć, że śrut odbije się od jakiegoś kamienia i poszybuję w zupełnie innym kierunku.

Latem w 1934 roku woda w rzece została zatruta jakimiś bardzo szkodliwymi bakteriami. Wszędzie dzieci, które wykapały się choć raz lub tylko się zamoczyły w rzece dostawały niekończącego się owrzodzenia. Spotkało to i mnie. Całe nogi i pośladki miałem owrzodzone. Były to wrzody z głęboko siedzącymi twardymi rdzeniami. Doktor Lewicki miał tylko jedną radę - maść ichtiolowa. Wrzody te długo nabierały i cały czas mocno rwały, a po pęknięciu długa wyciekająca gęsta ropa. Rdzeń z jednego takiego wrzodu, który miałem na udzie, miał średnicę ziarna grochu i był zupełnie twardy. Wymęczyły nas wszystkie te wrzody tego lata. A lato było akurat gorące i słoneczne.

Zimą najczęściej rzeczka, po jesiennych deszczach, wylewała na pastwiska miasteczkowe, zwane z tego pewnie powodu Popławami, i zamierzała tak, że od Zakamanki aż do miasteczka i wsi, aż do ludwikowskich stawów ciągnęła się szeroka na kilkaset metrów, nieprzerwana kilkukilometrowa tafła gładkiego lodu. Gdy był wiatr dość silny, mając żyłwy na nogach

wystarczyło rozpiąć kurtkę i trzymać jak żagiel żeby mknąć z dużą szybkością. Ci co nie mieli łyżew, a takich była większość, jeździli na drewnianych łyżwach okutych drutem, tak zwanych w tamtych stronach "końkach". Na końcu Załamanki przy młynie parowym będącym własnością żydowskiej spółki, była chata ubogiego woźnicy. Miał on nóg czy dwa ogrodu i zarabiał jako wozak, ale, że prawie wszyscy Żydzi w miasteczku mieli konie, więc i on nie miał nadmiaru pracy. Miał za to gromadę dzieci. Najstarszy był moim rówieśnikiem i kolegą z klasy. Gdy myśmy jeździli na Popławach na łyżwach z tej chaty wysypywało się boso "towarzystwo" i na piętach ślizgało się razem z nami. Co najdziwniejsze nigdy nie widziałem tych dzieciaków zakatarzonych lub kaszlących, a czasem po kilka godzin byli boso na lodzie.

Osobno muszę wspomnieć o corocznych manewrach wojskowych, które odbywały się zawsze zaraz po żniwach. Pierwsze na dużą skalę manewry wojskowe w okolicy Korelicz odbyły się w 1932 roku. Dużo wojska przechodziło i kwaterowało w majątku, ale z tego roku utkwilo mi w pamięci zakończenie samych manewrów. Na polach pod Szczorsami ustawiono ołtarz polowy i była msza polowa. Kawaleria stojąca w zwartych sztykach zajmowała duży szmat pola przed tym ołtarzem. Ponieważ w tamtych czasach nie było jeszcze w zastosowaniu w takich razach megafonów, więc odwiecznym zwyczajem co pewną odległość stali oficerowie, którzy głośno powtarzali słowa księdza i tak systemem "podaj dalej" wszyscy słyszeli słowa mszy i kazania. Podczas mszy osa użądliła mnie w palec, co było bardzo bolesne i zapamiętałem to do dziś.

Po mszy odbyła się defilada zebranych pułków kawalerii. Przed zbudowaną na ten cel trybuną przechodziły poszczególne pułki z orkiestrami na przodzie i rozwiniętymi sztandarami, w pełnym galopie. W odstępach ~~między~~ pomiędzy szwadronami, na ich przodzie jechali ich dowódcy, a przed jednym szwadronem biegł wielki wilczur dokładnie dotrzymując odstępów.

Było wówczas zebranych bardzo dużo okolicznych mieszkańców, a nawet z odległych okolic przyjechano na tę uroczystość, a było to 15 sierpnia - święto kościelne i państwowe - święto Wojska Polskiego. Uroczystość ta bardzo się udała.

W następnych latach już stale manewry odbywały się w okolicach Korelicz a u nas zawsze było pełno wojska, a w domu oficerów. Od 1936 roku sztab Łowogrodzkiej Brygady Kawalerii z gen. Anderssem przez całe manewry stacjonował w naszym domu. Generał lubił brydża i prawie co wieczór grano do późna. Ponieważ generał nie zawsze był opanowany podczas gry więc wszyscy wyżsi oficerowie sztabowi z reguły nie grali. Kończyło się na tym, że przed wieczorem adiutant wyjeżdżał na kwatery szwadronów i ściągwał jakiegoś młodego porucznika, jak się to mówi "Rogu ducha winnego". Nie raz oglądałem nieczarnie takiego oficera, gdy zdenerwowany generał złościł się i rzucał epitetami jak "idiota", "dureń" itp., a młody oficer podrywał się z "tak

jest" na ustach. Chyba to obrzydziło mi karty na całe życie. Czasem generał zabierał mnie ze sobą samochodem na teren ćwiczeń i na strzelnicę, z czego byłem bardzo wówczas dumny.

Szefem sztabu Nowogródzkiej Brygady Kawalerii był wówczas major Adam Sołtan, bardzo kulturalny i sympatyczny, poważny człowiek. Nie widziałem go nigdy podnoszącego głos, lub niegrzecznie odzywającego do podwładnych, w czym kontrastował z generałem Andersem, który wydaje mi się, że był cholerykiem. Kiedyś major Sołtan opowiadał przy mnie Mamusi o swoim synu. Miał z nim kłopot, bo syn / jego nie chciał się uczyć i nie uzyskał promocji do następnej klasy gimnazjum. Major na początku wakacji pojechał z nim do swego kolegi, który był wówczas dyrektorem fabryki zbrojeniowej o x; specjalnym rygorze - robotnicy byli w niej skoszarowani i panowała dyscyplina wojskowa, a majstrami byli podoficerowie. Major zapowiedział synowi, że jak nie chce się uczyć to musi pracować i oddał go na praktykę do tej fabryki z tym, że poprosił majstra żeby chłopcu nie pobłażał. Gdy pojechał odwiedzić syna pod koniec wakacji, ten oświadczył mu, że teraz z rozumie co to znaczy płaca i obiecał, że będzie się odtąd dobrze uczył. Wrócił więc do gimnazjum i odtąd uczył się celująco.

Najwięcej udziału brałem w ostatnich manewrach latem 1938 roku. Pewnego dnia oddziały "czerwonych" broniły majątku, a "bieli" mieli go zdobywać. Nacierali od zachodu. Wdrapałem się na szczyt obory, oficer dowodzący tym odcinkiem obrony dał mi swoją lornetkę i informowałem go o ruchach przeciwnika. W rezultacie wówczas wygrali "czerwoni" i nawet generał omawiając przebieg ćwiczeń wyróżnił "mojego" dowódcę, podkreślając że . umiejętnie wykorzystają pensje "cywilnej ludności" czyli moją. "Puchłem" z tego powodu z dumy.

Major Billenius, przyjaciel Ojca z czasów wojny bolszewickiej, był w tym roku rozjemcą. Siedział u nas na kwaterze całe manewry. Miał konia - Wichra - gniadego kontera, najszybszego konia z całej Nowogródzkiej Brygady. Ponieważ z racji swej funkcji stale jeździł samochodem więc koń stał bezczynnie. Major pozwolił mi codziennie jeździć na Wichrze, ale asystował mi stale przy tym jego luzak. Ten pilnował żebym nie zmoczył nadmiernie konia, ale wyglądało to tak, że ja bodłem piętami Wichra, on ruszał cwałem, a luzak na zwykłym ukraińskim koniu zostawał odrazu daleko w tyle. A Wicher szedł naprawdę jak wicher. Kowy, płoty i kałuże na drodze dosłownie prze-fruwał bez najmniejszego wysiłku. Przy drodze do Przecieniewicz za Rutycą był rów conajmniej czterometrowej szerokości. Wicher przeskakiwał go tak jakby cwałował po równinie. Zwykle gdy wstrzymałem Wichra, po jakimś czasie luzak dopędzał mnie na spienionym koniu i robił mi wymówki, ale się kończyło tym, że po powrocie przynosiłem mu jabłko ze sedu i rozstawialiśmy się w najlepszej zgodzie. Raz tylko wynikło nieporozumienie. Luzak przygadał sobie dziewczynę i jednego dnia powiedział mi żebym tego dnia

nie jeździł, bo on nie ma czasu, bo umówił się na randkę. Pech chciał, że adiutant generała zapytał mnie dlaczego dziś nie jeżdżę konno, a ja zamiast mu powiedzieć, że nie chce mi się - powiedziałem, że luzak jest zajęty. Gorliwy adiutant zawołał luzaka, zrugął go za nie wykonywanie rozkazu codziennej jazdy i kazał mu natychmiast siodłać konie i jechać. Biedny luzak myślał, że ja się poskarżyłem i nie mógł mi tego darować. Dostał "OPR" i przepadła mu randka.

W poprzednich latach zbudowałem z kolegami armatę na starych kołach od wozu. Strzelaliśmy z niej czym się dało. Jak udało mi się kupić w aptece kalichłorek, strzelaliśmy z jego pomocą. Czasem strzelaliśmy butelkami wypchnionymi nie gaszonym wapnem, w ostatniej chwili zalany wodą, a latem 1938 roku podczas trwania manewrów, załadowałem swoją armatę 100 gramami prochu dymnego, przybiłem to pakietami, podsypałem odłamkami żelaza wziętymi z kuźni i podpaliłem panewkę, czyli otwór od tyłu wypełniony prochem. Stanowisko do strzelania wybrałem w jarze za cukrownią, gdzie przyciągnęliśmy armatę kucem. Koledzy, czyli moje wojsko, stali z boku, a ja strzelałem. Huknęło silnie i nim zdążyłem cofnąć rękę, nabili mnie ją prochem, wbiło w dłoń odłamek szkła, pozostały po strzeleniu butelkami, a drugim rozcięło mi bok. Więcej było strachu jak bólu. Zostawiłem armatę i kucą kolegów, żeby zjechali do domu na podwórku, a sam poszedłem przez pola do domu. Po cichu wzięłem z apteczki jodynę i zalałem nią sobie dłoń i posmarowałem bok. Po tym ochłonawszy już nieco wyszedłem na podwórze. Moi koledzy już tam byli i opowiedzieli o wszystkim. Żołnierze namówili mnie żeby poszedł do doktora, bo trzeba było wyjąć z dłoni odłamek no i porządnie opatryć. Doktorowi Lewickiemu powiedziałem, że upadłem i pokaleczyłem się, ale mi nie uwierzył, bo ręka była naszkikowana prochem. Tróbował mi wyjąć odłamek z dłoni, ale siedział głęboko w mięśniu pod kciukiem, a doktor nie chciał ciąć żeby nie uszkodzić mięśnia. Opatrzył mi więc tylko rękę, zakleił plastrem bok i dał zastrzyk przeciw zakażeniu. Tymczasem w majątku rozeszła się plotka, że mi urwało rękę i żołnierze zanieśli mnie do doktora. "Usłużne" kumoszki pały poleciały z tą wieścią do Mamusi. Zaraz był telefon do doktora, który uspokoił Mamusię. Generał dowiedział się o wypadku i posłał po mnie adiutanta swoim samochodem no i wracałem do domu "w pełni chwały". Na moje szczęście było pełno oficerów i zajęty nimi Tatus nie sprawił mi lania. Na drugi dzień kapitan artylerzysta oglądał moją armatę i orzekł, że dziw, że jej taka ilość prochu nie rozsadzika zupełnie. Z armaty tej strzelaliśmy jeszcze później i nawet latem następnego roku i została tak na stanowisku wycelowana na "wschód". Podobno była tam jeszcze w 1945 roku.

Lubiłem majsterkować i z kolegami ciągle coś budowaliśmy. Niestety Tatus nie rozumiał zupełnie moich potrzeb i byłem skazany na zupełną

samodzielność. Co mogłem podpatrywać w kuźni i stolarni, ale nasze wysiłki stawały się daremne gdy chodziło na przykład o jakieś konstrukcje. I tak jeszcze na dwa lata przed kupnem kajaków zabraliśmy się z kolegami do budowy kajaka; ale nie znaleźliśmy zupełnie zasad budowy. O jakiegokolwiek książce - poradniku nawet nie marzyłem, bo wogóle nie wiedziałem, że takie książki istnieją. Budowaliśmy więc mając tylko obrazki z książek przygodowych przedstawiające stare okręty i łodzie. W rezultacie zbudowaliśmy coś w kształcie łodzi podwodnej z małym otworem od góry, w którym się siedziało. Nasz kajak miał dużą wyporność ale jeszcze większe zdolności wywracać się do góry dnem. Dorobiliśmy mu więc kil, który obciążyliśmy starym żelastwem. Pomogło o tyle, że można było w nim pływać, ale za to miał duże zanurzenie i kilem czepiał o dno na płytszych miejscach.

Tak samo było z budową samolotu. Zbiliśmy z desek i dykty / kiedyś znalazłem w jakiejś książce określenie "sklejka" i nikt nie umiał mi wytłumaczyć co to jest / ~~konstrukcję~~ bardzo masywną, do tego dorobiliśmy podwozie na kołach wyciętych z grubej deski. Skrzydło zrobiliśmy z grubej i szerokiej deski, którą przyciągnął od siebie ze strychu Witek Świerkowski. Naturalnie nasz samolot był taki ciężki, że nie mógł latać, zwłaszcza że nie miał wogóle silnika. Oberwaliśmy więc mu skrzydła i zjeżdżaliśmy na nim w parku alejką z góry, a ponieważ były tam tarasy ze skarpami i różnych spadkach, tworzące rodzaj skoczni narciarskich, więc nasz samolot skakał dość daleko imitując krótki lot.

Latem 1939 roku budowaliśmy duży samolot z listew i żat drewnianych, który chcieliśmy pokryć płótnem i przed wybuchem wojny był już gotowy szkielet, ale naturalnie był też zupełnie niżdatny do lotu.

Wspomnianą wyżej armatę budowałem dość długo. Gdy na Ludwikowo sprowadził się Karnicki, który tam został ekonomem, jego syn, mój rówieśnik dał mi masywną podwójną panewkę odlaną z żeliwa, pochodzącą z jakiejś archaicznej maszyny. Pochodziła ona z Boracina, gdzie poprzednio Karnicki był rzędcą. Tą panewkę młody Karnicki "wkupił się" do naszej gromady i później stale przychodził bawić się do nas. Dość długo starałem się skompletować dwie osie i cztery koła od wozu. Wszystkie to wycyganizłem od kowali i stelnachów nosząc im jabłka ze sadu. W każdym razie po skończeniu nasza armata miała wygląd podobny do armat z wojen w 17-tym wieku. Do jaszczki zaprzęgaliliśmy kuca i mieliśmy w swoim wojsku artylerię.

Z Boluńcem przez dłuższy czas budowaliśmy na dużym kawałku dykty torę, stacje, mosty i przeróżne rozjazdy dla kolejki, którą dostaliśmy na Gwiaździ, i która jeździła po kołowych szynach metalowych. Boluńcio dostał od Łatki podobną i obie uruchamialiśmy na naszej budowie. Szyny robiliśmy z drewnianych listewek, a największą trudnością sprawiały nam rozjazdy.

Był w dole wśród pola w pobliżu traktu stawek, który kiedyś wykopano

dla odbioru wody deszczowej z najniższych pól. Za mojej pamięci Ojciec kazał wykopać od niego rów prowadzący przez Załamankę i dalej przez Popławy, czyli zalewne łąki po granicy gruntów majątkowych aż do rzeczki poza wsią. Rów ten odbierał nadmiar wody ze stawku, zwłaszcza wiosną i jesienią. Ponieważ wody spływające z pól były bogate w związki pokarmowe, stawek ów zarastał bujnymi szuwarami, a woda w nim była dosłownie gęsta od planktonu i większych stworzeń wodnych. Wzięliśmy ten stawek w swoje władanie. Nowiśmy w rzeczce ryby i wpuszczaliśmy do stawku, budowaliśmy ze szczepin tratwy, na których po nim pływaliśmy, wykaszaliśmy szuwary, a nawet a wylotu rowu zbudowaliśmy tamę spiętrzającą wodę w stawku. Tylko kąpać się w nim nie można było, bo roziło się w nim od pijawek. Czasem robiliśmy zawody, waadzaliśmy do wody nogi i wygrywał ten który złapał więcej pijawek.

Ponieważ w czasie pierwszej wojny przez blisko dwa lata stał front na Serweczy, więc na polach wokół Koralicz pełno było betonowych bunkrów, zwanych tam blindażami. Jeszcze za mojej pamięci na polu pod Ludwikowem przed stawami rybnymi rozbierano nasieki z drutu kolczastego i zasypywano okopy i rowy dobiegowe. Blindażę były pod opieką wojska, a wejścia do nich w większości były zasypane ziemią, ale nie wszystkie, bo w części ich woda deszczowa wypłókała wejścia. Z tych niezasypanych blindażę korzystali dywersanci i agitatorzy przysyłani z sowietów. Kilkakrotnie na polach majątku w blindażach znajdowano paczki ulotek bolszewickich nawołujących do sabotażu i bojkotu zarządzeń władz polskich. Do jakiej demagogii, uciekali się ich autorzy może świadczyć treść jednej z nich, w której głoszono, że z chwilą przyjscia na te tereny "sowieckiej władzy" czyli władzy, ziemię pańską rozdadzą chłopom i nie będzie żadnych podatków ani innych powinności, a chłopci będą się sami rządzić. Polacy byli w tych ulotkach przedstawiani jako odwieczni krwiopijcy i wyzyskiwacze. Nawoływano do bojkotu szkół, niedopuszczania do budowy dróg, do komasacji gruntów itp.

Sam nie wolno było chodzić do blindażę, ale pewnie to właśnie nas podniecało i nieraz zwiedzaliśmy takie lochy. Ila szczęście nigdy nie spotkałiśmy w nich nieproszonych gości z zagranicy, bo mogło to się tragicznie skończyć, gdyż oni wiedząc o karach, dla nich w razie schwytania, nie wybierali w środkach. Jeszcze w pierwszych latach trzydziestolecia często znajdowano zwłoki pojedynczych policjantów, czy osadników wojskowych powieszane lub utopione z kamieniem u szyi. Pod koniec lat trzydziestych zanikło to zupełnie, gdyż jak wspominałem wcześniej nie stało sowietom chętnych na dywersję w Polsce. Naturalnie jak zwykle w wypadkach ostrej walki, było sporo wypadków policyjnych pomyłek. Policja rekrutowała się w większości z Poznaniaków i Pomorzaków i nie rozumiała stosunków miejscowych i często ludzi hardych, mówiących po chłopsku czyli z białoruska, uważała za podejrzanych. Tak było dla przykładu z Kasią Straszkową,

którą uważali za komunistkę. Ostrzegali Ojca żeby na nią uważał, a najlepiej zwolnić z pracy, a po wejściu bolszewików okazało się, że ta dziewczyna najzawzięciej nas broniała. Robiła też policja bardzo złą robotę, gdy masowo aresztowała młodzież białoruską, u której znaleziono ulotki sowieckie, a agitatorzy lub płatni kolporterzy, rekrutujący się najczęściej z pośród Żydów, unikali odpowiedzialności. Złapaną tak młodzież nieraz brutalnie traktowano we wstępnym śledztwie, co dopiero źle ją ustosunkowywało do władz polskich, a szło na młyn bolszewikom.

Jak wspomniałem, w Koreliczach nie było kościoła, a parafia mieściła się w Miechniewiczach odległych od Korelicz o 15 km. Co prawda ksiądz z Miechniewicz przyjeżdżał każdej niedzieli i odprawiał mszę św. w szkole, ale była to prowizorka i ciasnota. Za staraniem mego Ojca, państwo Żółtownicy dali pod budowę kościoła plac na wzgórzu przy parku i w większości finansowali budowę. Rozpoczęto budowę wiosną 1936 roku. Cały czas wolną przesiadziałem na niej. Zaprzyjaźniłem się z murarzami. Bała to grupa z Iwieńca - wszyscy katolicy i Polacy. Chodzili w maciejówkach. Co roku wychodzili na budowy w rozległym terenie, a zimą siedzieli w rodzinnym mieszkaniu i zajmowali się wypalaniem garnków. Tego roku ta grupa przez lato pobudowała nasz kościół. Dach był kryty gontami, a tylko wieża blachą. Część konstrukcji dachowej była z drewna ofiarowanego przez pana Tukalkę, ówczesnego właściciela Boracina. Ofiarował on dwa kłose sosnowe o średnicy około jednego metra każdy. Takich sosen nie widziałem później nigdzie. Na wieży zawieszono dzwon ufundowany przez moich Rodziców z napisem, że jest ofiarą Wisi i Stasia Scibor-Larchockich. Były ofiary duże i drobne. Jakaś osadniczka podarowała prawdziwy perski dywan, stary ale w zupełnie dobrym stanie. Położono go na stopniach ołtarza. Pan Rościszewski ofiarował wieczną lampkę przed ołtarz i srebrne dzwonki mszalne. Jesienią 1936 roku ksiądz Dziekan Dalecki z Nowogródka wyświęcił nasz kościół i odprawił pierwszą mszę św. Wiosną 1937 roku ks. biskup piński Bukraba konsekrował urocząście Kościół. Zjechało wówczas moc księży i okolicznych obywateli. Był tłum osadników wojskowych i wogóle ludności katolickiej, a nawet bardzo dużo ludności prawosławnej. Naturalnie byli Państwo Żółtownicy. Powitanie ks. Biskupa odbyło się przy bramie triumfalnej, wystawionej na ten cel na ulicy przed budynkiem gminy. Były tłumy ludzi z wójtem, proboszczem, prawosławnym popem i rabinem. Kościół Mamusia przybrała zielenią i kwiatami, ale w ostatniej prawie chwili pani Żółtownska orzekła, że to tak prostacko wygląda brzezina i posłała samochód do Nowogródka i wykupiła wszystkie kwiaty jakie dostała i kazała je postawić wokół ołtarza. Stały więc wielkie snopy przeróżnych kwiatów w wiadrach i wcale lepiej to nie wyglądało.

Po uroczystym konsekrowaniu kościoła i mszy św. był u nas obiad dla Biskupa i asysty oraz znamienitszych gości, a po nim ks. Biskup ze świtą

pojechał do Miechniewicz, gdzie udzielił bieżmowania. Ja też wówczas byłem bieżmowany, a ojcem od bieżmowania był mi pan Rościszewski.

Po zakończeniu uroczystości starsi zostali zaproszeni przez proboszcza na przyjęcie na plebanii i pozostali, a myśny sami wracali do domu. Z nami jechali Dania, Zbyszek i Gustaw Graccy i Hania i Janusz Lewiccy. Zaprosiliśmy ich wszystkich do nas do domu. Były akurat w domu poziomki i urządziliśmy sobie nasze przyjęcie. —

Początkowo po wyświęceniu naszego kościoła przyjeżdżał w niedziele i święta proboszcz z Miechniewicz i odprawiał mszę św. Natomiast nabożeństwo majowe i czerwcowe prowadziła Mamusia albo pan Rościszewski. Pamiętam, że gdy kiedyś Rodzice pojechali do Nowogródka i długo nie wracali, strasznie chciałem sam prowadzić nabożeństwo majowe, ale pan Rościszewski powiedział mi, że jestem do tego za młody i sam prowadził.

Po jakimś czasie państwo Żółtowscy sprowadzili księdza Pączka wraz z dwoma braciškami ze zgrómadzenia ks. Pallotynów. Początkowo mieszkali u nas i stołowali się też u nas, a po wyszykowaniu na cele plebanii pomieszczeń zajmowanych poprzednio przez posterunek policji w budynku administracyjnym po cukrowni, za młynem Benina, przenieśli się na swoje gospodarstwo. Ksiądz Pączek był wówczas zupełnie młodym księdzem, miał motocykl i lubił nim jeździć. W wolnych chwilach zajęty był jakimis̄ społeczno-politycznymi sprawami i ciągle się spieszył. Często w ostatniej chwili zajeżdżał przed kościół, zostawiał przed kościołem swój motocykl, wchodził szybkim krokiem głównym wejściem do kościoła, już w drodze rozpinając kombinezon tak, że w drzwiach zakrystii już się rozbierał, szybko nakładał szaty liturgiczne i wychodził ze mszą św. Rodzice moi kilkakrotnie zwracali mu uwagę, że to nie wypada, ale nic to nie pomagało.

Jak już wspomniałem szóstą klasę zacząłem w Nowogródku u Kazaretanek i mieszkałem na stacji u państwa Wadasów, a po półroczu powróciłem do szkoły w Koreliczach, a Wisia drugą klasę gimnazjum przechodziła w Kielecach, mieszkając u wujka Dzierżyka, który tam wówczas miał posesję w oddziale monopola tytoniowego i mieszkał z Babcią. Wczesną wiosną Wisia zachorowała obłożnie i straciła trzy miesiące nauki. Wróciła wcześniej do domu i Rodzice przyjęli pannę Helenę Pelczarską dla nauki Wisi. Panna Helena była młodą dziewczyną, poprzedniego roku ukończyła seminarium nauczycielskie i dotąd nie miała posesy. Pochodziła z Krakowskiego i zgłosiła się na ogłoszenie dane przez moich Rodziców. Mosiła duże okulary — Ojciec posądzał, że w celii poważniejszego wyglądu, bo wyglądała bardzo młodo. Była nauczycielką z zamiłowania i bardzo szybko polubiliśmy ją bardzo. Uczyła Wisię całe lato, a jesienią Wisia zdała do trzeciej klasy do gimnazjum siostr: Sióstr Kazaretanek w Wilnie. Latem zabieraliśmy pannę Helenę na wycieczki do lasu i nad stawy. Gdzieś pod koniec lata była narada nauczycieli z okolicznych szkół zorganizowana w szkole w Adampolu. Ponieważ panna Helena ka-

bardzo chciała być na tej naradzie, więc zawiozłem ją tam kucem. Wróciła z nauczycielami z Korelicz bardzo zadowolona, bo dostała propozycję objęcia szkoły 4-o klasowej w Rutkiewiczach od najbliższej jesieni, na co naturalnie wyraziła zgodę. Na kilka dni przed początkiem roku szkolnego wyprowadziła się od nas do Rutkiewicz, gdzie dostała izbę w chłopskiej chacie. Odwiedzała nas czasem i była bardzo zadowolona z pracy. Po wkroczeniu bolszewików podzieliła los większości innych nauczycielek polskich - wyrzucili ją z pracy i mieszkania i poszła na tułaczkę. Więcej jej nie spotkałem i nie wiem co się z nią stało.

W 1937 roku latem miałem męczący i bardzo wyraźny sen. Śniło mi się bardzo wyraźnie, że od wschodu przez nasz park jechali na koniach bez siodeł bolszewicy tak jak ich opisywali z dwudziestego roku. Dziko rycze-
li "urra" i trzymali w rękach długie łańcuchy kajdany, którymi dzwonili. Ten dźwięk śnił mi się tak wyraźnie, że słyszałem go jeszcze chwilę po przebudzeniu. Zbudziłem się zlany potem i trzęsący się ze strachu. Był środek nocy. Poszedłem do sypialni Rodziców i zbudziłem ich, ale nie umia-
łem wytłumaczyć swego strachu i Tatusz kazał mi iść spać i nie zawracać głowy po nocy. Wróciłem do łóżka, ale nie usnąłem do rana, tylko kulikiem się pod kołdrą, ciągle odczuwając przejmujący strach. A w dwa lata po tym rzeczywiście bolszewicy przynieśli nam kajdany na długie lata.

Moim wielkim przyjacielem w Koreliczach był młody mechanik z młyna u Benina - Janek. Był mechanikiem obsługującym maszynę parową we młynie, a po założeniu przez Benina elektrycznego oświetlenia w miasteczku, także agregatów prądotwórczych. Był dobrym fachowcem i po trosze "omnibusem", do wszystkiego się brał i wszystko mu wychodziło. Naprawiał strzelby, radia, motocykle i instalacje elektryczne. Uczył mnie zasad elektrotechniki i ślusarstwa. Posiłem mu jabłka ze sadu, które lubił i zarządzałem go przeróżnymi sprawami. Gdy Tatusz kupił, za namową wuja Stasia Szydelskiego, stary samochód marki Renault, model z końca pierwszej wojny, kiedyś gdy Michałko mył go przed szczytem stajni, gdzie był wydzielony garaż, nacisnąłem starter nie wiedząc, że bez kluczyka jest to nie dozwolone i spaliłem magneto. Akurat Tatusz chciał gdzieś jechać i byłem w strachu, że dostanę lamie. Popędziłem do Janka. Ten przyszedł i prowizorycznie naprawił, tak że Tatusz mógł jechać, a po powrocie przewinął cewki i naprawił gruntownie, no i uratował moją skórę. Nieraz też naprawiał mi moją dubeltówkę, dorabiał do niej iglice i naprawiał kurki.

Samochód Ojca był od początku pechowy dla mnie. Kupił go Tatusz w początku 1937 roku, gdy wracaliśmy po Świętach z Pucu. Była to ostatnia nasza Gwiazdka w Pucu. Zatrzymaliśmy się jak zwykle w Warszawie u wujostwa Szydelskich i dalej już pojechaliśmy naszym samochodem. Był to model od-
kryty, zaopatrzony w brezentową budę nie bardzo szczelną. Z tylnego sied-
nia miał drzwieczki tylko na prawą stronę, no i te drzwieczki niebardzo

pewnie się zamykały. Jechaliśmy z Nisią na tylnym siedzeniu, ubrani ciepło i obstawieni walizkami i innymi paczkami, bo samochód ten nie miał bagażnika. Jechaliśmy na Białystok, Wołkowysk, Szonim, Nowojelnię do Nowogródka. Po drodze scierpły mi nogi i dla wygody przestawiłem neseser Tatusia pod drzwiczki. Przed Białymstokiem, koło jakiegoś młyna były wyboje, w które Tatus wjechał nie hamując. Samochód mocno podrzuciło i otwarły się nieszcześnie drzwiczki. Zatrzasnąłem je na powrót i ujechaliśmy do śródmieścia Białegostoku, gdzie mieliśmy nocować w hotelu. Przy wysiadaniu okazało się, że wypadł neseser no i była to moja wina, bo go przestawiłem, a strata była ogromna, bo w nim poręcz przyborów miał Tatus 500 złotych gotówki, a były to wówczas bardzo duże pieniądze. W Nowogródzkim bardzo dobra krowa nie kosztowała 100 złotych. Po zauważeniu zguby zaraz Tatus zawrócił, ale naturalnie nic nie znalazł. Zgłosił zgubę na policji. Po dłuższym czasie przysłali pocztą neseser, ale naturalnie bez pieniędzy.

Po przenocowaniu w hotelu pojechaliśmy dalej. Wtedy widziałem naocznie różnice klimatyczne Polski. Pod Warszawą Chłopi orali. Koło Białegostoku była gruda i leżały płaty śniegu. Od Nowojelni do Nowogródka szosa była mocno zasnieżona, ale zasy były rozkopane i droga była przejezdna. A z Nowogródka wyjechaliśmy tylko za sądy i utknęliśmy w zaspach, z których wyciągnął nas koniem przejeżdżający akurat sankami dorożkarz nowogródzki. Locowaliśmy w hotelu, a nazajutrz przyjechał Michałko sankami po nas, a samochód stał w garażu hotelowym do wiosny.

W początku lat trzydziestych wuj Witold Hulewicz, stryjeczny brat Mamusi przeniósł się do Wilna i pracował w Wileńskiej Rozgłośni Radiowej. Po jakimś czasie kupił sobie motocykl z przyczepą i przyjechał nim latem do nas. Był to pierwszy tego typu motocykl oglądany z bliska przeze mnie i bardzo mi się podobał, a zwłaszcza jazda nim, gdy w pędzie powietrze omiatało mi twarz. Później kilkakrotnie odwiedzał nas wuj Witold z Jagienką, swoją jedynaczką, starszą od nas o kilka lat. Krótco przed wojną wuj przeniósł się do Warszawy.

W najbliższej okolicy Korelicz mieszkali państwo Łazowscy. Jak już wspominałem, początkowo dzierżawili Przecmeniewiczze, a później do wojny Rutkiewiczze. Była to rodzina, a właściwie rodzeństwo oddawna osiadłe w tych stronach. Pan Erazm - stary kawaler, potężnej budowy mężczyzna, mocno tegi, bardzo wesoły i towarzyski. Lubił popić ale zawsze w towarzystwie. Gdy przyjeżdżał linijką do miasteczka i zachodził do karczmy, na widok jego konia karego i linijki, schodzili się do karczmy wszyscy lubiący popijać, bo pan Łazowski wszystkim znajomym fundował i wtedy najlepiej się bawił. A głowę miał mocną. W towarzystwie swoich kompanów z karczmy chyba czuł się najlepiej, bo w t. zw. lepszym towarzystwie nieraz trafiało się mu zachować nieostosownie gdy sobie podchmieleł. Kiedyś na przyjęciu u państwa Dulembów mocno podchocony rzucał w panie przy stole paczkami. Innym

razem u siebie w domu w Rutkiewiczach na przyjęciu imieninowym podochocor ny otwierał kolejno butelki z domowym kwasem owocowym, który strzelał w sufit fontanną. W rezultacie pokój jadalny był cały zalany kwasem. Ale był to bardzo dobry człowiek i lubili go wszyscy.

Panna Tosia Łazowska - najstarsza siostra pana Ercia - starszawa mocno panna, lubiła jeździć konno, a w domu z zamknięciem kładła kabałę.

Pani Maria Żoźnierkiewiczowa - wdowa, której mąż zmarł z zarazy w sowieckim obozie na Ukrainie podczas wojny w 1920 roku, gdzie oboje byli więzieni, zajmowała się domem, a była świetną gospodynią. Ona też wyręczała brata w gospodarstwie, gdy nie było go w domu.

Panna Hania Łazowska - najmłodsza z rodzeństwa, pracowała w Nowogródku w dyrekcji gimnazjum i tylko latem bywała u rodzeństwa, a mieszkała stale w Nowogródku, w dużym domu państwa Łazowskich, położonym w dużym ogrodzie przy ulicy Piłsudskiego. ~~xy~~

Żyła jeszcze przed wojną ciotka państwa Łazowskich, mocno leciwa starsza pani, która umarła tuż przed wojną.

Drugim bliskim sąsiedztwem Korelicz był Boracin państwa Tukałków. Pan Tukałko pochodził z bardzo bogatej rodziny w Witebszczyzny. Mieli tam olbrzymie dobra, które naturalnie po rewolucji im przepadły, ale wywieźli z tamąd duży majątek ruchomy i sporo gotowizny, za którą pan Tukałko kupił od państwa Łozińskich Boracin - wówczas piękny majątek z dobrą glebą, pięknymi lasami, stawami rybnymi i gorzelnią. Rodzina Łozińskich kończyła się wówczas na księdzu dziekanie nowogródzkim, a późniejszym biskupie pińskim i profesorze gimnazjum w Nowogródku, a wcześniej dyrektorze tajnego nauczania polskiego w tamym terenie z czasów zaborów. Obaj nie mieli najmniejszej chęci do gospodarstwa rolnego i z tego powodu sprzedali Boracin. Pan Tukałko lubił karty i hulaszce życie i zadłużył tak Boracin, że długi pierwszej ręki przewyższały jego wartość. Dopomogli mu w braniu nadmiaru pożyczek jego krewniak, a ówczesny starosta nowogródzki pan Sielawo i drugi krewniak, który był członkiem zarządu wileńskiego Banku Ziemskiego. Z tego powodu nie licytowano Boracina, a komornik nie miał co zajmować, gdyż pan Tukałko prowadził oryginalną gospodarkę - budynki gospodarskie nie mogły sponać, gdyż stały bez dachów, inwentarza żywego prawie nie było, stawy rybne najczęściej były puste, gorzelnia w kompletnej ruinie, a pracownicy stale nie opłacani - żyli z tego co ukradli. Zboże sprzedawał na piu, las też mocno przetrzebił i dalej jak mógł to hulał. Znany był w okolicy jego sposób na komorników - miał podobno olbrzymią rupieżę i gdy zjawiał się komornik, pan Tukałko rozbiierał się do naga i wyskakiwał na delikwenta udając wariata. Podobno żaden komornik nie wytrzymał i czym prędzej odjeżdżał, a życie w Boracinie toczyło się dalej po staremu. Byłem kiedyś z Rodzicami w Boracinie i gdy starsi siedzieli w domu i rozmawiali, ja obszedłem całe podwórze i ogród. Był tam jeszcze piękny stary park, ale całkiem zapuszczony, a budynki przedstawiały

opłakany wygląd. Stodoła to były tylko murowane słupy bez ścian i dachu, obora i stajnia posiadały jedynie solidnie kiedyś murowane ściany, bo nawet w nich nie było wrót, a gorzelnia wyglądała jakby dawno została spalona i nikt potem jej nie ruszał. Jedynie sam dwór i oficyny były jeszcze w dobrym stanie. Naturalnie żadnych płotów nie było widać, a każdy chodził gdzie chciał.

Starosta nowogródzki pan Sielawo był rzadkim oryginałem - potężnej budowy, a przy tym bardzo otyły, ważył ponoć 260 kg. Z powodu tuszy sam nie mógł wejść na schody, jeździł odkrytym sześciopersonowym Fordem, z którego wywymontowano środkowe siedzenia i który całkowicie wypełniał pan starosta. Kiedyś w jakiejś sprawie bawił pan starosta w Koreliczach u mego Ojca w kancelarii, a ponieważ była to pora obiadowa, więc Mamusia poprosiła go do nas na obiad. Pomiędzy kancelarią, a pokojem jadalnym był mały korytarzyk do którego prowadziły dwuskrzydłowe drzwi. Były one tak szerokie, że normalnie używano tylko jedno skrzydło, a drugie stale było zamknięte na zasuwę. Natomiast pan Sielawo dosłownie utknął we drzwiach. Po obu stronach "wylewała się" część potężnego brzucha, a pan starosta sapał z wysiłku i tkwił we drzwiach. Trwało to zaledwie chwilę ale dusił się ze śmiechu. Tatusz zorientował się w sytuacji, odsunął zasuwę drugiej połowy drzwi i popchnął je, a pan starosta "wylał" się do jadalnego pokoju. Apetyt miał świetny i podobno po pracy w domu ciągle coś pił wedlug starych książek kucharskich i zjadał te specjalne. Opowiadano kż o nim, że kiedyś gdy przechodził korytarzem starostwa, upadła mu teczka. Gdy się cofnął widział ją, lecz gdy podszedł do niej, brzuch mu ją zaskaniał i nie pozwalał podnieść. W końcu któryś z interesantów podniósł mu ją, za co dał mu starosta dziesięć złotych i jak mógł najszybciej odszedł. Gdy wchodził na schody to jego kierowca popychał go z tyłu z całej siły, bo sam nie mógł się udźwignąć na stopnie. Doróżkarze gdy go widzieli idącego pieszo, uciekali w popłochu, bo podobno resory w doróżkach wysiadały. Krótco przed wojną przeszedł pan Sielawo na emeryturę, a gdy wchodziłi bolszewicy podobno podciął sobie żyły z obawy przed znęcaniem się ich nad nim.

Do kolei szerektorowej jeździliśmy z Korelicz albo do Nowojelni, położonej ponad 20 km od Nowogródka, albo do Horodzieja, leżącego niedaleko Nieświeża. Odległość była prawie taka sama, a z Horodzieja jechało się do Warszawy pociągiem pośpiesznym t. zw. międzynarodowym, który miał połączenie z Chin przez Moskwę do Stołpc, a od Stołpc szedł bezpośrednio przez Warszawę, Berlin, Paryż i Wiedrę do Lizbony. Gdy jeździliśmy jeszcze do Puca na Święta, zwykle jechaliśmy tym pociągiem. Kiedyś w naszym przedziale jechali państwo Karpowiczowie z dziećmi. Po pewnym czasie pan Karpowicz wychodził na korytarz z małym wówczas Mariuszkiem. Chłopczyk wychodząc wyciągnął rączkę do tyłu i nie zauważywszy tego pan Karpowicz przytrzasnął go drzwiami palce. Był straszny płacz. Po wojnie poznałem już dorosłego Mariusza, który został naukowcem - profesorem historii sztuki.

Któregoś razu w naszym przedziale jechali Niemcy wracający z Chin. Po wejściu konduktora Niemka zapytała go po niemiecku o coś, na co konduktor płynnie mówiąc po niemiecku uprzejmie jej udzielił informacji. Po jego wyjściu Manusia usłyszała jak Niemcy między sobą mówili, że od Stołpc widać, że wjechało się do Europy. Dowiedziałem się później, że konduktorzy na tej linii obsługujący ten pociąg musieli znać dobrze cztery języki - angielski, niemiecki, francuski i hiszpański. W pociągu tym kelnerzy na zamówienie roznosili do przedziałów napoje i posiłki z karty, a kto chciał, mógł wypożyczyć za małą odpłatnością słuchawki, które włączało się do sieci nadającej program radia warszawskiego.

Z Marzanią Korelicz do Horodzieja prowadził szeroki piaszczysty trakt. Jechało się na Turzec i Mir. W Mirze nad stawem stoi zamek warowny zbudowany tam jeszcze w czasach księcia Witolda. Właścicielem tego zamku i przyległego majątku był stary książę Mirski, stary kawaler. Liał on doskonałe manię szukania spadkobierców. Był prawosławnym i podstawowym warunkiem jego było to żeby kandydat był także prawosławnym. Zubożałych książąt Mirskich można było na Kresach spotkać, ale część z nich było katolikami, więc oni odpadali. Kiedyś znalazł niejakiego Bazylego księcia Mirskiego, ale ten okazał się nieciekawym typem i po jakiejś awanturze przez niego spowodowanej, stary książę wygnął go z Mira. Przed wojną znalazł wreszcie godnych spadkobierców - młode jeszcze małżeństwo, podobno bardzo porządnych ludzi. Niestety krótko cieszyli się oni Mirem. O starym księciu opowiadano moc anegdot. Między innymi miał zwyczaj chodzić pieszo na dalekie spacery. Gdy na takim spacerze spotkał kobietę wiejską niosącą na targ jajka, pytał ją ile ich ma, a gdy powiedziała mu ile, kazał jej założyć ręce na piersi i układał na nie jajka sprawdzając ich liczbę, po czym odchodził nie troszcząc się co będzie dalej. Naturalnie kobieta taka starała się jak najmniej jajek potłuc, a następnie zgłaszała się do zamku, gdzie książę płacił jej za wszystkie jajka, nie dochodząc ile ich stłukła. Poza takimi zabawami, stary książę żył bardzo skromnie. Ziemię miał piaszczyste i największy dochód miał z fermy lisów srebrnych, a wszystkie uzyskiwane dochody przeznaczal na odbudowę zamku. Odrestaurował jedną basztę i jeden króźganek i tam mieszkał i aż do wojny ciągle coś remontował. Stary książę Mirski dawno nie żyje, a zamek w Mirze stoi nadal świadcząc, że nie zawsze te ziemie były rosyjskie, że istniało przed wiekami potężne państwo Litewskie i potężna Rzeczypospolita.

Liedaleko od Korelicz leżały Sienieżyce państwa Balińskich. Był to ultra katolicki dom. Bywało tam stale moc księży no i naturalnie mówiko się o sprawach kościoła. Państwo Balińscy mieli dwójkę małych wówczas dzieci. Kiedyś któryś z księży zapytał chłopczyka czy wie ile jest Osób Boskich - on bez namysłu powiedział, że cztery i wymienił: Bóg Ojciec, Syn Boży, Duch Święty i Bókraba. Miał ciągle słyszał nazwisko naszego biskupa i skojarzył je sobie z Bogiem.

Latem w 1937 i 38 roku Tatusz jeździł i zabierał mnie ze sobą do Żukowszczyzny leżącej za Zdzieńciołem. Gospodarzył tam kolega mego Ojca ze studiów - pan Skoryna. Majątek kiedyś należał do starej polskiej rodziny, której po powstaniu styczniowym został skonfiskowany przez władze carskie. W końcu ubiegłego wieku posiadał ten majątek jakiś carski generał. Pani Skorynina była w pierwszym małżeństwie jego żoną i z tego małżeństwa miała dwoje dzieci. Syn kończył gimnazjum w Chyrowie i był wówczas już dorastającym młodym człowiekiem, a córka była rok czy dwa starsza od Wisi i była bardzo sympatyczną dziewczyną. Dom, a właściwie pałac w Żukowszczyźnie był prawdziwym muzeum. W dwudziestym roku jako pierwszy wkroczył do Żukowszczyzny komisarz bolszewicki, były ordynans generała. Ten miał widocznie dobre wspomnienia o tej służbie, bo zabronił cokolwiek rabować i niszczyć we dworze, a że stacjonował tam do przyścia na powrót wojsk polskich, więc nic nie uległo zniszczeniu. Był to chyba jedyny dwór w Kowogrodzkiem zupełnie nie zniszczony przez wojnę. Była tam śliczna i wielka biblioteka, piękne i cenne obrazy zupełnie zakrywające ściany, drogocenne stare meble. Wszystko zbierane pieczołowicie przez pokolenia znawców i miłośników piękna. Polska rodzina zbierała, a generał widać był kulturalnym człowiekiem i zachował wszystko nie zniszczone.

Panowie, bo przyjeżdżali również doktor i magister - aptekarz ze Zdzieńcioła, grali w karty, a ja buszowałem po bibliotece. Lala z guwernantką francuską pokazały mi park i ogród i mogłem tam chodzić gdzie chciałem, ale wolałem przeglądać pięknie ilustrowane książki w bibliotece.

W 1938 roku pojechaliśmy z Rodzicami samochodem do Wereskowa do państwa Brochockich. Pan Brochocki był, według opinii mego Ojca, bardzo dobrym gospodarzem i był sympatycznym człowiekiem. Państwo Brohoccy mieli dwie nieco starsze od Wisi córki, uczące się angielskiego i jeżdżące konno, syna kilka lat młodszego ode mnie i małą córeczkę. Dwór w Wereskowie był w zasadzie żadnym pałacem z kolumnadą po środku frontonu, jedynie zabezpieczono go to, że nie był oddzielony żadnym gazonem od podwórza. Zaproprowano Wisi i mnie przejażdżkę konną z pannami. Chłopiec nie lubił podobno konnej jazdy, a interesował się jedynie samochodami. Panny miały śliczne wierzchowce, a nam przyprowadzili osiodłane konie robocze, gorzej wyglądające od koni w Koraliczach. Nie mogłem na patrzeć się na wierzchowce pania. Bardzo chciałem spróbować na nich jazdy. Początkowo nie chciałem nawet wsiadać na podanego mi konia, ale w końcu pojechaliśmy. Panny jechały stopa i od niechcenia rozmawiały z Wisią, a ja nudziłem się bardzo. Przejeżdżaliśmy przez las gdzie były powalone drzewa, które panny starannie omijały. Nie wytrzymałem i poprosiłem młodszą żeby mi dała swego wierzchowca, żebym mógł poskakać. Przesiedliśmy się i koń naprawdę był wspaniały - przeprywał dosłownie nad przeszkodami. W powrotnej drodze jechałem już na tym wierzchowcu i wpadłem na nim galopen

przed pałac, gdzie siedziało na ganku całe towarzystwo. Pani Brochocka uznała, że się źle zachowywałem i nawet pogroziła mi palcem, ale co użyłem jazdy do użytku. Krótco po naszym powrocie przyjechał policjant z wiadomością, że na Ludwikowie pali się obora. Pożegnaliśmy się więc i zaraz pojechali do domu.

Na Ludwikowie Ojciec pobudował dużą drewnianą oborę, w której stały latem krowy dojne z Korelicz, a młodzież cały rok. W Koreliczach nie było bowiem zupełnie naturalnych pastwisk, a na Ludwikowie poza stawami rybnymi były same łąki i pastwiska. Obora spłonęła całkowicie, bo wówczas była susza i upały. Na szczęście całe bydło było wtedy na pastwisku. Zaraz tego lata została zbudowana nowa obora, tym razem murowana z pustaków. Po jakimś czasie państwo tam wróciło do normy.

W niedługim czasie państwo Brochoccy rewizytowali. Pamiętam, że pani Brochocka ciągle rozmawiała z Mamusią po francusku. Była, zdaje mi się bardzo "wysoko noszącą się" osobą i w odróżnieniu od męża mało sympatyczną. Na tym wizyty skończyły się.

Kilkakrotnie jeździliśmy z Rodzicami do Rajcy i nad Świtez. Rajca była niegdyś pięknym majątkiem. W końcu 18-go czy na początku 19-go wieku któryś z właścicieli założył przy dworze piękny i rozległy park. Były tam bardzo rzadkie okazy drzew i krzewów i duże szklarnie, zwane tam oranżeriami. Były one pełne egzotycznych roślin kwiatowych i ozdobnych. Rajca od dawna należała do rodziny Żółtowskich. Stryj pana Żółtowskiego zginął podczas najazdu bolszewickiego broniąc stada i pochowany był w parku. Po tamtej wojnie Rajca została znacznie rozparcelowana. Zostały lasy, młyn wodny i ośrodek kilkudziesięciu hektarowy z parkiem i dużym sadem. Ośrodek ten państwo Żółtowscy podarowali księżom Pallotyńom. Księża założyli tam swój dom. Sami przebudowali dwór, dostosowując go do potrzeb Zgromadzenia. Ksiądz Majewski - przełożony Zgromadzenia Pallotyńów w Polsce, był częstym gościem u nas w Koreliczach, gdyż Ojciec mój załatwiał księżom różne sprawy majątkowe. Po jakimś czasie księża sprowadzili dwie siostry Pallotyńki z Ławarii, z zastrzeżeniem, że nowicjat ma być wyłącznie polski i przekazali im Rajcę. Był to wówczas pierwszy dom zgromadzenia sióstr Pallotynek w Polsce. Prowadziły one pracę misyjną w terenie, opiekowały się sierotami, prowadziły szkołę jakby się teraz nazwało praktycznej gospodyni dla dziewcząt wiejskich z okolicy. Uczyły w niej m.in. szycia, gotowania i t.p. praktycznych rzeczy. Siostry rozdały okazy roślin egzotycznych i hodowały w szklarniach warzywa. Mamusia dostała od nich dwie wielkie agawy i dracnę ponad dwumetrowej wysokości. Siostry też były częstymi gośćmi w Koreliczach, bo Ojciec nadal załatwiał im różne sprawy majątkowe.

Młyn w Rajcy początkowo dzierżawił Żyd za pięćset złotych rocznie. Ojciec odebrał mu młyn, kazał go wyremontować i postawił w nim samodziel- nego młynarza.

Była tam też tak zwana walusznia czyli folusz, gdzie wyrabiano filce, zwane na Kresach walonkami. Młyn był bardzo oryginalny, bo wszystko od koła wodnego, poprzez szereg kół zębanych, po osie kamieni młyńskich było całkowicie drewniane. A wszystko zrobione przez małego piśmiennego cieślę miejscowego chodziło jak zegarek, bez wstrząsów i zgrzytów. Młyn ten, jak wspominał mój Ojciec, dawał po wyremontowaniu średnio sześćset złotych miesięcznie dochodu na czysto. Nie dziw, że Żydzi trzymali się takich dzierżaw i bogacił się na nich. W młynie oprócz młynarza, mieszkał gajowy mający pieczę nad lasami w Rajcy. Przez krótki czas był nim Kazimierz Straszko, a po nim do wojny był Beremidze - Gruzin białogwardziścią nie-atakujący w Polsce na prawach azylu, zwany potocznie Beremizą. Nigdy nie nauczył się on mówić czysto po polsku czy białorusku i kałęczyk strasznie oba języki, ale był bardzo łagodnym człowiekiem i poczciwym. Miał kilkoro dzieci i żonę, bo najstarszy mający około 10-u lat był wzrostu najwyższej pięcioletniego chłopca i wcale nie różał. Ojciec mój przypuszczał, że były to jakieś sprawy hormonalne, bo umyślowo rozwijał się zupełnie prawidłowo.

Beremiza nim został gajowym w Rajcy był gajowym w Przecieniewiczach, a jeszcze wcześniej polowym w Koreliczach. Wówczas zimą zastrzelił on bażanta w parku i przyniósł zadowolony do kancelarii i położywszy go przed Tatusiem oznajmił - "jakaś cudna ptaszka ubił", i był zdziwiony, że Tatus go nie pochwalił.

W Rajcy były śliczne lasy i cały materiał na budowy w Koreliczach i Przecieniewiczach i do stolarni, a także szczapinę na opał przywożono z tamtąd.

W Koreliczach stale mieliśmy kilka psów, a także zawsze był w domu jakiś kot. Na samym początku Tatus kupił od któregoś osadnika wojskowego szczeniaka kilkumiesięcznego - prawdziwego wilka. Osadnik ten złapał w dół szczenią wilczyce, a jak się oszczeniła, odebrał szczeniaka i podłożył domowej suce i ta je wykarmiła. Nasz Wilczek, bo tak się nazywał, przybył do nas jako kilkumiesięczny szczeniak, ale od początku wszystkie psy bały się go. Przywiązał się do nas bardzo, ale miał do śmierci wilczą naturę - jak wchodził do domu, czekał się, był nieufny, nie szczekał tylko czasem wył w nocy, mieszkał w wykopanej przez siebie pod gan-kiem norze, a zimą lubił skryć się na śniegu i tak spał zasypany czasem zupełnie śniegiem. Gdy dorósł, wszystkie suki w majątku, nawet nasza wyżlica czystej krwi - Diana, rodziły najprawdziwsze wilki. Był na ogół posłuszny i nie napadał na ludzi, ale nie lubił Żydów i odróżniał ich niezależnie jak wyglądali i byli ubrani. Dusił wszystkie spotkania na ziemi koty oprócz naszych, z którymi żył w najlepszej zgodzie. A największą jego wadą było to, że nie przepuścił żadnej żydowskiej kozie. Nieraz gdy pobiegł za bryczką za Tatusiem na Ludwikowo, gdzie jadąc

przejeżdżało się przez Załamanę i obok miasteczkowych pastwisk, Wilczek nie wytrzymał i dusił jakąś kozę, a już jak dobrał się do kozy to nie pomagało bicie i puszczanie ją dopiero martwą. No i Tatuś musiał płacić Żydowi za "piękną i bardzo cenną" kozę, choćby zaduszonej niewiele brakowało do naturalnej śmierci. Wilczek zdechł krótko przed wojną na jakąś chorobę, od której zdechło w majątku kilka psów. Objawiała się ona dużą gorączką, puchnięciem głowy i wykażeniem szerści.

Misia gdy była w Łowogrodku u Nazaretanek, dostała od pani Wierzbowskiej szczeniaka - małą białą kulkę z czarnymi oczkami i noskiem - rascwą szpiczką, łazwała ją Pusia. Wyrosła ona na śliczną drobną psinkę. Miała szczeniaki z Wilczkiem, wszystkie śliczne, a najładniejszy był Ryś - pies o bardzo długiej szerści, puszystej i delikatnej, maści wilczej, lecz jaśniejszej, przechodzącej pod brzuchem w białą. Pysk miał delikatniejszy od wilka, a ogon jak najpiękniejszy lis. Był bardzo fotogeniczny i nauczył się wypijać słodkie wino owocowe z kieliszka. Robił poprostu świder z języka i kieliszek w mig był zupełnie pusty.

Diana była jako szczenię sprowadzona przez wujka Dzierżyka do Fuca i on ją wyszkolił do polowania. Po śmierci Dziadzi przyjechała do Korelicz i została moim towarzyszem polowań na kaczki. Po wkroczeniu bolszewików zabrał ją jakiś komandir jeszcze z Korelicz i nie widzieliśmy jej więcej.

Były też w majątku psy podwórzowe. Początkowo Burek i Reks, a po ich śmierci Nora i Miś, które jako szczeniaki przyjechały od państwa Łazowskich z Rutkiewicz. Miś był dużym psem podobnym do starego Burka, a Nora trochę przypominała charta i była zgrzysz strasznie krwiożercza. Ona zadusiła oswojonego indyka, zupełnie białego, którego inne indyki były i nauczyły się chodzić za mamusią jak pies i przesiadywać stale na ganek i przed domem. Ona kiedyś nocą, gdy wylazł z chlewa wieprzek taki około stu kilogramowy, dopadła go na podwórzu, powaliła i na żywca wyszarpała mu całą szynkę tak, że trzeba było go dobić. Ona też zagryzła nam oswojoną sarenkę, która mieszkała w parku w zagrodzie specjalnie dla niej zbudowanej. Oba te psy na dzień były zamykane w zagrodzie za kuźnią i po wejściu bolszewików zdechły z głodu, bo powiedzieli "oswojodziciele", że to pańskie psy i nie dawali im jeść, ani ich wypuścili z tej zagrody.

Gdy sprowadziliśmy się do Korelicz, nie było tam zupełnie gołębi. Kiedyś Tatuś przywiózł w teczce z Przecieniewicz trzy parki prostych gołębi, a krótko po tym wyszykowano na strychu pałacu spory gołębnik i Tatuś kupił od sierżanta z miasteczka kilka gołębi pocztowych. Sierżant ten mieszkał w miasteczku na Załamanie i zajmował się ewidencją i konserwacją blindażu poniemieckich. Po pewnym czasie policja powiadomiła Ojca, że z uwagi na bliskość granicy sowieckiej, chów gołębi pocztowych jest zabroniony. Tymczasem nasze gołębie pocztowe pomieszały się z

prostymi i wytworzyła się rasa zupełnie zbliżona do dzikich miejskich gołębi. Do wojny rozmnożyły się one w duże stado i mieszały do poddasz szach wszystkich budynków gospodarskich. Chłopcy z miasteczka hodujący gołębie nieraz kąpali nasze, sypiąc im pszenicę moczoną w wódce, ale nasze gołębie gdy tylko mogły uciekały im i wracały. Zdarzały się nawet wypadki, że złapany gołąb u nich w zamknięciu sparzył się i dochował młodych i wraz z nimi wracał do majątku. Pan Rościszewski codzień sypał przed spi chrzem poślady, na które zlatywały się gołębie z całego podwórza.

Kiedyś odebraliśmy chłopcom młodego jeża. Mało go nie zamoczyli, bo żeby go zmoczyć do rozprostowania się - moczyli go w wiadrze z wodą. Wisia zajęła się nim, robiła mu posłanie w skrzynce i karmiła. Początkowo był bardzo nieufny, ale po pewnym czasie nauczył się rozróżniać przyjaciół i nas zupełnie się nie bał. Nazwaliśmy go Kubusiem. Najczęściej urządował w spiżarni. Kiedyś dokonał wyczynu "alpinistycznego" - wdrapał się na półkę, wyrzucił słoik z resztką korniszonów i wlaższy do niego najspokojniej je wyjadał, ale ani rusz nie mógł wycofać się ze słoika. Stoczył się wraz z nim na podłogę i tak znalazła go Marusia. Trzeba było rozbić słoik. Niestety podczas szamotaniny w słoju Kubuś uszkodził sobie oko i potem stale już miał na nim bielmo. Zimował w liściach pod domem, a na wiosnę znalazł sobie żonę w parku i mieli pięcioro małych. Całe stadko zupełnie się nas nie bało. Była nawet fotografia Wisi z małymi jeżykami śpiącymi na jej kolanach, a starymi obok niej na trawie.

Kilkakrotnie dostaliśmy młode zajaczki złapane przy koszeniu trawy. Za każdym razem Wisia karmiła je, początkowo smoczkiem i uczyła pić ze spodeczka. Nasze psy były uczone, że nie wolno naszym zajączkom robić krzywdy i ciekawe, że bardzo dobrze odróżniały je od dzikich. Jeden z tych zajączków mieszkał kilka lat w parku i zupełnie się nas nie bał, a psy go nie ganiały.

Początkowo w parku na drzewach było pełno gniazd gawronów i kawek. Dosłownie można było ogłuchnąć od ich wrzasku i nie można było tam chodzić, bo strasznie brudziły. Ojciec kazał wiosną strącać im gniazda i po jakimś czasie wyniosły się. Od tego czasu park rozbrzmiewał co wiosną śpiewem słowików, których były całe roje. W czasie niszczenia gniazd gawronich zdarzało się, że w zrzuconym gnieździe były już młode. Kiedyś Wisia wzięła dwie młode kawki i chowała je w kurniku. Szybko nauczyły się jeść z ręki. Jedna zmarniała i zdechła, a druga wyrosła na ładnego ptaka. Wisia nauczyła ją latać - sadzała kawkę na ręce i biegała po ogrodzie unosząc i opuszczając rękę w biegu. Kawka trzymając się ręki machała skrzydłami, a po jakimś czasie zaczęła sama latać. Gdy dorosła poleciała za innymi kawkami, ale przez szereg lat nieodmiennie, gdy przelatywała nad ogrodem i zobaczyła Wisię, zlatywała i siadała jej na ramieniu. Tak siedząc spacerowała jakiś czas z Wisią, a później leciała dalej.

Latem 1939 roku byłem któregoś dnia w lesie w Przecieniewiczach w części, gdzie akurat ścinali starą sosnę mateczną, po zwaleniu której okazało się, że w jej konarach było gniazdo wielkiego jastrzębia. Były dwa młode, jeszcze nie zupełnie opierzone. Jeden podczas upadku zginął, a drugiego złapał Kazik Straszko i umiśając, że nie ma szans na przeżycie tak młodego ptaka chciał go zabić. Wyprosiłem tego jastrzębia. Zawinęli mi go w jakąś płachtę żeby mnie nie podrapał szponami i zabrałem go na rower i tak przywiozłem do domu. Zbiłem dużą klatkę z pokrywą, ustawiłem ją w rozwidleniu konarów starej lipy w parku za domem i umieściłem w niej mojego jastrzębia. W miasteczku u rzeźnika - żyda kupowałem ochłapki mięsa trefnego za grosze, bo za pięć groszy miałem pokarm dla jastrzębia na cały tydzień. Początkowo bał się mnie - gdy się zbliżałem syczał i nastawiał dziób i szpony do obrony, ale po jakimś czasie tak się do mnie przyzwyczaił, że mogłem spokojnie wkładać rękę do klatki. Po dłuższym czasie wyrosły mu pióra w ogonie i skrzydłach i nabrał wyglądu dorosłego jastrzębia. Któregoś dnia napsociłem coś Wisie i ona żeby mi zrobić na złość, wypuściła mi jastrzębia na wolność. Okazało się, że zupełnie nie wie jak się lata. Rozpostarł skrzydła i poszybował na ziemię. Wziąłem go na ramię, okręciwszy rękę rącznikiem i zacząłem uczyć go latania, tak jak Wisia uczyła swoją kawkę. Dłuższy czas nie mógł się zdecydować żeby puścić moją rękę, tak jakby bał się, że upadnie, ale po kilku dniach zaczął podlatywać i w końcu zupełnie dobrze latać. Na nocleg przez dłuższy czas wracał do otwartej klatki uważając widocznie ją za swoje gniazdo, a później nocował zawsze na tej starej lipie. Gdy rano zaspakem i nie dawałem mu zbyt długo śniadania, zlatywał na moje okno, stukał w nie dziobem i żałośnie kwilił. Kawalki mięsa, które mu dawałem brał zawsze szponem - widząc mnie niosącego mięso, zlatywał przede mną na ziemię, podbiegał do mnie i łapał szponem mięso, stojąc wówczas na jednej nodze, po czym wlatywał na pobliski konar lipy i tam zjadał swoją porcję. Wydawało mi się, że dużo nie jadł - był wielkim ptakiem o rozpiętości skrzydeł ponad 120 cm, a wystarczyło mu około 10 dek mięsa dziennie. Nie miał wogóle polować i rozrywać zdobyczy. Gdy kiedyś dałem mu kastroloną dziką kaczkę, siedział nad nią i kwilił, dopiero gdy przecięłem kaczkę i obdarłem ze skóry zobaczył mięso i zaczął jeść. Bardzo często ślał na dachu pomiędzy naszymi gołębiami, które nie bały się go zupełnie i najspokojniej wokół niego gruchały. Kiedyś widziałem jak nadleciał dziki jastrzęb gołębiarz - mój jastrzęb siedzący wówczas pomiędzy gołębiami zerwał się i przepędził intruza - prosto pilnował swojego terenu, choć sam na nim nie polował. Jak wkroczyli bolszewicy i wyrzucili nas z domu, straciłem z oczu mojego jastrzębia i nawet nie wiem czy uszedł żywy, czy też zabili go jako "pańskiego ptaka".

.. okresie swego gospodarzenia w Koreliczach Ojciec ciągle coś budował. Wyremontował budynki mieszkalne w Koreliczach, postawił dwa nowe czworaki

w Przecieniszczach, oborę i chlewnię dla pracowników w Koreliczach, chlewnię drewnianą, a po jej pożarze murowaną majątkową, przebudował i pokrył nowym dachem oborę w Koreliczach, wybudował dużą drewnianą oborę na Ludwikowie, a po pożarze taką samą murowaną, a przed samą wojną rozpoczął budowę nowego murowanego osiemnastokondygnacyjnego budynku mieszkalnego w Koreliczach przy drodze do Kutycy. Był to już, jak na owe czasy nowoczesny budynek mieszkalny - każde z ośmiu mieszkań miało osobne wejście z gankiem, sień, komorę, dużą kuchnię i takiż sam. duży pokój, oddzielną piwnicę i także oddzielny strych. Na prawie wszystkich tych budowach pracował Warabiej z synami. Był to gospodarz z Zapola. Miał niewielkie gospodarstwo i zarabiał ciesiołką i kryciem dachów gontami i dranicą. Gdy budowali coś nowego lub kryli dach lubiłem wysiadywać z majstrami i przyglądać się ich robocie. Uczyli mnie swojej roboty, pracy siekierą i krycia dachów.

Kiedyś podczas pobytu w Koreliczach, pani Żółtowska powiedziała do Ojca - pan ciągle coś buduje, czy to nie szkoda na to pieniędzy? A gdy Ojciec jej odpowiedział, że to wszystko jest potrzebne, osztekła - no cóż, pan wie lepiej co jest w majątku potrzebne. I na tym skończyła się interwencja w plany budowy właścicielki majątku. Po latach gdy byłem dyrektorem PGR-u wzdychałem nieraz do tamtych czasów, gdzie gospodarz był naprawdę gospodarzem, a nie tylko ślepym wykonawcą czyichś zarządzeń i kozłem ofiarnym za ich wykonanie.

.. miasteczku była. agencja pocztowa, gdzie jedynym urzędnikiem i naczelnikiem w jednej osobie był pan Asanowicz. Co dzień rano wyjeżdżał wozem z przesyłkami pocztowymi do Nowogródka Tajwel - Żyd miasteczkowy - a pod wieczór wracał z nadchodzącą pocztą. Za paszę dla krowy Tajwel codzień przynosił do majątku pocztę. Uważał się za światowca, bo podobno kiedyś był nawet we Francji i umiał kilka słów po francusku. Gdy przychodził wieczorem do kuchni z pocztą niezmiennie mówił "bażur", a odchodząc "orewuar". Poza pocztę mógł załatwić wszelkie zakupy - dosłownie od igły do samochodu. Dla mnie zawsze kupował proch, śrut i kapiszony.

Jak już wspominałem, przy pałacu był duży sad na południowym stoku, całkowicie od wschodu parkiem. Sad był rzadki, ale miał przeważnie stare, rozróżnione drzewa i pięknie owocował. Sad ten wraz z przyległym wgrzywnikiem Ojciec miał w deputacie. Ponieważ co roku owoców było o wiele za dużo jak dla nas, więc Mamusia wydzierżawiała sad Żydowi. Dzierżawcą sadów w całym powiecie był Szuster - Żyd z miasteczka, wielki bogacz. Co roku kupował podczas kwitnienia drzew owocowych odbywał się targ. Żyd kupował przyszły owoc na swoje ryzyko i stawiał swego stróża, a często i dwóch. Myśmy mieli prawo do rwania na swoje potrzeby owocu, jesienią dostawaliśmy odsyp ze zbieranego owocu, a niektóre drzewa były "wymówione", czyli całkowicie do naszej dyspozycji. Żyd miał w miasteczku przechowalnię w piwnicach i handlował owocami w Nowogródku i innych miastach, a w 1935 czy 36 roku, w spółce

z innymi bogatymi kupcami żydowskimi, postawił dużą przetwórną owocowo-warzywną w Baranowiczach, gdzie przerabiali gorsze gatunki owoców z dzierzawionych sadów. Od tego też roku w Koreliczach zaczęli Żydzi uprawiać na dużą skalę plantacje ogórków na kiszniaki i konserwy. Dzierżawili nawet co rocznie do 40 ha pola z majątku, na których uprawiali swoje ogórki. Majątkowi płacono się to, gdyż oni pod ogórki bardzo mocno gnóili, a po takiej plantacji dobrze udawała się pszenica. Chrześcijanie na tych plantacjach mogli jedynie pracować, ale od plantatorów nie Żydów nie kupowali Żydzi ogórków. Któregoś roku Mamusia miała w ogrodzie bardzo dobry urodzaj ogórków i wezwała Szustra żeby je kupił. Żyd przyszedł niezwłocznie, ale dawał tylko 10% ceny ich skupu, na co Mamusia nie chciała się zgodzić i ogórki zostały - brali je ile chcieli pracownicy majątku, a i tak większość zgniła.

Kiedyś latem byłem z Ojcem w Nowogródku no i po załatwieniu wszystkich spraw Ojciec utknął w Kasynie i grał w brydża, a ja nie miałem co robić. Był upalny dzień późnego lata i zachciało mi się gruszek, a nie miałem pieniędzy. Michałko siedział przed zajazdem. Cdy mu zwierzyłem się z tego, poszedł ze mną na rynek, odnalazł handlującego Szustra i najspokojniej ka-zał mu dać dla mnie najładniejszych gruszek ze straganu. Nigdy bym sam nie wpadł na taki pomysł, ale Michałko umiał wszystko załatwić.

W 1935 czy 36 roku nie wiadomo dlaczego strasznie łatwo wzdymały się krowy na pastwisku. Mówiono wówczas, że podobno rozmnożył się jakiś pajęczek na koniczyńce, który powodował te wzdęcia, ale nikt prawdy nie doszedł. Któregoś dnia zaraz po południu przypędził pastuch całe stado i wszyscy ~~znajdujący się~~ znajdujący się na podwórzu mężczyźni rzucili się do ratowania wzdętych krow. A już kilkanaście krow kładło się na ziemi. Wszyscy robili co mogli, ale nie starczało trokarów i kilka krow trzeba było dobić. Milka z nich były krowami pracowników, co dla nich było wielką stratą. Po wszystkim Ojciec wezwał do kancelarii poszkodowanych i wypła-cił im z kasy zaliczki na kupno nowych krow. Zaliczki te potrącano im z pensji przez dłuższy czas w małych ratach. Wówczas było to możliwe i nikt za takie załatwienie sprawy nie miał do Ojca pretensji. Obecnie w t.zw. socjaliźnie dyrektor PGR-u za taką rzecz spotkałby się z prokuratorem jako za nadużycie.

Od czasu zamieszkania w Koreliczach Mamusia marzyła o tym, żeby uru-chożyć w majątku świetlicę dla pracowników. Chciała żeby na ten cel oddane były pomieszczenia zajmowane przez serowarnię w szczyście oficyny. Gdy było u nas panna Helena to często o tym mówiło się w domu. Ojciec chciał popu-ścić specjalny budynek na serowarnię i wtedy byłoby miejsce na świetli-cę, ale jakoś do wojny nie z tych marzeń nie wyszło. Co roku natomiast podczas świąt Bożego Narodzenia Mamusia robiła paczki ze słodyczami i owocami dla wszystkich dzieci z majątku. Niektórzy bliżsi, pracownicy

dostawali poza tym dodatkowo jakieś upominki. Pieniądze na to Mamusia ze zbierała z sadu i drobiu, bo zawsze mieliśmy tego całe masy, a Żydzi bardzo lubili zwłaszcza jajka perliczek i same perlice na pieczone. Brali też chętnie indyki. Na Gwiazdkę wszyscy przychodzili kuchennym gankiem i przez kuchnię i korytarz wchodziłi do jadalnego pokoju, gdzie pod choinką stał już przygotowany duży kosz od bielizny pełen paczek. Dzieci śpiewały koledę, a po tym Mamusia rozdawała kolejno paczki. Ostatnia taka Gwiazdka odbyła się w 1938 roku.

Jesienią 1933 roku wyjechaliśmy z Wisią do Wilna. Wisią do gimnazjum Sióstr Nazaretanek na pensję, a ja do gimnazjum Ojców Jezuitów i do konwiktu. W gimnazjum tym obowiązywało noszenie munduru granatowego z kołnierzem zapiętym pod szyją i płaszczem kroju zbliżonego do wojskowego, oficcerskiego, lub peleryny sakienej granatowej. Tatusz zapowiedział mi, że dostanę mundur i płaszcz lub pelerynę, bo na wszystko nas nie stać. Dostałem pelerynę. Pierwszy raz dostałem ubranie szyte z nowego materiału, bo dotychczas z reguły miałem ubranie szyte przez Perewołockiego - krawca z Korelicz, przesywane ze starych ubrań Ojca, a gdy coś podarłem to nieraz słyszałem, że "ja tyle lat do ubranie nosilem i było całe, a on to zaraz podarł". Teraz dostawałem nowy mundur szyty u wileńskiego krawca z dobrego nowego materiału no i tą wymarzoną pelerynę. Czapki mieliśmy podobne do kolejarskich rogatywek, obszyte srebrnym galonem. Płaszcz za to dostałem stary, przesyty przez Perewołockiego ze znoszonego płaszcza Wisi, z którego wyrosła. Dopiero gdy na Święta przyjechałem do domu w pelerynie, Mamusia wymogła uszycie mi nowego płaszcza.

Pierwszy raz byłem zdala od domu. W konwikcie były surowe przepisy. Mieścił się on, tak jak i gimnazjum, w starym budynku klasztornym, ale był bardzo porządnie urządzone i na ogół wygodny. W konwikcie przebywali chłopcy od uczniów ostatnich klas szkoły powszechnej do ostatnich przedmaturalnych klas liceum. Rozpiętość wieku była odpowiednio duża - od dziesięciu do dwudziestu lat. Przełożonym konwiktu był Ojciec Prefekt, a jego zastępcą między jeszcze viceprefekt. Byli to ludzie nadzwyczaj wyrozumiali, świetni wychowawcy młodzieży, należałem do najmłodszych, stale rozbrykanych urwisów, nie bardzo garnących się do nauki. Regulamin był surowy. Po powrocie ze szkoły i obiedzie następowało "silencjum" czyli czas na naukę i odrabianie lekcji. Były sale na to przeznaczone, gdzie każdy miał swój stolik i krzesło. Stoliki miały szuflady na książki i przybory szkolne. Obowiązywała zupełna cisza i spokój. Pilnował porządku ojciec Viceprefekt, chodząc środkiem sali i odnawiając brewiarz. Nie zawsze wytrzymywaliśmy te kilka godzin spokojnie i nieraz któryś z nas urządzał jakiegoś psikusa, ale nie widziałem ojca rozgniewanego - zawsze umiał zachować spokój. Po odrobieniu lekcji mogliśmy bawić się w sali gimnastycznej czy na korytarzach. Były stoły ping-pongowe, obecnie zwane tenisem stołowym,

siatkówka i koszykówka, ale my najmłodszy woleliśmy ganiać się w berka itp. Jadalnie były na parterze. Obsiadaliśmy długie stoły według starszeństwa. Potrawy podawali posługacze, a przed każdym posiłkiem była wspólna modlitwa. Sypialnie były na drugim piętrze. Sale były niewielkie. Każdy z nas miał swoje łóżko, a przy nim nocną szafkę. Gdy przychodziliśmy wieczorem na każdej szafce stała miska z zimną wodą, przeznaczoną do obmycia się rano po pobudce. Wieczorem myliśmy się we wspólnej umywalni.

Po ciszy nocnej gaszono światło i zalegała cisza, którą nieraz przerywały śmiechy i chichotami, a nawet czasem szły w robotę poduszki. Odbywało się to zwłaszcza w czasie, gdy ojcowie szli na wspólne modlitwy.

Apteczką i izbą chorych zajmował się wówczas braciszek zakonny w średnim wieku, którego nie wiem czemu chłopcy na ogół nie lubili i robili mu ciągle psoty. Miał bujne rudawe włosy i złośliwi przezywali go "Ryżmanem", nie on zdaje się lubił, w każdym razie do czasu, gdy kiedyś opatrywał mi skaleczoną rękę. Byłem rozbrykany i dużo gadałem. Braciszek w pewnej chwili urwał kawałek plastra opatrunkowego i ze śmiechem podał mi mówiąc, żebym sobie zakleił nim buzię, bo za dużo gadam. Ja tymczasem bez namysłu tym plastrem zakleiłem usta jemu. Rozumiem, że byłem wówczas bardzo niegrzeczny, ale stało się. Braciszek miał mi to za złe zdaje się dość długo.

Gdy była dobra pogoda chodziliśmy z którymś ojcem na boiska sportowe przynależne do konwiktów, ogrodzone wysokim płotem, lub na spacer na górę Trzech Krzyży. Tam mogliśmy się wybiegać dowolnie. Puszczałyśmy małe szymbonce robione z okładek zeszytów, lub wspinaliśmy się po urwiskach nad Wilejką.

Z konwiktów można było wyjść do miasta jedynie na przepustkę, wydaną w niedzielę po naszym śm. przez Ojca prefekta. Raz dostałem taką przepustkę na odwiedzenie wisi. Jeszcze wówczas nie znałem Wilna i długo błądziłem, nie mogąc trafić, a wstydziłem się pytać o drogę... końcu wróciłem do konwiktów, ale nie przyznałem się do tego, że nie trafiłem.

Chodziliśmy też czasem z ojcami na zwiedzanie zabytków Wilna. Tak m.in. zwiedziliśmy kościół Piotra i Pawła na Antokolu, kościół św. Anny i wiele innych. Ojcowie przy tym opowiadali nam historię tych zabytków i związane z nimi zdarzenia. Byli to wspaniali przewodnicy znający najdrobniejsze szczegóły i umiejący ciekawie je przekazać. Naszym kościołem szkolnym był kościół św. Kazimierza. Był to kościół oo. Jezuitów. Miał kiedyś piękny i bogaty wystrój. Przez dłuższy czas kaznodzieją był w nim późniejszy święty męczennik ojciec Andrzej Bobola. Tam też miał kazania ksiądz Skarżę. Podczas zaborów carskie władze zamieniły kościół na cerkiew prawosławną, zniszczyły sztukaterie i wybudowały wspaniałe "carskie wrota". Po zajęciu Wilna przez niemieckie wojska podczas pierwszej wojny światowej mieszkańcy Wilna przywrócili kościół i rozbili "carskie wrota", ale nie

zdożano odtworzyć dawnego wystroju i kościół pozostał o gładkich ścianach i stropach bez żadnych ozdób. W czasie najazdu bolszewickiego w kościele zamknęło się sporo mieszkańców Wilna i bronili się dość długo nim bolszewicy nie zagwarantowali ich nietykalności. Co niedziela całe nasze gimnazjum było na szkolnej mszy św. Staliśmy przed głównym ołtarzem w szeregach, klasami, a po mszy dochodzący rozchodzili się do domów, a my wracaliśmy do konwiktów.

Z gimnazjum byliśmy w teatrze na Pohulance na "Wyzwoleniu" Wyspiańskiego i "Gałazce Rozmarynu", oraz w teatrze "Lutnia" na "Krakowiakach i Góralach".

W gimnazjum pierwsze klasy były równorzędne. Ja chodziłem do Ia, której wychowawcą był Historyk pan Delalich de Laval, jeden z niewielu profesorów świeckich. Języka polskiego uczył nas ojciec Kucharski, bardzo surowy i wymagający profesor. Dość powiedzieć, że w naszej klasie piątkę z polskiego miał tylko jeden uczeń prymus Zaleski, a dostał ją po cztero-lekcyjnym egzaminie, gdy poprawnie odpowiedział na wszystkie zadane mu w tym czasie pytania. Dyrektorem gimnazjum był ojciec Machnicki. Łaciny uczył starsuszek, niski i zawsze bardzo poważny, którego przezywaliśmy "Datiwus posesiwus", gdyż miał ten zwyczaj, że mówił jakiś czasownik łaciński i niespodzianie dla delikwenta wskazywał wyciągniętą ręką, palcem prawie dotykając nosa ofiary z okrzykiem - datiwus posesiwus. Należało natychmiast odpowiedzieć, wymawiając podany czasownik w wymaganym czasie. Najczęściej jednak wywołany tak chłopiec stał oniemiały, a ojciec Łacinnik patrzył na niego ze zgrozą i wywoływał w podobny sposób następnego. Większość przedmiotów uczyli profesorowie - ojcowie, których nie pamiętam niestety nazwisk. Chór szkolny prowadził ojciec Tomasz Roztworowski. On też był opiekunem harcerstwa. Należałem do chóru i nawet ojciec Tomasz uważał, że mam dobry słuch. Śpiewaliśmy na akademiach rocznicowych i na chórze w kościele św. Kazimierza.

Podczas mojej bytności w gimnazjum w Wilnie odbyła się duża uroczystość - sprowadzono relikwie świętego Andrzeja Boboli do Wilna do kościoła św. Kazimierza. Najpierw przywieziono Je do Katedry, a później w procesji przeniesiono do naszego kościoła. Całe gimnazjum szło w tej procesji, było bardzo dużo księży i zakonników i tłumy ludności. W Kościele św. Kazimierza odnowiono jedną z bocznych kaplic na ołtarzu której był obraz przedstawiający św. Andrzeja w chwili pojmania Go przez kozaków. Po uroczystej mszy św. ustawiono monstrancję z relikwiami na tym ołtarzu. Tłumy ludzi przechodziły przed ołtarzem. Zdarzały się uzdrowienia, Głównym było uzdrowienie mężczyzny, który leżał przez dłuższy czas w szpitalu i nikt mu nie pomagał. Miał straszliwą rękę na nogach tak, że zupełnie nie mógł chodzić. Przyniesiono go na noszach. Dłuższy czas leżał na tych noszach przed ołtarzem i modlił się. Po pewnym czasie wstał, powiesił swoje

kule na haku na ścianie przy ołtarzu i poszedł zupełnie zdrowy. Podobno badano go po tym w szpitalu i stwierdzono całkowite wyleczenie.

W konwikcie miałem od początku wroga - chłopca z trzeciej klasy starszego ode mnie, który nie wiem dlaczego wziął się na mnie i ciągle mi dokuczał, a zwłaszcza lubił zniecka dawać mi prztyczka w nos. A miałem wówczas taki nbs, że nawet słabe uderzenie powodowało, że ciekła mi krew z nosa, której nie mogłem szybko zatamować. Nie chciałem się skarżyć ojcu Prefektowi i cierpiałem, ale prosiłem Rodziców, gdy mnie odwiedzali, żeby mnie z konwiktów zabrali. Gdzieś po trzech miesiącach Rodzice zdecydowali się umieścić mnie u wujostwa Wysockich. I prawie przed samym odejściem moim z konwiktów rozwiązałem problem dręczyciela. Przy kolejnej prztyczce, zamiast tamować krew z nosa, złapałem przeciwnika i zaczęliśmy się mocać. On był starszy, ale ja bardziej rozszochony i bardziej krępy. W pewnej chwili złapałem go w pól tak, że trzymałem go przez plecy trochę z tyłu. On chciał mnie po prostu powalić na łopatki, a ja uniosłem go tak, że zawisł głową w dół i trzepnąłem nim o ziemię i to tak mocno, że nie od razu się podniósł. Starsi koledzy obserwujący naszą walkę uznali moje zwycięstwo, a pokonany chyba miał dość, bo już więcej mi nie dokuczał. Mogłem zostać nadal w konwikcie, ale już było załatwione moje przeniesienie. Na pożegnanie wziął mnie ojciec Prefekt do swego pokoju, wynalazł mi medalik ze św. Stanisławem Kostką, posadził mnie na kolanach i długo prawił o życiu, o konieczności czynienia dobra w każdych warunkach i unikania zła niezależnie od warunków życia i tp. wskazania na dalsze życie. Może wówczas nie wszystko co mówił trafiło mi do świadomości, ale kiedyś w przyszłości obudziło się w pamięci i może nauki starego Ojca Prefekta i jego modlitwa ustrzegły mnie w życiu od niejednego zła.

Wuj Wysocki był podpułkownikiem, dowódcą 4-go pułku Ułanów Zamienińskich. Ciocka - z domu Łańchowska, była nadzwyczajnej dobroci. Mieli dwóch synów - starszego Harysia /Henryka/ uczęszczającego do trzeciej klasy gimnazjum im. Zygmunta Augusta i młodszego ode mnie Dudusia /Augusta/ chodzącego do szóstej klasy szkoły powszechnej. Obaj byli rozwydrzeni do niemożliwości, bo ciocia nie umiała ich poskromić, a wuj całą swoją energię i ostrość tracił w próbach, a w domu pozwalał na wszystko. Wujostwo mieli duże mieszkanie niedaleko klasztoru Sióstr Misjonerek tak, że mogłem często odwiedzać wujostwo. Do gimnazjum jeździłem autobusem, zwanym w Wilnie "arbonem", z placu Żukowskiego z przesiadką na placu Katedralnym. Do nauki nie przykładalem się zbyt i byłem raczej średnim uczniem. Zaczęłem natomiast, korzystając z większej swobody, zwiedzać Wilno i namiętnie chodzić do kina. Ponieważ Lenucia odwiedzała nas bardzo rzadko, a zwykle bywał Ojciec przy okazji załatwiania spraw majątkowych, który uważał, że gdy pozostawił mi dwa złote na dwa miesiące na drobne wydatki, to miało mi wystarczyć - zawsze byłem biedny jak mysz kościelna. Bilet na balkon

czyli najtańszy, kosztował w kinach, do których mogliśmy jako gimnazjaliści chodzić, 50 groszy, a co tydzień zmieniali programy no i było w Wilnie sporo kin i dawali dużo ciekawych filmów. tak że mogłem być najwyżej cztery razy w kinie. Na moje szczęście Wisia dostawała też pieniądze i to więcej, a na pensji nie miała gdzie ich wydać i prawie wszystkie mi oddawała. Siostry prowadziły pensję bardzo staromodnie. Nie było mowy, żeby któraś z uczennic z pensji mogła wyjść sama do miasta, a najwyżej z rodzicami, a odwiedzać mogli je tylko rodzice i bracia, a w drodze wyjątku kuzyni. Ponieważ dziewczęta lubiły robić siostronom kawały, więc ja jako znany siostronom brat Wisi przyprowadzałem ze sobą Wacka Gąsowskiego, naszego kolegę z wakacji, siostrzeńca pana Szarogrodzkiego, u którego Wacek bywał przez całe wakacje ze swym młodszym bratem w Koreliczach. Przedstawiałem siostrze furtiance Wacka jako mego kuzyna - syna pułkownika Wysockiego, no i obaj wchodziliśmy do pokoju widzeń. Wisia przychodziła najczęściej ze swymi przyjaciółkami i mieliśmy uciechę, że wykiwaliśmy siostry. Na szczęście Haryś, którego odgrywał Wacek, nie kwapił się do odwiedzenia kuzynki i nigdy siostry nie dowiedziały się prawdy. Ojcowie Jezuitci byli o wiele bardziej nowoczesni. Kiedyś, gdy byłem jeszcze w konwiktach, siostry Kazaretanki urządziły na pensji balik, na który dziewczęta mogły zaprosić swoich starszych braci i kuzynów z gimnazjum Jezuitów. Z innych gimnazjów chłopcy według opinii sióstr byli nieodpowiedni. Pamiętam, że starsi chłopcy stroili się i pucowali na ten bal jak mogli i poszli pod opiekę ojca Tomasza i Viceprefekta. Po powrocie wszyscy, nie wyłączając obu ojców, zaśmiewali się, gdyż siostrzyczki podzieliły salę przegrodą, przy której stały "kordonem" siostry. Po jednej stronie bawiły się dziewczęta, a po drugiej zaproszeni przez nie ich bracia i kuzyni. Rodzeństwo mogło rozmawiać jedynie zbliżając się do przegrody, a rozmowy słuchały conajmniej dwie najbliższe stojące siostry. A przecież cała ta młodzież na wycieczkach stale się spotykała i jeździła na wycieczki bez specjalnego nadzoru.

Dziewczęta czasem wychodziły z pensji na spacer po mieście, ale musiały iść parami i pilnowane były przez kilka sióstr, do tego stopnia, że nie wolno im było wejść do sklepu po jakiegokolwiek zakupy.

Ja z Dudusiem po odrobieniu lekcji często bawiliśmy się na Boufałowej Górze. Wilno było miastem, które rozciągało się wzdłuż Wilii i Wilenki i "wciskało się" pomiędzy duże wzniesienia o*stronnych zboczach, których spłaszczony szczyty były prawie nie zabudowane tak, że co kawałek można było z ruchliwej ulicy wejść na pole lub do lasu. Taka była Góra Trzech Krzyży - porośla częściowo lasem sosnowym, taka też była Boufałowa Góra, Tam można było biegać, grać w piłkę, kopać dołki i wozycie co się tylko chciało wyczynić. Nawiliśmy się tam z wileńskimi ulicznikami, dziećmi robotników, z którymi się zaprzyjaźniłem. Nie razilo nas to, że ja miałem porządny mundur, a oni podarte kapoty. "Kiechś klasowa" nie istniała. Oni

też chodzili do kina, tylko ja kupowałem bilet, a oni wciskali się na zaplecie. Duduś miał dużo ożowianych żołnierzyków i armatki strzelające nabojami prochowymi. Takie naboje były dość drogie. Kiedyś znaleźliśmy na ulicy Miejskiej sklepik żydowski, w którym dostaliśmy takie naboje o połowę tańsze. Uszczęśliwieni kupiliśmy kilka tych naboji, ale okazało się, że były one bardzo nierówne i gdy wkładałem taki nabój do armatki, utknął on w połowie lufy tak, że nie można było zapalić lontu, ani go wyjąć. Zaczęłem wypychać nabój gwoździem i oparłem lufę o udo, żeby się nie rozklepała, bo była zrobiona z miękkiego ożowiu... pewnej chwili nabój wystrzelił i raniłem się w udo. Duduś przestraszył się i zawołał matkę. Ciocia przerażona, biorąc krople na uspokojenie, wezwała telefonicznie lekarza pułkowego. Ten po przybyciu stwierdził, że trzeba nogę prześwietlić, bo nie wiadomo czy coś nie siedzi w ranie i trzeba dać zastrzyk przeciw tężcowy z uwagi na to, że do rany dostało się dużo poszarpanych kawałków materiału ze spodni. Na drugi dzień nie poszedłem do szkoły tylko zawiozli mnie do kliniki, gdzie prześwietlili mi nogę i okazało się, że mam dwa odłamki, ale chirurg orzekł, że nie warto krajać, bo są to małe kawałki, a cięcie noże spowodowałoby gorzszą i dłuższą gojenie się rany. Dali mi zwolnienie ze szkoły i mamusia, która zawiadomiona przez ciocię zaraz przyjechała, zabrała mnie do domu. Doktor Lewicki dał mi zastrzyk przeciw tężcowi, który był bardzo bolesny, ale miał zabezpieczać na siedem lat. Było to na krótko przed Świądką, tak, że mało straciłem ze szkoły, a tylko ferie Świąteczne przeleżałem prawie całe. Po wyleczeniu wróciłem do szkoły.

Nadszedł dzień 4 marca - Święto św. Kazimierza patrona Wilna - Haziuki. Takiego nastroju wesołości i pojednania wszystkich mieszkańców nie można było nigdzie spotkać poza Wilnem. Place i ulice zastawione były przeróżnymi kramami. Tłumy ludności odświętnie ubranej zapełniały nie tylko chodniki ale i całe jezdnie. Wszyscy byli weseli i przyjaźnie nastawieni. Nikt się nie gniewał na wesołe zaczepki. Można było zobaczyć poważnego jegomościa z wiankiem obwarzanków na szyi. Chłopcy wesoło zaczepiali spotkane, nawet zupełnie nieznaną pannę, która odpowiadała śmiechem i żartami... powszechnym użyciu były przeróżne "joja" i inne "koguciki" itp. zabawki, które mi się wzajemnie zaczepiano. Masowo sprzedawano na straganach piernikowe perca z wypisanymi na nich imionami, które kupowali chłopcy i obdarowywali nimi znajome panny. Nie widać było nigdzie piżanych ani ordynarnych. Były kramy z loteriami. Kupiłem na jednej z nich kilka losów po 10 groszy i na wszystkie wygrałem jakieś fanty, które później oddałem w szkole na organizowaną loterię na cele FOM.

Pierwszego kwietnia na Prima aprilisa zrobiliśmy w klasie kawał ojców profesorowi od łaciny. Ojciec ten był zawsze bardzo poważny i chyba nie znał żartów. Przed lekcją łaciny zestawiliśmy wszystkie ławki na środku klasy w piramidę i obsiedliśmy ją. Gdy wszedł profesor nie ruszyliśmy się

ani odezwali - siedzieliśmy jak skamieniali. Ojciec zawrócił we drzwiach i podreptał do dyrektora. My tymczasem w mig ustawiliśmy ławki na miejscu i gdy we drzwiach ukazał się ojciec dyrektor, najgrzeczniej wstaliśmy i przywitaliśmy. Dyrektor uważnie obejrzał klasę, potem popatrzał pytająco na łącznika i nic nie mówiąc wyszedł. Nie wiedział kto go nabrał, a my jak zwykle mieliśmy "dati wis posesiwus".

Na 3-go Maja była defilada wojskowa na ulicy Mickiewicza. Trybuna była ustawiona przed kościołem św. Jerzego. Każdy pułk z orkiestrą na przedzie, defilował przed trybuną. Orkiestra pułkowa stawała obok trybuny i grała swojemu pułkowi, a po jego przejściu dołączała do niego. Nikt nie zauważył, a pułk. Wysocki podobno usłyszał jakiś fałszywy ton, gdy orkiestra 4-go pułku skręcała przed trybuną. Po defiladzie dał rozkaz żeby orkiestra za karę grała ten marsz bez przerwy przez osiem godzin i rozkaz ten wykonana, bo oficerowie bali się pułkownika jak ognia. Słyszałem później, że był on ~~jedynym~~ jedynym pułkownikiem nie dyplomowanym dowódcą pułku i znanym był w sferach wojskowych z surowości. A w domu synowie dosłownie chodzili mu po głowie.

Wiosną z gimnazjum pojechaliśmy na Porubanek na lotnisko, gdzie odbywały się tego dnia pokazy lotnicze. Były akrobacje, zawody pomiędzy parami pilotów kto straci śmigłem więcej baloników puszczonej wolno. Kilka godzin mieliśmy co oglądać, a większość z nas wtedy marzyła o lataniu.

Z Wilna do domu na święta i wakacje jeździliśmy przeważnie autobusem do Łowogródek. Miałem wtedy zawsze wielkie zmartwienie. Gdy miałem miejsce w tylnych rzędach, gdzie więcej rzucało na wybojach, a poza tym robiło się duszno regularnie brały mnie wymioty. Nic nie pomagało, ani popijanie, ani jedzenie kwaśnego jabłka. Wstydyłem się tego bardzo. Po kilku przejazdach już mnie bileterzy znali i sadzali mnie na przedzie bliskie kierowcy, gdzie nie tak trzęszko i było trochę świeższego powietrza. W tym samym autobusie jechały również koleżanki Wisi i moi starsi koledzy i zawsze było mi bardzo przykro z powodu tej słabości.

Na przedwiosniu była uroczystość na placu Łukiskim - nasze gimnazjum ze składek uczniowskich zakupiło i przekazywało konia dla 13 Pułku Ułanów, gdyż pułk ten był macierzystym pułkiem naszego wachowawcy i profesora historii w naszym gimnazjum. Pozostała mi amatorska fotografia z tej uroczystości. Równocześnie gimnazjum im. Zygmunta Augusta przekazywało zakupiony z takich samych składek rkm. Grały orkiestry szkolne, były przemówienia no i nie było w tym dnia nauki.

Zrobiła się wiosna i zbliżał się koniec roku szkolnego. Nikt z nas wówczas nie przewidywał, że i koniec normalnej nauki wogóle na dłuższy czas. Nie wysiłałem się w nauce i w tym roku szkolnym byłem tylko średnim uczniem, ale bez trudu uzyskałem promocję do drugiej klasy gimnazjum.

ani odezwali - siedzieliśmy jak skamieniali. Ojciec zawrócił we drzwiach i podreptał do dyrektora. W tymczasem w mig ustawiliśmy ławki na miejsca i gdy we drzwiach ukazał się ojciec dyrektor, najgrzeczniej wstaliśmy i przywitaliśmy. Dyrektor uważnie obejrzał klasę, potem popatrzał pytająco na ławki i nic nie mówiąc wyszedł. Nie wiedział kto go nabrał, a my jak zwykle mieliśmy "datiwis posesiwus".

Na 3-go Maja była defilada wojskowa na ulicy Mickiewicza. Trybuna była ustawiona przed kościołem św. Jerzego. Każdy pułk z orkiestrą na przedzie, defilował przed trybuną. Orkiestra pułkowa stawała obok trybuny i grała swojemu pułkowi, a po jego przejściu dołączała do niego. Nikt nic nie zauważył, a pułk. Wysocki podobno usłyszał jakiś fałszywy ton gdy orkiestra 4-go pułku skręcała przed trybuną. Po defiladzie dał rozkaz żeby orkiestra za karę grała ten marsz bez przerwy przez osiem godzin i rozkaz ten wykonano, bo oficerowie bali się pułkownika jak ognia. Słyszałem później, że był ~~jedynym~~ jedynym ppułkownikiem nie dyplomowanym dowódcą pułku i znanym był w sferach wojskowych z surowości. A w domu synowie dosłownie chodzili mu po głowie.

Wiosną z gimnazjum pojechaliśmy na Porubanek na lotnisko, gdzie odbywały się tego dnia pokazy lotnicze. Były akrobacje, zawody pomiędzy parami pilotów kto strąci śmigłem więcej baloników puszczonych wolno. Kilka godzin mieliśmy co oglądać, a większość z nas wtedy marzyła o lataniu.

Z Wilna do domu na Święta i wakacje jeździliśmy przeważnie autobusem do Nowogródka. Miałem wtedy zawsze wielkie zmartwienie. Gdy miałem miejsce w tylnych rzędach, gdzie więcej rzucało na wybojach, a poza tym robiło się duszno regularnie brały mnie wymioty. Nic nie pomagało, ani popijanie, ani jedzenie kwaśnego jabłka. Wstydziłem się tego bardzo. Po kilku przejazdach już mnie bileterzy znali i sadzali mnie na przedzie blisko kierowcy, gdzie nie tak trzęsło i było trochę świeżego powietrza. W tym samym autobusie jechały zawsze koleżanki Wisi i moi starsi koledzy i zawsze było mi bardzo przykro z powodu tej słabości.

Na przedwiośniu była uroczystość na placu Łukiskim - nasze gimnazjum ze składek uczniowskich zakupiło i przekazywało konia dla 13 Pułku Ułanów, gdyż pułk ten był macierzystym pułkiem naszego wachowawcy i profesora historii w naszym gimnazjum. Pozostała mi amatorska fotografia z tej uroczystości. Równocześnie gimnazjum im. Zygmunta Augusta przekazywało zakupiony z takich samych składek rkm. Grały orkiestry szkolne, były przemówienia no i nie było w tym dniu nauki.

Zrobiła się wiosna i zbliżał się koniec roku szkolnego. Nikt z nas wówczas nie przewidywał, że i koniec normalnej nauki wogóle na dłuższy czas. Nie wysiłałem się w nauce i w tym roku szkolnym byłem tylko średnim uczniem, ale bez trudu uzyskałem promocję do drugiej klasy gimnazjum.

Ostatnie wakacje.

Ostatnie lato przed wojną było piękne. Wracaliśmy do domu do Korelicz z Wilna jadąc jak zwykle autobusem. Wisia miała promocję do czwartej klasy, a ja do drugiej, więc mieliśmy spokój do jesieni.

Krótko po naszym przyjeździe przyjechali wujostwo Szydelscy i zostawili u nas na wakacje Danke - o rok starszą ode mnie, i Zbyszek - młodszego. Po nich wuj Bogdan Hulewicz przywiózł z Grodna, gdzie był zastępcą dowódcy DOK, swoją jedynaczkę Grażynę, najmłodszą z nas wszystkich. Do pana Szarogrodzkiego przyjechał jego siostrzeniec, a mój starszy kolega z gimnazjum - Wacek Gasowski. Wzięli też do domu oboje Graccy i oboje Lewiccy. Zebraliśmy więc nas spora gromada. Mieliśmy dwa kajaki na stawach na Ludwikowie no i kółki rybackie do dyspozycji. Jeździliśmy rowerami i końmi na wycieczki do lasu do Przecieniewicz i na stawy na Ludwikowie. Gdy zaczął się okres polowania na kaczki często chodziłem z Wackiem, a czasem też ze Zbyszkiem Grackim, na stawy na polowanie. Wacek brał dubeltówkę pana Szarogrodzkiego, a dla Zbyszka pożycząłem strzelbę od rybaków. Czasem całe dni brodziliśmy z dubeltówkami wśród szuwarów na stawach i zawsze przynosiliśmy kaczki. Niestety gdzieś w połowie sierpnia zabawiliśmy się za długo. Wyszliśmy z Wackiem wczesnym rano i cały dzień brodziliśmy po stawach i łąkach i jak się opatrzyliśmy, że trzeba wracać, był już wieczór, a my daleko za Ludwikowem. Wracaliśmy już nocą, niosąc ubite kaczki. Na drodze nie dochodząc Zakamanki spotkał nas pan Szarogrodzki, który jechał linijką szukać nas, bo w domu już wszyscy myśleli, że nam się przydarzyło coś złego. Po powrocie oberwałem sporą burę, ale najgorsze było to, że na drugi dzień już nie zobaczyłem Wacka, bo pan Szarogrodzki odesłał go do Wilna do domu. I tak przez kaczki więcej już się nie spotkaliśmy i nawet nie wiem czy i jak przeżył tę wojnę.

Z Koluńcem Mackiewiczem, moim serdecznym przyjacielem, budowaliśmy samolot. Na naszym podwórku gospodarczym z listew i desek wyprasanych od stolarzy majątkowych, najczęściej za jabłka, zbijaliśmy model naturalnej wielkości. Marzyliśmy, że obciągniemy go płótnem i wyposażymy w silnik i będziemy nim latać. Naturalnie nie mieliśmy zupełnie pojęcia o budowie samolotów, a nikt nam nie udostępnił żadnego popularnego podręcznika z tej dziedziny. Ojciec mój nie miał zupełnie zamiłowania ani najmniejszych zdolności do majsterkowania i nie rozumiał moich potrzeb w tym kierunku tak, że byłem zdany tylko na własne siły.

Gdzieś w połowie lata Rodzice moi urządzili nam spływ kajakowy Serweczą do Liemna. Kajaki przewieziono ze stawów na Serwecz na łąkach za Ludwikowem. Pojechalismy końmi. Pogoda była piękna. W jednym kajaku płynęli moi Rodzice z Grażyną, która kilka dni przed tym upadła z rowerem na żwir jadąc szybko z góry w stronę miasteczka i zdarła sobie solidnie skórę w uda. Cierpiała z tego powodu bardzo, ale zaciskała zęby i udawała, że ja

nic nie boli. W drugim kajaku płynęliśmy we czworo z Danką i Zbyszkim. Kajaki były solidne dwuosobowe, ale na stawach czasem pływalimy nimi nawet w sześciu bez zagrożenia nabrania w nie wody. Serwecz jak większość rzek i rzeczek wyższej Nowogródzkiej, ma bystry prąd i dość kręte koryta. Na wysokości Ludwikowa rzeka ta była granicą między łakami majątkowymi, a łakami rozparcelowanego na osady wojskowe majątku Berezowiec. Łaki wokół Serweczy były naturalne, nigdy nie orane, a bliżej rzeki porosłe w znacznym stopniu łozami i wierzbami. Wszędzie było pełno ptactwa wodnego, a w wodzie pełno ryb. Płynęliśmy dość szybko jedynie sterując, bo bystry prąd niósł sam nasze kajaki. Poniżej łak majątkowych rozciągały się łaki należące do okolicznych wsi. Jak okiem sięgnąć wszędzie widać było łaki ciągnące się szerokim na kilkanaście kilometrów pasem wzdłuż Serweczy i Miemna. U ujścia Serweczy do Miemna była śluza i stał młyn wodny w Poniemóniu. Przeciągnęliśmy kajaki brzegiem i dalej płynęliśmy już Miemnem w dół rzeki na miejsce stałych naszych kąpielni poniżej Poniemónia. W Poniemóniu był wówczas oryginalny most, zbudowany z krótkich tratw ustawionych równolegle z prądem i połączonych wiązaniami w pływający pomost. Gdy jechało się po tym moście wozem, poszczególne belki i przęsła zagłębiały się w wodzie stosownie do obciążenia tak, że jechało się po wodzie. Latem, gdy płynęły tratwy, rozłączano most po środku i jego części spływały i zatrzymywały się wzdłuż brzegów, dając wolną drogę, a następnie podciągano je linami na dawne miejsce i złączano. Wieś Poniemón rozciągała się w większości na prawym brzegu Miemna, na skraju Puszczy Kalibockiej. Poniżej wsi Puszcza dochodziła do samej rzeki rzadką dąbrową. Była to właściwie łaka porośnięta z rzadka olbrzymimi dębami. Większość tych dębów miała średnicę w odzłonku ponad metr, a były i takie których średnica pnia dochodziła do dwóch metrów. Jesienią pod tymi dębami leżały grube warstwy żołądźi, które chłopcy z okolicznych wsi spierali na wozach i zimą karmili nimi swoje świnie. Z Puszczy wychodziły całe stada dzików i tam ferowały. Nad samym Miemnem była piaszczysta plaża, a woda w rzece była tak czysta, że na najbliższych miejscach widać było dno i pływające w głębi ryby.

Gdy wylądowaliśmy na plaży, był już tam Michałko z bryczką, w której były przygotowane w domu przez Mamusię zapasy żywności z lodami owocowymi włącznie. A Mamusia robiła wspaniałe lody. Kiedyś Tataś kupił maszynkę do robienia lodów. Lód był zawsze w Koreliczach w lodowniach przy piarni, gdzie dojrzowsky mery. Brakło więc lodu i okładano maszynkę, a do środka Mamusia dawała świeże truskawki lub maliny zasypane cukrem i zalane słodką śmietanką, no i kręciło się jakiś czas kołem. Takich lodów nie jadłem już nigdy więcej. Jedliśmy i kapali się na przemian prawie do wieczora. Pławiliśmy konie, które wyprzęgnięte z bryczki pasły się przy nas. Pod wieczór przyjechał formal drabiniastym wozem, na który wladowaliśmy

nasze kajaki i wracaliśmy kawał przez most wysokowodny, traktem nalibockim przez Szczorsy, a potem przez Łuki, Krasno, Łaski i Zapole do Korelicz. Droga biegła skrajem łąk, a właściwie wspólnych pastwisk tych wsi, a od strony pól ciągnęły się nieprzerwanie wsie tak, że nie wiadomo było gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga. Dopiero Zapole było wsią ulicówką. Zaczynało się szkołą - pomnikiem Marszałka Piłsudskiego, stojącą nad łąkami na zakręcie drogi.

Szkoła w Zapolu miała swoją krótką lecz ciekawą historię. Pobudowano ją w 1935 - 36 roku. Był to typowy parterowy budynek drewniany z bardzo dużymi oknami i możliwością rozbudowy. Uczyli tam dwaj młodzi nauczyciele - zapaleńcy. Jeden nazywał się Kolendo, a drugiego nazwiska nie pamiętam. Gdy w 1936 roku ukończono szkołę i rozpoczął się rok szkolny, obaj nauczyciele na próżno czekali na uczniów. Białoruscy chłopcy agitowani przez komunistów bojkotowali polską szkołę. Pan Bałemba, kierownik gminnej szkoły 7-o klasowej w Koreliczach, któremu podlegały wiejskie czteroklasowe szkoły na terenie gminy, chciał posłać policję dla przymuszenia mandatami chłopów do posłania dzieci do szkoły, lecz obaj młodzi nauczyciele stanowczo się temu sprzeciwili. Mieli własny gramofon z płytami, radio i sporą księżkę dla dzieci z kolorowymi obrazkami. Zaczęli pojedynczo zawierać z dziećmi znajomość pokazując im ciekawe obrazki, książki i puszczając płyty. Gramofon, radio i ciekawe książki, a przede wszystkim zachowanie się obu nauczycieli spowodowało to, że ludność przekonała się do nich i w niedługim czasie szkoła była pełna nie tylko dzieci, ale i starszych, którzy przychodzili do nauczycieli po porady i wiadomości. Wówczas szkoły nie miały funduszy na tak zwane pomoce naukowe, a obaj ci nauczyciele wszystko kupowali ze własne pieniądze oszczędzone ze skromnych pensji. W krótkim czasie zapisali swoją szkołę do Towarzystwa Turystyczno - Krajoznawczego, z pomocą którego już w następnym roku powieźli swoich uczni na wycieczki. Byli z nimi w Wilnie, a nawet w Warszawie i Krakowie. Niestety wojna przerwała tę pracę, a po tych wspaniałych nauczycielach - wychowawcach ślad zaginął. Nikt z nas nie wiedział gdzie się podzieli, czy ocalili, czy jako oficerowie rezerwy zginęli w jakimś sowieckim łagrze.

Ale w czasie, który opisuję nikt z nas nie przewidywał tego najgorszego, które miało nadejść. Ciągłe mówiono o możliwości nadejścia wojny, a my martwiliśmy się, że jak wkrótce wybuchnie wojna to nie zdążymy nawet powojować, bo napewno prędko się skończy. Wychowywaliśmy się na literaturze powstaniowej i wojennej. W naszym domu co roku latem pełno było oficerów różnych pułków uczestniczących w letnich manewrach, pośród których pełno było kolegów mego Ojca z czasów wojny. Przy posiłkach i wieczorami ciągnęły się nie skończenie wspomnienia walk i potyczek Legionów, VI dywizji gen. Żeligowskiego, w której składzie mój Ojciec z Odessy wrócił przez Rumunię do Kraju i walczył w latach 1919 - 1921 z Ukraińcami, a następnie z bolszewikami.

Miedys słyszałem opowieść pułkownika, który wspominał jak z gen. Sosnkowskim jako szeregowy legionista, wykradali austrijakiom działka z transportu kolejowego. Było to na początku wojny, gdy austrijacy nie chcieli dać I-ej Brygadzie artylerii. Na bocznicę jakiejś stacyjki, nie pamiętam jej nazwy, w Mieleckim stał pociąg z działkami przeznaczonymi dla któregoś austrijskiego pułku. Przy pociągu stały austrijskie warty. Polacy zaobserwowali, że warty te zmieniały się co cztery godziny. Gen. Sosnkowski, wówczas młody oficer legjonowy, wziął odpowiednią ilość żołnierzy przebranych w austrijskie mundury i po dwóch godzinach od zmiany warty, wmaszerował z nimi na stację i gwałtowniej zamienił austrijaków tłumacząc, że taki rozkaz wydano w ich sztabie. Gdy wartownicy austrijscy odeszli, Polacy szybko rozładowali kilka dział i jaszczy i ulotnili się, pozostawiając pociąg bez obstawy. Podobno austrijacy długo szukali swoich dział, ale ich nie znaleźli.

Któryś z oficerów kawalerii wspominał, jak w ich pułku był chorąży mający "na barier" z kompasem. Wyszali go pewnego razu z pięciu ułanami na zwiad no i on zbłądził. Po dłuższym krążeniu po okolicznych lasach wyjechali na drogę, którą akurat jechał bolszewicki sztab batalionu, a za nim szedł cały batalion "bojców". Cofać się było za późno. Chorąży bez zastanowienia z pistoletem w garści podjechał do bryczki sztabowej i ogłosił po rosyjsku, że batalion ów jest okrążony przez dywizję polską i wezwał bolszewików do poddania. Jakiś komisarz chciał chwycić za broń, ale chorąży zastrzelił go, po czym rozkazał żeby dowódca batalionu wydał rozkaz swoim żeby złożyli na jeden wóz zamki karabinów, bo jeśli ktoś tego nie wykona będzie rozstrzelany. Bolszewicy zbaranieli - było to już po uderzeniu z nad Wieprza i Polacy mnożyli się im w oczach. Wszyscy posłusznie złożyli zamki na wóz. Wówczas chorąży odebrał bolszewickiemu dowódcy mapy, a po zorientowaniu się w terenie, ze swoimi pięciu ułanami odprowadził cały wzięty do niewoli batalion do miejsca postoju swego pułku.

Ojciec mój wspominał podporucznika 14-go pułku ułanów, zresztą niczym nie wyróżniającego się, który podczas odwrotu zaspak w jakiejś wsi na woche dzie i gdy obudził się był wśród bolszewików. Nie tracąc głowy wykradł się, porwał swego konia i ruszył na zachód. Szedł skrzywnie omijając bolszewików i zbierając po drodze rozproszonych polskich żołnierzy tak, że gdy doszedł na Lubelszczyznę prowadził cały pułk ułanów.

Major Dillenius z 27 pułku ułanów wspominał jak został ranny na Biełgorodzie i leżał w chłopskiej chacie gdy przyszli tam bolszewicy. Gdy zwiędzieli się o nim, kilkakrotnie przychodzili żeby go wiaść. Za każdym razem major wystawiał na nich lufę szturmowego parabellum, co miało ten skutek, że "dzicini" czerwoni wiali. Tak przetrwał do czasu, gdy mógł ruszyć za swoimi. To i ocalał.

Ojciec mój wspominał jak dostał się, jeszcze w Odessie, wraz z bratem Andrzejem do niewoli bolszewickiej. Zdarli mu mundur i postawili ich wraz z wielu innymi pokapanymi pod ścianą na bulwarze nadmorskim. Przed nimi

stali czerwoni z ckm-em, którzy mieli ich rozstrzelać, a z boku biegły schody na górną ulicę. Oprawcy zatrzymali się z wykonaniem wyroku, bo zauważyli jakichś białych oficerów przebiegających górą i kłócili się o to kto pójdzie ich złapać, a kto "rozwali" już ujętych, stojących pod ścianą. W tym momencie stryj Andrzej złapał Ojca za rękę i pociągnął go na schody i zaczęli wiać, a za nimi rzucili się inni skazańcy. Za chwilę zagrał maksym i ze schodów stoczyły się ciała postrzelanych, ale oni dwaj jakoś zdążyli zwać. Potem Ojciec mój poprzez morze bolszewizmu szedł w kierunku rumuńskiej granicy jako instruktor "dopryzywników" czyli poborowych branych do czerwonej armii. Już był niedaleko granicy, aż gdy jakoś podpadł czekiściom i posadzili go rozebranego do koszuli i bez butów w jakimś prowizorycznym areszcie. Była już zima i były śniegi i mrozy. Pewnej nocy uciekł udając, że idzie za swoją potrzebą i boso, w samej koszuli przedostał się do Dniestru, który wówczas był granicą i po łodzi przeszedł do Rumunów. Patrol graniczny rumuński odstawił go do strażnicy. W tym czasie Rumuni, obawiając się dywersantów bolszewickich, odsyłali wszystkich złapanych na granicy spowrotem do bolszewików i Ojcu groziło to samo, no a bolszewicy takich "bieżeńców" poprosru ubijali. Na szczęście dla Ojca do strażnicy przyjechał oficer rumuński, który znał Ojca z gimnazjum w Odessie i kazał go zatrzymać do wyjaśnienia, a sam wysłał wiadomość do Dywizji gen. Żeligowskiego, gdzie oprócz mego Ojca służył także jako rotmistrz mój dziadek Juliusz. Przysłano papiery i Ojciec po wyleczeniu zapalenia płuc, którego się nabawił brnąc boso przez śniegi, powrócił do pułku.

Takie i tym podobne wspomnienia i opowiadania były na porządku dziennym i wraz z literaturą wojenno - patriotyczną kształtowały nasze umysły. A ponieważ nasze książki czytali również nasi koledzy - synowie pracowników majątku - i oni kształtowali podobnie swoje uczucia i poglądy.

Marzenia o przyszłości nie przeszkadzały nam korzystać ze swobody wakacji i pięknej letniej pogody.

Kiedyś skleiliśmy ze Zbyszkiem Szydelskim balon z bibułki na ciepłe powietrze i puściliśmy go w powietrze, umieszczając pod nim odpowiednio przygotowany palnik - kłębek waty umoczony w denaturacie. Balon wzleciał spośród nas zgromadzonych na gazonie przed domem i poszybował w stronę młyna Benina na Załamankę. Sensacja była wielka - gromady mieszkańców naszego miasteczka, gdzie przeważali Żydzi, biegły w stronę lotu naszego balonu, który szybował na wysokości około stu metrów nad ziemią. Powstała nawet plotka, że to niemiecki balon. Na miejsce, gdzie nasz balon lądował z braku paliwa, zleciała się gromada gapiów, a nawet przybiegł policjant. Niestety podczas lądowania wysuszona bibułka zapaliła się i nasz balon spłonął.

Już pod koniec lata wynaleźliśmy świetną zabawę, w której nie brała udziału starsza część naszej paczki. Na oborze było pełno siana.

Zrobiliśmy w nim pod dachem korytarze i różne schowki i chowaliśmy się tam, zwłaszcza wtedy, gdy psuła się pogoda. Mieliśmy nawet tam zapasy żywności w postaci jabłek, gruszek i landrynek.

Kiedyś pojechaliśmy końmi w niedzielę na stawy. Było akurat dość chłodno tak, że nie mieliśmy się kąpać a tylko pływać kódką. Okazało się, że kódkę urwała się z uwięzi i odpłynęła, pchana wiatrem, na środek stawu. Dania Gracka, moja szkolna koleżanka, która bardzo mi się podobała i do której po cichu wdychałem, wyraziła zmartwienie, że nie można będzie popływać kódką. Na to ja szybko rozebrałem się i mimo protestów Wisi, popłynąłem i przyprowadziłem kódkę. Po tym zmarłem solidnie w mokrej bieliźnie, ale byłem dumny z wyczynu, z ponieważ byłem już gimnazjalistą i uważałem się za kawalera.

Wakacje szybko mijały i nie opatrzyliśmy się jak nadszedł koniec sierpnia. Krótko przed końcem sierpnia przyjechał wuj Staś Szydelski i zabrał Danke i Zbyszka, a krótko po tym przyjechał wojskowy samochód z Grodna po Grażynę. Wuj Bogdan sam już nie mógł przyjechać bo miał dużo pracy w DOK. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Wreszcie przyszła wiadomość, że ogłoszono powszechną mobilizację. Rano Tatusz telefonował do Nowogródka do Syndykatu Rolniczego z zapytaniem o cement. Dyrektor Syndykatu pan Kordiak odpowiedział, że wprawdzie cement jest, ale i tak nie będzie Ojcu potrzebny, bo jest ogłoszona mobilizacja. W dwie godziny potem w miasteczku były już wywieszane plakaty mobilizacyjne. Tatusz kazał mi pojechać na posterunek policji i zobaczyć, które roczniki i kategorie obejmuje mobilizacja. Przed posterunkiem był już tłum mężczyzn i wszyscy chcieli się dowiedzieć czy podlegają natychmiastowej mobilizacji. Na posterunku było już wtedy ponad dwudziestu zmobilizowanych z rezerwy policjantów i dowodził nimi jakiś przysłany świeżo starszy sierżant, a nie pan Świerkowski, który był o ile pamiętam plutonowym. Wszyscy oni byli w mundurach wojskowych i saperkach z brązowymi cholewami. Z plakatów nie można było nic zrozumieć. Krótko po mnie przyszedł pan Szarogrodzki i pożyczył jeden plakat. Wróciliśmy do domu, gdzie czekali już w kancelarii z Tatusiem rządowic i pisarze. Zagłębili się zaraz wszyscy w studiowaniu ogłoszenia i długo dyskutowali nad tym, że rozporządzenie było tak zagmatwane, że właściwie trudno było z tego wywnioskować kto podlega natychmiastowemu stawiennictwu, a kto z opóźnieniem. Wreszcie doszli do wniosku, że między innymi muszą zjechać: Tatusz, pan Ostrowski, pan Szarogrodzki i pan Rzewuski, a także Michałko i kilku fernali. Rankiem 31 sierpnia z przed naszego domu wyjeżdżali bryczką do Nowogródka: Tatusz, pan Ostrowski, pan Szarogrodzki, pan Rzewuski i Michałko, a wiozł ich starszy fernal. Drugą bryczką jechali pozostali zmobilizowani z majątku. Hanusia pożegnała Tatusia bukietem róż z ogrodu i gdy już ruszali - znakiem krzyża. . .

Przyszedł telegram od wujka Dzierżyka, że wysyła Babcie do nas, bo nie

chce jej samej zostawiać w Krakowie, gdzie wówczas mieszkali, a sam idzie do wojska. Pociąg, w którym Babcia jechała, miał według rozkładu przyjechać do Horodzieja pierwszego września rano. Jeszcze nocą Mamusia pojechała kołami na stację po Babcię, a myśmy z Wisią zostali sami. Było ogłoszenie przez radio, że nauka w szkołach rozpocznie się od początku października więc mieliśmy przedłużone wakacje. W Koreliczach na czas nieobecności powołanych do wojska miał gospodarzyć pan Rościszewski - dotychczasowy pisarz, a w Przecieniewiczach był wuj Goździcki - mąż siostry Ojca - cioci Tereni, który krótko przed wojną stracił posesję gdzieś na południu Polski i sprowadził się do nas. Po przyjeździe ich była mowa o tym, że miał do spółki z Ojcem kupić jakąś resztówkę i tam gospodarzyć, potem w związku z przewidywaną mobilizacją były projekty, że jak Ojciec pójdzie do wojska to on w zastępstwie będzie gospodarzyć w majątkach hrabiny Żółtowskiej, ale skończyło się na szczęście na niczym, bo był to człowiek lekkomyślny i mało warty i mógłby z takiego zastępstwa mieć Ojciec tylko kłopoty. Właściwie nim wrócił pan Ostrowski, w Przecieniewiczach gospodarzył starszy robotnik Lisza Łazarewicz, starszy brat Koli - dawnego furmana z Korelicz.

Rano 1-go września ogłoszono przez radio, że rozpoczęła się wojna i gdy po południu przyjechała Mamusia z Babcią, my z Wisią przywitaliśmy ją tą wiadomością. Tam na Kresach była to wiadomość z daleka, bo poza nią narażenie nie się nic zmieniło. Po niejakim czasie wrócili panowie Ostrowski, Szarogrodzki i Rzewuski - jako ponad kontyngentowi mieli czekać na imienne wezwania.

W miasteczku niedaleko posterunku policji postawiono wieżę, na której wyposażeni w lornetki dyżurowali chłopcy z miasteczka należący do Iłodej Polski. Mieli oni ostrzegać przed ewentualnymi nalotami. Zazdrościłem im i zgłosiłem się do urzędu gminy i razem ze Zbyszkim Grackim pełniliśmy funkcję gońców - jeździliśmy rowerami do sołtysów poszczególnych wsi z poleceniami i nakazami z gminy. Mieliśmy wyznaczone godziny dyżurów, których sumiennie pilnowaliśmy. Z poleceniami urzędu przekazywanymi przez nas było różnie. Większość sołtysów polecenia te przyjmowała i zaraz wykonywała, ale zdarzyło się i tak, że sołtys w Zapolu, któremu zawieźliśmy nakaz odstawy pewnej ilości zboża dla wojska, odpowiedział, że Zapole nie wykona tego polecenia. Po powrocie do gminy i zapytaniu o tym, pan Gracki powiedział nam, że więcej już tam nie pojedziemy, a tym zajmie się policja. Ma zbierać dla wojska zboże zarekwirovano połowę spichrza w majątku i tam zwożono je z okolicznych wsi i majątków.

Drugiego dnia wojny miałem przykrośdzarzenie - na nasze podwórko gospodarze, gdzie budowaliśmy z Doluńcem latem nasz samolot, przyszło kilku młodych chłopaków ze wsi z za miasteczka i zaczęli wszystko plądrować. Nikogo z dorosłych w pobliżu nie było i nie mogłem sam ich wypędzić. Powiedzieli mi wprost, że "nie długo wasze panowanie się skończy". Nie wiedziałem wtedy co to znaczy, a oni już wiedzieli o mającej nastąpić nawałe bolszewickiej.

Połamali mój samolot i wreszcie sobie poszli. Wówczas pierwszy raz w życiu poczułem się nieswojo i jakoś niepewnie.

Trzeciego września rano przyjechała samochodem z Nowogródka pani Sokolnicka ze starą matką, służącą, trzema synami i Jurkiem - synem pani Wadasowej z pierwszego małżeństwa. Przysłała ich pani Wadasowa, ponieważ w ich mniemaniu Nowogródek mieli Niemcy bombardować. Opowiadali, że nad Nowogródkiem latał niemiecki bombowiec. Państwo Sokolniccy mieszkali na zachodzie Polski i ewakuowali się do Nowogródka jako do miejscowości oddalonej od ewentualnego teatru wojny i zamieszkali początkowo u państwa Wadasów, bo byli z nimi spokrewnieni. W związku z opowieściami o bombardowaniach niemieckich wykopaliśmy w parku kilka rowów przeciwlotniczych. Sokolniccy okazali się bardzo rozbrykanymi chłopcami. Nie miałem z nimi wspólnych zainteresowań i nie zaprzyjaźniliśmy się zupełnie, a nawet miałem do nich żal, bo połamali mi do reszty mój samolot.

14-go września nagle przyjechał samochodem z ppor. Rulikowskim Tatuś. Z rozkazu płk. Zeba Kownackiego, dowódcy Ośrodka Zapasowego Kawalerii w Zapiguzie pod Lukowem, gdzie Tatuś miał przydział, przywieźli samochodem podporucznika Rulikowskiego ojca pułkownika, ponieważ starszy przyjechał do pułkownika w przeddzień wybuchu wojny, był chory i prawie niedołączny, a niemieckie kolumny zbliżały się do Lukowa. W Ośrodku Zapasowym był nadmiar oficerów, ponad tysiąc świeżo powołanych rezerwistów, pełne magazyny amunicji wszelkiego rodzaju, a broni prawie nie było, tak że o obronie nie było nawet mowy. Całość miała być przeniesiona dalej na wschód, a nie było transportu i pozostawał jedynie marsz pieszy. W tych warunkach pułkownik musiał odesłać swego ojca w jakieś możliwie bezpieczne miejsce, a ponieważ wiedział o Koreliczach więc wysłał go do nas. Nie wiem jak pułkownik Zeb Kownacki ustrzegł się niewoli, ale po zakończeniu działań znalazł się w Warszawie i mimo podeszłego wieku - był majorem carskiej armii, a następnie dowódcą pułku kawalerii w dywizji gen. Żeligowskiego, - włączył się w walkę podziemną. Podczas okupacji jako mężczyzna w podeszłym wieku udawał przed Niemcami starego carskiego oficera - białogwardziewca, co mu się przez dłuższy czas udawało, a równocześnie miał w swoim mieszkaniu skrzynkę kontaktową ZWZ-AK. W końcu Niemcy przy jakiejś wyspie doszli kim był naprawdę, a znalazłszy u niego w mieszkaniu moc obciążających go papierów, aresztowali go i zamordowali.

Ale wracając do wątku opowiadania - stary pan Kownacki był zupełnie chory i niedołączny. Opiekował się nim żołnierz - sanitariusz. Ponieważ u nas nie było wolnego miejsca z powodu obecności Sokolnickich, Tatuś zawiózł ich do Przecieniewicz do cioci Tereni. Gdy wrócił był już późny wieczór. Tatuś był mocno przeziębiony i obaj z panem Rulikowskim nie spali podczas jazdy przez kilka nocy tak, że zaraz po kolacji poszli spać. Rano następnego dnia pojechali do Nowogródka do PKU zameldować się i prosić o skierowanie gdzie mają szukać swojej jednostki. Komendant PKU polecił im jechać do Pińska,

gdzie podobno miały się zbierać rezerwowe oddziały kawalerii. Ponieważ pan Rulikowski nie miał benzyny i już w stronę Korelicz jechali na zdobytym w jakiejś aptece spirytusie, więc Tatuś posłał do Wereskowa Misiulę z prośbą żeby dali z gorzelni bańkę okowity. Misiul jeździł końmi i wrócił wieczorem z bańką od mleka pełną okowity. Tymczasem pan Rulikowski rozbierał i czyścił gaźnik, zawory i świece w swoim samochodzie, bo jak mówił z powodu jazdy na spirytusie i denaturacie samochód nie dawał gwarancji dojechania do Pińska.

Najazd bolszewicki.

Rano 16-go września latał nad Koreliczami i okolicą sowiecki samolot rozpoznawczy, a w niedzielę 17-go września od świtu na trasie od strony Mira pojawiły się samochody różnych marek, wszystkie pędzące w stronę Karcz Kowogródka. Tatuś z panem Rulikowskim właśnie kończyli śniadanie i mieli odjeżdżać do Pińska, gdy wbiegł pan Rościszewski trzymający karabin w ręku i trzęsącym się głosem oznajmił: "bolszewicy w Nieświeżu". Policja zarządziła dwóch furmanek z majątku dla ewakuacji. Pojechali dwaj młodzi fornale jeszcze nie żonaci. Policja i KOP-iści z miasteczka zakładowali się na te wozy zabierając broń i pojechali w stronę Kowogródka. Po kilku dniach wrócili fornale i opowiadali, że dojechali aż do litewskiej granicy. Kilkakrotnie doganiały ich sowieckie czołgi, lecz doładowany całością starszy sierżant kładł wówczas swój oddziałek w poprzek drogi i rozpoczynał ogień no i bolszewicy odstępowali.

Hanna msza św. w naszym kościele odprawiana przez ks. Pączka została skrócona, ksiądz udzielił wszystkim obecnym absencji i rozdał Komunię św. szybko się ubrał w swój kombinezon i też wyjechał swoim motocyklem na zachód. Tatuś pożegnał się z nami i pojechał z ppor. Rulikowskim zmieniając trasę zamiast do Pińska na Wilno. Mamusia początkowo zastanawiała się czy nie wyjechać z nami do Kowogródka, ale po namyśle zostaliśmy na miejscu. Pan Szarogrodzki wziął swój sztucer myśliwski przez plecy osiodłał konia wyjazdowego i przyszedł się pożegnać. Dałem mu jeszcze z Tatusia zapasów naboje do sztucera, bo swoich miał mało, a Wisia powiedziała, że szkoda jej naszego ogiera anglosaraba, ślicznego szpaka, żeby go wzięli bolszewicy. Pan Szarogrodzki przerzucił bez namysłu siodło na ogiera i pognął za policją. Po powrocie fornale mówili, że ogiera zostawił w Bolcienikach i dalej pojechał z policją.

Cały dzień aż do wkroczenia Sowietów do Korelicz, latały ich samoloty i obrzucały trakt i teren wokół niego marami bombami. Zakopaliśmy broń i pochowaliśmy pamiątki. Przyszedł ojciec Kławdzi - naszej służącej, który był oborowym i powiedział Mamusi, że jak chce to może wysłać nas z Kławdzią do jego matki do Podhajnej. Mamusia, obawiając się pierwszych chwil po wkroczeniu bolszewików, które zwykle były najgorsze, wysłała nas. Jechaliśmy małym wozem jednokonnym takim jakim jeździli w tamtych stronach chłopci.

Po drodze we wszystkich majątkach panował duży ruch. Jedni zaprzęgali w pośpiechu konie i zabierali co im wpadło pod rękę i uciekali, inni chowali co mogli. Mniej więcej w połowie drogi spotkaliśmy sowieckie czołgi i już dalej jechaliśmy wśród nich. Worończy przejeżdżaliśmy koło dworu i widzieliśmy z daleka młodych Czarnockich stojących w gromadzie dworskich przyglądających się sowietom. Pod wieczór dojechaliśmy na miejsce. Babka Kławdzi dała nam jeść i zostaliśmy w chacie sami, bo wszyscy ze wsi stali przy drodze i przyglądali się przeciągającym wojskom sowieckim. W chacie było pusto, tylko po kątach leżały kupy zboża. Kławdzia uszła nam i sobie legowisko na noc z pościeli, którą zabraliśmy z domu z łóżek Rodziców i poszliśmy spać. Babka, gdy wróciła, wygramoliła się na piec, a ciotka Kławdzi spała na ławie. Na drugi dzień z rana Kławdzia z ciotką pojechały do Korelicz dowiedzieć się co tam słychać i co z nami robić. Tymczasem przez wieś ciągle szły wojska sowieckie. Dzień wstał ponury i pochmurny, mglisty, taki prawdziwie jesienny. Wyszedłem na drogę i przyglądałem się ciągnącym bolszewikom. Wyglądali jak oberwańcy. Płaszczki postrzępione i brudne, buty koszlawe i podarte, karabiny na sznurkach zamiast pasów, bagnety albo zatknięte na karabiny, albo zasadzone byle jak za pasem lub przywiązane do karabinu drutem. Konie w artylerii i w taborach po przejściu tych stu kilometrów od granicy wyglądały jak zdychające szkapy. Niektórzy dowódcy jechali na koniach podobnie wyglądających. Wszyscy byli nie ogoleni i brudni. Gdy przypomniałem sobie nasze wojsko nawet wracające z manewrów to było niebo do ziemi. Chłopi niby przyjaźnie witali "wyzwolicieli" ale widać było w ich oczach niepewność i lęk przed nieznanym. Opowiadali, że podobno złapali sowietów jakiegoś policjanta i zamęczyli go tłukąc mu głowę o progi chłopskich chat. Wieczorem przyjechała Kławdzia z tym, że Mamusia kazała nam wracać do domu. Na drugi dzień wyjechaliśmy spowrotem. U babki zostawiliśmy pościel i jechaliśmy jako dzieci drugiej ciotki Kławdzi, która mieszkała w Horodzieju. Ciotka Kławdzi ułożyła tą bajeczkę już we wsi dla odwrócenia od nas uwagi sąsiadów, a w drodze powtarzała ją zatrzymującym nas i rewidującym parokrotnie wód w poszukiwaniu broni. W tej wersji przyjechaliśmy do babki na wieś z Horodzieja, bo baliśmy się bombardowania, a obecnie wracaliśmy do domu. Pytającym dlaczego nie mamy przepustek z komitetu - odpowiadała o jakimś napadzie polskich dywersantów na wojsko sowieckie koło wsi Podhajnej i z tego powodu pominięciu zamieszaniu we władzach ludowych. Słuchający kręcili głowami, że w końcu puszczali nas pomimo braku tych przepustek. Mnie obwiazęły głowę chustką, że niby mnie strasznie boląły zęby, a misię przebrały na wiejską dziewczynę. Koło wsi Kozaki widzieliśmy dwóch bolszewików prowadzących aresztowanego mężczyznę. Podobno był to rządcą z sąsiedniego majątku. W tej okolicy zaraz po wejściu zamordowali starszego już mężczyznę - właściciela niedużego folwarku, znanego w całej okolicy z tego, że gdy tylko któryś chłop z okolicy przyszedł do niego z biedą,

że mu padła krowa lub miał pożar, człowiek ten dzielił się z chłopem czym miał - dawał krowę lub jaźówkę, drzewo z lasu na budowę lub pieniądze. Sam żył bardzo skromnie. Ale ponieważ nie potwierdzał bolszewickiej teorii o panach "krwiopijcach" więc musiał zginąć.

Po drodze spotykaliśmy pełno zepsutych czołgów i samochodów "zwycięskiej armii". Ledwo to się trzymało kupy i na prostej drodze psuło.

Dojechaliśmy dołem koło "browaru" pod ogrodzenie parku i przez ogród poszliśmy z Klawdzą do domu. Mamusia przy powitaniu rozplakała się. Ucałowała Klawdzą dziękując jej za opiekę nad nami i odprawiła ją do jej rodziców żeby nie miała przykrości za to, że pomagała nam.

Po domu ciągle kręciło się pełno sowieckich żołnierzy i komandirów oglądających wszystko i biorących co się im spodobało. Następnego dnia po naszym powrocie z Podhajnej, traktem na wschód sowieci pędzili polskich żołnierzy wziętych do niewoli. Konwojowali ich konni i piesi krasnoarmiejcy. Szli czwórkami, długą kolumną. Byli nieludzko głodni i zmęczeni, bo nie dawali im jeść, a kobiety chcące im coś podać odpędzali konwojenci bagnetami. Na przydrożnych ogrodach żydowskich leżały pozostałe ogórki nasienne, ale gdy chcieli je zabierać sowieci ich bili i pędzili do szeregu. Patrzyliśmy na to z drogi za naszym podwórkiem, a obok nas stały kobiety z majątku. Wszystkie były tym widokiem przejęte, a niektóre płakały. Komorowska - żona kowala z płaczem odwróciła się do Mamusi z westchnieniem: "Czy to już wszystko z przepadło? Czy my już tak zginiemy?". Jeden z jeńców uciekł z postoju, który zrobili sowieci na placu targowym pod miasteczkiem. Dogonili go konni na majątkowym polu i poprostu na miejscu zabili, nie troszcząc się o trupa. Później pracownicy majątku pochowali go tam gdzie zginął, bo komitet nie pozwolił na pogrzeb "biskopolaka". Przyszła wieść, że w Rucie parobek zarządził nożem/starych już ludzi - właściciele tamtejszego małego folwarczku. Podobno był to ich wychowanek, który po tym "wyczynie" zgłosił się na ochotnika do MKWD. Dozrzył też nas słuchy, że bolszewicy wymordowali w Szczorsach oddział wycofujących się KOP-istów, czterdziestu żołnierzy KOP-u wycofywalę się od strony Kalibok na Nowogródek i w Szczorsach po przejściu przez nich mostu na Kiemnie, otoczyły ich sowieckie czołgi. Gdy KOP-ści poddali się i zostali rozbrojeni, sowieci zwołali miejscową jacejkę bolszewicką i ci mocno podpieli z radości z "wyzwolenia" chłopów - bolszewicy wymordowali żołnierzy siekierami. Po tym nawet trupów nie pogrzebali i psy i drobne zwierzęta rozciągały ludzkie zwłoki i rozbryzgane mózgi. Dużo później już w Nowogródku opowiadała Mamusi o tym szczegółowo córka ogrodnika ze Szczors, która pracowała razem z Mamusią w ambulatorium.

Podczas naszej nieobecności, zaraz po wkroczeniu sowieców przyszedł Choćko owinięty białym szalem wokół szyi z naganem w garści i wymachując nim straszyc Mamusią. Był to syn gospodarza z Rutycy, który ukończył przed wojną Wydział Leśny na SGGW w Warszawie i nawet z odznaczeniem, ale zaplątał się w działalność komunistyczną jeszcze na uczelni i siedział na woli u ojca

działając w nielegalnej partii. Teraz został pierwszym prezesem komitetu w Koreliczach i udawał bolszewika z siedemnastego roku. Swoją siostrę też komunistką wyznaczył na zarząd majątkiem i grabili po nocach co się dało... każdym razie całe zboże zebrane dla wojska polskiego i zmagazynowane tymczasowo w wydzielonej części spichrza oraz większą część zboża majątkowego wywieźli po nocach. Z pracowników majątku był w majątkowym Komitecie Hala Łazarewicz, ale on nic nie mógł z Choćkówną poradzić i właściwie na początku rządzili tylko Choćkowie.

Na początku wojny był nakaz władz polskich żeby zdawać wszystką broń. Od nas policja wzięła tylko spis posiadanej broni i zakazała strzelania. Po wejściu bolszewików Choćko wraz z zorganizowaną na prędko milicją, którą zresztą krótko po tym sowieci rozbili i rozpędzili, kazał Mamusi zdać całą broń. Pawlik odkopał i zaniósł na dawny posterunek policji, gdzie teraz "urzędowali" milicjanci, a Mamusia musiała z nim iść. Na posterunku zaczęli najpierw szydzić z "panów", a potem rozebrali naszą broń. Okazało się przy tym, że policja w pośpiechu ucieczki nie spaliła swoich papierów i sowieci mieli między innymi spis naszej broni. Na szczęście oprócz ustnych wydrwiwań nie spotkało wtedy Mamusi nic złego. Dziękowaliśmy Panu Bogu, że Ojciec nie zdążył odbudować i uruchomić gorzelni w Koreliczach, bo gdyby w pierwszych dniach mieli dostatek spirytusu to mogłoby być tragicznie.

20-o września już późnym wieczorem przyszedł NKWD-ista z dwoma milicjantami w sprawie broni. Męczył nas ze trzy godziny dowodząc, że część naszej broni schowaliśmy. Miał ten nieszczęsny spis. Robili rewizję szczegółową w całym domu. Wypytywał się nawet o ozdobne toporki, zrobione kiedyś jeszcze w Lubomle przez mego Dziadka. Zabrali nawet noże myśliwskie i starą złamaną karabellę herbową. Nocą Mamusia usłyszała głosy i kroki wokół domu. Wyszła zobaczyć kto to chodzi i okazało się, że Fornale uchwalili między sobą, że trzeba nas pilnować, żeby ktoś nocą nie zrobił nam krzywdy no i wystawili z pośród siebie warty, które na zmiany całymi nocami krążyły wokół naszego domu.

Zaraz pierwszego dnia sowieci wybrali wszystkie konie majątkowe, zostawiając swoje już zdychające. Część z nich udało się Fornalom odkarmić i potem sprowadzić w sowchodzie, który powstał z majątku. Nasza klacz - Lotna, którą Ojciec kupił po sprzedaniu w 1938 roku na jesieni naszego kuca majorowi Dilleniusowi dla jego dzieci, osiodkali dla jakiegoś znaczniejszego komandira. Gdy bolszewik jej dosiadł, klacz w jednej chwili zrzuciła go tak, że rozbił sobie mordę o kamień. Drugi odważny też wylądował na ziemi. Wtedy zaczęli ją bić tak, że aż ją pokrwawili i po tym już dała się wzięść i przepędzić.

NKWD-ista zwołał na podwórzu zebranie robotników majątkowych i namawiał ich żeby "zarządzili bakinię", czyli Mamusię. Dłuższy czas nie dawał im z tym spokoju, aż któraś kobieta powiedziała mu, że "przecież ona i tak ledwo chodzi, taka chudziątka i biedna" i to go przekonało. Namawiał też ich żeby z majątku zrobili kołchoz, ale oni zgodnie orzekli, że był majątek hrabiowski

i źle im nie było to teraz niech będzie sowchoz sowiecki, a oni kołchozu nie chcą. No i został w Koreliczach sowchoz, a w Przecieniewiczach zorganizowali odrazu kołchoz. I tak pierwsza obietnica dawana w ulózkach, że ziemię pańską dostaną chłopci, odrazu nie została spełniona, bo chłopci z okolicznych wsi nie dostali jej ani kawałka.

Już 23 września od rana zapowiedzieli nam, że nas wyrzucą z domu. Naszło pełno milicjantów i komandirów, kazili po całym domu, wszystko ruszali i przewracali w rzeczach. Trwało to do późnego wieczora, ale w końcu sobie jednak poszli. Ostatnią noc spaliliśmy w naszym domu. Następnego dnia od rana znów znalazło pełno milicji i wojskowych. Zapowiedzieli, że dają nam zabrać bieliznę i rzeczy osobiste, jeden stół, cztery krzesła, cztery łóżka i szafę z korytarza. Przydzielili nam mieszkanie w browarze. Chockówna specjalnie wybierała najbrudniejsze mieszkanie. Jego mieszkańców przeniosła do mieszkania pana Szarogrodzkiego, gdzie pozostała jedynie ciotka, która mu gospodarzyła, więc Chockówna uznała, że ma za duże mieszkanie. Po decyzji Chockówny o przydzieleniu nam mieszkania, samorzutnie dziewczyny - pracownice majątku wysprzątały i wyszorowały je, a na konice wybieliły wapnem. Tymczasem zaczęli nas wyrzucać. Podstawili wóz na nasze rzeczy. Pracownicy majątku hurmem wpełchali się do domu pomiędzy bolszewików, wynieśli oddane nam rzeczy na wóz, a potem zaczął się dosłowny rabanek. Każdy z pracowników łapał co mógł, wydzierając poszczególne rzeczy z rąk milicjantów i komandirów i wynosił do siebie. Kasia Straszówna złapała cwałne lustro z sypialnego pokoju Rodziców, pochodzące z Pacy i wyniosła je, a podlewać sowieci nie dawali zabierać mebli, któryś z milicjantów zagroził jej drogę nie chcąc jej z tym lustrem wypóścić. Kasia nie wiele myśląc kopnęła go tak, że się zwinął i wybiegła zabierając lustro. Staś Straszko złapał Wisi rower i wyniósł go do swego domu, potem wrócił i zabrał ze spiżarni worek cukru. Wszyscy oni łapali co się dało i wynosili, a po przewiezieniu nas do browaru, wieczorem przynosili nam wszystko co zdołali zabrać. Było wielkie oburzenie, gdy jedna z dziewcząt zjadła słoiczek konfitur, a nie odniosła go nam. Przydzielili nam bolszewicy cztery litry mleka dziennie i pozwolili korzystać z ogrodu warzywnego.

Komitet nakazał, że mamusia ma iść doię krowy, ale kobiety sprzeciwiły się temu stanowczo no i bolszewicy dali mamusi spokój. Mleko dziewczyny po udojeniu przynosiły i jak Chockówna nie widziała, to była pełna bańka, a nie te cztery litry. Zaraz wieczorem przyszedł Chockó zobaczyć jak wygląda nasze "nowe" mieszkanie i pewnie myślał, że będzie mógł podrzeć z brudu i nędzy, ale zastał już czystą izbę, a mamusia prosto wyrzuciła go za drzwi, bo akurat kończyła porządkować rzeczy. Na drugi dzień, na polecenie Koli Lazarewicza, przywieźli nam drzewa z lasu, bo naszego nie dali nam zabrać z komórki. Tak samo naszego drobiu i świnek nie oddali nam, a "upaństwowili" je.

Ponieważ w przydzielonej nam izbie było ciasno, więc Sonia przeniosła się do państwa Rościszewskich, a komitet kazał jej nadal opiekować się naszym drobiem.

Mamusia zawsze miała w domu dużo różnych kwiatów doniczkowych. Gdy nas wyrzucali prosila żeby mogła rozdać kwiaty kobietom z czworaków, ale nie pozwolili, a na drugi dzień wszystkie nasze kwiaty leżały przed domem połamane i z potłuczonymi doniczkami. W naszym domu kwaterowało wojsko, a meble rozebrali pomiędzy siebie milicjanci i komitękowi ze wsi, część mebli połamali, a fortepian i duże stojące lustro z salonu zostało na miejscu, bo było za wielkie.

Sokolnickich Chockówna przeniosła do jednego pokoju wkr w browarze obok nas, a w kilka dni potem wynajęli furmankę i wyjechali do Nowogródka.

W kilka dni, z pomocą Boluńcia, porąbałem przywiezione nam drzewo i ułożyliśmy je w korytarzu przy naszym mieszkaniu.

Do komitetu w majątku wszedł Kola Łazarewicz i kilku innych pracowników i bronili jak mogli całości majątku, ale Chockowie z wiejskimi rozciągnęli co mogli. W stosunku do nas wszyscy pracownicy majątku zachowywali się bardzo życzliwie.

28 września przyjechała ciocia Terenia - dostała zezwolenie na wyjazd do Nowogródka i przejeżdżając wstąpiła. Nie dali jej też zabrać wszystkich rzeczy. Uradziły z Mamusią, że zabiera Wisię i mnie ze sobą, a Mamusia z Babcią zostaje tymczasem w Koreliczach. Jechalem rowerem Wisi, a ona z Ciocią na wozie. Spotykaliśmy oddziały sowieckie idące traktem, a także po trosze polskich żołnierzy bez pasów, a zamiast orządków z czerwonymi kokardkami, idących po kilku. Byli to nieliczni zresztą żołnierze, przeważnie Białorusini, puszczeni wolno po rozbrojeniu przez sowieków i teraz wracający do domów. Tak udało się wrócić między innymi i Michalkowi.

Na szczęście nikt nas nie zaczepiał i spokojnie dojechaliśmy do Nowogródka. Wisię przyjechali państwo Modzelewscy, zaprzyjaźnieni z przed wojny z naszymi Rodzicami. Pan Modzelewski był wyższym urzędnikiem w Wojewódzkiej Izbie Skarbowej w Nowogródku i miał mieszkanie w jednym z bloków urzędniczych na Kolonii Urzędniczej. Nie natomiast przyjechali państwo Stankowie mieszkający przy ul. Piłsudskiego. Pan Stank był przed wojną dyrektorem Izby Rzemieślniczej w Nowogródku, a poprzednio burmistrzem Zdzięcioła. Mieli syna - jedynaka Zaniśka, starszego o trzy lata ode mnie, uczącego się przed wojną też u Jezuitów w Wilnie.

Przez Nowogródek ciągle przechodziły wojska sowieckie. Oglądaliśmy ich najprzeróżniejsze czolgi i samochody pancerne. Były między nimi i kolosy uzbrojone w dwa działka z krótkimi lufami w dwóch oddzielnych wieżyczkach i kilka karabinów maszynowych ustawionych równomiernie dookoła ze wszystkich stron. Były one wysokie i musiały mieć słabe silniki w stosunku do swej wagi, bo z trudem wdrapywały się pod górę na ulicy 3-go Maja. Ale tych kolosów było bardzo mało, a większość to były lekkie czolgi, zresztą też słabe i ciągle psujące się w drodze.

Po południu 1-go października przyjechała Mamusia z Babcią. Chocko nie chciał dać koni z majątku, a w miasteczku nikt nie chciał jechać na podwoje.

za pieniądze, więc fornale złożyli się i najęli dwie furmanki płacąc za nie własnym zbożem. Mieli co prawda zboże, bo Tatusz odchodząc do wojska kazał wszystkim wydać deputaty należne do końca roku, ale nikt nie wiedział jak długo będzie musiał się tym obywać. Myśmy nie mieli zupełnie zboża, bo Checko nic nam nie wydał, choć Tatusiowi należało się sporo deputatu, którego nie odebrał. Dojarki włożyły na wóz Mamusi pełną bańkę mleka, a dwóch młodych pracowników jechało z Mamusią pilnując, żeby Jej po drodze ktoś nie obrabował. Mamusia z Babcią zatrzymała się w oficynie domu państwa Łazowskich. Przeniosłem się zaraz do Mamusi, a Wisia pozostała jeszcze u państwa Łodzelewskich, a my z Mamusią przez następną dwa dni szukaliśmy mieszkania. Niezyscy bali się przyjęcia uciekinierów ze wsi, gdyż obawiano się powszechnie uznania za przyjaciół "panów i urzędników" polskich. Wreszcie trzeciego dnia poszukiwań Mamusia znalazła mieszkanie w domu należącym do Łojmanów. Byli to osadnicy wojskowi, którzy przenieśli się do Nowogródka i zajęli się handlem, otwierając sklep spożywczy przy ulicy Kościelnej w pobliżu Kolonii Urzędniczej. Sklep mieścił się w ich własnym domu, w którym mieszkali, a drugi dom mieli koło cmentarza, w którym mieszkania wynajmowali. Dostaliśmy mały pokój z kuchnią i gankiem. Plac na którym stał ten dom przylegał do ulicy cmentarnej i sąsiedował z terenem cmentarza. W tymże domu mieszkali starsi państwo Rymaszerwcy, zajmujący trzypokojowe mieszkanie w drugiej połowie domu, a dwa pokoje z naszego mieszkania zajmowali młodzi państwo Rymaszewscy. Starszy z pan był urzędnikiem, a młodszy - pan Kłutek był geodetą. Na pożegnanie pani Łodzelewska dała Wisi słoik kompotu. Urządziliśmy się dość szybko, bo nie mieliśmy dużo rzeczy i Mamusia zaczęła szukać jakiejś pracy, bo nie mieliśmy zupełnie pieniędzy, a robota się coraz większa drożyzna.

Dowiedzieliśmy się, że podczas wkraczania Sowietów, zamordowali popa w Mołkowiczach i jakiś miejscowy komunista powiesił popa we drzwiach cerkwi. Podobno pierwszy komandir sowiecki, który znalazł się na miejscu mordy zapytał się kto to zrobił, a gdy dany ze swego czynu komunista zgłosił się, komandir wyjął naganę i zastrzelił "bohatera". Przyszła też wieść "pocztą pantoflową", że w tym samym czasie jacyś komunista powiesił w Żukowszczyźnie administratora - pana Skorynę, kolegę mego Ojca ze studiów. Z panem Łazowskim obeszli się łagodnie, bo posadzili mu na grzbiet parobka i kazali z nim kłusować przez wieś, ale po tym pozwolili im wszystkim spokojnie wyjechać do Nowogródka i nawet nie zabierali im specjalnie ich rzeczy i mebli. W Nowogródku w dniu wkroczenia Sowietów podciął sobie żyły i zmarł pan Sielawo - emerytowany starosta nowogródzki, a w Horodziówce jakiś przejeżdżający bolszewik zastrzelił stojącego na ganku własnego domu pana Bekera - właściciela niedużego folwarczku Horodziówka. Poza tym odrazu aresztowali dużą ilość mężczyzn z pośród inteligencji polskiej, no i każdego dnia w dalszym ciągu kogoś brali. W Horodczy odrazu aresztowali pana Czarnobckiego, a gdy poszła delegacja ze wsi okolicznych prosić żeby go puścili, bo był dobry, to go niezwłocznie przewieźli do więzienia w Nowogródku, a gdy najstarszy syn zgłosił się do NKWD

z prośbą ażeby z powodu choroby ojca jego zatrzymali, a ojca zwolnili, to zatrzymali ich obu.

Has Mamusia zapisała do gimnazjum polskiego, które sowieci umieścili w budynku dawnego gimnazjum białoruskiego, stojącego na Peresiece. Ja byłem w drugiej A, a Wisia w czwartej. Byli też Graccy i spotkałem szereg dawnych moich kolegów. Zaprzyjaźnił się ze mną zwłaszcza Dziunek Dworzecki syn kierowniczkii szkoły powszechnej z Korelicz, która objęła to stanowisko po panu Dulembie, który przeniósł się z kierownika szkoły powszechnej do Nowogródka. Sowieci wypędzili wszystkich nauczycieli z Korelicz. Jedynie pana Fedorka Kiewicza i pannę Horodziejewską pozostawił Choćko na miejscu. Podobno dla tego, że oni uczyli go, gdy chodził do szkoły w Koreliczach i miał o nich dobre wspomnienia. Dworzeccy przenieśli się do Nowogródka i Dziunek, który był starszy ode mnie chodził ze mną do gimnazjum do jednej klasy. Nie bardzo chciało się nam uczyć, a nauczyciele nie wiedzieli czego mają uczyć i wymagać. Wogóle dorośli byli strasznie przygnębieni ostatnimi wypadkami i ciąglą grozą nowych aresztowań. Więzienie było przepoknione i ciągle kogoś nowego aresztowali. NKWD dziskało już na całego. Władze polskie w pośpiechu ewakuacyjnym nie spaliły swoich akt i obecnie sowieci ciągle wygrzebywali jakieś sprawy z akt policji i sądowych.

Latomiast młodzież nie zakamazała się i brała ogólnie całe najście bolszewickie jako zło przejściowe, które szybko minie.

Ja sam ciągle marzyłem o udziale w walce z bolszewikami, a tymczasem brałem kombinerki i szedłem poza miasto. Wówczas wzdłuż wszystkich dróg pełno było rozciągniętych linii telefonów polowych sowieckich, bo wszędzie stały jakieś ich oddziały. Wpatrywałem chwili gdy nikogo w pobliżu. Nie było i przecinałem te linie. Sowiecki drut ściągany kombinerkami na przecięcie ucinał się w środku, ale płótno go okalające nie przecinało się, co dawało ten efekt, że nie było połączenia, a przewód nie opadał. Idąc spokojnie dalej drogą widziałem, po takim ciężcu jak łącznościowcy sowieccy szukali bezskutecznie uszkodzenia linii. Naturalnie nie chwaliłem się tym przed nikim.

Sowieci zaczęli przygotowania do głosowania, a robili to z wielkim szumem i rozruchem spotykanym jedynie u nich. Ludność miała głosować za przyłączeniem do Białorusi części naszych Kresów zwanej przez nich Zasadną Białarusią. Równocześnie miano wybierać deputatów do rady republiki. Całe miasto było owieszane plakatami i portretami ich wodzów, do lokali wyborczych drogę wskazywały malowane na dykie i przybijane do skupów strzałki, a same lokale, strzeżone przez posterunki wojskowe, były dekorowane portretami wodzów, czerwonymi "flagami" i girlandami zieloni. Gdy szliśmy wieczorem, a nie było nikogo w pobliżu, zrywaliśmy sowieckie plakaty, obkamywaliśmy strzałki i obrywaliśmy "flagi". Największym naszym wyczynem w tym czasie było zdjęcie z ściany lokalu wyborczego portretu Stalina. Przed lokalem stał wartownik, ale stał przed wejściem, które było od strony bramy wjazdowej na podwórze, a portret z innymi dekoracjami wisiał na ścianie od ulicy, oddzielony od chodnika

ogrodzonym sztachetami ogródkiem. Co prawda był mocno oświetlony, ale była już godzina policyjna, którą sowieci ogłosili zaraz po zajęciu Nowogródka, i ulica była pusta. Myśmy chodzili ulicami, a jak szedł sowiecki patrol, przeskakiwaliśmy najbliższy płot i chowaliśmy się w ogrodach. Mieliśmy granatowe gimnazjalne płaszcze, więc w środku byliśmy prawie niewidoczni. Podkradliśmy się cicho do wypatroszonego lokalu. Było nas trzech. Jeden siedział za płotem po drugiej stronie ulicy i obserwował wartownika, Dziunek pilnował od strony ulicy, a ja przeskoczyłem płot od ulicy i gdy dali mi znać, że wartownik oddalił się, chodząc przed drzwiami lokalu, prędko wspiąłem się na podmurówkę i zdjąłem portret, który zaraz podałem Dziunkowi. Naturalnie natychmiast przeskoczyłem płot i zwialiśmy do ogrodu po drugiej stronie ulicy. Tam rozebraliśmy portret, ramę wziął Dziunek, a ja wziąłem szkło, bo u nas w mieszkaniu była wybita szyba. Samego Stalina podariliśmy i wrzucili do ustępu. Gdy wróciłem do domu, schowałem szkło za komórkę i przykryłem je suchymi liśćmi, a sam spokojnie wszedłem do mieszkania. Mamusi i Babci powiedziałem, że byłem u kolegi i zasiedziałem się, bo już się o mnie martwiły. Marzeniem naszym było zdobycie broni, bo koniecznie chcieliśmy walczyć z sowietami. Dziunek miał schowaną w gruzie za komórką szablę ukraińską, podobno jego ojca ale nam było potrzebna broń palna, a tej nie mieliśmy.

Któregoś dnia przyjechał wąskotorówką oddziałek polskich żołnierzy zwolnionych z niewoli, mieszkańców okolicznych wsi. Rozmawialiśmy z nimi. Mimo niewoli wracali zdyscyplinowani, jeden prowadził ich, a oni szli czwórkami w nogę i zachowywali się jak zwarty oddział. Między nimi byli ukryci podoficerowie, a nawet jeden oficer, którego wzięli niby jako tutejszego sąsiada. Mieli zgłosić się w sowieckich władzach, gdzie ich spisali i puścili do domów. Mimo przepytывania ich kolejno przez NKWD-istów nikt nie wydał swych kolegów i wszystkich zwolnili.

.. połowie października Dziunek powiedział mi w tajemnicy, że wybiera się w podróż za granicę, bo chce wstąpić do Wojska Polskiego. Dotarła już do nas wiadomość o tym, że we Francji tworzy się Wojsko Polskie. Postanowiłem z nim jechać. Mamusia wówczas pracowała przy wykopkach ziemniaków i warzyw na ogrodach żydowskich. Ciężko pracowała za trochę ziemniaków, którymi żydzi pracowali na robotę, bo innej pracy nie mogła dostać, a nie mieliśmy z czego żyć. Po całych dniach Babcia siedziała w domu, sama, a Mamusia przychodziła późnym wieczorem, bo ogrody, w których pracowała były daleko pod Horodzielówką. 16-go października wybraliśmy się w drogę. Zostawiłem w domu list, żeby mnie nie szukali. Napisałem też list do Dani. Zabrałem plecak i trochę drobiazgów i wyjechaliśmy z Dziunkiem wąskotorówką do Nowojelni. Na początku drogi mieliśmy obaj trzy ruble i kilka kanapek. W Nowojelni spotkaliśmy Czerkasa - syna osadnika wojskowego z Berezowca, którego matka wyszła do krewnych, mieszkających gdzieś na południu Polski, bo bała się że mogą go aresztować. Był kilka lat starszy ode mnie. My początkowo chcieliśmy jechać

do Wilna i dalej przez Litwę na zachód, ale do Wilna najbliższy pociąg odchodził dopiero na drugi dzień rano, a w stronę Brześcia odchodził niedługo po naszym przyjeździe. Czerkas też jechał w tą stronę, więc nie namyślając się długo pojechaliśmy razem. Na stacji w Kowojelni i w pociągu tłoczno było po pełno kręciło się wówczas w różne strony. Ludzi, którzy uciekali przed Niemcami i niespodziewanie znaleźli się pod okupacją sowiecką, no i teraz szukali jakiegoś wyjścia dla siebie. Wszyscy jechali bez biletów, a pociągi obsługiwali jeszcze wyłącznie polscy kolejarze. Było ciepło i nie padało, więc podróż przechodziła mimo tłoku zupełnie znośnie. Zbliżając się do okolic Brześcia spotykało się coraz częściej ślady niemieckich bombardowań. W jednym miejscu łąka, na której chłopcy ustawili kępki słomy lnianej do roszenia, cała była zryta lejami po bombach. Podobno Niemieccy lotnicy wzięli te kępki za rozłożone na postoju wojsko, w czym upewnili ich chłopcy ruszający z się po łące, no i rzucali bomby do skutku, czyli w tym wypadku do zrycia całej łąki i zabicia kilku cywilów. Na niektórych stacjach sowieci pościągali pozostały polski sprzęt wojskowy. Na jednej stał nawet uszkodzony samolot R.D. Brześć bardzo był zniszczony. Dworzec zapchany uciekinierami. Dziwnak wszystkim mówił, że jesteśmy uciekinierami z poznańskiego. Wieczorem 17 października przyjechaliśmy do Kowla. I tu pełno uciekinierów. Na stacji nie było nawet miejsca pod dachem żeby można było usiąść. Przenocowaliśmy na plebanii zamienionej przez bardzo miłych i uczynnych księży na dom noclegowy dla wszystkich potrzebujących. Księża ci nie tylko nocowali, ale i karmili. Dali nam kawę do manierki Czerkasa i chleba, o który wszędzie było trudno. Wyruszając w dalszą drogę już na stacji, nakarmiliśmy tym chlebem dwóch polskich żołnierzy jadących do swych rodzin. Za Kowlem w stronę Lwowa na wszystkich stacjach pełno było zgromadzonej przez sowieców polskiej broni. Widać było armaty, tankietki, a nawet samoloty. Wszystko to pilnowały sowieckie warty. Na kilku stacjach widzieliśmy polskich żołnierzy - jeńców, którzy byli zatrudniani przez sowieców do pracy. Byli barośniwi, brudni i widać było, że byli głodni, bo byli wszyscy mocno wynędzniali.

Wszystkie pociągi były wówczas przepełnione i nikt nie pytał o bilety. 20-o października dojechaliśmy do Lwowa. Wszędzie były ślady walk i bombardowań. Uszkodzona hala peronowa w większej części była pozbawiona szyb, a sam dworzec był mocno uszkodzony bombami. Sowieci jeszcze nie rozbili dumnego napisu Łacińskiego nad głównym wejściem do budynku dworca - "Leopolis Semper Fidelis Poloniae". Ulica obok dworca była cała w gruzach. Na nocleg wskazano nam dość odległy od dworca były internat, zamieniony na czas wojny na dom noclegowy. Duże sale pozbawione prawie mebli dla zwiększenia pojemności. Wszyscy spali tam na podłodze. Tylko we wszystkich salach wisiły jeszcze polskie Orły. Pani przyjmująca nas na nocleg mówiła, że jakiś wyższy wojskowy sowiecki oglądający ten internat, widząc Orły powiedział do niej, że "jeśli wy jesteście Polakami to przecież wasze godło, to niech sobie dalej wisi", no i nie zdjęli Orłów. Lwów tak jak i inne miasta wschodniej Polski przepełniony był

uciekierami i były trudności żywnościowe. W całym mieście były ślady niedawnych walk i bombardowań. Wszędzie też pełno było wojsk sowieckich.

Następnego dnia pojechaliśmy do Stanisławowa. Na wszystkich stacjach ze Lwowem włącznie nie było kontroli biletów przy wejściu na peron, a w Stanisławowie była ścisła kontrola. Dość długo siedzieliśmy w poczekalni i obserwowaliśmy wyjście i nie było mowy aby dostać się na peron nie przechodząc przez kontrolę biletów. Po jakimś czasie przysiadł się do nas jakiś kolejarz i wypytywał dokąd i skąd jedziemy. Wyglądał na porządnego człowieka i wzbu- dził nasze zaufanie więc powiedzieliśmy mu wkońcu, że nie mamy pieniędzy, a z- chcemy dojechać do Zaleszczyk. Przyniósł nam bużki i herbatę i powiedział, że akurat będzie stać przy wyjściu i kontrolować bilety do pociągu odcho- dzącego do Czortkowa, bo do Zaleszczyk nie chodzą pociągi bezpośrednio. Wieczorem wyjechaliśmy bez przeszkód ze Stanisławowa i na drugi dzień zwie- dzaliśmy Czortków. Obeszliśmy całe to nieduże miasto, zwiedziliśmy ruiny ture- ckiej fortecy z czasów, gdy po zdobyciu Kamieńca, Turcy trzymali w swych rę- kach te tereny. Forteca zbudowana była na stoku góry i wewnętrzny podwórzec z jednej strony był na poziomie parteru, a od strony miasta wznosił się na wysokości wysokiego piętra. W piwnicach jeszcze znać było malowidła ścienne. Poza tym były dwa stare kościoły, a wokół miasta malowniczy krajobraz.

Spotkany na ulicy przypadkowo kolejarz, zaprosił nas do swego domu, dał jeść i unyć się porządnie, a na koniec mapę kolejową i rozkład jazdy, ale ostrzegł, żeby dalej nie jechać koleją, bo sowieci obstawiali pociągi już na bliższych Zaleszczyk stacjach i wyłapywali wszystkich nie miejscowych. Radził natomiast jechać autobusem, bo dotychczas autobusów nie obstawiali. Autobus odchodził pod wieczór. Kupiliśmy bilety i zajęliśmy miejsca. Autobus jechał okrężną drogą przez mocno pofałdowany teren, zatrzymując się po drodze w różnych wsiach. Pasażerowie wsiadali i wysiadali i nawet nie zauważyliśmy jak koło kierowcy siedział jakiś młody mężczyzna. Gdy dojechaliśmy do Zaleszczyk, ten pas- żer się pozwolił zatrzymać autobusu na końcowym przystanku tylko kazał jechać dalej i podjechaliśmy pod budynek zajęty przez sowieckich pogranicz- ników, a gdy stanął autobus był otoczony przez uzbrojonych pograniczników. Kazał wszystkim wysiadać i po kontroli wypuścili tylko stałych mieszkańców Zaleszczyk, a kilku pasażerów i nas zaprowadzili do budynku. Był to, jak się z- późnij dowiedzieliśmy, budynek zajmowany poprzednio przez posterunek polic- ji i naturalnie nie miał aresztu odpowiadającego potrzebom NKGB, więc trzy- mali oni aresztowanych w pokojach dawnego mieszkania z oknami bez krat, tylko pod tymi oknami stały bezprzerwy warty. W pokoju gdzie nas zamknęli siedział już jakiś starszy mężczyzna aresztowany kilka dni wcześniej, mieszkaniec Za- leszczyk. Żona przynosiła mu jedzenie i miał niezły zapas, a denerwował się bardzo swoją sprawą i prawie nic nie jadł. Poczęstował nas zimnym półgąskiem i chlebem. Człowiek ten, jak wywnioskowałem zupełnie nie wiedział o co go os- karżają i bał się, że odeślą go do więzienia i dalej na wschód. Myśmy siedzie- li razem i umówiliśmy się z Dziunkiem, że będziemy mówić, że jesteśmy braćmi

z Kowia. Ojciec nasz był podoficerem zawodowym i poszedł z wojskiem za granicę, a matka była w ambulansie sanitariuszką i też wyjechała. Myśmy byli u babki, która niedawno umarła, więc jedziemy szukać rodziców. Czerkas miał inną bajeczkę. Gdy wzięli mnie późnym wieczorem na przesłuchanie, opowiedziałem im tę wersję i gdy zaczęli mnie zanadto wypytywać, bo odrazu im podpadło, że nie mieliśmy inne płaszcze i mundurki - ja miałem jezuicki, a Dziunek gimnazjum państwowego, - zacząłem poprostu płakać. Nie mogli się ze mną dogadać i na razie dali mi spokój. Dziunka też męczyli pytaniami i początkowo nie dawał się, ale w końcu powiedział prawdę. Wzięli mnie ponownie i znów płakałem, aż dopiero przy mnie pytał Dziunka i ten powiedział jak było na prawdę. Ja upierałem się, że Ojciec mój poszedł za granicę, a nie wiem gdzie znajduje się matka. Dowódcą tej placówki był starszy już wiekiem kapitan surowy i ponury, a jego zastępcą młody i wesoły lejtnant. W pewnej chwili ów młody po cichu powiedział do kapitana: "mnie jego żało, dawaj puścim jego za most, puszkaj iszczet swojewe otca", na co kapitan rozżłościł się i zrugął go za brak czujności. Śledztwo z nami skończyło się do kilku dniach i siedzieliśmy w areszcie. Mnie jako najmłodszego żołdat prowadzał do żydowskiej restauracji, gdzie stołowali się pogranicznicy. Zjadałem tam zupełnie niezły obiad i zabierałem dla pozostałych aresztantów jedzenie do garnków. Po dwóch dniach naszego pobytu w areszcie, przyprowadzili do naszego pokoju dwóch młodych chłopców w wieku poborowym, zkapanych na przechodzeniu granicy. Obaj byli z Gopna. Im robili śledztwo o wiele mniej kulturalnie, bo nieraz przychodzili mocno pobici i pokrwawieni. Po kilku dniach zabrali ich pod silnym konwojem. Mieliśmy wrażenie, że powieźli ich do jakiegoś większego więzienia, a może i odrazu na wschód. Przed odjazdem mówili nam swoje domowe adresy, ale nie zapamiętałem ich. W tym też czasie wsadzili do naszej celi jakiegoś młodego chłopaka, który dużo gadał, urągał sowietom i starał się kolejno każdego wypytywać o jego sprawę. Pierwszy raz w życiu spotkałem wtedy "kapusia", czyli mówiącego inaczej szpicla, ale odrazu wyczułem w nim fałszywego i złego człowieka. Zdaje się, że nic nie osiągnął i po kilku dniach zabrali go od nas.

Po kilku dniach zaczęli mnie puszczać samego po obiady, tylko musiałem zostawić płaszczy. Lejtnant dawał mi plik polskich pieniędzy i odrazu płaciłem Żydomi za obiady. Dawał mi zupełnie dobrze jeść, a sowietci nie rozliczali mnie z tych pieniędzy. Mieli ich pełną szufladę biurka - prawdopodobnie były to pieniądze odebrane aresztowanym wcześniej Polakom.

Któregoś dnia nie było kapitana i do naszego pokoju wszedł lejtnant przebrany w mundur galowy polskiego porucznika z szablą przy boku i pytał nas czy on "pachoż na polskiego oficera" - powiedzieliśmy mu, że zupełnie wygląda jak polski oficer i bardzo był z tego rad.

W Zaleszczykach siedzieliśmy około dziesięciu dni. Ponieważ byliśmy nieletni więc kapitan zdecydował odesłać nas spowrotem do domu. Ostatniego dnia lejtnant dał mi pieniądze i kazał iść do miasta i kupić sobie żywność na drogę. Gdy wróciłem, odprowadzili nas trzech do pociągu i przeprowadzili do

następnej stacji. Na drogę dali nam pismo, t.zw. "komandirówkę" uprawniającą nas do przejazdu do Nowogródka. Dojechaliśmy do Stanisławowa i wysiedli na tej stacji, bo pociąg ten dalej nie szedł. Dziunek powiedział nam żebyśmy na niego czekali i gdzieś się ulotnik. Mocowaliśmy na stacji, a on wrócił dopiero nazajutrz i tłumaczył się mętnie, że musiał jechać do Czortkowa i widział jak NKWD aresztowało tego kolejjarza, który nas nakarmił i dał mapę. Nie wtedy z tego nie rozumiałem i dopiero długo później zrodziło się we mnie podejrzenie, że on wydał tego kolejjarza sowietom za pieniądze, bo miał skądś sporo pieniędzy, a przy mnie lejtnant nic mu nie dawał.

Był akurat ranek 7-go listopada, i oglądaliśmy w Stanisławowie wielką uroczystość i pochód. Była defilada wojskowa - szli nie równo i umundurowanie ich wyglądało kiepsko. Potem szedł pochód ludności cywilnej i między innymi szła młodzież gimnazjalna. Wszyscy mieli czerwone sztandary, portrety wodzów i duże czerwone gwiazdy. Tylko twarze młodzieży i ludności cywilnej były ponure i smutne. Nikomu z nich nie było przyjemnie iść w tym pochodzie, a szli zmuszeni grozą aresztowań i innych represji.

W Stanisławowie na ulicy zaczepiła nas starsza już kobieta ciemno ubrana. Widząc nas w gimnazjalnych mundurkach, z plecakami na plecach, zapytała czy w naszych wędrownkach nie spotkaliśmy jej syna jedynaka, który wyruszył z domu chcąc dostać się do polskiego wojska. Mówiła, że ze Stanisławowa dużo młodych chłopców ruszyło szukać szczęścia i jeszcze od nikogo nie było wiadomości. Mówiła, że większość idzie na Worochtę, żeby przez góry przejść na Węgry. Po tej rozmowie uzgodniliśmy między sobą, że jedziemy na Worochtę i będziemy starać się przejść granicę koło Woronienki. Wypytywani ludzie zgodnie informowali, że do Worochty można śmiało jechać, bo sowieci obstawiają pociąg dopiero w Woronience. Po południu siedliśmy do pociągu idącego do Worochty. Droga była śliczna. Tor wił się pomiędzy górami i przechodził przez kilka tuneli i wysokich wiaduktów. Zwłaszcza jeden wiadukt utkwił mi w pamięci - był zbudowany na dużym zakręcie, bardzo wysokich filarach połączonych żukowymi sklepieniami, cały z jasnego kamienia. Przy długości większej od pociągu i dużej wysokości wyglądał wprost wspaniale.

Do Worochty dojechaliśmy wieczorem. Stacja była słabo oświetlona. Pasażerowie wysiadali na prawą stronę. Wsiadali wszyscy bo pociąg dalej nie jechał. Pierwszy z nas szedł Czarkas i gdy on wysiadał, zauważyłem przez okno stojących gęstym szeregiem NKGB-istów, a przy wyjściu z peronu kontrolę dokumentów. Zamówiłem na Czarkasa żeby wracał i chciałem wyskakiwać na drugą, mało oświetloną stronę, ale już jeden z obsługi zobaczył ruch Czarkasa i wskoczył do wagonu. Nie było po co uciekać, bo by strzelali na i tak nie zdołaliśmy uciec w nieznanym terenie. Z tego pociągu zatrzymali kilkadziesiąt osób i pod silnym konwojem poprowadzili przez osiedle. Wprowadzili nas wszystkich do dużego piętrowego domu, który przed wojną był pensjonatem i na piętrze wpędzili do dużego, zupełnie pustego pokoju. Między nami były kobiety i dziewczęta no i mężczyźni różnym wieku. Między innymi byli też trzej

gimnazjaliści z Tzumacza. Gdy wszyscy pokładli się i posiadali na podłodze, nie można było nawet swobodnie przewrócić się na drugi bok, a ci co siedli, musieli czekać na okazję żeby się położyć, bo na to ktoś inny musiał wstać. Tego wieczoru nie dali nam nawet wody do picia, a przez całą noc kolejno nas wywoływali na śledztwo. Zauważyłem, że sowieci stale prowadzili przesłuchania nocą, a tylko bardzo rzadko w dzień. Badanie prowadzili brutalnie bez względu na wiek i płeć. Pokój w którym mnie przesłuchiwali był nieduży i ciemny od dymu z papierosów. Siedzieli i stało w nim kilku NKGB-istów i z odrazu zarzucili mnie pytaniami. Każdy z nich pytał o co innego i pytania się powtarzały. Przede wszystkim chodziło im o nazwiska i adresy osób, które jakoby kazały nam jechać. W tym kierunku było najwięcej pytań nie rzadko popartych szturchaniem i groźbami bicia. Po dłuższym męczeniu pytaniami, jeden z przesłuchujących mnie komandirów kazał mnie wyprowadzić na dwór i postawił mnie pod ścianą budynku. Na przeciw stał bolszewik, któremu kazał założyć broń i powiedział do mnie, że jak się nie namyślę i nie powiem kto miał kazać jechać to mnie zastrzelą. Choćbym nawet chciał to i tak nie miałem kogo podawać, boć przecież nikt nam nie kazał, ale stanie tak na mrozie bez płaszcza i z możliwością obiecywanego końca nie było przyjemne. Trwało to dość długo, ale w końcu i bolszewikowi odechciało się stać na mrozie i wietrze i zabrał mnie spowrotem na górę, a tam przynajmniej było ciepło. Na "doprośy" brali mnie jeszcze kilkakrotnie, ale nie zmieniłem nic ze swych zeznań, no i w końcu dali mi spokój.

Był między nami mężczyzna w średnim wieku głuchy i niemy i do tego nie piśmienny. Był ubrany po wiejsku, miał na sobie półkożuszek i wysokie, chłopskie buty mocno już zniszczone. Ze sobą miał drewnianą walizeczkę, w której był bochenek chleba, trochę lnianej kędzieli i kilka sznurków z niej skręconych. Pokazywał nam na migi jak się kręci sznurki i jak jadł swój chleb to nas poczęstował. Reagował jedynie na dotknięcie, lub gdy zwracało się do niego z przodu tak, że widział rozmówcę. Wówczas patrzył na usta i przy wyrażonej mowie rozumiał co się mówiło. Jego najdłużej badali w śledztwie, bili go, a kiedyś nawet strzelili z pistoletu za plecami i nie nie okazał, pokazywał im tylko jak robi sznurki. Nie ponęgli sowiecom ani bicie, ani różne podstępny. Pilnowali go gdy zmęczony wielogodzinnym śledztwem zasypiał i wtedy ragle buźlili go i znów pytali. Nie powiedział ani słowa, prócz nieartykułowanych dźwięków, które wydawał gestykulując.

Siedzieliśmy tak ponad tydzień, bardzo źle żywieni, bo na wszystkich wrzucali rano dwa bochenki chleba i stawiali wiadro gorącej wody, a na obiad też tylko jedno wiadro rzadkiego kapusznianu, no a na wieczór nic nie dostawialiśmy. Biorąc pod uwagę, że w naszym pomieszczeniu było około dwudziestu kilku osób, wikt sowiecki był raczej słaby. Zauważyliśmy, że w Worochcie szeregowymi NKGB-istami byli miejscowi Huculi, którzy gorzej odnosili się do nas jak sowieci. Zwłaszcza jeden kulawy Hucul był jak rozwścieczony pies. Dwa razy dziennie wyprowadzali nas partiami po kilka osób na podwórko za swoją go-

potrzebą i wszyscy razem mężczyźni i kobiety musieli załatwić swoje potrzeby na środku podwórza, nie rozchodząc się. Gdy któraś z kobiet chciała skorzystać z komórek, dostała od Hucuka kolbę i zagroził, że jak jeszcze kto będzie chciał się oddalić to będzie strzelać bez uprzedzenia.

Pod koniec śledztwa wszystkim sowieci obiecywali łagier, ale w końcu pościgowali nas i część, a między innymi nasza szóstka i głuchoniemy na mocy ogłoszonej przez Stalina amnestii dla Zapadnoj Ukrainy, obejmującej kary do dwóch lat, została zwolniona. Odtransportowali nas pod kagnetami kilka stacji i zostawili w pociągu jadącym do Stanisławowa.

Na stacji w Stanisławowie staliśmy w szczęściu i rozmawiali co robić dalej. Były zdania podzielone - jedni mówili żeby jechać i szukać szczęścia przez Wygodę, a inni uważali to za ryzykowne, gdyż Wygodę leżała blisko Worochty i była końcową stacją, a przy zwalnianiu zapowiedzieli nam, że gdy złapią nas następnym razem to łagier nas nie minie, i proponowali jechać do Przemyśla, tam starać się przejść granicę na stronę niemiecką, a dopiero stamtąd przez Słowację na Węgry. Ta koncepcja przeważała. Głuchoniemy stał cały czas koło nas i w końcu najnormalniej odezwał się do nas: "macie rację chłopcy, droga przez Przemyśl będzie najlepsza", i spokojnie się oddalił. Ten człowiek miał chyba stalowe nerwy. Posądzałem, że był to ktoś z polskiego wywiadu.

Do Lwowa dojechaliśmy pociągiem nawet nie bardzo przeładowanym, ale ze Lwowa do Przemyśla były takie tłumy podróżnych, że pociąg wyglądał jakby oblepiony ludźmi. O wciśnięciu się do wagonu nie było mowy. Wdrapaliśmy się wszyscy na dach wagonu, gdzie też nie było wielkiego luzu i tak jechaliśmy całą drogę. Na mijanych stacjach kolejarze ostrzegali nas gdy miały być na trasie mosty lub nisko wiszące druty. Przechodziliśmy w biegu z wagonu na wagon. Idąc do tyłu było bardzo łatwo - skakało się zupełnie lekko, bo wagon sam podjeżdżał pod nogi, ale do przodu trzeba było mieć dobry wimpd. Naturalnie nam takie skoki podobały się i na szczęście obyło się bez wypadku.

Przemyśl w tym czasie przedstawiał jedno wielkie koczowisko. Zebrało się tu chyba pół Polski. Dworzec i jego okolice zawałone były przeróżnymi tłumokami, na których siedziały gromady przeważnie kobiet i dzieci w różnym wieku. Wszędzie palono ogniska żeby się ogrzać i coś sobie ugotować. Na bocznicach stało kilka transportów z polskimi żołnierzami - jeńcami, przeważnie rannymi, których "przyjaciela" sobie wymieniali, bo jedne szły do Niemców, a inne od nich na wschód. Jeńcy byli wygłodzeni, brudni i nie ogoleni, bo ich trzymali w zamkniętych wagonach. W większości mieli nie wygojone rany były jak opatrzone. Przez zakratowane okienka prosili o wodę i żywność, a sowieckie warty wszystkich podchodzących brutalnie odganiały groźąc strzałami.

Komendanturze sowieckiej wydawano przepustki na przejście granicy ważne trzy dni, a od świtu ustawiała się na torach idących do przejścia granicznego na moście kolejowym na Sanie, długa kolejka w kolumnie czwórkowej. wszyscy musieli nieść swoje rzeczy w rękach i na plecach, bo nie wolno było brać jakichkolwiek wózków, no i na torze kolejowym wózek też nie wiele by pomógł.

Kolejka ta stała cały dzień i najczęściej większość musiała wieczorem wracać w okolice dworca, bo sowieci i Niemcy przepuszczali jak chcieli, a najczęściej im się nie chciało. Normalną rzeczą było to, że wszyscy musieli stać po kilka razy w kolejce po przepustki, bo prawie nikomu nie udało się przejść granicy w ciągu tych trzech dni ważności jednej przepustki. Były to wyraźne szykany i znęcanie się nad słabszymi, zwłaszcza kobietami z małymi dziećmi, które trzeba było nieść na rękach. Ponieważ przepustki były wydawane tylko dorosłym, a dzieci nie były w nich uwidocznione, przyłączyliśmy się do kilku kobiet, rodzin podoficerów z poznańskiego, które miały małe dzieci i sporo bagaży. Stawaliśmy z nimi szereg dni w kolejce, a jak stały po przepustki, pilnowaliśmy ich rzeczy i dzieci. Najgorze było z wyżywieniem. Nigdzie nie można było kupić, a posiłki w funkcjonujących jadłodajniach były bardzo drogie. Wieczorami myszkwaliśmy po odstawionych na bocznych torach wagonach i kilkakrotnie udało się nam znaleźć pszenicę rozsypaną w wagonie, ziemniaki na torowisku lub bułki cukrowe. Gotowaliśmy to na ognisku, ale stale byliśmy głodni. Przejście granicy ciągle było pod znakiem zapytania, a głodno było coraz bardziej, bo takich jak my były tysiące. Codziennie przybywały nowe tłumy uciekinierów pragnących wydostać się z pod "opieki" sowieckiej i zwiększać się gład i tłok na dworcu. Któregoś dnia myszkując pod wagonami na boczniccy znaleźliśmy portfel, w którym były dokumenty jakiegoś sowieckiego komandira i tysiąc rubli. Dokumenty oddaliśmy jakiemuś przechodzącemu ulicą sowietowi, a z pieniędzmi poszliśmy do jadłodajni i zjedliśmy porządną obiad, pierwszy od bardzo dawna. Chciałem żeby pieniądze rozdzielić, ale Dziunek wziął wszystkie. Leżąc poszliśmy do naszych kobiet i usnęliśmy przy ich tłumokach. Szczęściem wszystkich tych zgromadzonych bezdomnych ludzi było to, że była bezdeszczowa pogoda i tylko lekkie przymrozki. Następnego dnia od świtu znów staliśmy w kolejce. Ja niosłem małą dziewczynkę, może trzy latnią i plecak, a jej matka, Dziunek i starsze dzieci objęci byli resztą tobołków. Kobiety te miały dużo rzeczy, bo były ewakuowane z Poznańskiego tuż przed wojną pociągami dla rodzin wojskowych i mogły sporo ze sobą zabrać. Wielu natomiast nie miało prawie nic i ci łatwiej, po rannym ogłoszeniu rozpoczęcia przejścia, mogli stanąć na przedzie kolejki, bo trzeba było do niej przejść po torach od dworca blisko dwa kilometry, żeby stać na przedzie, a zaraz więc po ogłoszeniu rannym przejścia, zaczynały się biegi na przekaj po torach do punktu przejściowego, a potem stanie i oczekiwanie kiedy sowieci i Niemcy coś sobie przekazują i uzgodnią między sobą czas pracy.

Po powrocie z kolejki, bo i tego dnia nie udało się nam przejść, poszliśmy do miasta żeby kupić coś do zjedzenia i wtedy okazało się, że Dziunek nie ma pieniędzy. Prosto ktoś go okradł gdy spał. Byliśmy zrozpaczeni. Czerkas postanowił wracać do domu. Chłopcy z Tłumacza wcześniej pojechali na Wygodę szukać szczęścia. Myśmy z Dziunkiem wytrzymali jeszcze jeden dzień na przystanku bułków cukrowych i zdecydowaliśmy się też jechać na Wygodę.

Siedliśmy do pociągu idącego przez Chyrów do Sambora. W Chyrowie wysiedli do

naszego przedziału dwaj młodzi mężczyźni i starszy pan. W rozmowie okazało się, że był lekarzem z Drohobycza, a dwaj młodzi ludzie braćmi z Sambora. Wywiązała się rozmowa. Pytali dokąd i skąd jedziemy. Po pewnym czasie stwierdzili, że wracają z Węgier. Jeden był podoficerem zawodowym, a drugi podoficerem rezerwy i mieli zadanie organizowania podziemnej walki w okupantem. Jeden z nich miał niedługo wracać na Węgry i obiecał, że nas odwiedzi. Miał znajome przejście w styku obecnej granicy okupacji sowiecko - niemieckiej i Słowacji. Tymczasem namówili nas żebyśmy przyjeżdżaliśmy i zatrzymaliśmy się w Samborze i zaczęliśmy. Ponieważ nie byli w domu od początku września i nie wiedzieli co tam się dzieje, więc doktor powiedział nam żebyśmy po przyjeździe do Sambora poszli pod wskazany przez niego adres do znanego lekarza dentysty i tylko powiedzieli, że przysłał nas doktor z Drohobycza. Do Sambora przyjechaliśmy już wieczorem i łatwo trafiliśmy pod wskazany adres. Przyjęto nas bardzo serdecznie, wykupiliśmy się i zjedliśmy dobrą kolację. Pierwszy raz od wyjazdu z domu spałem w łóżku i w czystej pościeli. Po śniadaniu państwo/nie panięta/niestety ich nazwiska/ zatrzymali nas do obiadu. Mieli synka jedynaka, może ośmioletniego. Pan doktor oprócz praktyki stomatologicznej był przed wojną działaczem społeczno - politycznym w Samborze i był ogólnie znanym. Z tego powodu obawiali się represji ze strony władz sowieckich.

Po obiedzie pożegnaliśmy sympatycznych gospodarzy i poszliśmy szukać adresu podanego nam przez braci Uchmanów. Domek ich rodziców stał za borami, na końcu przedmieścia, w małym ogródku. Ojciec ich był kolejarzem i już wtedy nie żył. W domu oprócz braci zastaliśmy matkę, starszą już kobietę i siostrę Stasię, wówczas chyba osiemnastoletnią dziewczynę, uczennicę gimnazjum i harcerkę. Kilka następnych dni mieszkaliśmy u Uchmanów, a stołowaliśmy się w kuchni PCK gotującej posiłki dla dwóch polskich szpitali wojskowych. Kuchnię tę obsługiwały harcerki z drużyny gimnazjalnej, poleśniczki Stasi, która też tam pracowała. Były to wspaniałe dziewczęta. Mimo ciężkiej pracy stałe były wesole. Ponieważ kończyły pracę późnym wieczorem, a zaczynały na zmianę przed świtem, miały więc przepustki uprawniające je do chodzenia po godzinie policyjnej. Korzystały z tego i prawie za każdym razem po drodze zrywały czerwone chorągwie, którymi miasto było obwieszane. Szpitale były obsługiwane wyłącznie przez polski personel, w większości lekarzy i sanitariuszy wojskowych, chodzących dalej w mundurach, tylko bez odznak, a z opaskami czerwonego krzyża. Przed wejściami stały sowieckie warty i ozdrowieńców sowieci brali do obozów jeńców. Starano się temu zapobiegać trzymając ozdrowieńców możliwie długo, aż nadarzyła się sposobność wyprowadzenia ich ze szpitala. Między innymi sanitariusze idący po posiłki do kuchni brali takiego ozdrowieńca, przebranego w biały kitel, a z kuchni już dziewczęta odprowadzały go gdzieś na melinę i starały się dla niego o jakieś dokumenty. Kuchnia mieściła się poza obrybem szpitala i nie była pilnowana przez sowieców. Kilka razy pomagaliśmy sanitariuszom zanieść

kotły do szpitala, gdy odszedł któryś z uciekających. W szpitalach leżeli nie tylko ranni żołnierze, ale i ludność cywilna ze zbombardowanych podległych ewakuacyjnych, a także chorzy z okolicy z nagłych przypadków, gdyż sowieci nie troszczyli się o uruchomienie szpitala cywilnego, a nagłe przypadki kierowali do polskich szpitali wojskowych. Poznałem w szpitalu między innymi ułana, który był ranny razem z generałem Andersem w walce z wojskami sowieckimi i został w szpitalu w Samborze. Mówił, że sowieci zabrali generała do Lwowa. Było też dwóch chłopców w moim wieku. Jeden podczas bombardowania transportu, w którym jechał, dostał odłamkiem bomby w nogę tak, że z kości goleniowej zostało tylko około centymetra grubości, a rana była na kilkanaście centymetrów długa. Mówił mi, że ze strachu biegł na tej nodze jeszcze ze dwieście metrów nim upadł, ale już nie mógł podnieść się o własnych siłach. Pochodził z Podkarpacia i nic nie wiedział co stało się z jego rodziną. Drugi nieco młodszy był mieszkańcem Sambora i niedawno dostał ostrego zapalenia ślepej кишки. Był już po operacji i obaj leżeli obok siebie. Był synem podoficera zawodowego i nie wiedział gdzie jest jego ojciec. Odwiedzaliśmy ich przy okazji wielokrotnie. Syn podoficera powiedział nam, że schował amunicję ojca koło domu i boi się że ją ktoś niepowołany znajdzie. Pytał czy my mamy ją komu przekazać tak, żeby przydała się do walki. Powiedział nam dokładnie, gdzie ją schował. Trudność polegała na tym, że dory wokół tego miejsca zajęli sowieci. Poszliśmy we wskazane miejsce i szybko odnaleźliśmy schowaną skrzynkę, bo była zakopana w kupie żwiru i częściowo wystawała na wierzchu. Długo kręciliśmy się koło niej, bo ciągle chodzili w pobliżu sowieci, aż w końcu udało się nam wypatrzeć chwilę gdy nie było w pobliżu nikogo, wyciągnęliśmy prędko skrzynkę i już prosto poszliśmy z nią do Uchmanów. Staraliśmy się po drodze nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Po przejrzeniu w domu zawartości pod nieobecność matki, obaj Uchmani uznali paczkę za wartość i powiedzieli nam, że jak się nam uda coś jeszcze wydostać to będzie bardzo dobrze. Okazało się, że obaj odłożyli wyjazd na Węgry na potem i zaczęli organizować konspirację na miejscu. Mieli w planie zebrać na wiosnę niewielki oddział i szarpać sowieków. Próbowaliśmy ukraść ze stacji, gdzie na bodzownicy złożoną była polska amunicja i pilnowały tego posterunki sowieckie. Nie zwracali oni wtedy uwagi na bawiące się wokół dzieci z osiedla, a my bez płaszczy nie wiele się od nich różniliśmy, więc mogliśmy śmiało kręcić się w pobliżu składu. Raz nawet udało się nam wziąć z tamąd skrzynkę i zanieść do Uchmanów. Na nieszczęście dowiedziała się o tym matka i zrobiła awanturę synom, że narażają cały dom. Mnie polubiła, ale Dziunka nie lubiła od początku, może dla tego, że on lubił się przechwalać, a ona była kobietą bardzo poważną i surowych obyczajów.

Ponieważ wyjazd nasz odwlekał się, a u Uchmanów było ciasno, postarowili odesłać nas tymczasem na przezimowanie do sierocińca, prowadzonego przez Siostry zakonne. Uchmani znali ~~xxxxxy~~ latkę przełożoną i posłali nas do niej z prośbą żeby nas jakiś czas przetrzymała, w sierocińcu, bo było to

najmniej podpadające. Matka Uchmanów była dobrą Polką i tylko martwiła się o bezpieczeństwo swych dzieci. Powiada mi kiedyś, że ponieważ mieli niewłaściciele nazwisko, syn miał trudności przy pozostaniu na zawodowego podoficera, co w teraz okazało się, że nazwisko nie przeszkadza w tym, żeby pełnił niebezpieczną funkcję.

Gdy przenieśliśmy się do sierocińca był już spory mróz i leżał śnieg. Matka przełożona przyjęła nas bez zastrzeżeń i umieściła w pokoju z najstarszymi chłopcami. Od nich krótko po zamieszkaniu w sierocińcu dowiedzieliśmy się, że za Dniestrem w górę rzeki, toczył się zacięty oddział okrążonego polskiego oddziału z Niemcami, a ponieważ Polacy byli częściowo ukryci w chaszczach łożowych nad Dniestrem, więc było duże prawdopodobieństwo, że można tam jeszcze znaleźć ukrytą broń. Wybraliśmy się z Dziunkiem na poszukiwanie w dość mroźny lecz pogodny dzień. Mosty na Dniestrze pełnowały sowieckie posterunki, więc postanowiliśmy przejść Dniestr w bród. Przeszliśmy brzegiem rzeki do miejsca, gdzie był bardzo wartki prąd w szeroko rozlanej w tym miejscu rzece i po rozebraniu się i związaniu rzeczy w mały tobołek weszliśmy do wody. Pierwszy raz w życiu wszedłem wtedy do wody przy kilkusetstopniowym mrozie i wietrze. Woda paliła ciało jak ukrop, a wartki prąd poprostu zwałował z nóg. Ledwo mogliśmy utrzymać się na nogach. W najgłębszym miejscu woda sięgała do pół uda i ślizgaliśmy się po kamienistym dnie. Ostatnim wysiłkiem wydostaliśmy się na drugi brzeg. Mokre ciało, po wyjściu z wody jeszcze bardziej marzło, a nie mieliśmy czym się wytrzeć, więc prędko ubraliśmy się i pobiegli dla rozgrzewki. Po krótkim czasie doszliśmy na wskazane nam miejsce i rozpoczęliśmy poszukiwania. Długo chodziliśmy po chaszczach, ale nic nie znaleźliśmy i domyśliliśmy się, że tu przed nami było napewno niemało poszukujących tego samego i teren już w tym czasie był zupełnie oczyszczony z wszelkiej broni. Wróciliśmy już pod wieczór tą samą drogą. Do sierocińca wróciliśmy wieczorem tuż przed kolacją. Cały nasz wysiłek był daremny i nie mieliśmy co zanieść Uchmanom, więc wcale do nich nie poszliśmy. Mimo tego noczenia się na mrozie nawet nie dostałem wtedy kataru.

Miedzy po zamieszkaniu w sierocińcu, sowieci przyszli bez uprzedzenia i wyrzucili Siostry z zakładu, a z sierocińca utworzyli sowiecki "dziet dom". Starsze dzieci robiły awanturę sowiecom nie chcąc puścić od siebie Matczki przełożonej, która była dla nich bardzo dobra i którą naprawdę bardzo kochały, ale nic to nie pomogło. Siostry z chwili na chwilę musiały się wyprostować, zabierając jedynie swoje osobiste rzeczy, bo nawet pościeli im nie pozwolili sowieci zabrać. Tego samego dnia przybyła dyrektorka i personel cywilny. Pierwszym ich posunięciem było rozłamanie ołtarza i ławek z kaplicy i wyrzucenie wszystkiego z kaplicy przez balkon na podwórce. Nawet żyrandol i boczne lampki potłukli i wyrzucili. W pokoju po kaplicy zrobili sypialnię i umieścili w niej najstarszych chłopców.

Po kilku dniach przenieśli do naszego "dziet domu" sierociniec żydowski wraz z jego dotychczasowym personelem. Kierowniczką żydowskiego sierocińca

starsza już osoba, bardzo porządna i starająca się o dzieci, została opiekunką młodszych dzieci. Zrobiło się ciasno, już nie mówiąc o tym, że było mocno głodno, bo Sowietci nie dawali poza chlebem innych produktów, a na naszym kwaterze Sióstr przybyło drugie tyle konsumentów. Pojawiały się też w dużych ilościach wszy. Z opałem też było nie wesoło i panował przenikliwy śnieg, bo zima 1939-40 roku była bardzo mroźna. W styczniu i lutym temperatura nie spadała poniżej 40 stopni i trzymała tak po kilka tygodni. Towarzyszka z wydziału była prawdopodobnie z zawodu prostytutką, bo nako ją interesował los dzieci, ale za to co noc przyjmowała coraz to innego komandira i nie brzydząc się śniła się, że w zimie źle jest samej spać, więc szuka rozgrzewki. Naturalnie na zakąski do jej libacji szły najlepsze produkty z kuchni. Wydziałka - opiekunka jej podlegała i nie nie mogła zrobić, tylko kawałek słoniny i porządek. Gdzieś w środku zimy zmienili dyrektora i przyszedł wydziałka w średnim wieku, podobno przedwojenny nauczyciel. Zaczęła od walki z wszawi w ten sposób, że ostrzyżł wszystkie dzieci pod maszyną, tylko rajster z wydziałka czynkiem zostawił krótko przycięte włosy. Rajstera ci chłopcy też nie dali sobie ściąć włosów. Następnie zaczął gazować ciarką ubrania i to w ten sposób, że jak wszystkie dzieci poszły spać, to wzięli ich ubrania, rozwieśli na wieżach w sieni koło naszej sypialni i zapalili tam ciarkę. Zbudziło nas na szczęście szuranie i chodzenie w sieni, bo po zapaleniu ciarki dym ciarkowy zaczął się przedostawać przez szpary w drzwiach do naszej sypialni. Zaczęła się formalnie dusić, a niektórzy dostali torebki. Jak wspominałem była to pewna kaplica i miała jedynie drzwi do tej nieszczęśliwej sieni gdzie paliła się ciarka. Okna były mocno zamknięte i pozamazały i potrzeba było długo zanim je otworzyliśmy. Wpadło mroźno, ale czyste powietrze i to nas uratowało. Tymczasem dyrektor niefrasobliwie, po zapaleniu ciarki zamknął drzwi do kłucza i poszedł sobie spyć. Zaczęliśmy wołać przez okna do wartownika sowieckiego stojącego po przeciwnej stronie ulicy gdzie mieścił się jakiś sztab sowiecki. Po pewnym czasie Sowietci zorientowali się o co nam chodzi, bo z naszych okien unosił się dym i obudzili dyrektora. Otworzyli drzwi do sieni i wyprowadzili nas przez gaz na korytarz. Do rana przesiedzieliśmy w sieni i nie w sypialni dziewcząt, bo nie chcieli budzić maluchów, a wszędzie było bardzo zimno. Naturalnie nikt z nas już do rana nie spał. Po tym wyczerpie, po kilku dniach sprowadzili sowiecką "wossocojkę" - urządzenie parowe, w którym parą wodną pod ciśnieniem niszczone wszy. Było to urządzenie powszechnie używane w armii sowieckiej. Przy tej okazji zniszczono zupełnie mundurki i wszystkie wełniane ubrania dzieci, które w gorącej parze poprostu zbiegły się do tego stopnia, że nikt w nie nie mieścił się.

Przywódcą starszych chłopców był Franek, który rządził się bardzo bezpotrzeznie. W Święta Bożego Narodzenia Franek zorganizował grupę kolędników ze starszych chłopców i chodzili po mieście. Zebrali trochę pieriędzy, które Franek przeznaczył na kupno chleba. Sam kupował chleb i według swego uznania podzielił go.

„zinnie zamieszkał w „dziet domu” chłopak już dorwatający - Ukrainiec, który uczęszczał do „dziesiacielki” sowieckiej, przekształconej w gimnazjum. Kończył już naukę i nie miał gdzie mieszkać, pragnął więc go do nas. Był poważnym, zajętym nauką chłopcem, a przy tym narodołocem i nienawidził sowieckich Niemców od nas. Miał książki ukraińskie i w rozmowie z nim piewał, że walczył się ze sprawą Ukraińców.

Wokół Bożego Narodzenia Dziunek był w mieście i gdy wrócił powiadomił nas, dowiedział się o aresztowaniu obu Uchmanów i że w ich domu sowieci urządzili kociół i nie można tam iść.

Sowieckie wojsko, stojące opok sierocińca, wzięło ranną „dziet dom” pod opiekę, która polegała na tym, że przychodzili różni komandiry i mieli z nami pogadanki polityczne, a po Nowym Roku urządzili choinkę dla swoich dzieci i zaprosili nas na nią. Były tańce wokół choinki i „dziadek mróz” dawał ich dzieciom paczki z podarkami, a nasze dzieci miały na to patrzeć. W tym czasie, po wstąpieniu naszej wcześniej „akcji odwazawienia”, wazy co prenda było nie wiadomo, ale dzieci nie miały w co się ubrać, a ponieważ nikt nie dbał o reperację obuwia, więc wszyscy mieli podarte buty. Na tej choince u sowieców obowiązywało zdjęcie obuwia i chodzenie w pantoflach, myśmy naturalnie nie mieli pantofli i dzieci „bawily” się boso. Wszystkie buty stały w dużej sieni. Lały Wasylek, Ukrainiec sierota może 6-0 letni wcześniej uciekł z sali zabaw i włożył zamiast swoich podartych bucików, nowe futrzane botki i uciekł do „dziet domu”. Po skończonej zabawie zrobił się rejwach, bo się okazało, że zginęły botki córki komisarza dywizji. Zatrzymali nas wszystkich i zrewidowali i naturalnie nic nie znaleźli, ale ktoś z personelu zauważył brak Wasylka i w „dziet domu” znaleźli go w tych botkach i odebrali mu je i jeszcze dyrektor dał mu lanie.

Zimą z powodu dużych mrozów i zimna w całym domu, a przy tym braku ciepłego ubrania i obuwia, bo co było po ślostrach, to się wydarło nie naprawiane, a nowych butów i ubrania sowieci nie dawali, wszystkie dzieci miały podziębione pęcherze i lało bractwo po nogach nie nie czując, a rano pod większością zimy łóżek stały kałuże. Moczone ciągle sienniki nie wysychające, grzyby i ścierdziało w sypialniach odpowiednio. Po za tym nie było wcale opieki lekarskiej i nawet mocno chore dzieci spały na ogólnych salach. Wszyscy mniejsi chłopcy od moczenia się mieli do krwi popękane nogi. Znalazłem na strychu słoik z masą na odmrożenia, pozostawiony tam widocznie przez którąś z Sióstr. Była to jakaś bardzo tłusta miazga. Zaczęłem smarować nogi chłopcom no i pomogło.

Gdzieś w styczniu, czy na początku lutego Dziunek, który się zaprzyjaźnił z starszym chłopakiem, Ukraincem, którego w tym czasie przyprowadzili do „dziet domu” milicja. Był to zupełnie nie ciekawy typ, jakiś złodziejaszek. Krótko przez bywał w „dziet domu”, znówił się z Dziunkiem, nocą ukradli co lepsze ubranie a między innymi nój płaszcz giinnazjalny, bardzo jeszcze porządny i uciekli. Podobno złapała ich milicja i wsadzili ich do poprawczaka w Drohobyczu, ale nie wiem czy to była prawda, bo sowieci lubili się chwalić, a nikt ich więcej nie widział i rzeczy skradzione nie odnalazły się. Zostałem więc sam, ale nie

nie martwiłem się tym, bo już od pewnego czasu Dziunek mi się nie podobał. Zauważyłem, że był fałszywy i mocno nieuczciwy.

Na dzień imienin Marszałka Piłsudskiego Franek ze starszymi chłopcami i dziewczętami zorganizował akademię z recytacją wierszy i śpiewem. Udała mu się zupełnie dobrze.

Muszę tu zaznaczyć, że przez całą zimę dzieci z "dziet domu" nie chodziły do szkoły, bo nie miały odzieży i nikt tego nie pilnował. Dopiero na wiosnę przyjechała jakaś "towarzyszka" i przeprowadzała rozmowy ze wszystkimi kolejno na temat nauki, ale na tym skończyło się w tym roku szkolnym.

W koszarach za naszym ogrodem stało wojsko sowieckie, a pod pretekstem stawili swoje wozy taborowe i konne karetki sanitarne, które były na rezorach i miały koła z oponami samochodowymi. Dobraliśmy się do tych opon i odciągnęliśmy im kilkanaście kół. Zdjęte opony sprzedawaliśmy w mieście, gdzie przerabiali je na zelówki. Ukradliśmy im też podstawę do karabinu maszynowego przeciwlotniczego i schowaliśmy ją za oborą. Drugo szukali i nie mogli jej znaleźć. Niestety do tej roboty wziął się jeden z młodszych chłopców i na własną rękę chciał ukraść koło, ale przeliczył się z siłami i nie zdołał wytoczyć go po cichu. Wartownik zauważył go i przyłapał, a ten walczył się bicia wydał wszystkich, którzy byli w to zaangażowani. Chłopcom z "dziet domu" nic nie zrobili, ale w mieście kilku ludzi aresztowali.

Kiedyś wlałem do nie zamkniętej karetki i znalazłem kilka łódek naboju karabinowych. Gdy wychodziłem zobaczyłem ruch przechodzący przez plac przypadkiem żołdat i zaczął mnie gonić. Uciekłem do "dziet domu" i przed wyjściem ciem wrzuciłem naboje do beczki pod rynną. Sam schowałem się w sypialni. Wartownik zaalarmował sztab z przeciwka i przeszukali cały dom. Poznał on żołdat po ubraniu i znalazł naboje, bo w beczce był jeszcze lód i leżały na wieżabhu. NKWD-ista robił śledztwo. Chciał mi wmówić, że ktoś mi kazał zbierać naboje, ale nie przyznałem się do niczego, a w kółko mówiłem, że wzięłem naboje żeby robić z prochu sztuczne ognie. Po jakimś czasie dali mi spokój, bo przecież byłem "stalinskij rebionok" jak nazywali sieroty z "dziet domów", i nie mieli się do kogo przyczepić za mnie. Gdyby przeszkobały coś dzieci mające rodziców, to odpowiadali za nie ich rodzice i starsze rodzeństwo w myśl odpowiedzialności zbiorowej stosowanej jako zasada przez NKWD.

Kiedyś na złość dyrektorowi, który chciał z nas zrobić pionierów i komсомолców, zrobiliśmy złośliwy kawał. Późnym wieczorem, gdy było bardzo ciemno, po cichu wyszliśmy z sypialni, wzięliśmy przygotowaną za dnia żerdź od anteny radiowej, nawlekliśmy na nią cztery snopy słomy, ustawili przy suchej gruszy w ogrodzie, przywiązali całość kolczastym drutem, omotując nim żerdź i drzewo od góry do dołu i podpáliliśmy to. Następnie zwiłaliśmy od razu do sypialni, nim ogień zdążył objąć cały słup słomiany i położyliśmy się spać. Na ciemnym niebie zrobiła się tupa jak od wielkiego pożaru. Dyrektor z dwoma pracownikami chciał poprostu przewrócić żerdź, ale była tak omotana

drutem, że nikt tego nie mógł dokonać. Przyjechała straż pożarna i po ugaszeniu dyrektor miał większy "wygawor" za nie dopilnowanie porządku i fałszywy alarm. Dyrektor domyślał się kto był sprawcą, ale nie miał dowodów.

Któregoś dnia na przedwiośniu przyjechał do "dziet domu" nowy inspektor, przedwojenny nauczyciel, przyjaciel Wandy Wasilewskiej, jak się sam chwalił, przedstawiający się jako stary komunista. Zebrał on wszystkie dzieci i wygłosił do nas przemówienie mocno przeplatane wychwalaniem sowieckiego systemu. Między innymi grzmiał: "dawniej mówiono, że jak dziecko podniesie rękę na starszego, to mu ręka uschnie, a ja wam mówię, że jak kto podniesie rękę na dziecko to skręci kark w dwadzieścia cztery godziny". Naturalnie takie postawienie sprawy robiło nas zupełnie bezkarnymi.

Przyszła wielkanoc. Zebraliśmy trochę produktów, Franek dobrał się do magazynu żywnościowego i wziął z tamtąd mąkę i smalec. Chłopcy gdzieś ukradli jajka i upiekliśmy placek i małe babeczki. Nie bardzo się to nam udało, ale zawsze coś mieliśmy. Zrobiliśmy też sałatkę jarzynową. Gdy dowiedziały się o tym starsze dziewczęta to nam bardzo zazdrościły. Stół świąteczny zrobiliśmy w swojej sypialni.

Przyszła wiosna i wreszcie stajały śniegi. Do zaozowania ogrodu przyjechał gospodarz z podniejskiej wsi, nazwiskiem Bugnar. Pomagałem mu przy orce, a po jej skończeniu pojechałem z nim aż do jego gospodarstwa. Zaczęliśmy wypędzać krowy pozostałe po Siostrach, na paszę, na teren nieczynnej cegielni. Za wypędzenie i pasienie przez cały dzień tych krow dawali nam pół litra mleka i sporą pajdę chleba. Na terenie cegielni znalazłem zasypane w wyrobisku stosy polskich książek, które sowieci wywieźli z wszystkich bibliotek i czytelni samborskich i po wrzuceniu do wyrobiska zasypali zwalami gliny, które odwalili ze skarpy dynamitem. Dokopaliśmy się do tych książek i dużo z nich wyciągnęliśmy i odczytaliśmy. Były tam książki Prusa, Sienkiewicza, Rodziwiczówny, Reymonta i wielu innych polskich pisarzy. Szperając w tych książkach wywnioskowałem, że sowieci nie zadali sobie zupełnie trudu w jakiejś segregacji książek z tych zbiorów, a wyrzucili wszystkie pisane po polsku i wydane przed wojnę. Między innymi wyciągnąłem z tamtąd "Dzieci" Prusa - książkę o wypadkach 1905 roku w Polsce. Książki te przynosiliśmy do "dziet domu" i czytali je wszyscy, kto tylko chciał, ale musieliśmy je dobrze chować, bo jak tylko znalazł którą z nich, dyrektor to od razu je palił. Gdy kiedyś znalazł u dziewcząt książkę o księdzu Skorupce, o mało się nie wściekł i zaraz wrzucił ją do pieca. Za to bardzo polecał czytać książki Wandy Wasilewskiej i "Jak hartowała się stal". Niestety wiosenne deszcze podmyły nasz wykop i zalały tkwiące tam książki, tak że groził zawaleniem i dużym spokojem.

W Samborze i okolicy pełno było na domach figur Łatki Boskiej i różnych świętych. Przydrożne figury w kapliczkach przeważnie sowieci potłukli i postrzelali, a te z domów wycinali, częściowo tłukli, a część z nich odwozili do kościołów. Wyciąłem też figurę z węgla na domu sierocińca i zawieźli ją do kościoła. Jeździłem wówczas z tą figurą z Frankiem i widzieliśmy w zakrytym

kilkadzieśiat tych figur ciasno ustawionych. Na ratuszu niejakie z gipsu i ci drugiego pięttra była wielka figura Matki Boskiej Królowej. Sowioci obci- li ją zdnąć, ustawili rusztowanie i znaleźli miejscowego człowieka, który zgodził się wykucć figurę. Tłum ludzi zebrał się na placu przed ratuszem i obserwował poczynania. Ochotnik bolszewicki wylazł na rusztowanie i zaczął odkuwać figurę. Nagle zakręcił się na rusztowaniu i zleciał na ziemię. Nie było co zbierać, bo zupełnie rozpląszczył się na chodniku. Więcej ochotników sowioci nie znaleźli i figura została na dawnym miejscu.

Wiosną rozeszła się wieść po mieście, że sowioci wyrzucają z plebanii księży. Zebrał się tłum ludzi żeby protestować. Śpiewali wszyscy "Ojciec nasz Boga". Sowioci byli zaskoczeni manifestacją. Ksiądz proboszcz wyszedł na ganek i uspakajał ludzi, prosząc żeby się rozeszli i nie prowokowali do nowych represji.

Był w Samborze stary klasztor Bernardynów. Sowioci zajęli część budynków klasztornych na siedzibę i kwatery NKWD, ale nie rozpędzili zakonników, tylko ich ścieśnili. Wszędzie na zajętych terenach sowioci w krótkim czasie po wkroczeniu rozpędzili wszystkie zakony żeńskie, a nie rozpędzali męskich. Bernardyni samborscy nie ustępowali wyglądem innym zakonnikom tego zgromadzenia - wszyscy byli wysocy i "przy kości". Przyjemnie było patrzeć jak taki zakonnik szedł szodkiem chodnika i nigdy nie ustępował idącemu z przeciwka sowietom, a oni grzecznie mu ustępowali.

Wczesną wiosną sowioci zabrali od nas wszystkie dzieci w wieku przedszkolnym i wywieźli je w nieznanym kierunku. Kilka matek w tym dniu zabrało swoje dzieci. Były to półsieroty. Nawet jedna Cyganka zabrała małe Cyganiecko zupełną sierotę, podając się jako ciotka dziecka. Był jednak jeden przykry wypadek. Był w sierocińcu chłopczyk może czteroletni, syn podoficera kawaleryjskiego, który nie wrócił z wojny. Siostry przyjęły dziecko jesienią gdyż matka twierdziła, że jest w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Opiekunka maluchów zawiadomiła matkę, że dzieci wywożą i namawiała żeby zabrała swego synka, ale ona nie chciała go wziąć i mały spłakany pojechał na przepadek. Starsi chłopcy robili wywiad i okazało się, że ta wyrodna matka włączyła się z sowietami i dlatego jej dziecko przeszkadzało. Maluchy miały "swoich" wśród starszych i był okropny płacz gdy je zabierali.

Ponieważ dyrektor nie mógł poradzić sobie z nami i wszelkie próby jego zrobienia z nas wszystkich pionierów, ^{nie udawało mu} wpadł na pomysł i pewnego dnia przyjechał niby w odwiedziny do niego dyrektor "dziet domu" z Drohobycza* z kilku starszymi chłopcami. Odrązu wydali mi się niesympatyczni i zanadto wygadani. Natomiast Franek przyjął ich jak swoich i wszystkim chwalił się przed nimi. Potem okazało się, że byli to zwykli szpicle, którzy mieli za zadanie nas rozpracować. Po ich wizycie sowioci już znali wszystkie nasze poczynania.

W tym też czasie wynikła sprawa kradzionych opon wojskowych, o czym wspomniałem wcześniej. Dyrektor wszystko zwałił na Franka, a ponieważ był on półsierotą i miał w Samborze ojca - został wydalony z "dziet domu". Zmartwiłen się

tym, bo Franek był głównym opozycjonistą i trzymał innych w ryzach nie dopuszczając do bolszewiczenia dzieci. Między innymi on głównie nie dopuścił do zorganizowania w "dziet domu" pionierów. Po jego odejściu, przywództwo objął chłopak dotychczas zawsze słuchający i popierający we wszystkim Franka - Bolek. Dopiero po odejściu Franka okazało się, że Bolek go nienawdził. Cieszył się z porażki Franka i wygadywał na niego niestworzone rzeczy. Odrazu też stanął po stronie dyrektora, zaczął mu schlebiać, donosić na wszystkich i pomagać. Ponieważ byłem po stronie Franka więc uważał mnie za swego wroga głównego i zaczął mi dokuczać. W końcu doszło do bijatyki, w którą się wniessał, na polecenie dyrektora, jeden z dorosłych pracowników i w rezultacie Bolek był górą. Co prawda wiedział, że jeśli będzie bez pomocy dorosłych to nie da mi rady, ale tak się pilnował, że zawsze był z kimś. Tak samo prześladował Romana - syna policjanta i małego Cygana, którym dawniej opiekował się Franek, a po jego odejściu snuł się za mną. W końcu postanowiłem uciec z "dziet domu". Gdy Roman i Cygan dowiedzieli się o moim zamiarze uparli się, że pójdą ze mną. Chciałem początkowo odrazu iść jak najdalej od Sambora, ale z nimi nie chciałem. Uciekliśmy wczesnym rankiem i poszliśmy do Bugnara, który miał gospodarstwo rolne we wsi pod Samborem. Przyjął nas i przepasił nam krowy i konie za jedzenie. Spaliśmy u niego w stodołę. Po kilku dniach Bugnar pojechał pomagać zbierać siano swemu ojcu na odległej o kilkanaście kilometrów łące. Zabráł mnie ze sobą, a Roman z Cyganem pasli krowy. Zjechało się do starych gospodarzy kilku synów i zięciów i ze swymi kobietami szybko przetrząsnęli i złożyli w kopy całe siano. Na koniec załadowali wozy i pojechaliśmy spowrotem. Pracowałem przy sianie cały czas z wszystkimi, a w drodze powrotnej nim dojechaliśmy do szosy, przez kilka kilometrów szedłem przed końmi przy dyszlu wozu Bugnara i przytrzymywałem, żeby nie bił koni po nogach, bo w tamtych stronach jeździli wozami z dyszlem i koniom zakładali naszyjniki, które były dość luźno spięte łańcuchem z końcem dyszla. W takim zaprzęgu konie łatwo hamowały wóz jadąc z góry, ale na wyboistej drodze dyszel bił na boki w zależności od tego które koło wpadło w dół. Utrzymanie takiego dyszla wymagało dość dużej siły i po kilkukilometrowej wdrówce ledwo zdołałem wgramolić się na wóz. Po przyjeździe do gospodarza wsadzili mnie na strych stajni i tam rozkładałem podawne z wozów siano. Po skończonej pracy i obmyciu się przy studni, dali wszystkim obiad. Według starego zwyczaju wszyscy zasiedli wokół długiego stołu według starszeństwa. Postawiono trzy miski z barszczem i każdy jadł z najbliższej. Ja jako najmłodszy i do tego pracownik, a nie gospodarski syn, siedziałem najdalej od miski. I tu okazało się, że nie umiem porządnie jeść. Wszyscy jadący ten barszcz nie uronili na stół nawet jednej kropli, a do mnie od miski była cała rzeka. Dopiero po jakimś czasie zauważyłem, że wszyscy rabierali nie pełne łyżki i za każdym razem ocierali je o brzeg miski. Tak to na nie się przydało mi szkolenie w dobrym jedzeniu, które miałem w domu i gdzie byłem uważany za dobrze wychowanego i umiejącego zachować się przy stole.

Co kraj to obyczaj, jak mówili starzy.

Choć jedliśmy u Bugnarów - to co zostało gospodyni z ciasta, już nie mieliśmy błedy, ale po jakimś czasie dyrektor doniósł mi, że jesteśmy u Bugnara i przysłał do niego milicję. Gospodarz przestraszył się i kazał się nam wynosić, bo wówczas nikt nie chciał narodzić się, nie tylko nie z milicją i NKWD.

Chciałem jeszcze raz spróbować przedostać się na Węgry, a obaj chłopcy uparli się mnie nie odstępować i iść ze mną. Poszliśmy prosto na południe i pod wieczór byliśmy już w górach. Zjedliśmy chleb, jaki dała nam na odwołnym Bugnarowa i zakopaliśmy się w zapotkanym stogu siana. Wygłotaliśmy się zupełnie dobrze i poszliśmy dalej. Nie miałem kompasu i orientowałem się jedynie według słońca. Południe zjedliśmy resztę chleba i nie wiedziałem skąd wziąć jedzenie na dalszą drogę. Okolice stały się biedne i nie było widać warzyw ani młodych ziemniaków, a spotkany Ukrainiec opowiedział mi, że idzie sam szukać zarobku i nie przyjmuje nikogo do pracy. Is doniar z tego Cygan dostał gorączki. Postanowiłem wracać żeby znaleźć dla niego jakieś lekarstwo zwłaszcza, że nie wiedziałem co mu jest. Po dwóch dniach byliśmy na przedmieściu Sambora. Zapotkany mężczyzna widząc chorego Cygana, zaprowadził nas do swojego mieszkania, dał się umyć i nakarmił nas. Cyganowi dał jakieś tabletki i położył nas spać w komóreczce na sianie. Już w górach ubrałem Cygana w mój sweter i kurtkę i tak położyłem go spać we wspomnianej komóreczce. Rano dość długo nie otwierali więc leżeliśmy spokojnie na sianie. Po pewnym czasie zobaczyłem przez szparę w drzwiach naszego gospodarza z dyrektorem i milicjantem. Otworzyli drzwi i wzięli nas pod rękę. Po drodze wypatrywałem sposobnej chwili i skoczyłem w bok w lasy. Strzelił mi kawałek, ale w gęstych łożach nad Dniestrem byłem zwinniejszy i uciekłem im. Romana i Cygana więcej już nie widziałem. Kilka dni krąciłem się jeszcze po przedmieściach wśród chłopców "bezprzecznych" jak ich nazywali sowietci, bo nie mieli rodzin i nie chcieli opieki w "dziet domu", a żyli na własny rachunek. Żyli z kradzieży u Żydów i ze straganów. Widziałem jak oni kradli na targu kobietom z kosza - podchodził taki z tyłu i w tłumie trzącał koszyk z przeciwnej strony, a gdy się obracała, momentalnie wyciągał jej z kosza co chwycił w rękę i zwiewał w tłum. Mieszkali oni w kilkunastu w pokoju na strychu żydowskiego domu i chowali na nim króliki. Skradzionymi produktami na ogół dzielili się między sobą, tak że nikt z nich nie był głodny. Ponieważ nie miałem zamiaru zostać złodziejem, a byłem tylko w drelichowych spodniach i koszuli, bo w moim swetrze i kurtce poszedł Cygan, i z tego powodu odpadła możliwość przejścia przez góry na Węgry, więc postanowiłem wracać do Lowogródka. Nie wiedziałem czy zastanę kamusię na miejscu, bo wiedziałem o nasowych wywozach w lutym i kwietniu, ale zawsze spodziewałem się spotkać kogoś znajomego. Nie miałem zupełnie pierógów ani jezieria, a miałem do przebycia półtora tysiąca kilometrów. Zapędziłem na plebanię, bo chciałem rozmówić się z księdzem i prosić go o pomoc, ale nie zastałem księdza tylko

Siostra, która gospodarzyła księżom myśląc, że przyszedłem zebrać, dała mi jałmużny - Świartkę bochenka chleba i 20 kopiejek. Kupiłem na te kopiejki chleba i ruszyłem w drogę piechotą. Szedłem szosą do Lwowa. Po drodze podbiłem dziątkę na polu, na której rosła rzepka i urwałem jej kilka sztuk. Wziąłem kawałek chleba z tą rzepką siedząc na poboczu drogi i poszedłem dalej. Niezostawiając zaszedłem do przydrożnego gospodarstwa i poprosiłem o nocleg. Poprosili mi przepaść się na sianie na oborze. Pytali dokąd idę więc im powiedziałem, że wracam do Matki do Lwowa, a byłem pod Samborem. Przed spacerem gospodarz dał mi gotowanych kartofli, więc nie byłem głodny. Zakopałem się w sianie i przespałem, a rano poszedłem dalej, bo pomysł na przystanek w Samborze nie chciałem zostawiać za długo na jednym miejscu. Do Lwowa dojechałem po południu i zapytując o drogę, doszedłem do stacji podmiejskiej, przez którą przechodziły pociągi ze Lwowa do Brześcia. Krótko po moim przyjeździe zjechał pociąg idący do Brześcia. Wsiadłem do ostatniego wagonu już gdy pociąg ruszał. Po krótkim czasie przyszedł kolejarz w polskiej kolejarskiej czapce i na poboczu zapytał mnie dokąd jadę. Powiedziałem, że wracam do domu do Brześcia. Pokazał mi ścieżkę do przedziału i powiedział, że on ma służbę do Kowla i dotąd mnie dowiezie, a w Kowlu przychodzi do pociągu inna zmian i nie wie kto będzie i tam muszę już sam sobie poradzić... przedziałem na przeciw mnie siedział jakiś mężczyzna, który po pewnym czasie zaczął posiłkować się krojąc sobie chleb z dużego wiejskiego bochna. Widocznie patrzyłem na ten chleb bardzo żąbocznie, bo po chwili ukroił duży kawałek i dał mi go. Zjadłem połowę i resztę, że byłem głodny resztę włożyłem za pazuchę na potęgę. Zdrzemnąłem się i nawet nie wiedziałem, jak przejechaliśmy Kowel. Za Kowlem na małej stacji w stronę Lasów wyrzuciła mnie kontrola z pociągu. Przespałem się na stacji na ławce. Jakiś młody człowiek w kolejarskim mundurze wypytywał mnie co słychać we Lwowie i czy nie mam tytoniu ukraińskiego. Później domyśliłem się, że było to hasło ukraińskiej organizacji podziemnych i ten człowiek wziął mnie na siebie kuriera, bo mimo, że mówił na początku o tym, że mi przyniesie jedzenie i wyprawi w dalszą drogę najbliższym pociągiem, to gdy zorientował się w swojej pomyłce nie zjawiał się więcej, choć mówił, że ma służbę na stacji... Wczesnym rano wyszedłem za stację do lasu i zjadłem trochę czarnych jagód. Po powrocie na stację nie czekałem długo i wsiadłem do pociągu jadącego w stronę Brześcia. Dojechałem tam już wieczorem i zaraz przy wysiadaniu złapał mnie NKWD-ista. Posadził mnie na wartowni i dość długo czekałem. Erobiła się już zupełna noc gdy przyszedł jakiś NKWD-ista mówiący dobrze po polsku, wziął mnie do swego gabinetu i zaczął śledztwo. Chciał mi wmówić, że chciałem przechodzić granicę na niemiecką stronę. Tłumaczyłem się przy tym, że jadę do rodziny do Taranowicz, a byłem pod Lwowem od czasu wojny. Siedział za biurkiem i jadł chleb smarowany masłem i prze-rzywał go kiełbasą, popijając białą kawą. Obcinał przy tym grubo skórki i wznosił je do śmieci do kosza. Byłem głodny, bo tego dnia oprócz jagód zjedzonych wcześniej rano, cały dzień nie miałem nic nie poprosiłem go o te skórki i jakoś wytrzymałem. Przetrzywał mnie tak

do późnej nocy i w końcu uznał, że nie za wiele nie wyciągnął, a z wyglądu ocenił, że nie nadają się do kagru, więc wyprowadził mnie na ulicę i powiedział, że jak mnie jeszcze raz staję na stacji to dostanę porządnie łanie i zamknę do więzienia. Wyszedłem z klatki i zacząłem szukać kagru. W końcu znalazłem kagru i po omacku, bo prawie nie było świecących się latarki, poszedłem do miasta. Prawie wszystkie klatki schodowe i sienie były puste. W końcu znalazłem jedną otwartą. Byłem zupełnie mokry od śniegu i zupełnie zmarznięty. Siadłem na schodach na półpiętrze, skuliłem się jak mogłem i zadrzemałem. O świcie zbudziłem się wychodzący do miasta. Wyszedłem na miasto. Pełno było w nim sówietów. Ostrożnie poszedłem na stację, zobaczyć kiedy będzie pociąg do Baranowicz. Lapisy były po rano i nie bardzo udało mi się odczytać, ale w końcu ktoś mi powiedział, o której godzinie będzie pociąg. Wiaźem czas do południa, więc nie chcąc polazę na stację, poszedłem do miasta. W zakręcie drogi na nasypie, znalazłem kilka paczek tytoniu. Widocznie wypadły z jakiegoś przejeżdżającego wagonu. Pozbierałem je i upchałem w kieszenie spodni i za koszulę. Byłem głodny i nigdzie nic nie mogłem zdobyć. Jakoś się doczekałem południa i poszedłem znów na stację. Siedząc za plotem pod winoroślą byłem nie widoczny, a sam widziałem perony. Wreszcie przyszedł pociąg na który czekałem. Gdy już pociąg ruszał, wyskoczyłem na peron i siadłem w ostatnie drzwi wagonu. Po krótkim czasie przyszło dwóch sowieckich kolejarzy i stwierdzili, że nie mam biletu, wyrzucili mnie z pociągu jadącego już dość szybko i mijającego ostatnie semafony. Nie chciałem skakać więc jeden poprosił wypchnął mnie z wagonu przez otwarte drzwi. Ja noże szczęście nie trafiłem na słup, ale i tak mocno się potłukłem i podrapałem na sznurze. Usiłowałem powlokłem się za znikającym pociągiem wzdłuż torów. Uważałem, że idąc tam nie ubliżę i mam możliwość złapania na którejś stacji następnego pociągu. Pod wieczór nie wytrzymałem i wszedłem do chaty brótrka i poprosiłem o wodę. Kobieta dała mi kromkę chleba i szklankę mleka. Podziękowałem i zjadłem to w mgnieniu oka i poszedłem dalej. Na przytorzu znalazłem kilka słoików chleba obciętych z kromek, podniosłem je i zjadłem ze smakiem. Wieczorem doszedłem do Żabinki. Pomyliłem w ~~Baranowicz~~ ^{Żabince} tory i poszedłem w stronę Łunin³ca, zamiast prosto do Baranowicz. Akurat w Żabince dograł mnie pociąg. Zrobiło się już ciemno. Siadłem na stopniach wagonu i tak jechałem jakiś czas. Choć to było lato, ale marzłem okropnie, bo pociąg jechał przez Polańskie i pełno mgieł unosiło się nad bagnami ciągnącymi się wzdłuż torów no ja byłem tylko w koszuli i do tego wygłodniały. W pewnej chwili drzwi nade mną otworzyły się i konduktor nie widząc mnie, wypadał mi na głowę. Na następnej stacji nie wytrzymałem i wszedłem do wagonu. Bałem się poprostu, że z zimna nie utrzymam się na stopniu i spadnę. Wszedłem do przedziału zajętego przez krasnoarmiejców, siadłem na brzegu ławki i w ciepłe zadzemałem. W pewnej chwili usłyszałem jak przyszedł konduktor sprawdzać bilety. Zamarłem i udawałem, że mocno śpię. Konduktor chciał mnie budzić, ale krasnoarmiejec, obok którego siedziałem, nie dał mi budzić i powiedział do

Konduktora: "broś jego puść spit, on jedzie z nami". Konduktor poszedł, a ja na
naprawdę zasnąłem. Nad ranem zbudził mnie tenże krasnoarmiowiec i powiedział,
że pociąg idzie dalej do Mińska i zapytał dokąd chcę jechać, bo to Łukwiniec
ostatnia dawniej polska stacja. Podziękowałem mu i wyskoczyłem z wagonu. Na
stacji dowiedziałem się, że niedługo będzie pociąg do Baranowicz. Chodziłem
poza stacją żeby nie wpaść w oczy NKWD-istom kolejowym. Wisiakiem w śmiet-
niku kolejowym przy bufecie skórki chleba i nawet większe kawałki, ale nie
mogłem dostać się do nich, bo trzeba było przechodzić pod oknem posterunku
NKWD. Gdy miał odchodzić pociąg do Baranowicz, wyszedłem na peron, ale gdy
chciałem wsiąść do wagonu, złapał mnie NKWD-ista i zaprowadził na posteru-
nek stacyjny. Tam zrobili mi dokładną rewizję i przy tym chcieli mi zabrać
krzyżyk. Wyśmiewali mnie i straszili no i trzymali tak długo, aż pociąg
mój odszedł. Wtedy wyprowadzili mnie za peron o postraczyli, że jak jeszcze
raz mnie złapią to będzie gorzej. Poszedłem torami w stronę Baranowicz.
Ludzie wracali z lasu z jagodami i wszędzie słychać było rozmowy i śmiechy,
a mnie chciało się płakać. Byłem głodny jak bezdomny pies i miałem pokaleczy-
czone nogi. Przemogłem wstyd przed zebraniem, zaszedłem do donku dróżnika i
poprosiłem o coś do jedzenia. Starsza już kobieta dała mi kawałek chleba
i szklankę mleka. Po zjedzeniu tego odrzuciłem się lepiej. Podziękowa-
łem i poszedłem dalej. Po drodze spotkałem chłopca wracającego od siana. Za
paczki tytoniu dał mi kawałek chleba jaki mu został i trzy zapalki. Nieczo-
rem zaszedłem na stacyjkę i przespakem się do rana na ławce, a rano poszedłem
dalej. Po drodze spotkałem poletko ziemniaków. Rozpaliłem na przytorcu
ognisko i upiekłem kilka zupełnie jeszcze młodych nie dużych ziemniaków.
Były jeszcze na w pół galaretowate i już na pół spalone, ale je zjadłem ra-
zem z resztką chleba i ruszyłem dalej. Nad wieczorem przyszedłem do Malko-
wicz. Stacja była mała i tylko skład drewna przy torach dodawał jej znacze-
nia. Siadłem na ławce i odpoczywałem. Zdrzemnąłem się nawet. Tymczasem zrobiło
się ciemno. Starszy kolejarz w rogatywce kręcący się po stacji, przysiadł
się do mnie i zapytał dokąd chcę jechać, a gdy powiedziałem mu, że do Bara-
nowicz, powiedział żebym na niego zaczekał. Koło północy przyszedł i zapro-
wadził mnie do świeżo naładowanego szczapiną wagonu - węglarki i powie-
dział żebym wszedł na wagon i schował się w pozostawionej w środku wnękę
i nie pokazywał się jak będzie ktoś chodził koło wagonów, pociąg ma jechać
do Stonimia, ale będzie stawał w Baranowiczach. Podziękowałem mu i wdrapałem
się na wagon. Jak mówił, była w środku zostawiona spora wnęka, do której się
wsunąłem. Niedługo po tym parowóz zabrał mój wagon i podczepił go do po-
ciągu zbiorczego. Wnęka ta była na tyle głęboka, że zupełnie nie widać i
nawet wcale nie zmarzłem. Rano pociąg zatrzymał się przed semaforem. Wjmu-
łem ostróżenie i z daleka zobaczyłem miasto, ale nie wiedziałem czy to już
Baranowicze. Po chwili oczekiwania pociąg ruszył i zatrzymał się przed sa-
mym dworcem w Baranowiczach. Musiałem wysiadać i bałem się, żeby mnie nie
złapało znów NKWD, bo na wszystkich mijanych stacjach było ich pełno. Ostro-
żnie schodziłem z wagonu i już byłem prawie na ziemi gdy złapał mnie za

Koźnierz jakiś kolejarz i wyprowadził za dworzec mówiąc hejmy nie wzięj się
się drugi raz wiazić na wagon. Nażo mu nie podziękowałem za to, że mnie
wyprowadził poza dworzec i poszedłem do miasta. Wypytywałem się spotkanych
przechodniów o drogę do szosy idącej do Nowogródka i tak wyznałem na
właściwą drogę. Za Baranowiczami zlał mnie ulewny deszcz. Skryłem się, co
prawda do przydrożnego wykopu, ale i tak zupełnie zmokłem. Przechodzący przez
jakąś wieś rozciągającą się w poprzek szosy spotkałem staroświeckiego idą-
cego z przeciwka i zapytałem go czy ta droga prowadzi do Nowogródka. O-
wiedzi mi: "Heta, heta synku". O nażo go nie uściskałem za to "heta", bo
tak dawno nie słyszałem białoruskiej mowy. Po jakimś czasie dojechały mnie
furmanki wracające z szatarni od żądki skupów telefonicznych. Wyjechałem
na jednej i dojechałem do Switezi. Dalej jechały w stronę Łowoszy więc
podziękowałem za podwiezienie i poszedłem dalej szosą. Już w odległości dog-
nał mnie jakiś mężczyzna jadący rowerem. Był już północ. Zapytał mnie dokąd
idę i jak się nazywam. Było już blisko Nowogródka więc powiedziałem prawdę.
Wtedy powiedział, że jeśli jestem naprawdę tym za kogo się podaję, to on zna
znał jego Ojca i wzięł mnie na ramię, bo jechał do Nowogródka. Nie chciał mi
powiedzieć nazwiska i tylko powiedział, że mieszka koło Rajcy i często
widywał Tatusia. Do Nowogródka dojechaliśmy już późnym wieczorem. Kawałek
szliśmy jeszcze pod górę razem, potem podziękowałem mu i poszedłem przez
cmentarz katolicki do domu Hojmanów, gdzie przed moim wyjeźdem mieszkał
mój. Siedziałem cicho, przeskoczyłem przez okalający ogród i poszedłem pod okno
mieszkania. Ostrożnie zajrzałem i zobaczyłem pokój, jak go zostawiłem i
krzątającą się jeszcze mamusią. Okno było otwarte więc urwałem kwiatów w
ogrodzie i wrzuciłem je do pokoju. Po chwili wyjrzała oknem. Mamusia i ledwo
kiedy poznała. Zaraz zrobił się ruch w mieszkaniu. Mamusia dała mi wodę w
młsce żeby się umyć i dała czystą bieliznę, a moje rzeczy wyrzuciła do ko-
łarki, bo ostrzegłem, że mam nosy. Wstała się Wicia i gdy mamusia powie-
działa jej, że wrócisz, powiedziała zaskoczona, że powinienem dostać łóżko na
przywitanie. Mamusia dała mi chleba i kwaśnego mleka, bo nic innego nie
było w domu. Zjadłem to i położyłem się spać pierwszy raz od wielu nocnych w
czystej pościeli, a prawie od dziesięciu miesięcy w domu.

Następnego dnia szybko wśród znajomych rozszalała się wieść, że wróciłem
i kilka następnych dni doskownie się zamknęły się u nas drzwi. Single ma-
niałem od nowa opowiadać o swoich przygodach i tłumaczyć dlaczego postąpi-
łem tak, a nie inaczej. Przy okazji dowiedziałem się, że sioleci uczestniczyli
w łowiu obu wspaniałych księży, którzy tak ofiarnie pomagali wszystkim
przewijającym się przez ich plebanię Polakom. Byli za mało skłoni i to
nie podobano się NKWD-istom. Resztowali ich i płuch po nich zaginęli.

Po jakimś czasie oswojono się z moim przyjeściem i tylko stale odwiedzała
nas pani Czarnocka, Antek Czarnocki, a rzadziej panna Iela Fogławska. Często
zachodził do nas ksiądz dziekan Dalecki, który często odwiedzał tych paraf-
tów, starając się podtrzymać łączność na duchu.

Nieczorami wypytywałem Mamusię o przeżycia podczas mojej nieobecności. Było ciężko. Zimą sowieci pozwolili części uciekinierów wrócić pod okupację niemiecką. Mamusia wysłała ze znajomymi Babcię, bo uważała, że Babcia będzie lepiej u cioci Ireny w Warszawie, niż żyć pod stałą groźbą wywozu. Dużo Polaków z Nowogródka uciekało przez zieloną granicę na niemiecką stronę. Dużo poszło tak młodzieży, uciekając przed wcieleniem ich do krasnej armii. Między innymi przez zieloną granicę poszła ciocia Terenia z mężem i parą Ciotrówką z malutką Urszulką, Tatusia chrześniaczką. Późną jesienią Marcusia chodźnik do Wilna przez granicę, którą ustanowili sowieci koło Bieziaków, oddając Wilno Litwinom. Wujek Dzierżyk po rozwiązaniu szwadronu w sowieckim okręgu w końcu września, przedostał się do Lwowa, przebrany w cywilne ubranie, próbował przejścia na Węgry i dotarł do Worochny. Po wyjściu z wagonu o rażo nie został zatrzymany przez NKGB. Uratowała go nieznajoma dziewczyna, która ruciła się mu na szyję i zaczęła go witać mówiąc równocześnie cicho żeby udawał jej narzeczonego. Zmyleni tym przywitaniem sowieci myśleli pewnie, że to ktoś miejscowy i nie legitymowali go. Dziewczyna wyprowadziła wujka poza stację i pomogła ukryć się. Okazało się, że granica koło Worochny była szczelnie obstawiona przez sowietów i wujek zrezygnował z tego przejścia. Zawrócił do Lwowa i pojechał do Nowogródka. Likogo tu nie znał i trochę się błąkał. Nieoczekiwanie zapytany przez niego chłopiec okazał się Zdziśkiem Starkien, który zaraz zaprowadził wujka do Mamusi. Kurat w tym czasie przyszedł z Wilna do Mamusi chłopiec posłany przez Tatusia, który uciekł z obozu internowanach w Kozotowie i zatrzymał się w Wilnie. Mamusia z Wujkiem z przewodnikiem tym poszli do Wilna. Do Lidy dojechali pociągiem, a dalej szli piechotą. Koło Solecznik na samej granicy mało nie wpadli. Gdy szli gębiego przez pole przez które biegła granica, zapalił się reflektor, którym sowieci oświetlali granicę i w jego świetle zobaczyli idący w ich kierunku patrol. Błyskawicznie upadli gdzie kto stał i znieruchomieli. Leżeli prawie na samej drodze, po której ten patrol szedł. I ich szczęście gdy patrol był już zupełnie blisko, zgasł reflektor i sowieci przeszli koło nich ocierając się prawie o leżących. Gdy się oddalili, Masi przeszli już spokojnie do pobliskiego lasu i dalej do wsi do znajomego chłopcu gospodarstwa. Tam odpoczęli i już dalej pojechali koleją. Tatus dzięki miejscowym Polakom uciekł z obozu i przedostał się do Wilna, gdzie ojciec Kucharski fabrykował masowo dokumenty dla polskich oficerów i innych uciekinierów. Chciał żeby Mamusia przeniosła się do Wilna ze wszystkimi, bo uważał, że w tak dużym mieście łatwiej było się ukryć, ale Mamusia nie chciała ryzykować zdrowiem Babci i mnie nie było i postanowiła zostać w Nowogródku. Wujkowi zaraz wyrobili dokumenty i obaj pojechali przez Iotę na Zachód. Mamusia już sama wracała inną drogą z przemytnikami soli i szczęśliwie dotarła do domu.

W lutym 1940 roku odbył się pierwszy wywóz, w którym wywieźli przede wszystkim oficerów wojskowych i służbę leśną. Był wtedy w Nowogródku mróz poniżej 46 stopni i dzieci zamarzały na rękach matek. Do Nowogródka zwozili wszystkich pod budynek dawnej Izby Skarbowej furmankami i dopiero dalej do

stojących w kowojelni wagonów już samochodami - odkrytymi samochodami. Między innymi pojechali wszyscy osadnicy z Berezowca, Marysira i Michalina i z Przecieniewicz Kazik Straszko. Pani Bysińska była akurat w ostatnich dniach przed porodem i wyprosiła ją pani Cracka i zażądała do siebie, a pan Bysiński z córkami pojechał. W drodze zamarzyło dużo małych dzieci i między innymi zamarzył mały synek Kazika Straszki, chrześniak Tatusia. Wszystkich ich porobili pod Archangielsk na "liesopiłki" czyli do wyrębu lasów podsiagunowych.

Misia chodziła do szkoły, którą przechrzcili sowieci z gimnazjum na "siatilietkę". Była tam zgrana paczka chłopców i dziewcząt z gimnazjum, przeważnie harcerzy. W zimie dużo spośród tych chłopców uciekło na niemiecką stronę. Większości to się udało, ale niektórzy poszli do łagrów za chęć przekroczenia granicy. Tak zaginął między innymi najmłodszy ~~syn~~ syn pani Janiny Jodko - Markiewiczowej.

Zimą Mamusia pracowała w "trykotażnej fabryce" czyli w instytucji, gdzie szereg kobiet robiło na drutach swetry. Pod wiosnę sowieci uznali, że to za dobra praca dla "bywszej grafini" jak nazywali Mamusię i zwolnili ją. Lato i całe lato pracowała Mamusia w ogrodach "gospizszepromtorga" czyli w potocznej instytucji zaopatrującej sklepy własne w produkty żywnościowe. Praca to była ciężka i odległa, bo ogrody te były na terenie Horodzilówka. Jesienią, już przy mnie, Mamusia pracowała przy wykopkach. Tymczasem mnie po powrocie Antek zaproponował żebym chodził z nim i z Gdą - żydem muzykantem grać po zabawach i weselach. Gdą grywał na harmonii, Antek na skrzypkach, a ja miałem być bębniarą, ale nie z tego nie wyszło, bo Antek nie zgodził się na proponowany przez Gdą podział zarobku. Tymczasem gotowałem obiady i siadanie w domu. Po jakimś czasie pan Antek Symaszewski wziął mnie do swej brygady jako ruletezyka. Sowietci ciągle potrzebowali nowych planów miasta i myśmy "robili" do tego pomiary. Mierzyliśmy po kolei wszystkie domy z wozami, trawniki, podziakiem, ogrody, ulice i place. Pracowałem tak do pierwszej zimy i zaraz przy niej zwolnili mnie z powodu mojej małoletności. Za dwa tygodnie zarobiłem 35 rubli. Po mnie do tej samej pracy pan Antek wziął Mamusię. On z Antkiem zaczęli chodzić na zarobek pilując i robiąc drzewo u sierżantów kowogródku. Zarabialiśmy nawet zupełnie dobrze, choć praca była ciężka, a Antek nie wszystko mógł robić, choć był dużo silniejszy ode mnie, to był prawie ślepy. Pracowałem tak do rozpoczęcia roku szkolnego.

Jesienią spotkała nas duża przyjemność. Pewnego dnia nieoczekiwanie przyjechał wozem z Przecieniewicz były fernal, którego nawet całkiem znałem i przywiózł nam zebrane składowo przez byłych pracowników majątku warszawskiego sierżantki. Gdy mu Mamusia dziękowała odpowiedział wprost, że przecież oni jeszcze mają po trosze ze swych ogrodów, a nam wszystko sowieci zabrali więc to zupełnie zpoznałem, że się z nami dzielił. Innym razem jakaś zupełnie obca kobieta dopytując się gdzie mieszkamy przysłała i przyniosła nam ser i jajka. Gdy Mamusia chciała jej płać, oburzyła się i powiedziała, że przed wojną bardzo jej pomógł w czymś Tatusi więc teraz ona może się choć w części odwdzięczyć i przyniosła to im szczerego serca jako gościelec. Taki to był w

większości wóczas lud na Kresach, zawsze gdy mu ktoś zrobił coś dobrego, lub w czymś pomógł to starał się w dwójnasób się wywdziżyć.

Przed rozpoczęciem roku szkolnego stanął przed nami problem ubrania. To co było w domu z moich ubrań, wszystko było za ciasne i krótkie, gdyż w ostatnim okresie bardzo wyrosłem, a nie mieliśmy pieriędy na kupno czegoś nowego. Miałem uratowany z domu letni płaszcz gabardynowy Matusia i matka namusię posłała mnie z tym płaszczem do Korelicz do Perewożockiego. Był to krawiec, który przed wojną szył mi ubrania, starszy już był, sukienki i wysokie z długą brodą. Zawsze był powściągliwy i grzeczny, ale nie nadkukający. Pojechałem rowerem Wisi i zastałem Perewożockiego przy pracy. Odcinając ten płaszcz i wziął miarę, a na zakończenie powiedział żebym za kilka dni pojechał do przyniarki i zaznaczył, że oprócz surduta wyjdę tylko spodnie do kolan, bo na długie nie starczy materiału. Po kilku dniach znów pojechałem do Korelicz i byłem na przyniarce. Odwiedziłem też Sonię, która mieszkała w państwie Rościszewskich i obrządzała nasze kury, które wówczas były stadem swochozowym. Sonia bardzo się mną ucieszyła i dała mi w koszyku trochę jajek. Spotkani na podwórzu pracownicy wypytywali mnie o moje przejścia i o to jak teraz żyjemy. Mówili o obecnej pracy i warunkach w sowchozie. Zabrali im część kłki pola pod ziemniaki i ogrody zmniejszyli do 15 arów. Poza tym musieli płacić za opał i światło i dostawali jedynie pensje w gotówce - zarabiali wówczas około stu rubli miesięcznie. Deputaty zbożowe też im zlikwidowali. Wspominali dobre dawne czasy i tylko oglądali się czy kto nie podsłuchuje naszej rozmowy. Po kilku dniach Perewożocki przez Fajwla, który nadał wcale pocztę, przysłał paczkę z uszytym ubraniem. Matusia, żeby jakoś się za robotę wywdziżyć, posłała przez tegoż Fajwla pierzynkę dla córki Perewożockiego, która akurat wychodziła za mąż. Na drugi dzień wieczorem we drzwiach parzących łopachni stanął Perewożocki z paczką pod pachą i zrobił dosłownie awanturę Matusi, że jak Matusia mogła tak mu zrobić przykrość, bo on przecież przed wojną zarabiał szyjąc nam ubrania i chciał z serca nam pomóc, a Matusia chciała za robotę płacić jak sama nie ma, bo przecież wszystko nam sowietci zabrali. Po tej tyradzie oddał paczkę z pierzynką i potęgnął się z nami. Dotąd stoi mi w oczach ten porządny i z gruntu uczciwy człowiek.

Do Korelicz jeździłem jeszcze raz do sielsowietu po zaświadczenia dla Matusi o byłym zamieszkanju i stanie majątkowym. Sowietci wprowadzili dla wszystkich mieszkańców swoje dowody osobiste zwane paszportami. Wszystkich podzieliłi według swoich założeń na kategorie i jednym wydali paszporty na pięć lat innym na trzy, a wszystkim "niebezpiecznym" czyli niepracującym "prógom ludu" tylko na trzy miesiące. Za każdym razem trzeba było składać w paszportowym biurze LKWD wszystkie dokumenty od nowa, które oni zabierali. Matusia miała właśnie taki trzymiesięczny paszport i musiała iść z poprzedniego miejsca zamieszkania, czyli z Korelicz, odpowiednie zaświadczenia. W Korelickim sielsowiecie był wówczas przewodniczącym Kozub - niegłuchy chłop - przedwojenny komunistą. Gdy mu powiedziałem po co przyjechałem, wyjął mnie z biura i powiedział, że "grafini żadnych zaświadczeń nie będzie

dawał". Poszedłem do doktora Lewickiego po radę i pomoc. Poszedłem też do sielsowietu i zaczął dyskutować z Kozubem i sekretarzem, którego nie pamiętam nazwiska. Po dłuższym czasie sekretarz przekonał Kozuba, że Koralice były własnością hrabiny Żółtowskiej, a nie naszą, a Tatuś był tylko administratorem. "Tym gorzej - powiedział Kozub - bo on głębił robotników, a nie Żółtowscy", ale w końcu po naleganiach doktora Lewickiego wydał potrzebne zaświadczenie. Po dostarczeniu tego zaświadczenia, Mamusia miała jeszcze raz dzień nieprzyjemną bytność w IKWD, gdzie przez kilka godzin Mamusię przesłuchiwali. I powtarzało się to co trzy miesiące, aż do naszego wywozu.

Jesienią też spotkała nas przykreść. Była u nas Lizetka - siostra Janusza, która była jeszcze w Bucu u Dziadzi i po jego śmierci pojechała z Babcią do wujka Dzierżyka. Przyjechała też z Babcią do nas i została z nami w Nowogródku. Latem miała szczeniaki i jednego łaciatego i kudłatego pieska wziął Antek Czarnocki i był to jego ukochany pies. Pewnego dnia Lizetka zginęła i po kilku dniach dowiedziałem się, że złapali ją hycle. Poszedłem do nich i zastałem Lizetkę zdychającą. Hycle powiedzieli, że ona się wściekła i trzeba sprawdzić czy kogoś nie pogryzła. Ponieważ ja się nią zajmowałem i miałem opalane ręce, więc miałem dostać serię zastrzyków przeciw wściekliźnie. Przez pewien czas co dzień chodziłem do ambulatorium, gdzie wówczas pracowała jako siostra pani Dulebina, i dostawałem zastrzyki w brzuch. Ponieważ igły były tępą, bo sowieli używali wyrzuconych igieł, zużytych w szpitalu przed wojną, a zastrzyk był i tak bolesny, więc po trzydziestu takich kłuciach, gdzie pani Dulebina wysilała się żeby ubić igłę, zrezygnowałem z dalszych czterdziestu zastrzyków no i jakoś nie wściekłem się.

Mamusia zapisała mnie do szóstej klasy "dziesiątiletka" polskiej, co miało odpowiadać drugiej gimnazjalnej. Zacząłem chodzić do szkoły. Odnalazłem kilku starych kolegów i jakoś przywykłem do nowego otoczenia. Ponieważ jednę część z szkolny opóściłem, byłem teraz w klasie o rok młodszego. Szkoła nasza mieściła się w budynku szkoły powszechnej Sióstr Mazaratanek i uczyliśmy się na dwie zmiany. Nasza klasa chodziła na drugą zmianę tak, że wracaliśmy do domu późnym wieczorem. Większość nas mieszkała w południowych częściach miasta i chodziliśmy w powrotnej drodze całą grupą, nie rzadko odprowadzając się wzajemnie. W rynku, w budynku szkoły powszechnej Nr. 1, mieściła się żydowska "dziesiątiletka", w budynku gimnazjum - rosyjska, a na Peresiece w dawnym gimnazjum białoruskim - białoruska. Większość dzieci żydowskich nosiła czerwone "halsztugi" pionierskie, a w polskiej szkole nie mogli pionierów zorganizować. Komsoorg czyli komсомольский organizator w naszej szkole nie ustawał w wysiłkach celem organizacji pionierów, lecz ciągle mu nie wychodziło. Kiedyś zebrał już niedużą grupę młodszych chłopców i namówił ich do zapisania się w tajemnej tajemnicy, ale jak doszło do ich oficjalnego ślubowania i założenia czerwonych "halsztugów" wszystko mu się rozsypało. Między innymi najmłodszy brat Rebrowski był jednym z tych co dali się namówić. Dla starszych jego braci, moich kolegów z klasy, był to prawdziwy szok. Czekali na brata przed szkołą i gdy wyszedł, zbili go przy wszystkich i zerwali mu z szyi "halsztug" i

pognali go do domu. Większość starszych reagowała w ten sposób, co dawało dodatnie rezultaty. Na drugi dzień nie doszli pionierzy podobnie kompromi swoje pomięte i brudne "halsztugi" mówiąc, że ich nie chcą.

Uczyliśmy się na ogół nie źle, choć nie przykładaliśmy się zbytnio do nauki. Nauczyciele zatrudnieni w polskiej szkole częściowo pochodzili z kręgu profesorów gimnazjalnych i szkół powszechnych z Nowogródka, a część rekrutowała się spośród żydowskiej inteligencji. Ci ostatni udawali komunistów. Historii uczyła nas Żydówka, która miała wprawdzie ukończone studia historyczne, ale nauczycielką została dopiero przy sowietach i uciekała komunistką. Lubiła często zamiast mówić o starożytnej Grecji, rozwijać tematy polityczno - marksistowskie. Kiedyś zaczęła nam na lekcji udowadniać, że nie ma Boga, a człowiek nie był stworzony lecz pochodzi w prostej linii od małpy. Nie wytrzymałem i powiedziałem jej, że widocznie są dwa rodzaje ludzi, jedni których pochodzą od Adama i Ewy do których my się zaliczamy, a drudzy pochodzący od małpy do których zalicza się ona. Słyszac to aż zsiniała ze złości, ale wróciła do właściwego tematu.

Żimą komsorg ogłosił, że wszyscy chłopcy mają ścinać włosy pod maszynką. Naturalnie myśmy z miejsca zbojkotowali to zarządzenie. Kilkakrotnie komsorg wpadał z maszynką w rękę do klasy podczas lekcji usiłując nas złapać. którego złapał, wystrzygał mu pas włosów na głowie i tym zmuszał do ostrożności całości włosów. Ale nas nie mógł złapać, bo my przez ławki rzucaliśmy się do ucieczki i wybiegaliśmy na korytarz, gdzie już nas nie mógł dogonić. Te awantury trwały dość długo, aż w końcu znaleźliśmy wyjście. Staruszek doktor Miller, pracujący jako lekarz w miejskim Ambulatorium, wydał nam zaświadczenie, że z powodów zdrowotnych nie wolno nam ścinać włosów. Komsorg wściekł się, ale nie mógł już nam zrobić. Do mnie osobiście miał specjalną żłobę. Dzień Wszystkich Świętych ogłosili dniem pracy i nauki, a świętować mieliśmy na 7-go listopada. Służyłem z innymi do mszy św. u św. Michała. Msze św. zaczynały się o 6-ej rano. W dzień Wszystkich Świętych służyłem od samego rana. Na pierwszych mszach było sporo ministrantów, ale prawie wszyscy poszli do szkoły na 8-ą i zostałem tylko z jednym młodszym, początkującym ministrantem. Nie poszedłem więc do szkoły i przesłużyliśmy we dwóch do wszystkich mszy tego dnia. Następnego dnia komsorg rozdawał potrzebującym uczniom talony na zakup butów. Wówczas obuwie można było kupić jedynie na talon. Komsorg oglądał wszystkie buty i według swojego uznania rozdawał talony. Miałem podarte buty, ale gdy zobaczył je powiedział mi, że mam iść po talon do księdza, bo jak służę do mszy zamiast przychodzić do szkoły to w szkole nie ma dla mnie butów. Po pewnym czasie załatwił mi talon doktor Lewicki i mogłem je kupić, ale komsorg miał mnie na oku.

Żimą zdarzył się wypadek, który wstrząsnął wszystkimi nauczycielami pracującymi przy sowietach w szkołach. Część polskich nauczycieli zatrudnionych przez władze sowieckie zachowywało się bardzo poprawnie. Do nich należeli między innymi profesor Łoziński - geograf - i nasza wychowawczyni klasowa - polonistka. Ale spora ich część, czy to ze strachu o posadę, czy z przekory nie lewicowa mocno angażowała się po stronie sowietów. Po takich wypadkach

między innymi nauczycielka z wiejskiej szkoły z okolic Switezi. Berg odgrywała w klasach krzyże i podobno publicznie je podeptała, podczas lekcji przekonywała dzieci o sowieckich racjach i wygłaszała antyreligijne i prokomunistyczne pogadanki. Trwało to dość długo, aż pewnego wieczoru, gdy wylewała wodę po myciu czy praniu, ktoś ją złapał, związał, oblał naftą i podpalił. Gdy na blask płomieni nadeszła jej pomoc i odwieźli ją do szpitala, nie już jej nie pomogli i wkrótce zmarła. Mimo że NKWD szalało, nie nie wykryli i nikogo nie złapali. Po tym wszyscy chwiejni nauczyciele w okolicy wstrzymali się od wystąpienia pro sowieckich. Był to niewątpliwie wypadek bezwzględniego terroru, ale faktem jest, że terror boi się jedynie własnie terronu.

Biernictwa i kreślenia uczył nas wówczas inż. Lewicki brat doktora Lemickiego z Korelicz. Geografię uczył profesor gimnazjalny pan Losiński, który prowadził lekcje tak, że ktoś stojący na korytarzu mógł wyśledzić, że w klasie nie ma zajęć, a tylko rozbrykana młodzież. Lekcje jego były ciągle przepłatanne różnymi opowiastkami i anegdotami. Nigdy nie zadał nam na przykład profesor sporządzenia jakichś mapek, a jak zwykle wpadał do klasy i mówił nam, że koniecznie potrzebuje mapki np. klimatu danego terytorium no i zaraz któryś z nas zgłaszał się na ochotnika do wykonania tej mapki. Profesor miał prawdopodobnie tych mapek całe stosy, ale my bez ponaglenia robiliśmy nowe i tym uczyliśmy się przedmiotu. Cieszną Parentsa kojarzył np. z "baba wyje ręce" i gdy ktoś zapominał nazwy, wystarczyło zrobić ruch ręką, żeby sobie przypomnieć właściwą nazwę. Wszystkie łańcuchy górskie okalające Tybet wyglądały u profesora jak jeleni biegnący z Chin na zachód. Tyżyna Chindunus był to kurz czyli para z pyska tego jelenia z Chin - "z Chin do kurz". Grzbiet górski Karamojo - no "moja kara kobyła - kara moja" i taka była cała nomenklatura geograficzna. Wszyscy bardzo lubili lekcje geografii i nie było w klasie ucznia ze stopniem mniejszym od dobrego.

Polonistka i zarazem nasza wychowawczyni klasowa była Polką i nigdy nie angażowała się politycznie po stronie sowietów i mimo, że nieraz dostawaliśmy od niej niedostateczne stopnie i reprimendy, uważaliśmy ją za swoją. Kiedyś konsorz wiedząc, że kilkoro z nas dostało niedostateczne stopnie myślał, że wyciągnie z nas jakieś obciążające polonistkę wypowiedzi. Liał ją widocznie na oku i chciał znaleźć na nią jakiś haczyk. Brak nas kolejno do swego pokoju i wypytywał o jej wypowiedzi i zachowanie, ale mimo, że nie uwieliliśmy się, wszyscy po kolei mówili to samo, że polonistka goni nas do re-uki i nie nigdy nie mówi poza właściwym tematem lekcji. Widziało się, że konsorz był wyraźnie zawiedziony, ale nie nie wskórał.

Francuskiego uczyła nas madame Nowogrodzka. Uważała mnie za wzorowego ucznia i kiedyś była nie pocieszona, gdy okazało się, że nie nauczyłem się żadnych słówek. Otworzyła podręcznik na ostatnich stronach i kazała mi czytać i tłumaczyć - poszło mi zupełnie gładko i nie mogła zrozumieć jak to jest, że nie umiem słówek, a płynnie tłumaczę nieznanymi mi tekst. A ja nigdy nie lubiłem wkuwania, a czytając rozumiałem sens tekstu i tak go tłumaczyłem.

Bibliotekę szkolną, złożoną z pozostawionych przez cenzurę sowiecką książek z bibliotek szkolnych przedwojennych, prowadziła panna Maria Izabela. Nie było dużego wyboru, ale czasem brakiem jakąś książkę. Kiedyś przy Hugo wykładem i namyślałem się co wziąć, Kryński, nauczyciel żyd, zaczął mi proponować kolejno różne książki i mocno się zdziwił, że już je czytałem. Był to grzeczny i układny człowiek, który nie chciał się nikomu narazić. Przed sowietami udawał ich wyznawcę, a poza ich plecami europejszyka dobrze wychowanego i nikomu nie szkodzącego. Kiedyś na lekcji Kryński poruszył temat nsi i zwrócił się do dwóch dziewcząt, moich koleżanek, pochodzących z sąsiedztwa leżącego niedaleko Nowogródka, które codzień przychodziły piechotą z domu do szkoły, bo chciały uczyć się po polsku. Powiedział do nich, że jako chłopki powinny potwierdzić jego wypowiedź. Na to dziewczęta zarumienione z oburzenia powiedziały mu wprost, że "my jesteśmy szlachcianki z polskiej szlachty sąsiedztwa, a nie chłopki i proszę nas nie obrażać". Kryński był tą wypowiedzią wyraźnie zaskoczony.

W szkole powstał zespół gimnastyczny, do którego i ja należałem. Umiałem wtedy robić mostek i byłem nieźle wygimnastykowany. Zespół ćwiczył różne figury akrobatyczne i kilkakrotnie występowaliśmy podczas szkolnych przedstawień.

Ponieważ szkoła nasza była położona obok Fary, więc nieraz zaraz po lekcjach zachodziliśmy do niej na wieczorne nabożeństwa. Ksiądz Zinkiewicz rozkładał na ławkach swoje książki o treści religijnej i wychowawczej i kto tylko chciał, mógł je brać do czytania, lub czytać na miejscu. Nieraz podczas nabożeństwa, czy wieczornego nabożeństwa nasz komsorg wchodził do Fary, rozglądał się i sprawdzał kto z nas jest w kościele i stojąc w czapce pod chórem spierał się i wydzierał na "ciemnotę" ludzi. Liczba mu nie można było zrobić, bo tylko zakazano by to księdzu i mogliby całkiem kościół zamknąć. Kościoły wówczas powieści obkładali ciągłymi podatkami, a właściwie kontrybucjami. Co jakiś czas ksiądz Zinkiewicz za Farę, a ksiądz Dziekan za kościół św. Michała, dostawali zawiadomienie, że do tego i tego dnia, a termin był zawsze bardzo krótki, mają wypłacić kilka lub kilkanaście tysięcy rubli, bo w innym wypadku kościół zostanie zamknięty. Księża ogłaszali to zaraz z ambony i ludność katolicka szeptem dała się na zapłatę. Często zebrano nawet więcej jak było potrzeba. Nie było dużo czasu i znów było zawiadomienie o następnym terminie płatności. To samo zaczęto stosować w kościele prawosławnym. Zimą gdy spadły śniegi ksiądz Dziekan dostawał nakaz oczyszczenia całego placu przed kościołem ze śniegu mimo, że przy tym placu były oprócz kościoła i inne budynki, w których mieszkali ludzie i były urzędy. Zbierali się wtedy wszyscy mający trochę czasu i plac oczyszczali i wywozili śnieg. Ksiądz Dziekan w przeciwieństwie do księdza Zinkiewicza nie był kaznodzieją i nie bardzo umiał mówić przekonująco i ciekawie, ale był to wzorowy kapłan i wielki patryjota. Znał całą swoją rozległą parafię i ciągle odwiedzał wszystkich potrzebujących i kazał słowem i pomagał czym mógł. Chodził w starej wytartej sutannie, ale nigdy nie przebierał się po cywilnemu jak się to zdarzało gdzie indziej, gdy uszedł na emerytalną do A.M.D. Donieci zaraz po wkroczeniu wynieśli księdza Taiskara i

ksiądz Wikęrego z plebanii i zajęli cały ten budynek po klasztorze na magazyny, a podzielenia kościoła na piwnice - magazyny. Obaj księża mieszkali w prywatnym mieszkaniu. Ksiądz Dziekan często przychodził i do nas i zawsze wytykał się o bieżące kłopoty i biedy. Kiedyś gdy przy kolejnej kontrybucji namusia zaniósła jedyną jeszcze jaką miała bransoletkę, ksiądz Dziekan kazał namusi ją zabrać spowrotem i powiedział, że i tak namusia musi się ciężko napracować, żeby jakoś żyć, taką tę bransoletkę sprzedać na utrzymanie domu i że jeszcze on powinien namusi pomóc, a na kontrybucję bogatsi zriosa pieniądze w wystarczającej ilości. Namusia wspominała, że jak kiedyś przy spowiedzi powiedziała, że pierze w niedzielę, ksiądz Dziekan powiedział jej, że to nie grzech, a zasługa u Pana Boga, że zamiast odpocząć po ciężkiej pracy całotygodniowej, jeszcze pracuje w niedzielę, żeby tylko w domu być porządkiem. Ksiądz Dziekan był prawdziwym duszpasterzem i opiekunem gromady swych parafian. I gdy szereg księży, jak nasz korelicki ksiądz Pączek, czy proboszcz z Miłochowicz, uciekło podczas wkarczania sowietów, księża z Nowogródka trwali na swych posterunkach i do ostatka nie opuścili ich świecąc przykładem wiary i pracy dla innych.

Namusia późną jesienią przestała pracować jako ruletozyk, bo skończyły się pomiary w terenie. Przez długi czas nie mogła dostać pracy i znów zarabiała chodząc na wykopki do Żydów. Przychodziła stamtąd pół żywa ze zmęczenia i w zarobku miała jedynie trochę ziemniaków. Na końcu doktor Ironsztajn, Żyd którego Żydzi koreliccy przed wojną sprowadzili do Korelicz dla podparcia praktyki doktorowi Lewickiemu, a sowietci zrobili go kierownikiem rejonowego ambulatorium, przyjął Namusię na etat "uborszczycy" czyli sprzątaczką w ogólnym ambulatorium. Była to bardzo ciężka praca, codziennie 12-cie godzin i jeden dyżur nocny w tygodniu. Codziennie musiała Namusia zmywać wszystkie podłogi w gabinetach lekarskich i na korytarzach, wynosić brudną wodę i śmieci i napompować z odległej studni wody do mycia i zmywania podłóg. Tak przepracowała Namusia całą zimę.

W zimie organizowali w szkole zawody sportowe na BGTO. Był to stopień przygotowania obronnego, który musiał przejść w sowietach każdy wózeń starszej klasy i wogóle każdy młody obywatel. W ramach tego były zawody narciarskie. Myśmy biegli na trzy kilometry. Przy tej okazji odmroziłem sobie ucho i to tak, że było zupełnie twarde. Po tym leczyłem je wyłącznie smarując gliceryną zdobytą w ambulatorium. Były też biegi, skoki i rzuty granatem. We wszystkich tych dyscyplinach były oznaczone minimalne osiągi, które trzeba było przekroczyć.

W początku lutego dr. Bronsztajn wezwał Namusię do swego gabinetu i upewniliwszy się, że nikt nie podsłuchuje, powiedział, że ma być w najbliższym czasie wywóz i my jesteśmy na liście. Proponował, żeby Namusia zgodziła się na to, że on wyśle Namusię na leczenie do Wilna jako ciężko chorą na serce, a my z nią musimy zapaz po tym przejść zieloną granicę też do Wilna. Twierdził, że w Wilnie jako w dużym mieście zginiemy prosto z oczu sowietom i uratujemy się. Dał namusi krótki czas do namysłu. W domu rozważaliśmy wszystko i

Mamusia zdecydowała, że na miejscu mamy jeszcze trochę swoich rzeczy, a trzeba by zostawić, a w Wilnie nie mamy nikogo ze znajomych i zdrańcy. Jeśli na własne siły, a poza tym nie możemy uciekać jak szczury z tamtego miasta, bo to jest tylko na rękę sowietom, a tu jesteśmy u siebie. Gdy następnego dnia Mamusia powiedziała dr. Bronsztajnowi o swojej decyzji, powiedział, że w takim razie na Mamusia wieczorem przekaże nam oboje z jakimś koszem swojego do mieszkania. Poszliśmy z Wisią i dr. Bronsztajn dał nam pater, kaszy, maki, cukru i makaronu. Gdy Mamusia na drugi dzień dr. Bronsztajn powiedział, że przecież nie może tu za te produkty zapłacić, on powiedział, że może takie produkty nabyć w sklepie dla partyjnych, tak naszym "fabrycznym magazynie", a on chce teraz pomóc nam, bo może niedługo kto inny pomoże jego dzieciom. Mamusia była bardzo przemęczona pracą i dr. Kiriakowa po badaniu powiedziała, że musi Mamusia uważać, bo może pewnego dnia nieświeżość w wodę przewrócić się na schodach i więcej nie wstać.

W ambulatorium oprócz dr. Kiriakowej i dr. Millera pracowali sami lekarze żydzi. Większość z nich, tak jak i dr. Bronsztajn, należeli do partii, ale nie wniknęli się w stosunku do Mamusii bardzo grzecznie, a z sowietów wyrażali o nich swoje gromie pokpiwali. Między innymi słyszała Mamusia jak wyśmiewali bal, który urządzili sowietci w Nowogródku w okresie powojennym dla swej elity. Na ten bal zaproszeni byli też niektórzy partyjni żydzi nowogródscy. Naturalnie żydówki nowogródzkie ubrały się odpowiednio. Tymczasem żony żydowskich czynowników i oficerów sowieckich przyszły na ten bal ubrane w jedwabne nocne koszule, które wzięły za piękne suknie. Żydzi nie wiedzieli, że Mamusia biegle umie po niemiecku i z tego powodu mówili po żydowski kargonem, który Mamusia rozumiała dobrze. Któręś dnia jeden z lekarzy przyszedł z wielką głową, na co inny od razu powiedział: "Widać doktor stara się zacząć: szczytowego Pan Dż" strzyżę". Był między nimi jeden doktor, który skończył studia w Pradze w Pradze czeskiej i uciekł stamtąd przed Niemcami. Następnie uciekł przed nimi z zachodniej Polski do Nowogródka. Kiedyś na wampłym żydowskim powiedział do Mamusii, że już dwa razy uciekał przed Niemcami, ale już na tego dość i teraz gdyby coś wypadło, to już by dalej nie uciekał i niech się dzieje co ma być. Wiele lat po tym dowiedziała się przypadkiem, że przeżył on wojnę i po wojnie leczył dalej w Nowogródku.

Jako pogotowia sowietci zatrudnili nowogródzkich dorożkarzy. Gdy 7-go listopada sowietci zrobili szumną defiladę wojskową, Mamusia miała akurat tydzień w ambulatorium i stała na balkonie i przyglądała się. Obok stali dyktanci dorożkarze. W pewnej chwili jeden z nich nie wytrzymał i powiedział: "pani tak to obserwuje, a jak to kiedyś wyglądało nasze wojsko jak lalki, gdzie się tylko równa z naszymi", a był to Biały Rusin, jeden z tych którzy uważali przed wojną byli za mniejszości narodowe, nie polskie.

W tym pochodzie po wojsku były szkoły i zakłady pracy. Obecność była obowiązkowa. Komsoz rozdawał czerwone sztandary i portrety Stalina i innych przywódców sowieckich. Wisią specjalnie dał nieść na przód szkoły sztandar komsonolski. Wisią systematycznie go zbijała, a komsoz, zarząd jej go naprawić rozwijał. Przy tym Wisią widziała pierwszy raz od Korolicek Czech. -

spuszczoną głowę i ponuro patrzył z podoba. Widać nie pomógł mu żaden z radców sowieckich jego zamysły.

W wielki Piątek nocą, jak zwykle, sowieci aresztowali Zdzisława Stoję, Miodwieckiego, Zawadzkiego i Waluszyńca, pozostałych z gilarzelskiej partii. Wiedziałem się o tym dowiedzieli, Wisiu powiedziała: "pranie małe to są, co są". Nie więcej nie chciała powiedzieć. Zaczęto mówić, że poriewała karcerne z Gilarzyny gimnazjalnej pomagali policji zakopać zbrojną broń, więc raptem to właśnie tego teraz aresztowali tych chłopców. Od dłuższego czasu sowieci chodzili z łopatami po cmentarzach katolickim, prawosławnym i mahometaniskim i wykopali w nich podejrzane ich zdaniem groby czegoś szukając. Poza tym ulubionym zajęciem komandirów sowieckich było strzelanie na cmentarzu do kłopotliwych i fotografii na nagrobkach. Dosłownie nie było jednego całego nagrobka na cmentarzach. Tylko dziwnym trafem nie nieczyli cmentarza żydowskiego.

Zimną przesiedlili nas na drugą stronę domu do jednego pokoju odobrego starszym państwu Rymaszezewskim, z tym że kuchnię mieliśmy wspólną. Istotnie namże mieszkanie i pokoje zajmowane poprzednio przez pana Lintha Rymaszezewskiego, zajęł jakiś partyjny Żyd. W naszym domu mieszkał, postawiony przez Hojmanów, którzy uciekli przed wywozem jako osadnicy wojskowi na niemiecką stronę przez zieloną granicę, duży pies gończy. Zwał się Bob i był bardzo pogodny. Biegał po całym mieście i nieraz hycie zawzinali się żeby go złapać, ale nigdy im się to nie udało. Bardzo polubił Wisiu i często biegał za nią.

W tydzień po aresztowaniu chłopców, o trzeciej rano 17 kwietnia 1941 roku ktoś zakomotał do drzwi i Bob śpiący w kuchni podniósł alarm. Wyszedłem z łóżka i otworzyłem drzwi. W tym momencie Bob rzucił się prosto do gardła stojącego za drzwiami NKWD-isty. W ostatniej chwili udało mi się złapać Boba za ogon i zęby kłapnęły tuż przed twarzą zbladłego bolszewika. Bob szarpał się, tak, że ledwo udało mi się zaciągnąć do pokoju państwa Rymaszezewskich, którzy zrywali się zbudzeni jazgotem Boba. Zamknięty w ich pokoju dalej nie chciałem się uspokoić. Tymczasem NKWD-ista ochłonawszy nieco pokazał mi papier z notatką aresztowania. Namusia w pierwszej chwili myślała, że to jej chcą aresztować i dopiero odczytawszy imię Jadwiga - zbladła. Dom już był obsadzony bojownikami. Do naszego pokoju weszło trzech NKWD-istów i zaczęli robić dokładną rewizję. Gdy rozwijali skarpetki i pończochy, Namusia zapytała ich czego szukają - odpowiedzieli, że broń. Było to śmieszne, gdyż nawet mały naboje pistoletowy można było wyczuć w skarpetce bez jej rozwijania, a jeśli dopiero broń. Na świadka rewizji wezwali pana Rymaszezewskiego i kazali mu cały czas siedzieć na krześle pod ścianą. Koło 7-ej spisali protokół rewizji i kazali zbierać się Wisiu. Namusia zapakowała jej mały walizeczkę i zabrali ją. W śmiesznie było patrzeć jak trzech oficerów NKWD i siedmiu "bojów" zabierali z domu siedemnastoletnią dziewczynę, wyglądającą do tego jeszcze młodziej. "Bojcy" przy tym trzymali nastawione karabiny z bagnętami, a jeden z nich trzymał nawet bojowy rkm. Usadnili Wisiu na ZIS-a, obsiedli ją w koło i odjechali. Stąd ostatni raz ją widzieliśmy. Po ich odjeździe Namusia zauważyła, że w pośpiechu nie wzięła Wisiu paczuszek z jejzeniem i posłała mnie z

tę paczuszką żebym odniósł ją do rejonowego IKWD. Byłem już w połowie drogi, gdy spotkałem jednego z tych "bojców", którego komandir wyśkał po tej paczuszkę. Oddałem mu ją i wróciłem do domu. Mamusia przy sowietach trzymała się, jakoś, ale po zniknięciu ich odjeździe rozsłochała się tak, że pani Byrnarszewska nie mogła Jej uspokoić. Wówczas dom naprzeciw nas zajmowały dwie rodziny wiejskich IKWD-istów. Żona jednego z nich była sekretarką w rejonowym urzędzie IKWD i Mamusia poprosiła jej żeby dowiedziała się gdzie wzięli. Wzięta ta po kilku dniach powiedziała, że w rejonowym urzędzie wogóle nie było notowane Wisi aresztowanie, bo zabralo ją wojskowe IKWD czyli jak oni to nazywali "asobij otdiel wojennogo IKWD". Jeden z IKWD-istów aresztujący, ok Wisi powiedział Mamusi, że może się dowiedzieć o Wisię w Baranowiczach i podał jej jakiś adres. Po sprawdzeniu w Baranowiczach okazało się, że nie pod tym adresem nie było. Po prostu drań zerkał, aby się odczepić. Cztery chłopcy i Wisię przypadli jak kamień w wodę. Po kilkudziesięciu latach dopiero spotkałem Edmunda Staraka, który opowiedział mi dalsze ich dzieje. Zabrali ich do więzienia w Mińsku i tam przechodzili śledztwo, nie wiedząc do końca o co ich oskarżali. W 41 roku gdy niemieckie wojska podchodziły do Mińska, pognali wszystkich z więzienia piechotą na wachód. Lasi pomagali sobie nawzajem, bo pomoci osłabłych i odstających poprostu strzelali na drodze. Dognali ich wszystkich do Ihumera i zamknęli tam w więzieniu. Po kilku dniach NKWD-ści uciekli, a ludność miejscową rozbiła więzienie i wypuściła wszystkich więźniów. Teren był jeszcze w rękach sowieckich. Współwięźniowie Rosjanie pouczyli naszych żeby nie przyznawali się do swoich politycznych artykułów, a podawali przestępstwa popełnione. Lasi i czwórka chłopców z Wisią pomazzerowała na zachód i spotkawszy polickim oddziałom mówili, że zostali zwolnieni z więzienia, a byli zamknięci za kradzieże i huligaństwo. Tak powoli przez Stołpce i Lit dotarli do domu. Po aresztowaniu Wisi rozeszła się plotka, że naszych chłopców i Wisię wydała starsza Czadekówna. Była to dziewczyna wówczas piętnastoletnia basiarbica komisarza policji, której matkę aresztowali na granicy przy przechodzeniu na niemiecką stronę, a ona została sama z młodszą o kilka lat siostrą. Chodziła początkowo do polskiej szkoły i starza młodzieńca, a między innymi i Wisią, opiekowała się tą dziewczyną. Zimą przestała chodzić do szkoły. Wiedział ją ksiądz Dziekan i po którychś odwiedzinach powiedział Mamusi, że się jej jej pomoc już nie może. Po pewnym czasie spotkała ją Wisią na ulicy i mówiła, że ona jest zupełnie chora. Wzięła jedną swoje buciki i poszła do niej do domu. Dala jej te buciki i po powrocie mówiła, że ta dziewczyna płakała i obiecała, że się poprawi, bo już wszyscy wiedzieli, że się wzięła z sowietami. Tym czasem po jakimś czasie znów ją widzieli wędzującą się z nimi. Jak było - tego nikt nie dojdzie, być może z głupiej dziewczyny NKWD-ści wyciągnęli jakiś wyznania, ale plotka taka była. Cóż - Pan Bóg to osądzi.

Po aresztowaniu Wisi Mamusia bardzo podupadła na zdrowiu. Dr. Bronsztajn przeniósł Mamusię do ambulatorium dziecięcego, które otwarto w budynku dawnego Syndykatu Rolniczego, oficjalnie też na sprzętaczkę, ale tam Mamusia prowadziła kartoteki i szła do sprzętania, tylko jeden pokój i poczekalnię, tak, że

bardzo się Mamusi polepszyło.

Nie mogą jeszcze pominąć kilku zdarzeń, o których ni Mamusia opowiadała. Jeszcze gdy była u nas Babcia, któregoś dnia ~~sz~~ stuknęły się łabei okulary i Staszka nic nie mogła sama zrobić. Ponieważ Mamusia wiedziała, że przed wojną miała w sprzedaży okulary Delatycki, poszła do niego zapytać czy nie znajdzie u siebie odpowiednich szkieł. Wszystkim bogatszym kupcom żydowskim sowieci odwrócili ich sklepy i skonfiskowali towary. Delatycki powiedział, że przyjdzie do Łodzi i może coś dobierze. Wieczorem przyszedł z dużym pudłem pod pachą i rozłożył na stole szkła i oprawki. Dość prędko dobrał odpowiednie dla łabei szkła i skompletował okulary. Babcia była zachwycona, bo znów mogła czytać. Mamusia zapytała ile ma zapłacić za te okulary na co pan Delatycki oburzył się i powiedział, że sowieci zabrali mu wszystko i te szkła pewno mu odbiorą, a jest bardzo zadowolony, że mógł pomóc Mamusi. Wziął swoje pudło i potęgnał się, dykując wszystkim zdrowia. Drugiego kupca - żyda też Mamusia zawsze wspominała z rozrzewnieniem. Był w Kowogródku przed wojną sklep z obuwem Colubia. Mamusia czasem kupowała u niego pantofle. Jemu też zabrali cały sklep. Kilka dni później gdy Colubi spotkał Mamusię na ulicy, witał się i prosił żeby Mamusia przyszła do niego i wybrała sobie pantofle, bo on trochę towaru schował i na takie pantofle jakie Mamusia lubiła. Gdy Mamusia mówiła, że nie ma pieniędzy na kupno, on zastrzegając się, że nie weźmie pieniędzy od Mamusi, a będzie bardzo zadowolony gdy będzie wiedział, że jego pantofle służą Mamusi, a nie jakiejś bolszewiczce.

Takich porządnych i dobrych ludzi było między żydami dużo. Pan Slucki, którego w Koreliczach zabrali wszystko, gdy spotkał Mamusię w Kowogrodzie na ulicy koniecznie chciał żeby Mamusia wzięła od niego pieniądze, bo on jakoś sobie poradzi, a Mamusia przecież nie ma. Po wojnie Tatusz wspominał, że gdy był na Łotwie w przejeździe na zachód, spotkał pana Brojda - wielkiego kupca żyda, który przed wojną prowadził handel nasionami na wielką skalę. Tada Tatusz, ponieważ kupował z Korelicz nasiona koniecznie, czy traw. Gdy Tatusz zobaczył, bardzo się ucieszył, wyciągnął portfel i chciał koniecznie dać Tatusiowi plik pieniędzy, a gdy Tatusz powiedział mu, że przecież nie może wziąć, bo nie wie czy będzie mógł mu kiedyś oddać, on się oburzył twierdząc, że wesoło nie wyłłi o awansie, ale on jeszcze ma dużo pieniędzy, a wie, że Tatusz po ucieczce z obozów ich nie ma.

Niestety, jak w każdym narodzie, byli i między nimi dranie. Był w Kowogrodzie żyd Kowal, który przed wojną w jakiejś kłótni zabił przed swoją kuzynką chłopca i za to został skazany i odsiadywał wyrok. Z wzięciami zwolnili go sowieci i on zaraz wstąpił do ich milicji. Znany był wówczas w Kowogrodzie z brutalności. Kiedy Mamusia będąc na nocnym dyżurnym w ambulatorium miała jego wizytę. Pan przyszedł i zaczął Mamusię niedorzecznie nagabywać, mówiąc że on w ogóle nie ma i w końcu chciał Mamusię objąć. Mamusia z całym się pchnęła go, aż się zatrzymał bo się tego nie spodziewał i pobięła do pokoju lekarskiego, gdzie był urwany jeden z lekarzy. Kowal poszedł sobie, ale później kiedyś, gdy Mamusia chciała zejść ze studni, do ambulatorium zszedł i zaczął do niej iść i Mamusia spuściła się i powróciła do studni. Ot tak, żeby tylko zrobić przykrość.

Arzyszedł koniec roku szkolnego. Bez trudu zdałem do następnej klasy. Madame Lowa, rodzka chciała dać dwójce Karaszakowi, ale obiecałem, że przez lato podciągnę go dając mu korepetycje i Madame wzięwszy ode mnie słowo honoru, że dotrzymam obietnicy, postawiła mu trójkę tak, że cała nasza klasa była wesoła. Przez ten rok szkolny zaprzyjaźniłem się bardzo z Rykiem Tomaszewskim, z Waskini i Karaszakami. Podkochiwałem się w Dybickiej, Kuncewiczówną i w pani Truszyńskiej, która przez dłuższy czas wodziła mnie za nos jak chłopek.

Obok nas mieszkał grabarz z katolickiego cmentarza, który miał syna i wesołego synka. któregoś dnia wioząc rozjechała się wzdłonoż, że go ryczał, że wstawali. Okazało się, że sowieci grzebiąc w papierach sądowych akt znaleźli jakąś notatkę, z której wynikało, że ten człowiek w początki lat dwudziestych po wyjściu z wojska był przez rok w policji. To wystarczyło żeby go aresztować i zniszczyć.

Tak jak podczas wkroczenia sowieckich wojsk w 1939 roku dużo wieśniactwa i chłopów witało radośnie ich przyjęcie, tak po roku ich rządów nastąpiła odmiana się radykalnie. Ciągłe krzyki opowieści gdzieś od zrobiono. I tak w najbardziej dawniej komunistycznych wsiach pojawiły się cacki wrogiego odwołania do tych "wyzwolicieli". W Zespole koło Korelicz na słupie powiesili obfartą z pierza wronę, a pod nią tabliczkę z napisem: "warona, warona hénie ty byka - a warona otwiczaje - ja z kałchoza udraka". Gdzie indziej ukradzionej z pastwiska kozie, puszczonej w dzień targowy na rynku miasteczka, powiesili na szyi tabliczkę z napisem: "budu chadzić ad woza do woza, a nie pajdu do kałchoza". Gdzie indziej znaleziono we wsi kolchozową krowę obeszłą, płótnem z wyjątkiem zudu i napisem na płótnie: "kada byli Palaki adciwiali palatnom araki, a jak przyszła zwiezda chodzić hołaja p...zda".

Kiedyś kupiłem drzewo od przypadkowego chłopca i przy rozkładunku na polu, gdy chłop mówi wyłącznie po białorusku, kłamała powiedziała do niego, że teraz mają czego chcieli, a on na to: "paniczka, kab heti Palaki przysli, my by ich na rukach nasili, my by ich w piatki cakowali, kab tolka przysli". Tak to większość przejrzała swoich "wyzwolicieli". W Nowogródku na rynku któregoś dnia chodził chłop z psem kiełbasy na szyi. Zapytany co to znaczy odpowiedział, że to polskie jarzmo. Znane było powiedzenie, że "Polaki nas czerez dwadcać lat nie opolaczyli, a jak ruskie przysli to czerez dwadcać dniej iże nas opolaczyli".

41 roku późno były Święta Wielkanocne i zeszły się razem z prawosławnymi tak, że wszyscy razem świętowali. Przed wojną do cerkwi chodzili przeważnie starsi ludzie, a po roku sowieckiej władzy duża nowogródzka cerkiew nie posiadała nawet połowy wiernych i stał tłum na placu przed nią. Procesje tegoż ciała odbywały się wewnątrz kościołów, gdyż sowieci nie pozwolili na wyjście na ulicę, ale były nadzwyczaj tłumne. Tak samo wieczorne procesje w okresie oktawy. Ostatnia procesja kończąca oktawę odbyła się 19-go września czernych wieczorem. Przez całą oktawę nosiłem w kościele św. Michała chórkiem św. Stanisława Kostki i właśnie na ostatniej procesji wzięła ją Lenia Truszyńska, za co miałem do niej pretensję i nawet przewróciłem się z nią. Ostatni raz na długo byłem wtedy w kościele.

Wywóz

Równno o północy do wszystkich mieszkań z listy zajechało NKWD i zaczęła się trzeci wywóz. Poprzedniego dnia dowiedziałem się, że będzie wywóz i wieszając mówikiem o tym Mamusi, ale po namyśle Mamusia powiedziała, że nie warto się chować, bo nie wiadomo co po tym robić. Do nas przysłała trójka: sowiecka Żydówka, miejscowy Żyd partyjny i oficer krasnoarmiejec. Do pomocy mieli kilku "bojców", którzy obstawili dom. Zaczęła się rewizja, która trwała do 7-ej rano. W naszym małym pokoiku wszystkie rzeczy z szafy i kufra, pościel z łóżek, książki i zeszyty szkolne, a nawet znaczki pocztowe, których miałem duży zbiór, bo jeszcze przed wojną wujek Dzierżyk dał mi swój zbiór, a potem jeszcze dostałem sporo znaczków od pana Sztajmilera, pracownika kancelarii w Korolowiczach no i sam zbierałem, zwalone były na kupę na podłogę i po tym wszystkim sowieci deptali. Myśmy z Mamusią cały czas musieli siedzieć pod ścianą. Po rewizji oficer z Żydem zaczęli pisać krótki protokół, a nam kazali się spakować z tym, że co wzięło się w rękę, a Żydówce wydawało się bardziej cenne to wyrywała z rąk i krzyczała "etowo nie lzia". Pani Rymaszewska uszyła prędko z dzieruszek zdjętych ze ściany dwa worki i w te worki wpakowaliśmy pościel i trochę ubrań no i co się dało na chybił trafił wrzucaliśmy z kupy do kufra. Jeszcze nie skończyliśmy pakować, a już nas wyganiali na dwór na podstawiony chłopski wóz. Włożyliśmy na niego kufer i dwa tobołki i chciałem wziąć kosz z dwoma woreczkami maki, którą Mamusia trzymała na czarnej godzinie, ale Żydówka nie pozwoliła mi tego wziąć. Tak samo nie pozwolili wziąć siekiery, piły i moich narzędzi. Wziąłem tylko pilnik i młotek. Siedliśmy na wóz i pod eskortą "bojców" i oficera pojechaliśmy na plac budynku zajmowanego przez rejonowe NKWD przy ulicy Bęczkowiec. Było tam już sporo znajomych i ciągle dopowiadali nowych. Plac był obstawiony gęsto "bojcami", ale jakoś Rebkowski przedostał się do nas i przyniósł nam bochenek chleba. Po jakimś czasie zaczęto kłócić nas kolejno na wojskowe cięgarówki i pod silną eskortą nieodłącznych "bojców" wystawiających na nas swoje "sztyki" pojechaliśmy do Nowojelni. Tam wyładowali nas na placu w pobliżu bocznic kolejowej. Cały ten plac był też gęsto obstawiony "bojcami" nie dopuszczającymi nikogo z zewnątrz. Okazało się, że przy tym wywozie aresztowali i zabierali osobno wszystkie osoby policzone za głowę rodziny. Zrozumieliśmy teraz dlaczego w kółko chcieli wnieść Mamusi że jest "gława siemji", ale Mamusia wciąż im powtarzała, że głową naszej rodziny jest Tatus, choć nie wiemy gdzie się teraz znajduje. Tak nie wiedząc nie uratowała się Mamusia od aresztowania i osadzenia w więzieniu. Korwojownik nas do Nowojelni ten sam oficer krasnoarmiejec, który był w trójce nas wywozącej. Ciekawe było to, że z chwili, gdy został sam bez tych Żydów, zupełnie się zmienił. W Nowojelni pomagał mi przenosić nasze rzeczy i ładować je do wagonu i upominał Mamusię, żeby nie dawała mi nosić ciężkich rzeczy, "bo przecież to jeszcze dalecko". Pocięczał nas, że zawiozą nas w nie lepsze strony "gdzie można żyć". Po prostu widać że bał się swoich współtowarzyszy partyjnych żeby mu nie zrobili złej opinii.

Po dłuższym czekaniu podstawił wagony "ciepluszki" czyli bydłocę przysto-

sowane do przewozu więźniów, i załadowali nas po trzydziestu do czterdziestu osób do 20-o tonowego wagonu. Tylko duże kufry wzięli do oddzielnego wagonu, bo drzwi nie otwierały się szeroko z powodu grubych krat w okienkach.

Wagony te i całe te pociągi były na stałe przygotowane do przewozu więźniów. Z jednej strony drzwi były odsunięte na szerokość jednej deski i w tą szparę wstawione było, ze spadkiem na zewnątrz, koryto zbite z trzech nie nablawanych desek, co miało zastępować klozet. Nad tym korytem szpara zabita była deską.

Z jednej strony okienka były zaśrubowane - zamknięte na stałe, a z drugiej były zakratowane trzema sztabami płaskownika tak, że pozostawały szpary około 10-o centymetrowe. Po obu stronach od drzwi do ściany szczytowej były zbite po dwie półki - nary, ustawione piętrowo. Wkrótce okazało się, że wagony te były stale zamieszkałe przez tysiące wszy. Umieściliśmy się z Mamusią na górnej półce. Obok umieściliśmy Zosię Materską, a dalej siedziała pani Januszkiewiczowa z synem Czeskiem i córką i pani Hałaburdowa z córką. Na dolnej półce wpakowane były rzeczy połowy "mieszkańców" wagonu, a z drugiej strony na tańszej półce drugiej części. Na podłodze wagonu umieściły się: pani Materska z małą Tereską, Goldowa z synem i córką, Goldinowa z dwiema córkami i dwie samotne staruszki ponad 60-o letnie - panie Knappe i Woronowiczowa. Po przeciwniej stronie na górnej półce umieściły się: młoda pani Kaczmarek z dziećmi - Januszką i Zosią, stara pani Kaczmarek z wnuczką Ialą, której rodzice byli wywiezieni w drugim wywozie do Aktiubińska, Sara Brojdo z ciężko chorą matką i Zyskindowa.

Podczasowo wszystkie okienka były zamknięte i od razu zrobiło się bardzo duszno. Dopiero po wielu wołaniach i lamentach otworzyli dwa okienka z jednej strony. Drzwi po załadowaniu nas do wagonu zaraz zamykali i śrubowali od zewnątrz konwojenci. Mamusia przed załadunkiem wzięła ziemi do chusteczki i schowała ją jak relikwie. W sąsiednim wagonie jechali między innymi: państwo Łazorscy, profesor Łoziński z żoną i córką, pani Janina Jodko-Markiewiczowa z matką, siostrą i małą Mitką, pani Bułhakowa z matką i synem Heńkiem i Zosia Bekierówna.

W Nowojelni staliśmy do późnego wieczora. Bardzo dużo osób przyjeżdżało z Łowegródka i szukało znajomych, chcąc im podać jeszcze jakieś rzeczy lub żywność. Jas odnalazła Julę, przyjaciółka Wisi, i przywiozła nam chleb, małe ciasto kandydnej miseczce i pled. Konwojenci niechętnie puszczaali przyjezdnych do nas wywołanych, ale nasi nie rezygnowali i jakoś w końcu podchodzili do wagonów gdzie byli ich znajomi i bliscy i przez okienka podawali co przynieśli. Kolej pociąg ruszył i nad ranem byliśmy w Baranowiczach, gdzie dołączyli drugą część szelony. Po dłuższym postoju pociąg ruszył dalej i po południu minęliśmy Stołpcę. Za Stołpcami minęliśmy starą polską granicę - widniał na niej jak okiem sięgnąć rząd przewręczonych na zachód zrąbanych słupów nalożonych w białe - czerwone pasy. Sowietci raumyślnie pozostawili te pokonane słupy jako symbol swego zwycięstwa. W tym miejscu po wagonach rozległ się płacz, a krótko po tym pokłynyły pleśni narodowe i religijne. W naszym wagonie razem z nami, pełnym śmiechu, śpiewała Sara Brojdo. Była to wówczas osiemnastoletnia dziewczyna, córka bardzo bogatego kupa - *marxymweas.*

specjalizującego się między innymi w handlu nasionami koniczy i tran. Ujęta wana była zupełnie po polsku, mówiła zupełnie bez naleciałości żydowskich i podkreślała swoją polskość. Była przy tym bardzo ładna i sympatyczna. Starca żydowski robił lament z powodu tych śpiewów uważając, że mogą nam zaszkodzić, ale to nie wpłynęło na nas zupełnie.

Zyskindowa była żoną kupca z Nowogródka, a Goldowa i Goldirowa były żonami kupców baranowickich, których sowieci wysiedlili z Baranowicz jako miasta oblasnego, czyli równorzędnego wojewódzkiemu. Trzeba wspomnieć, że sowieci wprowadzili rodzaj kategorii mieszkańców. W dowodach osobi tych t.j. paszportach, NKWD stawiało przy ich wydaniu swoje paragrafy i w tym czasie. Mieszkańcy z paragrafem nr. 6 nie mieli prawa wogóle nawet wjechać do miasta - stolicy republiki, a w miastach - stolicach oblasti mogli przebywać jedynie 24 godziny, natomiast mieszkać mogli dopiero w miastach rejonowych i mniejszych. Paragrafów tych było całe mnóstwo i nikt poza NKWD nie wiedział co posiada, do czego jest zakwalifikowany i dla czego. Właśnie dlatego bogaci kupcy żydowscy, mimo że im odrazu wszystko skonfiskowali, byli zaraz na początku wysiedleni z Baranowicz do Nowogródka, który sowieci zdegradowali, a wcielili rosyjskich zasad zacierania polskości tych ziem, do rangi miasta rejonowego pomimo, że w Nowogródku były obszerne i nowoczesne budynki urzędów polskich, a Baranowicze tego nie miały.

Wieczorem przejechaliśmy Mińsk Białoruski. Następnego dnia - 22 czerwca była niedziela. Rano wsiadliśmy w Borysów i rano zatrzymaliśmy się w Orszy. Na tej stacji stał już eszelon z Litwy, a doznał nas eszelon z Białegostoku i Suwałk. Z białostockiego eszelonu dali nam znać na migi, że zaczęła się wojna. W Orszy dali nam pierwszy raz obiad składający się z zupy z makaronem i kaszą, oraz po dwa wiadra wody na wagon. Chciałem iść po wodę żeby trochę rozprostować nogi, lecz konwojenci nie puścili mnie z wagonu mówiąc, że "musisz nam nie zleżać wychadzić". Tak stałem się "muszkosiną", jak mnie później nazywali w wagonie. Co prawda byłem najstarszym chłopcem w naszym wagonie. W naszym eszelonie prawie nie było mężczyzn i chłopców powyżej 16-tu lat, poza nielicznymi starcami. Po wodę i po obiad wypuścili po dwie kobiety z wagonu z tym, że wybięrali matki małych dzieci. Prowadzili je konwojenci z nastawionymi groźnie bagnietami.

W poniedziałek rano nasz eszelon zatrzymano na stacji w Smoleńsku. Stało na niej już kilka eszelonów z wywożonymi. Po pewnym czasie nadleciały niemieckie samoloty. Syreny zaczęły przeraźliwie wyc. Konwojenci poseskakiwali z wagonów ale nie otwierali nam drzwi. Kobiety zaczęły nerwowo płakać i zawodzić. I wreszcie szczęście niemcy nie rzucali bomb na nasze transporty. Po dłuższym czasie po zrzućeniu bomb na miasto, odlecieli, a nasz eszelon pojechał dalej.

Przejechaliśmy Dniepr, minęliśmy Kozłowski i następnego dnia przejechaliśmy na Don. Przejeżdżaliśmy przez oblasti Tulska i Riazkańska. Zjedliśmy resztę swojego chleba. Po drodze widać było już bałagan pierwszych dni wojny. Z jakiejś stacji nagle eszelon wrócił w powrotnym kierunku. Późną nocą z 24 na 25 czerwca dali nam na jakiejś stacji obiad - kapusznik, kaszę gryczaną i po pół bochenka białego chleba. Na tej stacji staliśmy do rana, a rano ruszyliśmy dalej

W dzień przejechaliśmy Tambow. Mijaliśmy lesiste okolice. Gleba wyglądała na żyzną, tylko marnie uprawioną. Lasy mieszane sosnowo - dębowo - brzoza. Kilkakrotnie pociąg stawał na małych stacyjkach. Wszyscy z wagonu cianili się do okienek i kupowali od miejscowych kobiet produkty żywnościowe, co się tylko dało. Namusi udało się kupić kilka jajek i trochę cebuli.

Rano 26 czerwca dojechaliśmy do Penzy. Tu dali nam obiad - krupnik i kaszę jaglaną i po kawałku chleba. Na postojach, z wagonu do wagonu przez okienka, nie widząc się wzajemnie, powtarzano sobie różne wieści i plotki. Podobno Niemcy zajęli już Baranowicze, ale nic konkretnego nie było wiadomo. Nie wiedzieliśmy naprawdę nic o sytuacji politycznej, ani też dokąd nas wiozą. Wszyscy snuli na te tematy różne domysły. Tymczasem mijaliśmy po drodze wielkie pola kołchozowe, pomimo dobrej gleby, marnie uprawne i zachwaszczone. Ciągłe mijaly nas transporty wojskowe jadące w przeciwnym kierunku, w stronę dalekiego frontu. Następnego dnia dojechaliśmy do brzegów Wołgi i dłuższy czas jechaliśmy nad jej brzegiem. Widok tej olbrzymiej rzeki robił duże wrażenie. Głolica była podmokła i miejscami mijaliśmy szerokie rozlewiska. Na jakiejś naszej stacyjce wyprowadzili po dwie kobiety po wodę. Po południu dojechaliśmy do Kujbyszewa - dawnej Samary. Miasto widać było duże, perony z tunelami, ale wszystko brudne i w nieładzie. Liczego nie można było kupić. Wogóle jakichś produktów spożywczych można było kupić jedynie na całej trasie na małych stacyjkach od wiejskich kobiet, a na większych stacjach nie było wogóle handlu żywnością. W Kujbyszewie dali nam po dwa wiadra "kipiatku" czyli gorącej wody i po dwa duże bochny chleba na wagon. Po podzieleniu tego po wszystkich wypadły nieduże kromki. Przy odbiorze "kipiatku" przekazały sobie wzajemnie kobiety wiadomość, że w naszym ezelonie pojawiła się wśród dzieci odra. Podobno dwa wagony z tego powodu odseparowali.

W sobotę 28 czerwca w Boguruskanie wyprowadzili kobiety po wodę. Namusi udało się kupić mleka i kawałek masła. W Abdulinie też staliśmy jakiś czas i też Namusia kupiła mleka. O północy dojechaliśmy do Ufy i tu dali nam obiad. Wszyscy byli rozespani i nie było komu iść po ten obiad. Poszła Namusia i spotkała przy tym Tosię Bekerównę. Te wydawanie posiłków w najprzeróżniejszych porach dnia i nocy męczyły wszystkich, a zwłaszcza małe dzieci. Także ciążył brak wody do picia, nie mówiąc już o myciu naczyń i myciu się wszystkich, był męczący. Z koryta - klozetu szedł fetor na cały wagon, a małe okienka otwarte tylko z jednej strony nie umożliwiały należytego wietrzenia... ciasnocie dzieci nie mogły się swobodnie poruszać. Wszyscy byli brudni i grzyły nas pojejaszy, z którymi nie można było wojować, bo nawet nie widziało się ich w ciągu północy. Nocą dojechaliśmy do Uralu i w niedzielę 29 czerwca jechaliśmy przez południowy Ural. Okolice śliczne, choć zupełnie odmienne od naszych Karpat, potężniejsze i dzikie, te góry graniczne Europy i Azji. Lasy świerkowe - sosnowe, miejscami potężne skały. W wielu miejscach tory idą po "półkach" wykutyh wzdłuż stromych zbocz skalnych i na pionowych ścianach widnieją setki nazwisk skazańców - katorżników, którzy tu pracowali podlegając Rosji. Wśród nazwisk tych widnieją bardzo dużo

coysto polskich. W niższych partiach widać lasy mieszane iglaste - liściaste. Budynki stacyjne w tym terenie były okazałe i ładniejsze.

Po południu minęliśmy stację Zolotoust, a następną nocj dojechaliśmy do Czelabińska i tu dali nam obiad zupełnie dobry - zupę na mące z makaronem i kaszę jaglaną. Z naszego wagonu chodziła po ten obiad kasusia i przy pobieraniu spotkała panią Jodkową, która gdzieś dostatek gazetę i przeczytała, więc że niency zajęli już Wilno, Czemią, i Mińsk tak, że nasze strony były już wtedy pod okupacją niemiecką.

Rano jechaliśmy już przez kraj równinny. W Kurganie byliśmy w południe i dali nam obiad - zupę z makaronem, kaszę jaglaną i po drodze obiad w małej stacji kasusia kupiła trochę mleka. Jechaliśmy teraz przez okolice równinne i coraz przyszedł. Jak okiem sięgnąć stepy i z rzadka pojedyncze zagajniki brzożowe. Budynki coraz gorsze, pojawiały się chaty - ziemianki kryte darnią. Widzieliśmy kozy pasące się nie raz na dachach tych "pałacy". Coraz częściej widać było pola uprawnych, a sprzedawcy mleka wszędzie prosili o chleb.

Nocj na wtorek 1-o lipca minęliśmy Pietropawłowski, a po południu dojechaliśmy do Omska, w którym dali nam obiad - zupę grochową i makaron.

Jadąc dalej mijaliśmy okolice niecierpnie równinne, o wielkiej ilości jezior i błotnistych łąk z marną błotnistą, bagienną roślinnością. Pomiędzy tymi karłowate laski brzożowe, bardzo mizernie wyglądające. Za widnokręgu laski te robiły wrażenie terenów lasistych, za ogół nie można było rozróżnić gdzie kończy się woda i zaczyna łąd. Budynki stacyjne i mieszkalne według tego robiły wrażenie walących się ruder - glinobitek, w większości krytych darnią. Następnego dnia jechaliśmy dalej przez takie same tereny. Wydawało się nam, że w tym kraju człowiek rozmókłby i zgnił za życia.

Nocj dojechaliśmy do Nowosybirsk i dali nam obiad - krupnik i kaszę ziemianą z małym kawałkiem kiełbasy. Nie pierwszy raz puścili po wodę - pierwszy raz od Nowojelni wyszedłem po wodę z wagonu. Podobno niency byli już pod Irkutem, przynajmniej tak mówili przy pobieraniu wody.

Nowosybirsk był dużym miastem, wydawało się nam, że były tam fabryki i kopalnie. Stacja ogromna z okazałym dworcem, ale szerokie ulice przy dworcu były nie brukowane i bez chodników. Lasz eszelon stał w Nowosybirsku dość długi i dosiery przed południem pojechaliśmy dalej.

Za Nowosybirskiem krajobraz zmienił się znacznie, teren zaczął się coraz bardziej falisty i pojawiły się dorodniejsze lasy mieszane. Zobaczyliśmy pierwszy raz świerki i jodły syberyjskie, wysokie, o równych, krótkich od dołu do góry jednakowych i zwisających gałęziach.

Na stacji Tajga wypuścili nas po wodę. Tamtejsi mieszkańcy mówili nam, że tam w zime mrozy dochodzą do 70 stopni. W Tajdze stał eszelon wojskowy jadący na zachód. Krasnoarmiejcy pocieszali nas, że tam gdzie nas wiozą będzie lepiej. Mówili też ze sporą dozą chętności, że jak oni Sybiracy sąjad, na front to dopiero pokażę "germańców", co to są sybirskie wojska.

W piątek 4-go lipca przywieźli nas do Achyńska i zostawili na nocnicę koło pustych, czterech wagonów zbrojnych na ogromnym, ogrodzonym wykopanym płocie z desek, placu. Zaraz też otworzyli wagony i zaczęli nas wyładowywać.

Myśmy z Mamusią znaleźli się w baraku obok państwa Łazowskich, pani Jedka, jej z matką, siostrą i siostrą, pani Buzhakowej z matką i Henkiem oraz Łazi Łazowską. W sąsiednim baraku znaleźli się państwo Łozińscy, pani Lurca i Lurczycowa z matką, Daną i "Kitajcem", jak nazywaliśmy z Ryskiem Tomaszewskim syna pani Lurcy - Lurczycowej z powodu jego wybitnie tatarskich rysów. Była też pani Stępniova z dziećmi, z których najstarszy był moim kolegą ze szkoły. Życie w barakach było duże, bo ciągle odnajdywali się znajomi i nikt nie mógł wyjść z chodzenia po ogrodzonym terenie. W jednym miejscu była dziura w parkiecie wychodząca wprost na niewielką rzeczkę. Ponieważ tu już nas specjalnie nie pilnowali, wyszliśmy z Mamusią nad tą rzeczkę i porozmawialiśmy sobie, potem przez dłuższy czas siedziałem i tukałem w białobrytym i ubrałem wójkę wierzchołkową. Po tej kąpieli od razu lepiej się poczułem.

Niedługo po nas przyjechał eszelon z Białegostoku i Suwałk, rozładowali ich jeszcze do baraków. Po nich podstawili eszelon z Łotwy i Łotyszów już rozładowali pod górną niebo. Porobili oni sobie w przodce promiśniane namioty z kocy i derek. Na szczęście pogoda była wspaniała i tylko noc słaba się im je znaki, bo były chłodne.

Przywozili nam z miasta całkiem możliwą jedzenie, tylko trzeba było długo stać po nie w kolejce. Odebrał nas wszystkich od oddziału kaproja, który nas pilnował od łowejelni, jakiś gruby major MKD z wyglądu rasowy Żyd. Każdego dnia przyjeżdżali furmankami z kołchozów i "lesapiłok" "kupy" po naszych i zabierali kolejno wszystkich naszych i Łotyszów. Były podzielone zdania, jedni uważali, że trzeba czekać na swoją kolejkę, a inni znów twierdzili, że lepiej jest wybrać sobie jakiś kołchoz i zgłosić się na wyjazd na ochotnika. Ja z Mamusią znudziło się czekanie na niewiadome i zgłosiliśmy się na pierwszy wyjazd.

Przed wyjazdem wszystkim nam odczytali, że jesteśmy oskarżeni na dwadzieścia lat i na tyleż pozbawieni praw obywatelskich, że jedziemy do pracy gdzie nie wolno nam będzie odnowić wykonania żadnej pracy, nie wolno nam też uczestniczyć w żadnej organizacji, nawet do drugiej wsi, no i o ile nie będziemy się stocowali do powyższych zarządzeń, to pójdziemy "w łagier". Wszyscy od 16-go roku życia podpisywali za siebie, że przyjęli do wiadomości, a za dzieci podpisywały ich matki. Tak to według prawa "ludowego" zwykła były karane nawet noworodki, bo po co rodziły się w "biało polskich" rodzinach "wrogów ludu".

W Aczyńsku zaobserwowaliśmy ciekawy przejaw solidarności żydowskiej. Jak wspominałem już, naczelnikiem MKD, który nas przejął był Żyd. Chodził on nigdy nami i po pewnym czasie poszwargotał coś z niektórymi Żydami wywiezionymi wraz z nami. Były to wszystko rodziny bogatych kupców żydowskich, a więc najprawdziwszą "burżuazję" według nomenklatury sowieckiej, a on przecież był "komunistą". Z rozmów tych wynikało, że wszyscy Żydzi pojechali do jednego w tym rejonie sowchozu, leżącego opodal Aczyńska, gdzie okazały się najlepszą warunkami egzystencji, a po niedługim czasie wszyscy Żydzi pracowali już na różnych niezłych robotach w samym Aczyńsku.

W Aczyńsku była możliwość zaobserwowania przekroju społecznego wywiezionych.

.. pierwszym wywozie wywieźli Sowietci osadników wojakowych i ich...
drugim zabraли rodziny policjantów, urzędników, zawodowych wojskowych, oficerów z zachodnich części Polski, w każdym razie przedstawicieli inteligencji i mieszkańców związanych z władzą polskimi. Natomiast w następnym wywozie zostali wywiezieni resztki inteligencji, wywiezieni zostali ludzie prości, chłopcy i robotnicy, a właściwie ich rodziny, bo oni sami byli zabrani do więzienia. Byli między nimi i tacy, którzy nie umieli nawet pisać po polsku. Prosto wydawało się, że chodziło Sowietom o zupełne wyłączenie z polskiej ludności Kresów i zastąpienie jej przedstawicielami z głębi Rosji. Ten sposób chcieli zupełnie zatrzeć dawny charakter tych ziem i stworzyć politykę Obojga Narodów, korygując i udoskonalając założenia carskiej Rosji. I jeszcze jedna ciekawa rzecz - w pierwszym wywozie jechali ojcowie razem ze swoimi rodzinami i otrzymywali kary administracyjne w granicach 5 - 10 lat pracy, w drugim wywozie też, jeśli ojciec nie był wesołniej amunicyjny lub nie uciekł, to jechał razem z rodziną i wyroki były podobne, a w trzecim wywozie wszyscy uznani za głowę rodziny - ojciec czy matka - byli aresztowani, a wywożone rodziny wszystkie dostały po dwadzieścia lat pracy, niezależnie od pochodzenia, narodowości i stanu majątkowego.

Po kilku dniach pobytu w Aczyńsku wyjechaliśmy z dużą grupą do wsi Bluszkowo, a druga grupa, w której były między innymi Materskie, jechała razem z nami do sąsiedniej wsi Krasny Jar. Przejechali po nas kołchoźnicy jednolitej furmankami. Po załadowaniu rzeczy i wypełnieniu formalności, już po południu wyjechaliśmy za bramę obozu. Z nami do Bluszkowa jechali: pani Murad - kurzyczowa z rodziną, pani Kierpnowska z dwoma córeczkami, Tosią Bekierówną, rodziną Saniccy z matką - rodzina chłopska, białoruska ze średniego gospodarstwa, pani Sobieriewska - nauczycielkę z dwójkiem dzieci, Idalką Drelingową - kurzyczką, Marandowskich - z matką, Kurzyczowa - żona robotnika - z dziećmi, Reparatowa - chłopka lisłozuśka - z dziećmi i kilka innych rodzin, a do Krasnego Jaru: pani Materska z córkami i wszystkie rodziny nie żydowskie z naszego regionu. Po przejechaniu kilku kilometrów, kołchoźnicy zjechali na łubę nad strumieniem i stanęli na nocleg. Dziwiło nas to, że wszyscy kołchoźnicy nie mieli ze sobą niczego prócz noży i siekier, żadnej torby z żywnością. Po zatrzymaniu się na "ługu" jak nazywali dziką łubę nad "łuczen" czyli strumieniem, poszli w zarośla nad strumieniem i jedli porzeczki z krzaków rosnących tam i różne inne tylko znane ziołka. Po tym napili się wody ze strumienia, rozpalili ogniska i położyli się wokół nich wprost na ziemi i zasnęli. Przedtem puścili konie spytane na paszę. Nasze kobiety poukładały dzieci na wozach w wyłożonych tych z trawoków pościeli i same pokładły się koło nich. Ja swiergą po prostu spaliśmy zupełnie dobrze, gdyby nie roje komarów. Wczesnie rano nasi różniocili wygasłe ogniska i gotowali śniadanie, a kołchoźnicy ziów posilali się w zaroślach. Starszy już chłop, wiozący nas na swoim wozie, powiedział nam, że pochodzi z "Wileńszczyzny" i "z Polaków", widząc nasze zdziwienie z powodu sposobu odżywiania się kołchoźników, powiedział: "to teraz normalne, to polski kraj". Po śniadaniu zaprzęgli konie i ruszyliśmy w drogę, kołchoźnicy

cały czas szli przy wozach i ciągle coś rwali i zjadali. Drogi w naszym pojęciu właściwie nie było. Jechaliśmy po śródleśnych polanach wymijając kępy bardziej zwartych drzew i krzewów. Trawa i różne zioła sięgały kółskich brzośców, a często konie chowały się zupełnie i tylko dalsze furmanki kierowały się śladem pierwszego wozu i wydeptowały drogę. Wszędzie pekno było kwitnących pięknych kwiatów, których nie powstydziliby się dobry ogrodnik - kwiaciarnik w Polsce. Na polach kwitła całe łany wielkich lilii rdzawych "snolinson", o kwiatkach rdzawych nakrapianych czarno. Miejscami rosły olbrzymie łany piwonia o wielkich pojedynczych kwiatkach białych, różowych i czerwonych z wypukłymi złotymi środkami. Mijaliśmy rzadko wsie i pola uprawne, a częściej ostępy dzikiej tajgi. Ze wzgórz rozciągały się widoki na morza falującej jałłany traw, odwiecznej tajgi. Widać było, że ziemia jest tam bardzo żyzna, bo wszystko rosło o wiele bujniej jak w Polsce. W pewnym miejscu wjechaliśmy na szczyt wzgórze, które urywało się ostrym stokiem, który schodził do rzeki, toczącej spienioną wodę po kamienistym dnie o kilkaset metrów niżej. W tym miejscu przesiadaliśmy się. Zgóry wyglądała jak górski potok, a była kilkakrotnie szersza od Wisły koło Warszawy. Za rzeką jak okiem sięgnąć aż do widnokręgu rozciągało się morze tajgi wyglądającej z góry jak wielka, bujnie porośnięta łąka. Było to, jak nas poinformowali kołchoźnicy, Czułym - dopływ Obu. W połowie stronnego stoku jak przylepiona do zbocza przysiadła wieś. Stare domy, pochodzące jeszcze z carskich czasów były budowane z okrągłaków modrzewiowych, które ze starości przybrały złoto - brązową barwę. Dachy ich były cztero spadowe, abityjane z desek, pod okapami otoczone koronkami wycinanymi z desek. Ład okrami i drzewami jeszcze większe drewniane koronki. Widać jak ze starorosyjskiej bajki. Dowiedzieliśmy się, że ta urocza wieś nazywała się mało dźwięcznie - Tuchła czyli w dosłownym tłumaczeniu - Stęchła. Po wyglądzie nie była podobna do Stęchłej. Niedaleko za Tuchłą furmanki z Krasnego Jaru pojechały drogą w prawo i straciliśmy ich z oczu.

Tad wieczorem dojechaliśmy do rzadko rosnących starych modrzewi, a za nimi rozciągało się pole dojrzewającego żyta. Tutaj dosłownie nas wszystkich "zatkało" - kołchoźnicy najspokojniej wjechali w to żyto i popędzali konie wyprzedzając się wzajemnie. Mówili nam przy tym, że to już pole ich kołchozu i do wsi już nie daleko. Po pewnym czasie wyjechaliśmy znów na polany leśne, a za nami została szeroka wydeptana w życie droga. Podobno właściwa droga biegła opodal i była jedyne niewiele dłuższa. Wieczorem już ostatecznie przenieśliśmy się oświetliły wieś na sporej polanie. Dojechaliśmy do miejsca naszego przeznaczenia. Przed nami rozciągała się duża, rzadko zabudowana i mocno już zniszczona wieś. "Tu my wzięliśmy dom" mówili kołchoźnicy, a mnie przyzwały na myśl Polska, Nowogródek, Korielicze i ten utracony dom, gdzie się wychowałem i znałem wszystkie kąty i ścisnęło mi się serce myślą, czy jeszcze kiedyś tam wrócę i zobaczę te ukochane miejsca i myśl ta wycisnęła mi z oczu dwie ostatnie łzy. Rozpoczął się nowy i nieznanany okres w naszym życiu.

W KOŁCHOZIE

Furanki zatrzymały się na wiejskiej drodze i zebrani koło nich kołchoźnicy zabrali się kłócić między sobą. Okazało się, że według sowieckiego rozporządzenia prezydent kołchozu wyznaczył bez uzgodnienia z właścicielami domów kwatery dla naszych rodzin, a zainteresowani kołchoźnicy wyklócili się z nim nie chcąc tracić części swego i tak małego mieszkania. Zrobił się już zupełnie wieczór, a jeszcze nie wszyscy dostali przydział mieszkania. Końcu Sprużewnik nas z Manusią, panią Kiersnowską z dziewczynkami i Tosią Zebefonę wziął do siebie na nocleg. Wszyscy byliśmy już zmęczeni drogą i z przyjemnością przyjęliśmy proponowaną gościnę. Dom i obejście Sprużewnika było jeszcze na ogół w dobrym stanie. Widać było, że przed rewolucją byli to zamożni gospodarze. Obecnie Sprużewnik był w kołchozie i pełnił funkcję pośrednią pomiędzy zootechnikiem, a weterynarzem i był jednym z najważniejszych mieszkańców wsi. Jego dzieci miały wybitnie polskie i katolickie imiona. Nie umieli już mówić po polsku, ale starsi umieli czytać modlitwy z książeczek do nabożeństwa po polsku zupełnie płynnie. Stary Sprużewnik przyjechał z rodzicami na Syberię jako małe dziecko i nie pamiętał już stron ojczystych, a jedynie to, że był katolikiem i pochodził z Polaków. Jeden z jego synów, młodszy ode mnie o rok, miał na imię Stanisław i ten prędko zaprzyjaźnił się ze mną. Pierwszej nocy spaliśmy na podłodze w dużej izbie. Przed snem uklękłem do pacierza. Po chwili z kąta, w którym za zasłoną spała stara matka Sprużewnika posłyszałem słowa skierowane do mnie: "ty dziecieczka nie pogibiesz, a wierzysz w swą stronę i będziesz szczęśliwy za to co ty wierzysz i mólisz się Bogu". Słowa te wryły mi się w pamięć i uwierzyłem, że ta staruszka Sybiraczka, z pochodzenia Polka, widziała wówczas przyszłość.

U Sprużewników mieszkaliśmy kilka dni. Po wielu staraniach dostaliśmy wreszcie na trzy nasze rodziny jedną izbę bez pieca, którą odstąpił nam Gudyra ówczesny prezydent kołchozu, którego zresztą po kilku dniach wzięli do wojska. Był to jeden z nielicznych partyjnych we wsi i chyba jedyny, który kazał swego czasu żonie zdjąć ze ściany ikony i twierdził, że jest nie wierzący. Nie minęło pół roku jak napisał z frontu do żony: "ty mólić Boga, a ty ja wiernuścia Jezozo domoj. Tylko Bog może nas z etich skuczaji wybawia". Gudyricha na drugi dzień miała już na swoim miejscu powieszona, odjęte ze ściany ikony i bardzo była rada.

Przez następnych kilka dni zrobiliśmy z całej wsi kawałki desek, a z lasu przyozowe żerdzie, a których przy pomocy Stasia Sprużewnika zrobiliśmy piętrowe "nary" czyli przyozę, stół i cztery ławeczki. Robota szła mi dość ciężko, gdyż nie miałem ani gwoździ, ani odpowiednich narzędzi. Dysponowałem siekierą i łuską, jaką pożyczony od Sprużewnika i swoim kłothkiem i kombinerkami. Gwoździe wybiłłem gdzieś się dało ze starych desek, ale to wszystko było porządkiem i trudne żół do ponownego wblecia w drzewo. Pieca żadnego nie mieliśmy, a nie było cegiel, żeby składować jakąś kuchenkę. Manusia i pani Kiersnowska zebrany kilka kamieni i urządzily sobie palenisko w dołku przed naszymi drzwiami, co mieliśmy osobne wejście do naszej izby prosto ze dworu.

Było to dobre póki była ciepła i ładna pogoda, lecz gdy padało było gorzej. Gdy skończyliśmy się urządzać, Staś Sprużownik namówił mnie na łowienie ryb na wędkę. Ponieważ ja nie miałem wędki, pożyczył mi swoją i poszliśmy nad rzekę. Zdziwiło mnie to, że Staś wziął w kawałek gazety trochę soli. Poszliśmy my za wieś i siedliśmy na brzegu. Złapałem pierwszy małą rybkę i wówczas Staś podał mi sól i powiedział żebym ją zjadł, bo takiej małej nie opłaca się zanosić do domu. Byłem zdziwiony i powiedziałem mu, że ja żywych ryb nie jadam. Na to on wziął tą rybkę, umaczał w soli, odgryzł jej płetwę ogonową i zjadł całą bez czyszczenia, a za to, że zjadał wszystkie moje małe rybki jak: kie złowiłem tego dnia, dał mi swoją dużą. Widziałem, że był mocno zdziwiony tym, że nie chcę jeść tych rybek. Wtedy przy łowieniu zauważyłem po raz pierwszy, że w rzece było dużo różnej wielkości brył, które po obejrzeniu okazały się węglem. Zapytałem Stasia o pochodzenie tego węgla i powiedział mi, że w górę rzeki jest góra podmywana przez wodę. Zwłaszcza wczesną wiosną, gdy rzeka wzbierała bardzo silnie podmywała tą górę i wtedy wymywała pokład węgla. Był to bardzo dobre palący się węgiel i gdy trzeba było to jechali tam, wjeżdżali do wody i kopali tyle tego węgla ile go potrzebowali do kuźni. Podobno była tam "borrazwietka", jak nazywali ekipy wiertniczo - poszukiwawcze i stwierdziła duże ilości wysokiej jakości węgla, ale władze orzekły że kopać ~~nie~~ nie opłaca się, bo trzeba byłoby zbudować kilkadziesiąt kilometrów linii kolejowej przez tajgę.

Mniej więcej po tygodniu od przyjazdu naszego, zrobili w biurze kołchozu zebranie kołchoźników i na nim oficjalnie w obecności przewodniczącego siewosowietu czyli jakby naszego wójta, kołchoźnicy przyjęli nas wszystkich na członków kołchozu. Była to formalność konieczna z punktu widzenia prawa sowieckiego, gdzie w kołchozie nie można było zatrudniać pracowników najemnych. Na drugi dzień po tym popędzili nas na robotę. Codziennie przed świtem budził nas brzdęk jadący przez wieś konno i stukając kolejno we wszystkie okna domów, zapowiadał równocześnie dokąd mamy iść na robotę. Wychodziliśmy o świcie, a wracali po zachodzie słońca. Początkowo wszyscy pracowaliśmy przy zbiorze siana. Była to praca o tyle dobra, że w południe dawali wszystkim po misce zacierek z żytniej mąki - razówki, zwanych tam "zacieruchą". Zacierki te były robione z zmielonego posładu żytniego zupełnie nie oczyszczonego i miały konsystencję rzadkiego kleju, mocno brudnego, gdyż pełno w niej było łupin różnych chwastów. Pomimo to jedliśmy tą zacieruchę bardzo chętnie, bo nie mieliśmy chleba ani placków zwanych tam lepioszkami, a cały dzień bez jedzenia trudno było wytrzymać. Niestety mnie krótko po tym zabrali do kopania dołów na silosy. Tam co roku kopali nowe doły silosowe, bo nie chciało się im czyścić starych pomimo, że w tamtejszej gliniastej ziemi nie zawały się przez kilka lat. Doły wyznaczali 3 x 6 metrów i 2 głębokie. Była to jedna z najcięższych prac, gdyż pod kilkudziesięciu centymetrową warstwą czarnoziemu, zalegała glina tak tłusta i zbita, że nie odstawała od łopaty. Początkowo kopałem z dwoma chłopcami, dwiętnastoletnimi miejscowymi o polskich nazwiskach. Jeden nazywał się Malinowski a drugi Narkiewicz. Nie umieli

naturalnie mówić po polsku, ale wyraźnie interesowali się Polską. W przerwach pracy prosili żebym opowiadał im o Polsce i śpiewał polskie piosenki. Na wykopanie jednego dołu silosowego dawali normę cztery dni. Było to ciężkie do wykonania z uwagi na glinę i słabe odżywianie się. Po kilku dniach obu chłopców powołali do wojska, a mnie predsiedatiel, którym po Gudynie został starszy już i na wpół ślepy od egipskiego zapalenia oczu, kaprawy Iwanow, dał do pomocy nasze dzieci - dziewczynki i chłopców dwunasto-czternastoletnich. Miby było nas szczęśliwo, ale oni nie mogli nawet z głębokiego dołu wyrzucić ukopanej gliny. Iwanow przychodził codziennie, mierzył głębokość wykopu i groził, że nie dostaniemy zapłaty jak nie wykonamy normy, ale to nic nie pomagało. Jeden dół kopaliśmy chyba tydzień i właściwie to ja kopąłem najwięcej. Po powrocie wieczorem do domu czułem się tak, jakbym był cały obity kijami i nawet nie chciało mi się jeść. Po jakimś czasie uśmiechnęło się do mnie szczęście, bo jedną z miejscowych dziewczyn zachorowała i posłali mnie do grabienia siana konnymi grabiami. Były to grabie drewniane i na drewnianych kołach, a tylko same zęby były stalowe. Podnoszenie też było ciężkie, a nie tak jak w naszych grabiarkach, gdzie wykorzystuje się do podnoszenia ciąg konia. Praca i tu nie była lekka, ale w porównaniu z kopaniem było znacznie łatwiej. Przyjrzałem się wtedy sposobom jakie stosowali. Siano kosili w większości kosiarkami konnymi, a w małym tylko stopniu kosami. Przetrzęsali wyłącznie ręcznie. Grabili grabiarkami konnymi, a zwozili końmi i to gdy siano było złożone w kopy to do postronków wiązali dość długą linę, którą otaczali kopę i tak ją całą ciągnęli po trawie do stogu zwanego przez nich "zarodem". Natomiast gdy nie składali siana w kopy, siano zwozili układając je na dwóch związanych poprzecznym wiązadłem brzózkach, do których zaprzęgano konia jak w ogłoble. Na gałęzie tych brzózek układali kopę siana i tak ją ciągnęli do "zarodu". Na koniach oklep jeździli mali chłopcy miejscowi.

Od tego czasu zacząłem pracować przy koniach. Przed żniwami, które tam zaczynały się w połowie sierpnia, pognali nas wszystkich do "prudzenia młyna", czyli do przegrodzenia rzeki przy młynie. Były tam nie zniszczone przez wiosenną wysoką wodę, dwa przyczółki zbudowane na węgiel z bierwion sosnowych. Na te przyczółki wciągnęli olbrzymią, grubą na około 80 cm belkę modrzewiową. O tą belkę zwąną przez miejscowych "mątką" oparto wbite w dno rzeki grube słupy sosnowe. O te słupy opierając kładli w poprzek rzeki belki sosnowe i przywalali je dowożoną darnią zdzieraną z pobliskiej łąki. Woda piętrzyła się szybko, więc poganiali wszystkich do prędkiego darcia darniny i wożenia jej na tamę. Wjeżdżaliśmy kolejno wozami w rzekę na świeżo kładzioną darnię, po której konie ślizgały się i zapadały w rozmokłe doły. Była to bardzo męcząca praca dla koni i ludzi i pracowaliśmy tak od świtu przez cały dzień aż do samej nocy. Strasznie śmiali się wszyscy kołchoźnicy z pani Murzy-Murziczowej, która upominała się o trzeciej po obiedzie, że to już powinno ²¹⁹ iść do domu, bo na całym świecie obowiązuje ośmiogodzinny dzień pracy. U nich dzień pracy trwał normalnie od świtu do nocy i na okrągło przez wszystkie dni tygodnia, a niedziele były wolne od pracy tylko w zimie gdy nie było co robić. Pytałem spru-

Sprużewnika dlaczego nie zrobią raz porządnego jazu i opowiadałem mu jak u nas budowane są zapory przy młynach. On mi na to powiedział, że wie o tym, ale co by ludzie robili jakby wszystko było jak należy zbudowane, a tak co roku jest zarobek.

Gdy przeszło kilka miesięcy i miejscowi poznali nas, nieraz opowiadali jak to było u nich przed rewolucją. Ziemia cała należała do cara, a każdy mieszkaniec mógł uprawiać jej tyle ile zdołał i na ile miał sił. Było przyjęte, że każdy kawłek łąki wśród tajgi, nawet koszony przez kogoś ze wsi, można było wziąć pod uprawę, a poprzedni użytkownik tej łąki przenosił się z koszeniem dalej na niezajęte jeszcze tereny. Gdy ktoś nowy przybył do wsi, zwykle zatrzymywał się u kogoś z dawniej mieszkających w niej gospodarzy i pierwszy rok pomagał temu gospodarzowi w pracy, a gdy wieś poznała go i uznała, że jest pracowity i uczciwy, wszyscy pomagali mu postawić dom i budynki inwentarskie, a na koniec składali się mu na zaród z inwentarzem, a on musiał tylko na zakończenie ugościć sąsiadów - pomocników. Nie znoszono tylko jednego to jest kradzieży. Gdy przekonano się, że ktoś jest złodziejem, w krótkim czasie zabił go, najczęściej strzelał przez okno wieczorem i w takim wypadku nikt nie dochodził winnego zabójstwa. Gdy ktoś jechał w drogę nawet w kilka koni, nie zabierał ze sobą zapasów żywności i paszy, a wieczorem zajechał do pierwszego spotkanego gospodarstwa i nocował w nim. Gospodarz przyjmujący na nocleg nie pytał skąd i dokąd podróżny jedzie i jak się nazywa, a gościł przybysza i karmił jego konie tak długo, jak pozostawał u niego podróżny. A trzeba pamiętać, że w zimie bywały buriany nawet i przez tydzień i wtedy nikt nie wyjeżdżał w dalszą drogę. Co prawda gospodarze tam byli wówczas bogaci, bo ziemia była urodzajna nadzwyczajnie i trawy było w bród, tylko trzeba było pracować. Podatków Sybiracy nie płacili żadnych i przeciętny gospodarz miał po kilkanaście koni i bydła i uprawiał po kilkanaście, a często i ponad dwadzieścia hektarów samych zbóż. Żyto sprzedawali, a chleb jedli pszenny i żyli dostatnio.

Krótko po budowie tamy zostałem koniuchem dziennym i pasłem stado młodych koni kołchozowych. Wtedy jeszcze był we wszystkich tamtejszych kołchozach dużo koni i część nie potrzebna do roboty pasła się całą dobę na wplności. Złapałem sobie i ujeździłem młodą klacz Sineczkę jak ją zwali, Sprużewnik pożyczył mi siodło kirgizkie, całe z drzewa z wysokim przednim łękiem. Siodła te używali dawniej Kirgizi i inne ludy koczownicze i do tych wysokich przednich łęków, sięgających pod dołek, przywiązywali się rzemieniem podczas nocnej jazdy, żeby po zaśnięciu nie spaść z konia. Było to siodło bardzo niewygodne przy skoku przez przeszkody i przy pierwszym przeskoczeniu płotu poznałem tą jego "zaletę", gdy łęk wbił mi się w dołek tak, że o mało nie spadłem z bólu z konia. Później nauczyłem się skakać w tym siodle i nigdy nie zsiadałem z konia, gdy musiałem wyganiać konie z kołchozowych ogrodów ogrodzonych wysokimi płotami z żerdzi, tylko poprostu przeškakiwałem je w obie strony. Najgorsze było w tej pracy to, że w stadzie było kilka młodych ogierów, które najczęściej rozbiegały się w różne strony, zabierając ze sobą

część stada, a ja musiałem je odnajdywać i zganiać do kupy. Czasem cały dzień jeździłem po tajdze za rozpierzchniętym stadem i nie mogłem w żaden sposób go zebrać całego, bo gdy przypędzałem jedne konie to już inne poszły sobie w tajemę. Kiedyś zrobili mi kawał wchodząc do rzeki i brodząc w niej kilka kilometrów. Woda zmyła ślady i zupełnie nie mogłem ich odszukać. Po dłuższym szukaniu znalazłem je w końcu przypadkiem w owsie sąsiedniego kołchozu o kilkanaście kilometrów od naszej wsi. Przy tej pracy wcale nie miałem godzin pracy i do domu wpadałem tylko żeby coś zjeść. Nazywało się bowiem, że byłem koniuchem dziennym, ale odpowiadałem za konie i nocą, a jak się je zostawiło na całą noc same to rano ich wogóle nie można było znaleźć. Zwiedziłem wtedy duże obszary okolicznej tajgi i napatrzyłem się na cudne widoki, bo krajobraz tam był piękny, a przyroda wprost wspaniała, bo jeszcze nie zniszczona zupełnie przez człowieka. Były miejsca gdzie rosły dość rzadko olbrzymie modrzewie o średnicy pnia w odzłonku ponad 1 metr i wysokości kilkudziesięciu metrów. Kilka, a nawet kilkanaście metrów od ziemi zaczynały się na nich dopiero potężne konary, a niżej aż do ziemi był równy, gładki pień. Gdy patrzyło się od dołu na takiego olbrzyma to się zdawało, że czubem sięga chmúr. Pomiędzy stojącymi olbrzymami leżały miejscami zwalone pnie takichże modrzewi, które kiedyś zostały ścięte przez Sybiraków. Obcinali oni z takich drzew jedynie dolne części pnia i z nich darli i łupali deski długości około dwóch metrów, którymi pokrywali dachy swych domów. Były to niezniszczalne dachy, bo modrzewiowe drewno na powietrzu zanicniało się po jakimś czasie w smolną drzazgę nie gnijącą wogóle. Widziałem też tam ostępy tajgi nie ruszone siekierą, gdzie trudno było przejechać konno z powodu mnóstwa zwalonych przez wichury drzew, a gąszcz różnorodnego zielska wyrastał dużo wyżej od jeźdźca na rosnącym koniu i trzeba było mocno uważać żeby nie kręcić się w kółko. Na moje szczęście klacz dziko chowana miała instynkt dzikiego zwierzęcia i umiała znaleźć drogę do stada, które wyczuwała z daleka i nią raz gdy nie wiedziałem gdzie jechać, puszczałem ją wolno i zawsze wtedy sama znalazła właściwą drogę. Stado koni które pasłem było zróżnicowane, były to konie przeważnie młode dwu - trzylatki, lecz były i między nimi nawet 7-mio letnie klacze i ogiery. Wczesną jesienią zaczął się pobór koni do wojska Biali wszystkie konie młode, ale już ujeżdżone, wszystkie z mojego stada. Cały dzień łapaliśmy konie ze stada na arkany, a były to konie jeszcze nie tknięte ręką ludzką. Było nas do tego przydzielonych pięciu. Całością kierował starszy już kozak syberyjski, pełniący w kołchozie funkcję starszego koniucha. Zapędzaliśmy stado w kąt pomiędzy wysokie płoty i łapali na arkan. Jeden z konia rzucał arkan na szyję upatrzonemu koniowi, a dwóch pieszych zaraz przejmowało linkę i koń ciągnął ich po stepie puki nie zdusił się pętlą do tego stopnia, że walił się z nóg. Wówczas podbiegali inni i zakładali mu uzdę i jeden siadał na leżącego jeszcze koniowi, a inni wiązali koniowi na szyi drugą linkę węzłem kałmuckim, który nigdy nie zaciskał się zbyt mocno i można było go łatwo rozwiązać, a linka nie zaciskała się na szyi koni. Następnie dwóch łąpało mocno tę drugą linkę a trzeci zdejmował pętlę. Uwolniony koń rzywał się na nogi, ale już z jeźdźcem na grzbiecie. Koń zaczynał szarpać się, bić zadem i stawać dęba, a jeździec

musiał się utrzymać na nim, jeśli nie chciał być stratowanym. Dwóch trzymało konia na lince, a innych dwóch biło batami konia za każdym wierzgnięciem lub stanięciem dęba, czyli właściwie bez przerwy. Baty były o krótkich trzonkach grube u nasady, długie i kończące się cienkim rzeniem, który przy silnym uderzeniu ciął końską skórę jak nożem. Trwało takie poskromianie w zależności od charakteru konia, od kilku minut do godziny i kończyło się gdy koń cały w pianie rozkraczał się i stawał spokojnie. Wówczas zdejmowano mu linkę z szyi, a jeździec brał bat i przejeżdżał się na nim po stepie większy lub mniejszy dystans. Wracał już na zupełnie ujeżdżonym koniu. Następnie przy wiązaniu się takiego konia do drzewa lub pala i kapało się następnego. Gdy ujeżdżono się żadaną przez wojsko partię, zaczynało się kuć konie. W tym celu był zbudowany przy kuźni stojak - klatka z grubych pni podrzewiowych umożliwiający zamknięcie i podwieszenie na pasach kutego konia. Gdy udało się konia wprowadzić do tej klatki i podwiesić go na pasach przełożonych pod brzuchem, wiązało się mu nogi do wystających ze słupów podpór i tak unieruchomiono konia kuł kowal. Gdy czasem koń nie dał się wprowadzić do tego stojaka, wywracaliśmy go na bok i wiązali mu nogi sznurami i tak go kowal kuł, lecz było to trudniejsze do wykonania. Gdy cała partia była ujeżdżona w ten sposób i okuta, komisja wojskowa odbierała ją prosto z kołchozu i nasz obowiązek kończył się. Na początku Kozak nie wierzył, że umiem dobrze jeździć konno i kazał mi siąść na leżącego konia. Był złośliwy i myślał, że nie utrzymam się na dzikim koniu. Tymczasem przydała mi się szkoła rotmistrza Rożałowskiego i innych kolegów Ojca i nasze jazdy na młodych nie ujeżdżanych dwulatkach na okólniku w Koreliczach. Pokazałem, że "Palaczok" umie jeździć lepiej niż niejeden sybirski Kozak. Po ujeżdżeniu przeze mnie kilku koni już Kozak nie podśmiewał się ze mnie.

Wojsko potrzebowało koni i brali je tak, że po miesiącu nie zostało w kołchozie żadnego młodego konia, a tylko robocze codziennie pracujące, które pasło się tylko nocą. Gdy nie było już co paść dniem, pewnego dnia zabrali mnie do pomocy traktorzysty. Pracowały w kołchozie trzy traktory i wtedy zaczęli orać pod żyto. Traktorzysta wziął mnie w obroty i ganiał na całego. Był jeszcze młody. Oraliśmy kilkanaście kilometrów od wsi i wcale nie zjeżdżaliśmy z pola. Obok pola stał "wagończyk" czyli niewielki batorczek z desek na dwóch walcach wyrobionych i kłoców drzewa zamiast kół. Wewnątrz była półka - nara do spania z nieheblowanych desek i skrzynka drewniana około pół metra w kwadrat, napełniona piaskiem. Pierwszego dnia oraliśmy do ciemna. Już po ciemku zjechaliśmy pod ten wagończyk. Traktor nie miał światek, napędzany był naftą, tylko przy rozruchu palił na benzynę i rozruch był korbą. Po zgaszeniu traktora, traktorzysta kazał mi nazbierać w krzakach suchego drzewa i rozpałić w wagończyku ogień, żeby nocą we śnie nie zmarznąć, bo nie mieliśmy się czym nakryć, a leżało się na gołych deskach. Rozpałiłem ogień na środku skrzyni z piaskiem i uważałem żeby się mocniej nie palił, bo bałem się wzniecić pożar. Dym uchodził dziurą w deskach sufitu, będącego razem i dachem. Po jakimś czasie traktorzysta zbudził się, bo zmarzł i obrugał mnie, że słabo palę.

Wziął drzewo i ułożył na skrzynce spory stos, a następnie podlał go przepalonym olejem silnikowym i podpalił. Buchnął ogień i płomień przez dłuższy czas lizały deski sufitu wychodząc przez otwór aż na dach. Przeraziłem się, że buda zapali się, ale traktorzysta najspokojniej położył się na przyczepie i nie kazał iść spać. Byłem pewny, że spalimy się w końcu, ale zmęczenie przewyciężyło strach i zasnąłem. O dziwo nic się nie zapaliło. Gdy po jakimś czasie byłem w domu, i opowiedziałem te praktyki, pani Kierskowska powiedziała, że "im chyba diabeł pomaga".

Kilka dni oraliśmy od świtu do nocy. Ja musiałem cały dzień jeździć na przyczepie i ręcznie podnosić pług, co wcale nie było łatwe i wymagało dużo wyśiłek. Któregoś wieczoru przyjechał nowy prezydent kołchozu, którym został Paszka Okiszow, zupełnie nie głupi Sybirak, i kazał wieczorem jechać na pole pod sterty zboża i podstawić traktor do omłotu. Pojechalismy i po drodze już po ciemku traktorzysta nie trafił na środek wąskiego mostku i jedno przednie koło przełamało nadprężniakę drągi, którymi pokryty był mostek i zawisło nad głębokim w tym miejscu strumieniem. Przy tym wyrwała się ze śrub obudowa wspierająca przednią oś. W ostatniej chwili traktorzysta zatrzymał traktor, bo prawie nad samym brzegiem, z którego zwąliłby się do strumienia. Ochłonawszy nieco kazał mi iść do prezydenta, żeby przysłał ludzi do pomocy, żeby traktor podnieść i odciągnąć z nad strumienia. Szedłem dość długo pomiędzy kępami tajgi, ale jakoś mimo ciemności trafiłem do sterty. Było tam już zebranych sporo ludzi, bo tylko kobiety mające małe dzieci puszczali do wsi, a pozostali wszyscy zapędzani byli po pracy dziennej przy żniwie, wieczorem do omłotu. Odnalazłem Paskę i powiedziałem mu o wypadku. Wziął mnie na wóz, którym jeździł, żeby mi pokazać drogę do traktora i pojechalismy. Na miejscu wypadku Paszka sklął i zrugął traktorzystę i powiedział, że to jego winna i że ma sam do rana wyciągnąć i naprawić traktor, bo jak nie to "połuczysz dziesięć lat za sabotaż". Mnie zabrał ze sobą do omłotu. Tymczasem ściągnęli inny traktor i zaczęliśmy młócić. Pracowalismy tak do północy. W tym czasie jedna z kobiet ugotowała zacieruchę. Po zatrzymaniu maszyny, wszyscy szybko zjedli i przygotowali spanie. Patrzyłem na to ze zdziwieniem. Rozciągnęli sporo słomy na polu w pobliżu młocarni i podpalili ją. Gdy się dopaliła, zmiotli popiół i następnie na to miejsce pościelili grubo słomy i wszyscy kolejno pokładli się na niej rzędem, a jeden ponakrywał wszystkich słomą z góry i na koniec sam się w nią wsunął pomiędzy innych i tak wszyscy zgodnie spali do świtu. Rano prędko ugotowali i rozdali zacieruchę i wszyscy poszli do zbioru zboża. Tymczasem nadjechał już naprawionym traktorem mój traktorzysta i zameldował prezydentowi gotowość do pracy. "No twajo szczęście", posłyszał w odpowiedzi i pojechalismy na pole do orki. Przejeżdżając przez ten nieszczerliwy mostek widziałem, że drągi były zupełnie na nim zbutwiałe i naprawę nie było winy traktorzysty w tym wypadku. Podziwiałem jego wysiłek i pomysłowość. Nocą chodził kilkanaście kilometrów do wsi po siekierę i sznury i po powrocie w zupełnej ciemności, paląc tylko ogień rąbał drzewa i podkładał tak pod traktor, że w końcu wydźwignął go z nad strumienia i przykręciwszy zapasowymi śrubami przednią oś wyjechał na drogę. Potem naprawił mostek.

Wziął drzewo i ułożył na skrzynce spory stos, a następnie podlał go przepalonym olejem silnikowym i podpalił. Buchnął ogień i płomień przez dłuższy czas lizały deski sufitu wychodząc przez otwór aż na dach. Przerazili się, że buda zapali się, ale traktorzysta najspokojniej położył się na przyczepie i nie kazał iść spać. Byłem pewny, że spalimy się w końcu, ale zmęczenie przewyciężyło strach i zasnąłem. O dziwo nic się nie zapaliło. Gdy po jakimś czasie byłem w domu, i opowiedziałem te praktyki, pani Kierskowska powiedziała, że "im chyba diabeł pomaga".

Kilka dni oraliśmy od świtu do nocy. Ja musiałem cały dzień jeździć na zaprzęgu i ręcznie podnosić pług, co wcale nie było łatwe i wymagało dużo wytrzymałości. Któregoś wieczoru przyjechał nowy prezydent kołchozu, którym został Paszka Okiszow, zupełnie nie głupi Sybirak, i kazał wieczorem jechać na pole pod sterty zboża i podstawić traktor do omłotu. Pojechalismy i po drodze już po ciemku traktorzysta nie trafił na środek wąskiego mostku i jedno przednie koło przełamało nadprężniakę drągi, którymi pokryty był mostek i zawisło nad głębokim w tym miejscu strumieniem. Przy tym wyrwała się ze śrub obudowa wspierająca przednią oś. W ostatniej chwili traktorzysta zatrzymał traktor, bo prawie nad samym brzegiem, z którego zwaliłby się do strumienia. Ochłonawszy nieco kazał mi iść do prezydenta, żeby przysłał ludzi do pomocy, żeby traktor podnieść i odciągnąć z nad strumienia. Szedłem dość długo pomiędzy kępami tajgi, ale jakoś mimo ciemności trafiłem do sterty. Było tam już zebranych sporo ludzi, bo tylko kobiety mające małe dzieci puszczali do wsi, a pozostali wszyscy zapędzani byli po pracy dziennej przy żniwie, wieczorem do omłotu. Odnalazłem Paszkę i powiedziałem mu o wypadku. Wziął mnie na wóz, którym jeździł, żeby mi pokazać drogę do traktora i pojechalismy. Na miejscu wypadku Paszka sklął i zrugął traktorzystę i powiedział, że to jego winna i że ma sam do rana wyciągnąć i naprawić traktor, bo jak nie to "połuczysz dziesięć lat za sabotaż". Mnie zabrakło ze sobą do omłotu. Tymczasem ściągnęli inny traktor i zaczęliśmy młócić. Pracowalimy tak do północy. W tym czasie jedna z kobiet ugotowała zacieruchę. Po zatrzymaniu maszyny, wszyscy szybko zjedli i przygotowali spanie. Patrzyłem na to ze zdziwieniem. Rozciągnęli sporo słomy na polu w pobliżu młocarni i podpalili ją. Gdy się dopaliła, zmiotli popiół i następnie na to miejsce pościelili grubo słomy i wszyscy kolejno pokładli się na niej rzędem, a jeden ponakrywał wszystkich słomą z góry i na koniec sam się w nią wsunął pomiędzy innych i tak wszyscy zgodnie spali do świtu. Rano prędko ugotowali i rozdali zacieruchę i wszyscy poszli do zbioru zboża. Tymczasem nadjechał już naprawionym traktorem mój traktorzysta i zameldował prezydentowi gotowość do pracy. "No twoje szczęście", posłyszawszy w odpowiedzi i pojechalismy na pole do orki. Przejeżdżając przez ten nieszczerliwy mostek widziałem, że drągi były zupełnie na nim zbutwiałe i naprawę nie było winy traktorzysty w tym wypadku. Podziwiałem jego wysiłek i pomysłowość. Nocą chodził kilkanaście kilometrów do wsi po siekiere i sznury i po powrocie w zupełnej ciemności, paląc tylko ogień rąbał drzewa i podkładał tak pod traktor, że w końcu wydźwignął go z nad strumienia i przykręciwszy zapasowymi śrubami przednią oś wyjechał na drogę. Potem naprawił mostek.

Po zajechaniu na pole kazał mi orać samemu, a sam położył się pod krzakami i zasnął. Pole było dość długie i orałem sam podnosząc na zakrętach pług. Wychdziło mi to zupełnie dobrze, bo już w Koreliczach Komorowski uczył mnie jazdy traktorem, którym napędzano młocarnię. Tak pracowaliśmy przez szereg dni, dniem orząc, a wieczorami do późnej nocy młóćąc zboże. Pewnego dnia prosto z pola zabrali mojego traktorzystę do armii i zostałem sam. Posłali mnie do pomocy na traktor gąsienicowy, którym pracował młodszy brat Sprużewnika Kazimierz, zwany przez miejscowych Kuźmą. Oraliśmy pole między bagnami tak, że zawracaliśmy już na kępach bagna. Na gąsienicowym ciężiej było mi pracować, bo traktor taki zawraca szarpiąc i rzucając na boki, a nie jak kołowy płynnie, a ja musiałem w tym czasie dźwignią ręczną podnosić i opuszczać wieloskibowy ciężki pług. Z Kuźmą pracowałem kilka dni. Wreszcie ku mojemu zadowoleniu traktor się zepsuł i Kuźma go remontował, a mnie Paszka wziął do ~~oraków~~.

Jeszcze pracując na kołowym traktorze podziwiałem sposoby uprawy gleby stosowane w tamtejszych kołchozach. Pewnego dnia Paszka kazał nam wziąć kultywator, który w wersji sowieckiej był zbudowany z jednej, wspartej na kołach belki, na której co mniej więcej 30 cm przykręcone były zęby półsztywne, i kazał skultywatorować jedno pole, które było zaorane na wiosnę i nie obsiane. Gdy zajechaliśmy na to pole, zobaczyłem wielki obszar cały porośnięty gęstym i wysokim do dwóch metrów, ostem. Gdy wjechaliśmy w ten oset, miejscami nie było widać z niego traktora, a nad nami unosiła się chmura nasion ostowych. Po przejechaniu, za nami nie było wogóle widać gleby, a tylko połamane częściowo osty. Po pewnym czasie przyjechał Paszka, popatrzył i powiedział: "wierzno zdieś siewką nie zasiejesz. Pyszlu starikow, puszkaj rukami zasiejut roż". /na pewno tu siewnikiem nie zasieje się. Przyślę starców niech zasieją żyto rękami/. Gdy zdziwiony mówiłem do traktorzysty z powątpiewaniem czy coś z tego będzie, on powiedział mi, że to normalne i na pewno żyto wyrośnie. Później już na wiosnę widziałem ~~widziałem~~ to pole i rzeczywiście było na nim zupełnie niezłe żyto. Wszystko to robiła przepiękna i przebogata gleba i dobry klimat, ale jakie mieliby plony tam gdyby uprawiali tą glebę właściwie i niszczyli chwasty.

Tak samo przy młocce nie mogliśmy się nadziwić ich niechlujstwu. Słomę od młocarni odciągali końmi podobnie jak ściągali kopy siana do sterty, tylko że słomy nie stertowali, a poprostu rozciągali ją po polu i tak zostawiali, a potem zimą wydłubywali ją z pod śniegu i katowali tą słomą bydło i konie, bo całe siano odstawiali na "płan" do państwowych magazynów. I nie dziw, że po takiej paszy przy tamtajszych mrozach wszystko im zdychało. Jeszcze jedno dotyczące uprawy nie mogło nam się pomieścić w głowach - kołchoz nasz miał około 4 tysiące hektarów uprawnej ziemi, w czym po odjęciu łąk i pastwisk pozostawało ponad dwa tysiące hektarów ziemi ornej, a tymczasem uprawiano trzysta kilkadziesiąt hektarów, a reszta leżała odłogiem. Mniejsze pola były nie orane od czasu kolektywizacji. Kiedyś zapytałem przy okazji o to Paskę Okiszowa, który jak już wspominałem był nie głupim człowiekiem. Odpowiedział

mi, że kiedyś wszystkie nadające się do uprawy pola były przez chłopów uprawiane, ale teraz w kołchozie mają z góry naznaczony plan obsiewów i nie warto więcej siał, bo i tak wszystko zabraliby w "plan", a ludzie tylko musieliby więcej pracować. Tak to działała planowa gospodarka sowiecka - ziemia leżała odłogiem, a ludność nie miała co jeść.

W połowie sierpnia podczas przerwy w pracy Paszka Okiszow czytał gazetę i wyczytał, że gen. Sikorski podpisał z rządem SSSR umowę o współpracy i wzajemnej pomocy w walce z hitlerowcami. Cały duży artykuł poświęcony był tej sprawie. Po przeczytaniu, Paszka zwrócił się do mnie: "nu wy wże budietie wolny i nawierno skoro ujedietie na rodinu, a nas jak bili tak i budut bić".

W końcu sierpnia przyjechali do kołchozu NKWD-iści z rejonu i na zwołanym do "kantory", czyli biura kołchozu, zebraniu ogłosili nam, że zostaliśmy amnestionowani i od tej pory jesteśmy wojnymi ludźmi i sojusznikami. Mówili, że teraz możemy się przenosić gdzie chcemy, ale oni proszą nas jako sojuszników o pomoc w pracach w kołchozie. Jedna z naszych kobiet powiedziała naczalnikowi NKWD: "niedawno wy goworili kto my Polshi bolsze nie uwidim i tut padochniem a tiepier okazujetsia czto Polsha budiet i my wierniomsia na rodinu". Na to naczalnik, patrząc w podłogę, odpowiedział: "wot znajetie eto wsio politika".

Gdy pracowałem jeszcze z traktorzystą, widziałem pierwszy raz zorzę polarną. Cudne to zjawisko mieniające się wszystkiemu barwami tęczy trwało chyba ponad godzinę. Trudno opisać piękno zorzy. Trzeba ją zobaczyć żeby móc sobie ją wyobrazić. Na ciemnym tle nieba przesuwały się ruchem wahadłowym snopy różnokolorowych świateł przypominające światła reflektorów. Na tym podnosiły się od dołu i rozchodząc się po niebie rozszerzały się łuki tęczy, a tło mieniło się różnymi odcieniami różu, seledynu, czerwieni i fioletu. Patrzyłem na to zjawisko jak urzeczony. Później widziałem nieraz zorzę i nigdy nie była ona podobna do poprzedniej tak jak płatki śniegu nie są do siebie podobne.

Praca przy omłotach była ciężka, bo cały czas musiałem podawać snopy na maszynę. Mamusia pracowała przy tym już od dłuższego czasu. Któregoś dnia gdy cały dzień bez zmiany podawała snopy z ziemi na stół maszyny, po powrocie wieczorem do domu dostała ataku serca. Myślałem, że to już będzie koniec. Nie mieliśmy żadnego lekarstwa i nic nie mogłem pomóc. Po dłuższym czasie jakos się Mamusi trochę poprawiło, ale tej nocy nie spałem zupełnie. Następnego dnia prosiłem Paskę o konia żeby odwieść Mamusię do szpitala do Bałachtonu, ale powiedział mi, że teraz są żniwa i wszystkie konie są potrzebne do pracy przy nich. Poszliśmy więc powoli piechotą. Do Bałachtonu było 12 km ale wlekliśmy się tam kilka godzin, bo co kawałek trzeba było odpoczywać i dopiero po południu dotarliśmy na miejsce. Bałachton był jednym z najstarszych w okolicy osiedli i szpital tam budowany był jeszcze za carskich czasów, więc masywnie i ozdobnie. Wszystkie budynki były z grubych sosnowych i modrzewiowych bierwion, dachy cztero spadkowe z desek modrzewiowych, a wokół okapów i nad oknami były koronki wycięte z desek. Wszystko czerwono - brązowe od starej żywicy. W całym tym szpitalu i przyszpitalnym ambulatorium był tylko jeden stary lekarz. Czekaliśmy na niego dość długo. Zbadał Mamusię dość

mi, że kiedyś wszystkie nadające się do uprawy pola były przez chłopów uprawiane, ale teraz w kółchozie mają z góryznaczony plan obsiewów i nie warto więcej siał, bo i tak wszystko zabrałoby w "płan", a ludzie tylko musieliby więcej pracować. Tak to działała planowa gospodarka sowiecka - ziemia leżała odłogiem, a ludność nie miała co jeść.

W połowie sierpnia podczas przerwy w pracy Paszka Okiszow czytał gazetę i wyczytał, że gen. Sikorski podpisał z rządem SSSR umowę o współpracy i wzajemnej pomocy w walce z hitlerowcami. Cały duży artykuł poświęcony był tej sprawie. Po przeczytaniu, Paszka zwrócił się do mnie: "nu wy wże budietie wolny i nawierno skoro ujedietie na rodinu, a nas jak bili tak i budut bić".

W końcu sierpnia przyjechali do kółchozu NKWD-iści z rejonu i na zwołanym do "kantory", czyli biura kółchozu, zebraniu ogłosili nam, że zostaliśmy amnestionowani i od tej pory jesteśmy wojnymi ludźmi i sojusznikami. Mówili, że teraz możemy się przenosić gdzie chcemy, ale oni proszą nas jako sojuźników o pomoc w pracach w kółchozie. Jedna z naszych kobiet powiedziała naczalnikowi NKWD: "niedawno wy goworili kto my Polshi bolsze nie uwidim i tut padochniem a tiepier okazujetsia czto Polsha budiet i my wierniomsia na rodinu". Na to naczalnik, patrząc w podłogę, odpowiedział: "wot znajetie eto wsio politika".

Gdy pracowałem jeszcze z traktorzystą, widziałem pierwszy raz zorzę polarną. Cudne to zjawisko mieniające się wszystkiemu barwami tęczy trwało chyba ponad godzinę. Trudno opisać piękno zorzy. Trzeba ją zobaczyć żeby móc sobie ją wyobrazić. Na ciemnym tle nieba przesuwały się ruchem wahadłowym snopy różnokolorowych świateł przypominające światła reflektorów. Na tym podnosiły się od dołu i rozchodząc się po niebie rozszerzały się łuki tęczy, a tło mieniło się różnymi odcieniami różu, seledynu, czerwieni i fioletu. Patrzyłem na to zjawisko jak urzeczony. Później widziałem nieraz zorzę i nigdy nie była ona podobna do poprzedniej tak jak płatki śniegu nie są do siebie podobne.

Praca przy omłotach była ciężka, bo cały czas musiałem podawać snopy na maszynę. Mamusia pracowała przy tym już od dłuższego czasu. Któregoś dnia gdy cały dzień bez zmiany podawała snopy z ziemi na stół maszyny, po powrocie wieczorem do domu dostała ataku serca. Myślałem, że to już będzie koniec. Nie mieliśmy żadnego lekarstwa i nic nie mogłem pomóc. Po dłuższym czasie jakoś się Mamusi trochę poprawił, ale tej nocy nie spałem zupełnie. Następnego dnia prosiłem Paskę o konia żeby odwieść Mamusię do szpitala do Bałachtonu, ale powiedział mi, że teraz są żniwa i wszystkie konie są potrzebne do pracy przy nich. Poszliśmy więc powoli piechotą. Do Bałachtonu było 12 km ale wlekliśmy się tam kilka godzin, bo co kawałek trzeba było odpoczywać i dopiero po południu dotarliśmy na miejsce. Bałachton był jednym z najstarszych w okolicy osiedli i szpital tam budowany był jeszcze za carskich czasów, więc masywnie i ozdobnie. Wszystkie budynki były z grubych sosnowych i modrzewiowych bierwion, dachy cztero spadkowe z desek modrzewiowych, a wokół okapów i nad oknami były koronki wycięte z desek. Wszystko czerwono - brązowe od starej żywicy. W całym tym szpitalu i przyszpitalnym ambulatorium był tylko jeden stary lekarz. Czekaliśmy na niego dość długo. Zbadał Mamusię dość

gruntownie, pokiwał głową i powiedział, że na tą chorobę on nie ma żadnych lekarstw, a może tylko poradzić żeby Mamusia nie denerwowała się, nie pracowała ciężko, dobrze się odżywiała i dużo odpoczywała, a tego on nie może dać i dał tylko zaświadczenie, że Mamusia jest niezdolna do pracy. Wracaliśmy wolno spowrotem tą samą drogą więc już znajomą. W połowie drogi doznała nas kobieta pracująca w sielsowiecie jako poborca podatkowy. Jechała wozem i zabrała nas ze sobą tak, że już bez zmęczenia wróciliśmy do domu.

Pracowałem przy omłotach jeszcze kilka dni i wreszcie Paszka posłał mnie do wożenia ziarna od młocarni do ambarów czyli spichrzy. Woziłem parą koni w skrzyni ustawionej na zwykłej "teledze" czyli sybirskim wozie na drewnianych osiach. Woziłem od rana do późnej nocy i znosiłem sam z pomocą stróża do ambarów. Któregoś dnia stróż powiedział żebym zostawił sobie trochę owsa i zabrał do domu. Gdy przyniosłem z wozu do domu ten owies, Mamusia wykrzyczała mnie i kazała zaraz go odnieść spowrotem. Co prawda nie usłuchałem i nie odniosłem, ale więcej już nigdy nie wziąłem ani garści zboża, czego później wiosną, kiedyśmy głodowali i puchli z głodu, mocno żałowałem. Później zimą gdy kiedyś Mamusia starała się sprzedać jakąś rzecz za trochę zboża, ten sam stróż śmiejąc się powiedział Mamusi: "oj dura, oj dura, to twój syn cełuju osień chleb wazik, a ty ciepier prosisz czto b ktodibudź prodał tiebie paru ziornuszek". Tak to miejscowi, nauczeni długoletnią praktyką życia w "sowieckoj własci", osądzili naszą uczciwość.

Przed mrozami przywieźli do Głuszkowa Niemców Powołańskich. Byli to potomkowie osadników, których tam osadziła caryca Katarzyna w końcu 18-go wieku. Mówili taką gwara niemiecką, że Mamusia, która kończyła szkołę pod pruskim zaborem, mało ich rozumiała. Gdy wojska niemieckie zbliżały się, NKWD zrobiło prowokację - przebrani NKWD-iści udali się do tych Niemców udając spadochroniarzy niemieckich i stwierdzili że ludność tamtejsza przyjęła ich życzliwie. To wystarczyło żeby wywieźć całą ludność autonomicznej obłosti niemieckiej z powoła na Syberię. Na zebraniu Niemcy ci zarządzali żeby mogli pracować w oddzielnej brygadzie za swoim brygadzystą. Miło było patrzeć na ich dokładną robotę. Oni jedni przy młóceniu składali słomę w porządne sterty. Lecz nie cieszyli się długo wspólną pracą. Zimą zabrali ich do rejonu i podzielili jak stado bydła według kategorii wiekowej i jednego dnia rozesłali poszczególne grupy w różne strony, a dzieci do lat piętnastu podzielili ilościowo, nie zważając na pokrewieństwo i przydzielili po kilka starym, ponad sześćdziesięcioletnim kobietom i rozwieźli je po różnych wsiach tak, że z tych ludzi nikt nie mógł się nigdy odnaleźć.

Z początkiem zimy, już przed samymi mrozami, dostaliśmy wreszcie żelazny piecyk, tak zwaną "kozę". Już padał śnieg jak kończyliśmy zwozić ostatnie pole pszenicy. Tam wszędzie wożą zboże na t.zw. "odrach" czyli dwukołowych wozach, zbudowanych na bardzo szerokiej osi drewnianej, z wysokimi zastawami z przodu i z tyłu. Snopy poprostu wrzucają byle jak na te "odry" i wożą dokonywają sterty. Sterty też układają wąskie i małe i byle jak tak, że zawsze część zboża zamaka i tęchnie. Do zwózki zaprząłem swoją parą koni do wozu -

furgonu i układałem snopy tak jak uczył mnie w Koreliczach Misiul i ku wielkiemu zdziwieniu kołchoźników zabierałem na wóz dużo więcej zboża niż oni na swoje "odry". Kołchoźnicy mówili, że jak nigdy zebrali całe zboże przed śniegiem, bo po inne lata często bywało, że całe pola zostawały pod śniegiem nie skoszone. W tym roku było tak w sąsiednim kołchozie w Krasnym Jarze, gdzie zostało nie skoszone duże pole owsa.

Równocześnie ze zbiorami i omłotami trwało odwożenie zboża w "płan" czyli obowiązkowe dostawy. Jeździło po kilkanaście furmanek w tak zwanych "obózach" wywożąc całe omłócone zboże do państwowych punktów odbioru ziarna tak zwanego "zagot ziarno". Po pierwszych stu kwintalach odstawanego zboża wolno było rozdzielić pomiędzy pracowników kołchozu według tak zwanych "truda dni" czyli dniówek obrachunkowych, 15 kwintali zboża jako zaliczki. Kołchoźnicy mówili, że według ich mniemania powinno w tym roku wypaść po 3 - 4 kg zboża na truda dzień. Na zaliczkę wypadło po 150 gramów na dniówkę. Pray tym według polecenia z rejonu, dali tylko owies, stęchły jęczmień i trochę posładu żytniego z nasionami chwastów. Mamusi i moje, zarobione przez trzy miesiące ciężkiej pracy, zboże to pud owsa, pud jęczmienia i pół puda żyta. Na Syberii wszystkim liczyli wtedy jeszcze według miar wagi z carskich czasów - na pudy. Pud = 16 kg = 32 funty. Nawet w oficjalnych sprawozdaniach podawali zbiory i odstawy dla państwa w pudach, a nie w kwintalach. Ponieważ całe otrzymane zboże było bardzo zanieczyszczone nasionami chwastu zwanego tam Żebrejem, który był trujący i nawet w małych ilościach powodował po zjedzeniu go, wymioty, duże osłabienie i silne bóle głowy i wszystkich mięśni, więc trzeba było te zboże oczyścić, a po odsianiu i osuszeniu ubywało znacznie na jego wadze. Jęczmień dodatkowo był taki stęchły, że po wysuszeniu i zmieleniu trzeba było mąkę z niego mocno prażyć nim się z niej gotowało zacierki i to xx smak miały wprost wstrętne.

Jak spadły śniegi, przestałem chodzić na robotę, bo nie miałem odpowiedniego obuwia. Co prawda Mamusi udało się zamienić jakieś rzeczy i dostała dla mnie stare "pimy" jak tam nazywają silnie zfilcowane i zbite walonki, ale te bardzo szybko się rozleciały. Z kawałków koca i resztek tych pimów uszyłem sobie rodzaj butów filcowych. Ponieważ o dostaniu furmanki do przywiezienia drzewa nie było mowy, bo wszystkie konie były zajęte odstawami zboża i siana na "płan", więc z panią Kiersnowską woziliśmy drzewo z tajgi na małych saneczkach, które pożyczył nam Sprużewnik. Chodziliśmy do drzewo codzień i po przywiezieniu piłowaliśmy je i rąbałem. Mimo ciągłego wożenia nie mieliśmy nigdy zapasu, bo ciągle trzeba było palić, żeby utrzymać ciepło w izbie. Zresztą oprócz tych co wozili "płan" i w powrotnej drodze przywozili sobie opał, wszyscy inni nasi i miejscowi wozili drzewo na saneczkach. Co dzień rano całe korowody ruszały do tajgi po opał i najczęściej większość wracała dopiero przed wieczorem. Dnie były bardzo krótkie, a droga daleka, bo w pobliżu wsi wszystko nadające się na opał było już dawno zabrane i spalone. Miejscowi najczęściej brali na opał brzozę, bo paliła się i surowa, a myśmy wycinali sosnowe drzewo z wykrotów, które po ogrzaniu w mieszkaniu paliło się

w naszej kozie zupełnie dobrze, a było lżejsze od świeżych brzoź. Jedna z kołchożnic, zresztą chorowita kobieta obarczona kilkorgiem małych dzieci, piłowała po prostu po kawałku swój dom. Tej zimy zaczęła już jedną izbę, bo się spaliła już poprzedniej zimy. Domy tam dawniej budowano z grubych, sosnowych i modrzewiowych belek tak, że było co palić.

Podczas pracy w kołchozie przyglądałem się ich gospodarce. Ziemię mieli wspaniałą, klimat choć z długą i mroźną zimą, był też sprzyjający rolnictwu, ale uprawiali poniżej krytyki i wogóle nie pielęgowali upraw. Lino to plony zbóż były na ogół dobre, len wyrastał wspaniale, a jedynie ziemniaki były tak wyrodzone, że dawały bardzo niskie plony. Początkowo uwierzyłem w ich twierdzenie, że to z powodu nie odpowiedniej gleby, ale po roku widziałem u starej Liemki z sadzeniaków przywiezionych z Powoźża ziemniaki, które można było nosić jak polana na ręce. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że było to wyrodzenie się odmian uprawianych tam bez zmiany i selekcji od kilkudziesięciu lat. Jeśli chodzi o trawy to wyrastały tam wspaniale i łąki dawały piękne plony siana, ale kosili je tylko raz i to tylko ich część, a odrosłe pięknie potrawy wypalali wiosną.

Jeśli chodzi o budynki inwentarskie, to stare budownictwo z carskich czasów było bardzo solidne, ale już kołchozowe budziło nasz podziw. Dla koni nie było tam zupełnie stajni, tylko stawiano trzy, a rzadko cztery ściany dla osłony przez burianem i kładli na nich żerdzie, a przywożone zimą siano, jeśli go starczyło dla koni, lub słomę wrzucali byle jak na te żerdzie, a potem codziennie zrzucano po trosze prosto na śnieg i konie jadły, chodząc po tej paszy. Krowy kołchozowe częściowo stały w starych oborych po gospodarzach indywidualnych, a częściowo chodziły razem z owcami całą zimę po dworze i wygrzebywały sobie starą trawę z pod śniegu. Buhaj kołchozowy - Siomka - cały czas chodził po całej wsi i nie miał wogóle własnego stanowiska. Wszystkie zwierzęta zimą miały wspaniałe futra i jakoś nie zamarzały, tylko cielęta urodzone zimą trzymali do wiosny w izbach, a kury w izbach pod piecami. Zapachy z tego powodu były dość intensywne, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Krowy tamtejsze dawały po kilkaset litrów mleka rocznie, ale co prawda bardzo tłustego. Trzoda chlewna trzymana tam w małych ilościach, miała wygląd bardzo chudych krów mlecznych i też całą zimę chodziła po dworze i jadła to co znalazła.

Przed Bożym Narodzeniem przyjechał do kołchozu wojenkom i namawiał naszych chłopców Sawickich, żeby pisali podania o przyjęcie do Wojska Polskiego tworzonego wtedy przez generała Andersa. Sawicczy nie dowierzali oświadczeniom Wojenkomu i podejrzewali, że chodzi o pobór do armii czerwonej. Ja zgłosiłem się i chciałem iść do Polskiego Wojska. Wojenkom kazał mi napisać podanie po rosyjsku do generała Sikorskiego i nic z tego nie wyszło. Pewnie w rejwojenkomacie uznali, że jestem za młody. Później jeszcze kilka razy pisałem listy do generała Andersa, pisała też w mojej sprawie pani Jodkowa, która bardzo dobrze знаła generała z przed wojny, ale nic to nie poskutkowało. Prawdopodobnie liście te nie dochodziły wogóle rąk generała, a szły do kosza gdzieś po drodze.

Na Gwiazdkę zrobiłem choinkę i ubrałem ją ozdobami zrobionymi ze słomy i kory brzozonej. Zamiast świeczek zrobiłem małe kopciłki czyli lampki naftowe bez szkiełek. Zrobiłem też zabawki dziewczynkom Kiersnowskim i uciecha była wielka.

18 stycznia 1942 roku przyjechał mąż jednej z naszych kobiet, który został zwolniony z więzienia na mocy porozumienia z Sikorskim i tak zwanej amnestii. Wszyscy zwolnieni więźniowie z Nowogródka jechali na południe do ośrodków tworzenia się Wojska Polskiego, a Murzicz zawrócił szukać rodziny i dotarł do nas. Wypuścili go wraz z innymi Nowogródzianami 3-go grudnia z więzienia w Tambowie. Murzicz przypadkiem dowiedział się od jakiegoś Żydko o miejscu naszego pobytu. Jego rodzina szalała ze szczęścia, a inni też się cieszyli wiadomością o wypuszczeniu naszych więźniów.

Zimą kilkakrotnie chodziłem sam lub z Mamusią do Krasnego Jaru do Materskich. Przy okazji mamusia wymieniała jakieś rzeczy na kartofle lub srukę zbożową. Były to zawsze bardzo małe ilości, ale zawsze było coś do jedzenia. Pani Materska z dziewczynkami mieszkała u stróża kołchozowego, starego już Sybiraka, który ze swą żoną ^{był} dla naszych dobry. Zosia jesienią chodziła piechotą do Bałachtonu po lekarstwo dla matki i w powrotnej drodze złapał ją po drodze pierwszy "burian". Momentalnie złapał mróz i wiało śniegiem. Miała mokre buciki i jak przyszła do domu to nogi do kostek miała zupełnie zamrożone. Na szczęście gospodyni wiedziała co robić. Do miski z zimną wodą niosła śniegu i w to włożyła nogi Zosi. Najpierw odmokły buciki tak, że można było je zdjąć, potem odmokły skarpetki. Gdy zaczęły tajać nogi biedna Zosia poprostu wyła z bólu, ale gospodyni przytrzymała jej nogi w wodzie ze śniegiem póki nie odeszły zupełnie. Po tym nasmarowała nogi gęsim smalcem i Zosia przez kilka dni leżała w pościeli z okładami ze smalcu na nogach. Pani Materska szyla za to gospodarzom ubrania. Było to i tak duże poświęcenie ze strony Sybiraków, bo gęsi smalec był tam poprostu bezcennym lekiem. W styczniu zaniósłem Zosi swój płaszcz, bo był już na mnie za ciasny, a ona nie miała w ogóle płaszcza i nie miała w czym chodzić. Zosia była ode mnie o trzy lata młodsza. Jej ojciec był fotografem w wujewódzkiej komendzie policji przed wojną w Nowogródku i nie było go w domu i Zosia wówczas nie wiedziała nic o ojcu, którego bardzo kochała.

W domu w wolnych od wożenia i rąbania drzewa, chwilach robiłem zabawki i deseczki, które wyrabiałem z prostych kawałków pni sosnowych siekierą. Najpierw zrobiłem dziewczynkom Kiersnowskim półeczki na ścianie i na nich pokoiki z mebelkami dla ich lalek, a później robiłem wózki i samochodziki i sprzedawałem je dzieciom kołchoźników za cebulę i czosnek, a nawet czasem dostawałem od którejś matki trochę mleka. Nie mieliśmy możliwości dostania lampy naftowej, więc na początku zimy zrobiłem kopciłkę z puszki od owomaltyny, którą miała w swoich rzeczach pani Kiersnowska.

Tosia Bekerówna jeszcze przed zimą pojechała do Aczyńska do pani Jodkowej i tam się zatrzymała, a potem pojechała na południe do wojska. Dowiedzieliśmy się że po wypuszczeniu z więzienia już w drodze na południe zmarła pani Bekerowa,

więc Tosia została zupełną sierotą. Jakieś fatum ciążyło nad ich rodziną, bo już po wyjeździe Wojska Polskiego do Iranu, Tosia kąpiąc się w rzece utopiła się. Tak ~~cała~~ cała ich rodzina wyginęła w czasie wojny.

Tak samo po zwolnieniu z więzienia chorował i w końcu zmarł pan Jodko - Iarkiewicz już po dojechaniu do ośrodków polskich na południu. Zresztą wtedy bardzo dużo ludzi marło z wycieńczenia i zagłodzenia już po zwolnieniu z więzień i łagrów.

Na początku lutego Mamusia uparła się i pojechała z panią Kiersnowską po drzewo saneczkami. Wróciła pół żywa i na drugi dzień zupełnie była chora tak że sam gotowałem obiad. Ja miałem wówczas jeszcze młode siły i wytrzymywałem ciągłą harówkę przy ciągnięciu drzewa, piłowaniu i rąbaniu, ale kobiety coraz częściej poprostu przy tej pracy "wysiadały".

Przyszła wiadomość, że ma być zebranie Polaków w Kozulce - rejonowym osiedlu i 7-go lutego pani Kiersnowska, Józik Sawicki i pan Murzicz poszli piechotą do Kozulki na to zebranie. Była to ciężka droga, bo trzeba było iść śladami sanii, często zawianą śniegiem drogą przez tajgę blisko 60 kilometrów, a po drodze były tylko trzy wsie, w których można było trochę odpocząć. Jedzenie trzeba było brać ze sobą, bo ani w drodze, ani w Kozulce nic do jedzenia nie można było kupić. Jedynie w Kozulce w "stółkowej", czyli niby to restauracji, można było dostać talerz "czaju" czyli herbaty ziołowej za 1 rubla i nic więcej. Blisko 20 km od Głuszkowa w stronę Kozulki, była wieś, w której był kołchoz im. Nadiołdy Krupskiej i tą wieś popularnie nazywano Krupską. W tym kołchozie została jesienią księgową pani Bogdanowiczowa - nauczycielka z Białostockiego, mająca kilkoro dzieci. Najstarszy Jurek był moim rówieśnikiem. U niej najczęściej wszyscy nasi idący do Kozulki, odpoczywali.

Wieczorami, gdy nie byliśmy za bardzo zmęczeni, Mamusia opowiadała przeczytane książki, między innymi przez szereg wieczorów opowiadała "Quo Vadis".

Któregoś wieczoru Dzidzia Kiersnowska dostała fałszywego krupu i zaczęła się poprostu dusić. Mamusia ratowała ją jak mogła, bo pani Kiersnowska poprostu straciła głowę. Dopiero późną nocą atak przeszedł, tak że wszyscy mogli położyć się spać.

W lutym przyjechał brat Gudynichy, naszej gospodyni, i przywiózł jej dzieciom papier do pisania. Wierka dała jedną kartkę Dzidzi i okazało się, że była to pocięta gazeta pobielona wapnem. Mieliśmy uciechę oglądając tą nowoczesną sowiecką technikę. Jak przyszli do nas w 1939 roku, to stale mówili wszystkim, że "u nas wsiego mnogo", a okazało się, że mnogo było tylko wszy i pluskiew.

W połowie lutego zaczęli nasi ruszać się i szukać sobie lepszych warunków mieszkania i pracy. Zaczęli w naszym kołchozie ten ruch Sawiccy i pan Murzicz. Okazało się jednak, że nie tak łatwo było coś możliwego znaleźć, a zwłaszcza trudno było o znośne mieszkanie, bo miejscowi niechętnie przyjmowali do swych domów dobrowolnie lokatorów. Wogóle w całych Sowietach było prawo uznające za jednorodzinny dom tak zwany "dom piatiścienny" czyli przedzielony wewnątrz tylko jedną ścianą, nie zależnie od wielkości powstałych w

w ten sposób izb. Gdy natomiast w domu było więcej izb, taki dom upaństwowiali. Poza tym nawet w takim jednorodzinym domu jak ktoś już mieszkał, to właściciel nie miał żadnych możliwości wykwaterowania go.

Pierwszy raz wybrałem się do Kozulki z Józkiem Sawickim w połowie lutego. Droga była ciężka. Najłatwiej było iść stawiając nogi w dołki wybite w śniegu końskimi kopytami tylko, że wtedy trzeba było robić małe kroki, co nie przyspieszało marszu. Dość długo odpoczywaliśmy w Krupskiej u Bogdanowiczów. Jurek Bogdanowicz był bardzo pesymistycznie nastawiony do naszych możliwości dostania się do Polskiego Wojska, w przeciwieństwie do mnie, bo ja ciągle miałem jeszcze nadzieję, że jakos uda mi się to. W dalszej drodze odpoczywaliśmy jeszcze po trochu w Sobolewce i Nowodorożnej, wsiach leżących na drodze do Kozulki. Na miejsce doszliśmy już ciemną nocą. Zjedliśmy kolację w stołowej, czyli kupiliśmy po talerzu herbaty ziołowej i zjedliśmy swoje lepioski. Po tym, ja z Józkiem poszliśmy nocować do Maruśki, która za roczny ryczałt nocowała wszystkich kołchoźników z Głuszkowa, a pani Kiersnowska i pani Sobieniewska, poszły nocować do znajomych Polek mieszkających już stale w Kozulce. W tamtych stronach, z uwagi na wielkie odległości i zimą duże mrozy, nie pozwalające podróżować nocą, było przyjęte, że w rejonowym osiedlu, dokąd stale jeździli ze wsi odwołując "płan" i załatwiając różne sprawy w urzędach, każda wieś, a raczej kołchoz, miała swój dom noclegowy u mieszkańców osiedla. Nocleg był bardzo prymitywny, bo nawet słomy na posłanie nie było, tylko nocujący spali na ławach i podłodze w izbie, w której mieszkali gospodarze. Taki nocleg chronił jedynie przed mrozem i śniegiem, a poza tym można było skorzystać z ognia w piecu i ugotować sobie wrzątku czyli, jak tam nazywają "kipiatku". Spałem źle, bo marzłem na podłodze bez okrycia. Rano spotkaliśmy się z paniami i poszliśmy do polskiego komitetu. Miastety komitet ten powstał samowolnie z pośród tych kilku rodzin, które były na miejscu, a bez wiedzy ogółu Polaków z rejonu, których niby to miał reprezentować i w Kozulce nie robił zbyt dodatniego wrażenia. Właściwie komitet ten w tym czasie nic nie robił na rzecz ogółu polskich obywateli mieszkających na terenie całego rejonu. Po tym chodziliśmy z panią Kiersnowską po całej Kozulce i szukaliśmy dla siebie mieszkania. Po długich chodzeniach od domu do domu w końcu pani Kiersnowska znalazła dla siebie izbę, a ja wracałem z niczym. Już po południu wracaliśmy do Głuszkowa. W Nowodorożnej doznał nas "aboz" z kołchozu sąsiadującego z Bałachtonem i zabraliśmy się z nimi do Krupskiej. "Abozem" nazywali tam kilka lub kilkanaście jednokonnych zaprzęgów jadących razem w dalszą drogę z jakimś transportem. Najczęściej spora część zaprzęgów jechała bez furmanów, a konie były tak nauczone, że same trzymały się poprzedzającej je podwoły. Nawet najczęściej takie konie nie miały wogóle lejc. Ciekawe, że nawet podczas zamieci nie było wypadków żeby takie konie odbiły się od abozu lub zostały po drodze. Prostu instynkt mówił im, że gdy zostaną to zginą. Z Krupskiej poszliśmy z panią Kiersnowską dalszą nieco drogą, ale mając po drodze wieś, gdzie można było odpocząć. W Borybowce mieszkało tylko dwie czy trzy polskie rodziny, a między nimi chłopiec w moim wieku ze staruszką matką.

w ten sposób izb. Gdy natomiast w domu było więcej izb, taki dom upaństwowiali. Poza tym nawet w takim jednorodziennym domu jak ktoś już mieszkał, to właściciel nie miał żadnych możliwości wykwaterowania go.

Pierwszy raz wybrałem się do Kozulki z Józkiem Sawickim w połowie lutego. Droga była ciężka. Najłatwiej było iść stawiając nogi w dołki wybite w śniegu końskimi kopytami tylko, że wtedy trzeba było robić małe kroki, co nie przyspieszało marszu. Dość długo odpoczywaliśmy w Krupskiej u Bogdanowiczów. Jurek Bogdanowicz był bardzo pesymistycznie nastawiony do naszych możliwości dostania się do Polskiego Wojska, w przeciwieństwie do mnie, bo ja ciągle miałem jeszcze nadzieję, że jakosć uda mi się to. W dalszej drodze odpoczywaliśmy jeszcze po trochu w Sobolewce i Nowodorożnej, wsiach leżących na drodze do Kozulki. Na miejsce doszliśmy już ciemną nocą. Zjedliśmy kolację w stołowej, czyli kupiliśmy po talerzu herbaty ziołowej i zjedliśmy swoje lepioszeki. Po tym, ja z Józkiem poszliśmy nocować do Maruśki, która za roczny ryczałt nocowała wszystkich kołchoźników z Głuszkowa, a pani Kiersnowska i pani Sobieniewska, poszły nocować do znajomych Polek mieszkających już stale w Kozulce. W tym tych stronach, z uwagi na wielkie odległości i zimą duże mrozy, nie pozwalające podróżować nocą, było przyjęte, że w rejonowym osiedlu, dokąd stale jeździli ze wsi odwiedzając "płan" i załatwiając różne sprawy w urzędach, każda wieś, a raczej kołchoz, miała swój dom noclegowy u mieszkańców osiedla. Nocleg był bardzo prymitywny, bo nawet słomy na posłanie nie było, tylko nocujący spali na ławach i podłodze w izbie, w której mieszkali gospodarze. Taki nocleg chronił jedynie przed mrozem i śniegiem, a poza tym można było skorzystać z ognia w piecu i ugotować sobie wrzątku czyli, jak tam nazywają "kipiatku". Spałem źle, bo narzłem na podłodze bez okrycia. Rano spotkaliśmy się z paniami i poszliśmy do polskiego komitetu. Niestety komitet ten powstał samowolnie z pośród tych kilku rodzin, które były na miejscu, a bez wiedzy ogółu Polaków z rejonu, których niby to miał reprezentować i w Kozulce nie robił zbyt dodatniego wrażenia. Właściwie komitet ten w tym czasie nic nie robił na rzecz ogółu polskich obywateli mieszkających na terenie całego rejonu. Po tym chodziliśmy z panią Kiersnowską po całej Kozulce i szukaliśmy dla siebie mieszkania. Po długich chodzeniach od domu do domu w końcu pani Kiersnowska znalazła dla siebie izbę, a ja wracałem z niczym. Już po południu wracaliśmy do Głuszkowa. W Nowodorożnej doznał nas "aboz" z kołchozu sąsiadującego z Bałachtonem i zabraliśmy się z nimi do Krupskiej. "Abozem" nazywali tam kilka lub kilkanaście jednokonnych zaprzęgów jadących razem w dalszą drogę z jakimś transportem. Najczęściej spora część zaprzęgów jechała bez furmanów, a konie były tak nauczone, że same trzymały się poprzedzającej je podwoły. Nawet najczęściej takie konie nie miały wogóle lejc. Ciekawe, że nawet podczas zamieci nie było wypadków żeby takie konie odbiły się od abozu lub zostały po drodze. Prosto instynkt mówił im, że gdy zostaną to zginą. Z Krupskiej poszliśmy z panią Kiersnowską dalszą nieco drogą, ale mając po drodze wieś, gdzie można było odpocząć. W Borysowce mieszkało tylko dwie czy trzy polskie rodziny, a między nimi chłopiec w moim wieku ze staruszką matką.

Głodowali tam strasznie i w końcu chłopiec ten poszedł szukać jakiegoś zarobku i przepadł, a matka poprostu zmarła z głodu. Pod koniec życia jadła tylko prażone plewy lniane. Tej nocy oboje z panią Kiersnowską ostatkiem sił doszliśmy do domu.

Pod koniec lutego zjechało do kołchozów NKWD. Do Głuszkowa przyjechało czterech uzbrojonych po zęby, niczym patrol zwiadu na froncie, i zaczęli robić rewizje w poszukiwaniu kradzionego zboża. Jeszcze jesienią wzięli do wojska brygadzystę polowego przezywanego przez miejscowych Kukuszką. Po nim brygadzystką została jego żona. Miała na utrzymaniu nie wiele, bo 18-oro dzieci, a z tego ostatnie w kołysce. Ponieważ po za wspomnianą zaliczką nic więcej zboża nie rozdzielili, więc wiadomo było, że wszyscy kołchoźnicy, żeby przeżyć, musieli kraść zboże podczas omłotów. NKWD-iści wiedzieli to zupełnie dobrze i dla tego nie musieli się wysilać i u kogo chcieli u tego zboże kradzione znaleźli, a mieli prosty sposób. Ponieważ w kołchozie nie dali w tym roku pszenicy, więc jeśli znaleźli choćby garść pszennej ziarna, a nawet mąkę pszenną na sicie do siania mąki, to uznawali, że złapali złodzieja i taki delikwent szedł na "dziesięć lat bez prawa perepiski" do łagru. U Kukuszczyzny znaleźli worek zboża schowany w śniegu pod kupą śmieci i zaraz ją zabrali. Dostała te dziesięć lat i konfiskatę mienia. Wyczyścili chatę tak, że oprócz dzieci nic nie zostało, nawet sprzęty i łóżka zabrali. Gdy najstarsza, 18-6 letnia dziewczyna poszła do председателя sielsowietu i prosiła o jakąś zapomogę na utrzymanie rodzeństwa, ten odpowiedział jej, że ojciec w armii, bo go wzięli, a matka "wor" czyli złodziej, a dzieci wora nie będą karmić. Pozostało dziewczynie żebranie. W Głuszkowie wpadła tylko Kukuszczyzna, a w Krasnym Jarze kilka rodzin zostało bez środków do życia i żywicieli. Po kilku dniach chodziłem do Materskich i Zosia opowiadała mi, że dosłownie wszystkie mieszkania wywracali do góry nogami. U ich gospodarzy NKWD-ista polizał sito i orzekł, że była nim siano pszenna mąka. Pani Materska uratowała sytuację, bo powiedziała, że to ona siała mąkę, którą kupiła za odzież w sąsiedniej wsi, gdzie akurat dali po trosze pszenicy na trudodni. W innym wypadku ich gospodarz też poszedłby do łagru.

W zasadzie w Głuszkowie był dobry plon i powinno, po odstawieniu "planu" zostać jeszcze sporo zboża do podziału, ale nie w sowietach. Po wywiezieniu planowej odstawy i zgłoszeniu tego do rejonu, przyjechał "upełnomoczony" czyli pełnomocnik z Kraju czyli z Krasnojarska i zwołał zebranie kołchoźników. Przedtem sprawdził ile zostało zboża w ambarach. Na zebraniu odczytał rezolucję: "my kołchoźnicy Pierwomajskiego kołchozu uchwalamy zdać ponad plan na fundusz obrony tyle to a tyle zboża". Po tym zapytał: "kto przeciw?" i powiedział sakramentalne: "nie wiżu - przyjęto jednogłośnie". Na tym zebranie zakończono. Naturalnie nikt nie sprzeciwił się tej "dobrowolnej" ofierze, bo nikt nie chciał iść do łagru jako "wrag naroda". Wszyscy wiedzieli, że przed zebraniem "upełnomoczony" sprawdził dokładnie pozostałą ilość zboża i taką podał w rezolucji. Ciekawe, że taki pełnomocnik jadący w "pokojujowej misji" do wsi o tysiące kilometrów oddalonej od frontu, był uzbrojony niczym zwiadowca na froncie.

Nagan u boku, PPSz-ka na pasie przez ramię i granaty za pasem. Na drugi dzień zaprzęgnięto wszystkie konie, całe zboże wsypano do worków i załadowano na sanie. Na pierwszych saniach umieszczono transparent - na czerwonym płótnie napis głoszący, że kolchoz tyle to a tyle zdaje zboża ponad plan. Pod transparentem kulawy harmonista grał czastuszki, a za ostatnimi saniami szedł całą drogę "uppełnomoczony" z automatem nastawionym jakby prowadził jeńców. Sielski i wzruszający widok "miłości ojczyzny i oddania się jej bez granic" w sowieckim wydaniu. Takie numery powtarzały się według opowiadań miejscowych co roku we wszystkich wsiach i przed wojną. Nie zostawiali ziarna nawet na wiosenny zasiew, a wiosną państwo pożyczowało kolchozom ziarno siewne, którą to pożyczkę trzeba było jesienią oddać z nowego zbioru ponad planem odstawić i tak w kółko. Po tej lekcji zrozumiałem dlaczego nie siali więcej niż wymagał tego ustalony w rejonie plan obsiewów dla danego kolchozu.

Oprócz drzewa, którego nie było jeszcze wówczas tam brak, wszystkie inne materiały jak gwoździe, drut, wszelkie narzędzia i inne wyroby metalowe były na wagę złote, a nawet więcej warte, bo za złoto nic się nie dostało. Któregoś dnia przyjechał na trzy dni na urlop przed wyjazdem na front, Pledos - kolchoznik mieszkający po sąsiedzku z nami. Miał on chyba sześć cerek, które na wieś dok ojca podniosły taki wrzask, że zbudziłyby i umarłego. Najlepsze było jednak to, że Pledos jako prezent dla rodziny przywiózł w kieszeni kawałek zwiniętego cienkiego drutu i radość z tego prezentu była ogromna.

Ja robiąc z drzewa zabawki, zbijałem je drewnianymi kołkami, wyrabianymi z brzoźowego drewna. Z wielkim trudem dostałem pod Sprużewnika kawałek stalowego płaskownika, z którego zrobiłem nóż do małego struga, który wyrobiłem nożem z kawałka drewna brzoźowego. Wracając z zesłania mamusia przywiozła ten strug i mam go do dziś.

Pod koniec lutego pan Murzycz zabrał rodzinę do Kozulki i zajął mieszkanie, które umówiła sobie pani Sobieniewska i na tym tle doszło do nieporozumień. Któregoś dnia przyjechała w odziedziny pani Bogdanowiczowa z Jurkiem saniami. Skorzystałem z tego i przywiozłem z pomocą Jurka dwa wazy drzewa z lasu tak, że miałem trochę zapasu. Pani Bogdanowiczowa bardzo namawiała, żeby jak najprędzej wyjechać do Kozulki, gdyż uważała, że dopóki siedzimy na miejscu zawsze będą nas traktować jako zesłanych, a w nowym miejscu będzie inaczej. Poza tym słusznie uważała, że pracując w przedsiębiorstwie otrzymuje się "pajek" chleba i miesięczną pensję, a w kolchozie jak nie ukradniesz to zginiesz z głodu. No i będąc w osiedlu rejonowym można skorzystać z pomocy polskiej delegatury, a na wieś nic nie dociera.

Jesienią jeszcze można było od czasu do czasu coś wymienić na zboże, a im bliżej wiosny tym stawało się to trudniejsze, bo wszystkim kończyły się skromne zapasy. Wogóle złą dla nas robotę zrobili lotysze, bo mieli dużo ładnych i atrakcyjnych dla Sybiraków, bo kolorowych rzeczy i jak skończyły się im własne zapasy żywności to zaczęli wymieniać je za bezcen, a nas żądając wyższych cen zostawiali na lodzie. Wymiany na ogół były rozliczane przez Sybiraków uczciwie, ale i tam zdarzały się oszustwa. Tak między innymi mamusia oszukała

dziewczyna pracująca w sielsowiecie. Kupiła od Mamusi ładny materiał na sukienkę, który Mamusia kupiła przed wojną dla Wisi i jakoś ocalał, i miała dać za niego trochę mąki i wiadro ziemniaków. Ziemniaki przyniosła wieczorem i wzięła materiał mówiąc, że nie mogła wszystkiego przynieść i mąkę przyniesie na jutro. Tymczasem okazało się, że na drugi dzień wyjechała do Krasnojarska, gdzie miała odtąd pracować i nie pokazała się więcej. I tak mąka przepadła.

Całą zimę zabierali mężczyźni do wojska tak, że pod wiosnę zostali sami starcy i niedorośli. Nawet mniej ułomnych inwalidów powołali do strojbatów czyli roboczych batalionów. W kołchozach już zupełnie wyłącznie rządziły i pracowały kobiety. Na traktorzystki i kombajnistki brali na kursy dziewczyny 18-20 letnie. W MTS-ie zostało tylko kilku starych mechaników, a między innymi Kuźma Sprużewnik. Proponował mi on kiedyś posłanie na kurs traktorzystów, ale z uwagi na to, że chcieliśmy się przenieść do Kozulki, nie zgodziłem się.

Na moje urodziny poszedłem do Krasnego Jaru odwiedzić Materskie i odnieść im pieniądze. Z Krasnego Jaru zaraz jesienią kilka rodzin wyjechało na południe i Materskie korespondowały z nimi i stąd miały dużo świeżych wiadomości. Nawet w listach przepisywały artykuły z polskiej gazety wydawanej przez ambasadę polską w Kujbyszewie pod tytułem "Polska". Z tych listów poznaliśmy między innymi takie artykuły jak "Jedna jest tylko Polska" i "Na Nowy Rok", z życzeniami rządu z Londynu dla obywateli polskich w ZSSR. Po powrocie do domu zastałem list od pani Jodkowej, która pisała między innymi, że wysłała list do generała Andersa żeby mnie wezwał do Wojska. Cieszyłem się nadzieją rychłego wyjazdu, ale nic z tego nie wyszło. Już 1-go marca niektórzy poszli do Kozulki, a większość 2-go na sąd nad Paszką Okiszowem, byłym przewodniczącym kołchozu. Aresztowali go po rewizjach w poszukiwaniu zboża i sądzili za nie dozór i uchylanie się od dostawy zboża dla państwa. Paszka był dobrym gospodarzem i nie chciał wyzbyć się całego zboża, które pozostało ponad planowe odstawy i podpadł. Wyciągnęli mu i to, że jego matka nie zapisała się do kołchozu i pozostała "adzynalicznicą". I za te wszystkie przewinienia dostał "tylko" 6 lat łagru.

Besarabowa przyniosła z Kozulki wiadomość, że wszyscy mamy robić fotografie bo będą nam wydawać polskie paszporty. Wyszliśmy dużą grupą 4-go marca. Długo odpoczywaliśmy w Krupskiej i już wieczorem dobrnęliśmy do Kozulki. Nocowaliśmy u córki jednego z kołchoźników, bo u Maruśki było skurat pełno kołchoźników. Zmarzliśmy na podłodze porządnie i rano bolały wszystkie kości. Byliśmy u fotografa jedyne w całym rejonie. Okazało się, że to Żydek z Baranowicz, który mieszkał w Kozulce od pierwszej wojny. Dopytywał się o Nowogródek, oglądał zdjęcie pani Ktersnowskiej robione u Winnika - fotografa z Nowogródka. Podziwiał wykonanie i papier i myślał, że to fotografia robiona w Paryżu i nie chciał wierzyć, że to robił Winnik, którego znał. Fotografie miały być gotowe za trzy dni, więc wróciliśmy do Głuszkowa, a po odbiór poszła sama pani Ktersnowska. W powrotnej drodze w Sobolewce odpoczywaliśmy u starego Sybiraka. Zaszczyli nas tylko ogrzać i odpocząć, a stary zagrzebał i poczęstował nas kapusniakiem z zielonych, kiszonych liści kapusty.

Choć był rzadki, ale gorący i bardzo nam smakował. Dognała nas tam sariani pani Bogdanowiczowa i zabrała do siebie. Nocowaliśmy w Krupskiej u Bogdanowiczów i na drugi dzień po południu doszliśmy wreszcie do domu. Do półna w nocy przy kopciłce czytaliśmy polską gazetę, którą dali nam do przeczytania w komitecie i pani Kiersnowska miała odnieść. Następnego dnia ~~przyszedł~~ przyszedł Zosia Materska z matką i nocowały u nas, a następnego dnia z panią Kiersnowską, panią Sobieniewską, Idalką i Daną Kurza-Kurziczówną poszły do Kozulki. Ci co poprzednio poszli, wrócili zdenerwowani, bo Białorusinom nie chcieli dawać polskich paszportów i rządali po dwóch świadków Polaków stwierdzających ich prawomyślność w stosunku do władz polskich. Była to idiotyczna historia i jak się grubo później dowiedziałem był to pomysł samego profesora Kota, który był wówczas ambasadorem polskim w Kujbyszewie. Lasi wrócili po dwóch dniach. Zosia z kilkoma pierwsza, a na końcu ledwo się przywlokła pani Materska. Nocowały obie u nas i dopiero na drugi dzień poszły do siebie.

Mamusia sprzedała pani Bogdanowiczowej dachę Tatusia za 4 puły owsa. Dachy to futro kryte skórą żrebaków bardzo obszerne, bo nakładane do sań na drogę na wierzch zimowych ubrań. Pani Bogdanowiczowa miała zboże, bo jako księgowa miała rękę na poczynaniach przedsiębiorcy kołchozu i razem z nim "kombinowała" i to na tyle, że mogła kupować od Łotyszek różne rzeczy i biżuterię. Jakoś miała szczęście bo jej nie złapali. Na skupowane rzeczy kupiła od nas nasz duży kufer, który u nas był już zupełnie nie potrzebny, bo stał pusty.

Wielkie poruszenie wywołał telegram od pana Kiersnowskiego z Wojska. Ciekawe że stara babka "adinalicznica", matka Paszki Okiszowa kilka dni wcześniej wyróżyła pani Kiersnowskiej to, że dostanie wiadomość od męża. Pani Kiersnowska i obie dziewczynki zupełnie odchodziły od zmysłów z radości. Byłem i ja u tej babki i wróżyła mi, że dostanę jakieś urzędowe papiery i będę rozmawiał z "naczelnikiem". Jak to zwykle bywa, tłumaczyłem sobie to tak, jak chciałem żeby było czyli, że pójdę do Polskiego Wojska.

13-go marca przyszedł list od panny Hani Żazowskiej. Była w Aczyńsku i nocowała w Domu Kołchoźnika i spotkała tam Rosjanę świeżo wypuszczoną z więzienia w Krasnojarsku, która opowiadała, że w jesieni była w Kańsku w sielchozie na robotach w tamtejszym łagrze i widziała tam dziewczynę Polkę pracującą w pracowni krawieckiej według opisu wyglądającą na Wisię. Panna Hania była przekonana, że to właśnie Wisia, Mamusia po przeczytaniu tego listu ~~rozszlochała~~ rozszlochała się i nie mogła się długo uspokoić.

W połowie marca byłem w Krasnym Jarze i dostałem wiaderko ziemniaków na wymianę. Pani Materska rozpaczała, bo zupełnie nie mogła nic kupić z żywności i jedli tylko to co dostawała za szycie, a właściwie tylko przeszywanie starych łachmanów, waciaków i tp. Nie miała maszyny do szycia i wszystko szyła ręcznie, więc wolno, a za tą robotę mało płacili jako, że żywność była wysoko ceniona. Następnego dnia przyszedł Jurek Bogdanowicz z wiadomością żeby Mamusia udała się do Kozulki w sprawie paszportu. Przenocował u nas i rano poszli z Mamsią, a ja poszedłem na młyn żeby dostać mąki. Mieliśmy pół litra wódki kupionej w sklepie kołchozowym na oktiabrską rewolucję i za tą wódkę dostałem trochę mąki.

Mamusia wracając przyniosła polską gazetę. Przepisałem z niej sobie wiersz ~~St~~ Skonimskiego "Alarm".

Ciągle musiałem łątać swoje i Mamusi "łuntaje" czyli szyte z kawałków koca buty zimowe. Ponieważ najbardziej przecierały się zelówki, więc wpadłem na pomysł i zeszyłem z warkocza, splecionego z włókna lnianego, podeszwy i przyszyłem je. Dobrze się w nich chodziło, tylko często trzeba było od nowa przyszywać, bo lniane nici niczym nie impregnowane łatwo pękały.

Pod koniec marca byłem na młynie żeby zamleć trochę kupionego owsa. Przede mną młł jakiś stary kołchoźnik z innego kołchozu zboże z bobem, który mu strzelał z pod kamienia i cały wpadał do mąki. Gdy skończyło się jego zboże i ja już swoje zasypałem, nie chciał mi dać wybierać mąki, bo twierdził, że jak jeszcze wylatuje bób to znaczy, że to jego mąka. Byłem zupełnie bezsilny. Młyn był własnością kołchozu, ale obsługiwał kilka wsi, a czasem przyjeżdżali do niego nawet z daleka, gdy chcieli zachować w tajemnicy posiadanie zboża. Młyn ten był bardzo prymitywny, właściwie bardziej podobny do dużych żaren, tylko napędzany kołem wodnym. Duże kamienie otoczone były kwadratową skrzynią z desek i rągi kąty tej skrzyni stałe były wypełnione mąką, której nadmiar kamień górny, podczas obrotu wypychał do zsypu. Ziarno natomiast sypało się ze skrzyni zasypowej, umieszczonej nad kamieniami, przez wąski otwór na środek kamienia w otwór tegoż kamienia i nim dostawało się pomiędzy kamienie. Prymitywny ten młyn młł bardzo powoli tak, że zawsze w izbuszce stojącej koło niego było pełno czekających na swoją kolejkę, a ponieważ zjeżdżali się z różnych stron więc było to miejsce wymiany różnych wiadomości. Kiedyś gdy czekałem na swoją kolejkę, przyjechał do młyna Sybirak, który umiał jeszcze mówić po polsku i wcale się z tym nie krył. Miło było posłyszec polską mowę od miejscowego mieszkańca, który urodził się już tam na Syberii i mimo to pamiętał swoją mowę. Zwłaszcza gdy zjechali się starzy Sybiracy słyszało się różne nieraz bardzo fantastyczne wiadomości. Kiedyś słyszałem opowieść jak to opowiadający, był w armii Kołczaka i gdzieś w zachodniej Syberii znaleźli spirytus w gorzlni, który miał "120 gradusow" czyli 120 procent alkoholu i ci co go wypili zapalili się "żywym ogniem" jak to określił, i po śmierci byli zupełnie zwęgleni. Opowieści takie przyjmowano zupełnie poważnie.

Młynarzem był starszy już Sybirak mimo że uważający się już za Rosjanina, ale swym wyglądem zdradzający pochodzenie z Mazowsza, takim był czysto polskim typem. Nazywał się Dorofiej Karafka i był człowiekiem nadzwyczaj dobrym. Wszędzie bez względu na pochodzenie, potrzebującym naprawdę pomocy, on z narażeniem życia pomagał. Jak wspominałem, za kradzież najmniejszej ilości zboża groziła kara 10-ciu lat łagru. Tymczasem Karafka gdy wiedział, że komuś grozi śmierć głodowa, kradł na młynie śrutę kołchozną i dawał ją potrzebującemu nie biorąc za to nigdy żadnej zapłaty. Tak ratował dzieci Kukuszki, rodzinę Czuwaszki chorej obłożnie, szereg innych, a między innymi i nas na wiosnę, gdy Mamusia z głodu już nie miała siły chodzić i leżała spuchnięta, a ja też już zupełnie nie miałem siły. Ponieważ młyn, jak wspominałem był bardzo prymitywny, więc kurzyło się silnie podczas mielenia i ten kurz mączny osiadał na ścianach zbudowanych z okrąglaków. Oficjalnie młynarz pozwalał potrzebującym omieść ze ścian

ten kurz, a po cichu gdy nikt tego nie widział dosypywał kołchozowej sruoty. Rugał przy tym głośno i wypędzał delikwenta, że niby za dużo bierze kurzu i dla innych nie zostawi. Karafka miał żonę i małego synka i narażał całą swoją rodzinę, a pomimo to nie odmówił nikomu pomocy. Ta stosunkowo niewielka ilość sruoty, którą wówczas dostałem od niego uratowała Mamusię od śmierci głodowej, bo już nie wiele Jej wtedy brakowało. Doprawdy nie wiele jest takich wspaniałych ludzi na świecie, jakim był ten cichy bohaterski Sybirak.

Więści ze świata tego dalekiego i tego rejonowego, przychodziły do kołchozu najczęściej ustnym przekazem. Każdy kto chodził do Kozulki, po powrocie opowiadał wszystko co słyszał, nie rzadko dodając swoje domysły i wnioski. Poza tym niektórzy dostawali listy od znajomych z różnymi wiadomościami uzależnionymi od stanu psychicznego piszącego i tak przychodziły listy pełne optymizmu, budzące nadzieję na szybką poprawę, a inne pełne były najczarniejszych przewidywań. Pod koniec marca przyszedł list do pani Sobieniewskiej z Aczyńska, z którego dowiedzieliśmy się, że w Aczyńsku mężem zaufania została pani Jodkowa. Ostatnio jeździła ona do Krasnojarska do delegata ambasady polskiej i po jej powrocie odbyło się zebranie Polaków, na którym pani Jodkowa złożyła sprawozdanie z rozmowy z delegatem. Oświadczył on, że w sierpniu zabiorą nas wszystkich, a tymczasem nie mamy nigdzie wyjeżdżać na własną rękę, a siedzieć na miejscu i czymkolwiek się zajmować, aby tylko przeżyć. Przyjęliśmy to oświadczenie o terminie ewakuacji za pewnik i już na zapas cieszyliśmy się na ten wyjazd. Z tego też powodu opanowało nas uczucie wyczekiwania i nie myśleliśmy o urządzaniu swego życia na miejscu na dłużej i to było najgorsze w skutkach na przyszłość. Nikt z nas wtedy nie mógł wiedzieć, że to oświadczenie było podyktowane przez ambasadora prof. Kota w celu zatrzymania nas na miejscu dla nie stwarzania dodatkowych kłopotów panu profesorowi, a nie z myślą o poprawie nam warunków życia i przeżycia. Z tego powodu nikt z nas na wiosnę nie starał się posadzić ogrodu i potem następnej zimy przynieraliśmy głodem, a wielu jej nie przeżyło, a wszystko dzięki "mądrej" polityce profesora Kota i jego poronionym pomysłom.

W końcu marca już nie mieliśmy zupełnie co jeść. Chodziliśmy do Krupskiej i do Krasnego Jaru chcąc cokolwiek wymienić na zboże lub sruotę, ale kołchoźnicy sami nie mieli już prawie nic i nic nie można było dostać. Pani Bogdanowiczowa pożyczyła nam trochę mąki i kaszy ~~pszennej~~ pszennej.

Flagą domów syberyjskich były pluskwy. Domy budowane były z okrągłaków przetykanych mechem, lub pakułami i od środka wgłębienia między belkami były oblepione gliną, a całe ściany pobielane wapnem. Przy dużych zmianach temperatur ~~wszędzie~~ wszędzie pomiędzy gliną a belką powstawały niewielkie szpary, które były doskonałym miejscem legu i chowania się w dzień dla pluskiew. Ponieważ nie było żadnych środków owadobójczych, nie pomagało nawet częste bieleńcie wapnem, tak jak nie pomagało cotygodniowe mycie się w "bani" czyli łaźni parowej na wszy, które wszyscy mieli. W naszej izbie naturalnie też były tysiące pluskiew. Smarowaliśmy szpary naftą, ale i to niewiele pomagało. Trzeba było chyba dziesiątki litrów nafty żeby nasaczyć wszystkie belki i mech

między nimi, ale człowiek też by nie wytrzymał takiej koncentracji nafty. Ostatniego marca korzystając z ładnej pogody i tego, że mieliśmy dzięki pani Bogdanowiczowej na kilka dni co jeść, zrobiliśmy porządki w swojej izbie. Mamusia i pani Kiersnowska zmyły ściany i podłogę, a ja wyczyściłem z sadzy rurę od naszej kozy. Przy tym zdarzył się nam przykry wypadek. Gdy byłem na strychu i czyściłem tam rurę od płacyka, zarwała się pode mną deska z sufitu i spadając uderzyła Mamusię. Posypały się paździerze i różne śmieci zalegające stryach dla ocieplenia i całe zmywanie poszło na marne, a Mamusia była mocno potłuczona, bo deski w tym domu były bardzo grube i szerokie. Iaprawiłem sufit i posprzątałem, ale zeszło się do późna wieczór.

W początku kwietnia chodziłem do Krasnego Jaru i zastałem Materskie spakowane i wyjeżdżające do Kozulki. Miałem trochę nadzieję dostania tam ziemiaków, ale nic z tego nie wyszło. Zosia dała mi trochę mąki ze swoich zapasów. Gdy wróciłem do domu dowiedziałem się, że pani Kiersnowska dostała listy i telegram od swego męża i niedługo pojedzie do niego.

Pani Bogdanowiczowa zawiadomiła nas, że do Kozulki przyszła żywność i mają rozdzielać ją dla dzieci i starców, więc pani Kiersnowska poszła do Kozulki, a na drugi dzień przyjechała z panią Bogdanowiczową, która przyjechała na młyn i zajęła do nas. Państwo Łazowscy przenieśli się już do Kozulki i przysłali przez panią Kiersnowską dla nas kawałeczek chleba i trochę mąki, a z darów przynieśli Mamusi pończochy, mydło i trochę smalcu. Ja tego dnia chodziłem na młyn żeby dostać trochę kurzu mącznego.

Ma wielkanoc, która przypadła w tym roku na 5-go kwietnia, mieliśmy co jeść a nawet Mamusia dała kawałek owsianego placka, który upiekła na święta, i zaniósłem go matce Idalki - staruszce bardzo już słabej z głodu. Święta Wielkanocne w tym roku wypadły razem z prawosławnymi i wszyscy świętowali równocześnie i choć bolszewicy starali się wypłenić wiarę wszelkimi sposobami, tam na Syberii wszyscy świętowali uroczyście. Domy i obejścia były na ten dzień wyprzątnięte. Pogoda też udała się i była zupełnie wiosenna mimo śniegu i lekkiego mrozu. Za to po świętach przyszedł burian i śnieżyca.

Po świętach pani Sobienievska dostała list od męża, w którym pisał żeby nigdzie nie ruszała się sama, bo nie wie czy zdaży po nią przyjechać, a drugi list dostała od pani Pniewskiej, która pisała, że wyjechali z Nowosybirsk, gdzie delegatura ambasady została zwinięta. Nic z tego nie mogliśmy zrozumieć. Coś się działo niedobrego o czym nic nie wiedzieliśmy.

W końcu pierwszej dekady kwietnia, znów nie mieliśmy nic do jedzenia. Przez siedziałem cały dzień na młynie i pod wieczór Dorofiej dał mi trochę śrutę owsianej. W połowie kwietnia Mamusia z panią Kiersnowską chodziły do Krasnego Jaru i wymieniły trochę rzeczy na cebulę, buraki, ziemniaki i trochę nasion. Tymczasem ja znów cały dzień przesiedziałem na młynie i nad wieczorem omiotłem ściany i dostałem trochę owsianej śrutę od Dorofieja. Mamusia na drugi dzień zaniósła mu do domu obrus żeby jakosię odwdzińczyć, ale Karafka powiedział żeby wzięła ten obrus, bo może go jeszcze sprzeda za żywność i nic nie chciał wziąć. Zrobiłem drewniany duży samochód ciężarowy i zaniósłem dla jego synka i tą zabawkę przyjęli, a mały bardzo się nim ucieszył.

15-go kwietnia telefonował z Kozulki pan Kiernowski i zawiadomił, że przyjedzie do Głuszkowa. Pani Kiernowska zupełnie straciła głowę, a dziewczynki szalały, ale pan Kiernowski nie przyjechał, a na drugi dzień wieczorem przysłał z Kozulki podwoję po rodzinę. Furman przenocował i na drugi dzień po załadowaniu rzeczy, dziewczynki usadowili na saniach, a pani Kiernowska szła za saniami z furmanem. Poszedłem z nimi, bo chciałem się zobaczyć się czegoś konkretnego dowiedzieć o Wojsku. Koń był bardzo słaby i ledwo się włókł. Wyszliśmy z Głuszkowa o 4-ej rano, a w Kozulce byliśmy dopiero późnym wieczorem, bo ja z Krupskiej zabrałem się z panią Bogdanowiczową, która jechała koniem do rejonu. Droga była ciężka, bo w dzień słońce już mocno operowało i droga się rwała, a koń co chwila zapadał. Trzeba wyjaśnić, że w tamtych stronach z powodu dużych mrozów zimą, każdy nawiany miękki śnieg na drodze po przejechaniu jednych saní twardnieje, co powoduje, że droga ciągle się podnosi i zawsze jest dużo wyższa od pola. Zimą jest zupełnie twarda, ale pod wiosną podczas dnia śnieg na niej mięknie i wówczas konie karywają się i wpadają często nawet po kolana. Dla tego na przedwiośniu najczęściej w drogę jeżdżą nocą. Bo a już jeśli trzeba było przewieźć większy ciężar, to z reguły jechali się tylko nocą.

Pan Kiernowski był porucznikiem rezerwy, ale nie miał wyglądu wojskowego, a raczej cywila ubranego niespodziewanie w mundur. Poczęstował mnie chlebem i dał kubek kakao. Dał też dla rodzin katolickich w Głuszkowie krzyżyki i obrazki święte. Poza tym adresy pana Lurzy-Murzicza i ojca Sawickich. O wojsku niewiele się od niego dowiedziałem, bo najwięcej mówił o swoich sprawach, a po przyjeździe żony i dziewczynek, już nic nie zwracał uwagi na moje zapytania, więc pożegnałem się i poszedłem odwiedzić Materskie, które miały bardzo marne mieszkanie, oraz zaszedłem do państwa Łazowskich. Starzy urządzili się zupełnie dobrze i mieli zupełnie ładną oddzielną izbę w porządnym domu. W Komitecie dostałem do przeczytania polską gazetę. Wieczorem wyszedłem z Kozulki i nocowałem w kantorze w Nowodorożnej. Następnego dnia przesiedziałem kilka godzin w Krupskiej, a w dalszej drodze szedłem przez Borysówkę, żeby oddać pani Wojtkowej zagonę z komitetu. Rozpaczała, że zupełnie nie ma co jeść i chyba przyjdzie im umierać z głodu. Po powrocie do Głuszkowa rozdałem Krzyżyki i obrazki wszystkim nie wyłączając Białorusinów - prawosławnych, żeby nie robić jakichś różnic i zarazem oddałem rodzinom adresy ich ojców.

Skńczyły się nam zupełnie zapasy żywności i następnego dnia poszedłem z Idalką na miejsce, gdzie zimą młócili sterty zboża i teraz przy "zjadaniu" śniegu przez słońce i tajaniu podczas dnia, na powstałym lodzie ~~xxwody~~ leżała cienka warstwa ziarna owsa z plewą. Zgarnialiśmy to ziarno z wody do worków i zabieraliśmy do domu. Liosąc mokre, ociekające wodą worki na plecach mieliśmy całe plecy, nogi i buty zupełnie mokre, a worki nam ciążyły. Po powrocie do wsi płukaliśmy ten owies na sicie w rzece żeby pozbyć się śmieci i ziemi. Woda była jeszcze zupełnie zimna i płynęła po lodzie. Po powrocie do domu nie mogłem się po tym rozgrzać. Suszyliśmy mokre ziarno przy naszej "kozie", a po wysuszeniu, było tego ziarna zaledwie kilka kilogramów. Chodziliśmy

tak kilkakrotnie. Po wysuszeniu ziarno zaniósłem do młyna i po długim oczekaniu dopiero wieczorem wróciłem do domu z mąką. Była to ciężka praca, ale mieliśmy na kilka dni jedzenia. Śrutę owsianą odsiewało się na sicie i mąkę tę brało się na zacierki, a w najlepszym wypadku na "lepioszki" czyli placki pieczone na płycie piecyka. Otręby owsiane wymaczało się w sporej ilości wody, odcedzało i przepłukiwało kilkakrotnie, a następnie po ustaniu się i podkwaszeniu gotowało się z tego kisiel. Wtedy wiosną brałem wymoczone i wypłukane plewy owsiane i ubijałem na patelni, a po podprażeniu ich jadłem taki "placek" z wielkim apetytem. Gdy kończyła się nam już zupełnie mąka z tego owsa, ostatni kisiel z niej po ugotowaniu Lamusia wystawiła na dwór żeby szybciej ostygł, bo bardzo byliśmy głodni i nie chcieliśmy dłużej czekać na jedzenie i wówczas taki gorący zupełnie kisiel zjadł nam kołchozowy byk Sionka. Chodził on całą zimę luzem po wsi i wygrzebywał sobie nogami z pod śniegu zeschłe trawy, no i zwęszył nasz kisiel i zjadł go, a myśmy zostali głodni.

Następnego dnia już nic nie mieliśmy do jedzenia. Ja czułem się jeszcze lepiej, bo byłem młody, ale Lamusia już od dłuższego czasu niedojadała żeby mnie zostawić i zawsze mówiła, że się już najadła i wówczas po jednym dniu bez pożywienia odrazu zaniemogła, leżała na prychny i wystąpiła u niej opuchlizna. Ponieważ nie było z nikąd możliwej pomocy, poszedłem znów po ratunek do młyna i, jak już wspomniałem, Karafka i tym razem poratował nas. Woreczek mąki, który przyniosłem późnym wieczorem, dosłownie uratował Lamusię od śmierci.

Krótko po tym, w końcu kwietnia wezbrała rzeka tak, że wystąpiła z brzegów. Zaporę przy młynie poprostu porąbali, żeby puścić wodę korytem. Robili tak co roku, a potem latem budowali zaporę od nowa. Od tej pory aż do jesieni mąkę, nawet jeśli ktoś miał zboże, mógł robić jedynie na żarnach. Żarna tam były oryginalne - dwa kawałki grubego brzoźowego pnia nabite były po jednej stronie kawałkami potłuczonego żeliwnego garnka. Jedna część - górna - miała w środku dziurę, w którą sypało się ziarno cienkim strumykiem ręką, a obie części były połączone bolcem, tak że można było górną część kręcić dookoła tego bolca wbitego w dolną część. Pod całość podkładało się jakąś płachtę i kręcąc górną częścią sypało się ziarno. Na podłożonej płachcie zbierała się mąka i kasza łupana z ziarna. Jeśli miało się ziarno pszenicy to wychodziła z tego żarna zupełnie dobra kasza, bo w jęczmiennej było bardzo dużo plewy trudnej do odsiania. Gdy ktoś miał więcej owsa mógł robić z niego kaszę owsianą. Do tego parzyło się owies wrzątkiem, a po pewnym czasie odcedzało i suszyło. Następnie wysuszony tak owies tłukło się w drewnianych stępach drewnianymi tłuczkami, a po obiciu odsiewało na sitach. Owsianka taka była wprost przysnakiem, można ją było jeść na surowo bez gotowania lub gotowaną, ale taki luksus był tylko dla najbogatszych w zboże ludzi.

W końcu kwietnia pożyczyłem od Idalki książkę "Pszczoły i ich życie" wydaną przed wojną przez Rodzinę Kolejową. Bardzo dobrze i przystępnie napisany podręcznik. Chciałem żeby mi ją sprzedała, ale za nic nie chciała.

W początku maja Idalka poszła do Kozulki i znalazła sobie pracę i mieszkanie, a później matkę jej i rzeczy zawiózł Kazik Sawicki koniem kołchozowym jadąc po ziarno siewne.

Gdy woda ruszyła zacząłem łapać małe rybki i piekłem je na pokrywie blaszanego pudełka, bo patelnia była za duża. Szukałem też gniazda drożdów i wytłierałem im jajka. Były małe ale z kilkunastu już było trochę jajeczniczyk. Mamusia leżała spuchnięta z głodu i te minimalne porcje z małym dodatkiem mąki trzymały ją przy życiu. Po kilku dniach na terenach wolnych od śniegu zaczęła pojawiać się pokrzywa i z niej zacząłem gotować zupę. Takie podżywianie stopniowo coraz obfitsze wróciło nam siły.

Żeby mieć strzelbę to mógłbym ubić sporo kaczek, bo przyłeciało ich mnóstwo i zupełnie się nie bały. Nawet myślałem o zrobieniu łuku, ale był problem ze strzałami, bo nawet gwoździ, czy kawałka drutu na groty nie mogłem dostać, a samym patykiem nic się nie ustrzeli.

Długo namyślaliśmy się jak przewieźć nasze rzeczy do Kozulki, bo już postanowiliśmy przenieść się tam i w końcu umówiłem się z Daną Kurza-Kurziczówną i 11-go maja pożyczyłem dwukołowy wózek od Kuźmy Sprużewnika i załadowałem na niego nasz kuferek, a Dana ich dwie walizy dołożyła na wierzch i pociągnęliśmy to do Krupskiej. Droga była jeszcze ciężka, a my mieliśmy mało siły, więc wlekliśmy się z tym wózkiem bardzo powoli. W jednym miejscu na korzeniu wózek wywrócił się i zgięła się oś. Byłem w strachu, bo nie można było dalej jechać, ale po jakimś czasie wspólnym wysiłkiem wyprostowaliśmy się tę oś i na szczęście nie pękła. Do Krupskiej dojechaliśmy już po południu. Rzeczy złożyliśmy u Bogdanowiczów i po odpoczynku poszliśmy spowrotem. Mimo, że teraz mieliśmy pusty wózek, wróciliśmy do Głuszkowa już późną nocą zmordowani do ostateczności. Między Daną, mimo że już tyle czasu była na wsi na Syberii, bała się strasznie ciemności w tajdze i cała drżała i pociła się mimo chłodu. A tajgą cała tętniła życiem i ciągle coś ruszało się w zaroślach, coś trzepotało skrzydłami i pełno było różnych głosów na ziemi i w górze.

Mieliśmy z Mamusią szczęście, bo zaraz następnego dnia kobieta, będąca poborcą podatkowym w sielsowiecie, przysłała do nas i zobaczywszy, że mamy bardzo mało rzeczy, dała nam konia z wozem, który miała zdać w rejonie, a nie chciało się jej wracać piechotą. Załadowaliśmy swoje manatki, pożegnaliśmy się serdecznie z pozostającymi jeszcze w kołchozie Polakami i z naszą gospodynią i pojechaliśmy w drogę. Koń był słaby pozimie i cały czas szedłem piechotą, tylko Mamusia jechała, bo była bardzo słaba. W Krupskiej załadowałem nasz kuferek przywieziony tam poprzedniego dnia i po odpoczynku pojechaliśmy dalej. W Sobolewce odpoczywaliśmy u znajomego dziadka Sybiraka. Dał nam kilka garści młodej, ledwie kiełkującej czeremszy, jak tam nazywają dziko rosnące w tajdze rośliny podobne do czosnku, tylko o delikatniejszym smaku. Stary rozgadał się i powiedział nam, że choć za pismo święte groziła kara 10-ciu lat łagru, on przechował "Biblię" i czyta ją. Bo i tam jest napisane, że będzie straszny ucisk i mordy i głód w całej Rosji i "przyjdzie anioł z zapada i oswobodzi Rasieju" i nastanie ponownie dobrobyt. Mówił, że on myślał, że to "Hitler", że jest tym "aniołem", ale jego czerwoni teraz biją, to znaczy się nie on, ale na pewno przyjdzie ten "anioł z zapada", bo tak jest napisane w "biblii". U prawosławnych w Rosji przed rewolucją krążyło dużo różnych wersji pisma świętego.

Widocznie stary miał jedną z takich przepowiedni opartych na Apokalipsie i ją studiował, ale tam ludzie wogóle byli bardzo wierzący we wszystkie stare przepowiednie i wróżby.

K O Z U L K A

Do Kozulki dojechaliśmy o 10-tej wieczorem. Już w samej Kozulce ugrzązł mi wóz w bajorze na środku ulicy. Dopiero z pomocą jednego z chłopców Polaków, który akurat przechodził, udało mi się wyjechać na twardą drogę. Kozulka była osiedlem przy stacji kolejowej o tej nazwie. Zabudowana była drewnianymi domami jednorodziennymi wzdłuż szerokich i prostych ulic, naturalnie nie utwardzanych niczym. Ulic tych było kilka ciągnących się równolegle do torów kolejowych i przedzielonych ogrodami. Zatrzymaliśmy się u państwa Łazowskich. Następnego dnia padał deszcz, ale mimo to cały dzień szukaliśmy mieszkania, a oprócz tego długo czekałem w sielsowicie na otrzymanie zaświadczenia upoważniającego nas do pobierania przydziałowego "pajka" chleba. Kilka dni zeszło nam na poszukiwaniach bez rezultatu. Mieliśmy w tym czasie propozycję kupna małego domku jednoizbowego bez dachu, stojącego na końcu jednej z ulic, za 100 rubli, ale zrezygnowaliśmy z tego, gdyż ciągle jeszcze wierzyliśmy w obietnicę delegata, że w sierpniu nas ewakuują. Domek ten można było nakryć byle jakim dachem i koło niego założyć ogród i to mogło nam dać podstawę do przeżycia. No ale tak jak wiele z naszych rodzin wiara w nasze władze stała się powodem późniejszych naszych trudności. Profesor Kot miał wiele istnień naszych Rodaków na swym sumieniu.

Od 18-go maja zacząłem pracować z Tadekiem Żdanowiczem w Pierwomajskiej MTS. Z początku posłali nas do piłowania drzewa opałowego w tajdze. MTS to było przedsiębiorstwo państwowe w rodzaju naszych powojennych POK-ów. Miało traktory i kombajny zbożowe i rozsyłało je wiosną do kołchozów, a jesienią, po skończonej pracy w polu, zbierały się te maszyny w MTS-ie i tam w dużej drewnianej hali remontowano je przez całą zimę. W hali tej jak i w innych budynkach MTS-u, a także w domach zamieszkałych przez dyrektora, głównego księgowego i naczalników politoddzieła pałono drzewem przygotowywanym w sągach w tajdze. Na początek dali nam po 600 gramów chleba dziennie na nas i po 400 gramów na "izżywieńca" czyli osobę pozostającą na naszym utrzymaniu, a w moim wypadku na Mamusię. Płacili nam po 7 rubli za 1 metr przestrzeni szczapiny. Było to bardzo mało zważywszy, że trzeba było ~~xxx~~ co dzień iść daleko do tajgi, ścinać z pnia, piłować na metrowe kloce i rozłupywać je na szczapinę. Następnie szczapinę trzeba było złożyć w sągi tak, żeby można było do nich dojechać, a gałęzie na oddzielne kupy. Kilka dni chodziłem załatwiać przydział chleba, bo zawsze kogoś brakowało. Zawchoz, czyli kierownik gospodarczy, dał nam piłę zupełnie nie ostrzoną od nowości tak, że nic nią nie można było przepiłować. Dopiero swoim polskim pilnikiem doprowadziłem ją trochę do porządku. Pierwszego dnia postawiliśmy zaledwie trzy fesmety szczapiny i zupełnie byliśmy wykończeni. Trzeba pamiętać, że byliśmy ciągle głodni i osłabieni zimą, a mieliśmy - ja 16, a Tadek 17 lat.

Starsza siostra Tadka mieszkała i pracowała w polskiej delegaturze w Krasnojarsku i czasem przyjeżdżała odwiedzić matkę i zawsze coś im przywiozła. Opowiadała między innymi, że delegat na zarządzenie z ambasady nie chciał nikogo puszczać indywidualnie do Wojska Polskiego, bo jakoby miała być zarządzone w niedługim czasie ogólna mobilizacja. Kiemniej kiedyś przyjechał do niego chłopiec z północy i rządał skierowania do wojska, a gdy delegat nie chciał mu dać tego skierowania, siadł w progu biura delegata i nie ustępował tak długo, aż ten po kilku dniach dał mu imienne skierowanie. Rozmawialiśmy z Tadm, żeby zrobić to samo, ale siostra Tadka odradziła mu tego mówiąc, że jest pewna, że niedługo nas wezwą wszystkich.

W Kozulce mieszkał wówczas wypuszczony wcześniej z więzienia pan Pozerski były plutonowy WP i on, ku naszej wielkiej ~~radzi~~ zazdrości dostał 23-go maja imienny wyzyw do wojska od generała Szyszko-Bohusza. Szczęśliwiec zaraz pojechał.

W niedzielę 24-go maja było zebranie Polaków, na którym była z delegatury Kasia Żdanowiczówna. Mamusia napisała list do Tatusia i dała Kasi, żeby z pocztą delegatury wysłała. List ten pewnie utknął gdzieś po drodze w ambasadzie, bo Tatuś nigdy go nie dostał.

W niedzielę też jeśli nie było pracy, mogliśmy wykąpać się w łaźni kolejowej, tak zwanej "bani". Za opłatą 1 rubla miało się gorącą wodę w misce, a jeśli ktoś chciał to była i łaźnia parowa. Rzeczy wieszano się w szafkach w pierwszej izbie, które zamykał łaźnienny, tak że nic nie ginęło, a po wzięciu miski szło się do drugiego pomieszczenia, gdzie na półkach była parówka a na dole stały ławy na których można było postawić miskę do mycia się, a wodę brało się ze zbiornika z pieca.

Ciekawa była obserwacja rozwoju roślinności tam na wiosnę. W Polsce okres ten trwa bardzo długo i wszystko rozwija się bardzo powoli. Odgrywają w tym dużą rolę wiosenne przymrozki i powolne ogrzewanie się powietrza i gleby. Tam natomiast w ciągu tygodnia z zamkniętych pąków rozwijają się wyrosnięte liście i w ciągu tygodnia ledwo pokazujące się z ziemi pędy roślin w tajdze wyrastają do kolan. Szło się w poniedziałek po czarnej jeszcze ziemi, a już w sobotę miało się mokre od rosy spodnie do kolan. Przy tym co kilka dni zmieniał się na polanach wśród leśnych w tajdze zestaw dominujących kwiatów tak okazałych w kształtach i kolorach, że żaden europejski hodowca - kwiaciarz nie powstydziliby się ich wystawić na wystawie kwiatów. Jedynym przykrym odczuciem, oprócz stałego głodu, była plaga komarów i meszek które dosłownie zjadały człowieka. Niektórzy uciążliwi na ich ukąszenia puchli tak, że oczy stawały się szparkami. Mimo ciepła wszyscy wchodzący do tajgi mieli długie rękawy u dołu wiązane sznurkiem, żeby meszki nie mogły w nie wchodzić, kołnierze zapięte pod szyją i kto ją posiadał, siatkę moskitierę na głowie. Myśmy takich siatek nie mieli. Piłując drzewo, zapalaliśmy zwalone pnie tak żeby pracować w smudze dymu, a odpoczywając w szałasie wpuszczaliśmy do niego z pomocą odpowiednio założonej kory dym z ogniska.

Latem gdy wiatr wiał od tajgi nawet w osiedlach i na polach nie można było wytrzymać od ich natarczywości.

Poza tym często przelotne deszcze utrudniały pracę w lesie, bo cali byliśmy wtedy zmoczeni od spadającej przy zwałaniu z pni drzew wody. Na początku pracowaliśmy na dwie pary, bo oprócz nas piłowali też drzewo dwaj Sybiracy. Na początku czerwca Mamusia znalazła wreszcie izbę, którą wynajęła nam siona prokuratora mieszkającego stale w Krasnojarsku. Krótka była nasza radość, bo okazało się, że gospodyni była zupełną wariatką. Miała dwóch synków 8-0 i 10-0 letnich, bardzo rozwydurzonych i złośliwych. W przystępie humoru gospodyni opowiadała nam, że jej ojciec był czekistą i że przynosił do domu mięso, którego jej matka nie chciała jeść, choć wtedy był straszny głód, a ojciec tylko się z niej śmiał i mówił, że ludzkie mięso nie gorsze od świńskiego. Wspominała że to mięso było słodkawe, ale jej smakowało. Ale spokój trwał u niej bardzo krótko i zaczynała wykrzykiwać, gadać do siebie i jak mnie nie było, groziła Mamusi, że ją zarżnie. Nie dawała wogóle gotować, a najgorsze było to, że naszą izbę nie miała drzwi i nie można było się poprostu u siebie zamknąć, a wychodzić trzeba było przez kuchnię, w której ona stale siedziała. Mamusia wychodziła z domu gdy mnie nie było, ale wtedy nasze rzeczy były systematycznie plądrowane i co lepsze to ginęło. Na szczęście po tygodniu, Mamusia znalazła inne mieszkanie - samodzielna izbę z wyjściem przez sieni w domu kolejarki mieszkającej stale w Krasnojarsku. Gospodyni kupiła od Mamusi materiał na sukienkę i ręczny zegarek. Dostaliśmy za to to mieszkanie i trochę ziemniaków. Było to bardzo dużo, bo dotychczas cały czas jedliśmy tylko pokrzywę jako zupę lub na gęsto i na okrasę najwyżej mieliśmy pół litra mleka dziennie i to nie zawsze.

Kiedyś wybrałem z gniazda młode sroki. Młode wrony są nie gorsze od kurozłot, tymczasem sroczęta okazały się tak niesmaczne, że mimo głodu trudno je było przełknąć, ale zawsze było to trochę mięsa. Kłm przenieśliśmy się na nowe mieszkanie, przez kilka dni mieszkaliśmy u Żdanowiczów, a Mamusia u Gryblewskich. Gospodarz Żdanowiczów, starszy już człowiek namówił nas z Tadkiem, żeby z nim iść na ryby. Poszliśmy na noc kilkanaście kilometrów do tajgi i wieczorem założyliśmy według jego wskazówek jego wędki. Były to cienkie sznurki lniane około 30 cm długie z haczykiem na końcu. Taką wędkę wiązało się do kija i po założeniu robaka, wtykało w strumień pod korzenie. Od razu założyliśmy takich wędek około trzydziestu. Strumień w tajdze niczym nie przypomina naszych strumieni. Tam przez wykroty i zwałone pnie starych drzew zatracą się pojęcie strumienia, a pozostaje pełno mniejszych i większych dołów napełnionych wodą, która leniwie płynie to wierzchem, to pod mostami z pni i zarośli. W takich miejscach żyją ryby zwane tam przez Sybiraków "nalim". Nalimy to ryby podobne do naszych piskorzy, tylko dorastają do sporych rozmiarów. Są bardzo tłuste i ości mają takie jak nasze węgorze. Żerują tylko nocą i dlatego łapie się je nocą. Myśmy łapali sztuki do 30 cm długości, ale podobno dorastają nawet do 50 cm. Po założeniu wędek rozpaliłmy ognisko i przez noc trzykrotnie sprawdzaliśmy wędki i za każdym

razem prawie na wszystkich były złapane nalimy. O świecie poszliśmy do domu bo trzeba było iść na robotę w dzień, a ryba i tak nie braka po świecie. Miestety gospodarz dał nam tylko po kilka ryb, a sam większość zabrał dla siebie. Nie mogliśmy się z nim wyklócać o sprawiedliwy podział, bo jego były wędkę i mieszkaliśmy w jego domu, a nie chcieliśmy kłótni.

W początku lipca przyjeżdżał do Kozulki delegat ambasady pan Mieszkowski, podobno przedwojenny warszawski adwokat. Atakowaliśmy go o wysłanie nas do wojska, ale powiedział, że będzie mobilizacja, a on sam nie może nas wyjechać. Czuliśmy, że coś kręcił, ale nie wiedzieliśmy wtedy dlaczego.

Otwarto w Kozulce polską szkołkę dla naszych dzieci. Nauczycielką została pani Dusłowa, nauczycielką z zawodu i Marysia Gryblewska. Z tego powodu doszło do nieporozumień pomiędzy Łazowskimi i Gryblewskimi, ponieważ państwo Łazowscy uważali, że uczyć powinna panna Hania jako stara pracownica szkolnictwa, a nie Marysia, która nie miała przygotowania. Ale nie długo cieszyliśmy się naszą szkołą polską zorganizowaną z ramienia delegatury ambasady bo po krótkim czasie władze sowieckie zamknęły ją. Poza tym I.K.W.D. wydało zarządzenie, że nie wolno nam modlić się w większych grupach. Już dwie rodziny zebrane w jednej izbie uważano za zebranie. Wogóle od pewnego czasu władze sowieckie zachowywały się coraz bardziej niechętnie, a nawet wrogo do Polaków. Mieliśmy tego przykład i w MTS-ie. Piłowaliśmy drzewo w tajdze w czterech, ja z Tadekiem Żdanowiczem i Prochor-starszy już Sybirak z Wańką. W czerwcu w MTS-ie dali nam przydział mąki, z tym że Prochor i Wańka dostali po 5 kg, a nam z Tadekiem dali tylko po 1 kg. Tadek z miejsca poszedł na skargę do sekretarza Rajispołkomu. Byłem z nim, ale z sekretarzem rozmawiał Tadek. Ten obiecał interweniować. Po powrocie do MTS-u zawchoz mnie wydał ten 1 kg mąki, a Tadekowi wogóle nie dał i tak się skończyła "interwencja" na naszą korzyść. To samo było z zarobkami - nam za tą samą robotę płacili mniej jak miejscowym. W Krasnojarsku nie chcieli meldować rodzin pracowników delegatury tak, że na przykład żona magazyniera z delegatury musiała przenieść się do Kozulki, bo nie pozwolono jej mieszkać w Krasnojarsku.

W połowie lipca zakończyliśmy piłowanie drzewa. Tadek nabawił się malarii, a mnie posłali do pomocy Prochorowi, który stawiał piec w nowo postawionym domu przeznaczonym dla starszego mechanika. Mieszałem glinę i podawałem cegłę i przypatrywałem się jego robocie. Po skończeniu pieca i komina, posłali nas do koszenia trawy na siano. Prochor kazał mi kosić pierwszemu i poganiał mnie kosą tak, że nie mogłem wogóle przystanąć. Po tym koszeniu ledwo dowlokłem się do domu, a na drugi dzień byłem jak obity, a trzeba było pracować dalej. Na moje szczęście po kilku dniach powołali Prochora do armii i zostałem sam.

W drugim domku postawionym przy biurze MTS-u nie było jeszcze pieca i nie miał go kto postawić, bo Prochora powołali niespodziewanie dla dyrektora. Dyrektor biedził się nad tym, bo już nie było w Kozulce nikogo kto by umiał stawiać piece "ruskie" czyli chlebowe. Powiedziałem, że ja postawię i patrząc

na piec Prochora i pamiętając jak on go stawiał, postawiłem identyczny. Po sprawdzeniu przez zawchoza okazało się, że mój piec nie był gorszy od prochorowego i tak zostałem tam zdunem.

Między Polakami odczuwało się jakieś podniecenie i zdenerwowanie. Robiły to dochodzące z różnych stron wiadomości. Tak któregoś dnia pani Skipurowa będąca naszym Mężem zaufania, powiedziała Wisi Gryblewskiej, a ta powtórzyła innym wiadomość, że jakoby pani Wężykowa była konfidentką NKWD. Nikt tego nie mógł sprawdzić, ale podejrzenie pozostało. Pani Wężykowa była żoną lekarza wojskowego z Baranowicz, udawała arystokratkę i nikt jej nie lubił. Dużo później już gdy byłem w wojsku, a nasze rodziny przewieźli na Ukrainę i zapędzono wraz jeńcami niemieckimi do robót polowych, pani Wężykowa była mężem zaufania od ZPP i nieciekawie się zachowywała w stosunku do naszych rodzin.

Tak samo podejrzewano o to że był konfidentem młodego Kępę, starszego ode mnie, który pracował jako magazynier bazy paliw bałachtońskiego MTS-u w Kozulce.

Pod koniec lipca zacząłem kosić siano kosiarką konna, którą dyrektor odkupił z kołchozu w Szarłowce. Był to stary gręt pamiętający "cara batiuszkę" i ciągle się psuł, ale praca była lżejsza niż ręczne koszenie. Kosilem pola między tajgą, które wynajdywał zawchoz. Gdy nakosiłem już sporo, zawchoz zbierał kogo się dało z robotników MTS-u i stertowaliśmy siano. Potem dalej kosiłem i tak do jesieni.

Od pewnego czasu przebąkiwali coś o aresztowaniu pracowników delegatury, a 29-go lipca przyjechało kilku mężczyzn zwolnionych z Narylska z łagru, którzy jechali do Wojska Polskiego i zostali w drodze zatrzymani i przewieźli wiadomość zupełnie pewną, że władze sowieckie aresztowały delegata i wszystkich mężczyzn z pośród personelu delegatury. Pani Skipurowa jako mąż zaufania zupełnie była nieprzytomna po tej wiadomości.

W MTS-ach sowieckich oprócz działu mechanicznego, zajmującego się pracami polowymi w kołchozach i naprawą sprzętu, był dział rejonowego agronoma, który ustalał dla kołchozów plany obsiewów i kontrolował ich wykonanie, a także był dział polityczny tak zwany "politoddziel" zajmujący się uświadczeniem politycznym w terenie i pracowników. Był to przypuszczalnie specjalny wydział NKWD, bo naczalnicy politoddziela mieli z NKWD stały kontakt i wspólnie pracowali ściśle. W Pierwomajskiej MTS był naczelnik politoddziela i jego zastępca. O poziomie moralnym naczelnika może świadczyć pewne zdarzenie, które zanotowałem pod koniec sierpnia 1942 roku. Byłem świadkiem rozmowy: Wańka, 16-o letni koniuch zapytał naczelnika skąd wziął nowy bicz, a ten mu na to najspokojniej odpowiedział, że "rozumiesz gdy wracałem z Szarłowki jechał pijany kołchoźnik i zwałił się w rów. Ja mu pomogłem wyjechać, a gdy ten położył się na wóz zobaczyłem, że na wozie leży bicz, więc go wzięłem, bo i tak by go pewnie zgubił". Naczelnik nawet nie zauważył, że nawet Wańka sił drwił z jego poczucia właściwego załatwienia sprawy.

Kosiłem trawy i zbieraliśmy siano prawie do końca sierpnia. Pod koniec jeszcze musiałem kosić dla nauczelnika politoddzieła. W końcu kosiarka rozsypała się na dobre i tak zakończyłem tą pracę. Za miesiąc koszenia i zbioru siana, gdy pracowałem od rana do nocy, zarobiłem 340 rubli więc dużo, bo w poprzednim miesiącu tylko 180 rubli. Była to i tak było dużo, bo przeciętna płaca robotnicza wynosiła wówczas 150 rubli.

Pracując kołmi miałem i to dobre, że mogłem od czasu do czasu wziąć konia i przywieść drzewa na opał sobie, a nawet i innym Polakom.

Po skończeniu z sianem, zaczęliśmy wozić słupy na ogrodzenie placu warsztatów i stacji paliw, zwanej tam "nieftiabaza". Jeździliśmy kilkoma wozami z Tadkiem, Wańką i zawchozem do tajgi, ścinałiśmy odpowiednie drzewa, przecinali je odrazu na odpowiednią długość, ładowali wozy i wracając zwalaliśmy te słupy odrazu na placu przy warsztatach. Zajmowało nam to cały dzień do samego wieczora. Tam w sowietach nie było pojęcia ośmiogodzinnego dnia pracy, tylko rano trzeba było stawić się dokładnie na 7-ą do pracy, bo jak kierownictwo zakładu wystąpiło z wnioskiem o ukaranie, to za 5-0 minutowe spóźnienie można było dostać karę 25 % potrącenia z zapłaty przez trzy miesiące.

No i nie było od tego odwołania. Wszystko zależało od zwierzchnika.

W końcu sierpnia wieczorem przybiegła pani Żdanowiczowa z wiadomością, że podobno do rajwojen-komatu miały przyjść papiery na wywóz rodzin wojskowych na południe. Poruszyło to wszystkich, ale okazało się plotką bez pokrycia. W tym też czasie było zebranie Polaków. Wybierano komisję rewizyjną i omawiano sprawę dobrowolnego pójścia naszych kobiet do kołchozów na roboty żniwne. Smolin - prezydent rajispol-koma zagroził Skipurowej, że kto nie pójdzie pracować do kołchozów, temu zabroni korzystania z polskiej stołówki, która wówczas istniała i każdy obywatel polski miał prawo otrzymania raz dziennie miski gęstej zupy, co nas ratowało od głodu. Stołówka ta była zorganizowana w lipcu 1942 roku i zaopatrywana była z darów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża poprzez delegaturę w Krasnojarsku. Na tym zebraniu rejdowała pani Żdanowiczowa. Kłócili się i wypominali złe dzielenie i kradzieże rzeczy pochodzących z darów amerykańskich. Na koniec doszło do bójki między mężczyznami, tymi z Marylska. Byli między nimi bardzo porządni ludzie, jak chociażby pan Lachowicz były ziemianin z Podola z pochodzenia Żyd, który był prawdziwym opiekunem wszystkich najbiedniejszych polskich rodzin, ale byli i zwykli kryminaliści i ci psuli opinię Polakom.

Mówiąc o pomocy Czerwonego Krzyża, trzeba wspomnieć o powszechnej reakcji na nią Sybiraków, którzy powszechnie wyrażali opinię, że "Polska własć eto czestna własć, ona nie gnęgi swoich, a szuka ich i jeszcze im pomaga nie tak jak sowiecka, która tylko umie brać, a nic nie daje".

W początku września jeździliśmy z zawchozem do Tupiku, odległego od Kozulki o ponad 30 km, gdzie był "leschoz" czyli przedsiębiorstwo leśne. Pracował tam tartak, był spław Kiemczugiem i stacja załadunkowa drewna. Zawchoz załatwiał tam dostawę desek do MTS-u na parkan, który miał stanąć dookoła placu

warsztatowego i bazy paliw. Nocowaliśmy w Tupiku, bo nie zastaliśmy kłosek i wróciliśmy dopiero na drugi dzień wieczorem. Przyglądałem się tam ich organizacji pracy. Kloce w górze rzeki zwałali wprost do wody nie łącząc ich w tratwy. Kłody płynęły luzem i ~~nie~~raz tworzyły zatory. Płynęły więc kłody ziami pomiędzy nimi grupy pracowników, których zadaniem było nie dopuszczać do tworzenia się zatorów. Poza tym wzdłuż rzeki rozstawieni byli ludzie z drągami, którzy mieli w razie czego odpychać kłody od brzegu, żeby się nie zaczepiały i nie osiadały na płyciznach. W rezultacie pracowało i to w wodzie więcej ludzi, aniżeli potrzebnych było do prowadzenia tratw tak jak to od niepamiętnych czasów stosowano u nas w kraju. Przy ścinaniu drzew w górze rzeki pracowali więźniowie i był tam łagier, a w tartaku pracowali wolni robotnicy, a właściwie robotnice, bo było tam tylko kilku starych mężczyzn, którzy już nie podlegali poborowi.

Tadek Żdanowicz z rodziną był po wywiezieniu z kołchozie niedaleko tego łagru ~~imprez~~ opowiadał, że kiedyś gdy pracowali przy sianie, uciekało koło nich dwóch więźniów. Niedługo po tym jechało za nimi konno dwóch NKWD-istów z psami, a pod wieczór wracali oni ciągnąc za kołmi, przywiązane za nogi do siodeł sznurami pokieroszowane trupy obu uciekinierów. A trzeba zaznaczyć, że jak mówili nam miejscowi, te łagry blisko terenów zamieszkałych były stosunkowo łagodne i byli tam więźniowie o krótkoterminowych wyrokach.

Od początku września żniwa w kołchozach były coraz bardziej popędzane przez władze. Masowo "mobilizowano" pracowników w miastach i wysyłano do pomocy w kołchozach. Brali więc z Krasnojarska fryzjerki, sprzedawczynie, urzędniczek niższych szczebli, sprzętaczki itp. nie zupełnie potrzebne pracownice miejscowe i wysyłano na odległe wsie. Między innymi i ja wozikiem kołmi z MTS-u takie zmobilizowane do kołchozu w Kiemczugu Wielkim, odległym od Kozulki o ponad 20 km. i wróciłem dopiero o północy, a zmobilizowane zostały na kilka tygodni w tej wsi i pracowały za marne wyżywienie od świtu do nocy.

W początku września Tadek Żdanowicz jeździł do Krasnojarska i przez znajomość swej siostry, która tam pracowała w delegaturze, zamienił u magazyniera stare spodnie na nowe i dodatkowo dostał amerykańskie owinaczki. Tak to było wówczas, dary Czerwonego Krzyża na całej drodze były rozkradane w ten czy inny sposób, a i tak jeszcze sporo ich docierało do polskiej ludności. Poza tym delegatury niepotrzebnie trzymały te dary w magazynach i później je przejęli i w dużej części rozkradli sowieci.

W MTS-ie wykonywałem wszystkie możliwe roboty, bo oprócz pracy z kołmi, byłem i stolarzem jak było trzeba robić przyce do domu noclegowego dla traktorzystek i kombajnistek, czy drewniane części do kombajnowych młocarni, pracowałem w kuźni z kowalem inwalidą przy remontach maszyn, naprawiałem piece i kominy, szyłem porwaną uprzęż, a także wyrzucałem gnój z chlewów dyrektora i naczelnika, no i wozikiem drzewo na opał dla całego MTS-u i siano dla koni i krów dyrektora i naczelnika. Wiosną orałem ogrody pracownicze.

Co pewien czas, a latem i jesienią prawie od niedzieli, robili tak zwane

tam "woskreśniki" czyli darmową pracę w niedzielę. Ja woskreśniku w końcu sierpnia kosiliśmy zboże w kołchozie w Szarkówce, a w początku września kopaliśmy doły pod słupy ogrodzeniowe wokół placu warsztatowego. Zawsze coś znaleźli, żeby nie było nudno w wolną niedzielę, bo tych wolnych było tylko tyle na ile zmuszała pogoda. Zimą trochę więcej, a latem prawie wcale. We wrześniu rozbieraliśmy stodołę w Szarkówce, którą kupił od kołchozu wraz z MTS i z materiału z niej uzyskanego stawialiśmy ściany ogrodu i "nawies" czyli wiatę na podwórzu gospodarczym dla koni. Wogóle tam prawie nic nie budowali z nowego materiału, a prawie wszystko z rozebranych starych domów i budynków gospodarczych po wsiach, które przed rewolucją były wszystkie bardzo solidnie budowane z grubych bierwion. I tak na spód kładli belki cedrowe, które nawet w ziemi nie gniły, a zamieniały się w smolne twarde jak kość kłody, wyżej kładli belki modrzewiowe, dalej sosnowe, a zupełnie pod dachem można było spotkać belki jodłowe, które były najłżejsze, ale najłatwiej gniły. Z takich samych belek okrągłaków stawiane były domy, chlewy, stodoły, banie, a nawet płoty wokół podwórza. W bramach stały słupy modrzewiowe ociosane w kwadrat o boku od 50 do 100 cm i nakryte były daszkami ozdobionymi drewnianymi koronkami wyrabianymi z szerokich desek. Tak budowali Sybiryacy przed rewolucją, a po niej rozbierali to, przenosili w inne miejsce i stawiali już bez żadnych ozdób prymitywne budynki z byle jakimi dachami, lub w wypadku budynków inwentarskich, zupełnie bez dachów. Tak i w MTS-ie postawiliśmy dwie ściany od zachodu i południa dla zasłonięcia podwórza od wiejących z tych kierunków burianów, i wkopaliśmy szereg słupów, na których położyliśmy belki, a na nich gęsto żerdzie, na które składaliśmy przywiezione zimą siano dla koni. Konie chodziły cały czas po całym podwórzu i jadły siano zrzucałe z "podwiesza" prosto na śnieg.

Wspomnianą stodołę rozebraliśmy z zawchozem, Taćkiem i Waniką, ale belki najczęściej wozikiem sam i sam musiałem je ładować na wóz. Były długie i ciężkie tak, że żadnej nie mogłem sam udźwignąć, więc wpadłem na sposób i po wyjściu kłonicy z wozu, kładłem zaciosaną krótką belkę opierając ją na koło, wiązałem linę do wozu, przewlekałem ją pod belką i przerzucałem na drugą stronę wozu. Brałem najspokojniejszego konia, zaprzęgałem go do końca tej liny i koń powoli ciągnął, a ja podtrzymywałem belkę, która kręcąc liną, wtaczała się na koło i spadała na środek wozu. Trwało to co prawda długo, ale nie musiałem całej belki dźwigać, a gdy leżała już na tyle wozu, częścią zwisającą z tyłu przeważała tak, że przód ładowałem już ręcznie.

Chcę wspomnieć tu o czterech koniach w MTS-ie, którymi tam pracowałem. Wąska najspokojniejszy z nich starszy już koń gniady, był inochodźcem, czyli w kłusie szedł dwie prawe, dwie lewe nogi i przez to zupełnie nie trząsał, nie miał zupełnie narowów i dlatego wszyscy chętnie go brali do pracy. Macakuła był koniem z wybitnym charakterem. Był brudnym kasztanem, garbonosy bardzo silnym i rozumnym. Znany był z tego, że nie dawał się łapać i rzucał się na ludzi z "zębami i kopytami stając dęba. Gdy brali go do pracy, miał z

zwyczaj po wyjechaniu za bramę, nagle cofał się kilka kroków do tyłu, a następnie kłaskać się i udawać że się dusi. Chrapał przy tym tak jakby naprawę dę zdychał. Każdy wówczas rzucał się i jaknajprędzej go wyprzęgał. On powoli wstawał i dawał się ponownie zaprzęgać, ale po ruszeniu z miejsca wszystko zaczynało się od nowa. W końcu rezygnowano z niego i puszczano go luzem i tak wygrywał dni wolne od pracy. Natomiast gdy już zajechało się do tajgi i naładowało wóz czy sanie drzewa czy siana, on nigdy nie wyrócił wozu czy sania, ani nie zaczepił o pień czy drzewo. Widziałem nie raz jak na ciężkiej drodze w tajdze oglądał się na wóz nim wciągnął go pomiędzy pnie jak gdyby sprawdzał czy się zmieści. Zimą, gdy szedł z pustymi saniami, ustępował furmankom jadącym z przeciwną, ale gdy ciągnął naładowane sanie, nikt go nie zdołał spędzić z ujeżdżonej drogi w głęboki śnieg. Nie raz furmani próbowali zganiać go biczami, ale on wtedy stawał dęba i rzucał się z zębami na prześladowcę i wszyscy już tego z tego znali. Muszę zaznaczyć, że on nigdy nie chciał iść pierwszy do tajgi, a zawsze szedł jako powodny, to znaczy bez furmana za poprzedzającą go furmanką, a najczęściej bez lejca. Jeździłem zwykle we dwa lub trzy wozy czy sanie sam, rzadziej jechaliśmy we dwoje. Gdy pierwszy raz miałem zaprzęgać konia do roboty w MTS-ie i nie wiedziałem o narowach Macakuły, zawochoz kazał mi brać go. Podeszedłem do niego spokojnie i założyłem mu uprzęż, a on nic mi nie zrobił ku zdziwieniu obecnych którzy myśleli, że będą mieli ze mnie przedstawienie jak będę uciekał. I później zawsze brałem do roboty Macakułę. Raz tylko gdy go chciałem oszukać, dał mi nauczkę. Zwykle jak był na pastwisku, brałem garść niemłóconego owsa, który snopkami kradłem dla koni z pól kołchozowych i chowałem w tajdze. Kiedyś nie miałem i wziąłem paczek emłóconej słomy owsianej. Macakuła podeszła do mnie, powąchała z bliska słomę i sprawdzivszy brak ziarna nagle rzucił się na mnie szczerząc zęby. Odwróciłem się i zacząłem uciekać żeby schować się za drzewo. Macakuła złapała mnie za pasek od spodni, podrzucił do góry, odwrócił się błyskawicznie i machnął mnie zadnimi nogami tak, że przeleciałem kilka metrów w powietrzu. Gdy upadłem, podeszła do mnie i powąchała, a następnie najspokojniej dał się złapać i zabrać do roboty. Trzecim koniem był Ryżka - młody kasztan bez narowów, ale wymagający stałej uwagi, bo nie zważał na drogę i często wywracał sanie lub wciągał je między drzewa, tak że trzeba było go wyprzęgać i wyciągać do tyłu. Czwartym koniem był Kroklik białany mongołek* z czarną pręgą przez grzbiet. Miał on śmieszny chód, bo gdy tył szedł kłusa, to przedniki nogami galopowały co podobno było powszechne u koni mongolskich. Był najślabszym ze wszystkich koni i najczęściej Wanka wozik nim wędę. Był jeszcze jeden koń kary watach, ale tym stałe jeździł naczelnik politoddziela.

W październiku, jak zwykle w tamtych stronach, nadeszła zima i zaczęliśmy wozic drzewo na opał do warsztatów i biura oraz dla naczalstwa, a także si no dla koni i krów dyrektora i naczalników. Żona dyrektora zwykle po

przywiezieniu im drzewa lub siana dawała talerz zupy, a u naczelników nawet dziękując nie powiedzieli, a często jeszcze mieli pretensje, że mało się przywiozło lub nie tak jak chcieli zrzuciło.

W połowie października dostałem trochę wapna. Przekończyłem cały nasz piec kuchenny, bo już się zupełnie rozlatywał i Mamusia pobielika całą izbę. W drugiej połowie października zaczęły się już normalne zimowe mrozy i leżał już gruby śnieg.

20-go października Dudzin - naczelnik rejonowego NKWD - kazał pani Skipurowej zrobić spis Polaków z zaznaczonym miejscem urodzenia, miejscem ostatniego zamieszkania w Polsce, skąd zostaliśmy wywiezieni, narodowości, daty urodzenia itp. Wszyscy byli tym mocno poruszeni. Obawialiśmy się najgorszego czyli postąpienia z nami jak to zrobili z Niemcami Powożzańskimi. Zaraz po Wszystkich Świętych Tadek jeździł z Gusiewym - zawchozem nieftiobazy - kołmi do Aczyńska po benzynę. Sowieckie traktory wówczas pracowały na nafcie, ale do zapalenia potrzebna była benzyna. Z Kozulki do Aczyńska po drodze było około 120 km, więc można się było kołmi ujechać. Naturalnie wrócili po trzech dniach.

W tym czasie przyszły różne rzeczy z darów i rozdzielali je. Kłótni było przy tym co nie miara. Dostałem spodnie sukienne, kałesony, szalik, rękawice, kaminiarkę i sweter, a Mamusia płaszcz i koc. Rzeczy były różne i w różnym stanie, używane i nowe, męskie w dużej mierze to mundury wojskowe z tamtej wojny, więc i powodów do niezadowolenia i kłótni było pełno, a ci co najwięcej się kłócili, dostawali na odczepne najwięcej, a najmniej ci co mieszkali po odległych kołchozach.

Były w MTS-ie dwa samochody ciężarowe, stare gaziki. Gdy zabrali do wojska starych kierowców, wyszkolili na kursach dwie dziewczyny, ale one tak słabo jeździły, że nie zawsze potrafiły wjechać w szeroką bramę, a już specjalistką od najeżdżania na słupy bramowe była Zina Zielińska - Sybiraczka o polskim nazwisku.

Już na początku zimy musiałem zostać dzień w domu i uszyć sobie nowe buty, bo w butach nie można było już wytrzymać na mrozie, a stare już zupełnie się pędały. Szyłem je z podwójnie złożonych kawałków koca, zrobionego jeszcze przed wojną z wełny z naszych owiec. Nie miałem kopyta szewskiego więc szyłem je na Mamusi butach. Najgorzej było z podeszwami, bo nie miałem grubego filcu, ani tym bardziej skóry i robiłem je zszywając odpowiednio zwijany warkocz z lnianych paków, lecz taka podeszwa była stosunkowo krótkotrwała, bo nici lniane skłębcały na dratwę, nie wytrzymywały długo i pękały a podeszwa rozkazyła się.

W połowie listopada posłali mnie do Prudawoj po czurkę i udało mi się tam kupić dwa wiaderka ziemniaków po 80 rubli. Cieszyłem się z tego bardzo, bo zazwyczaj za pieniądze nikt nie chciał sprzedawać żywności, a jedynie na wymianę za rzeczy lub inne towary. Czurkę pilowały i rąbały kobiety po kołchozach z brzozeowego drzewa, a służyła ona do papędu ciągników gąsienicowych wyposażonych w urządzenia gazogeneratorowe.

Wozikiem tą czurkę do traktora do Starej Kozulki i wróciłem dopiero nocą. Ziemniaki mi podmarzły, ale jak się takie zmarznięte trzymało na mrozie i od razu przed gotowaniem wrzuciła do zimnej wody, to nie traciły na smaku. Pewnego razu gdy wiozłem siano i już dojeżdżałem do Kozulki, zaczął wiać burian. Popędzając Macakułę wjechałem do osiedla. Droga była zjeżdżona i cała ulica była twarda. Przy nasilającym się wicherze, Macakuła w pewnej chwili upadł i nie mógł się podnieść, że sanie ciągnęły go do tyłu. Rozprzągłem go, a tymczasem burian porwał mi sanie i gnał do tyłu tak po ulicy tak szybko, że nie mogłem ich dognać. Dopiero jak zbeczyły z drogi i wparły się w narożnik domu, mogłem ponownie założyć Macakułę i podtrzymując go za udeję jakbś ponoli dowlekliśmy się do podwórza. Ledwo wówczas wróciłem do domu tak wiało, a na drugi dzień nie przestało wiać i nie było mowy o pójściu do pracy. Po przejściu burianu wiatr zanikał, rozpegadzało się i spadała temperatura. Podczas burianu bywało 10 do 15 stopni mrozu, a po jego ustaniu nieraz przekraczało nad ranem, gdy szło się do pracy, 50 stopni mrozu. Wówczas gdy się pluęko, to na ziemię spadał lód. A bywały i niższe temperatury.

Magazynierką stacji paliw była kobieta podpisująca się - Golewa, a właściwie jej nazwisko brzmiało - Cholewa. Była żoną Polaka, którego aresztowali w 1937 roku jak tysiące innych tylko za to, że w paszporcie miał napisane narodowość polska. Wówczas Stalin rozprawiał się z KPP i Polaków przeznaczony na wyniszczenie. Dużo wtedy zmieniało nazwiska, poprostu je skracając. Znałem Kotowskiego z Kobrynia, którego rodzony stryj zwał się już Kotow. Aresztowani Polacy wówczas dostawali po 10 lat łagru "bez prawa perepiski" czyli korespondencji z rodzinami. Przepadali więc na zawsze i rodziny nawet nie wiedziały czy jeszcze żyją. Golewa miała dwóch synów, którzy ojca prawie nie pamiętali. Byli typowymi polskimi dziećmi, choć już nie umieli po polsku. Jak miałem czas to zawoziłem Golewej drzewo na opał, bo była chorowita, a jej chłopcy jeszcze za mali. Odwdzięczała się mi za to jak mogła i dzięki niej zawsze mieliśmy naftę do oświetlenia, a w okresie gdy przywoziła do MTS-u chleb przydziałowy i dzieliła między pracowników, nigdy mi nie przepadła moja porcja. Trzeba pamiętać, że w sowietach było normalną rzeczą, że gdy się nie odebrało swojej porcji, wtedy gdy wydawali, choćby z powodu wyjazdu w teren wysłany tam ~~xxxx~~ przez zwierzchników do pracy, to ~~xxxx~~ porcja z tego dnia przepadała.

Gdy zimą jeździłem do tajgi po drzewo czy siano, podziwiałem wielkość stad cietrzewi. W Polsce nigdy gawrony nie latają tak dużymi stadami, jak tam cietrzewie. Zimą żywiły się one kotkami brzoź i obsiadały stare brzozy luźno stojące tak, że aż gałęzie się pod nimi uginały. Kilka razy udało mi się pożyczyc bierdanę czyli jednolufową strzelbę z zamkiem typu karabinowego, i kilka naboji, ale cietrzewie były tak czułe na broń, że nigdy nie udało mi się podejść ich na odległość pewnego strzału. Natomiast gdy byłem bez strzelby, spokojnie siedziały na drzewach gdy pod nimi przejeżdżałem. Zresztą to samo było z sarnami i danielami. Latem, gdy kosiłem zdala od wsi trawy i

puściłem konie na paszę, pomiędzy konmi pasły się sarny i danielę, ale gdy miałem strzelbę, żadnego nie było widać.

W końcu listopada Kazik Sawicki powiedział mi, że w piekarni potrzebują furmana. Poszedłem tam i kierowniczką bardzo chętnie mnie przyjął. Pracowałem tam jeden dzień i najadłem się do syta chleba, ale dyrektor MTS-u zrobił o mnie awanturę, Smolin zrugął kierowniczkę i odprawiła mnie. Nie poszedłem do roboty do MTS-u przez kilka dni i wykłócałem się z dyrektorem i zawożem, ale nic nie pomogło. Co prawda nie mogli mnie ukarać za porzucenie pracy, ale zakatwili tak, że nigdzie indziej nie mogłem pracować. Wytrzymałem przez tydzień, ale skończyło się nam dzwono, a dyrektor obiecał lepsze warunki pracy i w końcu wróciłem do MTS-u.

Już w grudniu trudno było wymienić coś na żywność. Tadek dostał konie z MTS i jeździł z Mikiciukową po wsiach z ładnymi rzeczami i prawie nic nie wymienili.

Coraz częściej zdychały na drogach konie. Z reguły już furmanami byli chłopcy 12 - 14-letni i oni nie dbali zupełnie o konie i tylko popędzali je biczami zmuszając do szybkiego biegu. Konie stojąc całe noce na mrozie i nie dostając odpowiedniej ilości siana, bo o owsie nawet nikt nie marzył, nie miały siły i padały z wycieńczenia. Ciekawe, że nikt z władz nie starał się temu przeciwdziałać i nikt za te upadki nie był pociągany do odpowiedzialności. Padlina z tych koni nie leżała długo i już po kilku godzinach z konia zostawały tylko kopyta i wnętrzności. Ciekawa rzecz, że nawet daleko od wsi padły koń nie leżał długo. Ludzie dowiadywali się o nim i znikali. W połowie grudnia było zebranie pracowników MTS-u i naczałnik politoddziełu miał pogadankę polityczną. Mówił między innymi, że "sowiety trzymają się miłością do ojczyzny" i że "taki duży kraj jak Polska padł w 47 dni, a nasze wojska odstąpiły przez 6 dni tylko 209 kilometrów". Tadek Żdanowicz nie wytrzymał, wstał i powiedział, że "od granicy do Warszawy było 170 kilometrów i niemcy szli 17 dni, a u was w 6 dni przechodzą 200 kilometrów, a wasz Krajojański Kraj tylko jeden jest sześć razy większy od Polski". Naczałnik zrobił się siny ze złości i zaczął się jąkać nie wiedząc co powiedzieć. Miejscowy byłby już poszedł do łagru, ale nam wówczas jeszcze nie mogli za to nic zrobić, a najwyżej szykanować.

Na Wigilię byliśmy z Mamusią u Gryblewskich i oba dni świąteczne nie poszliśmy do pracy. Zaraz po Świętach zmarła samotna staruszka - pani Księżka. Nasz wykopali grób pomimo, że trzeba było kuć zmarłą glinę do głębokości metra. Pan Lachowicz postarał się o trumnę. Wzięliśmy Macakułę i zrobiliśmy jej normalny pogrzeb. Miejscowi mocno się nam dziwili, że nam się tego chciało, bo oni nawet jak nieboszczyk miał rodzinę, to zostawiali ciało w trumnie w śniegu na cmentarzu do wiosny, a jak nie miał rodziny to bez trumny rzucali go w śnieg. Dopiero wiosną swoich chowali, a samotnych resztki, których nie zjadły psy, ściągali hakami do wspólnego dołu, gdy już mocno cuchnęły. W połowie stycznia przywieźli wagonem deski dla MTS-u. Zwoziliśmy je z

Tadek i Wańka. Odebrałem sobie kilka równych i bezszęcych desek i zawio-
złem do domu. Wańka poskarżył zawchozowi, ale ten sprawdziwszy, że to tylko
kilka sztuk, zostawił mi je. Zrobiłem sobie z nich stolik i taboret, a resztę
później użyłem przy wyrobie "tufosków" czyli naczyń z kory brzoźowej, na ś-
danka i pokryki.

Pod koniec stycznia dyrektor przyjął nowego pracownika do choźdźwa - Loń-
kę Masenowa - 15-0 letniego chłopca, a w miesiąc później wańkę zabrali do
wojska pomimo tego, że miał padaczkę. Jak się zdenerwował, miał grymas wykrzy-
wiający mu twarz w jedną stronę tak że tracił mowę, a raz przy nas dostał
ataku i rzucał go w śniegu. Lońka chciał go zaciągnąć na siano i wziął go
na plecy trzymając jego ręce przez ramię. Wańka w pewnej chwili dostał
kurczy i zaczął dusić Lońkę. Byli przy tym zawchoz i mechanik i zkapawszy
go za ręce z całych sił rozciągali je, a one się zaciskały i nie mogli po-
radzić. Ledwo wtedy Wańka nie zadusił Lońki, a jak był trzeźwy i nie miał
ataku każdy z nich z osobna dałby rady mu jedną ręką, bo był naógó słaby.
Wańka po tym przez dłuższy czas leżał nieprzytomny z pianą na ustach. Ale
mięso armatnie było potrzebne więc brali i takich.

Po odejściu Wańki, Tadek został Koniuchem, a ja z Lońką jeździłem koni w
transport.

Kiedys Lońki nie było kilka dni w pracy i po tym przyszedł wynędzniały i
zupełnie siny. W drodze przyznał mi się, że siedział w areszcie na milicji
z kolegą, bo podejrzewali ich, że coś ukradli. Oni się nie przyznawali więc
wsadzili ich w białiznie do podwału na lód. Gdy na drugi dzień zabierali
ich stamtąd to już nie mogli iść o własnych siłach. Nie przyznali się i po
tym więc ich puścili. Jak nie dostał od tego zapalenia płuc i nie odmroził
sobie rąk i nóg tego nie wiedziałem.

Przyjechała nasza gospodyni i zarządała żeby za mieszkanie zapłacić jej
sianem, bo kupiła jaźówkę, a nie miała swego siana. Tadek namówił mnie żeby
przywiozł siana ze sterty MTS-owskiej, gdy braliśmy je dla koni. Pojechali-
my obaj po siano trzema saniami i z pierwszymi naładowanymi sianem pojecha-
łem do domu, a Tadek w tym czasie kadował drugie sanie. Zważyłem siano pod
szopę na naszym podwórku i pojechałem z powrotem. Zawieźliśmy siano do MTSu
i poszedłem do domu, a tam już czekał mnie zawchoz z milicjantem. Okazało się
się, że Lońka wóząc wodę z wodokaczki przy stacji zobaczył mnie jak przy-
wiezłem siano i doniósł o tym zawchozowi. Musiałem odwieźć siano do podwórka
do MTS-u i spisali protokół. Na moje szczęście dyrektor nie chciał mnie się
pozbywać i sprawę zatrzymał u siebie, ale strachu miałem co nie miara.
W połowie lutego Tadek z Mamusią jeździł koni do Michajłowki wymieniać
rzeczy na żywność. Konia pozwolił wziąć dyrektor z MTS-u. Mamusia zamieniła
kłodę i bluzkę na ziemniaki, kapustę i kawałek mięsa.

Pod koniec lutego zaczęły krążyć pogłoski, że polska stołówka zostanie sam-
knięta przez władze sowieckie, a tylko niektórych Polaków mieli zapisać
jakoby do sowieckiej stołówki. Po kilku dniach zabrali z naszej stołówki
całe wyposażenie, ale 2-go marca zwrócili je zaznaczając, że zarząd ma być

sowiecki. W tych dniach mówili w "kuchonkach" czyli głośnikach radiofonii przewodowej o jakiejś rozmowach w sprawie granic Polski po wojnie. Nic z tego nikt z nas nie mógł zrozumieć, ale wszyscy tym się niepokoiili. Działo się coś niedobrego poza naszymi możliwościami wiedzy i działania, byliśmy pozbawieni zupełnie wiarygodnych wiadomości i nie na to mogliśmy poradzić. Nawet listy od znajomych z południa przestały przychodzić, a sowieckim gazetom nic nie wierzyliśmy.

5 marca Kuźmin - naczelnik rejonowego NKWD - kazał stawić się wszystkim obywatelom polskim z paszportami w milicji. Następnego dnia zwolniliśmy się z pracy z Tadkiem i rano poszliśmy do milicji. Zdecydowaliśmy się z Mamusią nie zgadzać się na odebranie nam polskich paszportów, bo już o tym wszyscy mówili, że będą je nam odbierać. 6 marca rano wszyscy Polacy zbrali się przed budynkiem milicji, ale nikt nie chciał iść pierwszy do biura milicji tak zwanego tam "pasportnego stoła". Kazałi wchodzić po dwoje, więc do jednego pokoju weszła Mamusia, a do drugiego ja. Kazałi mi od razu oddać polski paszport. Powiedziałem, że nie oddam, bo jestem obywatelem polskim i nie chcę zmieniać obywatelstwa. Naczelnik milicji Kowalenko wyrwał mi paszport z ręki wykręcając mi palce i przy tym podarł mój paszport na kawałki. Wściekły na mnie kazał mnie zamknąć w KPZ czyli do "kamiery putiewowo zadierżania" co po polsku nazywa się poprostu aresztem. Odprowadził mnie milicjant do budyneczku na podwórzu NKWD i zamknął w celi. Krótco po tym przyprowadzili Mamusię i zamknęli w celi na przeciwko. Cella była pomieszczeniem 3 x 4 metry. Połowę tej powierzchni zajmowała nara czyli prycza zbita z desek. W kącie stała stara miska zamiast kibla. Okienko 30 x 30 cm było zakratowane sztabami na krzyż i zasłonięte od zewnątrz zasłoną z desek tak, że było widać tylko mały skrawek nieba. Gdy siadłem na pryczy pojawiły się od razu całe stada pluskw, więc początkowo nie siadałem, ale nie można było stać, a gdy usiadłem zaraz oblażył mnie pluskwy. Przez noc czterokrotnie brali mnie na "doprosy" czyli przesłuchanie. Spisali kilka protokółów, dokładny życiorys i przeczytali akt oskarżenia. Dadał mi sam Kuźmin i za każdym razem namawiał żebym dobrowolnie wziął sowiecki paszport, a gdy stale odmawiałem, w złości, nazwał mnie "upornyj polskij patriot" a Kowalenko powiedział mi, że jak chcę mieć polski paszport to dostanę "polskije dwa tri goda". Powiedzieli mi, że będą mnie sądzili za chuligaństwo, bo podarłem paszport. Raz namawiając mnie "do dobrowolnego wzięcia sowieckiego paszportu, Kuźmin powiedział mi "tobie jeszcze nada za dziewczkami biegać, a nie po tiumnam szlatsia. Jeszcze chwytit tiebie wremia sidieć w tiumnie kogda wyraštiosz". Mamusię na doprosach dłużej męczyli. Wściekał ich Mamusi spokój i opanowanie. Kuźmin powiedział we wściekłości do Mamusi: "a was bliściaszczyj sistem nierwow".

W celi ściany były brudne i całe popisane różnymi napisami dat, różnych wzmianek o tym kiedy, kto i za co tam siedział i całe zamazane porozgniatanymi pluskwami. Drzwi były grube, z judaszem zakrywanym drewnianą klapą,

zamykane na zewnątrz maszyną sztabą na wielką kłódkę. Przed pójściem do milicji nie jedliśmy śniadania, a w areszcie nie dali nam tego dnia nic do jedzenia ani picia, nawet wody nie dali. Następnego dnia była niedziela i też nie dali nam nic jeść, bo jak powiedział służbowy milicjant - w niedzielę nie można było zarejestrować zapotrzebowania w stołówce, skąd brali jedzenie dla więźniów. Dał nam tylko wody do picia. Nie brali nas też tego dnia na doprosy, widocznie odpoczywali po sumiennie spędzonym tygodniu. W poniedziałek dali nam po 200 gramów chleba i misce kąpiatku rano, a w południe po pół kubka kapuśniaku z zielonych liści kapuścianych. W południe wyprowadzili Mamusię do biura Kuźmina, gdzie była pani Skipurowa, która prosiła Mamusię od wszystkich Polaków żebyśmy przyjęli sowieckie paszporty, bo inaczej wywiozą nas do łagru, a nie ma nas kto bronić, bo już ambasada polska nie działa. Mamusia po zastanowieniu się zgodziła się na przyjęcie. Kuźmin pozwolił Mamusi rozmawiać ze mną i powiedziała mi o swojej zgodzie, więc i ja się zgodziłem. Wydali nam sowieckie paszporty i znów byliśmy "sowieckimi grażdany". Po tym zaraz nas wypuścili na wolność. Pani Gryblewska zabrała nas do siebie i dała gorącej zupy. Wszyscy spotkani Polacy cieszyli się naszym widokiem, bo już bali się, że pojedziemy do łagru. Aresztowanie nas tak przestraszyło wszystkich, że już bez niczyjego protestu wszyscy wzięli sowieckie paszporty.

Po naszym wyjściu rozdzielali rzeczy z pomocy amerykańskiej, które z Krasnojarska przysłali na nasz rejon. Dali mi amerykański płaszcz wojskowy, a oprócz tego dali nam cztery puszki mleka kondensowanego, trochę tłuszczu, grochu i ryżu.

Po kilku dniach znowu wzywali wszystkich Polaków do milicji i uzupełniali ankiety personalne.

Tadek jeździł do Krasnojarska niby to do siostry, żeby się dowiedzieć czegoś więcej. W Krasnojarsku był aresztowany za nie przyjmowanie sowieckiego paszportu pan Wojtowicz i pani Irena - pracownicy delegatury - magazynierzy. W Aczyńsku było aresztowanych kilka osób z panią Jodkową na czele. W połowie marca milicjant wezwał mnie wieczorem do zakadunku wagonu. Ładowaliśmy ziemniaki i warzywa zebrane już zimą po kołchozach od kołchoźników jako "podarki dla armii" i zwożone podczas silnych mrozów saniami do Kozulki. Wszystko naturalnie zupełnie zmrożone wysypali do piwnic, gdzie to wszystko odtajało i naturalnie zaczęło odrażać gnój. Otworzono więc piwnice i ponownie wszystko zamrożono, ale była to już zgnilizna, więc odkuwaliśmy to oskardami i takie bryły ładowaliśmy do wagonu, który wysłali na "wyżywienie więźniów" do więzienia w Aczyńsku. Pracowaliśmy przy tym odkuwaniu i zakładunku prawie do rana i to naturalnie za darmo, a rano na 7-ą musiałem iść na robotę do MTS-u.

Po odebraniu nam polskich paszportów zaczęli nas znowu gorzej traktować. Po całodzienniej pracy na mrozie, często zawracali nas do dalszej pracy i

nie nie mogliśmy zrobić. Dla przykładu, gdy wróciliśmy z sianem, to naczelnik politoddziału kazał nam zaraz jechać po drzewo dla niego i wróciliśmy już późną nocą, a rano trzeba było znów być na czas w pracy. No i za te nadliczbowe godziny nikt nam nie płacił.

Pani Żdanowiczowa dostała list od córki, która po aresztowaniu delegata, wyjechała z Krasnojarska do Minusińska i pracowała tam w polskim sierocińcu. Pisała w nim, że ten sierociniec przejął sowiecki zarząd.

Już zimą po zabraniu nam paszportów, wyjechali pani Murza-Murziczowa z Daną, synkiem i starą matką do Minusińska, gdzie przebywał po zwolnieniu z więzienia pan Murza-Murzicz. Przyjechali z Głuszkowa i zatrzymali się u nas dopóki nie załatwili sobie zezwolenia na przejazd. Bez tego zezwolenia z NKWD nie mogliby wogóle dostać się do pociągu, bo nie sprzedaliby im wogóle biletów. Do pociągu starszą matkę wniósł na rękach pan Murzicz. Okazało się, że przed wojną pracował on u starych rodziców pani Murza-Murziczowej w ich majątku i po latach spotkali się na Syberii.

W końcu marca aresztowali Lolek Kępcę. Był stosunkowo krótko magazynierem w stacji paliw bałachtońskiej MTS. Zbiorniki były nie miarowe i jak przyjmował to było jeszcze dużo nafty, ale nie dowozili dłuższy czas i nafta się skończyła, a na kartotekach było jej jeszcze sporo, więc magazynier poszedł siedzieć. Siostra Lolka była już wtedy wielką działaczką ZPP, a później została żoną Radkiewicza i wyjechała do Moskwy. Matka pisała do niej żeby ratowała brata, ale ona odpisała, że nie może się kompromitować przyznaniem się do brata złodzieja. Lolek dostał wyrok i pozostał w łagrze na Syberii.

Aresztowali też w tym czasie młodego Czernika. Rodzice jego mieli w Nowogródzkim średniej wielkości gospodarstwo, a on praktykował u kowala. W Kozulce pracował w warsztatach kolejowych jako kowal i był tam ceniony jako dobry fachowiec. Podobno źle się wyraził o władzy sowieckiej, aresztowali go i dostał bez sądu dwa czy trzy lata łagru. Gdy naszych zabierali z Syberii, rodzice jego i pan Lachowicz starali się o jego zwolnienie, pisali nawet do Moskwy i do głównego zarządu ZPP i nic nie pomogło. Czernik napisał do rodziców wprost, że ma dobrą robotę i znośne warunki, ale o zwolnieniu go nie ma mowy, bo jest potrzebny na miejscu w zakładzie. No i został tam na zawsze, a starzy rodzice wrócili do Polski sami. Znając działalność NKWD myślę, że Czernik nic nie zawinił, tylko potrzebowali dobrego fachowca do jakiegoś swojego zakładu w którymś łagrze, więc go aresztowali i wsadzili na dwa - trzy lata, a naczelnik łagru już mu ten "wyrok" potrafił przedłużać w nieskończoność. Zresztą tak samo postępowali i ze swoimi miejscowymi.

Gdy Mamusia siedziała w areszcie, siedziała z nią kobieta którą oskarżyli o handel na stacji. Mąż jej był w armii, a ona miała na utrzymaniu dwoje małych dzieci. Na prazdnik rewolucji kupiła butelkę wódki i zamieniła z żołnierzem z transportu tą wódkę na bieliznę. Drugi żołnierz wezwał milicjanta i oskarżył ją o handel.

Dali jej 6 lat łagru i czekała na transport, a dzieci pozostały same. W kwietniu drogi zaczęły się psuć, konie i sanie zarywały się, więc po drzewo i siano jeździliśmy nocą, wyjeżdżając przed 4-ą, a po powrocie pracowaliśmy na miejscu.

14 kwietnia sowieci zawiadomili Polaków na zwołanym w tej sprawie zebraniu, że będą nas według potrzeby brać na spław drzewa. W pierwszej kolejności wyznaczyli panie: Materską, Drozdowską i Mikiciukową. Miały jechać same, a dzieci miały zostać na miejscu w Kozulce. Z czego miały żyć i kto się miał nimi opiekować tego nie powiedzieli. Na szczęście nim je zabraли, przyszło zawiadomienie ponoć z samej Moskwy, że Polaków nie wolno brać na przymusowe roboty. No i wszystkim spadł kamień z serca, bo wiadomo było, że jak by zaczęli brać to rozpędziliby nas tak, jak zrobili to z Niemcami Powożańskimi, a później z Czuwaszami.

Nie wspomniąłem jeszcze o jednym charakterystycznym dla Sowietów wydarzeniu. W styczniu podczas szalejącego burianu zepsuł się parowóz ciągnący, jak wszystkie tam, długi skład ładownych wagonów i zawiąło go dokumentnie. W kilka godzin ze wszystkich okolicznych kołchozów zebrała MWD i milicja wszystkie zdolne do pracy kobiety i kazali im odkopywać ten pociąg. Burian wiał na całego, a one odwalaly śnieg, który ciągle nawiewało. Pociągi szły z drugim torem bez przerwy, więc było podwójne zagrożenie, raz zawiania, a drugi raz dostania się pod pędzący pociąg. Trzeba zaznaczyć, że pociągi tam jeździły z prędkością ponad 100 km/godzinę i parowozy miały na przodzie dwustronne pługi rozbijające mniejsze zasy, a co jakiś czas, zależnie od potrzeby pomiędzy pociągami jechał pług wirowy oczyszczający tory ze śniegu, tak że jedynie stojący pociąg był zawiewany. Przy odkopywaniu tego pociągu trzymali wszystkich przez ponad czternaście godzin. Parowóz przymarzał do torów, bo topniejący na kotle śnieg, opadając na dół momentalnie zamarzał. Trzeba było go odkuwać. Podstawili kilka zapasowych parowozów, które bez przerwy torowały drogę przed i za tym pociągiem. Wreszcie burian zaczął słabnąć i udało się na tyle odkopać pociąg, że dodatkowe parowozy zdołały go ruszyć i pociągnąć. Kobiety mogły wracać do domów odległych o kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt kilometrów. Nikt im przy pracy nie dawał gorących posiłków ani nawet kąpiatki, a jedynie mogły od czasu do czasu pogrzać się przy rozpalonych na przytorzu ogniach. Było przy tej pracy dużo odmrożeń, ale nikt nie martwił się tym, a uszkodzone musiały się leczyć własnym przemysłem.

Pod koniec kwietnia zmarła matka pani Dusiovej i 18-go wieczorem po pracy zrobiliśmy jej pogrzeb. Jak zwykle jedni kopali grób, pan Lachowicz postarał się o trumnę, a ja wziąłem Macakułę i zawiozłem nim nieboszczkę na cmentarz. Na cmentarzu jeszcze nie pochowane wałowały się niedojezione przez psy resztki umarłych samotnych, których trupy wywozili zimą poprostu i rzucali w śnieg. Dopiero jak z cmentarza już za mocno śmierdziało, posyłali kogoś do zakopania tych resztek. Wówczas kopali dół i hakami ściągali wszystko do niego i zasypywali.

Wieczorem 19 kwietnia przynieśli mi powiestkę czyli wezwanie do wojenkomatu i następnego dnia wszyscy przesiadzieliśmy cały dzień w wojenkomacie. Wszystkich mężczyzn do 25-ego rocznika włącznie po komisji wzięli na "uczot" i wydali im "wremiennyje udostowierenijsa", a 26-y rocznik tylko na "uczot". Wojenkom powiedział nam, że będą tworzyć Polskie Wojsko, ale nie takie "burżujskie" jak było Andersa, "który zdradził i uciekł ze swoim wojskiem zamiast dopełnić zobowiązań sojuszniczych i iść na front bić germańca". Na 1-go maja zrobili wolny dzień od pracy i nawet przywieźli do MTS-u piwo w beczka i każdy mógł pić ile chciał za darmo, Piwo było bardzo podłe, ale i tak pili je ile wlaźło. Jak praznik to Praznik.

W maju zacząłem brać ogrody pracownikom i naturalnie pierwszemu oraczem naczelnikowi polityoddzieła. Żona dyrektora, gdy im zaorałem dała mi talerz zupy. Orząc starałem się podnieść wyerane czasem ziemniaki i zawsze kilka przyniosłem w kieszeniach do domu. Jedliśmy zupy z młodej pokrzywy, którą Mamusia z trudem zbierała, bo na pójsie do tajgi nie miała siły, a w osiedlu kobiety nie dawały rwać pod ich płotami, bo mówiły, że same będą ją rwały, bo nie ma co jeść. Mamusia znowu puchła z głodu, bo stołówkę polską zamknęli i nie można było niczego z żywności kupić. Gdy przyniosłem pierwszy raz kilka zebranych drobnych ziemniaków i Mamusia pokroiła je i ugotowała w zupie z pokrzywy, gdyśmy ją jedli Mamusia powiedziała do mnie: "a znowu wiesz z ziemniakami zupa zupełnie inaczej smakuje". A było tego mała garstka na pięciolitrowy garnek zupy. Mamusia z dnia na dzień słabła i lekarka z ambulatorium powiedziała pani Gryblwskiej, że nie pociągnie już długo.

W początku maja posłał mnie dyrektor konno do Bałachtonu do tamtejszego MTS-u po części do traktorów, które mieli tam wytoczyć, bo w naszym MTS-ie nie mieli tokarni. Zajechałem tam już po południu i okazało się, że jeszcze nie skończyli toczyć i kazali mi czekać do następnego dnia. Ponieważ w Bałachtonie nikogo nie znałem i nie miałem gdzie nocować ani co jeść więc zawróciłem Ryżkę i pojechałem do Głuszkowa. Przyjął mnie na nocleg Kuźma Sprużewnik. Nakarmili mnie czym mieli i najadłem się wtedy "po same uszy" jak to zanotowałem w swoich zapiskach. Rano chodziłem ze Stasiem Sprużewnikiem na polowanie, ale nie miałem dużo czasu i nic nie ubiliśmy. Zachodziłem też do naszej dawnej gospođyni. Poczęstowała mnie kawałkiem chleba i mlekiem i wypytywała się o Mamusię. Mały Waniuszka podskakiwał z radości i oświadczył mi, że "u nas siewodnia praznik", bo mamka upiekła chleba i kowrowka ocieliła się i mamka maśle sdielała i małako jeść". Tak to dziecko syberyjskie uważało za wielkie święta jak w domu był bochenek razowego chleba i mogło napić się dowolnie mleka. Jeszcze w zimie tenże Waniuszka słysząc jak w niedzielę i święta odmawialiśmy razem głośno pacierze, pewnego wieczora zaczął presić matkę: "mamka nauczy mienia molaćsia Bogu" i powtarzał tę prośbę tak długo, aż matka zaczęła go uczyć "Otcze nasz...".

Wszyscy w Głuszkowie przyjeźni się do mnie odnosili i wypytywali o Mamusię.

Do Bałachtonu zajechałem już po południu i jeszcze czekałem na te części. W powrotnej drodze musiałem kilkakrotnie popasać, bo Ryżka ledwo się włóka i do domu zajechałem już nad ranem.

9 maja przez radio ogłosili, że "po ukazie prezidiuma wierchownogo sowieta" tworzy się polska dywizja piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, która ma bić się na froncie wspólnie z armią czerwoną.

Od początku maja znów ciągle chodziły pogłoski o tym, że mieli nas Polaków wywieść na północ na roboty przymusowe. Wszyscy byli tym podenerwowani, bo właściwie nikt nie wiedział, a każdy domyślał się najgorszego, bo mieliśmy przykład z Niemcami Powożzańskimi. W połowie maja zaczęli roznosić powiestki z rajispołkoma na roboty. Dawali je nawet matkom małych dzieci. Tymczasem broniły swych pracowników instytucje, w których pracowali, ale nie wiadomo było jak długo to potrwa. Pana Murzicza i Drozdowskiego wysłali jako zmobilizowanych na roboty do tajgi do smolarni. Podczas obiadu 15 maja doręczyli mi powiestkę z rajispołkoma. Kaczałnik politodzieła Droszew powiedział mi żebym nigdzie nie chodził, a on to sam załatwi. Wieczorem tego dnia roznosili powiestki z rajwejenkomatu na stawienie się w poniedziałek wszystkich mężczyzn Polaków. Po stawieniu się przeszli powtórnie komisję wojskową i zapowiedzieli im, że nie wolno im oddalać się poza Kozulkę bez powiadomienia wojenkomatu. To, że mieli brać naszych do wojska, uratowało nas wszystkich od przymusowej pracy.

Przy domu w którym mieszkaliśmy był ogród naszej gospodyni. Wprawdzie ona mieszkała stale w Krasnojarsku, ale z tego ogrodu korzystała. Zaorałem jej ten ogród i dała nam połowę do użytku. Pod koniec maja wezwano Mamusię do prokuratury i pomprokurator zapowiedziała Mamusi, że nie wolno ogrodu ruszać, bo ona zajmuje ten ogród dla siebie. Nasza chazajka nie usłuchała tego i zasiała swoją część. Wtedy prokuratorka poszła i posadziła swoje po grzędach chazajki, a ją postraszyła przez MKWD, że jak się zjawi w Kozulce to ją zamknie i pośle do łagru. Taka to "praworządność" sowiecka. Prokuratorka ta mieszkała na drugim końcu osiedla, ale ogród naszej chazajki był porządnie ogrodzony i uprawiony więc czemu nie miała go sobie zabrać. Przez to nie mieliśmy znów ogrodu. Przywiozłem sobie tylko końskiego gnoju z MTS-a i zrobiłem grzędę gnojową, na której zasiałem ogórki. Po prostu tam wszyscy uprawiali tak ogórki, bo wprost na gruncie słabo rosły. Ogórek potrzebuje ciepłego podłoża, a koński gnoj je ~~ix~~ zapewniał. Pod oknem mieliśmy plac zadarniony i tam ogrodziłem półtem kawałek i uprawiłem na ogródek, ale to trwało dość długo, bo mogłem to robić tylko wieczorami po pracy, i mało mieliśmy z tego pożytku. Jeszcze do tego Mamusi sprzedali na bazarze rozsadę oszukaną, bo zamiast kapusty był jakiś rzepak czy coś w tym rodzaju.

W końcu maja pogolili naszym głowy i czekali kilka dni na odprawę, a w końcu posłali ich do Aczyńska, a stamtąd już większą grupą pojechali pod Moskwę.

Orazem przez cały maj ogrody i czasem coś zarobiłem. Ogrodów tych było dużo, bo wszystkie rodziny dawnych pracowników MTS-u, którzy odeszli do wojska miały do tego prawo, a konie były i dyrektor przestrzegał tej zasady. Od niektórych dostawałem trochę mleka lub talerz zupy. Pod koniec maja udało mi się urwać i przez dwa popołudnia zaorałem ogród nauczycielowi w Malinogórze i dostałem za to 600 gramów masła, wiadro ziemniaków i 4 litry mleka. Było to dla nas bardzo dużo, bo zupełnie nie mieliśmy co jeść. Mamusia tak zasłabła i spuchła z głodu, że nie mogła chodzić i leżała. Pani Gryblewska poprosiła doktorkę żeby Mamusię zbadała. Doktorka ta przechodziła pod naszymi oknami do pracy w ambulatorium, zaszła do nas, popatrzyła na Mamusię i po wyjściu powiedziała, że to już ostatnie dni Mamusi życia i ona nic nie może pomóc. No i te ziemniaki, mleko i masło w ostatniej dosłownie chwili uratowały Mamusię.

Pod koniec maja dyrektor uzgodnił z kołchozem w Szarkowce i zaorałem kawałek ugoru pod ziemniaki pracowników MTS-u. Posadziliśmy z Mamusią i dla nas kilka wiaderek drobicy ziemniaczanej, którą dyrektor nam załatwił. Niestety pole było gliniaste i do tego bardzo zarosnięte i nie można było z braku czasu i sił oczyścić go należycie.

W czerwcu Mamusia poszła do pracy do sielpa / coś w rodzaju naszych GSów w sowieckim wydaniu / do krajania i kiszzenia czeremszy. Po kilku dniach wszystkie kobiety i dziewczęta od tej roboty poszali zbierać czeremszę do tajgi za Sobolewkę. Było tam z nimi sporo dzieciarni naszej i miejscowej, którą też zapędzili do zbierania. Podczas zbierania zabłądzili i po długich poszukiwaniach drogi wyszli koło Krupskiej. Z tego zbierania wrócili wszyscy długo po północy ledwo żywi i przemoczeni zupełnie przechodzącym deszczem. Po tym wysiłku Mamusia bardzo źle się czuła i następnego dnia stojąc w kolejce po chleb zemdląca. Tam już tak ludzie przyzwyczaili się do omdleń, a nawet śmiać na ulicy, że nie zwracali zupełnie uwagi na leżących nieprzytomnych. Mamusia leżała tak na ulicy dłuższy czas. Dopiero któraś z kobiet miejscowych przechodząc powiedziała o tym pani Gryblewskiej, która z córkami zaraz poszła i Mamusię zabrały do domu.

Krótko po tym ja dostałem wysokiej gorączki i przeleżałem trzy dni na kręwpół przytomny, ale czwartego dnia poszedłem na robotę i pojechaliśmy piłowić drzewo do tajgi.

Jednej niedzieli w czerwcu dali mi wolne i poszliśmy z Mamusią do tajgi i napiłowaliśmy trochę brzoź na klocki, z których ściągnąłem korę na tujeski czyli naczynia z kory brzoźowej. Fedpatrzyłem jak tam to robili i sam zrobiłem tego sporo. Naczynia te były tym dobre, że nie nasiąkały zupełnie i trzymały temperaturę podobnie jak termocy. Dla przykładu gorące ziemniaki ugniecione w tujesku lub zupa wiana rano, była zupełnie gorąca jeszcze w południe. Niestety Mamusia była bardzo słaba i nie mogliśmy tego dużo napiłować, a oprócz tego komary nie dawały spokoju.

Któregoś dnia staliśmy na ganku biura MTS-u i był z nami dyrektor. Przechodził akurat młody inwalida bez

bez prawej ręki, który przed wojną był traktorzystą w MTS-ie i odszedł żeby się przywitać. Miał torbę przez ramię i na zapytanie co robi odpowiedział, że nauczył się pisać lewą ręką jeszcze w szpitalu i teraz zatrudnili go jako poborcę podatkowego w sielsowiecie. Gdy on odszedł dyrektor, patrząc za nim powiedział: "ot naszym to dadzą sumeczkę i niech się nią cieszy, a jak pojedzie się do Krasnojarska to w krajowych urzędach siedzą sami jebreje". Dyrektor pochodził z pod Bałachtonu, miał ukończoną jedną klasę szkoły podstawowej i pół roczny kurs dla kierowników przedsiębiorstw. Czytał bardzo słabo i zawsze przy tym głośno czytając jakąś się wstawiając pomiędzy sylaby, stałe "eeee". Był poprzednio kierownikiem różnych przedsiębiorstw. Na ogół był porządnym człowiekiem i nie spotkałem u niego jakiejś złośliwości, która była nagminną cechą sowieckich kierowników i naczelników. Kiedyś opowiadał nam o okresie rozkułaczania na tych terenach. W jego wsi żyła rodzina bezdzietnych starszych już gospodarzy. Przygarnęli oni chłopca sierotę i chowali jak syna, ale będąc chłopami nawet nie wiedzieli o możliwości adopcji i chłopiec miał nazwisko swoich rodziców. Jak przyszedł nakaz rozkułaczania to określili to, że kułak to gospodarz zatrudniający najemnego robotnika. Ponieważ od czasów carskich było tam przyjęte, że każdy uprawiał tyle ziemi ile zdołał uprawić i tyle chował koni i krów ile zdołał przeżywić przez zimę, więc bogactwo tam nie wchodziło w grę i choć wspomniany gospodarz był jednym z biedniejszych, bo nie miał już siły, uznali go za kułaka. A kułaków tam wówczas wywozili do tajgi. Wywożeni mogli zabrać tylko tyle co zmieścili na jednym jednekonnym wozie i pędzili ich czekiści na północ w głąb tajgi. Mężczyźni musieli przerąbywać drogę i tak wywieźli ich ponad sto dwadzieścia kilometrów w głąb tajgi i na jakiejś polanie zostawili zaznaczając im, że kogo z nich złapią na drodze uciekającego z tej zsyłki tego na miejscu zastrzelą. Na wywiezieni pobudowali sobie jakie takie mieszkania, nastąpiła zima i z mrozów i głodu większość ich tam zaraz pierwszej zimy wyginęła. Pozostali wybudowali kilka wsi. Potem w okresie kolektywizacji zrobili tam też kołchozy, ale żadnej mechanizacji nie dali im tam. Wspomniani przez dyrektora gospodarze pojechali tam razem ze swym wychowankiem. Takie to było wykonanie nakazanej przez partię z Moskwy walki klasowej.

Jak zimą zmniejszili nam przydziały chleba i dostawałem tylko na siebie 500 gramów, a na Mamusię jako "izżywieńca" 200 gramów. Do tego coraz częściej zdarzało się, że przez dzień, a nawet kilka dni nie dawali chleba wcale, a potem zaległy przydział przepadał. Chleb piekli tam w blaszanych formach takich jak u nas są do pieczenia babek "piaskowych". Mieściło się w takiej blaszance dwa kilogramy razowca, a uzyskiwali to w ten sposób, że na rosnące ciasto leli zimną wodę, mieszało to i wlewali do blaszanek. Żeby ciasto nie przystawało do blachy smarowali blaszki olejem siłnikowym brany z bazy paliw w MTS-ie. Chleb taki po upieczeniu nie miał chrupki

a miękie gliniaste ciasto pod spieczoną skórką. Uzyskiwali w ten sposób oficjalnie 150 % przypieku, a przecież to co pracownicy piekarni zjedli musieli też pokryć. Z tego też powodu nasz przydział był tak mały, że nie wiadomo było jak go jeść. Naturalnie Mamusia nie chciała jeść mojego przydziału, a jej 200 gramów to była cienka kromka.

Pod koniec czerwca jeździłem koniem w wolną niedzielę do Głuszkowa żeby coś wymienić na żywność. Sprużewnicy i Gudynicha /była nasza gospodyni/ nakarmili mnie do syta, ale nic nie zamieniłem, a w domu zupełnie już nie mieliśmy żywności. Mamusi znów się pogorszyło, puchła i zupełnie oszabła. Ja mogłem tylko od czasu do czasu zarobić butelkę mleka za jakąś robotę, czy sprzedając zrobione w wolnych chwilach tujeski, koromyska czy łyki, ale to nie ratowało sytuacji.

Pod koniec czerwca przez kilka dni wiał lekki wiatr od północy i nawiał z tajgi olbrzymie ilości komarów i meszek tak, że nawet konie nie wytrzymały na pastwisku. Jeździliśmy na łąki i kosili trawę dla koni i przez ten krótki czas koń był cały okrwawiony od komarów, a my mieliśmy całe twarze usmarowane krwią tak, że wyglądaliśmy jakbyśmy kąpali się we krwi. Poza tym ukąszenia te były bardzo bolesne i niektórzy puchli od nich tak że prawie tracili wzrok.

W drugiej połowie czerwca była komisja wojskowa dla naszych dziewcząt i wzięli je na ucztę. Marysia Gryblewska pracowała od pewnego czasu w ambulatorium rejonowym jako "wraz" czyli lekarz okulista. Nie miała do tego żadnego przygotowania, ale nie mieli personelu, a dużo tam chorowało na egipskie zapalenie oczu, więc doktorka pokazała jej jak ma smarować chore oczy odpowiednią maścią ~~nie~~ na i Marysia została "wrazem". Po komisji wojskowej zaraz wzięli ją i wysłali do Krasnojarska, a stamtąd w grupie 60-ku dziewcząt na zachód do wojska. Przed odjazdem z Krasnojarska kazali im śpiewać Rotę, Jeszcze Polska i modlić się. Tacy to już zrobili się sowieci kochający Polaków, Polskę i Boga.

Po odjeździe Tadka Żdanowicza do wojska, zostałem sam i byłem najstarszym pracownikiem chozdwera w MTS-ie. Już nie piłowaliśmy drzewa na szczapinę, bo nie było komu tego robić, a tylko ciągliśmy z zawchozem drzewo na długość wozu i takie przywoziłem do palenia.

W lipcu dyrektor załatwił dowóz dla stałych pracowników MTS-u obiadów ze stołówki rejonowej. Była to zupa z czeremszy niczym nie zaprawiana tylko osolona, ale zawsze coś się zjadło. Polską stołówkę zlikwidowali sowieci jeszcze na początku zimy i poza chlebem, który też był wydawany nieregularnie, a zaległości poprostu przepadały, nie mieliśmy stałego posiłku. Co prawda nie długo trwało to dowożenie, bo już po miesiącu przestali, ale zawsze trochę to pomogło przetrwać do zbiorów.

Na szczęście dla nas dyrektor załatwił to, że dla pracowników MTS-u przywozili chleb do MTS-u i Golewa w izbuszce stacji paliw wydawała przydziały pracownikom. Odpadła więc groźba przepadania zaległości i nie musiała

Mamusia stać codziennie w kolejce pod sklepem wydającym chleb. W początku lipca wrócił pan Lachowicz i jeden Żydek z nad Oki, odrzuceni tam przez komisję poborową i powiadali jak tam było. Wszystkie matki, których synów wzięli do wojska wypytywały ich obu o wszystkie szczegóły wyżywienia, zakwaterowania i umundurowania. Każda chciała z pierwszych ust słyszeć o wszystkim.

8 lipca w sowieckich gazetach znalazła się krótka wzmianka: "Gibiel generała Sikorskiego". Wszyscy Polacy chodzili jak struci. Wszyscy zesłani mieli nadzieję, że Rząd Polski z generałem Sikorskim wyrwie nas z sowieckich łap i pamiętali pomoc udzieloną przez Czerwony Krzyż poprzez Ambasadę Polską reprezentującą Rząd Sikorskiego, a nieliczna prasa polska, która do nas dotarła z ambasady, utwierdziła we wszystkich wiarę w to, że generał Sikorski ma nieograniczone wpływy na mocarstwa zachodnie. Nikt z nas nie mógł wtedy wiedzieć, że było inaczej, że nasi sprzymierzeńcy zachodni już nas sprzedali sowietom rozdzielając ze Stalinem strefy swych wpływów w powojennej Europie, a Sikorski był już niepotrzebny więc się go pozbyli.

Krótko po tej smutnej wiadomości rozchorowałem się. Miałem wysoką gorączkę i kilka dni leżałem półprzytomny. Wówczas już Golewa wydawała chleb dla pracowników MTS-u i gdy byłem chory, przysyłała mój "pajek" przez swego syna Igora. Przyniosłszy nam chleb opowiadał, że z bratem i kilku innymi chłopcami w wieku 8 - 10 lat, chodzili do tajgi zbierać orzeszki cedrowe. Gdy siedzieli na drzewach i rwali szyszki, zauważyli ich polujący tam naczelnicy rejonowi. Smolin i kilku innych naczelników strzałami ze strzelb myśliwskich zegnali chłopców z drzew, odebrali im wszystkie orzeszki i poszczuli psami. Chłopcy pół żywi wrócili podrapani i pokaleczeni z niczym do domu. A trzeba zaznaczyć, że z urzędu nikt nie zbierał orzeszków cedrowych i czego nie zjadły wiewiórki i burunduki, opadało i gingko w zaroślach, nie mając możliwości skiełkowania i wzrostu, z powodu gęstości tajgi. Ale edebrawany dzieciarni miało naczalstwo orzeszki bez kłopotu wchodzenia na drzewa i zbierania.

13 lipca poszedłem na robotę i posłali mnie samego do tajgi po belki potrzebne do naprawy sieni w domu naczelnika politykddzieka. Pojechałem wozem w parę koni i ścinałem drzewa siekierą z pnia. Już podczas tej pracy czułem tępy ból w głowie. Nakładowałem pełen wóz belek i zawiozłem do naczelnika. Ledwie zdołałem rozprząc konie i wracałem do domu idąc jak pijany, zataczałem się co chwila i ledwo się dowlokłem. Po dojściu do domu zaraz się położyłem do łóżka. W nocy zdawało mi się, że już konam, miałem całkiem sztywny kark, nie mogłem się wcale poruszyć, dostałem gorączki ponad czterdzieści stopni i zupełnie nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Prawie zupełnie oślepnę. Gdy Mamusia pochyliła się nade mną z najwyższym wysiłkiem wyszeptać "Mamusiu wody z Lourdu". Pamiętałem, że Mamusia miała na dnie buteleczki trochę wody, którą dostała od Franciszkanów jeszcze przed wojną. Gdy Mamusia spełniła moją prośbę, usnąłem.

Leżałem nieprzytomny w domu przez cztery dni. Dopiero uproszona przez Mamusię lekarka, zobaczywszy mnie, orzekła że to "Meningitis" i kazała mnie zaraz zawieść do szpitala. Akurat nasza sąsiadka Sybiraczka, pracująca w którejś instytucji jako koniuch, przywiozła sobie wodę i na prośbę Mamusi zawiozła mnie do pobliskiego szpitala, położonego na tej samej ulicy. Wiem to z opowiadań Mamusi, bo nic z tego nie pamiętałem. W szpitalu przeleżałem nieprzytomny kilka dni. Gdy zacząłem odzyskiwać przytomność stwierdziłem, że leżałem na sali pełnej łóżek, na których obok siebie leżeli chorzy mężczyźni, kobiety i dzieci. Później już dowiedziałem się, że była to sala - wykańczalnia, gdzie kładli beznadziejnie chorych, nie rokujących zdaniem jedynej w szpitalu lekarki - doktor Jakuszczenko, nadziei wyleczenia. Kilka razy dziennie siostra dawała mi zastrzyk w udo nie ściągając bielizny i nie dezynfekując miejsca wkucia. Trzy razy dziennie dawali w tym szpitalu wodnistą zupę z kaszy pszennej lub jęczmiennej na wodzie, czasem trochę zabieloną mlekiem. Gdy byłem nieprzytomny nic mi nie dawano, dopiero jak sam zdołałem jeść, zaczęli mnie nie omijać z jedzeniem. O basenie nie było mowy i gdy poczułem potrzebę, musiałem się zwlec z łóżka i trochę opierając się o ścianę, a trochę na czworakach dopełznąć do wychodka z znajdującego się na końcu korytarza. Ci co leżeli nieprzytomni, załatwiali się pod siebie. Jedyna siostra dyżurna rzadko zaglądała do poszczególnych chorych. Po kilku dniach, gdy już byłem zupełnie przytomny, przeniesiono mnie do innej sali, gdzie leżeli sami mężczyźni. Doktor Jakuszczenko robił co mogła i gdy tylko mogła przetrzymywała chorych do zupełnego wyzdrowienia wbrew rozporządzeniom władz, które nie uznawały chorych bez gorączki. Po jakimś czasie poczułem głód. Porcje szpitalne były zupełnie nie wystarczające nawet dla małego dziecka. Mamusia przynosiła mi zdobyte skądś trochę ziemniaki i zacierki i podawała to przez okno. Każdego dnia czekałem na to jedzenie. Obok mnie leżał Sybirak z pod Bałachtenu, który z pod Stalingradu, po wyleczeniu rany został wysłany na Syberię po konie na uzupełnienie jednostki. W drodze zaziębił się i z dużą gorączką wysadzili go w Kozulce na stacji z jego eszelonu. Leżał dość długo i doktor Jakuszczenko przedłużała mu ciągle pobyt. Opowiadał mi jak był u Kołczaka w 1919 roku i jak się cofali bez boju, bo nie chcieli się bić z bolszewikami. Zrzucali z podwódt amunicję i sami na nie siadali. Nie słuchali zupełnie rozkazów. Mówił mi, że tylko Polska Dywizja ich osłaniała od bolszewików. Gdy przechodzili przez te strony uciekł poprostu do domu. Myślał, że wojna dla niego się skończyła, a tymczasem po krótkim czasie zabrali go czekiści do więzienia w Krasnojarsku. Trzymali ich tam w podвале bez okien. Jego po pewnym czasie zaczęli brać do roboty i wówczas widział jak czekiści wykańczali swoje ofiary. Był w tym budynku korytarz kończący się drzwiami na zewnątrz, za którymi rozebrali ganek tak, że był spory dół. Dwóch czekistów stało na zewnątrz budynku przy tych drzwiach z buzdycanami, a inni podzieliłi pojedynczo skazanych na wykończenie. Drzwi na zewnątrz były otwa-

i gdy taki skazany stawał w nich, któryś z czekistów walił go buzdycanem w potylicę i trup spadał za drzwi do dołu. No i szedł następny. Mówił mi, że w czasie były dni gdy oni wywozili do trzystu trupów z pod tych drzwi i wzięli je pod strażą do pobliskiego jaru, gdzie je zwałali, a gdy jar się zapiekniał, wozili na to miejsce ziemię do zasypiania. Mówił, że dopiero wtedy zrozumiał jaką głupotę robili nie chcąc się bić. Przesiedział tak kilka miesięcy a potem wzięli go do czerwonej armii i przeszedł jeszcze kilka lat nim wrócił do domu, na to żeby pójść do kokchozu.

Przy mnie leżał chłopiec może 10-c letni, który potknął się w domu, gdy matka prała i upadając wsadził rękę do garnka z wrzątkiem. Oparzył sobie tak dłoń, że mu odpadały po kawałku palce. Nie miał w tej dłoni czucia. Jedyne lekarstwo, które mu dawano to roztwór nadmanganianu potasu, którym co pewien czas zwilżał sobie otwarte rany obumierającej dłoni. Nie bolało go to i na ogół był wesoły.

Leżało też na tej sali kilku mężczyzn pod obserwacją, którzy mieli padaczkę. Lekarz miał stwierdzić u nich stopień choroby i w zależności od tego brali takich do linii lub na trudafrent do strajbatów. Gdy taki delikwent dostawał ataku i trzęsła nim po podłodze tak, że kilku ludzi nie mogło go utrzymać, a potem był przez jakiś czas nieprzytomny, dla stwierdzenia czy to nie symulacja, przypalali go ogniem. Gdy skóra się smażyła, a on mimo to nie drgnął uznawano, że naprawdę jest chory.

W początku sierpnia byłem już zupełnie zdrowy i po kilku dniach wypisali mnie ze szpitala. Doktor Jakuszczenko powiedziała mi, że jak ponad dwadzieścia lat leczy w Kozulce, to pierwszy wypadek, że wypisuje ze szpitala po zapaleniu opon mózgowych zupełnie zdrowego, bez żadnych komplikacji. Dała mi jeszcze trzy dni zwolnienia od pracy. Następnego dnia poszedłem z Mamusią do tajgi na spalenisko, gdzie wiedziałem, że rosły maliny. Szliśmy bardzo wolno i kilka razy odpoczawaliśmy. Na miejscu najedliśmy się do syta malinami i nabieraliśmy ich całe wiadro. Takie tam rosły maliny, że nie widziałem lepszych wśród najlepszych odmian ogrodowych w Polsce. Pędy tych malin miały do dwóch metrów i więcej wysokości i na całej długości były dosłownie oblepione wielkimi i bardzo soczystymi owocami.

Gdy pierwszy dzień poszedłem do pracy, zawhoz popatrzył na mnie i powiedział że bym poszedł do domu, bo i tak nie będzie pożytku ze mnie w pracy. Następnego dnia wzięłem konie do kosiarki i pojechałem kosić trawę na trakt. Po krótkim czasie dostałem krwiotoku z nosa. Zawhoz, który akurat prz przyjechał do mnie, kazał mi położyć się w cieniu, a sam siadł na kosiarkę i kosił do wieczora. Następane dni składaliśmy siano w kopy i stertowali na łąkach wcześniej skoszonych. Z dnia na dzień wracały mi siły. Pogoda była śliczna. W dniu gdy kosiłem na odległych łąkach - polanach pomiędzy tajgą, wykaszaliśmy po trosze i dla siebie. Były to łąki pod Kiemczugiem o około 20 km od Kozulki, więc nie wracałem co wieczór do domu, a zrobiłem sobie szałas i nocowałem na tych łąkach. Gdy zmęczone konie puszczałem na paszę, szedłem w

tajgę i zbierałem grzyby. Czasem znalazłem i inne grzyby, ale grzyby były tym cennie, że solone dobrze trzymały się i zimą były jak mięso. Wieczorem zakładałem wędkę w pobliskim "kliuczu" czyli strumieniu w tajdze, ale mało łowiłem, bo do dobrych łowisk było daleko, a pobliskie były już wyniszczone. Na noc konie pętałem rzemieniami, a sam rozpalałem ogień przed szałasem i zakopywałem się w siano i spałem. Raz zbudził mnie tupot koni. Było już nad ranem. Zobaczyłem koło kosiarki niedźwiedzia, który obwąchiwał leżącą uprzęż i kosiarkę. Miałem przy sobie tylko nóż i siekierę, więc nie było mowy o zaczepieniu niedźwiedzia. Przyznaję, że miałem dobrego stracha, bo ognisko zupełnie przygasło, a miś mógł zainteresować się moją osobą. Na moje szczęście po jakimś czasie niedźwiedziowi znudziło się i poszedł sobie do tajgi. Już nie spałem, tylko poszedłem śladem szukać wełch koni. Uciekły prasto do MTS-u. Po drodze znalazłem pęto, a na podwórzu MTS-u oba konie. Macakuła jakoś rozpętała się, a Waska przebiegła te dwadzieścia kilometrów spętany. Gdy zjawiłem się w MTS-ie zawchoz od razu powiedział, że napawno konie złąkły się niedźwiedzia, bo nie chciały iść na paszę tylko stały w podwórzu.

Znowu w sierpniu były kłopoty z przydziałem chleba dla Mamusi. Najpierw nie chcieli go dać wogóle a potem, gdy po staraniach pani Skipurowej wrószcie dali, to znów nie chcieli zarejestrować tego przydziału. W końcu Golewa dawała mi chleb na Mamusię razem z moim bez rejestracji. Marażała się przy tym, ale jakoś się udało bez kontroli.

21 sierpnia byłem znów wzywany do rajwojenkomatu i przechodziłem komisję lekarską. Badała doktor Jakuszczenko, a wojenkom powiedział, że z całego 1926 rocznika, który stawał do poboru byłem najwyższy i najwięcej ważyłem. Miałem wtedy 176 cm wzrostu i ważyłem mimo wychudzenia 70 kilogramów. Gdy nakosiłem więcej trawy, zawchoz zbierał kogo mógł z MTS-u i stertowaliśmy siano. Czasem brałem z izbuszki przy stacji paliw bierdanę i w powrotnej drodze próbowałem coś upolować, ale wtedy najczęściej nic nie widziałem, a jak nie miałem strzelby to sarny i jelenie nie chciały dosłownie ustępować z drogi, a gdy konie pasły się w przerwach pracy, to razem z nimi pasły się jelenie. Któregoś dnia wracając piechotą ze strzelbą spotkałem pozostawiony bez żadnego dozoru kombajn ze Starej Kozulki z koszem pełnym pszenicy. Rozglądając się, czy kto nie widzi, wlażłem na kombajn i nabrałem do woreczka, w którym zabierałem z domu jedzenie, ze dwa kilogramy pszenicy. Było z tego trochę kaszy na zupę. Raz znów wzięłem z pola dwa snopki proso i omłóciłem je kijem. Było z tego kilka garści kaszy jaglanej.

Przy koszeniu często psuła się kosiarka i trzeba było ją naprawiać. O częściach zamiennych nowych nie było nawet mowy, tylko co się dało robiło się w kuźni MTS-owej, a gdy trzeba było coś zespawać, to zawchoz szedł z tym do warsztatów kolejowych, gdzie mieli spawarkę. Pod koniec sierpnia z pomocą Mamusi zebrałem swoje siano i część zestertowałem, a część pozostała w

dużych kopach. Robiliśmy to ukradkiem, bo zbierać siano trzeba było za dnia, a wtedy właśnie powinienem pracować dla MTS-u. Zawchoz też nakosił sobie siano i wszystko zosterował. Całe to siano pod Kiemczugiem kosiliśmy dla siebie i dla MTS-u na zarosłych polach wsi Nowy Kiemczug które, gdy zrobili tam kolchoz przestali uprawiać i zarosły trawą.

Jak już wspomniałem nigdy nie było wiadomo ile czasu będzie trwała praca i można było przepracować całą noc, ale na 4-mą rano trzeba było stawić się znów do pracy. Były wypadki, że gdy tylko przyszło się do domu, stukał w okno milicjant i nakazywał iść "gruzić" czyli ładować wagon na stację. Tak załadowywali załadunek zboża z magazynów "zagózierna" na wagony. Z magazynu do torów, na których stawiali wagon było około stu metrów, a z drugiego do dwustu i całe zboże było transportowane na plecach kobiet i chłopców 15 - 16-letnich, bo starszych już nie było. Nosiliśmy w kolejce i nikogo nie chcieli przepuścić, żeby nie nosić więcej. Praca ta była z reguły bezpłatna i nie zwalniała z ранnego stawienia się do pracy w swoim zakładzie.

Po zakończeniu zbioru siana znów jeździliśmy do Szarkowki i rozbieraliśmy drugą stodołę, a potem sam wozikiem te belki do MTS-u. Była to ciężka praca i zupełnie bez godzin, bo trzeba było pojechać te kilkanaście kilometrów, samemu załadować na jeden, a częściej dwa wozy i doprowadzić je spowrotem, a nikogo to nie obchodziło kiedy się wróciło i skończyło pracę.

W końcu września ~~września przyszedł~~ przyszedł na Mamusi adres telegraficzny przekaz na 500 rubli nadany "od australijskiej misji" i nic więcej. Mamusia kupiła za nie od Kasi Wolskiej pół puda czyli 8 kg mąki żytniej. Kasia pracowała w MTS-ie jako stróżka w biurze. Była samotna, mąż jej już nie żył. Jej siostra mieszkała gdzieś w Rosji centralnej i owdowiała - mąż jej poległ na froncie, a krótko po otrzymaniu tej wiadomości sama nagle umarła. Pozostało tam troje dzieci poniżej dziesięciu lat. Pisały do Kasi błagalne listy żeby przyjechała do nich. W NKWD powiedzieli Kasi, że jak tam pojedzie to już jej nie puszczą do Polski i z tego powodu długo się zastanawiała, ale przemogło w niej serce do siostrzanych sierot i powiedziała Mamusi, że w Polsce nikogo swojego nie ma, a dzieci zmarnowałyby się bez opieki no i pojechała.

Któregoś dnia zaszedł do nas Kuźma Sprużownik z prośbą żeby mu dać o ile możemy terminy świąt Wielkanocnych w następnych latach, bo już nie wiedzą jak je obliczać, a ponieważ byli katolikami więc święta te nie pokrywały się z prawosławnymi. Mieliśmy w jednej książeczce daty świąt do 1950 roku i daliśmy mu.

Spadły śniegi i wziął mróz jak w tamtych stronach odrazu dość tęgi, a ja nie miałem obuwia, bo moje stare łuntaje zupełnie się rozlazły, a nie miałem skąd wziąć materiału na nowe i nie poszedłem do roboty. Tego dnia naprawiłem sąsiadce piec chlebowy i dostałem za to mleka i trochę ziemniaków. Dyrektor przysłał po mnie i w końcu przysłał konia. Pojechałem i przedstawiłem mu swoją sytuację. Dał mi skórę na buty bez podeszew i cholew. Wziąłem tą skórę i przy dodaniu zelówek, które dostałem z darów amerykańskich jeszcze wiosną, zamieni-

Żen z kolejarzem znajomym zawożesa na stare piny, ale jeszcze zupełnie dobre. Piny te tamtejsze filce bardzo mocno zbijane i twarde. W październiku jeszcze raz przyszło 500 rubli "od australijskiej misji" i nic więcej. Nie wiedzieliśmy zupełnie od kogo były te pieniądze. W połowie października jeździłem z dyrektorem Macakułą do Tupiku. Mieli tam małą stożową tokarkę do metalu, którą polecono odgórnie przekazać dla naszego MTS-u. W tamtą stronę droga była dobra. Sporo czasu straciliśmy na zakatwianiu formalności. Załadowaliśmy tokarkę na sanie z pomocą miejscowych robotników i ruszyliśmy już pod wieczór w powrotną drogę. Już w Tupiku zaczęło wiać, a po drodze złapał nas burian, z tym że jechaliśmy cały czas pod wiatr. Sanie obciążane żelastwem rąnęły się w zaspach i w połowie drogi Macakuła zupełnie ustał. Nie było po drodze żadnej wsi ani nawet pojedynczej chaty, żebyśmy mogli odpocząć. Cały czas szedłem przed koniem i niesłem pęczek siana, a gdy Macakuła stawał, dawałem mu złapać trochę siana i ruszałem dalej, a on za sianem jakoś się posuwał moim tropem. Miałem na sobie kurtkę i długi kożuch. Idąc było mi gorąco i rozpiąłem kożuch. Do MTS-u dowlekliśmy się już późną nocą i gdy wróciłem do domu byłem zupełnie mokry od potu i wykończony. Nocą wzięły mnie dreszcze i dostałem wysokiej gorączki, a następnego dnia lekarka stwierdziła obustronne ciężkie zapalenie płuc i skierowała mnie do szpitala. Z pomocą Mamusi jakoś się tam dowlokłem. Przyjęli mnie tam jak starego znajomego i położyli na tej samej sali, na której leżałem latem. Przeleżałem cały tydzień. Przy mnie umarł młody jeszcze człowiek. Był chory na zapalenie płuc i już mu przechodziło, ale nie miał mu kto przynosić jedzenia, bo był z odległego kołchozu i poprostu głodował na postnych zakupach szpitalnych. Siostra czasem mu dawała repetę, ale głód go zmorzył i umarł. Ponieważ nie miał rodziny w Kozulce więc wywieźli trupa w śnieg na cmentarz. W tym samym czasie zmarła jakaś samotna kobieta i wywoźący trupy śmiał się, że oni po śmierci się zeszl, bo ich trupy razem rzucił na cmentarzu. Na nikogo nie zrobiło to wrażenia.

Już do szpitala przynieśli mi powiestkę "naodprawu w część". Gdy wyszedłem ze szpitala, poszedłem zaraz do MTS-u, wzięłem konia i przywiozłem Mamusi wóz drzewa i dopiero zgłosiłem się do wojenkomatu, gdzie kazali mi stawić się następnego dnia rano. Ostatnią noc przespałem w domu.

O 8-cj rano byłem już w wojenkomacie, gdzie przetrzymano mnie do 10-cj. Przed wpół do jedenastej wyłano mi papiery, a wojenkomat zapowiedział mi: "jeśli nie siadziesz na etot pojezd, ili nie dojedziesz w srok w część, budziesz szczytar jak dezertir". Zdążyłem zaledwie zajść na chwilę do domu i pobiegłem na stację, gdzie kasjerka miała już przygotowany dla mnie bilet. O 11-cj przyjechał pociąg nr 41, tak zwany tam "srok pierwy". Pożegnałem się krótko ze znajomymi, uściskałem Mamusię i wskoczyłem do wagonu. Mamusia nie płakała, tylko żegnała mnie znakiem krzyża i patrzyła z żalem. Tych oczu patrzących na mnie z peronu dalekiej syberyjskiej stacyjki nigdy chyba nie zapomnę. Odjeżdżałem w nieznaną, nie wiedząc czy zobaczę jeszcze Mamusię, wiedząc o tym, że nie będzie

niała, co jeść i znów będzie się męczyć tylko gorzej, bo sama bez niczyjej pomocy i będzie przymierać głodem. Nie mieliśmy zapasów żywności, a o kupnie też nie było mowy. Rzeczy na sprzedaż już nie mieliśmy, a za pieniądze, nawet gdyby były, niewiele można było wtedy tam kupić. W tym czasie na bazarze czasami sprzedawali z pod peły kilogram chleba za 150 rubli, albo żyto po 2500 rubli za pud czyli 16 kilogramów, a takich pieniędzy nikt z naszych tam nawet nie widział. W tym czasie średnia pensja pracownicza wynosiła około 150 rubli miesięcznie.

Kilka dni wcześniej wysłali Lucynę Kosikowską do Krasnojarska, a poprzedniego dnia jechała już w większej grupie dziewcząt do wojska i wysiadła w Kozulce żeby pożegnać się z rodzicami. Przenocowała w domu i jechała razem z matką. Konduktorka nie chciała jej puścić do wagonu i dopiero gdy dała jej 50 rubli, to ją wpuściła, ale nie miała siedzącego miejsca. W pociągach dalekobieżnych obowiązywały miejscówki i na stacjach wydawali odrazu bilet "kompasirowany" czyli z oznaczeniem wagonu i numeru miejsca i tylko z takim biletem konduktorki wpuszczają do wagonu. W wagonach były otwarte tylko jedne drzwi i w nich stała konduktorka, zwana tam prosto "prowadnik wagonu". Poprzedniej zimy zdarzył się charakterystyczny wypadek - do pociągu chciał się dostać inwalida wojenny bez nogi, który wracał do domu ze szpitala. Podobno nie miał "kompasirowanego" na ten pociąg biletu i konduktorka nie chciała go wpuścić, a on pchał się na siłę. Pociąg ruszył, a ona go wypchnęła i upadł tak nieszczęśliwie, że ucięło mu drugą nogę. Pociąg pojechał dalej, a inwalida wykończył się z upływu krwi. Leżał dość długo na peronie w kałuży krwi z medalami wojennymi na piersi. Potem wywieźli ciało na cmentarz i rzucili w śnieg, gdzie psy go jadły, a wicsną resztki ściągnęli hakami do wspólnego dołu. Nie było z tego powodu żadnych dochodzeń i nawet nikt w władz nie zainteresował się tym wypadkiem.

Ja jechałem do wojska, a Mamusia została w Kozulce. Wcześniej, zaraz po wyjeździe Kasi Wolskiej załatwiłem z dyrektorem to, że przyjął Mamusię na jej miejsce. Była to praca nocna. Do stróżki zimą należało oprócz sprzątnięcia w pomieszczeniach biurowych, palenie w piecach wraz z przynoszeniem drzewa opałowego i zadawanie nocą koniom siana. Póki byłem zdrowy często wyręczałem Mamusię w tej pracy, a zwłaszcza w przynoszeniu drzewa i karmieniu koni. Po moim wyjeździe Mamusia jakiś czas jeszcze dalej tam pracowała, ale widać księgowy miał jakieś zainteresowanie tą posesją, bo zaczął Mamusi dokuczać, czepiał się, że źle napalene lub zamieciona, a któregoś dnia wieczorem przyszedł i zrobił Mamusi awanturę i nawet Mamusię uderzył, zapowiadając że ma się wynosić, bo inaczej będzie gorzej. Następnego dnia poszła Mamusia do dyrektora na skargę i ten wezwał księgowego, ale on się wszystkiego wyparł. Był to bardzo nieciekawy typ. Pracował od niedawna w MTS-ie, ale już wszyscy poznali go ze złej strony. Mnie ukradł piłę ramową stolarską i dwa strugi, które z wielkim trudem sobie zrobiłem i pracowałem tymi narzędziami w tym czasie przy wykonaniu tapczanów dla MTS-owskiej izby noclegowej traktorystów.

Po tej awanturze, wiedząc że księgowy nie da spokoju, Mamusia zrezygnowała z tej pracy. Krótce po tym dostała się do szwalni spółdzielni pracy czyli jak tam się nazywało artieli i tam pracowała już stale, aż do wyjazdu z Kozulki. Przed świętami Bożego Narodzenia znalazła Mamusia kupca na nasze siano i zwolniwszy się z pracy na umówiony dzień pojechała z nim do naszej sterty. Po przyjeździe na miejsce okazało się, że nasza sterta już została zabrana i tylko po niej zostało zaświecone siano miejsce w którym stała. Na szczęście było jeszcze siano w kopach i to Mamusia sprzedała za żywność. Potem dowiedziała się, że nasze siano sprzedał zawożez.

Po moim wyjeździe pozostał w MTS-ie tylko Łońka, który zupełnie nie dbał o konie, a jak gdzieś jechał, to gnął konie do upadłego. Coraz częściej wracał z drogi, "bo konie ustały" i nie przywoził siana i nic biedne zmęczone konie nie dostawały na noc, a przecież stały stale na mrozie. No i już w miesiąc po moim wyjeździe, moje konie zaczęły zdychać z głodu. Najdziwniejsze w tym było to, że nikt nie interesował się tym, bo przecież gdyby chcieli to mogli w ostateczności przywieść siano traktorem, jak to robili w wypadku drzewa na opał, a do koni nająć jakąś kobietę, któraby o nie dbała. Ale w sowietach jakoś przechodzili bardzo lekko nad tym do porządku, że zdychały zwierzęta będące własnością państwową. Zresztą to samo było w stosunku do ludzi.

Jak już byłem w wojsku, opowiadał mi mój kolega, który był wywieziony do nowosybirskiej obłosti, że poprzedniej zimy spędzili w ich rejonie ponad 200 koni z kółchozów i odebrali do armii. Kółchoźnicy po odbiorze przywiązali konie do płotu i odjechali do domów. Tymczasem jednostka, która miała pobrać te konie, nie przyjechała w oznaczonym terminie, a komisja odbioru nie pomyślała o tym, że konie stojące na mrozie muszą stale jeść i te biedne konie stały przez kilka dni bez pokarmu i pojenia na kilkudziesięciu stopniowym mrozie i wszystkie pozdychały. Podobno nikt za to nie odpowiadał, tylko zarządzili następny termin odbioru i inne konie przyprowadzili kółchoźnicy dla armii.

Zresztą w rejonie kozulskim było podobnie w kółchozach już poprzedniej zimy. Każdy kółchoz miał wyznaczony z rejonu plan odstawy siana dla państwa i władze pilnowały ściśle wykonania przynajmniej w 100 % tego planu. W Kozulce był rejonowy punkt odbioru siana, tak zwany "zagetsieno", w którym stały sterty siana z przed trzech lat, bo nie mieli na nie odbiorców. Po wywiezieniu planowych odstaw siana, w większości kółchozów nie starczyło go nawet dla bydła mlecznego i konie karmili sianą wyciąganą z pod śniegu, bo jak już wspominałem, tam nie mieli zwyczaju stertować sianę po omłotach, tylko rozciągali ją po polu, aby tylko odciągnąć od młocarni. Przy takim żywieniu już zimą 1941/42 roku większość koni we wszystkich kółchozach rejonu prosto pozdychała z głodu. No i nikt z władz nie pomyślał żeby wydać dla tych głodujących koni stare siano z "zagetsiena", które przecież i tak nie mogło leżeć wiecznie.

Mamusia mówiła mi, że w tej artieli, gdzie pracowała też tej zimy zdechł

koń z głodu, bo nie miał mu kto przywieść siana.

Pod wiosną Mamusię po godzinach pracy, zatrudnił u siebie przy szyciu ubrań inżynier z warsztatów kolejowych. Miał polskie nazwisko i przyznał się Mamusi, że pochodził z polskiej rodziny, choć już nie umiał mówić po polsku. Za szycie dla jego rodziny dostała Mamusia kilka wiaderek ziemniaków. Wiosną artiel przydzieliła Mamusi działkę pod ogród na swoim polu i Mamusia część z tych zarobionych ziemniaków posadziła tam i pięknie jej rosły, ale nie miała z tego wielkiej pociechy, bo latem przewieźli naszych na Ukrainę.

Na tej samej ulicy co my miała swój porządny dom Sybiraczka nazwiskiem Sawicka. Mówiła zawsze tylko po rosyjsku, ale gdy chora przygotowywała się na śmierć, zarządziła żeby ją chowali Polki po katolicku. Po jej śmierci odbył się pogrzeb, na którym nasze kobiety modliły się i śpiewały polskie katolickie pieśni i chowali ją tak jak chowaliśmy wszystkich naszych zmarłych a jej rodzina pilnowała żeby wszystko było według jej ostatniej woli.

W Kozulce było dużo mieszkańców o czyste polskie nazwiskach, a nawet takie jak Chorąży, Poręcznik i Wachmistrz, wskazujące na pochodzenie od zesłanych polskich powstańców. Niestety nikt z nich już nie mówił po polsku. Była natomiast wieś daleko w tajdze gdzie mieszkali Wasowicze, którzy mówili czysto po polsku stylem sienkiewiczowskim. Do tej wsi nie posłali nikogo z naszych wywiezionych. Mamusia kiedyś idąc do Sobolewki spotkała jednego z tych Wasowiczów i gdy zaprosił ją na wóz, bo jechał w tym samym kierunku, Mamusia była pewna, że to ktoś z naszych wywiezionych, a tymczasem okazało się, że oni żyli na Syberii od 1864 roku.

Tymczasem po moim wyjeździe w naszym domu zaszły też zmiany. W domu tym były dwa mieszkania jednoizbowa wychodzące na wspólną sień, przy której po drugiej stronie były dwie komórki. Komórki te już się woliły w czasie gdy tam zamieszkałyśmy i ja, w wolnych chwilach naszą naprawiłem, stawiając zewnętrzną ścianę i pokrywając całą sień i naszą komórkę dachem krytym korą brzoźową. W tym czasie w drugim mieszkaniu mieszkała pani Wężykowa z córką Zosią. Zosia była nawet sympatyczną dziewczyną i pożyczała mi "Ogniem i Mieczem" Sienkiewicza, którą tę książkę tylko one miały tam w Kozulce. Po moim wyjeździe, nie wiem dlaczego pani Wężykowa przeniósła się gdzie indziej, a jej mieszkanie zajął jakiś NKWD-ista. Ten z miejsca wyrzucił Mamusię z naszej komórki i cały czas był dla Mamusi bardzo przykry.

Razem z innymi mężczyznami z Narylska przyjechał swego czasu pan Kuta, wyglądający na inteligenta. Pochodził podobnie z Czertkowa koło Zaleszczyk. Był bardzo obrotnym człowiekiem do tego stopnia, że potrafił załatwić sobie niezdolność do służby wojskowej. Opowiadał, że spotkał w Narylsku człowieka, który wydał mu się bardzo podobny do Potockich, których znał z Polski. Człowiek ten był w łagrze magazynierem. Gdy udało mu się z nim rozmawiać, okazało się że był to rzeczywiście jeden z Potockich, który siedział w sowieckich łagrach od 1920 roku. Zdarzały się i takie wypadki długowieczności życia w łagrze, gdy ktoś zdrowy dostał się na stanowisko takie jak magazynier.

Pan Kuta odrazu zaczął się kręcić koło panien Gryblewskich. Już po moim wyjeździe, okazało się, że umiódł pannę Wisię Gryblewską i wzięli ślub cywilny w sielswiecie. Mamusia mówiła mi, że po urodzeniu dziecka był dla Wisy bardzo przykry.

Latem 1944 roku wszystkich rodziny polskie z rejonu Kozulki załadowali do wagonów i przewieźli na Ukrainę pod Zaporoże do podchozu. Podobno zrobili to na interwencję Lilki Kępówny, która wówczas już siedziała w Maskwie w głównym zarządzie ZPP i była żoną Radkiewicza, późniejszego osławionego ministra bezpieczeństwa. Miało to być niby to dla dobra naszych rodzin, a tymczasem była zupełnie odwrotnie, bo w Kozulce już każda nasza rodzina jakos się urządziła i miała jakieś utrzymanie, a pracę każdy starał się dobierać do swych możliwości i sił, a w tym podchozie nasi pracowali przy zasypywaniu chropów i uprawie pól po przejściu frontu, na równi z jeńcami - Niemcami. Praca trwała od ciemna do ciemna, za miskę pastnej zupy rano przed świtem w stółcówce i w południe taką miskę zupy na pelu, na i "pajok" chleba 500gr. Mieszkali nasi do mrozów w starej oberze ze zrujnowanym przez wojnę dachem, a dopiero późną jesienią poupychali ich po domach miejscowych mieszkańców, niejednych w dużej odległości od miejsca pracy. Wodę do mycia i kuchni musieli nosić z odległego Dniepru, bo tam w pobliżu ich mieszkań nie było wogóle studni.

Krótko po przyjeździe pod Zaporoże część naszych rodzin dyrekcja podchozu postanowiła umieścić w odległym gospodarstwie podchozu. Przy tym wyszły na jaw ujemne cechy charakteru pani Wężykowej, która była wówczas mężem zaufania z ramienia ZPP. Otóż na wyjazd do tego gospodarstwa wyznaczyła wyłącznie proste kobiety wiejskie z małymi dziećmi. Powstał płacz, bo one uważały, że chcą się ich pozbyć i psocząją je tam na zatracenie. Gdy Mamusia dowiedziała się o tym, poszła do dyrektora i powiedziała, że chce jechać z tymi kobietami. Dyrektor chętnie się na to zgodził i Mamusię tam wysłał, a wszystkie kobiety odrazu uspokoiły się. Mamusia mówiła mi, że nawet tam było im lepiej niż w tym podchozie, tylko już późną jesienią przekazano to gospodarstwo jednostce wojskowej i nasza rodziny zostały bez utrzymania. Dopiero po jakimś czasie zabrali je spowrotem do podchozu.

Mamusia wraz z innymi naszymi kobietami i dziewczętami pracowała na polach przy uprawie warzyw, w olejarni prymitywnymi sposobami wyciskały olej słonecznikowy, przebićrały w ziemnych donkach gnijącą ziemię, a wiosną 1945 roku pracowały przy zakładaniu i pielęgnowaniu inspektów. Rozchorowała się i dostała plewrytu, ale ponieważ nie miała wysokiej gorączki więc nie dawali sowickim zwyczajem zwolnienia od pracy i musiała chodzić dalej na robotę. Była jakimś czasem nocną stróżką przy polu inspektowym, przy czym do niej należało nakrywanie śliczewem i odgrywanie rżnię wszystkich inspektów. W końcu dyrektor posłał Mamusię do pracy w przedszkolu, a pod koniec pobytu pod Zaporożem Mamusia została nauczycielką w polskiej szkółce otwartej dla naszych dzieci. Już pod koniec w Kozulce i cały czas pod Zaporożem z Mamusią mieszkali dwie

staruszek: pani Pietkiewiczowa, żona kolejarza z Baranowicz i pani Chutorowiczowa współwłaścicielka małego folwarczku w Nowogródzkim.

Tam na Ukrainie zmarła panna Tosia Łazowska, która na Syberii utrzymywała rodzinę, zarabiając zupełnie nie źle wróżkami z kart. Przychodzili tam do niej po wróżby nawet z daleka, a także sam naczelnik rejonowego NKWD. Po niej zmarł pan Brazm Łazowski. Biedak z olbrzymiego mężczyzny wychudł i znalazł do tego stopnia, że miał trumnę nieledwie dziecięcą. Oboje zjadła gruźlica. Panna Hania Łazowska, najmłodsza z rodziny, też rozchorowała się na gruźlicę i do Polski jechała już na noszach po to tylko żeby w niej znaleźć grób. Jedynie pani Maria, która przeszła piekło obozów bolszewickich w pierwszych latach ich władzy i straciła wówczas męża, wywieziona powtórnie utrzymała się w zdrowiu.

Na Ukrainie, oprócz ciężkiej pracy i głodu, zabijał naszych ciężki klimat. Z lasów środkowej Ukrainy sowieci nie pozostawili i zupełnie оголосzony z drzew teren stał się półpustynnym stepem z uciążliwymi upałami w lecie i suszami, a zimą mroźnymi wiatrami. Na dodatku był zupełny brak opału, na który nasze rodziny musiały w chwilach wolnych od pracy, zbierać po polach kędygi słoneczników i różnych chwastów.

Oprócz naszych rodzin i jeńców - Niemców, pracowała tam w podchorazie kompanie polskich chłopców, których sowieci, po wejściu do zachodniej Polski, zapaliłi prosto na ulicach miast i osiedli i wywieźli na roboty w głąb swego państwa. Ich rodziny nie o nich nie wiedziały, nie wiedziały gdzie się podziabili i wogóle czy żyją, bo tym chłopcom nie pozwalali pisać do domu. Byli strasznie eberwani, bo nie dawali im żadnej odzieży, a własna, w której ich zabierali, rozlatywała się od ciągłego używania i brudu. Był między nimi jeden starszy wiekiem, bo oni mieli po 16 - 19 lat, który nimi dowodził i trzymał ich razem. Co wieczór śpiewali modlitwę i trzymali się dzielnie. Dużo z nich jednak tam zmarło w czasie pobytu tam naszych rodzin, bo stale byli głodni i jedząc co popadło chorowali na dżynterię i tyfus. Mimo, że byli ciągle głodni, nigdy nie żebrali, w odróżnieniu od Niemców - jeńców, którzy ciągle żebrali. Mamusia mówiła, że Niemcy nigdy nie przeszli obok naszych bez wyciągnięcia ręki po prośbie pomimo, że wiedzieli, że polki też nie miały.

Charakterystyczny podział "klasowy" w sowietach był i tam. Już w Kozulce obserwowaliśmy ten podział. Gdy zwykły pracownik, przedsiębiorstwa, czy kołchoznik mógł w stołowej rejonowej dostać w parze obiadowej jedynie talerz zupy z zielonych liści kapusty lub czeremszy bez żadnej okraszy, a poza tym talerz "czaju" ziołowego, to za przepięczeniem w "zakrytej stołowej" naczelstwo i wyżsi partyjni dostawali za te same pieniądze normalne obiady restauracyjne zupy i dania mięsne z ziemniakami i jarzynami. Gdy otwierały się drzwi, ci z zwykłej "otkrytej" stołowej widzieli te obiady i czuli ich zapachy. Gdy raz powracający ze szpitala inwalida wojenny, obwieszony medalami, chciał wejść do zakrytej stołowej w Kozulce i nie puszczałi go tam, zrobił awanturę krzyjąc, że "swożocz za naszymi plecami tuczy się", to go prosto aresztowano i pojechał do łagru zamiast do domu.

Tak samo było i na Ukrainie. Mamusia powiadała, że nie raz gdy wszyscy oni jedli w stołówce podchazowej codzienną swoją postną zupę, tak zwany "barszcz" to syn dyrektora przychodził i tam kazał sobie dawać obiad, no i posługująca przynosiła mu ziemniaki podsmażane z dużym kotлетem lub smażonymi rybami i ten młodzieniec siedząc obok naszych kobiet zjadał te frykasy. Gdy za kradzież jednego ogórka, melona czy pomidora groziło pójście do więzienia, to towarzysza agronomka dla swych wysoko postawionych przyjaciół z Dnieprogezu rwała najpiękniejsze warzywa i owoce z inspektorów i polowych plantacji i nie jej za to nie było. Kiedyś gdy Mamusia stróżowała przy inspektorach i agronomka powrywała z okien spore wczesnych warzyw, na podarunki, przyszedł po niej dyrektor i zapytał dlaczego Mamusia źle pilnuje, bo widać że była kradzież z inspektorów, Mamusia mu powiedziała, że nie może zabraniać brać warzywa agronomce i dyrektor uznał sprawę za nie będą.

I jeszcze jedna charakterystyczna sprawa. Wodę do podlewania plantacji i inspektorów brano poprostu z zalewu dniewprwego. Kiedyś gdy Mamusia poszła do nalewania beczek i stała w wodzie przy brzegu nalewając wiadrem beczki, którymi wjeżdżano poprostu w wodę, wdziała. Mamusia całe ławice dużych ryb przy samym brzegu. Stary Ukrainiec wędzący wodę, wpatrywał się z porządaniem w te ryby. Gdy Mamusia zapytała go dlaczego ich nie łowią-uszyszała od niego, że dawniej on sam często łowił na Dnieprze, ale sowiecka władza zabroniła mieszkancom łowienia ryb pod groźbą kary i tylko specjaliści rybacy łowili ryby w Dnieprze, ale wszystkie one szły do "zakrytych magazynów" czyli sklepów dla "lepszych sfer sowieckich".

Kiedyś przy robocie Mamusia pracując z miejscowymi kobietami zauważyła, że one ciągle coś ze sobą szeptały i były bardzo podniecone. W końcu zapytała Mamusia znajomą kobietę o czym tak rozprawiają i uszyszała że "teraz w Moskwie jest wasz przedstawiciel i mają ustalać granicę pomiędzy sowietami a Polską i podobno ma być granica na Dnieprze, więc my tak rozmawiamy jak to zrobić żeby nie przegapić i na czas znaleźć się po zachodnim brzegu Dniepru, żeby popaść pod Polskę".

Latem 1945 roku przywieźli i wyładowali na becznicy w Zaporozżu duży transport Ukraińców z Polski. Gdy ich namawiali na wyjazd na wschód, obiecywali im że dostaną tam samodzielne duże gospodarstwa, więc gdy chcieli ich od razu rozwieść po miejscowych kołchozach, oni nie chcieli się na to zgodzić i długo koczowali na becznicy. Początkowo rozpowiadali miejscowym, że Polacy ich mordowali i zabierali im wszystko i dlatego musieli uciekać i schronić się w sowietach. Miejscowi z początku uwierzyli im i nawet zaczęli się wrogo ustosunkowywać do naszych rodzin, ale szybko doszli prawdy. Przede wszystkim uznali, że nie mogli być oni ofiarami rabunków polskich, bo przywieźli ze sobą całe fary rzeczy, zboże, sprzętów, mebli, inwentarza, a nawet rozebrane chaty. A po jakimś czasie sami polscy Ukraińcy przyznawali się do tego, że ich oszukali sowieccy komisarze i nawet szukali możliwości kupienia za złote papietów obywateli polskich upoważniających do repatriacji do Polski. Nasze rodziny przepracowały pod Zaporozżem do końca lutego 1946 roku, kiedy

kiedy to zakładowano je w ramach ogólnej repatriacji do eszelonów i przewieziono do Opoła na Śląsku.

Tak po krótko wyglądały dzieje Mamusi i naszych rodzin, które pozostały w Kozulce po moim wyjeździe do wojska.

W O J S K O

Powracając do przerwane go wątku mojej opowieści, trzeba powrócić do wyjazdu z Kozulki.

Jechaliśmy pociągiem jadącym z Władywestoku do Moskwy tak zwanym "sorek pierwym". Pociąg ten zatrzymywał się tylko na większych stacjach i pędził ponad sto kilometrów na godzinę, a mimo to mijały deby jej jazdy. Dojechaliśmy nim do Omska i tam Lucyna zobaczyła dziewczęta i trzech starszych mężczyzn ze swojej grupy, więc wysiedliśmy żeby się z nimi połączyć. Okazało się, że takich oberwańców jak my nie puszczali przez Moskwę, choć była to najbliższa droga, a kto nawet pojechał dalej to go poprostu zawracano z drogi i ich właśnie zawrócono ze Świerdłowska i skierowano przez Kujbyszew i Ponzę. Po rozmowie z naszymi okazało się, że w Kozulce poprostu mnie w wojenkomacie oszukali, bo wydali mi tylko chleb na pięć dni, a nie dali atestatu żywnościowego, który upoważniał do pobierania żywności na stacjach po drodze. Na wszystkich sewieckich stacjach rucnem państwanych do wojska zgadzili wojenni komendanci stacji. Nas z Omska posadzili do pociągu idącego do Pietropawłowska zaraz na drugi dzień. Natomiast w Pietropawłowsku siedzieliśmy na "wagzale" czyli w hali dworcowej na betonie przez trzy dni. Dołączyli do nas chłopcy zmobilizowani z Siewiero-Kazachstańskiej obłasti. Co dzień nasi przedstawiciele upominali się u komendanta wojennego o wysłanie nas w dalszą drogę i ciągle brzmiała ta sama odpowiedź: "czekajcie, ja o was pamiętam". Leżeliśmy na betonie w wysoko sklepionej hali dworca, a obok nas leżały poketem szeregi Kazachów i Kirgizów też zmobilizowanych i też czekających na pociąg. Od nich do nas szły po posadzce pomimo zimna, szeregi wielkich wszy. Takich tyralier wszy nigdy jeszcze nie widziałem pomimo, że na Syberii było ich mnóstwo. Ta ródmiar złego dostatek gorączki i spuchły mi nogi w kostkach tak, że nie mogłem zupełnie chodzić, bo moje nogi wcale nie zginały się w kostkach i strasznie bolały. Mimo, że Pietropawłowsk to wielka i wązkowa stacja, ale ubikacje były daleko na końcu peronów i wyglądały jak najgorsze nigdy nie sprzątane "szarajki" z podrzędnej stacyjki. Dojście tam było dla mnie straszną udręką, a przecież nie mogłem prosić naszych dziewcząt żeby mi pomogły tam iść. Lino te, że miałem gorączkę i mało jadłem, chleb mi się też już skończył i żeby nie nasze dziewczęta, to bym chyba na tej stacji wykończył się. Po wielu staraniach dostaliśmy się do pociągu jadącego do Ufy. Wepchaliśmy się do wagonu zatłoczonego do ostatnich granic. Chłopcy ciągnęli mnie pod ramiona, bo sam bym na pewno nie wsiadł. Był to zabytek z carskich czasów. Oparcia za ławkami podnosiły się na zawiasach i tworzyły drugą podłogę tak, że jedni siedzieli na ławkach, a inni na półkach bagażowych. Jeszcze lepiej stosunkowo siedziało się na górze, bo na dolnym pięttrze wyżsi musieli siedzieć schyleni.

W Ufie siedzieliśmy znowu kilka dni czekając zniknięcia wojennego komendanta stacji. Wszystkie stacje, na których byliśmy, zawałone były jadącymi do wojska ludźmi różnych narodowości. Każda stacja była wówczas istną wieżą Babel. W końcu po kilku dniach wycierania betonów "wagzału", komendant posadził nas wszystkich, jadących do polskiego wojska, do pociągu sanitarnego idącego na front pod Charków po rannych. Zajęliśmy jeden wagon pulmanowski, Wisia - starsza wśród naszych dziewcząt z Krasnojarska, która opiekowała się mną, sprowadziła do mnie doktora - komendanta pociągu. Stary już doktor pamiętający jeszcze pierwszą wojnę, zbadał mnie i powiedział, że dostałem nawrotu zapalenia płuc, a nogi spuchły mi od serca. Dał jakieś lekarstwa, które dawała mi Wisia i kazał leżeć. W tym pociągu było ciepło i można było gotować na piecyku w służbowym przedziale, więc dziewczęta gotowały zupy z przydziałowych koncentratów i kawę zbożową. Wisia karmiła mnie ze swojej porcji i opiekowała się mną jak siostra. Doktor przychodził do mnie jeszcze kilkakrotnie i przynosił lekarstwa. Powiedział mi, że pewnie mnie odeślą z komisji lekarskiej do domu z moim zarzewiem.

Przejeżdżaliśmy przez Ural tą samą drogą, którą jechaliśmy na wschód. Tym razem mieliśmy duże okna wagonu osobowego i mogliśmy podziwiać widoki tych dzikich i groźnych, choć stosunkowo nie wysokich gór. Miejscami tory szły po skalnych półkach wykutych w stromym zboczu. Z jednej strony była przepaść, na dnie której rósł las wyglądający z oddalenia jak żółta, a z drugiej pionowe ściany całe pokryte wykutymi nazwiskami pracujących przy tej robocie katorżników. Pomiędzy tymi nazwiskami było bardzo dużo polskich. Tory piły się stromo w górę, by za chwilę spadać ze znacznym spadkiem w dół. W tym czasie wszystkie pociągi przejeżdżające Ural ciągnęły po dwie lokomotywy właśnie z powodu tych stromych spadków.

Pociągiem tym dojechaliśmy do Penzy i musieliśmy wysiadać, bo pociąg dalej jechał w stronę Charkowa, a my musieliśmy jechać na północ w stronę Moskwy. W Penzie dworzec był częściowo zbombardowany. Przesiedzieliśmy tam jeden dzień i komendant posadził nas do pociągu jadącego do Rżanina. Ten odcinek drogi jechaliśmy w strasznym tłoku. Mnie jakoś udało się wdrapać na siatkę bagażową, a obok mnie dostała się na ten bagażnik Wanda - najmłodsza i jakby zastrachana dziewczyna z naszych dziewcząt z Krasnojarska. Była jedynaczką wywiezioną z matką i pierwszy raz była z dala od niej, a miała wtedy osiemnaście lat. W Rżaniu na stacji spotkaliśmy naszych z I-ej Dywizji, wracających ze szpitali po ranieniach pod Lenino. Opowiadali o bitwie. Przesiedzieliśmy z nimi całą noc na bżuchaniu ich opowieści.

Następnego dnia komendant posadził nas do pociągu jadącego do Moskwy i po południu dojechaliśmy do Dzwowa. Stacja była zrównana z ziemią przez bombardowanie niemieckie, tylko tory były już naprawione, a z boku stał duży namiot, a przed nim na maszcie powiewała polska Flaga. Po zebraniu się w tym namiocie wszystkich, którzy przyjechali tym pociągiem, ustawili nas w czwórki, policzyli i przeprowadził nas kapral drogą do Sielc. Śniegi tam wówczas były już już głębokie, ale droga była dobrze wyjeżdżona. Pomimo to, że

W Ufie siedzieliśmy znowu kilka dni czekając znikowania wejennego komendanta stacji. Wszystkie stacje, na których byliśmy, zawałone były jadącymi do wojska ludźmi różnych narodowości. Każda stacja była wówczas istną wieżą Babel. W końcu po kilka dniach wycierania betonów "wagazłu", komendant posadził nas wszystkich, jadących do polskiego wojska, do pociągu sanitarnego idącego na front pod Charków po rannych. Zajęliśmy jeden wagon pulmonowski, Wisia - starsza wśród naszych dziewcząt z Krasnojarska, która zaopiekowała się mną, sprowadziła do mnie doktora - komendanta pociągu. Stary już doktor pamiętający jeszcze pierwszą wojnę, zbadał mnie i powiedział, że dostatek nawrotu zapalenia płuc, a nagi spuchły mi od serca. Dał jakieś lekarstwa, które dawała mi Wisia i kazał leżeć. W tym pociągu było ciepło i można było gotować na piecyku w służbowym przedziale, więc dziewczęta gotowały zupy z przydziałowych koncentratów i kawę zbożową. Wisia karmiła mnie ze swojej porcji i opiekowała się mną jak siostra. Doktor przychodził do mnie jeszcze kilkakrotnie i przynosił lekarstwa. Powiedział mi, że pewnie mnie odeśle z komieji lekarskiej do domu z moim zdrowiem.

Przejeżdżaliśmy przez Ural tą samą drogą, którą jechaliśmy na wschód. Tym razem mieliśmy duże okna wagonu osobowego i mogliśmy podziwiać widoki tych dzikich i groźnych, choć stosunkowo nie wysokich gór. Miejscami tory szły po skalnych półkach wykutych w stromym zboczu. Z jednej strony była przepaść, na dnie której rósł las wyglądający z oddalenia jak łąka, a z drugiej pionowe ściany całe pokryte wykutymi nazwiskami pracujących przy tej robocie katarzników. Pomiędzy tymi nazwiskami było bardzo dużo polskich. Tory piły się strome w górę, by za chwilę opadać ze znacznym spadkiem w dół. W tym czasie wszystkie pociągi przejeżdżające Ural ciągnęły po dwie lokomotywy właśnie z powodu tych stromych spadków.

Pociągami tym dojechaliśmy do Penzy i musieliśmy wysiadać, bo pociąg dalej jechał w stronę Charkowa, a my musieliśmy jechać na północ w stronę Moskwy. W Penzie dworzec był częściowo zbombardowany. Przesiedzieliśmy tam jeden dzień i komendant posadził nas do pociągu jadącego do Reżania. Ten odcinek drogi jechaliśmy w strasznym tłoku. Mnie jakoś udało się wdrapać na siatkę bagażową, a obok mnie dostała się na ten bagażnik Wanda - najmłodsza i jakby zastrachana dziewczyna z naszych dziewcząt z Krasnojarska. Była jedynaczką wywiezioną z matką i pierwszy raz była z dala od niej, a miała wtedy osiemnaście lat. W Reżaniu na stacji spotkaliśmy naszych z I-ej Dywizji, wracających ze szpitali po ranieniach pod Leninem. Opowiadali o bitwie. Przesiedzieliśmy z nimi całą noc na słuchaniu ich opowieści.

Następnego dnia komendant posadził nas do pociągu jadącego do Moskwy i po południu dojechaliśmy do Dzwiewa. Stacja była zrównana z ziemią przez bombardowanie niemieckie, tylko tory były już naprawione, a z boku stał duży namiot, a przed nim na maszcie powiewała polska Flaga. Po zebraniu się w tym namiocie wszystkich, którzy przyjechali tym pociągiem, ustawili nas w czwórki, policzyli i przeprowadził nas kapral drogą do Sielc. Śniegi tam wówczas były już już głębokie, ale droga była dobrze wyjeżdżona. Pomimo to, że

już nie miałem gorączki i czułem się lepiej, to te 12 km ledwo się dowlokłem, a mój plecak niesły na przemiał dziewczęta. Przeszliśmy mostem pontonowym przez zamarznąjącą Okę i po krótkim już marszu stanęliśmy przed bramą, na której rozpięty był transparent z napisem: "witajcie bracia dzisiejsi tułacze, jutro żołnierze", a po bokach wisiały polskie flagi.

Za tą bramą zaczynał się obóz wojskowy. Zaprowadzili nas na plac, policzyli spisali nazwiska i umieścili wszystkich razem w ziemlance przejściówki. Przed ziemlankę ciągle przechodzili z różnych ~~stron~~ jednostek wypytywać się o bliskich i rodziny. Byłem świadkiem ciekawego zdarzenia. Przyjechało z nami dwóch braci z Siewiersko-Kazachstańskiej obłasti. Nazywali się, o ile pamiętam Kruk. Na drugi czy trzeci dzień po naszym przyjeździe przyszedł jakiś porucznik i wypytywał czy kto nie słyszał o Krukach wywiczonych do Kazachstanu. Wywołaliśmy braci i okazało się, że to był ich ojciec, który był aresztowany jeszcze przed wywozem i przepadł. Naturalnie zaczęły się powitania i wtedy podszedł do nich plutonowy i znów okazało się, że to ich starszy brat, który był w wojsku polskim i w 1939 roku dostał się do sowieckiej niewoli, a oni myśleli, że poległ. Tak z trzech stron świata zebrała się cała rodzina. Porucznik był dowódcą kompanii saperów, a plutonowy w artylerii. Ojciec wszystkich synów zabrał do swojej kompanii, bo był ~~oni~~ ~~oni~~ ~~oni~~ wówczas przyjęte, że jak krewni lub przyjaciele chcieli to dowództwo ułatwiało im przeniesienie tak żeby mogli razem służyć w jednej kompanii. W przejściówce miałem kłopot, bo nie miałem swojego kociołka. a kuchnia wtedy dawała krótki czas posiłki i kto nie miał w czym odebrać zupy czy kawy, to nie dostawał jej. Starzałem się pożyczać kociołek, ale nie zawsze mi się to udawało. Raz obiad odebrałem do czapki, a po zjedzeniu go, czapkę wypłukałem wodą, ale nckra czapka zamarzała mi i miałem z tym kłopot. Któregoś razu pożyczylem kociołek od jakiegoś Żydka i w zastaw dałem mu swój zół myśliwski, który zrobiłem sobie w MTS-ie. Gdy wróciłem żeby oddać kociołek Żydka już nie zastałem i nikt go nie widział gdzie się podział. Tak straciłem swój nóż.

Z ziemlanki przejściówki brali kolejno, jak kto przyjechał, na komisję lekarską. przede mną poszły dziewczęta. Było czterech lekarzy mężczyzn i jedna kobieta. Dziewczętom kazali się rozbierać do pasa. Wanda wstydziała się podejść goła do mężczyzny i podeszła do kobiety, a ta tylko na nią popatrzała i orzekła "strajewaja" i Wanda trafiła do batalionu kobiecego im. Emilii Plater, a wszystkie dziewczyny, które podeszły do lekarzy mężczyzn dostały kategorie wykluczające je od służby wojskowej i odesłali je do domów. Między innymi też i Lucyna Kosikowska wracała do Kozulki. Zaraz za naszymi dziewczętami stawialiśmy na komisji i wszystkich chłopców uznali za zdolnych do służby wojskowej. Ja na komisji miałem gorączkę ponad 38 stopni ale też uznali mnie za zdolnego, tylko skierowali na kwarantannę. Ponieważ myślałem, że zaraz nas umundurują, więc płaszcz amerykański, serdek - kożuszek i sweter zapakowałem do plecaka i dałem Lucynie żeby odwiezła je mamusi na zamianę na żywność. Lucyna obiecała mi sełennie, że odwiezie i

edda Mamusi, a wiedziałem, że przy mundurowaniu kazali wszystkie własne rzeczy wyrzucać. Tymczasem żeby za bardzo nie marznąć kupiłem od Ślązaka z niemieckiej armii, których akurat przywieźli na uzupełnienie Dywizji, drelichowy niemiecki mundur. W tym czasie ogłaszali w obozach jenieckich, że Polacy, którzy służyli w wermächcie mogli zgłaszać się dobrowolnie do Polskiego Wojska, a że w tych obozach wówczas panował głód, więc i ochotników było dużo.

Tymczasem zaprowadzili nas około dwudziestu do ziemianki, która była przeznaczona na kwarantannę i mogła pomieścić ponad setkę. Były tam w niej piętrowe prycze ciągnące się przez całą ziemiankę, zrobione z niekorowanych żerdek sosnowych. W całej ziemiance nie było nawet pęczka słomy, a do ogrzania stały dwie beczki od paliwa przerobione na piece. Opałka też nie było i musieliśmy chodzić po lesie i zbierać suche gałęzie, bo nawet nie mieliśmy siekiery do rąbania drzewa. W ziemiance było, mimo palenia w tych piecach, zupełnie zimno i nie było można spać na pryczach, tylko wszyscy obsiadaliśmy wokół pieca i tak na siłę grzaliśmy się. Raz podczas takiej drzeczki poparzyłem się o piec, bo pochyliłem się we śnie i dotknąłem czołem pieca. Miałem potem długie strup, a potem czerwona plama jak duża pieczęć na środku czoła. Byliśmy tam stale gładni, bo dawali nam w kuchni porcje po kompaniach i po prostu kucharze do resztek zupy wlewali dwa, trzy wiadra wody i po zagotowaniu tych porcji wydawali nam "zupę". Brali nas do obierania ziemniaków, ale cały czas pilnował nas przy tym magazynier i nie pozwalał nam wziąć nawet jednego ziemniaka. Chodziliśmy na śmietnik, gdzie wyrzucali zgniłe ziemniaki po przebraniu i z nich wybieraliśmy części jeszcze nie zupełnie zepsute i gotowaliśmy z tego zupę w ziemiance.

Co dzień przybywały nowych "lekaterów" do naszej ziemianki. Między innymi przybył plutonowy Oltarzewski, którego wyznaczili starszym w naszej grupie. Był kapralem w 1920 roku i po zawarciu pokoju w Rydze był w kompanii wartowniczej w Moskwie, która była tam skierowana dla ochrony magazynów polskich rzeczy rewindykowanych w ramach układu pokojowego. Opowiadał nam o tym jak ciągle bolszewicy utrudniali odzyskanie polskich dóbr kulturalnych i starali się wykraść je nawet już z pod polskiej strażnicy. Widział między innymi w Moskwie pechód przepagujący wolność seksualną. Jechały samochody ciężarowe z opuszczonymi bortami skrzyń ładunkowych, przybrane transparentami i hasłami "Żeńszczyzna dla wszech", a na nich zupełnie gołe prostytutki moskiewskie rozwalone na poscieli i kto z bolszewików chciał ten rękował na welne jadące samochody i zabawiał się publicznie z tymi "żeńszczyznami". Trzeba wiedzieć, że po rewolucji kobiety nie miały równych praw z mężczyznami i nie było u nich zupełnie pojęcia gwałtu, a każdy mógł w każdej chwili wieczorem z ulicy wziąć sobie pierwszą lepszą kobietę, która nie miała prawa się bronić. Dopiero w połowie lat trzydziestych zrównali w prawach kobiety z mężczyznami, ale wtedy znowu wszystkie prace musiały wykonywać i praca w kopalniach na dole czy w kamieniołomach była dla nich na równi z mężczyznami przez cały okres międzywojenny.

W ziemlance kwarantanny deczekaliśmy się Bożego Narodzenia. Był między nami jeden chłopiec z Kazachstanu, który miał ze sobą skrzypce i grał nam na nich w wieczór wigilijny po kolei wszystkie kolendy, a ma głodni i tęskniący do swoich bliskich wtórowaliśmy mu półgłosem. Siedząc wokół pieca i nucąc kolendy spędziliśmy Wigilię 1943 roku. Zaraz po Świętach zaczęli przyjeżdżać "kupcy" i wybierali z podród nas kandydatów na żołnierzy do swoich oddziałów. Chciałem trafić do artylerii, ale nie udało się. Każdy "kupiec" oglądał nas stojących w dwuszeregu jak konie na targu i nieledwie zaglądał nam w zęby, ale nigdy nie mówił taki "ważniak" do jakiej jednostki nas wybiera i mogliśmy się tylko tego domyślać. Gdy który z nas chciał żeby go wybrano stawał w pierwszym szeregu i śtawał w żadnej postawie, a gdy nie chciał stawał z tyłu i garbił się. Te na ogół skutkowało. Ja trafiłem akurat do kompanii szkolnej podoficerskiej przy 2-im pułku zapasowym. Po odbiorze zaprowadzili nas od razu do łaźni, gdzie kazali się rozbierać do naga i zabierać ze sobą jedynie dokumenty i paski do spodni, a wszystkie rzeczy łącznie ze swetrami i serdakami-kozuszkami kazali zostawić. Po umyciu się w łaźni wypuszczono nas drugimi drzwiami do pomieszczenia, gdzie wydawali nam bieliznę, mundury, buty, polówki, płaszcze i pasy. Daje było przy tym kłopotu, bo wszystkie wydawali jak leci, a my mieliśmy między sobą debierać rozmiary i ewentualnie zamieniać się. Po umundurowaniu zaprowadzili nas do ziemlanki szkolnej podoficerskiej i od razu zaczęli dawać nam "w kość". Po drugi dzień postawili mnie na noc na warcie przy magazynie kompanijnym bez żadnego pouczenia. Dobrze, że o służbie wartowniczej miałem jakieś pojęcie z ćwiczeń Krakusów w Kerceliszach i z harcerstwa, a karabin rosyjski był gwintowaną emalią bierdanki, którą znałem z Sybarii, ale gdy trafiło tak na kogoś zupełnie nie obeznanego z bronią i służbą wartowniczą to mogło dojść do tragedii. Drużynowym w kompanii szkolnej mojej drużyny był kapral Szlachta, który jako kapral trafił w 1939 roku do sowieckiej niewoli i którego już po wojnie w Bydgoszczy spotkałem już sdemobilizowanego też w stopniu kaprała. Czerwoni nie lubili przedwojennych szarż i najczęściej nie awansowali ich.

Dowódcą naszego plutonu był podporucznik żyd zupełnie nie pasujący do tej funkcji. Był kulturalnym i uprzejmym człowiekiem, który mógł być adwokatem lub lektorem w instytucie naukowym ale nie dowódcą plutonu rekrutów. Miał ambicję żeby jego pluton umiał ładnie śpiewać w marszu i bardzo się ucieszył, gdy mu podałem słowa starej piosenki z czasów obrony Iwowa "karabin naszynowy to idealna broń" i do tego podałem melodię. Przez dwa następne dni wyprowadzał nas daleko od obozu i nic innego nie robiliśmy, tylko uczyliśmy się śpiewać ją w marszu. Był bardzo dumny, gdy wracaliśmy do ziemlanki i śpiewali. Krótko po przybyciu do kompanii szkolnej widziałem pierwszy raz w wojsku rozstrzelanie z wyroku sądu. Kwatermistrz pułku zapasowego przy odbiorze produktów żywnościowych dla pułku sporą ich część sprzedawał za wódkę. W końcu ktoś to wykrył i sąd polewy orzekł degradację i rozstrzał. Nie pamiętam jego stopnia wojskowego, bo widziałem go już bez naszywek, stojącego pod

słupem. Był oficerem czerwonoarmistą "pierzawiedzien prikazom Stalina" do polskiego wojska. Gdy prokurator odczytał mu wyrok uśmiechał się ironicznie, nie dał zawiązać sobie szczy, a po salwie jeszcze próbował się podnieść i prokurator dobił go z pistoletu. Strzelali żandarmi. Po wykonaniu wyroku zakopali go pod słupem i zarównali ziemię.

W pierwszych dniach stycznia 1944 roku wyprowadzano bataliony zapasowego pułku i naszą kompanię szkoły podoficerskiej i ustawiono nas w kształcie podkowy wokół placu, a w środku stanęli oficerowie z pułkownikiem niowyskiego wzrostu w siwej barankowej papasze. Pułkownik ten miał do nas nową w macedo kamanej polszczyźnie przez bliskie godziny, w takim przykładowo stylu: "żeknierzy wy jesteście keśócem trzeciej polskiej diwizji piachoty, z was sfermdirujetsia tretia polska diwizja piachoty" itd. itd. Tę "czystą" polszczyznę objaśniano nam, że z batalionów powstaną pułki, a z naszej kompanii szkolnej powstanie batalion szkoły podoficerskiej. Pułkownikiem tym był, krótko po tym awansowany na generała, Stanisław Galicki. Dzień był mroźny i wietrzny i wszyscy żołnierze mieli jedno pragnienie - aby jak najprędzej skończyła się ta ceremonia i żeby powrócić do ziemianek. Myśmy mieli czapki polórki i płaszczki na letnich mundurach, a wyżsi oficerowie byli w białych półkożuszkach i futrzanych czapkach i im nie było zimno.

Krótko przed tą uroczystością wymaszerowaliśmy z Sielc II-ga Dywizja i batalion kobiecy im. Emilii Plater. Wówczas ostatni raz widziałem Wandę, która była w kompanii fizylierek. Mówiła, że jej było bardzo ciężko przyzwyczaić się do ostrej dyscypliny panującej w batalionie.

W kilka dni po uroczystości zrobiono zbiórki kompanii szkolnej i poprowadzone nas lasem po bezdrożu. Szliśmy kilka kilometrów i wyszliśmy w końcu na skraj lasu. Pomiędzy rzadkim lasem, w którym zatrzymaliśmy się, a zamierzniętą wówczas Oką była wężna od drzew przestrzeń kilkuset metrów szerokości, na której stało kilka budynków. Później okazało się, że była tam piekarnia, kładnia i mała elektrownia zaopatrująca w prąd pobliskie osiedle letniskowe moskwičan.

W miejscu, gdzie nas zatrzymano był śnieg do pół łydek i rzadki las sosnowy około 50-letni. Jeden z oficerów, którzy nas przyprowadzili, wyznaczył na śniegu miejsca, gdzie miały stanąć ziemianki dla czterech kompanii i wałę dla oficerów. Tymczasem zawieszono na dragu przywieziony na wozie kocik i ochotnicy ugotowali w nim, paląc pod nim ognisko, zupę dla całej kompanii, która była tego dnia dla nas obiadem i kolacją, bo jedliśmy ją już wieczorem. Potem, po odśpiwaniu roty i "wszystkie nasze dzienne sprawy", wszyscy jakoś wtłoczyliśmy się do jedynego na tym terenie małego baroczku i położyliśmy się spać pokotem na gołej podłodze. Następane dni zaszły nam na budowie ziemianki dla kompanii. Mieliśmy tylko kilka łopat saperskich i osobiste łopatki - saperki nō i kilka siekier. O piłę wojownik szef kompanii kilka dni nim ją otrzymał. Wszystko było robione według sowieckiej pastewicy "wy...bi i skaży chto naszōł". Było to ulubione powiedzonko wszystkich rozkazujących, którzy wydawali niewykonalne według przepisów rozkazy. Dla przykładu wydano odgórny

rozkaz, że nie wolno wogóle ścinać drzew, nie dane żadnego materiału i rozkazano zbudowanie ziemianek dla dużego liczebnie batalionu. Na debitkę nie dane nawet odpowiednich narzędzi potrzebnych do tego celu. Nie ś ziemianki stanęły, a tylko kilkanaście domków wczesnych w pobliskim osiedlu wypraczynkowemu dla meskwiczian przestało istnieć. Poprostu rozprłynęły się we mgłę. Naturalnie ścinaliśmy i sosny odpowiednio na słupy i belki, tylko zapypywał mnie i siótry odrazu śnieg.

Mnie na drugi dzień odkomenderowano z kilku innymi do uruchomienia kuchni dla batalionu i stołówki w baraku stojącym niedaleko naszego miejsca postoju. Nie było chechli, mieszadła, lampy, stołów i ławek. Stał napoty rozwalony piec kuchenny z wmurewanymi kotłami. Zabraliśmy się do roboty, bo trzeba było wszystkie urządzać i równocześnie gotować posiłki dla wszystkich. Zrobiłem z puszek po konserwach chechle, sito durszłakowe i kepciki, w których palił się płynem z butelek do zapalania czelągów. Kępciki to strasznie, ale trochę świeciło. Przyciągnęliśmy deski z rozebranych "dachy" i zrobiliśmy z nich stoły i ławki. Naprawiłem piec, bo i stołówka zaczęła przybierać przyzwoity zupełnie wygląd. Trzeba pamiętać, że to wszystko robiliśmy prawie bez narzędzi i przy zupełnym braku materiałów.

Kolej więcej po tygodniu zabrali mnie z kuchni do pierwszej kompanii strzeleckiej. Przez ten tydzień dostali nam spore uzupełnienie i nadal ciągle przychodzili nowi. Przyszła też podoficerka ze szkoły podoficerskiej z I-cj Dywizji i oficerowie po Riaziańskiej szkole oficerskiej. Powstały: nasza 1-cza kompania strzelecka, 2-ga kompania 6ka-ów i 3-cia kompania RPPanc, a po jakimś czasie jeszcze 4-ta kompania strzelecka. Był pluton gospodarzy. Zaczęło nam zmieniać umundurowanie na nowe i jednolite. Poza gimnastycznymi swieczkami, dostaliśmy drelichowe polskie mundury i wszyscy dostali nowe pelówki, bo część przychodziła w zimowych sowieckich uszarkach. Na i zaczęło się od świtu do nocy musztra i ćwiczenia w polu. Rano pobudka o 6-cj, ubieranie się na tempo, wyjście na zbiórkę, niezależnie od pogody i temperatury, bez koszuli, 10 minut gimnastyka i 5 minut mycie się śniegiem. Oficer inspekcji gimnastyki już palce rąk tak kostniały, że nie przestawały się. Mycie, a raczej nacieranie się śniegiem powodowało dalsze kostnienie i w rezultacie drapało się śniegiem i zgiętymi palcami tak, że na ciele pozostawały czerwone prągi. Podoficerowie pilnowali żeby się nikt nie migał i każdy dokładnie mył. Po tych przyjemnościach wracaliśmy do ziemianek i szybko ubieraliśmy się, bo za kilka minut kompanie kolejne szły po śniadanie. Obowiązkowo tylko w mundurach i ze śpiewem. Dostawaliśmy kawę zbożową, dwie i pół kostki cukru i 600 gramów chleba - komisiarska. Jeszcze przed śniadaniem był apel. Kompanie stawały na placu alarmowym przed naszą ziemianką i po meldunkach przyjmowanych przez oficera inspekcyjnego śpiewaliśmy Rotę i "kiedy ranne". Po Rotce a przed medlitwą padła komenda "niemedlacy się wystap". Na samym początku mieliśmy kilka wypadków, że po tej komendzie jeden czy dwóch Żydów ostentacyjnie występowało przed szereg, ale "przekonaliśmy" ich szybko, że mogą się

modlić z nami, bo w pieśni był wspomniany jedynie Bóg i Żyd mógł uważać, że to jego Jehowa, no i później już nikt nie występował. Zaraz po śniadaniu był wymarsz na zajęcia, które zależnie od tematu prowadzone były w okolicznych lasach lub nad brzegami Oki. W południe kompanie wracały do obozu, zostawiały broń i płaszcze w ziemlankach i kolejno szły na obiad, który jedliśmy dosłownie na tempa. Cztery kompanie naszego batalionu według rozkładu dnia, który był kategorycznie przestrzegany, zjadały obiad w 40 minut, czyli na kompanię wypadało 10 minut. W tym czasie kompanie schodziły do stołówek, zajmowała miejsca przy stołkach, czasem kilkakrotnie wykonywała rozkaz "kompania sied" i "kompania powstań", co zależało od służbowego podoficera prowadzącego kompanię, służbowi z drużyn z kociózkami ustawiali się w kolejkę przed okienkiem kuchni i odbierali porcje, biegiem je roznosili i drużyny jadły, a nim ostatni skończyli, padała komenda "kompania powstań" i "wychódź". Kto nie skończył jesć ten, jak miał szczęście to niezauważony zjadał przed myciem kociózków w przerębli na Ocie, dekad szła kompania prosto ze stołówek, a jak nie miał szczęścia to musiał resztę zupy wylać. Po myciu, przy którym grabiły ręce, a potem mokra skóra pierzchała od mrozu i wiatru, szliśmy do ziemlanek, zostawiali kociózki, brali płaszcze i broń i wychodzili na ćwiczenia, które trwały zwykle do 18-ej. Po powrocie czyszczenie broni i kalibracja, przeważnie rzadka wodnista zupa, którą wypijaliśmy bez pomocy łyżki. Zresztą obiady zwane dwudaniowymi też wypijaliśmy, a tylko z drogi kociózka wybierała się ze dwie łyżki gościejszego. W pierwszym okresie wszyscy chodziliśmy stale głodni. Dochodziło do kradzieży chleba. Któregoś dnia jedna z kompanii wracała z ćwiczeń bez oficerów, którzy po drodze zostali przy szpitalu polowym, gdzie mieli swoje sympatie. Z przeciwka jechały sanie z chlebem, jadące z piekarni do któregoś batalionu czy pułku. Kompanie zrobiła "środek wolny" zamiast "lewa wolna" i gdy sanie wjechały pomiędzy dwie kolumny, nagle wszyscy rzucili się na chleb i nim szef, jadący z furmanem, zdążył się zorientować w sytuacji, sanie były puste, a kompania szła tyralibrą w las po głębokim śniegu. Chleb schowali w lesie w śniegu i najspokojniej inną drogą wrócili do obozu. Była wielka draka. Żandarmeria przez kilka dni szalała szukając winnych, ale nikt nie sypnął. Zrobili rewizję w ziemlance podejrzanej kompanii i nic nie znaleźli. Wszyscy twierdzili zgodnie, że ich na tej drodze nie było, bo szli akurat inną, a oficerowie solidarnie to potwierdzili. Po kilku dniach sprawa ucichła, a ta kompania chodziła przez jakiś czas w jedno miejsce na ćwiczenia i wracała w dobrych humorach, bo nie była głodna. Zdarzały się też pojedyncze kradzieże chleba z sanii koło piekarni. Trzeba wiedzieć, że gdyby złapali kogoś na kradzieży groził karny batalion, ale głód do wszystkiego zmusza i tłumami zupełnie strach. Któregoś dnia jeszcze na początku szkoły, rozbieraliśmy na opak do kuchni zawaloną ziemlankę pozostałą w pobliżu naszego obozu po I-cj Dywizji i w niej znalazłem amerykański scyzoryk o kilkunastu ostrzach z różnym przeznaczeniem. Były tam i nożyczki, i pilniki, i różne szpikulce, szydła, nożyki, a nawet mała piłka. Widocznie w tej ziemlance ^{została} któryś z tych co byli u gen.

Andersa i nie zdążyli z nim wyjechać. Gdy ten róz zobaczył szef kuchni, nie dał mi spokoju i w końcu zamieniłem się z nim. Dostałem jednodobrowy polski scyzoryk i oświetlenie, że zawsze przy okazji dostanę repetę. Gdy chodziliśmy na ćwiczenia, trudne było znaleźć czas na te żeby pójść po tę repetę, ale kilka razy skorzystałem. Któregoś dnia urwałem się i zostałem w stołówce gdy kompania nasza była ostatnia. Ponieważ ostatnia kompania miała najmniej czasu na zjedzenie i umycie kociołków, a także drużyny w kompanii, po krótkim czasie wprowadzono stałą rotację i codziennie inna kompania szła pierwsza, a w kompanii codziennie inna drużyna pobierała jedzenie pierwsza. Gdy nasza kompania nie była ostatnia było niemożliwością zostać w stołówce, gdyż zaraz po naszym wyjściu wchodziła, czekająca już na dworze, inna kompania. Wspomnianego dnia dostałem kociołek pełen gęstej zupy i dwie głowy dużych łososi. W tym czasie zamiast przydziału mięsa batalion dostawał ryby i nie rzadko były to solone łososie. Jedną rybę ogłowioną dawali na dziesięciu, z czego wypadła na jednego wąskie dzwonko. Gdy wracałem do ziemlanki z przerażeniem zobaczyłem kompanię wychodzącą na ćwiczenia. Schowałem się za drzewo i czekałem aż ich już nie było widać. Ostrożnie wsunąłem się do ziemlanki i zaraz z brzegu zobaczyłem naszego drużynowego kaprala Kłocika i zastępcę dowódcy plutonu plutonowego Podgórnego. Nie było co się skrywać więc przyznałem się, że zostałem po repetę. Na to plutonowy powiedział, że on to od razu zauważył i na zbiórce usprawiedliwił mnie mówiąc, że mnie zatrzymał i posłał po drzewo na opał dla naszej ziemlanki. Oddał im obu moją zupę, którą zaraz zjedli, bo głodowali tak samo jak i my, i poszedłem po drzewo, a po powrocie ugotowałem rybną zupę z głów i koledzy z mojej drużyny gdy wrócili mieli dodatkową porcję zupy, bo myśmy zawsze się każdą zdobyczą dzielili w drużynie. Więcej korzystałem ze znajomości z szefem kuchni, gdy byłem odkomenderowany do służby wartowniczej i chodziłem w patrolu. Wtedy zachodziliśmy obaj, bo patrol był dwu osobowy, do kuchni i dostawaliśmy porządną repetę. W batalionie szkolnym byłem w 1-ej kompanii strzeleckiej, w 1-ym plutonie, którym dowodził ppor. Żabkowski bardzo porządny człowiek, który dbał o nas i ochraniał nas od przeróżnych represji. Drugim dowódcą plutonu był chorąży Zalas, kolega naszego ppor. Żabkowskiego. Obaj razem ukończyli szkołę oficerską w Riehani. Podoficerowie drużynowi byli po szkole podoficerskiej 1-ej Dywizji. Drużynowym naszej 1-ej drużyny był kapral Kłocik, którego zawsze bardzo miło wspominałem. Dowódcą batalionu był major Rosjanin, bardzo wymagający lecz kulturalny człowiek. Nie słyszałem go nigdy krzyżącego i przeklinającego, co było u sowieckich oficerów niemal obowiązkowe i stałe w użyciu. Kiedyś na ćwiczeniach podczas przerwy opowiadał nam, jak na początku wojny uważał, że oficerowi nie wypada nosić łopatki superskiej przy pasie. Dowodził już wtedy batalionem i szli do przeciwnatarcia. Trafili w pewnej chwili pod koszący ogień kilku kłaków niemieckich, a byli wtedy na zupełnie płaskim terenie, pozbawionym zupełnie naturalnych osłon. Zalegli pod tym ogniem i wszyscy żołnierze gorączkowo zaczęli się okopywać, a on nie miał łopatki. Nie mógł od nikogo jej pożyczyć, bo każdy potrzebował sam, więc ściągnął z

głowy chełm i nim wygrzebał dołek dla skrycia czołgi. Od tamtej pory zawsze nosił saperkę i mówił nam, że na francie, trzeba najwięcej pilnować właśnie łopaty, potem łyżki i kociołka, bo broń zawsze można znaleźć, a tych trzech rzeczy zawsze tam brakuje i łatwo giną. Major był świetnym strzelcem wyborowym i lubił strzelać do różnych celów na pokaz. Uczył nas osobiście jak nastawia się precyzyjnie lunetę z celownikiem optycznym karabinu snajperskiego.

Był też w batalionie lektor, który nie bardzo miał co robić, bo nigdy nie było czasu wolnego. Był nim ppor. Krasewicki młody lecz poważny i kulturalny człowiek. Liczył w małej zwińlanie sam i miał trudności ze zdobywaniem opału, bo mu nie wypadało chodzić tak jak my rozbierni "dacie" moskwičan. Ustawił z nim cichą umowę, że ja mu przynosiłem drzewo na opał, a on mi za to dawał po kawałku chleba.

Przez styczeń i luty ciągle przychodziły do nas uzupełnienia. Spora część z nich, po krótkim czasie odsyłano do pułków jako nie przydatnych w szkole, ale część znaczna pozostawała w pewnym uzupełnieniu przyszedł do naszej kompanii Żyd, u którego zobaczyłem mój nóż, który mi zginął zaraz na początku po przybyciu do Sielc. Żyd nie poznał mnie i niczego się nie spodziewał więc nie krył się z nożem. Powiedziałem plutonowemu Podgórnemu, że to nóż mój i na dowód powiedziałem jak była zrobiona pochwa, choć jej nie widziałem. Plutonowy sprawdził pochwę i oddał mi nóż. Żyd nawet nie protestował tylko twierdził, że on ten nóż kupił. Tak odzyskałem nóż, który zrobiłem sobie na Syberii. W którymś uzupełnieniu przyszedł do naszej kompanii Żyd wysoki i postawny, okaz zdrowia. Gdy ruszył w marszu to niby to nie mógł iść dalej tylko chodził machając rękami razem z nogami, prawa z prawą, lewa z lewą. Naprał wychodził z siebie i nic nie pomogło, a gdy kazali nam się czołgać, to czołgał się niosąc tyłek na pół metra od ziemi. Myśmy się przez kompanii kazali mi oprzeć kolbę na jego tyłku i ciągnąć z całej siły go do ziemi i to też nie pomogło. Ciągnąłem całym swym ciężarem, a on niósł mnie w nie zmienionej pozycji z tyłkiem w górę. W końcu odeszła Żyda i trafił do piekarni. Tam okazał się zupełnie dobrym piekarzem. Czasem go spotykałem i nie miał do mnie urazy, a nawet kilka razy dał mi chleba.

Po krótkim okresie "łososiowym" przysłali nam za mięso, ryby z dalekiej północy podobne do średniej wielkości karasi. Ryby te były zamrażnięte i mimo soli, którą były obsypane, nie przesoliły się. Naturalnie nie były zupełnie czyszczone. Zaczęto dawać nam te ryby surowe, jedną na dwóch. Po krótkim czasie w batalionie zapanała biegunka tak silna i powszechna, że nie chodziliśmy na ćwiczenia i na wartę nie było kogo postać, a wszystkie ścieżki od ziemianek do latryny były dosłownie zapaskudzone odchodami. Inne zupełnie nie wzięło i na okrągło przez kilka dni chodziłem z kolegą, też zdrowym, na patrolu. Ryby już wtedy kazali gotować w zupie i kucharze mieli pełne ręce roboty przy ich czyszczeniu. Zachodziłem do kuchni i szef dawał mi te surowe ryby. Jadłem je po kilka na surowo z bardzo małą ilością chleba. Najdługo

się tą rybą do syta i nic mnie nie brało, a wszyscy się temu dziwili. Przy ziemlance - wartowni - była ziemlanka z ziemniakami, przy której stał wartownik, drugi wartownik stał przy ziemlance - magazynie żywnościowym, oddalonym dość daleko od wartowni. Gdy byłem w służbie wartowniczej i stałem przy magazynie żywnościowym, przed którym stały beczki z zamarznąłą kiszoną kapustą. Opierałem się plecami o beczkę, jedną ręką trzymałem karabin przy nodze, a drugą za sobą dawkę pazurami tą zamarznąłą kapustę i jak naskrobalem garść, to po rozejrzeniu się czy kto nie widzi, wkładałem ją do ust i jadłem. Przez te cztery godziny warty nawet sporo tej kapusty zjadałem. Innym ona szkodziła i dostawali bóleści żołądka i rozstroju, a mnie nic nie szkodziła, a zawsze coś się jadło. Gorzej było zdobyć ziemniaki. W czasie gdy byliśmy na wartowni "w stanie pogotowia", wypatrywaliśmy czy nikt z przełożonych nie idzie. Jeden prędko wchodził do ziemlanki z ziemniakami i nabierał trochę do pind, które mieliśmy do nakładania na wartę, i prędko przebiegał do wartowni. Tam krajaliśmy ziemniaki na plasterki i przykładali do rozpalonego piecyka żelaznego. Plasterki przypiekały się szybko i tylko trzeba było pilnować, bo łatwo się przypalały i zostawał silny zapach spalenizny, a gdy złapali, że mu warcie się kradło to groził karny batalion, a w najlepszym wypadku 15 dni ścisłego aresztu, to znaczy co drugi dzień normalne jedzenie, a w pozostałych dniach tylko kawa bez cukru i porcja chleba, no i spanie bez siennika i koca lub płaszcza. Po takim areszcie widać człowiek słaniał się na nogach i często kończyło się szpitalem.

Tak głodno było mniej więcej do połowy kursu. Któregoś dnia przyjechał do nas podczas ćwiczeń pułkownik Galicki - dowódca dywizji - i przyglądał się nam. Staraliśmy się wszystko wykonywać jak najlepiej. W przerwie pochwalili nas i pytał jak się nam powodzi. Staliśmy w kolumnie czwórkowej i nie było chętnego narażać się, bo za plecami pułkownika stał między innymi nasz kwatermistrz. W naszej drużynie był chłopak jak najbardziej normalny, tylko lubiący czasem zgrywać wariata. Gdy pułkownik powtórnie spytał, on odezwał się głośno: "hujowo obywatelu pułkowniku". I to pułkownik: "tak nie można się odzywać do przełożonego, ale dlaczego mówicie, że jest źle?" I to on powiedział, że cukru dostajemy tylko dwie i pół kostki, zupy są zupełnie rzadkie i postne i ciągle jesteśmy głodni. Nasz kwatermistrz stojąc za plecami pułkownika czerwony jak burak wygrażał pięścią naszemu koledze. Pułkownik Galicki powiedział nam żebyśmy starali się jak najlepiej ćwiczyć, a on o nas nie zapomni. Gdy pułkownik odjechał, kwatermistrz mało nie wziął się do bicia naszego kolegi, ale ppor. Żabkowski i dowódca kompanii nie pozwolili mu go tknąć i ostro przemówili się przy nas z kwatermistrzem. A kilka dni po tym, gdy mieli nam wydawać obiad nagle Willis w pełnym podzie przyjechał brnąć obozu i zatrzymał się przed kuchnią. Pułkownik wyskoczył i zszedł z waszedł do kuchni. Akurat był tam obecny kwatermistrz, który chciał meldować, ale pułkownik tylko ręką machnął i podszedł do kotłów. Zapytał kucharza co dał do zupy. Wziął chochlę i zanieszał w kotle, a potem nabrął pełną i przelewając zupę do kotła powiedział do tłumaczącego się kucharza: "ja też byłem żołnierzem i mnie nie będącym opowiadać bajek, tu nie ma nawet..."

rzem i maia nie bądziecie opowiadać bajek, tu nie ma nawet połowy tego co wyliczyliście". Podeszedł do stołu, gdzie stały kociadki z odważonym dla plutonów cukrem, zapytał dla którego plutonu ten cukier i jaki stan. Gdy mu to podali, postawił na wadze i zważył. Okazało się, że było tego akurat połowa. Myśmy już byli w stołówce i czekali na wydanie obiadu. Pułkownik odwrócił się do kwatermistrza i dał komendę: "pas zdjąć", to samo do szefa kuchni i do magazynierki, o której wszyscy wiedzieli, że była kochanką kwatermistrza. Wszystkich troje wsadził na 15 dni ścisłego do aresztu przy naszej wartowni. Następnego dnia mieliśmy cztery i pół kostki cukru, porcje chleba powiększyły się znacznie, a obiad trzeba było jeść łyżką. Po odsiedzeniu u nas ścisłego, ukaranych zaprali i podobno mieli ich sądzić. Jeszcze wcześniej zdarzył się w naszym batalionie przykry wypadek. Był u nas szef plutonu gospodarczego, starszy sierżant, straszny pijanica. Naturalnie nie pił za kradzioną żywność, ale jakoś mu to uchodziło i właściwie nigdy nie trzeźwiał. Początkowo nie mieliśmy zupełnie amunicji i na warcie staliśmy z karabinami bez naboju. Któregoś dnia dostarczyli amunicję dla służby wartowniczej i pierwszy raz nocą stały warty i chodziła patrolka normalnie uzbrojona. Widocznie szef plutonu gospodarczego nie wiedział lub zapominał o tym. Wracał nocą z jakiejś libacji zupełnie pijany i szedł prosto do magazynu żywnościowego. Był rozkaz, że po apelu nie wolno nikogo dopuszczać do magazynów i wartownik widząc idącego w jego stronę sierżanta krzyknął: "stój w tył zwrot, bo będę strzelać". Przechodzący patrol też krzyknął: "stój bo strzelam". Na to pijany sierżant zwrócił się do patrolu, wyciągnął naganę i podchodząc złapał za lufę karabinu żołnierza z patrolu, celując w niego z nagana i obrzucił go stekiem przekleństw rosyjskich. Żołnierz nie czekając aż sierżant strzeli z nagana, wystrzelił ze swego karabinu, którego lufę pijany trzymał na wprost swego brzucha. Dwie kule przeszły sierżanta, a trzeci strzał był w górę. Przybiegli dowódca warty z drugim patrelem i zastali już nie żywego sierżanta. Następnego dnia wyczytano nam rozkaz, w którym żołnierz z patrolu dostał pochwałę, awans na kaprała i tydzień urlopu. Naszą drużynę ćwiczył plutonowy Podgórnny w strzelaniu salwy honorowej i mieliśmy uczestniczyć w pogrzebie sierżanta, ale przyszedł inny rozkaz i pochowali go bez honorów wojskowych.

Od początku pobytu w obozie szkoły, gdy już się wszystko ustatkowało, dostaliśmy sienniki i koce, ale nie dostaliśmy słomy, do sienników. Któregoś wieczoru przy apelu zapowiedziano nam, że nie mamy się rozbiierać i po pewnym czasie po cichu zrobiono zbiórki wszystkich kompanii bez broni, a wszyscy nie wyłączając oficerów, którzy byli w żołnierskich mundurach, mieli ze sobą swoje sienniki. Poszliśmy przez Okę kilka kilometrów na łąki jakiegoś koźchozu i w mig rozebraliśmy owie sterty siano. Naturalnie nikt nie brał siana z wierzchu, które było osłonięte, tylko zrzuciliśmy je w śnieg. Nie minęło pół godziny jak już wszyscy szliśmy spowrotem, niosąc pełne sienniki siano. Po dojściu do obozu kazali nam wszystkie sienniki złożyć w szopie będącej magazynem broni. Po tym wszyscy poszliśmy spać. Na drugi dzień z rana pod

bronię obozu podjechały sanki i wysiedli z nich preśdaciel kołchozu i preśdaciel sielsowietu. Chcieli rozmawiać z dowódcą batalionu. Major przyjął ich grzecznie, a gdy stwierdzili, że ślady siana doprowadziły ich do naszego batalionu, major wezwał dowódcę warty i zapytał go przy nich czy po apelu wychodził kto z obozu. Naturalnie dowódca warty kategorycznie zaprzeczył. Wówczas major powiedział, że nie może sam z nimi iść obejrzeć obóz, bo musi jechać do sztabu dywizji, ale wezwał gońca i kazał mu ~~przejechać~~ oprowadzić przybyłych po obozie. Wchodzili do wszystkich ziemlanek i nigdzie nie znaleźli śladów siana, ale ślady prowadziły do szopy. Gdy tam chcieli zajrzeć, wartownik nastawił karabin i wydał kategoryczny rozkaz "krugom", a gońiec objaśnił, że tam jest magazyn broni i on tam nie może iść. Obaj przedstawiciele sowieckiej władzy musieli zrezygnować i odjechali do siebie. Wiczerem tego dnia przy apelu dowódca batalionu powiedział nam, że konie batalionowe dostają bardzo małe racje siana i siano przyniesione przez nas w nocy ma pójść dla koni, a my mamy iść następnej nocy po słomę. I tak następnej nocy zginęła w kołchozie sterta słomy, ale już nikt do nas nie przyjeżdżał jej szukać. Odtąd spaliliśmy na siennikach.

W tym samym mniej więcej czasie zwiad dywizyjny dostał dla szwadronu konnego zwiadu same mongołki. Ponieważ zwiadowcy byli przeciętnie wysocy, więc wyglądali na swoich mongołkach jakby jechali na kozach. Niedaleko od naszych obozów formowana była z byłych jeńców brygada rumuńska, która otrzymała dość, piękne konie. Nawiasem mówiąc nie wiem dlaczego, ale Rumuni dostali całe wyposażenie dużo lepsze od nas. Po krótkim czasie wybuchła bomba. - Rumunom zginęły z pod warty konie. Konisja śledcza jeździła po wszystkich jednostkach w szerokiej okolicy i sprawdzała konie według ich książek i niczego nie znaleźli. Naturalnie nie zwracali uwagi na mongołki, a tych w polskim zwiadzie było parę setek. Tymczasem zwiadowcy wypalili numery mongołków na kopytach koni rumuńskich i dopasowali im książki mongołków, a te nie potrzebowały książek. Konisja nie znalazła, a zwiad dywizyjny do końca wojny jeździł na ładnych, czystych koniach, a mongołki ciągnęły wozy taborowe. Jeśli już o Rumunach, to trzeba wspomnieć o ich zachowaniu. Mieli w Dziwowie swoje magazyny, przy których stały ich warty. W pobliżu tych ich magazynów nikt nie mógł przejść, bo wartownicy rumuńscy strzelali bez uprzedzenia najpierw do przechodnia, a dopiero potem dwa razy w górę. Ileś strażków była przepisowa, ale zwykle delikwent najpierw oberwał, a później został ostrzeżony. Byli to wszyscy byli jeńcy wzięci przez sowieckie wojska do niewoli i później wybierani z obozów. Oficerami u nich byli prawie wyłącznie sowicci, ale mieli umundurowanie i wyposażenie bardzo dobre i cała ich brygada jeździła na wozach amerykańskich.

W połowie kursu mieliśmy ćwiczenia na torze przeszkód. Tor był oblodzony i zasypany śniegiem. Raz przeszedłem go zupełnie dobrze, ale już źle się czułem. Gdy szedłem drugi raz zupełnie zniechęcony i miałem takie suwraty głowy, że spadałem z belki. Ppor. Łabkowski przyjrzał mi się i kazał mi wrócić do ziemianki przed zakończeniem ćwiczeń. Ledwo się tam dowlokłem. Położyłem się na pryczy i dostałem dreszczy. Gdy wróciła kompania, koleżki z drużyny nakryli mnie szynami

plaszczami, a ja miałem takie dreszcze i tak mnie trzęsło jakbym miał najgorszą odmianę malarii. Koledzy wezwali do mnie sanitariusza i gdy mi zmierzzył temperaturę to miałem ponad 41 stopni. Dał mi kilka proszków kalceksu - sowieckiej odmiany aspiryny, bo nic innego nie miał i polecił żebym rano jutrz nie szedł na ćwiczenia. Nie widziałem lekarza i po jednym dniu mi przeszło. Niektórzy uważali, że to była malaria, ale nigdy więcej mnie nie trzęsło i nie miałem żadnego nawrotu choroby, a przy malarii jest to nie uniknione i nie ustępuje bez dłuższego leczenia.

Oprócz ciągłego głodu, najbardziej dokuczał nam brak snu. Dwie noce w tygodniu były programowo zajęte na nocne ćwiczenia, a raz na tydzień planowo występował nocny alarm. Wprawdzie po stawieniu się kompanii na placu alarmowym i podsumowaniu wyników zwykle szliśmy spać, ale noc była już zerwana. Poza tym często były robione alarmy w poszczególnych kompaniach za brudny karabin lub kociołek, a czasem nawet za leżącego na ziemi w ziemiance niedopałka. Taki alarm kończył się, zależnie od widzimisię prowadzącego, marszem ze śpiewem za niesionym na pałatce niedopałkiem, lub czochaniem się po śniegu. Z reguły na takie karne alarmy chodziliśmy w mundurach bez płaszczy, więc po czochaniu się byliśmy cali mokrzy. Kiedyś kilkakrotnie pod rząd mieliśmy karne alarmy za jednego Żyda, który stale zostawiał karabin nie wyczyszczony. W końcu, po którymś już z rzędu takim alarmie, gdy po czochaniu się w głębokim śniegu, wracaliśmy do obozu zupełnie mokrzy, prowadzący podoficer rozkazał temu Żydowi wystąpić przed kompanię i prowadzić ją, a sam odszedł dyskretnie. Pierwsza czwórka dopadła Żyda i nie przerywając śpiewu każdy po częstował go w ucho, a za nią wszyscy po kolei łali go lub kopali. Gdy kompanie przeszła Żyd ledwo się podniósł i dowlókł do ziemianki. Na drugi dzień chodził z posiniaczoną głową, ale nie poskarżył się nikomu. Poskutkowało to tak, że do końca szkoły już więcej nie podpadł. Trzeba zaznaczyć, że niektórzy Żydzi byli wprawdzie żołnierzami, ale niektórzy naumyślnie udawali dużyłowych służb, gdzie umieli się dobrze urządzać.

Gdy wracaliśmy z ćwiczeń przemoczeni, największym kłopotem sprawiała nam suszenie odzieży. Był zakaz siedzenia przy piecu i gdy kogoś na tym złapali, szedł "pod karabin" czyli stawiali go bez płaszcza, twarzą do wiatru, z karabinem na baczność na godzinę do czterech godzin. Długość kary zależała oczywiście od karzącego. Pod karabin stawiano także między innymi za spóźnienie się na zbiórkę, a stawiano naturalnie w czasie walny od ćwiczeń.

W ziemiankach utrzymywana była temperatura w okolicy 0°C, bo według sowieckich doświadczeń choruje tylko człowiek, przegrzany. Gdy kładliśmy się spać, onuce dla wysuszenia kładliśmy pod siebie, lub okręcali je sobie w pasie, bo pozostawione na butach do rana, były zupełnie zmarznięte i nie mogliśmy ich było owinąć na nogach, a zapasowych nie mieliśmy. Niektórym robiło trudności ubieranie się na tempo i pozostawali w tyle. Tacy byli ćwiczeni indywidualnie przez podoficera i tak długie wykonywali rozkazy "ubierać się" i "Przebrać się", aż dochodzili do wymaganej szybkości.

Pobudka była ogłaszana przez podoficera służbowego okrzykiem: "pobudka, pobudka wstać!" i zaraz następowała komenda: "ubierać się" i następowało odliczanie: "raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć i wyskakiwać". W tym krótkim czasie trzeba było wciągnąć spodnie, zdjąć koszulę i nałożyć buty i na "wyskakiwać" już wybiegać z ziemianki.

W tym czasie marzyłem o możliwości wypicia mleka, a nie miałem na to pieniędzy. Kobiety z kołchozów przynosiły na bazar, urządzone na środku zamarzniętej Oki, placki z gotowanych ziemniaków, mleko, lepieszki z maki żytniej i gotowane ziemniaki w łupinach, lecz ceny tego były nie na moją kieszeń. Dostawałem jako młodociany 16 rubli żołdu miesięcznie, a szklanka mleka kosztowała 10 rubli, tą samą cenę miały placki z gotowanych ziemniaków i trzy niewielkie gotowane w łupinach ziemniaki. Lepieszki z żytniej razówki średnicy około 10-15 cm - 15 rubli.

Któregoś dnia świcyliśmy matarce i tak zaszliśmy tyralierą po kalana w śniegu aż pod osiedle robotnicze. Tam dali nam trochę odpecząć. Skorzystałem z tego i wszedłem do pierwszej z brzegu chaty żeby napić się wody. W izbie była młoda jeszcze kobieta z trójką kilkuletnich dzieci. Gdy poprosiłem ją o wodę, popatrzyła na mnie, nalała szklankę koziego mleka i podała mi ją mówiąc "wypiej małaka, ano łutsze wady", a gdy jej dziękowałem, zapytała mnie gdzie moja rodzina, a gdy jej powiedziałem, że Mamusia została na Syberii, zapytała czy piszę do domu listy i powiedziała z westchnieniem: "oj piszy, piszy paczastsze, tak ciężko żdać piśma". Schyliła się pod kuchnię i pogrzebawszy w koszyku wyjęła trzy ziemniaki i dała mi je mówiąc żeby je sobie gdzieś zapiekł, bo napewno jestem głodny. A przecież ona miała małe dzieci i bieda wyglądała u niej z każdego kąta.

Gdzieś w połowie lutego zaraz po śniadaniu poprowadzili nas blisko 30 km i dali nam do odkopania z zasp spory odcinek szosy. Na dwóch przypadło kilkanaście metrów szosy zawianej po kalana i wyżej śniegiem. Do tego mieliśmy tylko osobiste saperki, a wiatr nawiewał ciągle nowe zaspę śniegu. Dopiero przed samym zmierzchem zbrali nas do powrotu. Doszliśmy do Dziwowa już nocą i rozpróżdzili nas po domach na nocleg. Od śniadania nic nie jedliśmy i byliśmy cali mokrzy. W Dziwowie nie było kołchozu, a tylko osiedle robotnicze tak, że nie było kłapcia słomy i mieliśmy spać w mokrych płaszczach i mundurach na gołej podłodze w nie za dobrze ogrzanych izbach. Wytrzymaaliśmy tak do północy i w końcu mieliśmy dość tego noclegu, kilku kolegów przeszło się po kwaterach i zwołali wszystkich no i ruszyliśmy w drogę powrotną. Wszyscy byliśmy głodni, zmęczeni i pomęczeni, a było do przejścia blisko 20 km. Szliśmy inną, podobnie krótszą drogą, ale mniej wyjeżdżaną. Przechodziliśmy już na skraju przedliny Oki przez dużą wieś cichą. Od zęba spuchła mi twarz, a do tego uwierzył mi. Wyszedłem z szeregu i usiadłem na schodach żeby przewinąć mokrą ciecę. Tymczasem batalion przeszedł i zostawił w tyle. Idąc przez wieś zobaczyłem w jednej chacie światło, więc zaszedłem tam żeby się czegoś napić. W izbie stał stary siedział stary dziadek i jadł ziemniaki w łupinach popijając je mlekiem. Szykował się na zmianę na strażowanie w ambarach kołchozowych. Babka krzątała

się przy kuchni. Poprosiłem o wodę. Babka kazała mi usiąść przy stole i postawiła przede mną garnek dwulitrowy z drobnymi ziemniakami w łupinach, na kawałku gazety dała szczyptę soli i nalazała mi szklanke mleka. Zaprosiła mnie do jedzenia i wypyttywała na przemian z dziadkiem o rodzinę i rodzinne strony. Jadłem ziemniaki bez obierania i odpowiadałem im na pytania. W mig garnek był pusty. Gdy dziękowałem im za ugoszczenie babka powiedziała mi, że oni mają pięciu synów na wojnie, te meze tam gdzieś ich synom ktoś też da zjeść. A mnie wtedy przypomniało się jak w Kozulce, krótko przed pójściem do wojska wróciłem do domu z pracy, a obok na placu oficerowie ganiali młodych żołnierzy, których przywieźli przed odjazdem na front, do pracy w kołchozach przy omłotach. Chłopcy, wszystkie najmłodsze roczniki, widać było ^{byli} bardzo zmęczeni i głodni. W przerwie musztry dwóch żołnierzy weszło do nas i też prosili o wodę. Akurat mieliśmy trochę swoich ziemniaków i Kamusia ugotowała garnek ziemniaków w łupinach na obiad. Widząc, że obaj chłopcy byli głodni, daliśmy im te ziemniaki, a oni w mig je zjedli. I wówczas we wsi nad Oltą dostałem te ziemniaki spowrotem i je zjadłem, gdy byłem bardzo głodny. Tak to zawsze jak fala na wodzie, gdy rzucisz kamień, rozchodzi się i powraca, tak samo co zasiejesz, dobrego czy złego, tą po jakimś czasie powróci do ciebie. Gdy wyszedłem od tych staruszków już się rozwidniało i z wzniesienia, na którym rozłożyła się wieś, widziałem w oddali wijący się drogą wśród łak nasz rozciągnięty w marszu batalion. O degnaniu go nie było mowy. Gdy wreszcie dotarłem do obozu i wszedłem do ziemianki już wszyscy czyścili broń. Mój drużynowy wiedząc, że spuchłem od zęba usprawiedliwił mnie i nie miałem z powodu spóźnienia żadnej przykrości. ... Jęle miałem to szczęście, że zwierzchnicy - oficerowie i podoficerowie lubili mnie i nigdy nie byłem przez nikogo szykanowany. Co prawda starałem się wykonywać wszystkie rozkazy jak umiałem najlepiej. Pod koniec lutego zrobili nam daleki wymarsz z ćwiczeniami natarcia i obrony na przemian. Mnie wówczas z powodu bolącego zęba zostawili w służbie wartowniczej i staliśmy na dwie zmiany 6 na 6 godzin przez trzy doby, ale przynajmniej nie męczyliśmy się marszem. Na trzeci dzień wrócił batalion z tych ćwiczeń. Wszyscy byli wyczerpani do ostateczności i przemoczeni, a kilku przywieźli na podwodach z odarżonymi nogami tak, że kilku zostało kolekad. Mnie za to ponosiła sama koncepcja ćwiczeń, bo gdy jedni nacierali, to drudzy leżeli w obronie w wykopanych w śniegu okopach. Następnie robiono zmianę i ci co przemokli i zapotlieli w natarciu przez głęboki śnieg, kładli się w obronie i dwie, trzy godziny leżeli bez możliwości rozgrzania się rucher. I ci przemęczone buty zamarzały razem z nogami. Na debitkę nie wszyscy mieli dobre opuce, a panował w tym czasie mróz ponad 30 stopni. Przy mundurowaniu nas wydali nam jedną parę opuc z beji, ale przez stałe mrozenie i od ciągłego chodzenia w nie zawsze dopasowanych butach, szybko się one darły, a nowych nam nie dawali. Niektórzy z nas, a wśród nich i ja, zdobyliśmy płaszcze niemieckie wyrzucone koło żłoni przy mundurowaniu poborowych z jeńskich obozów z armii niemieckiej. Podaarliśmy te płaszcze na opuce i ran

mniej marzły nogi, bo zawsze były to onuce sukienne.

Flagą nas gnąbiącą były wszy. Mimo kąpieli w łaźni i parowania w tym czasie naszych mundurów i częstego wyrzucania naszych sienników i kocy na mróz, wszy nie mogliśmy się pozbyć. Niektórzy wstydzili się przyznać, że mają wszy i ci mieli ich najwięcej. Ja i wielu z nas przy każdej okazji ścigaliśmy koszule i tłuśliśmy wszy bez litości i to najwięcej pomagało. Wsza nie jest, jak to wielu nie znających się uważa, stworzeniem lubiącym brud, a na odwrót, jeśli ktoś miał bardzo brudną i przepoconą bieliznę to wszy widać mało, bo one przy najbliższej okazji schodziły na sąsiada, który nałożył czystą bieliznę. Gdy chciało się wyczyścić z wszy kożuch to nakładało się go na czystą bieliznę i wtedy wszystkie wszy na nią schodziły, ale gdy bielizna była brudna to szły tylko najęść się i wracały zaraz do kożucha.

W połowie marca przyjechała do naszego batalionu komisja lekarska i na zbiórkę batalionu wybrali z pośród nas najgerzej wyglądających, podejrzanych o gruźlicę. Tych wybranych przebadali w baraku dowództwa i kilkudziesięciu z nich zabrali do uzdrowieńczych batalionów. Nie skończyli oni kursu i nie dostali stopni podoficerskich. Więcej się z nikim z nich nie spotkałem. Przez cały czas kursu mieliśmy prawie wyłącznie, poza musztrą, ćwiczenia terenowe, a przede wszystkim ciągłe natarcia. W jednym dniu zaledwie pokazali nam znaki topograficzne i zapoznawali z mapami. Ja znałem to z harcerstwa, ale ci ce tego wpraw nie znali nie wiele skorzystali i często nie umieli nawet ustawić mapy według kompasu, a cóż dopiero więcej korzystać. Te same było z walką w osiedlach i miastach, czego wogóle nam nie pokazali, ani nawet nie omówili.

W połowie marca urządzili nam egzaminy. Komisji byli oficerowie z poza naszego batalionu. Zdawaliśmy ustnie z regulaminów służby polowej, z terenoznawstwa, a poza tym z musztry, szermierki i walki na bagnety, ze sprawności na terenie przeszkód. Poza tym na strzelnicy ze strzelania z karabinu, PPszki i rkm, a także ze znajomości budowy broni. Mnie poszło wszystko dobrze i zakwalifikowali mnie na plutonowego. Kilku zaraz po egzaminach przeszło sobie stopnie, ale musieli je zaraz zdjąć, bo nie było jeszcze rozkazu o awansach. Krótko po tych egzaminach opuściliśmy nasz obóz i przemieściliśmy na drugą stronę Oku i zakwaterowali we wsi Iwaszkowo. Wówczas wszystkie jednostki polskie przerzucili do wsi za Oku, bliżej stacji kolejowej, bo istniała obawa, że Oku ruszy i przez dłuższy czas nie będzie można dostać się z obozów za Oku do kolei, a już były plany przerzucenia całej naszej armii na Wołyń. Dywizje nosze I-sza i II-ga były pod Smoleńskiem, ale prawdopodobnie z uwagi na wrogi stosunek Sowieców do Armii Krajowej w całości, a zwłaszcza na Wileńszczyźnie i w Łowegródzczyźnie, nie chcieli naszej armii prowadzić przez te tereny, żebyśmy nie zobaczyli jak NKWD wyniszcza naszych Braci, którzy walczyli z Niemcami. Na Wołyniu było pod tym względem dla nich lepiej, bo 27 Dywizja AK odeszła przed frontem i teren na który nas przewieźli był ogólczony z AK. Iwaszkowo - była to duża wieś cerkiewna, posiadająca dużą szkołę nowo wybudowaną i kilka ulic. Naturalnie był w niej kołchoz. Okolicą wsi, jak zresztą

cała przestrzeń z tej strony Oki, pozbawiona była zupełnie drzew i nawet ja-
ry b stromych zboczach za wsią były zupełnie оголоcone z drzew i krzewów.
Wszystko w obrębie pól kołchozowych wycięto już dawno na opał. Rozmieścili
nas po kilku po chatach. Z naszej drużyny: Pendlewski, Sakowicz, Pytlak, Płonki,
Hakamaj i ja trafiliśmy do domu starych samotnych ludzi. Dziadek był stróżem
w kołchozowych ambarach. Synów mieli na wojnie. Nocami kradli żerdzie z pęk-
płotów kołchozowych i rąbaliśmy zaraz na opał dla starych gospodarzy, a bab-
ka co rano stawiała nam sagan gotowanych z łupinami ziemniaków i krynkę, czy-
li dzbanek gliniany, mleka. Mnie polubiła i często w dzień dawała mi po kilka
placków ziemniaczanych smażonych na oleju.
Nasz drużynowy pojechał w delegacji do sztabu do Moskwy i nie było go kil-
ka dni, a zastępował go w tym czasie Pendlewski. Jankiel zex naszej drużyny
został gońcem kompanii przy sztabie batalionu i nie mieszkał z nami. Spaliś-
my na rozścieżanej co wieczór na podłodze w izbie słomie. Sienniki i koce
już zdaliśmy do magazynu i prz. wywaliśmy się płaszczami. Mnie rozleciały się
się zupełnie buty i odnieśli je kiedys do szewców, a ja w tym czasie siedzi-
ełem na kwaterze. Penlewał do studni było daleko i starym trudno było nosić
wodę, więc codziennie któryś z nas kolejno przynosił po kilka wiader. W Rosji
tak, jak i na Syberii we wsiach było tylko jedna, a najwyżej kilka studni i
wszędzie dnozenie wody było problemem, zwłaszcza dla starych ludzi. Gdy sie-
działem bez butów, nosiłem wodę w piarach dziadka i w jego kożuchu. Śmiać mi się
się chciało jak przechodziłem koło naszych oficerów i oni mnie nie poznawali
a ja naturalnie im nie salutowałem, bo miałem ręce zajęte. Jeszcze nim oddałem
buty do naprawy, wzięli mnie do służby wartowniczej i stałem nocą przed kwar-
terą dowódcy batalionu. Penlewał dniem już bywały odwilże, miałem zupełnie
mokre buty i nocą gdy brał brzoś, mawiały mi nogi niemożliwie. Przytupałem
więc, chodząc przed ganek, dla rozgrzewki. Po pewnym czasie gospodyni domu,
w którym mieszkał dowódca i mieścił się sztab, wyszła na ganek i dała mi suk-
cenne omuce żebym się przesuł. Byłem jej za to bardzo wdzięczny, bo stać przez
kilka godzin na mrozie w zupełnie mokrych butach nie było przyjemnie.
W Iwaszkowie po całych dniach ćwiczyli nas w marzu w szeregach po dwarastu
i defiladzie z karabinami według sowieckiej musztry "na rękę broń". Szło się
w szeregu z odstawionym w bok pod kątem prostym łokciem, opartym o bok sąsied-
da z prawej strony, trzymając karabin prawą dłonią za szyjkę karabinu, opartą
o biodro, a lewą wyciągniętą prosto do przodu ręką trzymając za łożo. Bagnet
trzymało się wówczas na pół długości oparty o ramię idącego z przodu. W ten
sposób można było idealnie wyrównać czworobok kompanii.
Listy do Mamusi pisałem dość często, ale pierwsze od niej dostałem pod koniec
pebytu w obozie za Oką, a już w Iwaszkowie trzy następne razem z przekazem
na dwaście rubli. Z listów tych dowiedziałem się, że naszą stertkę siano Mamu-
si ukradli i to prawdopodobnie zawchoz, który mi obiecał pomóc Mamusi. Później
tym nie starczyło Mamusi drzewa do końca zimy i K.W.D-ista, który zajmował sąsied-
nie mieszkanie, odebrał Mamusi komórkę, którą sam wyremontował, bo uznał, że
komórka należąca do jego mieszkania wymaga remontu, łatwiej więc było mu

odebrać Lamusi komórkę, aniżeli swoją remontować. Naturalnie przed takim typem nie można było się bronić i trzeba było ustąpić. Z żywnością też było źle. Lamusia po moim wyjeździe przyjęła do siebie panią Chutorowiczową, samotną starszą i mieszkają we dwie, a pracowała jako szwaczka w artielei.

W Iwaszkowie zaczęto nam coraz częściej wygłaszać pogadanki polityczne na aktualne tematy. Pogadanki te odbywały się w miejscowej szkole.

24 marca urządzili próbną defiladę w Dziwowie. Nasz batalion przeszedł w czworobokach i na kolumnę "na rękę broń" nikt się nie spóźnił. Generał Galicki był z nas bardzo zadowolony i chwalił nasz batalion. Pułki szły według polskiej musztry, co wyglądało naprawdę efektownie. W dwa dni później 26 marca odbyła się przysięga naszej dywizji. W Dziwowie ustawili trybunę, za nią masę z flagami polskimi i sejmicznymi, a z przodu po obu stronach trybuny postawili dwa czoki. Na trybunie był ksiądz kapelan dywizji, Wanda Wasilewska, Andrzej Witeś gen. Berling, marsz. Żukow i szereg innych gości, między którymi podobno byli przedstawiciele ambasady angielskiej i USA. Kręciło się kilku reporterów zagranicznych. Nasz batalion stał naprzeciw trybunie, a przed nami sztab dywizji.

Pułki stały po obu naszych stronach. Kapelan czytał rolę przysięgi, a dywizja powtarzała. "Przysięgam Ziemi Polskiej i Narodowi Polskiemu" grzecznie na czołgardka, ale gdy doszło do "przysięgam Związkowi Radzieckiemu dochować wieczystej przyjaźni i wierności" - wymówili to głośno tylko oficerowie na przedzie i wyszła jakaś słaba. Żukow rozjechał się w tym momencie po naszych szereżach. Ale już "tak nam depentó szóg" zabroniło znów głośno.

Po przysiędze odbyła się defilada. Nasz batalion przeszedł w czworobokach i trzymając karabiny "na rękę broń" i przybiliśmy przed trybunę tak, że aż brygi rozmokłego śniegu opryskały trybunę, a Żukow zawołał: "wot s t kój arziej chaciełby itti wajewoć". Wszyscyśmy mieli w połówki zakazane druty i zrobiliśmy z nich czapki garnizonowe. Podobno wypadliśmy bardzo dobrze znęszczo, że pułki wyglądały zupełnie nie szczególnie, bo nie były w pełnych stanach i były nie wyćwiczone w musztrze tak jak my, a ich umundurowanie też pozostawiało dużo do życzenia, była to wtedy poprostu jeszcze zbieranina.

Po defiladzie wróciliśmy do Iwaszkowa i suszyliśmy się po kwaterach, następnego dnia robiliśmy porządki, czyściliśmy i konserwowaliśmy broń i zdawali ją do magazynu.

W dwa dni po przysiędze odbyło się zręczyste zakończenie szkoleń. Przyjechał na nie generał Galicki i dużo innych gości. Była orkiestra dywizyjna. Zbiórka batalionu odbyła się na placu przed szkołą. Odczytaliśmy nam rozkaz z nominacjami, nas na kaprali i plutonowych, a naszych drużynowych na sierżantów. Po tym odbył się uroczysty obiad. Stały ustawione w szkole. Do obiadu dostaliśmy pół ćwiartki wódki. Ja nie piłem i oddałem swoją drużynowemu. Gdy po pierwszym talerzu wygłoszonym przez gen. Galickiego, rozpoczęła obiad przez cały czas wieszono teasty na cześć naszych przelożonych, tych wyszkolonych i tych najbliższych nam z kadry szkolnej. Pod koniec obiadu rozchoceni oficerowie ze szkoleń podrzucili trzykrotnie generała aż pod sufit. Weselość była ogólna, a po ob-

dzie trwała zabawa taneczna do rana. Wieczorem szef kompanii chciał nas zabrać na wartę, ale zwiالیśmy mu i upiekło się nam. Na drugi dzień po śniadaniu na zbiórce batalionu rozdzielili nas na oddziały odkomenderowane do przyczególnych pułków. W ostatniej chwili mnie wyznaczili do 8 pułku piechoty, gdy wszyscy moi koledzy z pierwszej kompanii poszli do 9 pułku. Wogóle większość poszła do 9 pułku, a do 8-go niecałe 80 podoficerów. Do siedziby sztabu pułku przemaszerowaliśmy już wieczorem i po przeliczeniu rozprowadzili nas po różnych kwaterach. Następnego dnia z rana na zbiórce zapytano nas, kto chce i czuje się na siłach zostać zastępcą dowódcy plutonu. Wystąpiło kilkunastu z nas i ja za namową Hellera - Żyda z pierwszej kompanii. Mnie z Hellerem, Pietruszką Kazikiem i Wołkiem wyznaczili do 2-oj kompanii rusznicy przeciw pancernych w 2-im batalionie. Ja zostałem zastępcą dowódcy 1-go plutonu, którym dowodził chorąży Szerneta, starszy już człowiek, nauczyciel wiejski z pod Żytomierza, bardzo kulturalny i sympatyczny. Heller został zastępcą dowódcy 2-go plutonu. Kazik Pietruszka został drużynowym w 1-ym plutonie, a Wołek w 2-gim. Poza podoficerami, prawie wszyscy żołnierze w kompanii byli z niemieckiej armii. Szefem kompanii był sierżant Klinka. Dowódcą kompanii porucznik Szyrko Białorusin ze Smoleńszczyzny, były starszy lejtnant morskiej piechoty z Leningradu. Skabo mówił po polsku i nigdy się nie nauczył mówić poprawnie. Znamy były wśród nas jego "polskie" kłopoty - "kompania śpiowa - pod Krakowem ciemnyj ljes" lub "kompania w dwie szyringi stanawis". Kłak też "ppoduku" - "jebał ciebia pios". Na ogół nie był złym człowiekiem, a w życiu miał tylko dwie namiętności - wódkę i baby. Zastępcą liniowym dowódcy kompanii był Żyd - chorąży Zipper, pełniący równocześnie w tym okresie funkcję dowódcy 2-go plutonu. Zastępcą dowódcy kompanii do spraw pol-wych był wówczas bez stopnia zwany potocznie porucznikiem Stern Dawid - Żyd - udający kulturalnego człowieka. Pietruszka i Wołek byli w szkole w kompanii rusznicy i znali tą broń, ja ją jedynie widziałem. Wziąłem więc zaraz "nastawieniye po strzalkowemu dziełu - PTR Diaktierewa" czyli instrukcję obsługi rusznicy powtarzalnej 5-o strzałkowej, naturalnie pisanej po rosyjsku, bo innych instrukcji nie mieliśmy, i zapoznałem się z tą instrukcją. Następnie na kwaterze rozbrajałem i słożyłem i rusznicy i już ją dobrze znałem i mogłem uczyć jej obsługi. Była to broń kalibru 14,5 mm o budowie identycznej jak SWT czyli karabin samopowijający na zwykłą amunicję karabinową i były wzorowane na polskich karabinach przeciwpancernych z 1939 roku, których sowieci spore zdobyli przy rozbrajaniu polskich oddziałów współpracując w tym z Niemcami. Kompania batalionowa rusznicy była dwuplucenowa i w każdym plutonie miała po cztery drużyny dwusekcyjne. Drużyna składała się z dwóch różnie obsługiwanych przez celowniczego i amunicyjnego, czyli czterech żołnierzy, którym dowodził drużynowy. Jak już wspominałem żołnierze w większości pochodzili z niemieckiej armii. Większość z nich było Ślązakami, kilku było Pomorzaków i Pogonaniaków. Wszyscy oni byli bardzo nieufni w stosunku do nas, a Ślązacy mówili swoją gwara, której początkowo zupełnie nie rozumieliśmy.

Krótki czas pobytu kompanii we wsi w okolicy Starego Baturyna, gdzie stał sztab naszego pułku, zeszedł nam na ćwiczeniach, wykładach o broni i kilkakrotnym jeźdźeniu do Rybnaj, gdzie była karczma, w której kolejno kąpały się wszystkie kompanie. Nie zawsze była ona czynna, więc nieraz wracaliśmy nie wykąpani. Któregoś razu poszliśmy we trzech z Hellerem i Wolkien do miejscowego kina na film "Dzieci kapitana Granta". Kino było podłe, a film też mało wart, ale zawsze była jakaś rozrywka. W początku kwietnia zdarzył się tragiczny wypadek. Żołnierze 9-ej kompanii pod dowództwem chorążego - kobiety - kładli w Rybnej siano i wieczorem wracali piechotą po torach kolejowych. Zięczeni i ziębnięci nie zauważyli nadjeżdżającego za nimi pociągu i ośmiu żołnierzy pociąg zarzął.

Wieczorem 6-go kwietnia porucznik Osma ze sztabu batalionu dał mi rozkaz wybrania ośmiu żołnierzy z 1-go plutonu. Razem z czterema rusznicami odejść do ochrony przeciwlotniczej sztabu dywizji. Wybór mój zmienił dowódcę kompanii i wsadził mi trzech najgorzej z kompanii żołnierzy, a między nimi ostętnię kają - żołnierza nie zupełnie normalnego pochodzącego z Polesia, a w kompanii przezwane Iwanem, choć miał polskie nazwisko i był Polakiem. Szef kompanii wydał nam suchy prowiant na trzy dni i o 3, ej nad ranem odmaszerowaliśmy do Dzinewa. Razem z nami szedł z drugiej kompanii ckm pluton pod dowództwem podporucznika. W Dzinewie przesiadaliśmy na przygodnych kwaterek do 10-go kwietnia. Tego dnia zaczął się formować eszelon sztabu dywizji. Na stojących na łórkach ZIS-ach saperzy zbili, ze świerze ściętych brzołek, stojąki pod rusznice i ckm-y. Ledwo się to trzymało kupy, gdyż gwoździe w surwiąg drewnie zupełnie nie trzymały i pod ciężarem rusznicy, a tym bardziej ckm-u cały stojak chybetał się niebezpiecznie. Przy całym formowaniu i załadunku eszelonu był nieopisany bałagan. Kikt niczego nie wiedział i każdy był bardzo warty. Nam nie dali wogóle wagonu, tylko zostawili nas wszystkich na odkrytych platformach z samochodami. Trzeba pamiętać, że pod Moskwą było wtedy jeszcze zimno i zwłaszcza nocą mroz był kilkunastostopniowy, a my byliśmy w letnich mundurach i palówkach, bez rękawic i ciepłej bielizny. Kocy też naturalnie nie mieliśmy. Żołnierze po warcie na mrozie na odkrytych platformach mogli "ogrzać" się w kabinach ZIS-ów, która miały te zalety, że były ciasne i przewiewne. Nasze platformy były na przedzie eszelonu tuż za parowozem, a nami były wagony "ciepluszki" czyli bydlęce z wstawionymi piecykami i zbitymi przeczami, w których jechała kompania łączności, kompania saperów, żandarmeria, kompania transportowa, orkiestra dywizyjna, kuchnie polowe itp. pododdziały dywizyjne, a między tymi wagonami były dwa wagony osobowe - pułkowy - gdzie jechał sztab dywizji.

Przy wyjeździe z Dzinewa przydzielili nas do kuchni łączności. Z raz pierwszego dnia okazało się, że dostajemy dosłownie porzycje. Kuchnie w łącznościowym wydawali posiłki podczas jazdy pociągu w planowanych godzinach, a myśmy mogli brać posiłki tylko podczas postoju pociągu, więc kucharze dolewali wody i płukali kotły, a jeśli pociąg długo nie przystawał to na

dobitką jedzenie było zupełnie zimne. Po kilku dniach takiego odżywiania się mieliśmy już tego dość. Na którymś przystanku generał Galicki spacerował z nami wzdłuż eszelonu. Gdy przechodził koło nas, skożyłem mu raport ze stanu służby. Zapytał żołnierzy jak im leci służba, a wtedy Dudek - wtedy Słazek - wziął na odwagę i powiedział, że służba ciężka, a jeszcze gorsze wyżywienie. Generał zapytał mnie kto nas karmi, a gdy mu wyjaśniłem na czym rzecz polega powiedział żebyśmy dobrze pełnili służbę, a on nam się postara i zaraz następnego dnia ~~przekaz~~ przydzielili nas do kuchni sztabowej. Odtąd jedzenia mieliśmy pod dostatkiem i bardzo dobrej jakości. Oficerowie sztabowi nie mieli żadnych zajęć i ruchu i mało jedli, a kucharze potrzebowali opału, bo jak to w sowieckim ustroju zawsze bywało, nikt nie pomyślał żeby zabezpieczyć kuchnię w opał na czas przejazdu. Lasi żołnierze kradli po stacjach podkłady kolejowe, których wszędzie było pełno, bo Niemcy cofając się niszczyli dokładnie wszystkie tory, a Sowietcy saperzy je odbudowywali. Kucharze dostawali na opał podkłady, a my pod dostatkiem repety.

Przed Biełgorodem wjechaliśmy w kraj zupełnie zniszczony wojną. Na wszystkich przystankach, bo stacji nie było tam wogóle, tylko bocznice kolejowe i nowe ustawione semafony świadczyły o tym, że w tym miejscu kiedyś było stacja, stały całe kolony pościąganych z pól wraków niemieckich czołgów, samochodów, dział, a nawet samolotów. Pola porażnięte były w różnych kierunkach tranzejami i wszędzie unosił się fetor rozkładających się trupów. W tych okolicach śniegi już prawie zniknęły i wszędzie, jak okiem sięgnąć był nieuprząny od kilku lat śnieg, bo tam front przetaczał się kilkakrotnie. W kilku miejscach widzieliśmy jak pozostali przy życiu miejscowi mieszkańcy orali ogrody - kilka kobiet ciągnęło pług konny, a orał starzec. W Biełgorodzie staliśmy trzy dni. Samo miasto przechodziło cztery razy z rąk do rąk i prawie nie istniało.

Następnie dwa dni staliśmy na małej stacji o 7 km przed Charkowem. Tam przyszły do naszego eszelonu dziewczyny miejscowe w ukraińskich strojach - w komsomolskiej delegacji i na placu przed eszelonem urządzili potańcówkę. Oficerowie sztabowi mieli rozrywkę, bo nasi żołnierze musieli pełnić warty, a żandarmeria tylko czychała na okazję i jak który zasnął na posterunku to zaraz zabierali mu broń i delikwent szedł do aresztu, a koledzy mieli jeszcze mniej czasu na spanie, bo warty musiały stać w nie zmienionej ilości. Pierwsi z moich żołnierzy podpadli i poszli do aresztu Rasin i Szyller - dostali po 10 dni aresztu ścisłego. Za nich zbysztek mnie strasznie szef sztabu dywizji.

W Charkowie znów staliśmy kilka dni. Wepchnęli nasz eszelon na boczny tor pod ścianę nasypu. Generał Galicki urządził przyjęcie dla rządu ukraińskiej SSR, który wówczas przebywał w Charkowie. Saperzy postawili wielki namiot, w którym odbyło się przyjęcie. Było ono bardzo wystawne, jak na owe czasy i było tam moc jadła i picia. Kucharze mieli pełne ręce roboty, a nasi żołnierze donosili im kradzione podkłady na opał i pomagali je rąbać. Po tym wszyscyśmy

destali między innymi pełne kociołki makaronu z szynką. Iwan pobik wtedy rekord, bo zjadł pełen jak zwykle kociołek 2-u litrowy porcji obiadowej, a po tym zaraz trzy pełne kociołki makaronu z szynką, a gdy go zapytałem czy się najadł, odpowiedział mi: "jak byłoby ci to jeszcze by jeść". Nikt z nas nie mógł zrozumieć gdzie się to wszystko w nim mieściło, bo był chudy jak szczapa i wcale nie miał wystającego brucha. Miłem z nim ciągle kłopoty, bo jak się tylko spuściło go z oczu, to zaraz siadał przy stojaku z rusznicą i zasypiał, a chrapał przy tym tak, że słychać go było na drugim końcu eszelonu. W Charkowie uradziliśmy z porucznikiem z ckm-ów, że musimy złapać eszelon naszego batalionu i wymienić Iwana na innego żołnierza. Wiedząc, że postoiemy w Charkowie, wybrałem się kilka stacji wstecz, gdzie według danych ze sztabu miał stać eszelon naszego batalionu. Niestety nigdzie ^{nie} spotkałem go i wieczorem już wróciłem do swego eszelonu. Już z daleka słyszałem chrapanie Iwana. Wszedłem na platformę i zastałem go rozwalonego na podłodze ZIS-a i śpiącego w najlepszej pozycji. Karabin leżał opodal na podłodze, a rusznica stała oparta o stojak. Zamówiłem porucznika z ckm-ów i ten nie wiele myśląc zbudził Iwana biorąc go po pysku z całych sił. Myśleliśmy, że to pomoże, ale zaraz następnej nocy znów spał, a żandarmeria tylko czatowała żeby się wykazać swą gorliwością. Musiałem więc wartować razem z Iwanem żeby go pilnować.

Do Charkowa, jak wspominałem, spaliśmy w kabinkach ZIS-ów i marzliśmy przy tym nie miłosiernie. Którejś nocy zmarznięty i obolały wychodziłem z kabinki i wyciągałem swój karabin AWT i jakoś musiałem nim zaczepić o coś w kabince, bo nagle wystrzelił i przestrzeliłem w ten sposób pompkę samochodową, która leżała za siedzeniem. Szczęściem kula ominęła zbiornik paliwa, bo byłby pożar, a ja miałbym sąd polowy. Na drugi dzień zauważył to kierowca tego ZIS-a i pokarżył się swoim przełożonym. Robili dochodzenie i miłem z tego powodu nieprzyjemności.

Gdy staliśmy w Charkowie, zauważyliśmy, że dużo żołnierzy szło do magazynów stacyjnych i pobierało siano dla koni. Na ochotnika poszli Szymczyk z Czegalikiem i przynieśli bełę sprasowanego siana. Rozeszliśmy to siano w skrzyni Studcbakera, który miał szczelną plandekę i od tam spaliśmy jak "lordowie" wygodnie i ciepło. Co prawda wjechaliśmy już w kraj objęty wiosną, ale zawsze nocą były jeszcze mocno chłodne, a pod jadącego pociągu robił swoje. Jadąc za Charkowem spotykaliśmy już kwitnące drzewa owocowe, a koło kijowa już zaczynało zielenieć.

W Darnicy przed Dnieprem, krótko przed nami niemieckie samoloty bombardowały stację podczas postoju naszej artylerii dywizyjnej, byli tam ranni i zabici, ale i nasi artylerzyści zestrzelili kilku Niemców. Gdyśmy tam przejeżdżali, saperzy sowieccy naprawiali zniszczone bombami tory. Most na Dnieprze był prowizoryczny, drewniany, ale dwutorowy. Niemcy nie raz próbowali go zbombardować, bo przez ten most szło zaopatrzenie dużego odcinka frontu, ale broniło go takie mnóstwo dział różnego kalibru i sprzężonych celowniczych relufowych najcięższych karabinów maszynowych, że nie mogli do niego podejść.

Na całym moście co kilkadziesiąt metrów zbudowane były platformy nad torami, na których stały nkr-y obsługiwane przez oddziały żeńskie. Podziwialiśmy te dziewczyny wystawiane ze wszystkich stron na ogień i odłamki bomb i pocisków bez żadnych osłon wytrzymujące niemieckie naloty. W dole pod mostem kipiała woda Dniepru przelewająca się przez zwalone przęsła stalowego mostu, wysadzonego przez Niemców tak, że każda spadająca z ewentualnie rozbitej platformy nkr-istka roztrzaskałaby się i utopiła. Rankiem zatrzymaliśmy się na stacji w Kijowie i po krótkim postoju przejechaliśmy na małą stacyjkę, kilkanaście kilometrów za Kijowem. Tam staliśmy do nocy. Nagle na jakiś sygnał pociąg wyjechał ze stacji i stanął w szczerym polu. Na zarządzony alarm wszyscy oprócz naszych żołnierzy, wysiedli z eszelonu i rozbiegli się na obie strony torów na odległość około dwustu metrów, a naszym obsługom nakazano pogotowie alarmowe. Po niedługim czasie od zachodu zaczął narastać jęk niemieckich ciężkich bombowców. Szło ich chyba kilkadziesiąt. Później mówiono nam, że był to najcięższy nalot na mosty w Kijowie. Podziwiałem wależność wygaszenia ognia u naszynistów. Zaraz po zatrzymaniu pociągu znikły najniejsze ślady pary i wyglądało tak jakby parowóz był od dawna wygaszony. Myśli czuli się zupełnie nieprzyjemnie. Staliśmy na odkrytych ZIS-ach, których drewniane bory nie dawały najmniejszej osłony. ZIS-y stały na platformach kolejowych, a cały pociąg na sporym nasypie tak, że w rezultacie znajdowaliśmy się kilkanaście metrów nad poziomem terenu i wszystkie ewentualne odłamki bomb i podmuchy wybuchów nie omiły by nas. Któryś z żołnierzy wyraził, myślę opinię wszystkich żołnierzy, że w razie bombardowania nie ma co się wystawiać tylko trzeba wiać. Byłem między innymi a kowadłem, bo gdyby mi żołnierze zwiiali podczas bombardowania, to poszedłbym pod sąd polowy zgodnie z sowieckim regulaminem, a zatrzymać ich nie byłem w stanie. Ratowało mnie jedynie nie zauważenie naszego eszelonu przez niemieckich lotników. W pewnej chwili z prawej strony zaczął narastać huk silników i w ostatniej chwili trzykrotnie mignęły światła pozycyjne samolotu. Lecił sowiecki bombowiec nisko nad ziemią, kryjąc się przed niemiecką armadą i w ostatniej chwili zauważył nasz eszelon i dał znać żeby nie strzelać. Bo i oberzło się tylko strachem. Niemieckie bombowce poleciały nad Dniepr i starały się z wysokiego pułapu zbombardować most. Rozpętały się orgia świateł na niebie. Płonęły setki flar wystrzelonych przez Niemców, a od ziemi szły nieprzerwanie koraliki różnokolorowych pocisków świetlnych, rozrywających się na różnych wysokościach. Niebo omiatały setki reflektorów. Wszystko, patrząc z oddalenia kilkunastu kilometrów, wyglądało przepięknie, tylko że tam ginęli ludzie. Ale mimo wszelkich wysiłków most został nienaruszony i dziewczyny z dywizji przeciwlotniczej artylerii zwyciężyły niemieckich asów powietrznych. Jeszcze wracając zrzucali bombę na przygodne cele, ale w Kijowie, oprócz zniszczeń w mieście nic nie wskóra- li. Transporty szły dalej na zachód, bo nawet nie zdokali trwale uszkodzić torów kolejowych.

Do Kerostenia dojechaliśmy o świcie 3-go maja. Rano wszyscy myli się, golili i czyścili jak mogli mundury i buty jak przystało na dzień świąteczny. .kz

Moji żołnierze nie stojący na posterunkach też się pucowali. Golił wszystkich kolejno Dudek, który miał skądś zdobytą brzytwę i nie chciał jej nikomu pozyczać, a wolał sam golić. Przypatrywałem się tym parządkom. Przy goleniu Dudek, Szymczyk i Rusin uchwalili, że i mnie trzeba ogolić, bo nie pasuje żeby dowódca był na święto nie ogolony. Dudek golił wszystkich na platformie ZIS-a przy stojaku z rusznicą. Kolejno siedali na zdobyty gdzieś stołek. I mnie na nim posadzili i z wielkim namaszczeniem i powagą Dudek namydlił mi twarz i dokładnie ogolił, choć wcale wtedy nie miałem zarostu, ale zabawa była na całego. W krótkim czasie wspólnego pobytu bardzo zżyliśmy się i zaprzyjaźniliśmy ze Ślązakami i wydaje mi się, że mnie naprawdę lubili.

Na rozkaz generała, saperzy zbudowali oktapz polowy na ślepej ścianie jakiegoś magazynu przystacyjnego, wychodzącej na spory plac przed torami. Pod ścianą postavili trzy pontony składeki, z pomiędzy których jak promienie wystawili wieszaki, przed tym stół na podniesieniu, w środkowym pontonie zawiesili obraz Łatki Boskiej Częstochowskiej. Wszystko przybrali zielenią brzoź. Dzień był pogodny i ciepły. Na stacji oprócz naszego, stał eszelon artylerii przeciwlotniczej z czerwonej armii i drugi pełen zmobilizowanych z terenów Wołyńskich zajętych już przez sowieki, jedzących na wschód. W południe kompanie dywizyjne i sztabowe nie pełniące służby stanęły w czworobokach. Na przedzie stał generał Galicki, a orkiestra dywizyjna z boku. Całość otoczył tłum miejscowej ludności. Moji żołnierze mieli służbę więc poszedłem sam i stanąłem pośród tłumu. Kapłan dywizyjny wyszedł ze mszą św., ministranci w polskich mundurach służyli do mszy. Na podniesienie razem z wojskiem uklękł tłum cywilów. Koło mnie jakiś stary mężczyzna ocierając łzy z oczu doznał się do klęczącej obok niego kobiety: "oni nie zginą, bo idą z Bogiem". Widzieć było, że publicznie odprawiana msza św. zrobiła na miejscowych ludzi duże wrażenie. Od 1920 roku po raz pierwszy widzieli tu wojsko słuchające mszy świętej. Generał Galicki, choć wychowany w Rodzi, zachowywał się zupełnie poprawnie podczas mszy. Żołnierze śpiewali pieśni kościelne, a na zakończenie odśpiewali "Boże coś Polskę". Długo jeszcze po zakończeniu mszy św. ludzie nie rozchodzili się, a w tłumie słychać było nie rzadko obok ukraińskiej i polską mowę. Po południu eszelon nasz ruszył dalej na zachód.

Była noc, ciepła majowa noc, gdy eszelon nasz stanął w lesie. Dla odprężenia zeskokczyłem z wagonu żeby się trochę przejść. Nieopodal ciągnęła się zarosła nięta na polu miedziakiem, przesieka. Grupa żołnierzy skupiła się tam w milczeniu. Podeszedłem do nich. W przesiłce widoczne były polowane i rzucone lub zachodowi polskie słupy graniczne. Tak jak 17 września 1939 roku wyłapani je białozewicy idący na pomoc niemiecom, rozbiórca po raz czwarty Polskę. Jazdosi nie zeszła z tych słupów farba i pasiaste białe - czerwone słupy przypominały nam przeszłość. Długo staliśmy tak w milczeniu. Po latach zyski i powiewniczki wracaliśmy na Polską Ziemię tylko, że Ona nie miała być już polską... Parowóz dał sygnał i eszelon ruszył dalej na zachód. Nad ranem przejeżdżaliśmy Sarny.

Odtąd na wszystkich stacjach witali nas dwajście Polacy. Gdy pociąg nie zatrzymywał się, rzucali na wagony kwiaty, papierosy i żywność. Na terenie walania lasy po obu stronach torów były przez Niemców wycięte dla utrudnienia podejścia do torów, a mimo to wzdłuż torów wałały się setki wagonów i rozbitych lokomotyw - rezultaty działania 27 Dywizji AK i oddziału gen. Kowpaka. Krótce staliśmy w Równym. Na peronie pełno było polskich kobiet wypytyjących się o znajomych i bliskich.

Wreszcie dojechaliśmy do małej stacji Kwerce, gdzie nastąpił wyładunek. Był 8 maja 1944 roku. Od rana padał deszcz. Ostrzeżono nas żeby nie kupować nic od kobiet na bazarze, bo podobno były wypadki zatrucia się żołnierzy mlekiem i innymi produktami spożywczymi sprzedawanymi przez kobiety Ukrainki. Ckm-iści dali nam amunicji do karabinów ile ktp chciał, bo musieli nieść ją na plecach. Gdy my wyładowywaliśmy się, równocześnie zakładowali inni eszelon sowieckimi partyzantami i odesłali ich na wschód na przeformowanie i wcielanie do armii. Wszyscy oni pili i strzelali na wiat, choć wcale nie cieszyli się tą jazdą, gdyż kończyło się im wolne życie i mieli stać się zwykłymi żołnierzami.

Na stacji dali nam marszrutę do miejsca postoju naszego pułku. Moi żołnierze nieśli rusznice, a ckm-iści ciągnęli swoje maksymy na kółkach. Wszędzie po drodze pełno było różnych oddziałów szukających swoich miejsc postoju. Po przejściu kilku kilometrów stanęliśmy na krótki odpoczynek. Kapral z ckm-ów strzelił do siedzącej na drzewie wrony i chybił. Stojący obok kapitan z dywizyjnej kompanii łączności podszedł do niego i powiedział żeby dał mu karabin, a gdy kapral myślał, że kapitan chce sobie postrzelać dał mu karabin, wówczas kapitan, mocno podpity, zaczął go rugać za strzelanie i powiedział, że go aresztuje i odda pod sąd. Porucznik bez namysłu zwołał nas podoficerów i kazał repetować broń, a jednemu celowniczoemu kazał zakładować maksymę i skierować lufę na kompanię łączności, wśród której schował się kapitan. Sam porucznik podszedł do łącznościowców i zapowiedział, że jak nie oddadzą karabinu, to każe otworzyć do nich ogień. Nijak kapitan zaczął wygrażać, ale jego zastępcę chorążą - kobietę - uspokoiła go, i zabrała mu karabin i oddała go porucznikowi. Na tym się ten incydent zakończył i myśmy poszli w swoją stronę, a łącznościowcy pozostali na miejscu.

Przeszliśmy przez polską polacówkę Przebrze i po kilku kilometrach doszliśmy do miejsca postoju naszego pułku. Oni przyśleli kilka dni wcześniej i już wybudowali ziemianki i urządzili się. Staliśmy w grabowym lesie przy wspólnej przez Bulbowców polskiej wsi Dobru. Gdy mówili porucznikowi Stryce o trudnościach z ludźmi odpowiedział mi, że dał najgorszych bo myślał, że my odchodziły już na zawsze do sztabu dywizji. Oni też poknili obronę przeciwlotniczą w swoim eszelonie, ale mieli więcej ludzi, a my stali na dwie zmiany co 6 godzin i nie daliśmy, że nigdy nie byli wyspani i dla tego często zasypiali na kł słuźbie.

XXXXXXXX

Zaraz po naszym przybyciu na teren wsi Dobre, dawni jej mieszkańcy, którzy schronili się do Przebraża, zaczęli przyjeżdżać w dzień i uprawiać swoje pola. Któregoś dnia na przeciw naszej kompanii przyjechała kobieta z pługiem na wozie i zaczęła orać. Okazało się, że mąż jej już wziął do wojska i została sama z dziećmi. Pierwszy złapał za pług porucznik Szyrko, zrzucił buty i bosa jak przystało na wiosną orał z widoczną przyjemnością. Po nim kolejno brali się za orkę wszyscy prawie podoficerowie i żołnierze Kresowiczy. Nie cieszyło to jedynie Ślązaków. Nim gospodyni się obejrzała, zaparła jej oczy że pale. Wszystkim nam zrobiło to wielką przyjemność. Wiosna sprzyjała temu, żeby z żołnierza wychodził rolnik, była wiosna i ziemia pachniała. W obozie na Wołyniu rozpoczęło się intensywne szkolenie i ciągłe ćwiczenia. Było to samo ce w szkolnym batalionie, że cały czas ganiłi nas w natarciach i trochę było szkolenia z budowy broni.

Zaraz na początku mieliśmy zajęcia z zupełnie pijanym porucznikiem Szyrką. Wieczorem przyszedł do kompanii zataczając się i zaczął się awanturować, zdejść z warty żołnierzy i kazał im iść spać, a na wartę wyznaczył wszystkich podoficerów wykrzykując pomiędzy przekleństwami, że jesteście durnuszami. Następnego dnia byliśmy u porucznika Susina - zastępcy dowódcy batalionu na skargę i obiecał interweniować. Co powiedział Szyrce nie wiem, ale więcej nie rozrabiał w kompanii, a jak był pijany to szedł spać.

W każdą niedzielę przyjeżdżał kapłan i odprawiał na polanie koło sztabu pałku mszę św. Oficer inspekcyjny robił zbiórkę batalionu i ogłaszał "kto chce iść na mszę wystąpi" i chętnych oddawał pod komendę jednego z podoficerów, który prowadził ich na mszę, a reszta mogła w tym czasie odpoczywać. Podobało się to wielu leniuchom i zastawali. Którejś niedzieli oficerem inspekcyjnym był pper. Choma i gdy sporo zostało, najspokojniej powiedział, że jak nie chcą się modlić to nie potrzebują się wyłogiwać i zapędził ich wszystkich do budowania łaźni. Myśmy po powrocie wylegli na łąkę i rozłożyli się do spania, a oni do wieczora ściłali drzewa, ściągali je w jedno miejsce i z tych bali budowali budynek łaźni - bani. Następnego niedzieli wszyscy poszli na mszę i nikt nie chciał zastawać.

W połowie maja odbyła się odprawa podoficerów zastępców dowódcy plutonów z naszego batalionu. Prowadził ją porucznik Susin, zastępcy dowódcy batalionu do spraw pol-wych. Omawiał bieżące zagadnienia wyszkolenia i zadań stacjonarych podoficerom. Omówił także z konspektu przysłanego z dywizji, zagadnienia naszych przyszłych granic. Na końcu zapytał plutonowego Gawryluka z 2-jej ckn, jak jakie będą granice Polski po wojnie, a Gawryluk bez zająknięcia odpowiedział: "od morza do morza obywatelu poruczniku". Por. Susin rozejrzał się i powiedział, żeby Gawryluk wytłumaczył swoje twierdzenie, a on na to: "bo ja jestem z pol-żytonierza i też chcę mieszkać w Polsce". Na drugie pytanie z konspektu, dlaczego dostajemy ziemie na zachodzie, a oddajemy na wschodzie inny podoficer odpowiedział, że: "dlatego że my walimy słab-ziemie, a na Wołyniu i Podolu są dla nas za mocne". Tak myśleli podoficerowie, którzy mieli oddziaływać na żołnierzy po myśli stronników Moskwy.

Dosłownie wszyscy Polacy z naszej armii uważali za krzywdę i prosto niemożliwe do przyjęcia zgodę na oddanie Kresów i wszyscy uważali, że jeszcze cię to odnieni z pomocą państw zachodnich i USA, bo nikt z nas nie wiedział, że już w Teheranie ci zachodni "sojusznicy" sprzedali nas bezpowrotnie Stalinowi i to nie tylko nasze Kresy ale całą Polskę.

Któregoś ranka po męczących ćwiczeniach w dniu poprzednim i nocnej służbie stwierdziłem, że zgubiłem swoje medaliki, ryngraf i krzyżyk od chrztu, które zawsze, od początku wojny wszystkie nosisłem na grubym łańcuszku. Musiał przełamać się i pęknąć łańcuszek i zgubiłem je gdzieś w czasie ćwiczeń. Przejąłem się tą stratą bardzo. Miałem je dotąd zawsze we wszystkich moich przejażdżkach i wędrówkach i teraz kiedy niedługo mieliśmy iść na front, zostałem bez nich.

W działalności propagandowej w tym okresie na plan pierwszy wysuwała się akcja siania wśród nas nienawiści do Ukraińców. Już spotykane na każdym kroku zniszczenia wsi i osad polskich i opowieści ludności miejscowej o przebiegach w ostatnich latach, nastawiały nas wrogo do ludności ukraińskiej, a oficjalna propaganda szerzona wśród nas przez aparat polowych podsycała i rozdmuchiwała te nastroje. Nikt nie wspominał o przyczynach, które wywołały wzajemną wrogość, a wszystko przedstawiano tak jakby wszystkiemu winni byli jedynie sami Ukraińcy. W każdym batalionie wystawiono wielkie tablice, na których były wypisane daty mordów, nazwiska i wiek ofiar - mieszkańców Wołynia - Polaków, którzy byli w jakikolwiek sposób spokrewnieni z żołnierzami naszego pułku. Poza tym na wszystkich możliwych odprawach i pogadankach stale poruszano temat krzywd wyrządzonych Polakom przez Ukraińców. Ciągłe ostrzeganie żołnierzy żeby nie kupowali, ani brali żywności od Ukraińców i opowiadano, że kobiety ukraińskie zatrują mleko i wodę dawaną polskim i sowieckim żołnierzom. Wszystko to powodowało narastanie wrogości do Ukraińców, a miało odwracać naszą uwagę od tych którzy nam zabierali nasze Ziemi Kresowe.

Pod koniec maja urządzili nam manewry pułkowe z ostrym strzelaniem. Pułk rozwinęty w tyraliery szedł do ataku strzelając ostrą amunicją, a artyleria i moździerze strzelały od tyłu przenosząc ogień w miarę naszego posuwania się do przodu w ramach natarcia. Niektóre pociski padały zupełnie blisko. Po tych ćwiczeniach było kilku rannych, między innymi kapral z 2-oj ckm miał prześlaloną nogę. Ale podobne manewry udały się i nawet nasza kompania dostała pochwałę po tygodniu znów z ostrymi ćwiczeniami z ostrym strzelaniem. Męczące nas wszystkich było to, że po forsownych ćwiczeniach spora część żołnierzy musiała spać nocami na wartach. Warty stały gęsto dzięki naszym obawom, bo było zagrożenie napadów ze strony kulbowców, którzyś nocą napadli na magazyn broni 9-go pułku i tylko dzięki temu, że wartownik strzelił od razu do poruszającego się cienia, a nie jak kazak regulamin, najpierw dwukrotnie w górę, żołnierze przejęli inicjatywę i popędzili napastników, których kilku zabili. Wartownicy mieli tam utrudnioną obserwację, bo staliśmy w gęstych liściastych lasach i nocą na kilka kroków nie było widać.

Zdarzył się też w naszym batalionie wypadek. Był oficer - pies dla żołnierzy, ciągle się wszystkim czepiający i wyszukujący najmniejszych uchybień w służbie, żeby za to karać. Któregoś nocy był inspekcyjnym w batalionie i nie zachowując regulaminu chodził po obozie bez gońca. Prócz wart zewnętrznych, stały przed każdą ziemlanką warty przy stojakach z bronią. Oficer ten idąc wzdłuż ziemlanek przyłapał wartownika śpiącego, ~~z~~ spartego na karabinie. Oficer zamiast zbudzić żołnierza, wyjął mu zamek z karabinu i schował do kieszeni. Gdy odszedł, wartownik który to zauważył, wyjął zamek z innego karabinu stojącego w stojaku i dalej stał na warcie jak gdyby nigdy nic się nie stało. Oficer inspekcyjny po obejściu wszystkich wart, wrócił powrotną drogą i gdy tenże wartownik krzyknął "stój bo strzelam" nie odezwał się tylko szedł dalej prosto na żołnierza, ten powtórzył wołanie, a gdy nie poskutkowało strzelił prosto w nadchodzącego a potem dwa razy w górę. Nadbiegły patrol, a tymczasem wartownik wyjął zastrzelonemu z kieszeni zamek i założył do karabinu. Śledztwo wykazało, że wartownik dwa razy wzywał do zatrzymania się, a oficer nie odezwał się i nie stanął i wartownik strzelił trzykrotnie, w tym raz do nadchodzącego. Wartownik był według tego w porządku, a oficera pochowali z honorem wojskowymi.

Gdzieś w połowie maja przyszedł do nas młody oficer jeszcze w sowieckim mundurze i zameldował się porucznikowi Szycce jako przydzielony na dowódcę plutonu. Nazywał się Bolesław Jakszewicz, był studentem szkoły sztuk pięknych w Odessie i miał stopień podporucznika. Został dowódcą 2-go plutonu i wkrótce wszyscy go polubili. Był wesołym, kulturalnym i koleżeńskim. Gdy przyszedł, słabo mówił po polsku, ale przyniósł ze sobą słownik rosyjsko - polski pod pachą i ciągle nas pytał jak to będzie po polsku. Szybko zauważył, że mówię czysto po polsku i zostałem jego lektorem. Już po miesiącu mówił zupełnie dobrze i gdy we wrześniu weszliśmy na Pragę, nikt nie podejrzewał go o to, że jeszcze kilka miesięcy wstecz nie mówił wcale po polsku. Zdanie rysował i robił nam szatę graficzną gazetek ściennych, które redagowaliśmy przez cały czas postoju na Wołyniu. Pod koniec maja ganiali nas ciągle po obiedzie na musztrę, a 24-go maja była próbna defilada dywizji. W kilka dni po niej odbyło się wręczenie dywizji sztandaru i defilada przed goszczącymi na Wołyniu członkami KRM. Były obawy żeby Niemcy nie przeszkodzili lotnictwem i przetrzymali nas do godzin popołudniowych, ale obeszło się bez Niemców. Mieliliśmy mieć wyjazd dopiero po południu i kilku nas poszło nad pobliski strumień i wypraliśmy nasze przepoczone mundury. Mundury schły rozłożone na trawie, a myśmy w białej siłowni siedzieli na słońcu, gdy wpadł na nas dowódca naszego batalionu porucznik Buchaniewicz z pistoletem w ręku i zaczął nas rogać i zaganiać do domu, bo okazało się, że przyspicyli wyjazd i nas brakowało na zbiórce. Mieliliśmy włożyć prędko mokre mundury i pójść na zbiórkę. Porucznik Buchaniewicz był na ogół dobrym człowiekiem i był lubianym, tylko nieraz wyłaził z niego nerwus i wtedy nie umiał panować nad sobą.

W porządku wrócił był wyjazd na 30 km z natarciem w drodze powrotnej. Poza tym ciągle ganiali nas na ćwiczenia i forsowne marce. Na ogół była ładna po-

Któregoś dnia podczas przerwy w świadczeniach żołnierze leżeli na trawie i odpoczywali. Rozmowa schodziła z tematu na temat i w końcu poruszyli się sprawę rychłego już naszego przejścia na front. Podczas tej rozmowy, którą słuchałem mimo woli leżąc obok, Gawin powiedział, że byle być tylko na pierwszej linii, to jak kto tylko zechce to nie trudno przejść na drugą stronę. Inni nie podnosili tego tematu i wszyscy umilkli. Ponieważ nikt z nas nie wiedział kim byli poszczególne żołnierze pochodzący z jeńców z niemieckiej armii, więc taka wypowiedź zaniepokoiła mnie. Wieczorem rozmawiałem z porucznikiem Szyrką na ten temat, bo wiedziałem, że jeśli by w moim plutonie zaistniała dezercja na froncie, to ja w pierwszej kolejności odpowiadałbym za nią. Wiedziałem, że w takich wypadkach zwykle dochodziło do formowania wyroków śmierci dla uznanych winnymi "nieopatrzności". Porucznik Szyrkó zlekceważył tę wiadomość, ale od tej pory w razie czego on odpowiadał, a nie ja, a on był "pierwiodzien prikazem Stalina" i z tego powodu był na innych prawach jak my.

W początku lipca zrobili w polsku kurs dla podoficerów - zastępców dowódców plutonów do spraw pol-wych. Po raz w kompaniach rusznie funkcje zastępcy liniowego i pol-wych były jednoznaczne więc nas z Hellerem posłali na ten kurs. Były wykłady z historii polski, geografii, nauki o Polsce i o świecie, trochę z taktyki, terenoznawstwa i kartografii. Porucznik zrobił mnie drużynowym, za co Heller się obraził, bo był sporo starszy wiekiem ode mnie i służył już od 1940 roku w sowieckiej armii. Na kursie był radiodbiornik i 8-gą lipca słyszałem komunikat sowiecki o walkach na ulicach Wilna i zajęciu Baranowicz. Naturalnie nie mówili o udziale w tym oddziałów AK, a my nie o tym nie wiedzieliśmy i gdy naszych braci internowali, lub mordowali, nam opowiedzieli o współpracy polskiego podziemia i armią sowiecką. Krótce po ukończeniu tego kursu przyszły dla nas awanse - kaprali na plutonowych, a plutonowych na sierżantów.

Jeszcze w czerwcu byliśmy świadkami przykraj egzekucji. Wszystkich pochodzących z Wołynia trapił los ich bliskich, o których większość nie nic wiedziała, a opowieści o mordach powodowały ~~zły~~ nastroje lęku i niepewności. Część z naszych żołnierzy z Wołynia jakimś sposobem dowiadywał się gdzie stajny i przyjeżdżała w odwiedziny. Od pierwszych nielicznych dowiadywał się inne kobiety i z każdym tygodniem było coraz więcej odwiedzających. Ponieważ nie-śliśmy niedługo iść na front, więc zapowiedziane nam, że z pułku równocześnie mogą dostać urlop kilkudniowy na odwiedzenie rodziny jedynie trzech żołnierzy na raz, a następni mogą dostać dopiero po powrocie poprzedników. Zgłaszających się o urlop było z pułku kilkuset, a czasu było mało. Był w kompanii 2-oj-ckim w naszym batalionie przedwojenny kapral, który przed wojną ożenił się i zostawił żonę na Wołyniu, a sam trafił do sowieckiej niewoli. Był pewnie szalenie lubiany za koleżeńskość, ~~szkic~~ i dbałość o żołnierzy. O żonie nie miał wiadomości i niepokoił się o nią bardzo. Stawał do raportu o urlop, ale był daleki w kolejce. Tymczasem któregoś dnia jedna z kobiet odwiedzających

może powiedziała, że żona kaprała ma już drugiego z którym od dawna żyje. Kaprał stanął jeszcze raz do raportu o urlop i nie dostał go. Wziął więc pistolet dowódcy kompanii i na noc poszedł. Na jego nieszczęście pod samym domem zatrzymała go żandarmeria. Władze uznały to za dezercję i dla postraszania innych sąd polowy wydał na kaprała wyrok śmierci. Na skraju łąki niedaleko naszych obozów wystawili na żące wkopany słupek, a obok niego wykopany był dół. Sąd zasiadał opodal i ferował wyrok. Delegacja z kompanii z dowódcą ppor. Alimowem Mikołajem na czele, proszą sąd o zmianę wyroku na karny batalion, ale sąd nie uwzględnił ich prośby. Było w dywizji pięciu żandarmów, którzy wykonywali wszystkie wyroki. Postawili kaprała pod słupek. Dowódca kompanii zdążył jedynie pożegnać się z kapralem - uściskali się i ucałowali. Żandarmi przywiązali kaprała do słupeka i okiełsi mu zawiązać oczy, ale nie dał im sobie zawiązać. Prokurator stanął z boku żandarmów i wydał komendę: "po zdrajcy ojczyzny ognia!", jak gdyby kaprał był naprawdę zdrajcą, a sowiecki oficer "pierowiedzion prikazem Stalina" miał prawo do takiego nazwania starego polskiego żołnierza. Padła salwa. Z pleców kaprała poszły bryzgi krwi i zsunął się na sznurach. Żandarmi odwiązali trupa, wrzucili do dołu i zasypali na równe, a na wierzch położyli darń i nudażę nie został ślad po tragicznej mogile polskiego kaprała. Wśród nas ta egzekucja spowodowała rozgoryczenie raczej a nie strach. Stracili niewinnego i porządnego człowieka ot tak, dla przykładu. Dało później uświadamiać sobie, że było to metodą stosowaną specjalnie do Polaków, bo za takie same przestępstwa w czerwonej armii dawali dwa - trzy miesiące karnego batalionu, a u nas rozstrzeliwali za byle co i to specjalnie Polaków, bo do swoich, tych "pierowiedzionych prikazem" byli zawsze bardziej wyrozumiali. Zresztą nie dziwnego, bo cały aparat tak zwanej "Informacji" w wojsku był obsadzony przez NKWD-istów.

Leto zrobiło się upalne, drogi były pełne kurzu, a ry ciągle ganiłiśmy to w marszach to w natarciach i wracaliśmy do obozów czekający potem i umorusani kurzem. Kiedyś moi Słazacy znaleźli postrzelonego w obie nogi bociana. Biednymu boćkowi obie nogi wisiały na ściągach. Wzięli go do obozu, uścielili mu gniazdo na szczycie ziemiarki i karmili. Procytkowo bocian bronił się, ale szybko oswoił się zupełnie i jadł z ręki. Siedział cały czas na gnieździe. Niestety gdy ruszyliśmy na фронт musieli bociana zabić, bo zдохкby z głodu, a nie mogliśmy go zabrać ze sobą.

W początku lipca z naszego pułku wystawili warty do dywizji i z naszego batalionu między innymi z naszej kompanii poszedł Szymczyk. Po powrocie okazało się, że Szymczyka rozprowadzający postawił na wartę nonbrną przed sztabem dywizyjnym i zapomniał o nim. Szymczyk przestał z automatem na baczność przez całe 12 godzin. W końcu oficerowie sztabowi zwrócili uwagę na to, że ciągle stoi ten sam żołnierz i spowodowali zmianę, a Szymczyk dostał pochwałę za wizerową postawę. W tym samym czasie podczas warty pułkowej rozprowadzający postawił Iwana na warcie przed ziemiarką dowódcy pułku. Ivan stał

do czasu gdy pułkownik był w ziemlance, a gdy wyszedł, Iwan najspokojniej wyszedł do niej, wyciągnął pułkownika chleb i konserwę, siadł na jego łóżku i zaczął jeść. Gdy wrócił pułkownik i zastał Iwana zjadającego konserwę z chleba, zawrócił zawałał dowódcę warty i kazał Iwana zdjąć z warty i dać mu 15 dni ścisłego. Za zejście z warty i kradzież zwykle sąd ferował karę śmierci, ale pułkownik Karasiwicz za swoją konserwę nie podał Iwana do sądu. Areszt pułkowy był w ziemlance przy plutonie żandarmerii. Żandarmeria miała swoją oddzielną kuchnię i brali aresztantów do obierania ziemniaków, mycia kotłów i rąbania drzewa na opał. Iwan przy tym najadał się do syta i po wyjściu z tego aresztu powiedział, że chętnie pozostałby tam na stałe.

W pierwszej połowie lipca na zbiórce batalionu wybrali na ochotnika żołnierzy do zwiadów batalionowego. Z naszej kompanii zgłosił się Żakowicz. Nie chcieli go puścić, bo był dobrym celowniczym, ale on wolał zwiad niż noszenie rusznicy. W tym czasie zastępca pol-wych dowódcy kompanii - oficer polityczny Stern - dostał stopień starszego sierżanta i głupio się czuł, bo przedtem kazał się tytułować porucznikiem. Dowódcą 1-go plutonu był nadal Charaży Szczęsny Wojciech. Ja byłem zastępcą dowódcy plutonu w stopniu sierżanta. Drużynowymi byli: Pietruszka Konrad - plutonowy - syn Racha ur. 1926 r. pochodził z Lubelszczyzny, do wojska przybył z siłami Rzeczypospolitej II RP z Lubelszczyzny.

Wajdański Tomasz syn Jana - kapral - ur. 1919 r. pochodził z Tomopolskiego w pow. Łęka. Był powołany do armii czerwonej w 1940 r. po zwolnieniu w 1941 r. pracował w Stalingradzie i przeszedł tam całe obciążenie i z tamąd powołany do WP. Lacheta Alfons syn Józefa - kapral - ur. 1918 r. pochodził ze Śląska z Białoszowic, do WP przybył z obozu jeńców z niemieckiej armii.

Arent Andrzej syn Henryka - kapral - ur. 1914 r. pochodził ze Zdobunowa. Służył przed wojną w WP i walczył w 1939 r. Przybył z Suw w uzupełnieniu.

Celowniczy i amunicyjni:

Rusin Erik syn Lichała strzelec ur. 1915 r. Ślązak z Świętochłowic. Służył od 1938 r. w WP. w 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej, zwolniony do domu, wzięty do armii niemieckiej. Do WP z obozu jeńckiego.

Czuk Aleksey syn Franciszka strzelec ur. 1902 r. Ślązak z Katowic. W 1923 r. zdenerutował ze szkoły podoficerskiej w WP do Francji. Służył w Legii Cudzoziemskiej przez 2 lat. Wrócił do Polski po 12-tu latach na pogrzeb ojca w 1939 r. Wzięty do armii niemieckiej do grenadierów pancernych. Do niewoli pod Lursk. Do WP z obozu jeńckiego.

Rósański Stefan syn Marcina strzelec ur. 1909 r. pochodził z pod Siemradza. Z rodzicami był na robotach w Niemczech i z tamąd wzięty do armii niemieckiej. Do WP z obozu jeńckiego.

Szywczyk Wilhelm syn Bronisława strzelec ur. 1914 r. Ślązak ze Świętochłowic. W 1936-38 w WP. wzięty do niemieckiej armii. Do WP z obozu jeńckiego.

Czegalik Maks syn Ludwika szeregowiec ur. 1911 r. Ślązak z pow. Rybnickiego, wieś Pieczkowice. Do WP z obozu jeńckiego.

Dziemian Jan syn Józefa szeregowiec ur. 1921 r. Warszawiak. Do WP z Syberii.

Gawin August syn Franciszka szeregowiec ur.1911r z Chejnic, ojciec niak na-
sarni. Do WP z obozu jenieckiego z niemieckiej armii.

Mieczerek Stefan syn Wejciech, szeregowiec ur.1909r Ślązak z pow.Pszczyna
wieś Stara Kuznia. Do WP z obozu jenieckiego z armii niemieckiej.

Pobierżyn Mieczysław syn Józefa kapral ur.1922r z Wilciszczyzny z pow. Brach-
ławskiego wieś Sudniki. Do WP z Syberii.

Szyller Edmund syn Gustawa szeregowiec ur.1920r. z Łodzi. Do WP z obozu je-
nieckiego z armii niemieckiej.

Rombca Paweł syn Franciszka szeregowiec ur.1918r Pomorzak z pow.Morskiego
wieś Koleczkowo. Do WP z obozu jenieckiego z niemieckiej armii.

Jancz Stanisław syn Pawła szeregowiec ur.1923r Ślązak z Pszczyny. Do WP z
obozu jenieckiego z armii niemieckiej.

Dudek Ślązak Do WP z obozu jenieckiego z niemieckiej armii.

Demicki Ślązak Do WP z obozu jenieckiego z niemieckiej armii.

Szermeta Józef syn Karola szeregowiec ur.1914r Wołyński ze Zdobunowa. Do
WP z Syberii.

Litwak Jan.... szeregowiec..... Ślązak.... do WP z obozu jenieckiego z armii
niemieckiej.

Duża część z tych moich kolegów poległa w walkach w niedalekiej przyszłości
i nie o wszystkich z nich ich rodziny dowiedziały się prawdy, zwłaszcza tych
z niemieckiej armii, zanotowałem więc te dane które przechowały się w moich
notatkach żeby nie zaginęły, bo w naszym wojsku ewidencja kończyła się w
zapiskach szefa kompanii i jeśli on zginął lub zaginęły jego notatki to i
zaginęła cała przeszła ewidencja.

Gdzieś w połowie lipca dostaliśmy w uzupełnieniu dwóch żołnierzy - ojca z
synem. Ojciec wąsaty chłop Wołyński, a syn jeszcze 17-0 letni gołowąs. Obaj
byli z 27-aj Dywizji AK, z jej części, które przeszła przez front po przedar-
ciu się z okrążenia. Zapowiedziano nam żeby na nich uważać; "to niepewny
element". Rozmawiałem z ojcem wielokrotnie, wypytując o przejście wojenne.
Wieś ich była spalona, kobiety gdzieś w polskiej placówce, a oni dwaj służyli
w Dywizji. Przedarło się z okrążenia na sowiecką stronę około tysiąca żołnie-
rzy prawie wszystko rannych. Sowieci bez opatrunków zamknęli ich w obozie za-
drutani i dopiero ostro interwencja stojącego wówczas na odpoczynku generała
Krupaka, słynnego partyzanta i podwójnego "gieroja sowieckiego sojuza" sprze-
dawsza zmianę w ich traktowaniu. Ciężej rannych zabrali do szpitali, a zdrow-
szych rozdzielili pojedynczo w uzupełnieniu naszej armii. Ich dwóch dali ra-
zem z uwagi na więzy rodzinne. Byli bardzo spokojni i porządnyi ludźmi. Dali
ich do 2-go plutonu i z tego powodu nie miałem ich personalii. Miastoty obaj
zginęli w walkach przy forsowaniu Wisły we wrześniu.

W tym czasie też niespodziewanie zmienili nam dwa bataliony. Odchodząc
perucznik Buchaniewicz na pożegnaniu z batalionem rozpłakał się i powiedział
że bardzo się z nami zżył i jeśli kiedy był dla nas krzywdzący to proszę żeby
mu tego nie pamiętać. Na jego miejsce przyszedł kapitan Plejzer. Podobno

we wszystkich batalionach zmienili dowódców w myśl sowieckich doświadczeń, że dowódcy dający mocne "wkręś" żołnierzom często ginęli po przyjsciu na front.

W tym też czasie było zajście w żałni. Na Wołyniu zwykle co dwa tygodnie przyjeżdżała do nas żałnia polowa. Rozstawiali namioty z prysznicami i kolejno kompanie kupały się zdając brudną bielizną, a przy wyjściu fasując czystą. Poza tym mundury szły na czas kąpiel do "waszabajki" czyli parowej komory dla zabicia wazy. Tego razu obok żalni stali fryzjerzy z maszynkami i gdy wychodzili, a żalni nie dawali bielizny ani mundurów nim nie doże się ścinać włosów pod maszynką. Wśród podoficerki zawrzało. Nikt nie chciał z nas dać sobie ścinać włosów już kadnic odróżzonych i postrzyżonych. Przecież nie byliśmy rekrutami i mieliśmy iść przez Polskę i jak pokazać się dziewczętom. Żołnierze poszli do siemlanek, a wszyscy podoficerowie siedzieli goli przy żalni i zastrajkowali. W końcu przyszedł do nas pułkownik Karasiewicz. Ponieważ byliśmy goli więc nikt nie zwracał uwagi na różnicę szarży i kłócili się z pułkownikiem na całego. Trzeba powiedzieć, że pułkownik wykazał wówczas bardzo dużo cierpliwości i umiaru. tłumaczył nam spokojnie, że ten rozkaz z góry jest dla naszego dobra, bo gdy którego ranią w głowę to sanitariuszowi lepiej będzie i łatwiej popatrzeć goloną głowę niż najpierw wycinać wokół rany włosy. Siedzieliśmy goli aż do zupełnego zmroku. W końcu pracownicy żalni zagrozili, że odjadą i zostawią nas bez ubrania i musieliśmy skapitulować. Prawdepodobnie gdyby tak postąpił jeden lub tylko kilku podoficerów to nie obeszliby się z nami tak łagodnie, ale nikt nie mógł w przeddzień wymarszu na front pozabawić pułku wszystkich podoficerów. i nie za ten strajk nam nie zrobili.

W kilka dni po tym przyszedł rozkaz wymarszu. Z tym dniem zakończył się okres naszego szkolenia i rozpoczęliśmy służbę frontową. Dywizja nasza miała mało koni i w związku z tym wszyscy odczuwali brak wozów taberowych. Kompanie rusznic powinny mieć jeden wóz taberowy na pluton do przewozu rusznicy, a poza tym transport był potrzebny do przewozu amunicji. Tymczasem nie mieliśmy wcale wozów do przewozu rusznicy, a pułkowa kompania trzy plutony miała ich wszystkie dwa. Z tego powodu myśliwi nieśli rusznice, a w kompaniach ciężko było zrebrano maksymy, lub ciągnięto je na kółkach w miejscach gdzie droga była mniej piaszczasta. Nasze rusznice można było rozpakować i nieść oddzielnie obie części, ale cała rusznica ważyła ponad 20 kg, a torba z amunicją zawierająca 20 naboji ważyła znów 5 kg. Poza tym amunicyjny miał własny karabin i amunicję do niego tak, że przeciętnie na żołnierza wypadło około 25 kg ładunku do niesienia. Na szczęście przed wymarszem na front odebrano nam maski przeciwgazowe. Odrazu od początku marszu przyjęto zasadę, że szliśmy trzy godziny, po czym następował odpoczynek 15-0 minutowy i następnie znów trzy godziny marszu. Po 6-u godzinach dawano nam pół godziny odpoczynku. Ila dobę szliśmy tak 10 do 12-u godzin. Często jedzenie wydawano w marszu. Po pewnym czasie konie w plutonach artylerii ppano 45 mm, gdzie powinno być trzy na działo, a było tylko po dwa małe mongołki, zaczęły skąbnąć, a ludzie niosący ciężki

sprzęt, gócić ostatkiem sił. Dziemian zaraz na początku zasłabł i wzięli go
żgpiduchy, a jego część ruszający i żerba z amunicją pozostały. W chwili wymar-
szu nie miał kto tego wziąć. Wśród podoficerki nikt nie palił się do tej przy-
jemności, więc wziąłem sam rusznicę, a wtedy Kozik Pietruszkę wziął amunicję.
Tak do końca tego dnia i cały następny niesłem rusznicę na równi z żołnierzami
mojego plutonu. Następnego dnia pozwolono nam brać chłopskie podwody, ale
trzeba je było szukać na własną rękę, każda kompania dla siebie, wyprzedzając
w tym konkurentów, bo przecież cała dywizja szła jedną drogą, a za daleko od
trasy przemarszu nie można było odchodzić. Ponieważ kilku naszych podoficerów
nie zdołało przyprowadzić furmanek, a ja, za pierwszym razem przyprowadziłem,
więc utarła się, że jak tylko stawaliśmy na dłuższy odpoczynek, porucznik Szyr-
ko wysyłał mnie z którymś kapralem po podwody. Szliśmy przez teren zamieszka-
ny przez Ukraińców wrogo do nas ustosunkowanych i każde zbytne oddalenie
się od naszych jednostek można było przypisać życiem. W okolicy Turawa wesz-
liśmy w teren świeżo zdobyty na Niemcach, gdzie było pełno pól minowych. Kad-
ranem pułk nasz stanął przy lesie niedaleko Turawa i mieliśmy tam stać do
20-ej. Jak zwykle porucznik Szyrko wysłał mnie po podwody. Poszedł ze mną kap-
rał ze zwiadu batalionowego. Na wsi niedaleko Turawa znalazłem gospodarstwo
w którym była para koni. Gospodarz Ukrainiec nie chciał jechać i stawiał się
bardzo. Po sąsiedzku mieszkał chłop Polak, ale on był tak zastraszony przez są-
siadów Ukraińców, że wogóle nie chciał wychodzić z mieszkania. Chcieliśmy Ukra-
ińca zmusić do jazdy i już zaprzęgał konie, ale kobiety sprowadziły krasnowo-
siejców, którzy stali opodal i oni nie dali nam brać tej furmanki, tylko powie-
dziali żebyśmy poszli do miasta do komendanta wojennego to nam przydzielili
podwody. Lic innego nie mieliśmy do zrobienia. Poszliśmy to kilka kilometrów
dalej. Komendant wojenny wezwał "gaławu" czyli miejscowego przewodniczącego
rada i kazał nam dać dwie podwody. Dostaliśmy dwie parokonne furmanki z dwa-
na reszty Ukraińcami jako furmanami. Zajechaliśmy na miejsce postoju naszego
pułku o 17-ej i zamiast spodziewanego obiadu zastaliśmy pustkę. Już nawet tra-
wa zdążyła się podnieść. Zrobiło się nam nieprzyjemnie. Z powodu tajemnicy woj-
skowej nie znaliśmy marszruty pułku. Hierowałem się jedynie po śladach, ale
wkrótce wyjechaliśmy na szosę i ślady się skończyły. Zaczęła zapadła zimierz.
Pokazały się pierwsze gwiazdy. W pewnym miejscu droga rozwidła się. Pojeche-
liśmy bardziej na południowy zachód. Po jakimś czasie spotkaliśmy zepsuty wz-
sztebaker. Żołnierze zatrzymali nas z daleka, ale rozmówiliśmy się z nimi i
okazało się, że tą drogą szła II-a Dywizja, a gdzie poszła III-cia nie wiedzie-
li. Zawróciliśmy furmanki i wróciliśmy do rozwidlenia dróg. Zrobiło się już su-
pełnie ciemno, była bezksiężycowa noc. Czujęm się nieswoje. Lic chciało mi się
nacić automat i miałem przy sobie tylko nagan z trzema nabejami, a kaprał
miał automat z pełną magazynką amunicji. Zupełnie nie znaliśmy terenu, a ba-
liśmy się pytać naszych furmanów, bo zupełnie im nie wierzyliśmy i podejrze-
waliśmy ich o to, że mogą wykorzystać naszą nieznajomość terenu i zawieść
nas do lasu, gdzie było pełno ich oddziałów. Przejeżdżając przez jakąś dużą

wieść, spotkaliśmy na środku drogi stojący samochód sanitarny. Z otwartych okien sterczały lufy automatów. Nie dali mi podejść blisko, ale dowiedziałem się, że są z batalionu sanitarnego naszej dywizji i że dywizja szła tą drogą. Jechaliśmy dalej. Ja na pierwszej furmance za furmancem, trzymając w ręku nagan a kapral tak samo na drugiej. Po pewnym czasie znów dojechaliśmy do rozwidlenia dróg. Noc była czarna, bez księżycowa. Wyszedłem na rozwidlenie i na kółkach z noszem zupełnie przy ziemi wypatrywałem śladów i stwierdziłem, że więcej śladów paszke na prawo. Według gwiazd droga ta szła na zachód z odchyleniem na północ. Zdecydowałem się jechać tą drogą. Po kilku kilometrach doгнаliśmy kolumnę piechoty i okazało się, że to 7-my pułk. Kazałem poganiać i po pewnym czasie zaczęliśmy mijać kompanie ckm-ów, które ciągnęły swoje maksymy po płaskozystej drodze na kółkach. Mimo chłodu nocy żołnierze byli ziani potem. Jakiś oficer wyskoczył przed furmanki i chciał je nam zahrać. Zeskoczyłem z wozu i lewą ręką prowadziłem konia za uzdę, a w prawej trzymałem nagan i kazałem poganiać konie. Tak biegnąc przy końskim pysku i odpędzając naganem chcących jaxzax nas zatrzymać, przebiegłem kilka kilometrów, mijając cały 7-my pułk. Przed jego czołem było znów pusto i mogłem sięść na wóz. Mimo chłodu byłem cały mokry od potu. Kazałem pognać konie i niedługo znów dojechaliśmy kolumny piechoty. Był to 9-ty pułk. Powtórzyło się to samo, co przy 7-ym pułku. Znów biegłem przy pysku końskim i odpędzałem natrętów sięgających po pasze konie. Gdy już mijaliśmy czoło kolumny 9-ego pułku, oficer jadący konno na jego czale powiedział mi, że oni idą w przodzie dywizji i przed nimi już nie ma polskich oddziałów, a 8-my pułk jakoby szedł za nimi. Wyjechaliśmy jeszcze spory kawałek do przodu i nikogo nie spotkaliśmy. Po naradzie z kapralem kazałem zjechać z drogi w las i w pobliżu drogi na małej polance stanęliśmy na odpoczynek. Furmani wyprzęgli konie i puścili je na trawę, a sami pokładli się na wozach. My dwaj siedliśmy razem na jednym wozie i trzymając broń w pogotowiu czuwaliśmy. O spaniu nie było mowy, gdyż jak wspominałem nie dowierzaliśmy swoim furmancem, a wokoło był czarny las i ciemna noc. Gdy zaczęła świtać kazałem zaprzęgać i ruszyliśmy w dalszą drogę. Mijaliśmy znów 9-ty pułk. Żołnierze szli wynęczeni do ostatka. Wkrótce dojechaliśmy do drogi wytyczonej wiechami słomy na kółkach wbitych co kilka metrów. Był to teren całkowicie zaminowany przez Niemców, a saperzy pierwszej linii odminowali tylko ten wąski pas drogi. Każde zejście poza wytyczenie groziło wejściami na minę. W moich oczach zdarzył się ciekawy wypadek. Jakiś kapral zszedł z drogi poza wiechy za swoją potrzebą kilka zaledwie kroków. Nagle wybuchła pod nogą mina i kapral przekoziłek w powietrzu upadł na drogę. Zerwał się odrazu i stał eszokolony. Miał szalone szczęście, bo nadeptał na zepsutą minę balerzową, która otworzyła się z jednej strony i akurat ogień jej poszedł w przeciwną stronę, a jego tylko podrzuciło na czerepie. Był to wyjątkowy wypadek, który mógł się zdarzyć raz na milion. Jadąc dalej, dojechaliśmy do wsi, nad jeziorem, w której droga skręcała pod kątem prostym w prawo, żeby po przejściu wsi znów skręcić na zachód. Rozminowana droga prowadziła

przez wieś, a polna dróżka szła brzegiem jeziora na skróty. Jakiś dowódca kompanii poprowadził swoją kompanię tą dróżką na skróty i w połowie drogi, dosłownie ostatni żołnierz nadepnął na minę. Wybuch urwał mu nogę do kolana, a dąbylej z uda została tylko osmalona keść ze strzępkami mięsa. Cały mundur z przodu był poszarpany, a twarz i ręce osmalone. Koledzy wzięli go na płaszczpaskę i nieśli, a pechowy dowódca jakimś dragiem macał przed sobą drogę. Więcej min na tej dróżce nie było. Gdy doszli do głównej drogi akurat ich mijalen. Ponieważ nie było w pobliżu żadnego wozu sanitarnego, a tylko nasze puste, więc oddałem swój wóz dla odwiezienia rannego do szpitala. Biedak nie miał krwawienia więc może uratowali mu życie, ale nogę stracił całkowicie. Jechaliśmy drugim wozem z kapralem. Niedaleko tego miejsca, podczas odpooczynku, jeden z żołnierzy spuścił nogi do przydrożnego rowu. W tym momencie wybuchła mina i zostało sześć trupów na miejscu. Nicco dalej mijaliśmy miejsce, gdzie niedawno był sadok przy drodze, otaczający dom. Z drzew zostały kikuty, a dom był zrujnowany. Odpooczywający żołnierze opowiadali, że gdy zatrzymywali się, z drogi do sadku zbiegł pies kompanijny i podbiegł pod jabłonkę obasypaną dojrzewającymi jabłkami. Nim podniósł nogę wybuchły sprzężone miny w całym sadzie. Z psa nic nie zostało, ale uchronił swoją śmiercią wielu żołnierzy bo napewno wielu z nich poszłoby zrywać dojrzewające jabłka. Cały teren, przez który przechodziliśmy Niemcy dokładnie zaminowali, studnie były po części zatrute, a zboża wykoszone lub zjeżdżone czołgami, za którymi ciągnęli rosochate ścięte drzewa. Wszystko robione było z myślą o utrudnieniu zdobywania tej linii obronnej, zwanej "wałem nad Bugiem" przez Sowietów. Nawet domy, z których wypędzono mieszkańców, były w znacznej mierze, jeśli nie rozebrane lub spalone, to zaminowane. Pręty zapalników sterczały koło progów chat i budynków inwentarskich. Cały czas gdy jechaliśmy drogą słychać było w wybuchy min z różnych stron. Koło południa dopędziliśmy wreszcie nasz batalion, który właśnie odpoczywał i pobierał obiad. Kaprał pojechał swoją furmanką do zwiada, a ja piechotą poszedłem do kompanii. Okazało się, że po naszym odejściu przyszedł rozkaz dalszego marszu i zamiast o 20-ej, ruszyli o 14-ej. Porucznik Szyrko myślał już że przepadłem. Początkowo nie wierzył mi, że miałem furmankę, ale na moje szczęście porucznik Choma ze sztabu batalionu wziął dział jak oddawałem furmankę pod rannego. Zjedliśmy obiad i po krótkim postoju ruszyliśmy dalej. Do wieczora szliśmy cały czas w terenie zaminowanym. Pośród tam było nierieckich bunkrów, rowów strzeleckich i zupełnych zniszczeń terenu. Dużo gospodarstw chłopskich Niemcy spalili, bo zastaniali, im pole obstrzału. Takie to była linia, która miała być ostatnią i nie zdobytą. Miałem min różnych typów, od zwykłych talerzowych do szklanych, których nie wykrywały żadne aparaty i tylko pozostawało szukać nie z pomocą bagnetu, którym gęsto saperzy kłuli przed sobą teren. Linij, bunkry i zniszczenia nic Niemcom nie pomogły. Zmasowany ogień tysięcy dział na wąskim stosunkowo odcinku frontu zdruszczył w tym miejscu obronę, a przez tą wyrwę wlała się rzeka wojsk i szła na zachód, nie oglądając się

na pozostałych po bokach nierców. Wreszcie oni sami musieli się cofnąć żeby nie dać się okrążyć. "Wieżdobyta linia" padła zaledwie w kilka dni. Po przejściu tej linii szliśmy dalej na północny zachód. Szliśmy już przez kraj mniej znieszczoney. Przed nami jechały sowieckie czołgi, a my za nimi szliśmy piechotą. Tekno na tamtym terenie było sadków wiśniowych przy chatkach, a nawet przy drzewach rosły wiśnie, a takich wiśni jak na Wołyniu trudno gdzie indziej spotkać. Chowaliśmy się więc podczas postojów w tych sadkach "od lotników" i po naszym odejściu na drzewach pozostawały jedynie liście. Pomysłowi artylerzyści z plutonu ppanc. zamaskowali swoje działka drzewkami wiśni i idąc objadali się owocami, a na gniewne zapytanie przejeżdżającego konno pułkownika, dlaczego ścięli wiśnie, najspokojniej zameldowali, że według terenu uznali za najlepsze maskowanie właśnie takie. Pułkownik nie mógł im zarzucić i pojechał dalej, a oni dalej objadali się wiśniami z dział.

Po długim i uciążliwym marszu, złani potem i straszliwie zakurzeni, doszliśmy wreszcie do Buga. Saperzy zdążyli już postawić drewniany most i kolumny szły przez Bug suchą nogą. Nasz batalion szedł w przedzie pułku. Przed mostem dostaliśmy rozkaz pozostania z dwoma drużynami i zajęcia pozycji do obrony przeciwlotniczej mostu, a dołączyć nieśliśmy po przejściu całego naszego pułku. Zostali ze mną Pietruszka i Lacheta ze swoimi drużynami. Pułk przechodził przemieszany z artylerią i sowieckimi czołgami tak, że winę kilka godzin nie słuzowali nas żołnierze z innej jednostki. Batalion zostawił nam jeden wóz, więc włożyliśmy na niego rusznice i amunicję i szliśmy nie obciążeni. Na drodze doznałam się starszą kobietę wiejską. Po krótkiej rozmowie, zaprosiła nas wszystkich do siebie na poczęstunek. Mieszkała opodal po drodze i gdy zaszedliśmy do jej chaty okazało się, że ma sporą rodzinę. Synowie już dorośli byli w partyzantce i przyszli właśnie do domu, a synowe i córki przygotowały przyjęcie na całego. Zjedliśmy u nich dobry obiad zakrapiany bimbrem. Ja nie piłam, ale moi żołnierze podpili sobie nieźle. Pożegnaliśmy gościnnych gospodarzy i już nad wieczorem doznałam się swój batalion. Stali we wsi na odpoczynku i przyszedł rozkaz zatrzymujący nas w tym miejscu do odwołania. Nad wieczorem odezwała się kanonada i zgrzyty licznych katiusz z niedalekiej odległości. Nagle trzęsano w pogotowiu. Okazało się, że sowieci, otoczyli w niedużym lasku kilka tysięcy niemców. Była to podobno jakaś jednostka SS. Dali im sześć godzin do namysłu żeby się poddali, ale Niemcy nie chcieli iść do niewoli i sowieci wykonali ich katiuszami, a nas zatrzymali na wszelki wypadek, gdyby udało się Niemcom wyrwać z okrążenia, ale oni wcale nie próbowali i dali się wyrzucić jak barany. Z lasu pozostały kikuty, a ścierwo niemieckie i końskie przenieszone z pogruchochanym sprzętem i połamanyki drzewami zaścieślało pobojowisko.

My nocą już ruszyliśmy dalej na zachód dopędzać sowieckie czołgi. Nasza dywizja szła na północ od Lublina. W mijanych wsiach nie zostawiało kromki chleba i kubka mleka - wszystko ludność nam oddawała, a myśmy szli głodni i spragnieni. Transport nie dowiózł prowiantu i kuchnie jechały wygaszone. Przez dwie doby żywił się tylko tym co dała nam ludność, a jedli tylko ci co szli w przedzie.

Trzeba pamiętać, że po jednej drodze szły trzy pułki piechoty i zmieniały się na prowadzeniu co pewien czas i gdy pierwszy idący wyjadał wszystko co ludność miała, to już następne pułki mogły tylko dostać wody do picia.

Trzeciego dnia rano zatrzymaliśmy się na dłuższy odpoczynek na skraju zagajnika. Szef plutonu gospodarczego zarekwirował w wiatraku dwa worki śrut z jęczmienia, owsa i kukurydzy i kucharze zgotowali ją na gęsto tylko z solą. Dawali tego ile kto chciał, a my objadaliśmy się tą potrawą nie zważając na ości i smakowało to nam jak najlepiej. Gdy po latach słyszałem jak amerykańskie wojsko na wschodnim froncie nie mogło zatrzymać ofensywy żadne braki w zaopatrzeniu.

Przechodziliśmy przez jakąś wieś i majątek około pola z marchwią pastewną i wszyscy starali się urwać tej marchwi, a oficerowie ze sztabu pilnowali żeby nie robić szkody. Było też tam pole maku, a droga wysadzana była wiśnią. Jeden z żołnierzy z kompanii strzeleckiej chciał urwać wiśnie i zjechał gałąź i dowódca batalionu zjechał go za to strasznie. Wszyscy byliśmy przemoczeni ciągłym marszem i gdy nęca krzyknęli od czoła "priwał" czyli odpoczynek, wszyscy walili się tam gdzie kto stał i zaraz zasypiali. Nikt nie rozlegał płaszczy i tak w mokrą od potu mundurze leżeliśmy na gołej ziemi. Po krótkim czasie wszyscy zaczęli dygotać z zimna, ale leżeli do chwili gdy od czoła szła komenda "padjen". Wtedy wszyscy wstawali jak pokłanani i ociężałe ruszali w dalszą drogę. Zaraz po każdorazowym powstaniu zdarzało się nam, że już nie dany rady iść dalej, ale jakoś ruszaliśmy. Kiszka się dęła i nie wiedzieliśmy nic prócz chęci odpoczynku. Gdy batalion szedł na czele pułku, a pułk dywizji, wtedy starczyło nam chleba i mleka danego nam po wsiach przez życzliwych ludzi, ale gdy przed nami szły inne pułki, wówczas nie już śla nas nie zostawało. Kiedyś wzięłem płaszczy-pałątkę i przebiegłem do wsi ciągnącej się równoległe do naszej drogi w odległości około pół kilometra. Zachećniłem kolejno do chat i prosiłem o chleb, a gdy gospodyni chciały mi ukrajać tylko kromkę mówili, że nas jest więcej i żeby dała więcej. W krótkim czasie zebrałem sporo chleba i zarzuciwszy kłunok na plecy dognałem swoją kompanię. Wszyscy wyciągali ręce po ten chleb, bez i rozdałem po sporej kromce tak, że i mnie nic nie zostało. Nawet oficerowie brali ten chleb, bo i oni byli głodni, a nie pasowało im wyciągać rękę do kobiet, gdy stojąc przy drodze rozdawały żołnierzom żywność. Kompanie rusznic były w gorszym położeniu, od strzeleckich, bo mieli do niesienia rusznice i żołnierze nie mogli się urwać na chwilę z szeregu żeby zdobyć chleb.

Tę noc nad ranem doszliśmy do szosy łubelskiej i zatrzymaliśmy się po lewej stronie w sosnowym lesie. Padł rozkaz stawiania namiotów i porządkowania terenu białego. Nawet kazali robić ścieżki przed namiotami. Ledwo tę robotę skończyliśmy i położyliśmy się w namiotach na odpoczynek, gdy przyszedł rozkaz zwinięcia namiotów i przeprowadzili nas kilkaset metrów w głąb lasu i znów kazano stać z namiotami. Wszyscy kłęli i zjechać na cały

głos za ten rozkaz dowództwu. Gdy skończyliśmy wreszcie urządzenie ponowne obozu i zjedliśmy wreszcie obiad, zrobił się już wieczór. Pokładliśmy się wszyscy oprócz wart i zaraz zasnęliśmy. W środku nocy zbudziły nas wybuchy bomb i warkot kilku samolotów. Bombardowali poblizko szosy. Nam dano rozkaz pozostania na miejscu. Po odlocie niemieckich bombowców zasnęliśmy ponownie. Rano okazało się, że Niemcy dokładnie bombardowali poprzedni nasz obóz, który kazano nam opuścić, za co kłóiliśmy dowództwo. Podobno wywiad przechwycił radiogram niemieckiego dywersanta o miejscu naszego postoju i dlatego nas przerzucili w głąb lasu. Gdyby nie to, zrobiliby z nas kaszę, bo bomby padały gęsto i dokładnie na linię zajmowaną poprzednio naszymi namiotami. Drzewa w tej części lasu były zupełnie pocięte i połamane różnej wielkości bambami. Liędzy innymi rzucili sporo małych bomb wgniających urządzenie powodujące ich wybuch kilka metrów nad ziemią i działające tak jak szrapnele artyleryjskie. W tym lesie staliśmy kilka dni. W tym czasie I-a i II-ga dywizje forsowały Wisłę z marszu pod Puławami, a nas trzymali w odwodzie. Później okazało się że Polacy spełniali pod Puławami rolę przynęty, bo gdy tam naszych pchali bez skutku do forsowania Wisły poszczególnymi batalionami, sowieci po cichu przeprawili się pod Łagnuszewem i zajęli mały przyczółek. Każdego dnia porucznik Szyrko wysyłał mnie po podwoły i po jakimś czasie puszczano je do domu, bo nie było rozkazu wymarszu. Trzeciego czy czwartego dnia poszedłem z kapralem z 2-go plutonu i we wsi nad Wieprzem spotkałem oddział partyzancki na kwaterach. Poczęstowali nas jedzeniem i po szklance bimbrowu, ale kazali iść dalej, bo twierdzili, że im też były potrzebne konie. Na kolenii nad samym Wieprzem zastałem trzech sowieckich kozaków sprzedających gospodarzowi konia z wozem za dwa litry bimbrowu. Zatrzymali nas i kazali nam tak, że nie wiedziałem nic o Świecie Bożym. Zupełnie pijanego zawiózł mnie gospodarz do naszego obozu. Kaprał był trochę mniej pijany, bo był bardziej wytrzymały, a mnie kozacy więcej wiali bimbrowu. Gdy wóz zatrzymał się przed kompanią, zsunąłem się z wozu i trzymając się obu rękami drabiny zameldowałem porucznikowi Szyrko wykonanie rozkazu i zaraz znów położyłem się na wóz. Okazało się, że przyszedł właśnie rozkaz wymarszu. Załadowali wóz, a mnie zostawili na nim i tak ruszyliśmy szosą w stronę Garwolina. Już nocą trochę otrzeźwiałem i słyszałem jak Szyrko tłumaczył dowódcy batalionu, że jestem chory i dlatego kazał mi leżeć na wozie. Trzeba zaznaczyć, że nie pozwalali nikomu z żołnierzy, a tym bardziej podoficerów i oficerów, siadać na wozy. Krótce po tym zjechałem z wozu i dołączyłem do swoich. Porucznik Szyrko sam lubił popić do nieprzytomności i dlatego był dla mnie w tym wypadku taki wyrozumiały. Szliśmy cały czas szosą w kierunku Garwolina. Pielichota prawą stronę szosy, a samochody wiozące zaopatrzenie w obie strony jechały po lewej stronie. Co jakiś czas spotykaliśmy wraki czołgów lub samochodów zupełnie nie oświetlone. Kierowcy samochodów jechali ze zgaszonymi reflektorami i jak oni widzieli

w nocy te wraki nie mogłem zrozumieć. Czasem któryś z nich włączał światła, ale zaraz z kolumny piechoty podnosiły się okrzyki i bardziej krewcy starali się się kalbami rozbić reflektory. Samochody jechały dość szybko, a piechota czekała na powoli i oświetlenie jej mogło ściągnąć niemieckich lotników i spowodować bombardowanie całej kolumny.

Po kilkunastu kilometrach marszu po szosie zaczęliśmy odczuwać ból w stopach, którego nie mieliśmy w marszu po polnych drogach. Ja poza tym miałem zupełnie podarte celówki i tylko wierzchy wyglądały na buty, a ślady miałem na pół bosa. Magazyny pozostały gdzieś w tyle i nie można było butów wymienić, a moje fascowanki jeszcze na początku szły pod Oką i tylko były kilkakrotnie naprawiane.

Odczuliśmy ulgę gdy na jakimś skrzyżowaniu dróg zeszliśmy z szosy na polną drogę. Szliśmy teraz prosto na zachód. Warszawska szosa została z prawa, a my szliśmy polną krętą drogą ku Wiśle. Miało być forsowanie tylko jak zwykle nie wiedzieliśmy gdzie. O świcie nasz batalion zatrzymał się w jakiejś dużej kościelnej wsi. Kompanie rozlokowane po stodołach i wszystko poszło spać. Stały tylko nieliczne warty. Przed południem zbudził mnie porucznik Choma powiadając, że proboszcz ma odprawić mszę św. specjalnie dla żołnierzy, bo była akurat niedziela. Zrobiłem pobudkę i nie pytając o szczerą chęć zrobienia zbiórki i poszliśmy wszyscy do pobliskiego kościoła. Duży wiejski kościół zapełnili żołnierze tak, że i przed kościołem było tłoczno. Chłopi z Wileńszczyzny i Wołynia pomieszani ze Ślązakami i Sybirakami stali zwartym tłumem tak zbitym, że na podniesienie trudno było klęknąć. Po skończonej mszy św. czekałem na księdza przed zakrystią. Miałem nadzieję, że dostanę od księdza medalik. Ksiądz starszerek w wytartej sutannie był bardzo zasferowany. Plebania z małym ganeczkiem stała nie ogrodzona obok kościoła. Zaczekałem przed ganeczkiem. Ksiądz wyszedł z owalnym pudełkiem pełnym medalików i wiązką pociętego kordonka. Żołnierze Sybiracy rzucili się po medaliki - mało kto z nich przechował przez obozy jakiś medalik wzięty z domu. W ogniu święte, takie od kolendy. Żołnierze i obrazki rozebrali błyskawicznie. Następna paczka obrazków też się migiem rozszalała. Starszerek ksiądz stał na ganeczku zasferowany, bo nie miał już co rozdawać, a jeszcze było sporo chętnych. Zły płynął mu z oczu. W pewnej chwili nie wytrzymał i wyrwało mu się z pod serca: "a ja myślałem, że wy wszyscy to bolszewicy". Taką to była nasza tragedia po przyjeździe do kraju - bracia Polacy, Rus z zesłań i Żegrów uważali za bolszewików.

Żołnierze rozchodzili się powoli. W tej wsi staliśmy do wieczora. Żołnierze znaleźli mały staw za wsią i kto mógł kąpał się w nim. Potem ktoś zauważył że staw był zarybiony karasiami. Kilku rzuciło granaty i zebrałiśmy sporo karasków. Oczywiście i ugotowałem w swoim kocieku zebrane karasie i już podczas marszu zjedliśmy je ze smakiem. Szliśmy przez całą noc. Nad ranem stanęliśmy w jakimś lesie. Porucznik Szyrko posłał mnie po podwoje. Poszedłem z kapralem z 2-go plutonu.

Tego dnia pierwszy raz spotkałem się z tym, że gospodarz, któremu mówiłem żeby zaprzęgał i jechał z nami na podwoję, nie chciał jechać i ociągał się z wyjściem z chaty, a tymczasem jego syn wyprowadził konia i związał na niego podwoję i trzeba było iść dalej. Zaszliśmy na przedmieścia jakiegoś miasteczka i nagle idąca z przeciwka kobieta rzuciła się nam na szyję i płacząc wyciągała nas mówiąc, że zobaczyła po tylu latach pierwszych polskich żołnierzy. Dała nam trzymany w ręku pakunek podłużny owinięty w papier. Po rozstaniu się kaprał rozwinął pakunek, bo myślał że to kiełbasa, a okazało się, że był to długi ogórek. Kobieta dała nam co miała, a w braku kiełbasy, smakował nam i ten z serca dany ogórek. Ponieważ w miasteczku nie mieliśmy co szukać, bo sowieci zabrali już wszystkie konie do zwózki drzewa na most, więc zawróciliśmy i w którejś zagrodzie dostaliśmy wreszcie podwoję. Gdy wróciliśmy już zbierano się do wymarszu. Zjedliśmy prędko, wzięty dla nas przez kolegów, obiad i ruszyliśmy w dalszą drogę. Nocą deszliśmy do pagórków porośniętych młodym rzadkim lasem, pod którymi rozpościerała się dolina Wisły. Zatrzymano nas w tym lesie. Położyliśmy się spać, ale niedługo nadleciały niemieckie samoloty i zaczęło się bombardowanie i ostrzeliwanie z broni pokładowej przeprawy i nadbrzeżnych lasów pełnych wojska. Rozkazano szybko wykopać rowy i schronić się w nich. Ja byłem tak zmęczony, bo kilka nocy nie spałem, że nie dałem się rozbudzić i owinięty w płaszcz spałem do rana. Jakiś nas nie zbombardowali i choć się wyspałem, bo ci co siedzieli w ciasnych rowach nie wypoczęli zupełnie. W naszym batalionie strat od nalotów nie było, ale wśród saperów budujących przeprawę było sporo rannych, bo Niemcy właśnie najbardziej atakowali sam brzeg rzeki. W dzień przeprawiał się nasz pułk. Działa i tabory przewożone pociągami, a piechota przepływała na pontonach składakach, które kursowały tam i z powrotem przez rzekę przez cały dzień. Niemcy ostrzeliwali rzekę w rejonie przeprawy z artylerii, ale jakoś bez strat przeprawiliśmy się, jak nie w niektórych pontonach byli ziani wodą przez bliżej wybuchające w wodzie pociski. Zaraz na drugim brzegu porucznik Szyrko dostał rozkaz postawienia całej kompanii w miejscu możliwego przedarcia się niemieckich czołgów o kilka kilometrów od miejsca przeprawy. Przeszliśmy do wyznaczonego miejsca i okopaliśmy się na skraju miednika poszewnego. Przed nami było pole, na którym w odległości około pół kilometra stało samotne gospodarstwo. Z boku, niedaleko od nas stały działa artylerii dywizyjnej. Po pewnym czasie nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły bombardować kolejno pozycje artylerii i to samotne gospodarstwo, a nasz lasek ostrzeliwali z broni pokładowej. Kiedy obrony plot artylerii strzelały bez przerwy, a nam porucznik Szyrko wydał rozkaz oskazywania się i nie otwierania ognia. Podobnie był rozkaz z batalionu żebyśmy nie ujawniali swoich stanowisk. Co prawda nie mieliśmy celowników plot i trafienie z rusznicy bez takiego celownika do samolotu było problematyczne.

Siedziałem w okopie trzyramiennym, przystosowanym do prowadzenia ognia we wszystkich kierunkach, z kapralem Wolańskim i Janoszen. W pewnej chwili nadleciał jeden z niemieckich samolotów nad nasz las i lecąc lotem koczującym wzdłuż naszych okopów pruk długimi seriami. Siedziałem skulony na dnie odnogi okopu idącej równoległe do lotu i widziałem jak serie zbliżają się do nas. Jeden z pocisków trafił nade mną w ścianę okopu i obsypał mnie ziemią. Tymczasem niemiec już zawracał do następnego nalotu. Popatrzyłem na kolegów i ryknąłem śmiechem. Zobaczyłem trzęsące się uda i wystawiony do góry tyłek żołnierza, który chowając głowę nisko w sam róg okopu trząsz się jak w febrze. Widok ten był tak zabawny, że nie zwracałem uwagi na dalszy nalot i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Wolański przeszedł całe piekło obrony Stalingradu i był ostrzelany jak małe kępo, a nalot, przed którym nie mieliśmy żadnej obrony, rezstrajał mu zupełnie nerwy. Jeden z nalotów podpalił gospodarstwo. Z płonącego domu wyskakowali żołnierze, a kierowca pod ostrzałem nadlatujących samolotów wyprowadził z płonącej stodoły sanochód ciężarowy zakładowany amunicją do dział i gnał nim do lasu. Niemcy starali się go dosięgnąć, lecz polski kierowca miał szczęście i udało mu się schronić do lasu i im zwać. Fale nalotów powtarzały się kilkakrotnie. Po jednym z nich goniec z 12 batalionu przyniósł rozkaz przejścia naszej kompanii na pozycje wyjściowe, skąd nocą przeszliśmy i zamienili w okopach batalion gwardii. Nasz batalion zajął odcinek batalionu gwardyjskiego tylke, że ich było już całkiem mało. Ich kompania, którą zamieniła nasza 5-a z moją plutonem rusznice i plutonem moździerzy 82 mm, liczyła wszystkie 12-tu ludzi. Gwardziści siedzieli w płytkich wnękach strzeleckich i bronili ich najwięcej to, że przed ich linią obronną zamiast zasieków była rozciągnięta siatka pod wysokim napięciem. Sowietci już pod Stalingradem używali tego typu zabezpieczenie z dobrym skutkiem. Siatka ta była na tyle szeroka, że nie można było jej przeskoczyć i była zrobiona ze stalowej cienkiej linki tak, że pociski jej nie rwały, a gdy ktoś ją nadeptał zostawał natychmiast dosłownie spalony prądem. Mój pluton rozstawiony był na całej linii zajętej przez 5-tą kompanię, a ja sam byłem w tym czasie stale na lewym skrzydle. Dalej na lewo stała w linii 6-ta kompania z naszego batalionu, wspierana plutonem rusznice z pułkowej kompanii RPPanc. Pomiędzy kompaniami była spora luka broniona jedynie ogniem flankowym z ich skrzydeł. Linia okopów ciągnęła się zygawką, zależnie od usytuowania terenu. Przed 6-tą kompanią było pole i podmokła łąka i linia okopów biegła tam o kilkaset metrów od Pilicy, a linia okopów 5-ej kompanii wyginała się i ostrym łukiem przechodziła pod samą Pilicę, gdyż biegła skrajem spalonej wioski. Łuk okopów sięgał swym ostrym wygięciem pod sam spalony napęły przez Niemców most na Pilicy i w tym miejscu okopy były oddalone od okopów niemieckich jedynie szerokością samej Pilicy. W tym też odcinku najwięcej trzeba było uważać, bo snajperzy niemieccy ciągle czuwali. Dalej w prawo od 5-tej, stała 4-ta kompania już już oddzielona od Pilicy szerokimi, podmokłymi łąkami.

Odrązu po objęciu odcinka obrony, wyszedł rozkaz kopania rowów strzeleckich w pełnym profilu, to znaczy o głębokości, umożliwiającej wyprostowane chodzenie, i szerokie w dnie tak, żeby można było przeciągnąć maksymalną kółkową. Gdy mieliśmy już wykopane takie okopy, przyszła nawała art. leryjska i piaszczyste okopy zmieniły swój kształt - były tak szerokie jak przedtym były głębokie i stały się zupełnie płytkie. Musieliśmy kopać od nowa i odrązu ściany umacniać czym się dało.

Początkowo po naszym przyjsciu w ruinach spalonej wsi było pełno drobin, a nawet znalazło się kilka ciałaków. Żołnierze szybko uporali się z tym. Przez kilka pierwszych dni wszyscy zajadali się mięsem. W jakiejś nie zawalonej piwnicy znaleźli worek soli, co umożliwiło normalne gotowanie. kuchnia polowa podwoziły zupy i chleb wieczorem po zmroku i rano przed świtem. Była to zazwyczaj zupa z koncentratu z kaszy jaglanej, smaszczonej olejem i przyprawionej bobkowymi liśćmi. W tym czasie zazwyczaj braliśmy chleb, a zupa wracała, bo woleliśmy sami sobie gotować. Gdy skończyły się kury, gotowaliśmy ziemniaki i warzywa z ogrodów wiejskich. Była pełnia lata i prawie ciągle ładna pogoda.

W kilka dni po skończeniu kopania okopów i zbudowaniu legowisk przykrytych warstwą drzewa i ziemi, co miało chronić od odłamków i deszczu, stał w dzień na stanowisku przy rusznicy Różański, a jego amunicyjny Dziemian odpooczywał. W pewnej chwili Różański zawołał Dziemiana żeby go trochę zastąpił, bo chciał wziąć coś ze swego worka, który leżał na legowisku. W chwilę po zejściu Różańskiego ze stanowiska, rozerwał się w pobliżu ich stanowiska niemiecki szrapnel i Dziemiana raniło w przedramię dwoma odłamkami. Po prowizorycznym opatrunku odwołano Dziemiana do szpitala, bo trzeba było wyjąć odłamki, które utkwiły w kości. Już do nas nie wrócił i doszły nas słuchy, że został w obrotowej szpitalnej, gdzie napewno bardziej się przydał, bo był krótkowidzem i zupełnym wiecznym cywilem, a miał średnie wykształcenie.

W połowie sierpnia rozgorzała bitwa na odcinku 6-ej kompanii. Jak wspomnieliśmy, linia okopów 6-ej kompanii ciągnęła się daleko od Pilicy. Na lewym skrzydle miała ona jako sąsiada 3-ci batalion. Przed ich okopami w niedalekiej odległości usadowili się Niemcy jeszcze po naszej stronie Pilicy. Teren przed 6-tą kompanią był prawie płaski z niewielkim wzniesieniem w środku, a po drugiej stronie Pilicy wznosiły się dość wysokie wzgórza, z których Niemcy mieli dobry wgląd w nasz teren. Wyższe dowództwo postanowiło wyprzeć Niemców z naszej strony Pilicy i przesunąć linię okopów bliżej rzeki. Do natarcia poszła 6-ta kompania. Niemcy wtrzelani w teren szybko stworzyli ogień artyleryjski i moździerzy, a strzelcy wyborowi, których mieli Niemcy na naszym odcinku spora, wybijali obsługę rusznic i ckm-ów. Kompania doszła do wspomnianego wzgórza i okopała się, ale pole natarcia zostało było rannymi i zabitymi. Ucierpiał zwłaszcza pluton pułkowej kompanii RPPanc i ckm-istów. Wkrótce Niemcy zaczęli kontratakować całym batalionem. Powstała krytyczna sytuacja, gdyż jeden z pocisków padł w okop, gdzie był dowódca kompanii, szef

kampanii i łącznościawiec z telefonem. Poza tym stojące gęsto na terenie okopów sztangi zboża zapaliły się od niemieckich serii z ckm-ów i zmusiły wielu żołnierzy do wycofania się z przonącego terenu. Plutonowy Gawryluk z 2-jej kompanii ckm-ów nie znając szyfru, wezwał pomocy artylerii przez telefon, który przypadkiem nie był uszkodzony, i określił położenie. Zaczęły się nasze moździerze, a wkrótce, łaniając miedniak osnowy podjechały pod nasze okopy dwie katusze i obie umieściły swoje salwy w szeregach atakujących Niemców. Pierwszy raz wówczas widziałem wypełnić z bliska katusz w akcji. Były one zamontowane na sztudebekerach, podjechały już załadowane i odrazu zawróciły. Obsługa wskoczyła i nie dopuszczała nikogo w pobliże. Po wyceLOWaniu, samochód był stale z pracującym silnikiem, oddano serię i odrazu obsługa wskoczyła na samochód i ruszyli z miejsca gdy tylko poszedł ostatni pocisk. Podziwiałem wówczas niemiecką artylerię, bo nie minęło pięć minut jak położyła serię pocisków dokładnie w miejsce gdzie stały przed chwilą katusze podczas odpalenia zrzut serii. Naturalnie katusz już tam nie było, a tylko ucierpiony nasze okopy. W tym czasie już zapadał zmierzch i wybuchy pocisków katusz wyglądały jakby ktoś na kowalskie palenisko nasypał drobnego węgla i po rozpaleniu go mocno węgielki rozdauchał od spodu. W oddali widać było jak rozpalone odłamki pocisków rozrywały się na coraz mniejsze odłamki ciągle mocno świecące. Macą niektórzy poszli oglądać skutki działania pocisków katusz. Padały one jakgdyby w szachownicę tak, że całe pole było dokładnie pokryte wybuchami. Niemieckie trupy popalone i poprzepalane materiałem wypełniającym pociski wyglądały jak by je ktoś dźgał gęsto rozpalonym do białości prętem żelaznym. W polu pokrytym pociskami nie było rannych, a jedynie same trupy. Niemcy po ataku katusz zrezygnowali z dalszej walki.

W tej walce z naszej strony było dużo rannych i zabitych. Między innymi poległ pierwszy oficer z naszego batalionu - dowódca 6-jej kompanii Rosjanin ppor. Janow Dymitr, a plutonowy Gawryluk z 2-jej ckm był paskudnie ranny - odłamek pocisku z moździerza zdarł mu płac mięsa z całego uda zaczynając od pośladka aż do kolana.

Następnego dnia okazało się, że zajęte przez 6-tą kompanię pozycje były, tak ostrzeliwane przez niemieckich snajperów, że nie można się było wcale tam poruszać, zrezygnowano więc z tego i kompania zajęła poprzednie stanowiska, a na zdobytym terenie zostawiła jedynie gęste czujki.

Ponieważ podczas naszego postoju w tych stanowiskach nie włączali w siećki prądu, więc po krótkim czasie i 5-ta kompania zaczęła wystawiać przed okopami na noc czujki. Między innymi i z mojego plutonu też pełnili służbę na czujkach. Po pewnym czasie przyjechał ruzkax wieczorem do nas porucznik Szyrko, który kwatrował stale przy sztabie batalionu, i wydał rozkaz ściągnięcia całego plutonu i przejścia do rejonu sztabu. Mieliśmy następnej nocy zająć inne pozycje, w tym czasie na czujce był kapral Lacheta ze swoją drużyną. Goniec odwoził ich i gdy przyszli okazało się, że zostawili w okopie na czujce termos, w

którym dostali żywność. Szef kompanii sierżant Klimke zrobił lachecie za to awanturę i kazał wracać po ten termos. Poszedł lacheta z Gawinem i długo nie wrócili, więc Woldenerwowany szef poszedł im na przeciw i też przepadł. Czekaliśmy dość długo i nikt nie wracał, ani nie było słyhać strzałów. Porucznik Szyrko postanowił zbadać sytuację i ze mną i Kazikiem Pietruszką ruszyliśmy w ich ślady. Przeszliśmy nieczynną siatkę po desce położonej tam dla przechodzenia czujek i szliśmy dalej ścieżką wydeptaną przez pole. Szedłem pierwszy z odbezpieczonym automatem, za mną szedł porucznik Szyrko z kozacką szablą w dłoni, z którą się nigdy nie rozstawał, a na końcu szedł Pietruszka też z automatem. Przechodziliśmy przez zagony wysokiego, kwitnącego łąbinu, którego zapach w chłodzie nocy po prostu odużał. Wszyscy trzej czuliśmy się nie swoje, bo w takim łąbinie mogli czaić się zwiadowcy niemieccy. Termos leżał w okopie, a ślady prowadziły dalej w kierunku Pilicy. Przeszliśmy jeszcze kawałek dalej i stwierdziliśmy, że były to ślady tylko trzech ludzi, co oznaczało, że oni sami tam przeszli bez żadnego przymusu. Nie było już mowy o tym, że ich mogli złapać niemieccy zwiadowcy. Nie było po co iść dalej, bo odstęp czasu od ich odejścia był tak duży, że o dognaniu ich nie było mowy. Wróciliśmy więc spowrotem i z plutonem przeszliśmy w nakazany rejon. Przypomniałem porucznikowi Szyrko zasłyszaną przeze mnie wypowiedź Gawina jeszcze na Wozyniu, który wówczas nie dwuznacznie powiedział, że na froncie zawsze znajdzie się okazja dla chcącego do przejścia przez front na drugą stronę. Porucznik Szyrko kłął jak szewc. Moim szczęściem było to, że wówczas ostrzegałem go i to, że poszedł z nimi szef kompanii, który był zależny bezpośrednio od dowódcy kompanii, a Szyrko jako oficer sowiecki tylko "pierewiedzion prikazem Stalina w Polskaju Armii" był bardziej kryty, ale miał z tego też dużo nieprzyjemności. Zdjęto całą naszą kompanię z frontu i dłuższy czas trzymano nas koło sztabu batalionu na obserwacji. Po tym zajściu rozwiązały się języki Słuzaków i wygadali, że Gawin i lacheta byli z SS, a ich bracia służyli w gestapo. Klimke natomiast był z SS Galicjan. Solidarność jeniecka nie pozwoliła dopieść wcześniej o tym i to doprowadziło do tego, że dranie mogli wrócić do Niemców. W tym czasie zabrał nam chorażęgo Szermetę i dowódcę plutonu zastąpił cher. Zipper.

Staliśmy w rzadkim sosnowym lasku. Każdy z nas miał podłużny okop, w którym można było leżeć, wysłany słaniem i do połowy nakryty warstwą sosnowych drągów zasypanych warstwą ziemi tak, że w razie deszczu można się było schować. W dzień pomagaliśmy saperom przygotowywać kładki i przęsła mostków do przyszłego farsowania Pilicy, a nocą odsypialiśmy zaległości. Krótce po zajęciu tego miejsca zdarzył się ciekawy wypadek. Po obiedzie Różański poszedł po repatę i gdy ją przyniósł zauważył, że łyżkę zostawił w okopie. Postawił kociołek z repatą na ziemi i wszedł do swojego okopu po łyżkę. W tym momencie pokryła nasz plac seria niemieckiego sześciolufowego moździerza. Pociski to oprócz dużego kalibru miały to, że straszliwie wyły, gdyż miały skrzydełka tak tak skonstruowane, że działały jak syrena alarmowa. Siedziałem w swoim okopie

i właśnie chciałem z niego wyjść, gdy wycie pocisków zatrzymało mnie. W tym momencie zobaczyłem niezwykley obraz. Jeden z pocisków trafił w starą naglenną sosnę i przeciął ją w połowie wysokości. Rozkożysta korona wzniosła się powoli, jak ~~zawieszka~~ ~~zawieszka~~ ~~zawieszka~~ do góry, przekręciła się w powietrzu i wolno opadła na ziemię z potrzaskanym prciem sterującym ku niebu. Wyglądało to jak w mocna ~~z~~ ~~z~~ ~~z~~ w filmie. Tymczasem inny pocisk upadł dokładnie w miejsce gdzie Różański postawił kociołek z repeta. La nasze szczęście wszyscy byli w swoich okopach i nikogo nawet nie raniło, ale z kociołka Różańskiego nie zostało nawet śladu, a kilka rusznic i karabinów było pekancerowanych. Różański miał i tym razem szalone szczęście, bo gdyby nie ta łyżka...

Podczas tego postoju znalazłem w pobliskiej wsi zrujnowaną bibliotekę. Ktoś powyracał wszystkie półki z książkami i wszystkie leżały na kupie na podłodze. Wziąłem sobie kilka książek i miałem co czytać przez dłuższy czas. W tej wsi stał ładny kościół z dwiema wysokimi wieżami. Niemcy tak długo strzelali z dział dalekiego zasięgu, aż zwalili obie wieże.

Po pewnym czasie mój pluton przeniesli na odcinek prawego skrzydła 5-ej kompanii. Gdy przyszedliśmy nocą na odcinek, od razu chorąży Zipper znalazł sobie głęboki bunkier i nie wyłaził z niego prawie zupełnie. Sam rozstawiłem poszczególne rusznice i dopilnowałem wykopanie i umocnienie odpowiednich stanowisk ogniowych i kontrolowałem nocne czuwanie na stanowiskach. Był rozkaz nakazujący wszystkim dowódcem czuwania w nocy, więc po całych nocach chodziłem od stanowiska do stanowiska i rozmawiałem z żołnierzami dla odpędzenia senności. Była piękna pogoda i w dzień wychodziliśmy z okopów ciągnących się skrajem spalonej wsi pod wierzbami, i szliśmy na łączkę osłoniętą krzakami od strony niemieckich stanowisk, i spaliśmy tam przez pół dnia. Pewnego ranka gdy przechodziłem koło bunkra zajętego przez chorążego, ten zatrzymał mnie i zrobił mi awanturę "gdzie się włóczysz" i "napewno gdzieś w kącie spałosisz". Powiedziałem mu spokojnie, że ja chodzę całą noc i sprawdzam posterunki, a nie śpię w bunkrze tak jak on. La to Zipper krzyknął na mnie "uważaj smarkaczu, bo ci dam w mordę". La taką groźbę wzięła mnie złość i powiedziałem mu, że to on ma mordę, a ja dość długie ręce żeby mu ją spruć i nazwałem go "parszywym żydem". Chorąży wiedział, że mogę wykonać swoją groźbę, a Ślązacy nie obroniliby go, lecz raczej mnie pomogli, bo go wszyscy nie lubili. Nie zwracał już więc uwagi na możliwość obstrzału i poszedł presto do sztabu batalionu, gdzie zameldował, że ja buntuję przeciw niemu żołnierzom i chciałem go bić i wogóle jestem zupełnie niepewny i "niebłaganadzieńny". Po południu przyszedł do naszych okopów dowódca batalionu z porucznikiem Susinem i Szyrką. Kazali mi meldować o zajściu z chorążym. Powiedziałem jak było i jak on przez cały czas nie wychodził z bunkra, na co podałem świadków z 5-ej kompanii. Wysłuchali mnie i nic mi nie zrobili, a chorążego Zippera już więcej nie widzieliśmy. Podobno poszedł szkolić rekrutów w 2-ej armii.

Z drugim Żydem - starszym sierżantem Sternem Dawidem był też "korowód". Któregoś dnia goniec z batalionu przyniósł rozkaz żeby Stern stawiał się zaraz

w sztabie. W tym czasie dowodził on 2-im plutonem. Nie wiele myśląc, w biały dzień Stern zebrał pluton i zaczął go prowadzić drogą widoczną przez niemieckich obserwatorów, w kierunku sztabu. Naturalnie od razu ten ruch spostrzegli Niemcy i obłożyli pluton ogniem z moździerzy. Na szczęście nie wyszli nasi jeszcze z terenu pokrytego rowami i wszyscy momentalnie skryli się we wszelkich zagłębieniach i dołach. Jeden z kaprali znany w kompanii elegant, który zawsze starał się mieć czysty kołnierzyk i lubił spryskać się wodą kelońską, którą gdzieś zdobył, nie zastanawiając się wskoczył do najbliższego dołu, który okazał się pełnym fekalii dołem po ustępie. Po tym biedny wył się i prał całe ubranie wielokrotnie i wciąż śmierdział. Szczęściem nikt nikogo nie został poważnie ranny tak, że nikogo nie ubyło z szeregu. Kimo to Stern odszedł za swoim kolegą Zipperem i więcej go nie widzieliśmy. Zastępcą dowódcy kompanii do spraw polowych został starszy sierżant Kotarski. Perucznik Szyrko był zadowolony, bo nie cierpiał Żydów.

W tym czasie nie było już w naszym rejonie kur, które wszystkie zjedli żołnierze. Ostatnią dziką kuczkę, która właśnie wyprowadziła na naszym odcinku kilka piśklaków, zjadł przed odejściem chorąży Zipper, za co wszyscy mieli mu za złe, że wymordował kilkudniowe piśklęta i ich matkę. Były jeszcze stada gęsi na łące pomiędzy naszymi okopami a Pilicą, ale do nich bronili dostępu Niemcy snajperzy. Niektórzy żołnierze strzelali pod wieczór gęś, a nocą chyłkiem szli po nią, ale było to ryzykowne, bo gęsi w stadzie robiły gwałt, a Niemcy od razu strzelali rakiety i ostrzeliwali teren z ckm-ów. Kiedyś zwiadowcy wracając z za Pilicy po cichu przygnali małe stadko gęsi do naszych okopów i tu dopiero zaczęło się łapanie tych gęsi na wypróżki. Zwiadowcy nie mieli do żołnierzy 5-ej kompanii pretensję, że łapali ich gęsi, a żołnierze twierdzili, że łapali w swoich okopach i wszyscy mieli rację, a kto gęś już złapał ten ją zjadł z kolegami. Co prawda zwiadowcy też złapali ich kilka i nie mieli krzywdy.

Wszyscy gotowaliśmy sobie ziemniaki i warzywa z ogródków i Niemcy widząc żołnierza bez broni z łopatką i kociołkiem, idącego na pole, najczęściej nie strzelali, tylko co pewien czas przez megafony wołali do nas "Polacy co będziecie jeść jak przyjdzie mróz i wszystko zamarźnie". Niestety kilkakrotnie przemówienia propagandowe w języku polskim przez megafony wygłaszał były nasz kapral Lacheta. Gdy on mówił i nanawiał do przejścia na niemiecką stronę, kończył swoją wypowiedź zdaniem "czołem 2-ga kompania RPPanc!" Strzelaliśmy wtedy w kierunku megafonu, ale nic mu nie mogliśmy zrobić.

Skorzystał z tych zapresin żołnierz z 4-tej kompanii strzeleckiej, Ślązak. Namówił kilku kolegów i zawiadomiony dowódcą kompanii ruszyli w biały dzień z bronią na pasach w stronę Pilicy. Szli zupełnie nie skrywając się. Blżej Pilicy Ślązak zaczął wymachiwać czapką i wołać, żeby nie strzelali. Dowódcą kompanii sam nie wiedział co o tym sądzić i na wszelki wypadek zaczął wycelować w nich ckm i czekał z lornetką przy oczach co z tego wyniknie. Grupa Polaków podeszła do rzeki i Ślązak rozmówił się po niemiecku z czujką

niemiecką po drugiej stronie. Podobno powiedzieli im, że na nawiązanie z ni-
gafanu postanowili przejść do Niemców, bo nie chcą służyć bolszewikom. Po tym
przeszli przez rzekę i zaczęli witać się z Niemcami na czołach. Broń cały czas
czas mieli na pasach. Gdy zmieszali się z Niemcami, każdy wziął swego za bark
i w mig ich rozbili. Potem powiązanych przeprowadzili z powrotem przez li-
licę i najspokojniej przyprowadzili do swoich okopów. Niemcy nie strzelali za
za nimi, bo prawdopodobnie nie chcieli pozabijać swoich kolegów wziętych do
niewoli, wśród których był jeden lejtenant. Po tym wyczynie już więcej Niemcy
nie namawiali nas do przejścia na ich stronę, a Ślązak w niedługim czasie
dostał awans na chorążego.

Kiedyś wybrałem się dalej do tyłu po cebulę, bo w naszej wsi już jej nie by-
ło. Szedłem przez pole w dzień i Niemcy zaczęli ostrzeliwać mnie z nabrze-
rzy, myśląc prawdopodobnie, że byłem gońcem, bo szedłem z automatem. Wskoczyłem
do rowu melioracyjnego i nim przeszedłem spory kawałek drogi, a potem już
przez pole do widocznych z dala zabudowań. Zwiedziłem kilka ogrodów przy za-
grodach, nim znalazłem zagon cebuli. Wyrwałem wszystko i wracałem z powrotem.
całe pola pokryte były płytkami okopami z czasu zdobywania przyczółka. Pełne
w nich były pozostawionych butelek zapalających i różnej amunicji. Wszędzie
stała zboże na pniu lub już częściowo żęte, a niektóre sżtygi były spalone.
W jednej zagrodzie spotkałem chudego psa, samotnie pilnującego swojego obej-
ścia. Ludności nie było zupełnie, bo ją wygnali cofający się Niemcy i teren
był jak wymarły.

Był w kompanii strzeleckiej amunicyjnym przy rkm-ie starszy już chłop z Wo-
łyńia. Stałe był smutny i nigdy nie wychodził bez koniecznej potrzeby z oko-
pów. Myślny wszyscy jak wspominałem sypali w dzień na łączce za krzakami osła-
niającymi nas od wglądu niemieckich obserwatorów, a on nigdy nie dał się na
to namówić i w wolnych godzinach sypiał we wnęce w okopach. Któregoś niedzie-
li był zupełnie spokojny i przez cały dzień przeleciało nad naszymi okopami za-
ledwie kilka szrapneli. Jak zwykle spaliśmy w dzień na naszej łączce. Pod wie-
czór rkm-ista zaczął się niecierpliwie tym, że jego xxierzebnik zmiennik amu-
nicyjny nie przychodzi go podmienić na stanowisku. Drużynowy sprawdził, że
nie ma go we wnęce okopu i zaczęto go szukać. Któryś z żołnierzy szedł przez
krzaki oddzielające okopy od łączki i znalazł starego już nieżywego. Zamiat
na łączce, położył się on w krzakach i tam dosięgnął go któryś ze szrapneli.
Liał rozwaliny bok i rozłupaną czaszkę tak, że musiał zginąć momentalnie i
przynajmniej się nie męczył. Jak komu pisane było zginąć to go nie ust-
rzęgało, a jak miał przeznaczone przeżyć to zawsze wyszedł cało. Kilka tygodni
wcześniej wczesnym rankiem, gdy jeszcze było mgliste szedłem przez podwórze
do stojącej jeszcze wówczas chaty, gdzie moi żołnierze gotowali obiad, korzy-
stając z rannej mgły, która nie pozwalała Niemcom zauważyć dymu. W pewnym mo-
mencie, gdy byłem na środku podwórza rozzerwały się nade mną dwa szrapnele.
Instynktownie przysiadłem, choć to nic nie chroniło od odłamków szrapnela
rwącego się nad głową. Grad odłamków szrapneli obsypał w kółko mnie podwórze,

a mnieb nie trafił ani jeden. W kilka tygodni później stałem w okopie oparty rękami o szalowanie skarpy i trochę pochylony i przypatrywałem się jak żołnierze siedzący we wnętrzu grali w karty. W pewnej chwili za moimi plecami w odległości kilku metrów wybuchł pocisk artyleryjski. W tym momencie poczułem silne uderzenie w bark i ręka mi obwisła bezwładnie. Pomacałem bark i nie stwierdziłem krwi. Poprostu odłamek otarł się o bark nie rozrywając go. O kilka kroków ode mnie wbił się w ścianę okopu. Żołnierze wydłubali go z ziemi. Był wielkości dłoni tak, że gdybym stał trochę prościej, urwał by mi całe ramię, a tak po kilku minutach powróciło czucie w ręce i tyłke przez dłuższy czas miałem nabrzmiałą siną "śliwkę" na barku. W przyszłości jeszcze wiele razy mogłem i powinienem zginąć, ale nic mi się nie stało, bo pisane mi było żyć.

Był w 5-ej kompanii pisarzem młody Żydek, który przed wojną chodził po jarmarkach z grami hazardowymi. Gdy pod koniec sierpnia wypłacili nam żołd i nikt nie wiedział co z tymi pieniędzmi zrobić w okopach, on zaproponował grę jak ją określił "nasze wasze, amerykańska gra, jednemu zabierze drugiemu da". Ja desce narysowałem sześć krataek i zaznaczył: dziewiątka, dziesiątka, walet, dama, król, as. Z dwóch talii kart wybrał te same figury i potasował je dokładnie. Każdy mógł postawić na jakąś kartę do 10-ciu do 30-estu rubli. Potem on rozkładał karty na dwie kupki. Gdy trafiła karta na pierwszą to zabierał postawione na nią pieniądze, a jak padła na drugą kupkę to dokładał drugie tyle. Zagrałem i ja i w krótkim czasie miałem pełną garść czerwonców. Potem zacząłem przegrywać, zapaliłem się do tej gry i stawiałem po kolei wszystkie pieniądze. Raz przegrywałem to znów wygrywałem. W końcu przegrałem wszystkie pieniądze. W tym czasie przyszedł do nas inny Żydek i przypatrywał się naszej grze. Gdy wszystkie przegrałem zaproponował mi spółkę. Dał mi pieniądze i powiedział co mam obstawić. Gdy wygrałem dzielił się ze mną po połowie wygraną. On sam też grał i w końcu w krótkim czasie rozbił bank pisarzowi i zgarnął wszystkie pieniądze. Na drugi dzień przyszedł do nas porucznik Szyrko. Ktoś mu powiedział o naszej grze i moim w niej udziale. Odwołał mnie zdala od żołnierzy i zrugnął ostatnimi słowami mi za to, że grałem. Sam był mało wart moralnie, ale mi tak obrzydził karty, że więcej już nigdy nie grałem na pieniądze. Zresztą po namyśle uznałem, że miałem pełną rację. Zrozumiałem też co może z człowieka zrobić hazard.

Pod koniec sierpnia o świcie 9-ta kompania z 3-go batalionu poszła do natarcia przez Pilicę. Korzystając z rannej mgły przeszli po cichu rzekę i zaatakowali nie spodziewających się niczego Niemców. Fryce spali w bieliźnie i nie zdążyli się nawet ubrać tylko uciekali w bieliźnie. Kompania zajęła prawie całą wieś, ale nie wzięła języka, co miała nakazane, a Niemcy poszli do kontrataku. Kompania miała rozpoznać bojem i to zadanie wykonała mając nawet zupełnie duże straty. Dopiero przy wycofywaniu się weszła na odosinek nie uprzedzonych naszych oddziałów i poniosła spore straty w rannych od ognia własnej piechoty. Ten wypadek wykazał zupełnie jasno, że gdyby rauceno do natarcia od razu całą dywizję, to zdołalibyśmy przełamać niemiecką obronę w tym miejscu i nasza armia mogła szybko dojść do Łukotowa i wyzwolić Warszawę. Było to jednak nie po myśl-

li Stalina, któremu nie zależało na ratowaniu żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie, a wolał żeby wykończyli ich Niemcy, aniżeli by miało ich NKWD zapaść i wywieźć na wschód. Dlatego cała nasza armia składająca się już wówczas z czterech dywizji piechoty, brągady artylerii i brygady pancерnej, stała beczynnie na przyczółku o kilkadziesiąt kilometrów od centrum Warszawy, a mając na naszym odcinku przed sobą wzdług danych zwiadu zaledwie jedną dywizję niemieckiej piechoty i dwie Węgrów w odwedzie. Myśmy byli pewni, że lada dzień rzucą nas do walki i że gdy rano zaczniemy to już na drugi dzień będziemy w Warszawie. Ale rozkaz ciągle nie nadchodził, a czas leciał nieubłaganie.

O świcie 1-go września cały front zajmowany przez polskie jednostki otworzył ogień ze wszystkich posiadanych środków ogniowych. Niemcy prawdopodobnie myśleli, że to przygotowanie do ogólnego ataku i zaczęli też odpowiadać ogniem artyleryjskim, a było to tylko przypomnienie rocznicy ich napaści na Polskę w 1939 roku.

Nocą z 11-go na 12-go września zostaliśmy zlużowani przez gwardzistów i odmarżerowaliśmy do przeprawy na Wiśle. Stał już wówczas most drewniany, po którym przeszliśmy przez Wisłę bez większych przeszkód. Niemcy z rzadka ostrzeliwali okolicę mostu z artylerii dalekonośnej, ale nie robiło to na nas już większego wrażenia. Szliśmy drogą wzdług Wisły w kierunku Pragi, którą zdobywała 1-sza Dywizja. Nie mieliśmy skąd wziąć podwód i wszystko nieśliśmy sami. Przez długi pobyt w okopach odwykliśmy od dłuższych marszów i prędko wszyscy byli mocno zmęczeni. Już nocą padali rozkaz od czoła "palenie wzbронione i zachować całkowitą ciszę". Szliśmy blisko brzegu Wisły i obawiano się ostrzału niemieckiego z za rzeki. W środku nocy stanęliśmy na krótki odpoczynek w jakiejś wsi. Ktoś upadł na pomysłodawanie sowieckiego wojska i śpiewu rosyjskich pieśni. Na i kilkunastu żołnierzy zaczęło na cały głos śpiewać "Ruś wsia rasbłagarnodnoja skipajet kaj wałna, idiet wajna narodnaja świaszczennaja wajna". Od czoła przysgalepował zastępca dowódcy batalionu i zaczął uciszać, ale rozbawieni zajściem nie odrazu ucichli. Widocznie Niemcy wiedząc, że na tym odcinku w obronie stali Sowieci, nie zareagowali i nie otworzyli ognia, czego bało się dowództwo. Szliśmy całą noc z małymi przerwami. Widząc, że Szymczyk zupełnie osłabł, wziąłem od niego jego część rusznicy i niesłem spery kawał drogi, żeby mógł trochę odpocząć. Droga, którą nas prowadzono była wyboista i ciągle ktoś potykał się i wpadał na poprzedzającego go kolegę. Lada ranem zmoczył mnie sen. Szedłem z boku drogi i widocznie zasypiając zwolniłem kroku, bo po jakimś czasie obudziła mnie cięza. Okazało się, że przeszedłem koło mnie cały batalion i zostałem sam na pustej drodze. Daść dłuże dopędzałem swoją kompanię i najlepsze było to, że nikt nie zauważył mojej nie obecności. Lada ranem szliśmy już wzdług torów kolejowych z Otwocka do Warszawy. W okolicy Wawra była poprzednio niemiecka obrona. Widzieliśmy z bliska wyniki nawały ogniowej artylerii poprzedzającej natarcie 1-ej Dywizji. Cały las w tym pasie był zupełnie pogruchetany i pocięty pociśkami, a na stanowiskach niemieckiej artylerii żołnierze leżeli tak jak ich zaskoczyły wybuchy pocisków. Przy niektórych działach nie brakowało nikogo

z obsługi, wszyscy byli zabici. Ten odcinek ostrzeliwały między innymi najcięższe działka/polewe zwane popularnie „Iwany Groźne”, których pociski wyrwały łaje podobne do powstałych po wybuchu bomby 500 kg. Przeszliśmy przez Arin i na krótkim odcinku odkrytego wówczas zupełnie terenem przechodziliśmy podlegającymi kompaniami mocno rozciągniętymi. Odcinek drugi w tym miejscu był stale ostrzeliwany przez niemiecką artylerię z za Wisły i nie było na nim żadnych zmian. Na Pradze zatrzymane nas w okolicy placu Szembeka i naszą kompanię najwięcej kwatery na ulicy Kawczej. Staliśmy tam kilka dni. W tym czasie wypraciliśmy sobie pierwszy raz w pieniądzach drukowanych dla Polaki jeżdżących pochodzących zębą złotówkach papierowych. Dostałem swoją „daję” żołnierzom z mojego plutonu za składkową wódkę, choć sam nie piłem i poszedłem zwiędzić skalię. Na placu Szembeka stał, wówczas w stanie surowym, kościół. Poszedłem do skafka i zobaczyłem tabliczkę „złóż ofiarę na budowę kościoła” ale pod nią nie było puźki. Poszedłem dalej i wszedłem do zakrystii. Był tam ksiądz szczupły, wysoki w średnim wieku. Powiedziałem mu, że chcę złożyć ofiarę na budowę kościoła i dałem 200 zł. Ksiądz powiedział mi żebym wszystkiego nie dawał, bo mogą mi się jeszcze przydać, ale odpowiedziałem, że mi są niepotrzebne, bo jak pójdziemy do natarcia to mogą i tak mi zginąć. Zapropenswał mi, że da mi książeczkę do nabożeństwa, ale odpowiedziałem, że mam książeczkę. Wtedy wpisał moją ofiarę do książki i powiedział, że odprawi mszę św. z błogosławieństwem Boga w mojej intencji. Wróciłem do kompanii i okazało się, że mamy rozkaz wymarszu na pozycje wyjściowe do formowania Wisły. Ponieważ z drużyny kaprała Szafrkańskiego zdezerterował żołnierz, który pochodził z Warszawy, porucznik Szyrko powiedział, że Szafrkański za karę będzie niósł rusznicę a ja mam iść do 2-go plutonu na drużynowego w jego drużynie. Nie wiem dlaczego, ale nagle uparłem się i powiedziałem Szyrko, że do 2-go plutonu nie pójdę i mogę sam nieść rusznicę w moim plutonie, a tam nie pójdę. Porucznik powtórzył, że daje mi rozkaz przejścia do drugiego plutonu, a ja powtórzyłem, że nie pójdę. Rozzłoszczony Szyrko odszedł, a gdy kompanie stanęła do wymarszu porucznik podszedł do mnie i powiedział, że jak chcę nieść rusznicę w swoim plutonie to w drużynie Welańskiego brak żołnierza, bo Czogalik poszedł do szpitala i mam tam iść. Welański sam niósł rusznicę i nie chciał mi jej dać ale mu wytłumaczyłem o co chodzi i ustąpił. Nocą przeszliśmy na ulicę Zieleniecką i zajęliśmy pozycję wyjściową wzdłuż tej ulicy na brzegu parku Skaryszewskiego. Wydali nam suchy prowiant na trzy dni. Było to pół konserwy „świnioj tuszanki” i bochenek chleba lub suchary. Staliśmy w tej pozycji do 15-ej. Był pochmurny dzień 19-go września. O 15-tej saperzy zapalili świece dymne wzdłuż wybrzeża Wisły. Podjechały samochody z pontonami-składakami i 1-szy batalion ruszył do przeprawy. W miejscu obecnego stadionu 10-o lęcia była dolina, a na niej ogródki warzywne. Widziałem jak szedł batalion i ładował się do pontonów. Padło wtedy zaledwie kilka pocisków niemieckich. Jednego żołnierza pocisk rozniósł na strzępy. Za 1-szym batalionem poszedł nasz 2-gi. Byłem jmk na brzegu jak w ponton, w którym pływał kapral Szafrkański ze swoją drużyną trafił pocisk i nikt z nich nie uratował się. Każdy z nas miał na sobie ponad 20 kg żelastwa

broń osobistą, amunicję do niej, granaty na pasie i w worku, torby z amunicją do rusznicy no i same rusznice tak, że nawet gdy ktoś był tylko lekko ranny to i tak szedł jak kamień w wodę i nie było mowy o możliwości opóźnienia się z tego obciążenia i wypłynięcia, zwłaszcza, że byliśmy w płazach. Do tego większość żołnierzy nie umiała zupełnie pływać.

Mój nagły upór ażeby nie iść do Szafrńskiego, nie zrozumiały dla mnie samego, gdyż dotychczas nigdy nie odmówiłem wykonania rozkazu, modlitwa księdza, przeznaczenie, w każdym razie to, że nie poszedłem z Szafrńskim uratowało mi życie. Pierwszy batalion przepłynął przez Wisłę prawie bez strat, to pozostałe Niemcy byli całkowicie zaskoczeni, ale już nasz batalion wyginął i wodzie prawie w połowie. Oba nasy - Peniatowskiego i kolejowy były zwalone tak, że od strony Warszawy miały przęska nie tknięte i cały prąd Wisły wartko płynął po warszawskiej stronie. Nasze pontony zmasiła woda nima wysiłków saperów i pomagających im żołnierzy. W wyniku tego na warszawskim brzegu bataliony lądowały zupełnie pomieszane. Nasz sztab batalionu wyginął na samym brzegu - dowódca kapitan Plejzer i perucznik Susin zostali ciężko ranni serią ckm-u przy wychodzeniu na skarpg, a zastępcza dowódcy do spraw liniowych i adiutant zginęli na miejscu. Całością dowodził dowódca 1-go batalionu kapitan Baranowski. Zaraz po wylądowaniu przemieszane bataliony poszły do natarcia i bez większych trudności spanowały okopy niemieckie i dalej szły, lecz napotkały już zdecydowany opór. Nasza artyleria przestała ostrzeliwać niemieckie pozycje, zapowiadanego wsparcia lotniczego też nie było. Niemcy kontratakowali wspierani Ferdynandami. Nasi żołnierze nie znali zupełnie walki w mieście i wielu z nich było wogóle pierwszy raz w dużym mieście. Latemiasz niemieckie oddziały biły się na tym odcinku już od dawna i znały teren. Łączność z prawym brzegiem urwała się po zniszczeniu radiostacji. Strzelane przez kapitana Baranowskiego rakiety proszące o ogień artyleryjski nie odnosiły skutku. Na ochotnika popłynął w pław świetny pływak pper. Alimow, dowódca 2-jej kompanii ckm. Miał on wyjaśnić sytuację naszych oddziałów i uzgodnić pomoc ogniową. Miestety nie dopłynął. Prawdopodobnie ścigała go seria z niemieckiego ckm-u. Pierwszych rannych, a między innymi kapitana Plejzera i perucznika Susina oraz naszego plutonowego Wołku, ewakuowały powracające pontony i ich uratowali. Dalsi ranni już nie mieli pomocy. Prostu wszystkie pontony zostały rozbite przez niemiecką artylerię, która poleżyła na porę ogniową na Wiśle i woda prosto gotowała się od wybuchów. Tymczasem niemieckie natarcie rozpokowiło nasze oddziały. Niemcy mieli stanowiska na piętrach kamienic i mieli całkowity wgląd w teren naszych pozycji. Od ognia niemieckiego ginęli masowo cekaemiści i obsługi rusznic. Kapitan Baranowski wycofał pozostałych żołnierzy nad brzeg Wisły i z tam istniejących okopów niemieckich prowadził obronę. Część żołnierzy została otoczona przez Niemców nim zdołali się wycofać. Plutonowy Janek Sikora z pułkowej kompanii RPPanc nie chcąc poddać się, rzucił granat na kilka metrów od siebie pod nogi Niemców. Miał szczęście, że obronny granat poraził szkopów, a jemu nie nic zrobił. Korzystając z wybuchu uskoczył i dołączył do swoich na brzegu. Ferdynandy korzystając z braku

broń osobistą, amunicję do niej, granaty na pasie i w worku, torby z amunicją do rusznicy na i same rusznice tak, że nawet gdy ktoś był tylko lekko ranny to i tak szedł jak kamień w wodę i nie było mowy o możliwości uwolnienia się z tego obciążenia i wypłynięcia, zwłaszcza, że byliśmy w płaszczech. Do tego większość żołnierzy nie umiała zupełnie pływać.

Łój nagły upór ażeby nie iść do Szafranskiiego, nie rozumieli dla mnie samego, gdyż dotychczas nigdy nie odmówiłem wykonania rozkazu, modlitwa księdze, przeznaczenie, w każdym razie to, że nie poszedłem z Szafranskiim uratować mi życie. Pierwszy batalion przepłynął przez Wisłę prawie bez strat, bo początkowo Niemcy byli całkowicie zaskoczeni, ale już nasz batalion wyginął w wodzie prawie w połowie. Oba mosty - Poniatowskiego i kolejowy były zwalone tak, że od strony Warszawy miały przęśła nie tknięte i cały prąd Wisły wartko płynął po warszawskiej stronie. Nasze pontony znosiła woda mimo wysiłków saperów i pomagających im żołnierzy. W wyniku tego na warszawskim brzegu bataliony lądowały zupełnie pomieszane. Nasz sztab batalionu wyginął na samym brzegu - dowódca kapitan Flejzer i porucznik Susin zostali ciężko ranni serią ckm-u przy wychodzeniu na skarpę, a zastępca dowódcy do spraw liniowych i adiutant zginęli na niej. Całością dowodził dowódca 1-go batalionu kapitan Baranowski. Zaraz po wylądowaniu przemieszane bataliony poszły do natarcia i bez większych trudności spanowały okopy niemieckie i dalej szły, lecz napotkały już zdecydowany opór. Nasza artyleria przestała ostrzeliwać niemieckie pozycje, zapowiadane go wparcia lotniczego też nie było. Niemcy kontratakowali wspierani Ferdynandami. Nasi żołnierze nie znali zupełnie walki w mieście i wielu z nich było wogóle pierwszy raz w dużym mieście. Natomiast niemieckie oddziały biły się na tym odcinku już od dawna i znały teren. Łączność z prawym brzegiem urwała się po zniszczeniu radiostacji. Strzelane przez kapitana Baranowskiego rakiety przeciwlotnicze artyleryjskie nie odnosiły skutku. Na ochotnika popłynął w prawy bieżący płynący ppor. Alimow, dowódca 2-giej kompanii ckm. Chciał on wyjaśnić sytuację naszych oddziałów i uzgodnić pomoc ogniową. Miśtety nie dopłynął. Prawdopodobnie ścisła go seria z niemieckiego ckm-u. Pierwszych rannych, a między innymi kapitana Flejzera i porucznika Susina oraz naszego plutonowego Wełka, ewakuowały powracające pontony i ich uratowali. Dalsi ranni już nie mieli pomocy. Prosto wszystkie pontony zostały rozbite przez niemiecką artylerię, która położyła zapórę ogniową na Wisle i woda prosto gotowała się od wybuchów. Tymczasem niemieckie natarcie rozpołowiło nasze oddziały. Niemcy mieli stanowiska na piętrach kamienic i mieli całkowity wgląd w teren naszych pozycji. Od ognia niemieckiego ginęli masowo cekaemiści i obsługi rusznic. Kapitan Baranowski wycofał pozostałych żołnierzy nad brzeg Wisły i z tam istniejących okopów niemieckich prowadził obronę. Część żołnierzy została odcieczona przez Niemców nim zdążyli się wycofać. Plutonowy Janek Sikora z pułkowej kompanii RPPenc nie chcąc poddać się, rzucił granat na kilka metrów od siebie pod nogi Niemców. Chciał szczęśliwie, bo obronny granat poraził szkiepów, a jemu nic nie zrobił. Korzystając z wybuchu uskoczył i dołączył do swoich na brzegu. Ferdynandy korzystając z braku

naszej artylerii, podjeżdżały całkiem blisko i wysuwając się z za węgła kamienicy prażyły ze swoich dział ogniem na wprost. Jeden z żołnierzy z pułkowej kompanii rusznic, nie mając już amunicji, wskoczył na wyjeżdżającego ferdynanda i wrzucił do środka granat. Zniszczył niemieckie działo pancerne, ale sam zginął od serii ckm-u. Wielu z wśród żołnierzy 8-go pułku zasłużyło w tej walce na najwyższe odznaczenia, ale nie było komu po akcji opisać ich działalności, ani nawet zapisać ich nazwisk. Na brzegu trwała walka do wyczerpania amunicji. Przez jakiś czas kapitan Baranowski zastępując zabitego celowniczego, bił z maksyma nie podpuszczając Niemców. Popłynął przez Wisłę wysłany przez kapitana plutonowy Jan Sikora i udało mu się przepłynąć. Zaprowadzili go na punkt obserwacyjny w szczytowym budynku przy moście Poniatowskiego do pułkownika Karasiewicza. Meldował stan i położenie naszych batalionów i prosił o wsparcie artylerii. Pułkownik przy nim telefonicznie porozumiewał się z poszczególnymi oddziałami artylerii na naszym odcinku. Jednym pogrzały się lufy, innym zabrakło amunicji. Z jednego punktu wyraźnie odpowiedziano "u was swoje środki ogniowe, wy nam podniebnie nie budźcie". Sikora to słyszał wyraźnie stojąc koło pułkownika. Artyleria milczała, a na warszawskim brzegu Niemcy dobijali nasze oddziały. Pod wieczór pozostały tylko pojedyncze gniazda oporu. Wszystkim brakowało amunicji. Po wystrzeleniu ostatnich naboju kapitan Baranowski ^{zawołał} "chłopcy jak kto może ratujcie się" i sam skoczył do Wisły. Za nim poszło kilkunastu żywych i umiających pływać. Jednocześnie w wodzie niemieckie serie kosiły płynących. Paradoksalnie, im słabsze pływający zostali zaraz zniesieni przez prąd i zatrzymali się na awaryjnych przęsłach mostu kolejowego, a płynąc pod osłoną wysokiego brzegu, byli osłaniani od serii niemieckich ckm-ów. Natomiast ci, co pływali dobrze i płynęli na wprost, w większości zostali trafieni w wodzie i zginęli. Po awaryjnych przęsłach kolejowego mostu uratowało się najwięcej. Niektórzy przetrwali Wisłę już w nocy, inni przedostawali się dłużej. Kapral Maciej / z ile dobrze pamiętałem nazwisko / z 1-ej kompanii ckm, z czterema innymi żołnierzami wytrzymał na przyczółku mostu kolejowego przez dwie doby. Oszczędzając amunicję nie dopuszczali do siebie Niemców. Po wyczerpaniu zupełnym amunicji, utopili swego maksyma w rzece, a sami po przęsłach mostu przeszli na praski brzeg. Wszyscy oni byli poranieni, ale pomagając sobie na wzajem jakoś wyszli z opresji. Jeden z żołnierzy z 1-ej kompanii rusznic przeleżał na pół w wodzie na przęsłach mostu, gdzie go raniko, przez kilka dni. Był nieprzytomny i z brzegu myśleli, że to trup. Dopiero po kilku dniach na tyle odzyskał świadomość, że zdołał się przeczekać do brzegu. Był jakiś czas w szpitalu i gdy po dwóch tygodniach dotarł do nas, wyglądał jak trup - ciągle był zupełnie siny. Gdy po wszystkim zobaczył mnie porucznik Szyrko, to pierwsze co od niego posłyszałem było pytanie skąd wiedziałem, że w penton Szafranski trafi pecisk. Przypatrywał mi się niedowierzająco, gdy mu mówiłem, że nic nie wiedziałem i dotąd nie wiem dlaczego się uparłem tam nie iść. Wszyscy zdremni zebrali się na dawnych kwaterach koło placu Szembeka. Gdy się wszyscy zebrali okazało się, że z dwóch batalionów, pułkowej kompanii RPPanc.,

pułkowej kompanii fizylierów i kompanii ogniomiotów z karnego batalionu - zostało z kucharzami i taborytami zaledwie 114-u ludzi. Jeszcze w tym była rzadziej część 5-ej kompanii, którą zatrzymano dla pomocy w przeprawie dział pułkowych 76 mm, którym już nie starczyło pontonów, bo już wszystkie zostały zniszczone podczas przeprawy.

Jeszcze kilka dni po powrocie naszych resztek z przeprawy, staliśmy na dawnych kwaterek wokół placu Szembeka. Ktoś przyniósł nam wiadomość, że w fabryce Wedla są jeszcze słodycze i konfitury. Moi żołnierze uchwalili, że mam iść po nie. Wziąłem jednego do pomocy i poszliśmy. Obaj mieliśmy podarte i zupełnie zniszczone mundury, ale nie z tego sobie nie robiliśmy. Po dojściu na miejsce zastaliśmy tam już spora naszą braci pułkowej. Okazało się, że fabryki pilnują ścisłe przybyli żołnierze z 4-tej dywizji. Byli to żołnierze niedawno wcieleni i bardzo poważnie podchodzący do pilnowania powierzonych im obiektów. O wejściu przez bramę nie było mowy. Wysoki parter i pierwsze piętro miały zakratowane okna. Na parterze w oknach stali wartownicy. Doszło do tego, że jeden z nich strzałem z FPS-ki ranił naszego plutonowego. Powstał szum, bo niektórzy brali się już do broni i mogło dojść do strzelaniny. Na szczęście wzięła górę rozważa. Jeden młodziak kapral wszedł po narożnych zagłębieniach w murze aż na pierwsze piętro, wybił ręką szybę w oknie i wciągnął się do środka. Nie miał więcej szczęścia jak rozum, bo każde poślizgnięcie się groziło mu śmiercią na bruku ulicy. Po wejściu znalazł na górze bleki karmelu i sztuczny negus miodu i zrzucił je na ulicę, a koledzy po oskrobaniu z ryku ulicznego zbierali je i odnieśli do swych kompanii. Ja wszedłem po kratkach na drugie piętro i po wybieciu szyby wszedłem do pomieszczenia zupełnie pustego. W klatce schodowej na parterze stał wartownik, więc zszedłem do piwnicy szybą windy. Piwnice jeszcze były pełne beczek z różnymi konfiturami i innymi zaprawami używanymi do nadziawiania cukierek. Beczki duże, drewniane z pokrywkami drewnianymi stały w trzech warstwach. Żołnierze z 4-tej dywizji wywozili te beczki na podwórze i ładowali na samochody. W piwnicy pełne było takich jak ja i nikt na nas nie zwracał uwagi. Jeden z żołnierzy poczęstował mnie kubkiem likieru. Był szlachetny, ale trochę mnie zamroczył. Znalazłem w jednej z piwnic blaszaną wiaderka. Wziąłem dwa z nich i wybrałem do jednego konfiturę truskawkową, a do drugiego z kilku beczek innych konfitur. Zaraz na początku złamała mi się łyżka w gęstej konfiturze, więc nabierałem prosto ręką. Podczas zdobywania bragi powstał w tych piwnicach pożar, bo żołnierze rozlali znalezione tam spirytus i ten zapalił się od ognia używanego do oświetlenia pomieszczeń bez okien. Pożar ugaszono ale wszystko było dokładnie oskopczone i my wszyscy uamawialiśmy się tam tak jak kominiarze. Mając zdobyć pomyślałem o wycofaniu się na senną straż. Wszedłem na parter i skierowałem się w kierunku windy, gdzie wiedziałem z oglądzin od zewnątrz, że było podwórze otoczone wysokim murem. W pewnej chwili znalazłem się na wysokim ganku. Od strony Warszawy co chwila szły pociski artyleryjskie i z tego powodu nie ostrzelani wartownicy chłonili się po różnych wnękach. Na mnie takie szumujące w górze

paciski nie robiły najmniejszego wrażenia i spokojnie wypskrywkxxx wypatry-
rzyłem, że pod murem po drugiej stronie podwórza była szopa z jakimiś skrzy-
niami, a w jednym miejscu w dachu tej szopy pod murem była duża dziura od
wypachu pacisku. Zasadłem spokojnie z ganku po schodach na podwórze i gdy
wartownik chciał mnie zatrzymać krzyknąłem na niego żeby ściągnął kopyta jak
jak stał przed siorzantem. Clupi rekrut widać był dobrze ganiany przez pod-
oficerów, bo jak zobaczył moje naszywki stanął na baczność. W tym czasie nad-
leciał pacisk. Krzyknąłem "padnij" i wartownik skwapliwie usłuchał, a ja sko-
czyłem do szopy i przez dziurę w dachu wyszedłem na mur. Po zewnętrznej stro-
nie kręcili się żołnierze z naszego pułku. Podąłem im moje wiaderka, a sam ze-
skoczyłem z muru. Gdy wróciłem na kwaterę śmiali się ze mnie, że chyba czyści-
łem kieniny, ale wszyscy moi żołnierze rzucili się na przyniesione kenfitury.
Były dwa wiaderka 5-litrowe, ale i łyżek kilkanaście i na drugi dzień wi-
aderka były puste. Jednocześnie uchwalono więc żebym szedł drugi raz. Ponie-
waż pierwszego razu żołnierz, który poszedł ze mną gdzieś się zawieruszył, a
więc musiałem całą drogę sam nieść wiaderka, zarządzałem tym razem żebym już
nie potrzebował nieść i poszli ze mną dwaj żołnierze. Drugim razem poszło mi
jeszcze łatwiej i wróciliśmy ze zdobyczą. Miastety już więcej nie mogłem tam
iść, bo przeszedł na odiecznik na wieś.

Ponieważ zostałem z trzech kompanii rusznic zaledwie kilkunastu wraz z
taborytami, więc powstał tylko jeden pluton, a jego dowódcą czasowo wyznaczyl
Hellera, który był sporo starszy wiekiem ode mnie, a szarżą równy. Dotąd by-
liśmy na równorzędnych stanowiskach i ednosił się do mnie po koleżeńsku, a
z chwilą gdy został z po. dowódcą plutonu zrobił się bardzo służbowy i sta-
ło się żebym mu służbowo meldował wszystkie sprawy, a zwłaszcza zbiórki
plutonu. Rano i wieczor edbierał meldunek przed frontem plutonu i edchodził,
a ja podawałem komendę "do roty" i "do modlitwy". Rano i wieczor śpiewaliśmy
Rotę i "Kiedy ranno" lub "Wszystkie nasze". Słazacy trzęśli się na Hellera,
bo z natury nie lubili Żydów, a on jeszcze strasznie się wynosił.

Resztki naszych batalionów czasowo połączyli w jeden i przenieśli nas na
odiecznik do wsi Michałówek położonej w widłach szos na Brześć i Lublin.
Staliśmy tam przez parę dni i dla "odiecznika" kopaliśmy okopy dla ewen-
tualnej obrony drugiej linii. Wieś była nędzna i brudna tak, że ledwie znalaz-
ła się jedna chata na kwaterę dla dowódcy batalionu. Sztab stał w budynku
szkoły czteroklasowej, a wszystkie kompanie stały po stodołach. Spaliśmy na
sienkach żyta. Co dzień rano wszyscy wychodziliśmy na edcinek do kopania ro-
wów i stanowisk ogniowych. Była to praca dla pracy, bo i tak nikt tych okopów
nigdy nie wykorzystał.

W kilka dni po przybyciu do Michałówek edszedł plutonowy Pietruszka skiere-
wany do szkoły oficerskiej. Krótce przed jego odejściem była z nim awantura.
Miał edzaka przedwojennego po swoim ojcu, który był podoficerem zawodowym
WR, i nikt dotąd nie robił z tego powodu żadnych awantur. Tymczasem po odej-
ściu do szpitala porucznika Susina przysłali nam na zastępcę dowódcy batali-
onu

iemu jakiegoś typu podobno z gwardii ludowej. Był strasznie cięty na AK-owców, których spora przysłała nam na uzupełnienia i wściekł się zupełnie, gdy zobaczył u Pietruszki orzełka z koroną. Wrzeszczał, że to dywersja i kazał mu zaraz zdjąć tego "sanacyjnego" orzełka i postawił sprawę ukarania go, a nawet wet degradacji. Na szczęście porucznik Szyrko lubił Pietruszkę, i nie dał mu zrobić krzywdy, ale dobrze się stało, że odszedł, bo ten idiota ciągle by się go czepiał. Zaraz po nim odszedł do 2-ej armii sierżant Heller. Po jego odejściu porucznik Szyrko zwrócił się do mnie: "nu Marchockij pasbyliś żydem" i był wyraźnie zadowolony.

Po pewnym czasie wyszedł rozkaz, że podoficerowie pełniący funkcje oficerskie nie mieli kopać tylko kontrolować i organizować pracę żołnierzy. Po pewnym czasie pełniłem obowiązki zastępcy dowódcy kompanii, więc dotyczyło to i mnie. Któregoś dnia wyznaczylem do kopania stanowiska dla rusznicy i poriewań żołnierzy z naszej kompanii było za mało, przydzielili mi kilku z plutonu działek ppanc 45 mm. Jeden z żołnierzy kopał stanowisko pomiędzy kopami sosen i gdy zagarnął głębiej, wyrzucił z piaskiem kamienny toperek ładnie obrabiony. Wziąłem go i nosiłem do końca wojny w swoim worku. Był to mój talizman. Kilkakrotnie chodziliśmy na polowanie na zajęcia. Raz idąc sam natknąłem się na kaprała z 2-ej kompanii moździerzy. Leżał w rowie i wołał mnie do siebie. Gdy podszedłem okazało się, że ma przestreloną nogę w udzie i kula przeszła mu ^{przez} kość. Miałem czyste sumienie, bo wcale nie strzelałem. Do wsi było z dwa kilometry. Opatrzyłem mu ranę własnym opatrunkiem, wziąłem swój i jego karabiny na pasy na szyję, a kaprała na barana i niosłem go do wsi. Był ciężki i z każdym krakiem stawał się jeszcze cięższy. Nie mogłem go postawić, żeby odpocząć, bo był z bólu przy każdym poruszeniu rannej nogi. Poprostu miał prawdopodobnie odłamki kości odbite kulą w mięśniu, które mu rozrzucały jeszcze bardziej ranę. Złany potem, choć wcale dzień nie był ciepły, dowieźłem go do skraju wsi, a tam już spotkali mnie sanitariusze z noszami. Okazało się że nie był sam, choć mnie tak powiedział, i jego koledzy uciekli do wsi bojąc się konsekwencji ranienia kolegi, a jak zobaczyli, że go niosą to wysłali na przeciw mnie sanitariuszy. Chłopak był przy forsowaniu Wisły na warszawskim brzegu i wrócił nie tknięty, a na głupim polowaniu został ranny. Innym razem koło samej wsi zobaczyłem siedzącego zajęcia. Miałem przy sobie automat PPSz. Postawiłem na ogień ciągły i z odległości kilkunastu metrów zacząłem strzelać długą serią. Zajęca powoli szedł po polu, a ja nie spuszczałem go z muszki i ciągnąłem serię. Wstrzelałem cały bębenek i okazało się, że z odległości kilkunastu metrów trafiły w zajęcia tylko cztery pociski na 72 wystrzelone. Taki straszny rozrzut miały słynne popeszki sowieckie. Były to pukawki dla robienia huków i straszenia. Dlatego ich nie lubiłem i wołałem nosić karabin, z którego trafiałem we wronę ze stu metrów.

Któregoś dnia porucznik Szyrko spikł się kompletnie. Położyli go na stole w stodole żeby sobie pospał i trochę wytrzeźwiał. Tymczasem coś mu strzeliło do głowy, wziął ze stojaka automat i zaczął strzelać. Kule łupały deski wrót

i nie można było podejść żeby obezwładnić pijanego, a baliśmy się, że w końcu zacznie strzelać z rusznicy i zapali stodołę. Po pewnym czasie szef kompanii wskoczył drugą stroną do stodoły i wyrwał perucznikowi automat, inni pomogli i związali ręce perucznikowi. Tak pozostawiony w końcu usnął, a gdy obudził się o niczym nie pamiętał i dziwił się kto go związał.

W tym czasie często byłem oficarem inspekcyjnym w batalionie. Chodziłem zawsze z gońcem i któregoś nocy przykapałem wartownika z plutonu działek ppanc tak mocno śpiącego na warcie, że nie mogłem go dobudzić. Zabrałem mu karabin z rąk i po dłuższym szarpaniu obudziłem. Zaprowadziłem go do sztabu, gdzie siedział stale perucznik Chema. Żołnierz tłumaczył się złączeniem przy kopaniu okopów i złym stanem zdrowia. Perucznik długo mu tłumaczył, że gdyby ktoś postropny zabrał mu broni, to musiałby pójść pod sąd i w najlepszym wypadku zarobiłby karny batalion. Obiecał więcej nie spać i wrócił na posterunek. Szczęściem dla niego nie chodził wtedy zastępca dowódcy batalionu do spraw politycznych, bo ten oddałby go na pewno pod sąd.

Jednego dnia, gdy żołnierze z naszej kompanii mieli służbę na kuchni, a ja byłem inspekcyjnym, zginął mundur dowódcy batalionu, który szef plutonu gospodarczego wziął do czyszczenia. Wtedy świerzgo przyszedł na dowódcę naszego batalionu major Drazdew. Był on bardzo wymagający i straszny formalista. Zrobił mi z powodu tego munduru awanturę, tak jakbym to ja stał przy jego mundurze na warcie. Naturalnie mundur się nie znalazł.

Krótko po tym przeszliśmy do Ząbek. Wyszliśmy z Michałówka około południa i do Ząbek przyszliśmy już nocą. Dowódcy batalionu chciało się zrobić nam na końcu drogi natarcie i dał rozkaz okopania się na skraju Ząbek. Noc była ciemna i prawie nic nie było widać. Koje rusznice zatrzymały się na skraju jakichś krzaków. Zaczęli kopać stanowiska. Byłem przy Szymczyku i Rusinie. Wykopaliśmy około metra w głąb i trafili na jakieś deski. Dalej nie można było kopać więc zaprzestali. Od biedy można było z tego okopu prowadzić ogień z pozycji kłęczącej. Gdy się rozwidniło zobaczyliśmy, że krzaki otaczały cmentarz, a my siedzieliśmy na trumnie w rozkopanym grobie. Dziw, że niebeszczyk nas nie postraszył, gdy mu stukaliśmy w trumnę. Naturalnie zasypaliśmy nogi i wynieśliśmy się z cmentarza. Przez pierwsze dni kazano nam trzymać watry w okopach. Na szczęście trwało to krótko, bo pogoda się zepsuła i było zimno i przeletne deszcze. Po tym całą kompanię zebrano na kwaterę w domu przy ul. Strzeleckiej, której wówczas właściwie nie było, a stał tylko dom wśród łąk, niedaleko linii kolejowej. Początkowo kwatrowaliśmy z innymi podoficerami w mieszkaniu wdowy z kilkorgiem dzieci, trudniącej się produkcją bimbrowa na większą skalę. Perucznik Szyrko dał do jej dyspozycji wóz taborowy z furmanem i szefem kompanii, którzy z wdową pojechali na wieś i przywieźli pełny wóz ziemiaków na produkcję bimbrowa. Potem perucznik miał co pić przez pewien czas. Już wówczas zaczęła milicja chodzić i likwidować bimbrownie, ale wdowa urządziła się tak, że gdy pędziła bimbrowa to braka do pomocy kilku podoficerów, których Szyrko zwalniał od zajęć i oni nie wpuszczali milicji do pomieszczenia bimbrowni, za co mieli co wypić.

krótce po zakwaterowaniu nas na ul. Strzeleckiej odszedł porucznik Szyrko z plutonowym Jankiem Sikorą i kilku żołnierzami pozostałymi z pułkowej kompanii RPFanc i ich wozem taberowym do odtworzenia pułkowej kompanii. Mieli dostać uzupełnienie. Szkoda mi było rozstawać się z Sikorą z którym zaprzyjaźniłem się, a także koni. Były to konie, które jeszcze na Wołyniu zabrali jakiegoś Ukraińcowi. Kiedy chcieli żeby on jechał na podwoje, Ukraińiec ten ugarł się i powiedział, że nawet jeśli mu zabiorą konie to on nie pojedzie. I o i pojedzali bez niego. Była to slična para dereszaków tak przyzwyczajona do koczowniczego naszego życia, że swój wóz uważały za stajnię - gdzie on stał tam wracały i nie potrzeba było ich wiazać, bo nigdzie od swego woza nie odeszły. Cóż prawda żołnierz je obsługujący dbał o nie. Nad Pilicą stojąc przy sztabie, cały czas kosił i amłacał owies i cały wóz miał pełen worków owsa dla swoich koni. Dowódcą naszej kompanii został chorąży Szerneta, a mnie wyznaczono na zastępcę dowódcy kompanii. Natomiast kapral Wolański został dowódcą plutonu. Dali nam w tym czasie uzupełnienie z kompanii strzeleckich z 3-go batalionu. Niestety nikt z kompanii nie pozbywa się najlepszych żołnierzy, a stara się wypchnąć najgorzej. Dostaliśmy więc żołnierzy starych wiekiem i mało sprawnych. Zostali z reszty amunicyjnymi, ale nasi starzy żołnierze klęli ich ile wlezie, bo prawidłowa obsługa rusznicy wymagała dobrego zgrania się obsługi, a z tymi nic nie wychodziło. Ze starych naszych żołnierzy zostali kapral Wolański, kapral Prent i strzelcy Rusin, Czuk, Różański, Szymczyk, Rembca i Szerneta. Z uzupełnienia doszli: strzelcy Kragowski Antoni syn Antoniego ur. 1896r z powiatu Wołyńskiego z Nowogródzyczyny, Józwa Stanisław syn Jana ur. 1908r z woj. Tarnopolskiego, Lazur Miętr syn Jana ur. 1913r z woj. Tarnopolskiego, Blumerowski Karol syn Andrzeja ur. 1922r z woj. Tarnopolskiego, Lech Tomasz i Lurjata Stefan, który po krótkim czasie postrzelił się podczas czyszczenia karabinu i odszedł do szpitala. Mieliśmy więc sześć rusznic, czyli trzy drużyny, z tym, że Szymczyk, Czuk i Rusin byli celowniczymi i razem drużynowymi. W tym czasie dostałem awans na starszego sierżanta. Szefem kompanii w tym czasie był kapral Kruszewski i on wystarał się dla mnie o nowy mundur i płaszcz, bo mundur poprostu rozleciał się, a płaszcz został podczas farsowania Wisły zniszczony. Tylko nie dostał mi butów, bo nie było nowych na magazynie, a ja miałem kamazę już mocno nadwążone, która dostałem przed przejściem nad Pilicą, gdyż moje buty, które farsowałem jeszcze w szkole nad Oką, zupełnie rozleciały mi się w czasie ofensywy letniej i szedłem prawie boso. Wtedy złapał się z szefem wóz z magazynów pułkowych, ale mieli tylko trzewiki i owijacze, więc je wiazałem.

W końcu października zmieniono nam zastępcę dowódcy batalionu do spraw politycznych. "Gwardzista" odszedł ku naszemu zadowoleniu, a przyszedł na to stanowisko Ślązak, znajomek Szymczyka.

Chorąży Szerneta stał na kwaterze w mieszkaniu państwa Borowskich na parterze, ponieważ nie odpowiadała mi mieszkanie wdowy, gdzie jak na mnie za dużo było biabru i wesołej zabawa przy nim, przeniosłem się do państwa Borowskich. Jak już wspominałem chorąży Szerneta był człowiekiem kulturalnym, a państwo Borowscy ludźmi ze starej inteligencji i współzycie w takim otoczeniu

układała się bardzo sympatycznie.

Nasz batalion ganiał na ćwiczenia w walkach w mieście, imitacją którego miały być z konieczności takie osiedla jak Zabki i Zielonka, a dowódca batalionu wymagał, żeby każdy dowódca kompanii miał na każde ćwiczenie konspekt na piśmie. Musiałem codziennie pisać konspekty dla chorążego Szermety, bo starcom ~~nie~~ nie chciało się tego robić, a dowódca batalionu sprawdzał je codziennie.

W końcu października sztab pułku zorganizował w szkole w Zabkach trzydniowy kurs dla podoficerów pełniących funkcje oficerskie, po którym w krótkim czasie nadano im stopnie chorążych. Nie chciało mi się iść na ten kurs, bo wolałem siedzieć w wolnych chwilach od zajęć w mieszkaniu państwa Borowskich, których córka Danusia mocno mi się podobała i zdaje się była też wzajemność. W tym czasie byłem prawie co trzeci dzień oficerem inspekcyjnym w batalionie. Któregoś nocy gdy szedłem z gońcem przez osiedle, zatrzymaliśmy dwóch Rosjan. Z jednym z nich zgadałem się, że był z Głuszkowa z Syberii. Powiedziałem mu, że ja też jestem z Głuszkowa. Nie znał mnie, bo już służył jak nas przywieźli, ale bardzo się ucieszył, że spotkał "ziemlaka".

Na 7-go listopada pierwszy raz zrobili u nas uroczystość. Cały pułk wystawili na placu i pułkownik i zastępca mieli długie mowy o bratnim narodzie i jego wielkim święcie. Przed tym zastępca dowódcy batalionu mączył mnie dość długo, żebym wystąpił na tej uroczystości od żołnierzy i podoficerów batalionu. Nie chciałem się wykłupać, ale koleczy namówili mnie i miałem nowę w stylu naszego naczelnika politycznego z MTS-u w Kozulce. Ja się zgrywszem i koleczy dzy mieli zabawę, ale zostało to przyjęte przez górę za dobrą monetę.

Po kilku dniach wezwał mnie por. Krasowicki ze sztabu pułku i kazał wystąpić na akademii zorganizowanej z okazji rocznicy 11-go listopada. Tam już się nie zgrywszem, ale przyznać muszę, że mi wypadło gorzej.

Wkrótce potem, 13 listopada wyruszyliśmy z Zabek na objęcie odcinka obrony. Odprowadzały nas znajome dziewczęta, a Danka wzięła mój adres i potem dostałaż kora od niej kilka listów.

Mocną zajęliśmy obronę wzdłuż Wisły. Stanowiska mieliśmy na wale wiślany przeciwpowodziowym, a mieszkaliśmy w małych ziemlankach wykopanych pod samym wałem tak, że były dobrze osłonięte przed ostrzałem niemieckiej artylerii z za Wisły. W tym odcinku wał był stosunkowo bliski rzeki i z tego powodu łatwy do obrony, ale było nas ślesznie mało, a zajmowaliśmy odcinek normalnego batalionu. Kompania strzelecka wzmocniona plutonem rusznic i plutonem ckm-ów, liczyła zaledwie 32 ludzi. Właściwie były tylko same obsługi karabinów maszynowych o zmniejszonym stanie osobowym i rusznic, a ~~po~~ rkm-y mieli pojedynczy strzelcy i jak taki rkm-ista szedł spać to zabierał ze sobą swój rkm i stanowisko zostawało puste. Stanowiska nasze zresztą były tak rzadko rozmieszczone, że w ciemną noc można było pomiędzy nimi zupełnie pewnie przejść. Tylko niemcy nie wiedzieli o tym, bo mieliśmy co najmniej po dwa stanowiska na jedną broń i strzelaliśmy to z jednego to z drugiego robiąc wrażenie wypełnienia frontu bronią maszynową.

Zresztą na odcinku było zupełnie spokojnie. Sztab batalionu stał w Henrykowie.

Chodząc do sztabu znalazłem w jednym domu ładną bibliotekę. Na parterze był duży pokój z półkami na wszystkich ścianach, pokój - biblioteka, a na piętrze w pokoju wyraźnie dziecięcym dużo książek młodzieżowych i między innymi seria książek Karola May'a taka, jaka była w Pucu u mego Dziadka. Brałem z tej biblioteki książki i miałem co czytać.

Któregoś dnia gdy szedłem ze sztabu batalionu było spokojnie, więc skracałem sobie drogę i nie szedłem rowem dobiegowym, a na wprost. Gdy wyszedłem z krzaków o mało nie nadeptałem na ludzką głowę. Widać pocisk trafił prosto w jakiegoś człowieka, pewnie żołnierza, i rozerwało go na strzępy. Głowa leżała sama bez strzępka munduru tak, że nawet niewiadomo było do kogo należała. Był tylko kawałek obojczyka i starcząca rura przełyku. Rozpuchnięte usta były szeroko otwarte i szczyrzyły się, a uszy mocno odstające. Zrobiło mi się nieprzyjemnie leżał strzępek człowieka niedawno chodzącego po ziemi jak ja i mającego swoje troski. Tyle już widziałem trupów i nigdy nie zrobiły na mnie takiego wrażenia jak ta samotna głowa. Gdy wróciłem do ziemlanki nie mogłem nic przekonać, bo ciągle mi stawała w oczach ta głowa.

Nowy zastępca dowódcy batalionu do spraw polowych zrobił odprawę zastępców dowódców kompanii, którymi wówczas byli sami podoficerowie i zarządził żebyśmy co dzień pisali "uprzedzenia" co kto mówi, jakie są nastroje wśród żołnierzy i w o wszystkim co by mogło interesować informację. Prosto chciał żebyśmy zastali zwykłymi szpiclami. Na następnej naradzie złościł się, że nikt z nas na nic mu nie doniósł. Powiedzieliśmy mu, że wszyscy są zadowoleni i nie ma u nas żadnych nieprawomyślnych i nie mamy o czym pisać. Upierał się przy swoim i zapowiedział, że nikt z nas nie awansuje jeśli nie będzie "właściwie" pracował, co w jego języku oznaczało donosicielstwo.

Prawie co dnia, a raczej nocy, przechodzili przez naszą obronę żołnierze z karnego batalionu idący na zwiad i po języka. Gdy wychodzili na akcję dostawali po ćwiartce wódki, a gdy wracali z językiem dostawali drugą. Niemcy dla zabezpieczenia się przed nimi zaciągnęli zasieki z drutu kolczastego już w samej wędzie, ale i to im niewiele pomagało. W karnym batalionie był zwyczaj ściśle przestrzegany, że żołnierz, który został ranny w czasie walki, lub zwiadu "zawołał krew własną swoje przewinienia" i taki miał zamazaną karę i wracał do zwykłej służby. W bitwach kompanie z karnego batalionu wysyłał w najgorsze miejsca i prawie wszyscy zazwyczaj ginęli, a w zwiadzie łatwiej było im przeżyć i zasłużyć na zamazanie winy. Poza tym zwiadowcy zawsze coś zdobywali dla siebie w niemieckich eksepach, no i dostawali wódkę.

Pomimo małych stanów osobowych, ciągle z naszych batalionów zabierali podoficerów, a w mniejszym stopniu oficerów do formowania nowych jednostek, na akcję ochrony referaty i do innych zadań.

W tym czasie zdarzyła się nasza dezercja - nowo sformowany pułk piechoty o kolejnym numerze 31, wyszedł na ćwiczenia w teren i większość poszła do lasu. Z frontu z naszych dywizji wzięli bataliony na oblęgę. Po tym rozmawiałem z jednym z uczestników tej oblęgi. Sporo było w tym pułku nie wtajemniczonych

żołnierzy ~~wracali~~, którzy wracali dobrowolnie do koszar, bo po wyprowadzeniu wszystkich do lasu, dowódcy dezertersów zapowiedzieli wszystkim, że kto nie chce iść z nimi może wracać do koszar, i tych "wyłapali" w obławie, natomiast właściwych dezertersów nie spotkali, gdyż żołnierze i oficerowie z leśnych oddziałów AK, którzy postanowili wracać do lasu, znali dobrze teren tak, że umieli "rozpłynąć się" w nim i uniknąć obławy. Dowództwo 31 pułku, wprost przeważnie złożone z oficerów sowieckich, rozstrzelane za "umożliwienie" dezercji i nie dopełnienie obowiązków służbowych, a numer pułku, jako zaginiony został "na zawsze" wymazany z rejestru jednostek. Powracających do lasu żołnierzy przesyłali do karnych batalionów, a resztę rozrzucili po jednostkach frontowych jako uzupełnienie.

W tym czasie wogóle było dużo dezercji z wojska, co było spowodowane przez wiele czynników, ale przeważało to, że większość oddziałów leśnych zaraz po wkroczeniu Sowietów, mimo że one walczyły do końca z Niemcami podążając tym samym "wyzwolicielem", była rozbrajana i internowana, a duża ich część wywieziona na wschód. Poza tym w jednostkach nagle znalazło się pełno "gwardzistów", którzy fanatycznie wprost nienawidzili AK-owców i szykanowali ich na każdym kroku. Miałem tego przykład z naszym zastępcą dowódcy batalionu do Spraw politycznych "gwardzistą", który stale publicznie AK-owców nazywał "sługusami Hitlera".

Wieczorem 25 listopada geniec przyniósł mi rozkaz stawienia się następnego dnia z rzeczami osobistymi i etatetem mundurowym w sztabie batalionu. Znaczyło to, że odsyłają mnie do innych jednostek. Szkoda mi było moich żołnierzy, bo użyliśmy się bardzo. Zwłaszcza Sługacy byli naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Gdy po pożegnaniu z kolegami, zameldowałem się w sztabie batalionu, posłali nas kilku do sztabu dywizji. Już z 8-go pułku szło nas kilkunastu podoficerów, a między innymi sierżant Janek Sikora z pułkowej RPPanc. W sztabie dywizji skierowali nas do sztabu armii. Były między nami podzielone opinie, my z 2-go batalionu chcieliśmy nocować w Zabkach, ale większość zdecydowała żeby iść do Siwek, gdzie większość miała znajomych i nocowaliśmy w Siwkach. Po drodze spotkaliśmy sowieckie jednostki astro ćwiczące. Okazało się, że byli to przeważnie żołnierze ostatnie pobrali z terenów Lewogrodzycyzy i Wileńszczyzny. Wśród nich bardzo dużo było Polaków, a wszyscy żołnierze mówili między sobą po polsku. Trzymali ich w bardzo ostrej dyscyplinie, prawie jak karne bataliony i mimo bliskości frontu nie dawali im amunicji. Rozmawiałem z jednym z nich. Powiedział mi, że gdy zgłaszali się do polskiego wojska to na komisji w rajwejenkomacie kazano im pokazać papiery udowadniające, że są Polakami a gdy takowe okazali, darto je i wpisywano narodowość Białorus i odsyłano polkonwojem do jednostek sowieckich. Byliśmy tym zaskoczeni, bo ciągle nam mówiono, że wszyscy chcący pozostać obywatelami polskimi będą mieli możliwość zupełnej swobodnego wyboru obywatelstwa i związanej z tym służby w wojsku. Okazywało się, że nowa ta była tylko mydleniem oczu.

W sztabie dywizji najpierw chcieli nas posłać do szkoły oficerów politycznych, co nas niemal zaskoczyło, ale potem odkomenderowano nas wszystkich do dyspozycji głównego zarządu polityczno-wychowawczego wojska do Lublina.

Dali nam dla całej grupy jeden rozkaz wyjazdu, co było wielkim utrudnieniem w drodze, bo w tym czasie jechało się wyłącznie okazjami, a nikt z kierowców nie chciał zabierać od razu blisko dwudziestu ludzi na swój samochód. Od razu też rozbiliśmy się na dwie grupy. Ja jechałem z Jankiem Sikorą i innymi z naszego batalionu i kompanii pułkowych, a w drugiej grupie byli przeważnie z innych batalionów i starsi wiekiem, którym nie podobało się to, że nas kilku młodzieńców było starszymi stopniem od nich. Oni następnej nocy zatrzymali się w Królewskich Bagnach, a my dojechaliśmy do Garwolina i nocowaliśmy w wojennej komendzie miasta. Następnego dnia przejechaliśmy pół drogi do Lublina i nocowaliśmy na wsi, bo samochód, którym jechaliśmy jechał właśnie tylko do tego miejsca. Poszliśmy na wieś i początkowo gospodyni, u której chcieliśmy zająć kwatery, nie chciała nas przyjąć, bo myślała, że byliśmy dezertkami. Dopiero sprowadzony przez nią oficer sowiecki, kwaterujący z oddziałem w tej wsi, dogadał się z nami i uspokoił gospodynię. Gdy potem pytałem dlaczego tak się bała, powiedziała mi, że za nocowanie dezertków biorą do więzienia, a mężczyźni gdzieś wyweźą i ślad po nich ginie. Władze zapowiedziały ludności, że będą stosowały represje w stosunku do tych, którzy pomagają dezertkom. Widocznie był to dla władzy poważny problem, o którym my będąc na froncie nic nie wiedzieliśmy. Wogóle zachowanie się władz bezpieczeństwa poza terenami frontowymi zupełnie nie było nam znane.

Następnego dnia udało się nam złapać samochód i dojechaliśmy do samego Lublina. Byliśmy w głównym zarządzie i skierowano nas wszystkich do 2-go pułku aprowizacyjnego. Pierwszą noc przespaliśmy w budynku RKU, a następną już w 9-tym zapasowym na Majdanku. Czekaliśmy na porucznika Susina, który po wyjściu ze szpitala został skierowany na zastępcę dowódcy w 2-im pułku aprowizacyjnym. Niektórzy z naszych chodzili po całym obozie i oglądali pozostałości po działalności niemieckiej. Pułk zapasowy zajmował obóz przejściowy, a ścisły obóz koncentracyjny był nie naruszony i pilnowany przez warty.

Koło południa 2-go grudnia byliśmy z Sikorą u porucznika Susina, który uciekł się naszym widokiem. Szedłem z nim od chwili przeniesienia mnie do 8-go pułku i znał mnie dobrze. Poprosiłem go żeby mnie posłał razem z Sikorą, z którym zaprzyjaźniłem się jeszcze w czasie gdy resztki naszych batalionów i kompanii pułkowych były razem. Porucznik Susin powiedział, że najspokojniej jest na terenie powiatu Biała Podlaska i skierował nas obu do 15-ej kompanii. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy co znaczyło, że tam jest najspokojniej.

Przenocowaliśmy we wsi czekając na samochody, które miały jechać do Białej P. Podlaskiej i na drugi dzień meldowaliśmy się w 15-tej kompanii. Stała częściowo w koszarach, a już w części była w terenie. Żołnierze byli w większości z terenów Kowogródziny i Wileńszczyzny, niedawno wcieleni do wojska, w różnym wieku. Niektórzy służyli już przed wojną, inni byli z AK, a reszta młodych rekrutów zupełnie nie szkolonych. Do wojska dostali się różnymi, nie zawsze legalnymi drogami. Przeważnie przedzierali się lasami do Białogostoku i tam zgłaszali się na ochotnika do wojska, bo i oni potwierdzali to co słyszałem wcześniej, że gdy zgłaszali się do rajwojencematów to byli kierowani do sowieckiej armii.

Zastępcą dowódcy kompanii był młody podporucznik Hoppe, przybyły z wojskowej łączności, gdzie przez jakiś czas dowodził żeńską kompanią i został z tantą odwołany, bo za dużo flirtował z podwładnymi łącznościówkami. Zaraz w Białej znalazł sobie nową "narzeczoną" i adorował ją zawzięcie mało interesując się kompanią. Dowódcą kompanii był porucznik Wiśniewski zmobilizowany z terenu Lubelszczyzny. Dowódcami plutonów byli wyłącznie podoficerowie, a skład plutonów zmieniano zależnie od potrzeb terenu.

Wnie dali 12-tu ludzi, a w tym dwóch kaprali: starszego już wiekiem przedwojennego kaprala rezerwy Włodarczyka Ignacego i młodego byłego kaprala z 8-ej brygady AK porucznika Tura, Grydzia Stanisława z Dziezieniszek pod Bieniakoniemi. Zrobiliem z tego dale krygali drużyny i z takim rekruckim plutonem poszliśmy na gminę Rossosz. Po przyjeździe, według rozkazu, zameldowałem nasze przybycie na teren gminy wojennemu komendantowi sowieckiemu i uzgodniłem w urzędzie gminy miejsce zakwaterowania obu drużyn, które wysłałem na wieś, a xx sam z gońcem, na którego wzięłem młodego strzelca Giebień Mariana, zupełnego rekruta - cywila, zostałem w Rossoszu. Sektys zaprowadził nas na kwaterę do bogatszego gospodarza Tróćwicza. Dom był perządny i czysty, a oboje gospodarze bardzo mili. Mieli dorosłą już córkę, narzeczoną ówczesnego komendanta posterunku milicji Tróćwicza, i drugą jeszcze uczyszczającą do szkoły podstawowej. Dostaliśmy dobrą kolację i spanie w łózkach czysto pościelonych. Na drugi dzień rano zdarzył się śmieszny wypadek. Dostaliśmy kapuśniak, który nocą stał w chlebowym piecu, z dobrze omaszczonymi ziemniakami. Chłopskim zwyczajem gospodyni nalazała nam kapuśniaka do jednej miski, a w drugiej postawiła ziemniaki. Jedzenie było smaczne i jedliśmy z apetytem. Po pewnym czasie Giebień zagarnął głęboką łyżką i wyciągnął z kapuśniaku utopioną mysz. Gospodyni nie było w tej chwili w kuchni i nic nie widziała. Przestaliśmy jeść kapuśniak i jedliśmy same ziemniaki. Gospodyni, po powrocie do kuchni zauważyła, że nie mamy kapuśniaka i zapytała, czy nam nie smakuje. Nic nie odpowiedzieliśmy, tylko Giebień wyciągnął znówu nieszczęsną mysz i pokazał gospodyni, która wpadła, w zupełny popłoch. Tymczasem sięgając nie wiedziała, że w piecu ostygło na tyle że wlaża tam mysz, a garnek był zakryty. Trzeba wyjaśnić, że w chlebowym piecu świetnie gotował się kapuśniak, ale był w garnku z pokrywą przystosowaną do zamurzonej chochli, która dlatego miała wycięcie wielkości mysiej dziury. Rano gospodyni podgrzała kapuśniak w tymże garnku na płycie i nalazała nam do miski tak, że nie mogła wiedzieć o tej myszy. Pomimo to strasznie się wstydziała i prosiła żeby tego nikomu nie opowiadać, bo nigdyby jej tego na wsi nie zapamiętali. Zaraz nalazała nam do innej miski śmietany do ziemniaków, a nieszczęsny kapuśniak zabrała ze stołu.

Odrązu zaprzyjaźniłem się z tamtejszymi milicjantami, którzy wszyscy, w czasie okupacji niemieckiej, byli w Batalionach Chłopskich w oddziale leśnym i zaraz po wkroczeniu tam sowieców obsadzili posterunek.

Krótko po naszym przyjeździe do Rossosza siedziałem wieczorem na posterunku, gdy przyszła dwójka dzieci z sąsiedniej wsi z prośbą o pomoc, bo obrabowali ich ich dom. Pojechaliśmy z trzema milicjantami i dwoma żołnierzami. Poszkodowana gospodarka leżała pod lasem na końcu wsi i należała do wdowy z trójkiem

dzieci. Męża jej zamordowali niemieccy żandarmi podczas obławy na partyzantów. Bandytci zrabowali wyjąciowe buty męża, postaw nowego płótna, kilka rękawików, kożuch i litr bimbru. Zauważyłem, że kobieta nie chciała wszystkiego powiedzieć. Wzięłem ją do sieni i wytłumaczyłem, że musi mi powiedzieć co wie o bandytach, bo jak ich nie złapiemy, to będą rabowali innych biednych ludzi, a zaręczyłem jej, że nie powiem nikomu co mi powiedziała. Wtedy powiedziała mi, że zna bandytów, ale jej zagrozili, że jak ich wyda to ją zabiją i spalą jej zagrodę, a nie dowierza miejscowym milicjantom, bo nie wie czy jej nie wydadzą. Okazało się, że rabowali bogaci synowie gospodarscy z sąsiedniej wsi. Zabrałem żołnierzy i milicjantów i tą samą furmanką pojechaliśmy przez las do sąsiedniej wsi. Gospodarstwo bandytów było duże. Duży dom drewniany na wysokim fundamencie. W oknach świeciło się. Zostawiłem milicjantów na zewnątrz, a sam z dwoma żołnierzami, z bagnietami na karabinach, wszedłem bez pukania, bo drzwi były nie zamknięte. W oświetlonej izbie za stołem siedziało trzech młodych, rosyjskich chłopów i piła bimber. Zrabowane rzeczy leżały jeszcze nie rozpakowane pod ścianą. Wchodząc powiedziałem, że dom jest otoczony i każekem podriessę ręce do dóry i stanąć twarzami do ściany. Usłuchali mnie bez oporu widząc bagnety wymierzone w nich i słysząc o otoczeniu domu. Wiedzieli, że miałem kilku nastu żołnierzy i nie stawiali oporu. Zrewidowałem ich i przy najstarszym znalazłem pistolet. Kazałem im wiaść zrabowane rzeczy i wychodzić przed dom. Wzięliśmy ich na furmankę pomiędzy siebie i wróciliśmy do Rossosza. Już na posterunku dostali rękawiczkę żeby rozwiązać im języki i przyznali się do jeszcze kilku innych rabunków. Milicjanci spisali protokoły i zamknęli ich w swoim areszcie, a następnego dnia odstawili do powiatu. Krótka po tym złapaliśmy przypadkiem jeszcze dwóch bandziorów na gorącym uczynku podczas rabunku. Według wykazów, które widziałem u sołtysów, władza ludowa wyznaczyła wyższe kontyngenty niż naznaczali na te wsie niemieccy okupanci. Wszystkie one były zebrane w ramach tych kontyngentów w 75 % było od razu przekazywane sowieckim jednostkom, a dopiero pozostałe 25 % miało starczyć dla Wojska Polskiego i dla ludności miast na zabezpieczenie pokrycia kartek żywnościowych. Perfidią było to, że nas w polskich mundurach porywane do wymuszania zdawania całości kontyngentów, a sowieccy komendanci wojenni byli tymi, którzy bronili biedną ludność od naszej zechłanności i bezwzględności. Miałem taki "kwiatek" w samym Rossoszu. Jeden z bogatych gospodarzy, radny gminny, zalegał z dostawą żywności, choć miał bardzo niskie wymiary. Po sprawdzeniu, że ma z czego oddać kazałem żołnierzom zabrać mu sporą jałówkę. Gospodyni zrobiła nam piekielną awanturę i pobiegła do komendanta na skargę. Przed budynkiem gminy zebrał się spory tłum zwabiony wrzaskiem baby. Komendant wojenny sowiecki wyszedł na ganek gminy, i zaczął mnie upominać głośno wywodząc, że nie można krzywdzić ludności i odbierać jej resztek dobra. ~~ix~~ Po czym wezwał mnie do swego biura i zrobił "wyganor", że za mało wzięłem i wogóle nie myślę, że armia czerwona na froncie potrzebuje żywności. I tak ja byłem tym złym w oczach zebranych chłopów, a komendant wojenny ich obrońcą. Takie zachowanie się komendantów wojennych było w tym czasie prawie regułą.

Niechceni: 11 grudnia, gdy byłem we wsi Lokre u sołtysa, przyszedł żołnierz z

wiadomością, że Downar Józef, młody żołnierz, zastrzelił się idąc na kwatery. Pojechałem na miejsce wypadku i znalazłem go leżącego w wyrwaną przez wylat kuli wielką dziurą w tyle głowy, a z przodu nie było żadnego śladu wejścia kuli. Chłop, który szedł z Downarem był pijany i na pół przytomny ze strachu. Powiadomiony o wypadku wojenny komendant kazał niezwłocznie swoich ludzi aresztować tego chłopca, a ja posłałem starszego strzejcę Wasilewskiego do dowódcy kompanii z wiadomością, a koło trupa na miejscu wypadku postawiłem wartę. Następnego dnia pod wieczór przyjechał porucznik Wiśniewski, a następnego dnia rano komisja sądowo - lekarska dla zbadania wypadku. Komendant wojenny twierdził, że to nie był wypadek, a ktoś go zastrzelił, ale komisja stwierdziła samobójstwo. Prawdopodobnie Downar idąc z zarepetowanym karabinkiem stuknął kolbą o ziemię lub pnik i karabin sam wystrzelił. Rosyjskie karabiny miały takie luzy, że łatwo mogło się to stać. Po tym starszyzna na komendzie próbował i karabin Downara po stuknięciu kolbą w próg sam strzelał. Przykre było samo badanie, bo komendant twierdził, że przy tak bliskim strzale powinna być cała twarz naszpikowana nie spalonym prochem i okropiona i komisja dla stwierdzenia tego kazała strzelać z bliska w udo trupa. Ponieważ ja odmówiłem wykonania tego więc porucznik Wiśniewski sam strzelił dwukrotnie i nie było żadnych śladów co przechyliło opinię komisji.

Po zakończeniu pracy komisji przewieźliśmy nieboszczyka do Rossosza. Zamówiłem u stolarza trumnę i uzgodniłem z księdzem mszę żałobną i pogrzeb na 14 grudnia. Podczas złożenia ciała do trumny organista widząc, że nie można zamknąć trumny, bo była za niska najspokojniej powiedział, żeby zdjąć buty nieboszczykowi, bo mu już nie są potrzebne, a można je sprzedać za wódkę. Gdy to usłyszałem, zamachnąłem się karabinem, który miałem w ręku i żeby drań nie odskoczył w porę, byłby drugi trup. Prościej wzięła mnie wściekłość na tego drania, który obdzierałby żołnierza z własnego obuwia dla zdobycia wódki. Potem już organista unikał mnie i nie robił więcej takich uwag. Kazałem stolarzowi nadbić listwy i trumna dała się lekko zamknąć. W moim plutonie, był stryj Józka - Jan Downar. Pechodzili oni z zaścianka z pod Stołpc. Jan pod kulami uciekł z oblawy EKWD i lasami przedostał się z rodzinnego zaścianka do Białogostoku i tam wstąpił do wojska razem w synowcem i drugim bratem. Ksiądz ładnie odprawił mszę żałobną i odprowadził trumnę na cmentarz. Zebrałem na pogrzeb wszystkich żołnierzy i był porucznik Wiśniewski. Wspólnie z milicjantami oddaliśmy trzykrotną salwę honorową i Józek Downar z zaścianka Stołpeckiego spoczął na cmentarzu w Rossoszu. Gdy zginął miał zaledwie 19 lat.

U Trocewiczów poznałem ciętą siostrę ich córek Helkę Korszniównę. Odrazu spodobał się sobie wzajemnie i często przesiadywałem u niej, lub ona przychodziła do Trocewiczów. Zadzurzyłem się w niej na całego do tego stopnia, że byłem zazdrosny, gdy jakiś inny chłopak rozmawiał z nią i tańczył. Ja nie umiałem wtedy tańczyć, czego żałowałem, bo w czasie naszego pobytu w Rossoszu była sporo zabaw.

Rossosz była to miejscowość niegdyś miasteczko, ale po wynarodowieniu Żydów pozostała duża wieś. Był kościół, szkoła siedmioklasowa i duży młyn parowy.

Kierownikiem szkoły był człowiek już starszy, lecz duchem młody, działacz ludowy z prawdziwego zdarzenia. Między innymi prowadził z młodzieżą już pozaszkolną kółko teatralne grywające pod jego reżyserią ambitne przedstawienia na dobrym poziomie. Bywałem kilkakrotnie na próbach prowadzonych w szkole wieczorami i podziwiałem tego człowieka, który po całodziennej pracy w szkole, pracował dalej społecznie. Był bezpośredni i koleżeński, a zarazem miał duży autorytet wśród dorosłej młodzieży.

Także zabawy były prowadzone przez młodzież bardzo kulturalnie. Nie spotkałem tam, tak powszechnych gdzie indziej kłótni i bójek. Nie było też na zabawie pijanych, bo gdy znalazł się który podpity rozrabiaka to porządkowi spokojnie wyprowadzali go i odprowadzali do domu. Zabawa i przedstawienia odbywały się w dużej sali remizy strażackiej, z której na ten czas wyprowadzono sprzęt sprzęt strażacki na dwór.

Milicjantami, jak już wspominałem, byli żołnierze Batalionów Chłopskich. Gdy przychodziły nakazy aresztowań nie zgłaszających się do poboru, zakatwiali to bardzo dyplomatycznie. Na obławy brali ode mnie żołnierzy do pomocy i zwykle zostawiali przypadkowo złapanych chłopców pod strażą najgorszych ofermowatych rekrutów. Naturalnie zatrzymani wiali z pod takiej straży, a komendant milicji pisał meldunek, że złapali tyłu z tyłu deserterów, ale uciekli z pod straży żołnierzy. Był wilk syty i owca cała. Wszyscy "deserterzy" byli przeważnie dawnymi kolegami ich z partyzantki. Jak długo udawało się milicjantom z Rossessa wytrwać na posterunku tego nie wiem i nie wiem czy nie skończyła im się służba więzieniem, ale nikogo nie wysłali na "przeszkolenie" do sowietów. Topili za to bimbrownie na swoim terenie, ale ludzi nie posyłali do więzienia, tylko niszczyli im sprzęt bimbrowniczy.

Kiedyś za zgodą komendanta wojennego zrobili polowanie na dziki w lasach państwowych koło Rossessa. Na tym polowaniu był starszyna z komendy wojennej, kilku milicjantów i ja. Roganiaszem pozwolił komendant dać karabiny i po pięć nabeł. Myśmy naturalnie mieli ich więcej. Stado dzików zamiast na nas poszło na nagenkę i jednego chłopaka o małe nie rozdarła rozjuszona maciora, bo gdy ona już przeszła, strzelił do jej warchlaków i jednego zabił, a drugiego ranił i ten zaczął kwiczeć. Wtedy maciora zawróciła i rzuciła się na chłopca. Ten wpakował jej pozostałe trzy kule, lecz jej nie zabił i już go dosięgała, gdy starszyna ją dobił celnym strzałem w komorę. Na krzyk zaatakowanego wszyscy ze zeszli ze stanowisk i reszta stada dzików uciekła. Były zabite dwa warchlaki i ta maciora, a oprócz tego jeden z milicjantów ubił ładnego lisa. Ponieważ zbliżał się wieczór, a do najbliższej wsi było dość daleko, więc zakończyliśmy na tym polowanie i wspólnie ciągnąc maciorę i niosąc pozostałą zdobycz dotarliśmy do pierwszej zagrody. Tam odpeczeliśmy, a tymczasem gospodarz ściągnął skóry i powiartował dziki, które poszły do podziaku. Dostała mi się z tego szynka od maciory, którą oddałem moim gospodarzom.

Któregoś wieczora, gdy byłem na posterunku, przyszła dziewczyna z sąsiedniej wsi i doniosła, że u nich zatrzymało się dwóch deserterów sowieckich i boją się, że nocą mogą ich obrabować. Pojechałem tam z dwoma milicjantami nie powiadając wojennego komendanta. W chacie zastałem dwóch mężczyzn w wieku około

50-ciu lat w sowieckich mundurach, bez broni. Wylegitymowałem ich. Mieli książeczki czki wojskowe sowieckie z jakiejś jednostki, w których mieli wpisane: "nacja-
nalność - Białorus". Obaj mówili dobrze po polsku. Zapytałem ich dlaczego zdezer-
terowali skoro są Białorusinami. Odpowiedzieli mi, że są Polakami z powiatu
Stołpeckiego i na dowód wyciągnęli zaświadczenia napisane przez ich proboszcza
z pieczęcią parafii, że są katolikami i Polakami. Opowiedzieli, że u nich podczas
peboru masowo zabierali papiery stwierdzające narodowość polską i darli je w
rajwojenkencie na ich oczach, a wpisywali narodowość białoruską i wołali do
sowieckich jednostek o specjalnie ostrym regulaminie. Zamęczali ich celowo nu-
sztrą, źle żywili i używali do najgorszych prac, a ostatnio kierowali na najgor-
sze odcinki frontu na wytracenie. Dwóch ich krajan wcześniej zdezerterowało i
zgłosiło się do polskiej jednostki, ale trafili na sowieckiego dowódcę, który
ich od razu aresztował i odstawił do jednostki, gdzie ich na oczach batalionu
zaraz rozstrzelali. Dlatego nie zgłosili się po ucieczce do polskich wojskowych
a idą i chcą przadrzeć się na swoje tereny do domu. tłumaczyłem starym, że to
jest niewykonalne i złapią ich na granicy i rozstrzelają, ale powiedzieli mi,
że nie mają innego wyjścia. i mają już wszystkiego dosyć i jak mają ginąć to
lepiej na swoich terenach. Kiliścenci powiedzieli domownikom, że to są specjal-
nie wysłani przez władze sowieckie ludzie i żeby nie rozgłaszali o ich pobycie.
Zostawiliśmy starych i wróciliśmy do Rzesesza. Gdybym mógł zaraz porozumieć się
z porucznikiem Susinem to starałbym się o papiery polskie dla nich, ale porucz-
nika Wisniewskiego nie znałem i bałem się starych narazić na aresztowanie.
Ponieważ gmina zalegała w dużej mierze z dostawą zboża, a u wielu gospodarzy,
którzy zalegali stwierdziłem, że mieli zawyżone nakazy i zupełny brak zboża, po
uzgodnieniu z wójtem sprawdziłem ile mieli tych obciążeń seni radni, którzy
rozdzielali obciążenia na poszczególne wsie i gospodarstwa. Okazało się, że gdy
przeciętny gospodarz miał oddać 2 q zboża z ha to szanowni radni mieli akurat
tego ówczarę. Pofechałem więc z żołnierzami po gospodarstwach radnych i zrobiłem
dokładne rewizje. Znalazłem u nich wszystkich duże zapasy zboża, bo niektórzy
mieli zboża po kilka ton, gdy wówczas przeciętny gospodarz jak miał 5 - 6 q to
był już bogatym. Po powrocie do gminy zrobiłem nakazy dla radnych według prze-
ciętnych stawek. Byli na mnie strasznie oburzeni, ale miałem do tego prawo i
gdybym chciał, mogłem ich wszystkich aresztować i odstawić do więzienia. Inni
dowódcy plutonów w terenie nieraz całe partie aresztowanych pod strażą żołnie-
rzy odstawiali do więzienia w Białej Podlaskiej. Ja tam nikogo nie wsadziłem
do więzienia za kontyngenty, ale czasem nie jednego pęstraszyłem.
Było ~~ni~~daleko Rzesesza na kolonii żadne gospodarstwo, lecz ostatnio bardzo za-
niechane. Zalegało z odstawami, a gospodarzyło w nim właściwie tylko młoda, jesze-
cze nie pełnoletnia dziewczyna. Rodziców zabili Niemiecy żandarmi, a starszy
brat był w partyzantce. Kiedyś wieczorem przechodziłem tamtędy z Biskowem i
niespodziewanie tam zastałem. Zastałem w domu młodego gospodarza. Ukrywał się
bo nie chciał iść do wojska i chyba był dalej w konspiracji. Gdy mnie zobaczył
zobłądł, bo myślał, że przyszedłem go aresztować. Uspokoiłem go i siedłem przy
stole koło niego i rozmawiałem dłuższy czas. wytłumaczyłem mu, że przez zalegać
nie z odstawą tylko zwraca na siebie uwagę, a nocując w domu bez uregulowania

swój stosunek do wojska, naraża się na aresztowanie i zsyłkę do szlabu. Byli odchodzić obiecał mi, że będzie ostrożny i zgłosi się do Wiktora gdzie go mogli odroczyć z powodu tego, że był jedynym gospodarzem w dużym gospodarstwie. Gdy któregoś dnia nocowałem u sołtysa i rano chciałem się umyć, w chacie było pełna interesantów, wziąłem miskę z ciepłą wodą i bez koszuli poszedłem do podwórko i na śniegu umyłem się dokładnie do pasa. Chłopi zebrani w chacie zaczęli nosami nie wypchnęli szyb w oknie, gapiąc się jak na dziwo, że ja nie zmarłem, a było wtedy tylko kilka stopni mrozu i trochę wiatru ze śniegiem, no a poprzedniej zimy mylił się śniegiem, a nie ciepłą wodą, w Sieleckim obszarze na przykład nie raz przekraczającym dwadzieścia kilka stopni a też nie zmarliśmy. Niedługo po przyjeździe do Rossosza rozwalily mi się trzewiki i musiałem je oddać do szewca do naprawy. Mój gospodarz sam zaproponował mi pożyczanie mi swoich butów, które kupił od sowieta. Chodziłem w nich dłuższy czas, a w końcu poręcznik Wiśniewski zapłacił mu za te buty śrutą zbożową, którą kazał mu wydać z młyna. Powiedział mi wtedy, że więcej nie będzie mi kupował butów, bo powinienem sam walec to załatwić. Ja natomiast nie umiałem zarządzić od młynarza żeby dał mi zboża czy śrutę jak mi się to nie należało, a tylko wymuszając to zastraszaniem. Fakt, że mieliśmy wtedy uprawnienia takie, że jeden z naszych sierżantów aresztował starostę w jego biurze w starostwie i nie mu za to nie było a starosta jeszcze musiał się tłumaczyć, ale ja nie umiałem wymuszać czegoś dla własnej korzyści. Później dowiedziałem się, że szef naszej kompanii cały czas pobierał żywność na cały stan kompanii i sprzedawał ją we własnym sklepie w Białej Podlaskiej, a my ze swymi żołnierzami żywiliśmy się tym co nam dali w chłopi na kwaterze. Naturalnie szef dzielił się zyskiem z dowódcą kompanii i obaj dobrze się mieli.

W przeddzień Wigilii urządzili dla żołnierzy przyjęcie wigilijne. Było dużo osób cywilnych i dali żołnierzom paczuszki z upominkami. Było to bardzo przyjemne. Na samej wieczery Wigilijnej byłem u rodziców Helki. Starym zwyczajem shop żyta stał w kącie, pod obrusem leżało siano, podzieliliśmy się opłatkami i była skromna, postrna wieczerza.

Zaraz po Świątach byłem z milicjantami na weselu ich kolegi. Akurat wypłacili mi żołd i to nowymi dwuzłotówkami papierowymi. Otrzymywałem wówczas 375 zł i było tego cała kupa. Rozdzieliliśmy te dwuzłotówki pomiędzy siebie i na bezpiętny, gdy starsza drużyna z drużbą zbierali do czepek, trzymaliśmy ich najdłużej, bo kładliśmy kolejno te dwuzłotówki, a oni musieli kilkakrotnie opróżnić czepek. Była z tego dobra zabawa. Wesela to było całe według starych obyczajów i bardzo mi się podobało.

W początku stycznia była odprawa podoficerów kompanii w dowództwie w Białej Podlaskiej. Na tej odprawie poznałem wszystkich podoficerów kompanii. Plutonami dowodzili: sierżant Zaleski z AK, plutonowy Eran z AK, obaj z terenu Podlasia, sierżant Sikora, mój kolega z 8-go pułku i ja. Podoficerowie, oprócz nas dwóch, byli wszyscy z AK i to przeważnie z Łowczowskiego i Wileńskiego.

Na tej odprawie poręcznik Wiśniewski podzielił inaczej drużynowych i zmienił stany żołnierzy w plutonach. Zmienił też nam rejony działalności. Lnie poszedł na gminy Kadeń i Perespał. Zabrał mi kaprala wodniczkę, który choć już starszy, ale

był zupełnie bez inicjatywy i najczęściej będąc sam z drużyną, na woi słuchał rozkazów co energiczniejszego sołtysa. Pozostał mi Grydź i dostawca kaprała Michalkiewicza, też z brygady AK Tura. Poza tym dodali mi kilku żołnierzy. Podczas naszej odprawy kierownik powiatowego zarządu dróg prosił o pomoc, bo sowieccy "trofiejscy", czyli bataliony zbierające zdobycz wojenną i zasoby podarowujący ją, zabierali wały drogowe i po ich rozsądzeniu trotylen zabierali jako złam wojenny penieniecki. Opierali się przy tym na tabliczki firmowych, które jakoby wskazywały na to, że wały były własnością niemiecką, bo były wykonane przez firmę niemiecką. Nie nie pomagało tłumaczenie, że te wały były zakupione jeszcze przed wojną. Dwa wały już rozbili i mieli tabrety. Porucznik Siśniewski obiecał pomoc, ale nie wiem czy co wskórał, bo nie umiał po rosyjsku, a sowieci takich co nie umieli po rosyjsku wogóle nie szanowali. Po powrocie do Rossosza połączyłem się ze znajomymi i z moimi gospodarzami, którzy byli dla mnie jak rodzina i opiekowali się tak, że gospodyni pilnowała, żebym miał czystą bieliznę i prała mi ją, a karmiła nie zależnie od pory w której wracałem do ich domu.

Przystanył ZIS-em i jechaliśmy do Terespolu. Dojechaliśmy tam pod wieczór i z gminy dali nam nocleg w sąsiedniej wsi w Michalkowie. Na drugi dzień w gminie dali mi dokładne wykazy zaległości poszczególnych wsi i podstawili nam furmanki do przejazdu na wieś. Jechaliśmy kolejno od wsi do wsi. Berezówka była spalona zupełnie, bo z całej dużej wsi stała tylko jedna chata i kilka obóz. Ludzie mieszkali w piwnicach i ziemlankach. Wieś zalegała kilkaset kwintali zboża, a nie miała go zupełnie, bo na jej terenie bili się okrajani SS-mani, którzy za późno wycofali się z Brześcia i na polach Berezówki zostali okrajani przez sowietów. Mówiono mi, że zamiast się bić, systematycznie podpalali zabudowania wiejskie. Większość z tych SS-manów miała pistolety załadowane wyłącznie amunicją służącą do podpalania, która nie posiadała kuli, a była wypełniona materiałem podobnym do tego, który był w rakietach. Po strzale z lufy parabelki szedł przez kilkanaście sekund ogień drugi na ponad dwadzieścia centymetrów, który po przyłożeniu lufy do strzechy, lekko ją zapalał. Były podobno takie obrazy, że Niemiec podpalał, a już sowiet kłuł go bagnetem, lub strzelał z bliska. Na polach wsi był też zniszczony tabor niemiecki i wybite ponad dwieście koni. Zboże było już na polu zupełnie zniszczone, a sżtygi i stodoły wszystkie spalone. Właściwie powinno się tej wsi dać natychmiast pomoc, a nie naznaczać jej odstawy zboża. Obok Berezówki trochę mniej zniszczona była Malowa Góra, którą uratowało to, że była mocno rozrzucona. Sołtys tej wsi podarował mi skórzany pas wojskowy, a proboszcz, który w tym czasie chodził po kołendzie, obiecał z plebanii gdzie zboże uratowało się, zdać za wieś kilkanaście kwintali zboża, które właśnie młócił. U sołtysa w Malowej Górze podczas naszego pobytu przyjechał jego krowniak, gajowy z terenu gminy Terespol z lasów państwowych i skarżył się, że nie może dać rady kradzieżom i wyrębowi lasów. Chłopi wycinali co im się podobało i twierdzili, że teraz jest wszystko "nasze", a najwięcej szkody w lasach jego oddziału robili sowieccy żołnierze, którzy przyjeżdżali samochodami z za Buga i ciągli najpiękniejsze drzewostany prosto w pień i wywozili drewno za granicę, a jak chciał temu zapobiec, grozili automatami.

Wojenny komendant w Terespolu powiedział mi, że widocznie wojsku jest potrzebne drewno i mogą brać ile im jest potrzeba. Gajowy prosił mnie żeby powiedzieć dział w powiecie jak sprawy stoją, żeby potem jego nie ciągnęli za to po sądach i więzieniach. Meldowałem o tym dowódcy kompanii, ale nie było żadnej na to reakcji władz powiatowych. Poprostu bali się wszczynać jakiejkolwiek sprawy z powiatami, żeby nie być policzonymi w szeregi "wrogów ludu", których internowano na wschodzie. Każdy komendant wojenny mógł wysłać według swego uznania każdego mieszkańca Polski do obozu na wschód.

Z Malowej Góry pojechaliśmy następnego dnia do Lechut Małych. Tam gdy tylko przyjechaliśmy do sołtysa, przywitani nas bardzo serdecznie i od razu zaprosili na obiad z poczęstunkiem. Na dworze był tego dnia siarozysty próż, a w izbie gorąco i stół sute zastawiony. Wszyscy byliśmy już głodni i siedliśmy do stołu. Przy mnie posadzili siostrę sołtysa, dorosłą już młodą i ładną dziewczyną, która mi ciągle dolewkała do kieliszka. Gorąco w izbie i bimber na głodny żołądek podziały na moją słabą głowę tak, że wkrótce byłem zupełnie pijany. Była harmonia i nawet dziewczyna chciała mnie uczyć tańca, ale ledwie stałem na nogach, więc zaprowadzili mnie na kwaterę na nocleg. Położyli mnie w alkierzu w łóżku z czystością pościelą i zaraz zasnąłem. Tylko przed odejściem upominałem kaprala Grydzia żeby przeszedł wieś i zebrał kontyngent. Rano, gdy otrzeźwiałem okazało się, że moi żołnierze też wszyscy byli poprzedniego dnia zupełnie pijani i nic nie zrobili, a sołtys powiedział, że dla spokoju zdali kilka kwintali zboża na nasze konto. Potem słyszałem, że ten sołtys całą wojnę tak samo ułatwiał wszystkie sprawy i wieś zawsze wychodziła na swoje. Był on dalej sołtysiem, choć władze zalecały zmieniać i wybierać innych, a nie tych którzy byli sołtysami podczas okupacji niemieckiej. Jego wieś wybrała ponownie i byli z niego zadowoleni.

We wsi pod samym Terespolem spotkałem gospodarstwo 7-ic hektarowe, w którym gospodarzyły same dzieci. Ich rodziców zabił wybuch w magazynie wojskowym w twierdzy brzeskiej, gdy po ustąpieniu wojska polskiego w 1939 roku ludność poszła na rabunek. Wtedy najstarszy chłopiec miał 13-cie lat, a siostra 12-cie, a wszystkich ich było 7-ioro. Przez całą wojnę chłopiec gospodarzył, a dziewczynka zastępowała rodzicielstwo matki i gospodarzyła w chacie. W początku stycznia 1945 roku gdy tam byłem dziewczynka wyglądała na trzynastoletnią choć miała już już wtedy 17-cie lat. I tym dzieciom raznaczyli kontyngenty wyższe niż innym gospodarzom. Naturalnie nic od nich nie wzięliśmy, choć w komorze mieli trochę zboża. W tej wsi starszy już gospodarz, rodny guiny, zalegał sto kilogramów zboża i zapowiedział mi, że tego nie odda, bo nie ma zupełnie zboża. Powiedziałem mu, że niech odda dobrowolnie, bo jak co znajdę to wszystko zabiorę. Ten się uparł i przy świadkach powiedział, że nic nie ma i nic nie odda. Zrobiłem dokładną rewizję i na strychu obory pod sianem znalazłem kilka dużych beczek pełnych zboża, a w stodole w zasieku drugie tyle przykryte snopami słony. Ponieważ chłop powiedział, że nic nie ma, więc mu wszystko co znalazłem zabrałem na konto dostaw wsi. Kłął mnie niesamowicie, ale nic nie mógł poradzić i tak jego chytrość i skąpstwo poszły mu na złe. Z guiny Terespol przejechaliśmy do Kadnie. Na odprawie w Białej Podlaskiej mówiono nam między innymi, że mamy zwracać

uwagę żeby ludność ukraińska wyjeżdżająca do sowietów nie niszczyła celowo swoich budynków, które mają przypaść repatriantom. Gdy jechaliśmy do Iwdria w jednej z wsi spotkaliśmy taki wypadek. Chłop wyrwał okna i drzwi i wiszczył w poszycie dachowe na domu. Gdy mu tego zabroniłem zjawił się oficer LWD i zaczął mnie straszyć, że mnie aresztuje za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Doszedłem do tego, że wyciągnął na mnie pistolet, na co ja zarepetowałem i nastawiłem na niego karabin. Złożyłem na mnie skargę do komendanta wojennego w Iwdriu i zaraz po przyjeździe miałem z nim "pieregawor". Ponieważ mówiłem po rosyjsku z rybsybirskim akcentem i sowieci uważali mnie za Sybiraka a nie Polaka, więc jakoś zdołałem wytłumaczyć komendantowi, że nie jestem "wrogiem ludu", a tylko wypełniam rozkazy mojej władzy.

Kiedyś Koden był siedzibą magnackiej rodziny i tętnił życiem, ale w czasie gdy przyjechaliśmy do niego był sennym, małym osiedlen. Dostałem kwatery u sołtysa. Było czyste, ale biednie i nudno. Zaraz pierwszego wieczoru powieściłem sołtysowi żeby mnie zaprowadził gdzieś, gdzie się ich młodzież zbiera, bo mi się nie chciało ^{spać} nie była co wieczorem robić. Zaprowadził mnie do domu wdowy Szuytkowej, która miała dwie córki i u niej zbierało się co wieczór kilkanaście młodych dziewcząt i chłopców. Było tam stałe wesoło, bo bawili się w różne gry i zabawy, najczęściej w zepsuty telefon i fanty, a poza tym dużo śpiewali i żartowali. Było wesoło i kilka wieczorów spędziłem tam z młodymi moimi żołnierzami. Starsza córka gospodyni Marysia dała mi swoją fotografię i potem pisała przez jakiś czas do mnie listy, ale więcej jej nie widziałem.

W sąsiedniej wsi mieliśmy śmieszne zdarzenie. Siedziałem w chacie gdzie była dziewczynka 15-letnia bardzo wesoła i śmiała. Żartowaliśmy, że jak matka nie ma zboża, to ją za to zboże wzięliśmy ze sobą. Chłopcy ubrali ją w mój płaszcz, przepasali pasem i złożyli jej polówkę. W pewnej chwili wszedł do izby starszy już chłop porytowany tym, że żołnierze kazali mu oddać ileś tam kwintali zboża i ponieważ ja na mundurze nie miałem naszywek, a dziewczyna stała w moim płaszczu z naszywkami starszego sierżanta, więc podszedł do niej i zaczął ją prosić żeby mu darowała i nie zbierała ostatniego zboża. Zachodziłem mu drogę i tłumaczyłem, że musi coś dać, ale on mnie zupełnie nie słuchał, tylko złapał dziewczynkę za rękę i całując ją zaklinał, żeby mu darowała. Ona stała mocno zaniepokojona bo to był jej chrzesny ojciec i najbliższy sąsiad, a on patrząc tylko na mundur nie poznawał jej zupełnie. Po jego wyjściu śmiechu było co nie miara. Gdy odjeżdżaliśmy z tamąd i już byłem w swoim płaszczu, jeszcze raz przyszedł ten gospodarz i zobaczywszy mnie stanął zgłupiały, bo i dziewczynka była przy tym. Po kilku dniach zatrzymaliśmy się we wsi Lebiedziewo. Było tam kilka dużych, kilkudziesięciu hektarowych gospodarstw. Właścicielem jednego był stary szlagon, współgospodarujący z synem na 70-ku hektarach. Nie zabrali im tego gospodarstwa na reformę, bo mieli notarialnie rozdzielone. Sprawdziłem, że miał zboże i to sporo więcej od zaległości w dostawie. Powiedziałem mu ugodowo, że ma oddać dobrowolnie połowę posiadanego zboża, wtedy on wściekł się poprostu i zaczął krzyknąć, że co to za władza, która przysyła górniarzy nie znających się na gospodarce itp. Ponieważ to mnie nazwał górniarzem, kazałem Diakousowi założyć bagnet na karabin i aresztowałem staroż. Zamknąłem go w jego własnej piwnicy i przed drzwiami

postawiłem wartownika. Stary zląkł się, bo słyszał o naszych uprawnieniach. Żona jego i syn zaczęli prosić mnie o darowanie, a ja się uparłem i powiedziałem, że jak miał ubliżać podoficerowi na służbie to niech posiedzi i zastanowi się nad swoim postępowaniem. Szlagen przesiedział noc i prawie że płakał, a rodzina zaczęła przekupywać moich żołnierzy, bo do mnie bali się przychodzić. Dostali kiełbasę, dużą ośkę masła i kilka litrów bimbru. Tymczasem kazałem ładować zboże na wóz i wieźć do Terespolu do magazynów. Syn bez sporu wywiózł tyle ile kazałem. Cały czas staliśmy u nich na kwaterze. Poszedłem do innych gospodarstw i też grzecznie odstawiali. Przed wyjazdem kazałem przyprowadzić starego, który mnie przeproszał i mało nie całował po rękach. Powiedziałem mu żeby na drugi raz najpierw zastanowił się co mówi, a potem dopiero odzywał się do żołnierza, a ja nie z przyjemności jeżdżę po wsiach, a mam taki rozkaz i mimo młodego wieku szarą dostaję na froncie, a nie dla pięknych oczu. Już odjeżdżając kazałem go zwolnić. Myślę, że więcej nie porobiła go krew i był grzeczniejszy. W gminie bardzo się dziwili, że z tej wsi tak ładnie poszły dostawy.

Po kilku dniach ścignęli mnie z plutonem do Białej Podlaskiej i skierowane na gminy Łomazy, Rossosz, Dubów i Sidorki. Do Rossosza wysłałem Grydzia, Lichalkiewicza do Siderek, a sam zostałem w Łomazach, ale że przede mną stał tam przez dłuższy czas sierżant Zaleski ze swym plutonem i wycisnął co się dało, więc nie miałem tam co robić. Pojechałem więc do Rossosza. Był wroczny dzień gdy stanąłem przed posterunkiem milicji. Akurat trafiłem na małą libację. Był na posterunku sołtys Rossosza i kilku milicjantów i mieli litr bimbru. Zaraz mnie poczęstowali i naleli "karniaka" - pełną szklankę bimbru. Po tym jeszcze były dwie kolejki i byłem zupełnie pijany, bo byłem naczczo i zwanzięty, a na posterunku był upał od rozpalonego pieca. Sołtys zobowiązał się odprowadzić mnie na kwatery do Trocewiczów, a sam był bardziej pijany ode mnie. Nasze przejście z posterunku do domu Trocewiczów było problematyczne, bo wciąż któryś z nas leżał w śniegu, a drugi go podnosił. Jak doszliśmy nie wiem. Na drugi dzień gospodyni mówiła, że trochę rozrabiałem, a Lodia mówiła, że wyróciłem stryja jej, iwalidę z wojny 1939 roku ściskając go i chciałem bić sołtysa za to, że był przedstawicielem czerwonej władzy. Przy okazji wyróciłem dzbanek ze śmietaną. W końcu położyli mnie spać i usnąłem natychmiast. Rano przeproszałem gospodarzy za rozróbę. Gospodyni mi tylko powiedziała, że to dobrze było, że nikt nie powołany nie słyszał co mówiłem, bo pewno miałbym z tego powodu nie małe kłopoty.

W Rossoszu byliśmy zaledwie kilka dni. Krótce po tym ścignęli nas do Białej, gdzie zebrała się cała kompania. W tym czasie nie było już w Rossoszu wojennego komendanta, a teren ten obejmował swym władaniem komendant z Łomaz. Gdy zaszedłem do niego żeby się odmeldować zaczął mnie wypytywać o ludzi w terenie Rossosza i urzędników gminy. Czułem, że chciał wyciągnąć ze mnie jakieś dane obciążające tych ludzi. Powiedziałem, że współpraca z pracownikami gminy, a zwłaszcza z wójtem, układała się jak najlepiej i widziałem że ci ludzie by-

byli szczerze oddani władzy ludowej. Rozmawiał ze mną jak ze swoim, bo jak już wspominałem, wszyscy sowieci brali mnie za Sybiraka. Podziękował mnie za wyniki naszej działalności i pojechałem do Białej. Tenże komendant kilka dni wcześniej aresztował naszego sierżanta Sikorę za "niewłaściwe zachowanie się względem sowieckiej komendantury". Sikora ostro starł się ze starszyną z komendantury gdy ten publicznie mu ubliżył. Sikora słabo mówił po rosyjsku, bo był ze Śląska Zaolziańskiego i był w obozie jenieckim skąd przyszedł do WP, więc sowieci odnosili się do niego jak do obcego. Zawieźli Sikorę do Lublina do głównego zarządu Informacji, czyli polskiej odmiary wojennego NKWD obsadzonej całą kowitką przez rudyh ruczennych NKWD-istów, i ledwie go stamtąd wyrwał, poprzez główny zarząd pol-wych, porucznik Susin.

Po zebraniu się wszystkich plutonów kompanii w Białej Podlaskiej pojechaliśmy ZIS-ami do Lubartowa, gdzie zbierał się cały pułk.

W Lubartowie dołączyła do nas kolumna samochodowa, same ZIS-y z kierowcami - młodymi Polakami krótko przeszkolenymi i zupełnie jeszcze nie umiejącymi jeździć. Do tego stopnia słabo jeździli, że prawie połowa z nich nie wjechała w bramę szerokości 4-ach metrów i uderzyła w prawy lub lewy słup bramowy, a przy tym częściowo uszkadzając wozy. Mieliśmy z nimi jechać za frontem na zachód. Tymczasem posłali nas jeszcze całą kompanią z podporucznikiem Hoppe w teren, dla ściągnięcia jeszcze zboża. Szliśmy z Lubartowa piechotą. Niektórzy żołnierze mieli zupełnie podarte buty, bo z reguły kto podczas poboru miał jeszcze możliwe własne buty, temu nie dawali przy mundurowaniu wojskowych i nie dawali własne. Umundurowanie naszych żołnierzy było też problematyczne. Spośród nich mieli w większości cywilne, a dostali tylko ruskie gimnastierki, waciaki, parciane pasy i polówki z orzełkami. Uzbrojeni byli tylko w karabinki. Dla rozgrzewki śpiewaliśmy całą drogę.

Zatrzymaliśmy się całą kompanią w Krasieninie. Poznałem tą wieś - przez nią szliśmy latem w ofenzywie. Ławet gałąź na wiśni, którą złamał przy mnie piechur wisiała jeszcze tak jak była złamana latem. Ludność miejscowa stroniła od nas uważając nas za bolszewików w polskich mundurach. Był to teren, w którym było silne AK, która tam ostro zwalczała władza ludowa, a wielu chłopców było już na "przeszkoleniu" w łagrach na wschodzie. Ponieważ milicja i Resort czyli późniejsza UB chodzili w takich samych wojskowych mundurach, więc nie dziwne że każdy noszący ten mundur był źle widziany. W niedzielę całą kompanią poszliśmy do miejscowego kościoła. Chór śpiewał na mszy modlitwę partyzancką z refrenem "Do wolnej Polski daj doczekać Panie".

W Krasieninie geniec w odpowiedzi na mój meldunek do sztabu pułku o braku umundurowania, przyniósł mi rozkaz o rekwirowania u ludności cywilnej rzeczy pochodzenia wojskowego i plik opieczętowanych pieczęcią pułkową blankietów na pokwitowania rekwizycji. Przeczytałem rozkaz moim podoficerom i powiedziałem im, że sam nie będę tego robił, ale jak który z nich chce to może wziąć pokwitowania i wykopać ten rozkaz. Kilku bardziej obdartych zdecydowało się na to. Z Krasienina posłał mnie ppor. Hoppe do innych wsi. Jechaliśmy przez wieś

i mieliśmy naczynia w listach kogo mamy przyduszać o dostawy. We wsi Białaczka spotkaliśmy pięciu chłopców w spodniach i butach wojskowych. Widać byli je od swietów. Perławaż moich kilku żołnierzy miało już zupełnie podarte buty i jechało na wozie, zatrzymałem tych chłopców i zaprowadziłem do najbliższej chaty. Siedziało tam kilku starszych gospodarzy. Jednemu z nich dałem pismo z pułku do przeczytania. Gdy głośno odczytał rozkaz o rekwizycji powiedziałem, żeby zobaczyli jakie buty i spodnie mają moi żołnierze i powiedzieli mi co mam z tym robić. Gospodarze pokiwali głowami i powiedzieli, żeby chłopcy oddali swoje buty i spodnie moim żołnierzom. Szybko zamienili się i pojechaliśmy dalej. Po latach jeden z tych chłopców był oddziałowym we Wronkach i poznał mnie i mimo to był dla mnie wyjątkowo grzeczny.

Zatrzymaliśmy się we wsi wskazanej nam na rekwizycję zboża. Tam przyszedł do mnie goniec z rozkazem zarekwizowania dwóch tuczników i powrotu do Lubartowa. Rekwizycja ta była kompletnym bezprawiem, ale miało to być na pokrycie wyżywienia naszej kompanii w czasie drogi na zachód. Moi podoficerowie załatwili to w ten sposób, że aresztowanego za stawianie oporu i obrazę podoficera przy odstawie zboża wypuścili za to, że dał dwa wieprze.

Gdy wróciliśmy do Lubartowa furmankami, dowódca kompanii posłał mnie jeszcze ZIS-em do Rossesza do miłyna wodnego, gdzie wcześniej porucznik zamówił kilka kwintali kaszy jęczmiennej. Miałem ją odebrać i przywieźć do kompanii. Wtedy ostatni raz widziałem Rossesza i tamtejszych znajomych. Kaszę po powrocie zdałem szefowi kompanii. Później okazało się, że poszła do sklepu szefa w Białej.

Z Lubartowa przejechaliśmy do Kurowa. W drodze tej jechałem z moimi żołnierzami na skrzyni ZIS-a, bo w kabince jechał ppor. Hoppe. Po drodze zepsuł się nasz samochód i kierowca nie wiedząc go naprawić. Dłuższy czas czekaliśmy na drodze. Zaszliśmy do przydrożnej chaty i oglądałem w niej stały warsztat tkacki. Mieszkał w niej zawodowy tkacz, który utrzymywał liczną rodzinę tkaniem zarobkowym lnianych materiałów i samodziałów wełnianych. Cała duża izba zajęta była warsztatem tkackim i innymi przybawami, a rodzina gnieździła się w niewielkiej kuchni.

Nie deczekawszy się na naprawę samochodu zaczęliśmy go pchać po szosie i tak przeszliśmy dobre kilka kilometrów nim przyjechał po nas drugi samochód. Na nasze szczęście dowódca kolumny znał swoich "orków" i gdy długo którego nie było, to posyłał po niego inny wóz.

W Kurowie staliśmy kilka dni. Koledzy znaleźli tam prywatną knajpkę, w której właściciele mieli trzy sympatyczne młode córki. Zaprosili nas do siebie na pączki i wódkę. My przynieśliśmy kiełbasę, którą już zrobili z naszych zarekwizowanych tuczników i zabawa była bardzo miła. Był z nami ppor. Hoppe. Na drugi dzień porucznik Wiśniewski miał do nas pretensję, że wzięliśmy tą kiełbasę, co nas wszystkich oburzyło, bo przecież to były nasze tuczniaki. Zresztą więcej kiełbasy, ani mięsa z tych tuczników nikt z nas nie widział, bo poszły do sklepu szefa. ~~szef~~

Wczesnym rankiem cały pułk załadowany na ZIS-y ruszył w kierunku Warszawy. Na każdym samochodzie siedzieli żołnierze jednego plutonu, a dowódca plutonu siedział w kabinie koło kierowcy. Samochody były bez plandek, a mroz trzymał je tak, że żołnierze w swych waciakach narzli niesamowicie. Ja w Kurowie na nasz samochód wzięłam zapasową beczkę benzyny i okazało się, że na tym wygrałam. Kolumna zatrzymała się w Garwolinie. Tam pozwolono sierżantowi Baranowi z naszej kompanii pojechać na przód i zboczyć z trasy do swojej rodziny, miał tam żonę i dwoje małych dzieci. Ja widząc, że tamten samochód ruszył kaząłem swemu kierowcy też ruszyć i pojechaliśmy na przód, a kolumna została jeszcze w Garwolinie, a potem nocowała w połowie drogi z Garwolina do Warszawy w jakiejś wsi. Nas zaraz za Garwolinem zatrzymały dwie kobiety, które prosiły żeby je zabrać do Pragi. Obiecały przy tym, że znajdą nam dobre kwatery na nocleg, na Pradze. Starsza siadła na skrzynię do żołnierzy, a młodszą dziewczynę kierowca wziął pomiędzy nas do kabinki. Gdy przerzucał biegi miał okazję złapać ją za kolano, czego mu nie zabraniała. Wogóle okazała się mocno "obłaskawiona" jak ją określił potem sam kierowca. Dojechaliśmy na Grochów już wieczorem. Do nas dołączył drugi samochód z naszej kompanii. Dziewczyna z kabinki z córką starszej naszej pasażerki, 16-letnią dziewczyną, rozprowadziły nocka żołnierzy po kwaterach tak, że wszyscy dostali kolację i dobre spanie, a rano śniadanie. Mnie, kierowcę, Grydzia i Michalkiewiczza wzięła na kwatery starsza pasażerka. W jednym pokoju w jej mieszkaniu kwatrował sowiecki oficer, a nam pościeliła na podłodze w kuchni. Po dobrej kolacji, gdy już pokładliśmy się spać obie nasze pasażerki przyszły także do nas. Dziewczyna spała z kierowcą, starsza z Michalkiewiczem, a swojej córce, tej szesnastoletniej, kazała iść do mnie. Co się wyprawiało nocą nie wiem, bo zaraz zasnąłem i spaliśmy z tą dziewczyną przytuleni jak małe dzieci. Rano moi podoficerowie prześmiewali się ze mnie i tej dziewczyny, że jeszcze nie wiemy co robić w nocy, ale ja przyhajpaniej dobrze się wyspałem, bo byłem mocno zmęczony, a ona chyba też niczego nie żałowała. Po śniadaniu okazało się, że nasz samochód nie może zapalić, bo wieczorem przed kamienicą kierowca wjechał w zasypany śniegiem lej po podkładku i przez czas puki nie wyciągnęliśmy samochodu, wyciekł cały kwas z akumulatora. Na nasze szczęście zatrzymaliśmy dwa samochody z naszej kompanii i wzięliśmy nasze na hol. Jechaliśmy dalej prawie całą kompanią razem, a kolumna pułkowa rozbiła się i pogubiła zupełnie. W Sechaczewie złożyliśmy się wszyscy podoficerowie, ile kto miał pieniędzy i kupiliśmy chleba dla wszystkich, bo nasz szef kompanii "zgubił się" ze swym samochodem załadowanym prowiantem, tak sprawnie, że nie wiadomo było gdzie się podział. Miał on rodzinę w Białej Podlaskiej i własny sklep spożywczy i okazało się później, że cały w czasie pobierania żywności na całą kompanię i korzystając z tego, że żyliśmy z nią sami w terenie, sprzedawał nasz prowiant w swoim sklepie. I wówczas gdyśmy szykowali się do odjazdu w Kurowie, za wiedzą porucznika Wiśniewskiego, z którym dzielił się zarobkiem, pojechał do Białej i zawiózł do domu większość

wędliny zrobionej z naszych wieprzy i całą resztę prowiantu, łącznie z kaszą, którą przywiezłem z Rososza.

Wszyscy zjedliśmy zaraz w Sochaczewie po kawałku chleba i to miało nam starczyć do wieczera. Znalazłem też szklarza, który wstawił nam przednią szybę w kabince naszego ZIS-a, bo kierowca wybił ją na Prądze, gdy wjechał do tego nieszczęsnego leja. Jechaliśmy od Pragi bez szyby i marziliśmy gorzej niż na skrzyni. Mieliśmy z kierowcą tylko letnie, drelichowe mundury i płaszcze, a pod powietrza podczas jazdy wirował w kabince i wiało ze wszystkich stron tak, że nie było można się zakryć. Po tym ruszyliśmy dalej i zatrzymaliśmy się na nocleg na dawnej granicy GG, w zabudowaniach rozparcelowanego folwarku. Z Sochaczewa zabrały się z nami dwie młode siostry PCK, które chciały dojechać do Gostynina. Rozmieściliśmy żołnierzy po mieszkaniach robotniczych w czworakach, a ja z sierżantem Zaleskim spaliśmy w mieszkaniu rzadcy majątku razem z siostrami PCK, ~~z tym że~~ one spały obie na tapczanie, a my dwaj mimo żalu Zaleskiego na posłaniu na podłodze. Co prawda Zaleski koniecznie chciał przygadać sobie jedną z dziewczyn, ale one okazały się twarde w zasadach i z niego z tego nie wyszło, a że ja spałem w tym samym pokoju, więc Zaleski mimo szczerych chęci nie mógł następnego dnia spowiadać o swoich sukcesach, których nie było. Rano nasi żołnierze odkryli, że w komórce u jednego z robotników był zamknięty wilczur. Nasz sierżant S... był przed wojną treserem psów w policyjnej szkole tych chweronogów i od razu zainteresował się tym psem. Kazał gospodarzowi otworzyć komórkę i gdy pies ukazał się w drzwiach wydał mu po niemiecku rozkaz "siad" i pies zaraz go usłuchał. Sierżant wziął go na smycz i poszedł z psem jak ze starym znajomym. Pies nie okazał mu najmniejszego oporu. Był to wielki, masywnej budowy, czarny podpalany wilczur. Lieli go Niemiecy żandarmi pograniczni z pobliskiego posterunku. Podczas ofensywy Niemiec - przewodnik psa, został zasieczony na obchodzie granicy przez patrol sowiecki i zabity na miejscu, niedaleko tego folwarku. Pies nie dał ruszyć trupa i rzucił się na sowieta gdy on chciał zrewidować trupa i wtedy sowiet postrzelił psa w łapę. Leżał przy trupie kilka dni i nie dał go uprzątnąć. Niemiec zwykle po drodze wzdłuż granicy GG, zachodził do gospodarza i kazał dawać psu mleka. Po kilku dniach, gdy pies był już bardzo głodny, tenże gospodarz zwabił go do jedzenia, które postawił w drzwiach komórki i gdy pies zaczął jeść, zamknął drzwiami w komórce, ale od tego czasu nie mógł tam wejść i tylko dawał psu jedzenie przez górne okienko. Gdyśmy odjeżdżali sierżant S... siadł do kabinki samochodu i zabrał do niej psa. Wyjechaliśmy dość późno, bo rano nie mogli pozapalać samochodów, bo namarząły nocą i palili je kolejno na zaciąg, bo tylko plutonowy Jabłoński, jako stary kierowca jeszcze przed wojną, umiał utrzymać swój samochód w dobrym stanie technicznym, a wszystkie te wozy były już mocno zdyzelowane, bo nasi kierowcy przejmowali je od kierowców sowieckich, którzy przejechali nimi już sporo kilometrów dróg frontowych. Sowieccy kierowcy w polskiej kolumnie samochodowej dostali nawiązo amerykańskie, a oddali Polakom zjeżdżone ZIS-y.

Między Sechnaczewem, a Costyninem była bardzo stroma i wyseka góra i po ośnie-
żonej szosie ZIS plutonowego Jabłońskiego wciągał po kolei dwa zepsute samo-
chody i już za drugim razem na samej górze rozsypał mu się silnik - pękło
koło zębate rozrządu i rozsadziło blok silnika tak, że cały silnik był już
zżemowy. Akurat była w pobliżu chata i wszyscy żołnierze weszli do niej żeby
się rozgrzać, bo tego dnia był silny mróz z wiatrem i wszyscy zupełnie pomar-
zli. Sierżant S... wprowadził ze sobą psa, którego nazwał Rolfem, gdyż gospodarz
mu mówił, że tak pies się nazywał, reagował też na to imię. Rolf zaraz po
wejściu do izby obszedł ją i obwąchał, a koło kupy drewna opałowego przy ku-
chni siadł i szczekał w jej kierunku. Sierżant rozgarnął drewno i znalazł w
nim kładkę nabeł karabinowych. Widać pies był uczonej w szukaniu broni.

Myśmy grzali się w chacie, a plutonowy Jabłoński z kierowcami przełożył swoje
akumulatory do naszego samochodu i uruchomił go i odtąd nasz wóz ciągnął
za sobą dwa zepsute ZIS-y. Wieczorem dojechaliśmy do Costynina i nasze sio-
stry rozprowadziły wszystkich żołnierzy naszych po kwaterach na nocleg. Wszy-
scy dostali porządne kolacje, a rano śniadanie i mieli dobre spanie. Mnie zabo-
brała jedna z nich do swoich rodziców. Miała na imię Irka i dała mi na poże-
gnanie swoją fotografię z dedykacją "Irka z Costynina". Nawet nie znałem jej
nazwiska. Ona sama i jej brat byli w konspiracji i wtedy ona właśnie po dłu-
gim czasie nieobecności wróciła do domu i jej rodzice nie mogli się nią na-
cieszyć. Była to bardzo miła i kulturalna rodzina.

Rano ruszyliśmy dalej. Droga była coraz gorsza, bo pełne było zasp śniegowych
które pod nadzorem żołnierzy rozkopywali jeńcy niemieccy i kobiety z wyryso-
wanymi kredą na plecach swastykami. Były to podobno volksdeuczki. Już niedale-
ko Torunia w jakimś osiedlu zobaczyliśmy ZIS-a i okazało się, że przyłapani-
śmy naszego szefa kompanii z wozem prowiantowym. Zatrzymaliśmy się więc i w
kilku starszych podoficerów natarliśmy ostro na drania za zabranie nam żyw-
ności. Prumoczył się mętnie, że się zgubił i stoi, bo nie ma paliwa. Myśmy miał-
li spary zapas, bo ja i sierżant Zaleski wzięliśmy jeszcze w Kurowie po peł-
nej beczce benzyny na zapas. Wymusiliśmy na szefie żeby dał nam dla wszyst-
kich żołnierzy kiełbasy i chleba i okazało się, że miał już tego bardzo mało
mimo, że nas nie żywił przez całą drogę. Prostu cała żywność gdzieś mu "wy-
parowała i wypchła". Żołnierze nasi dostali po kawałku kiełbasy i chleba i
pojechaliśmy dalej. Na moście prowizorycznym w Toruniu przy stromym zjeździe
nasz ZIS zsunął się przy hamowaniu na poprzedzający go wóz i uszkodził chło-
dnicę, ale ponieważ był mróz i już niedaleko więc jakoś dojechaliśmy,
w Toruniu zbierał się nasz pułk bardzo powoli. Najbardziej byli temu winni
zupełnie niewprawni kierowcy i ciężkie warunki zimowe, ale też i organizacja
przejazdu pozostawiała dużo do życzenia. Myśmy zabierali kolejne zepsute wo-
zy z naszej kompanii i wzięliśmy zapas paliwa, a inni nie dbali o zepsute
wozy ze swych kompanii i stawali z braku paliwa, bo nikt im go nie uzupeł-
niał w drodze.

Następnego dnia znalazłem naszego kierowcę warsztat mechaniczny gdzie mu

naprawili chłodnicę, ale plutonowego Jabłońskiego dowódca kolumny chciał postawić pod sąd za "umyślne" zniszczenie silnika. Każdy kierowca mechanicznie wiedział dobrze, że rozsypanie się koła zębatego rozrządu nie nastąpiło z powodu przeciążenia silnika, ale plutonowy Jabłoński był z AK, a dowódca kolumny sowiuckim oficerem i on naturalnie miał rację. Mieli Jabłońskiego aresztować, ale nie zdążyli, bo wieczorem wiedząc co mu szykują, wziął sprawny wóz i związał nim. W tym czasie było na porządku dziennym, że jak jakiś kierowca zgłaszał się do jednostki ze sprawnym samochodem, to go chętnie przyjmowali, bo wszystkie polskie jednostki cierpiały na chroniczny brak transportu i każdy dodatkowy pojazd polepszał tę sytuację. Nie pytano więc z reguły skąd i dlaczego związał, a przemaslowywano wóz i dawano mu nowe numery tak, że nawet dawny właściciel nie poznawał swego samochodu.

Podczas krótkiego pobytu w Toruniu miałem okazję zobaczyć sprawność Relfa. Siedzieliśmy w kilku w oknie kwatery na parterze i w pewnej chwili zobaczyliśmy, że na ulicy jakiś mężczyzna w wojskowym mundurze bił starszego już człowieka w ubraniu wskazującym na byłego więźnia obozu nienieckiego. Nie wiele myśląc wyskoczyliśmy na ulicę, a Relf z nami. Umundurowany widząc nas zaczął uciekać. Sierżant S... dał rozkaz Relfowi "łap" i w tym momencie Relf rzucił się za uciekającym, skoszył mu na plecy i obalił na ziemię, a następnie okraczył leżącego i przytrzymał lekko zębami delikwenta za kark tak, że ani się ruszył. Przy tym zrobił to tak, że nawet go nie drasnął. Prawdopodobnie, gdyby dostał rozkaz "bierz go" momentalnie by go zagryzł, ale ten pies wykonywał wszystkie rozkazy zupełnie beznamyślnie, nieledwie jak maszyna. Naturalnie złapany miał desyć i gdy odwołaliśmy psa stał grzecznie. Okazało się, że był to funkcjonariusz organizowanego już w Toruniu UB i był mocno podпиты, a człowiek, którego bił po prostu mu się nie spodobał. Dostał od nas wtedy taki "wycisk", że pewno długo nas pamiętał, a biednych ludzi nie zszarpał bez powodu.

Spotkaliśmy wtedy też na ulicy pięciu młodych ludzi z opaskami czerwonymi z napisem PPR, którzy między sobą mówili po niemiecku. Zapytaliśmy ich spokojnie o drogę, bo jeszcze nie znaliśmy Torunia, a ci "polscy komuniści" najspokojniej odpowiedzieli nam coś po niemiecku. Dopiero gdy dostali wszyscy od nas po mordzie tak, że wypluli kilka zębów, okazało się, że dobrze umieją po polsku. Po tym spotkaniu śmiało się, że pewnie im te wyplute zęby przeszkażdały w mowie polskiej.

Łaszą kompanię dowódcą pułku pozostawił w Toruniu na służbę wartowniczą w zajętych przez Wojsko Polskie magazynach nienieckich.

Wnie po kilku dniach pobytu w Toruniu wysłali z moim plutonem na ochronę trzech majątków, z których Pigrza była zupełnie nie zrabowanym majątkiem o pełnych stajach inwentarza. Leżała ona kilkanaście kilometrów od Torunia w stronę Chełmży. Była własnością Niemca zamieszkałego od dawna na tym terenie, który okazał się bardzo porządnym człowiekiem względem Polaków podczas okupacji. Przed wojną część gruntów Pigrzy została rozparcelowana na "Paniatów-

ki" i gdy przysiali tam Niemcy, chcieli wszystkich kolonistów polskich zabrać do obozów, ale właściciel Pigrzy Niemiec nie pozwolił nikogo zabierać twierdząc, że mu są potrzebni jako robotnicy rolni i zatrudnił ich z tym, że mieszkali nadal w swoich domach, a tylko ich pola włączyli do majątkowych. Spotkał też pana Kramskiego, dzierżawcę Papowa plebanii, którego wzięli do przejściowego obozu i chcieli wywieźć na roboty do Niemiec, zarządek więc żeby mu go dali na robotnika i zatrudnił go oficjalnie jako robotnika wykwalifikowanego, a w rzeczywistości powierzył mu administrację Pigrzy i dał mieszkanie rządcy. Tak w zupełnie dobrych warunkach przetrwali Polacy wojnę u tego Niemca. On sam z rodziną mieszkał w Różankowie, drugim majątku, który zajęli Sowieci na pomocnicze gospodarstwo dla szpitala wojennego w Toruniu. Pigrzę natomiast zajęły polskie jednostki i do chwili mojego przybycia pilnowali jej żandarmi z 3-ej Dywizji. Początkowo pojechał ze mną tylko kapral Michalkiewicz i 12-tu żołnierzy, bo reszta mojego plutonu została na wartach w Toruniu. Przez to, że zaraz objęli Pigrzę Polacy, majątek nie był zupełnie zrabowany i miał prawie pełny stan inwentarza.

W tym czasie wszystkie majątki w Poznańskim, na Pomorzu i dalej aż do Odry, jeśli zajęli Sowieci, to wywozili z nich cały inwentarz żywy i martwy i zostawiali po ich odejściu jedynie mury i nie obsiane pola. Natomiast te majątki które zajęły polskie jednostki były całkowicie wiosną obsiewane, a inwentarz pozostawał w całości, tak że myśmy wszyscy wykonywali bardzo pożyteczną pracę dla Kraju.

W Pigrzy była też gorzelnia, w której gorzelanym był pan Czerwiński, wielki nerwus, ale bardzo perządny człowiek. Zabudowania gospodarcze, jak to na Pomorzu, stały w foremnym czworoboku dookoła podwórza i miały cztery bramy stałe zamknięte, przy których stali nasi wartownicy. Ponieważ objąłem wkrótce po przybyciu do Pigrzy, drugi majątek, gdzie przeniosłem trzech żołnierzy, dostaliśmy do nich kaprala Faskiewicza, przedwojennego kaprala z 27 pułku ułanów z Mieświęża. Faskiewicz lubił sobie popić i nie często był trzeźwy, ale nie miał nigdy strachu i wykonywał najbardziej ryzykowne rozkazy. On z Michalkiewiczem wyszukiwali w terenie ponemiecką broń automatyczną i w niedługim czasie mieliśmy trzy km-y i kilka pistoletów automatycznych. Lnie podarbowaliśmy parabelkę, a po jakimś czasie niemiecki P-38 Walter i spora ilość amunicji. Zdobyli też kilka rowerów. Nigdy nie mówili skąd je brali, ale rowery te przydały się nam bardzo, gdyż konie były zajęte przy siewach wiosennych, a gdy trzeba było pojechać do dowództwa do Torunia to jechało się rowerem. Wkrótce okazało się, że zdobycza broń automatyczna bardzo się nam przydała. Krótce po naszym przyjeździe, zjawił się w Pigrzy sowiecki komendant wojenny z dwunastoma swymi ludźmi i powiedział, że chce rozmawiać z panem Kramskim, który był wówczas administratorem cywilnym majątku. Musiałem na to pozwolić. Cały oddział sowiecki liczył trzynastu, po zęby uzbrojonych żołnierzy i podoficerów wraz z kapitanem i komendantem, który był starszym lejtenantem. Wszyscy oni byli mocno podpieni i jeszcze zarządzali od pana Czerwińskiego

spirytusu. Pan Kramski, bojąc się wpuścić ich do swego mieszkania, za moją zgodą wprowadził ich do pokoju zajętego przez nas na jadalnię. Poprosił też mnie żebym był z nim, bo nie znał rosyjskiego i trudno mu było rozmówić się z sowiatami. Widząc, że oni wszyscy byli podpiści i znając ich obyczaje, kazałem Michalkiewiczowi postawić zdwojone warty i wszystkich postawić z ostrym przygotowaniem. Michalkiewicz do rozprawiania wart wziął mój automat i gdy przechodził z nim koło drzwi jadalni, zawołał go wojenny komendant. Michalkiewicz nie miał podejrzewając podeszedł do niego, a wówczas komendant złapał za automat i krzyknął, że "oddawaj awtamata, tiebia nie lzia nasić awtamata". Ponieważ automat był wpisany w moją książeczkę wojskową, a nie wpisana broń, wojenni komendanci mieli prawo zabierać, więc wziąłem automat z rąk Michalkiewicza i powiedziałem, że to mój automat. Wówczas komendant wyciągnął swój pistolet i kierując go w moją stronę, a trzymając za lufę mojego automatu, zarządził żebym mu go oddał. Ja na to błyskawicznie odciągnąłem zamek automatu i powiedziałem stanowczo, że nie oddam mu mojej broni. Wszyscy obecni sowieci też skierowali swoje broń w moją stronę. Stałem pod ścianą w regu pokoju i wokoło miałem sownięckie lufy. Komendant zaczął krzyczeć i wyzywać mnie a ja mu tak samo odpowiadałem. Był to pijany dialog, który każdej chwili mógł zakończyć się strzelaninami. Oni byli pijani, ale ich lufy prawie przytykały do mnie, a ja miałem pełny bębenek naboju i lufa mojego automatu była na poziomie brzucha komendanta. Nie mogłem jednak strzelać, bo nie wyszedł bym z tego cało, a im chodziło o rozbrojenie nas i rozgrabienie majątku. W dialogu przeplatane przekleństwami powtarzały się zdania: "ja starszysj lejtenant gwardii", "a ja starszyna polskoj armii", "ja frantawik", "i ja frantawik", "ja był ranien", "i ja był ranien", "puskaj awtamata jebtwajumata", "nie oddam jebtwajumata". I tak dalej, i tak dalej "kulturalno" to znów "matlugom". Scena ta przedłużała się i wszyscy sowieci coraz bardziej podnieśli się. W pewnej chwili w otwartych oknach pokazały się się bagnety moich żołnierzy i Michalkiewicz krzyknął: "Zdawajcieś strela bu- diem". Na to trzeźwiejszy kapitan zaczął szarpać za ramię komendanta i krzy- czał mu w ucho: "Bros a te onia nas wsiech wystrelajut". Wówczas komendant pu- ścił mój automat i powiedział: "nu ładno ja tolke szucik". Odpowiedziałem mu na to "za takije szutki można połuczyć puliu". Wszyscy sowieci opuścili swoje automaty i pochowali pistolety, a ja zabezpieczyłem swój automat. Oni zaraz zaczęli zbierać się do drogi i kapitan powiedział do mnie: "nu starszyna wy- wiedi nas na darogu, a te twaji bajcy nas wystrelajut", a komendant stwierdził że mamy debry "spart", ale nie mamy kiekbasy na zakąską i on mi przysłał kie- basę. Po odjeździe "gości" pan Kramski cały roztrzęsiony powiedział, że już myślał że to koniec i że nas wszystkich oni wymordują. Następnego dnia kome- dant przez swojego żołnierza przysłał mi kilka kilogramów kiekbasy.

Od tej chwili stał się moim wielkim przyjacielem. Gdy spotkał mnie jadącego na rowerze do Torunia, zabierał mnie na swoją bryczkę i zawoził gdzie chcia- łem, a z powrotem czekał na mnie i podwoził pod samą bramę Pigrzy. Wymawiał mi przy tym, że go nie powiadomiłem przez gońca, że chcę jechać do Torunia, bo by

przecież przysłał mi kanię i żebym na drugi raz zaraz dał mu znać gdy będę wybierał się do Terunia. Przenesili go w inne miejsce, gdy jeszcze byłem w Pigrzy. Przyjechał się pożegnać ze mną, spił się zupełnie i na pożegnanie wyciskał mnie i wyściskał i powiedział mi, że nigdy jeszcze nie miał takiego "druha" z pośród Polaków i nigdy mnie nie zapomniał. Na koniec powiedział charakterystyczną dla Sowietów myśl: "a znajesz za czoła ja ciebie tak polubił - wot-za to czoła ty mienia nie zdałś". Ot i wyszła ruska mentalność - gdyby mi się udało, to by mnie zgnoił w swoim areszcie, a jak mu pokazałem, że się go nie boję i rugałem go jak równy, to za to mnie polubił.

Nadeszła Wielkanoc 1945 roku. Moich chłopcy poszli na wieś do Bruchnowa i przywieźli stamtąd od gospodyń kosz jajek. Nasze kucharki zrobiły piękne ciasta i Abramczyk i Parejką poszli poświęcić do kościoła w Różankowie. Gdy zobaczył ich ksiądz to rozplakał się i wyciskał ich w kościele i obiecał przyjść do nas w pierwszy dzień Świąt. Był to wspaniały człowiek. Był lekarzem i dopiero potem poszedł i skończył seminarium duchowne. Całą wojnę był kapłanem partyzanckim i w tym czasie był w swoich stronach spalony i był proboszczem w Różankowie. Był "farantkiem" leczenia ludzi. Gdy mówił kazanie i zauważył jakiegoś cherega wśród ludzi w kościele, to zaraz po skończeniu mszy, jeszcze najczęściej w kamizy wybiegał przed kościół i łapał tego zauważonego i zaraz go brał na plebanię i badał dokładnie i leczył. Sowieccy żołnierze z majątku Różankowo z nie wygojonymi dobrze ranami przychodzili do księdza na opatrunki i mówili mi, że wolą przychodzić do niego, bo żadna siostra nie opatruje tak delikatnie jak on. Kiedyś byłem akurat u Księdza, gdy przyjechał pułkownik doktor - komendant szpitala żeby zbadać warunki w których ksiądz opatrywał jego rannych. Wszystkie obejrzał i asystował przy opatranku sierżanta, który miał obrzniętą rękę na szyi. Nie miał żadnych zastrzeżeń, tylko mówił, że żołnierze nie chcą być opatrywani przez jego personel, a idą do księdza. Kiedyś ksiądz ten "grzmiał" z ambony i wymawiał parafianem pijaństwo. Po skończonej mszy podszedł do nas stojących przed kościołem i nachyliwszy się ku nam powiedział: "ja tak mówiłem do cywilów, a nie do was, bo ja wiem, że wy musicie sobie popić".

Ksiądz narzył o narzędziach chirurgicznych i szczypcach dentystycznych, bo tego nie miał ze sobą. Zdaje się, że musiał bardzo śpiesznie wyjeżdżać z poprzedniego miejsca zamieszkania i wszystko mu przepadło.

Kiedyś dostałem całą skrzynkę różnych lekarstw niemieckich i dałem ją księdzu. Bardzo się z tego ucieszył.

W pierwszy dzień Świąt po sumie przyszedł do nas jak obiecał, podzielił się z nami jajkiem i życzył wszystkim szczęśliwego powrotu do naszych domów. Przez cały czas naszego pobytu w Pigrzy, co kilka dni przybiegali do nas z wiejskich kolonii i wsi o pomoc, gdy rabowali ich Sowietci. Wówczas posyłałem moich żołnierzy i przyprowadzali takich "bohaterów" już rezbroyonych. Miałem dla nich "miłe" pomieszczenie - pod gorzelnią była zalana wodą piwnica pełna zgniłych ziemniaków. Wejście do niej zamykało się żelazną klapą opuszczaną z g

z gorzelni. Stawialiśmy tych złapanych, najczęściej mocno podpitych w wejściu i każdy dostawał mocno w kark, lub kopniaka i nurkował w tą wodę, po czym klapę spuszczałyśmy i mogli siedzieć tylko na schodkach pod samą klapą. Po tym posyłałem żołnierza na rowerze z pismem do komendanta, że złapaniśmy "woroń" którzy plamili dobre imię żołnierzy sowieckich. Komendant przysyłał swoich żołnierzy po zatrzymanych i podziękowanie "za dobrą współpracę". Tylko sami jakoś nie mogli wykopać tych swoich "Orłów".

Ponieważ w Pigrzy były same maciory z prosiętami, warchlaki i zarodowe jałówki, a z owiec po przejściu wojsk frontowych zostały same jagnięta, więc nie chciałem nic z tego zabijać na mięso i zapowiedziałem żołnierzom, że mają pod dostatkiem mleka i jajek, to mogą być się bez mięsa. Sarkali na to po cichu. Któregoś ranka przyszedł do mnie oberowy i zawiadomił, że jedna jałówka nie może wstąpić. Poszedłem zaraz do obory i zobaczyłem ładną jałówkę leżącą. Liała coś z kręgosłupa. Kazałem ją więc zabić żeby się nie męczyła. Żołnierze moi mieli więc mięso. Dopiero po naszym wyjeździe z Pigrzy przyznali się mi, że oni namyślnie uszkodzili tą jałówkę, bo chcieli mnie zmusić do zabicia na mięso.

Cały czas pobytu w Pigrzy miałem kłopoty z piciem spirytusu. Były dni, że nie było kogo stawić na wartę, bo wszyscy byli popici. Wszystkiemu była winna gorzelnia. W pierwszych dniach zaraz moi żołnierze wyciągnęli kilka litrów okowity od gorzelanego, ale po mojej rozmowie z panem Czerwińskim, nawet dość ostrej, więcej im nie dawał. Wtedy wpadli na pomysł wyciągnięcia okowity z rur przed zegarem pomiarowym, który stał na postumencie wysokości około półtora metra, a rura już doprowadzająca okowitę do niego biegła przez kilka metrów przy samej ziemi i w tym, tak powstałym kolanie w rurze mieściło się kilka litrów okowity. Rozkręcili więc tą rurę i ściągnęli spirytus. Potem przez jakiś czas był spokój, bo nie było skąd brać okowitę. Ale za spirytus można było kupić wszystko od sowieckich żołnierzy, więc kazałem wygnąć jedną partię, bo ziemniaków było bardzo dużo, a węgiel przywieźli Sowietci z Torunia za spirytus. Cały wypędzony spirytus umieściłem w bańkach i gasierach w pokoiku na piętrze i drzwi dobrze zamknąłem. Krótce po tym Sowietci sprzedali pięknego ogiera ze stadniny w Trakenach, którego Michalkiewicz kupił za cztery litry spirytusu i paczestunek. Do takich opijanych transakcji wysyłałem Michalkiewicza, bo ten jak przed tym wypił szklanekę rozpuszczonego smalcu, to potem mógł przepić największego pijaka sowieckiego. Wtedy poszedłem po spirytus i okazało się, że znacznie "wyparował" z jednego gasiera. Zamki i kludki w drzwiach były nie naruszone, a sam pokój położony był nad kuchnią, więc gdyby ktoś chciał przystawić drabinę, to musiałby to widzieć ktoś z kuchni, w której od świtu do nocy ktoś przebywał. Ela - nasza gospodyni, na pewno by mi o tym powiedziała. Tymczasem zauważyłem trójkąt szyby, który był niedawno wstawiony i musieli dostać się do spirytusu przez okno. Po jakimś czasie przyłapałem ich na gorącym uczynku. We dwóch wchodzili wieczerem na dach nad tym pokoikiem, zawiązywali linkę na kominie i jeden spuszczał się na tej linie do okna i

wchodził przez nie, wyjmując trójkąt szyby i przez dziurę otwierając okno. Lalany do mamierek spirytus wyciągali na sznurku na dach, a potem "akrobata" wychodził po linie spowrotem na dach i schodzili spokojnie po schodach na dół. Po takiej eskapadzie znów większość żołnierzy była pijana i nie zdolna do służby. Za którymś razem Rodz tak się spił, że zaczął rozrabiać. Poszedł do kuchni i zobaczywszy umyte talerze stojące na stole z okrzykiem, że to hitlerowskie zaczął je tłuc waląc z góry pięścią. Zwołany przez kucharki zabrano go z kuchni i zamknięto za karę w piwnicy. Po krótkim czasie Rodz stanął przede mną na chwiejących się nogach i meldował "Papeńka już wyszedłem i proszę mnie znów zamknąć". Zamknąłem go kolejno w różnych piwnicach trzy razy i za każdym razem, po krótkim czasie wykazywał drzwi i wychodził. W końcu położyłem go do łóżka i kazałem spać i to dopiero poskutkowało. Rodz był z 1926 rocznika i nazywał mnie "Papeńka", a ja jego "Synok". Nawet gdy oficjalnie meldowałem mi cośkolwiek, tak się do mnie zwracał, co mi mieli inni dowódcy plutonów za złe, mówiąc mi że się popopolituję z żołnierzami. Tymczasem ja miałem największy posłuch wśród żołnierzy nie tylko z mojego plutonu. Miałem tą zasadę, że na służbie musiał każdy wykonywać mój rozkaz, ale po służbie byłem z żołnierzami po koleżeńsku. Chodziliśmy z nimi na zabawy i tylko mieli mi za złe, że nie chciałem z nimi pić, ale ja nigdy nie czułem przyjemności w picciu wódki i gdy nie musiałem tego robić to nie piliem.

Takim największym pijakiem w naszej kompanii był sierżant S.... Siedział on stale w Toruniu i jak tylko zdobył gdzieś spirytus to zapijał się do nieprzytomności. Gdy przyjeżdżałem z Pigrzy do Torunia, zawsze prosił mnie o przywiezienie mu spirytusu. Maledzy, którzy go znali, ostrzegali mnie, że nie pójma mu dać więcej jak pół litra. Gdy przywiezłem mu butelkę, nalewał dwa małe kieliszki i częstował, a po ich wypiciu zawsze mówił: "no a teraz już idź sobie". Po wyjściu siadał przy stole na przeciw butelki, nalewał sobie szklankę spirytusu i ssał go przez wąsy. Zwykle już po wyspaniu jednej szklanki zwał się z krzesła i dłuższy czas leżał na podłodze, a po cząściowym wytrzeźwieniu zaczynał od początku i tak aż zabrakło mu spirytusu, i tym czasie nikt nie mógł wejść do jego pokoju, bo pilnował go Rolf. Oprócz wódki jedynym zainteresowaniem nie dążył psy. Znalazł w Toruniu sukę rasową wilczycę i sparzył ją z Rolfem. Miał po nim kilka szczeniaków, które chował i szkolił. Był w 1920 roku ranny w nogę i ta rana ciągle mu się goiła, a lekarze orzekli, że nic nie poradzą bo za dużo pił. Był z nas podoficerów najstarszym wiekiem w kompanii i był zawsze bardzo ostry dla żołnierzy, ale nie miał żadnego autorytetu z powodu tego picia.

Na terenie pół Pigrzy, Różankowa i innych majątków i sąsiednich wsi, Niemcy budowali śpiesznie linię obronną w postaci szeregu mocnych bunkrów betonowych. Linia ta, nawet gdyby była skończona, nie by in nic pomocą w obronie, bo uderzenie sowieckie poszło równoległe do niej, ale Niemcy specjaliści tego nie przewidzieli. Niektóre bunkry były zupełnie gotowe, inne w połowie, a niektóre dopiero były zbierane stalowymi prętami i siatkami. Pełna linia była

nich worków cementu i żwiru. Budowały te bunkry brygady niewolników, a między nimi młode kobiety Żydówki, które trzymali w obozie w lesie niedaleko Pigrzy. Było tam kilka baraków otoczonych drutami kolczastymi. Pilnowali te kobiety SS-mani i gdy nadchodził front, zamknęli je w barakach i postrzelali seriami z 1km-ów. Lówił mi gajowy, że gdy przyszli tam po ucieczkę SS-menów to jeszcze niektóre kobiety dawały oznaki życia, ale nie miał im kto pomóc, bo wszystkie konały z upływu krwi, a nie było możliwości wykonania transfuzji.

Widziałem ten obóz już po uprzątnięciu trupów i robił jeszcze straszne wrażenie. Całe ściany baraków były dosłownie posiekane seriami, a od środka całe były zbryzgane zachniętą krwią, a podłogi były dosłownie pokryte grubą jej warstwą. Gdzie indziej, trzymali Niemcy jeńców francuskich też zatrudnionych przy budowie tych bunkrów, ale ich pozostawili na miejscu żywych. Sowieci zebraли ich i zakwaterowali w Bruchnowie.

W Pigrzy był ostatnie przed przejściem frontu, magazyn jakiejś jednostki lotniczej stojącej w Toruniu i zastaliśmy tam między innymi dużo mundurów lotniczych niemieckich. Moi żołnierze dopasowali sobie te mundury i, byli zadowoleni, bo były nowe i z perzadnego sukna. W Bruchnowie służył zebrał samorzutnie białiznę dla żołnierzy i od siebie dał mi przedwojenny polski mundur sukieny, który przechował od 1939 roku. Poza tym oddali nam niemiecki motocykl DKW 350, który pozostawili we wsi cofający się Niemcy z braku paliwa. W czworakach mieszkał szewc, który naprawił wszystkim żołnierzom buty, a mnie uszył nowe.

Podczas naszego pobytu w Pigrzy przeprowadziliśmy siewy i przygotowaliśmy pole pod siew buraków i sadzenie ziemniaków. Pracował kowal na ciągniku Lanz-Buldog i kilka par zeni - wszystkie nadatne do pracy, a także kilka par wołów. Jam przekonałem się nacznie o sile wołu. Przewieziliśmy ziemniaki z kopca do gorzelni i ciężki wóz ugrzązł prawie po osie w rozgrzanej mokrej ziemi. Czwórka koni nie mogła go ruszyć z miejsca. Wówczas przyprowadzili jednego wołu i ku mojemu zdziwieniu ten jeden wół spokojnie pociągnął wóz jakby był stał na twardej drodze i był pusty. Wcale nie było widać jego wysiłku.

Krótko po naszym przybyciu do Pigrzy, przysłano z Torunia do pracy w gospodarstwie starszą kobietę i dwie młode dziewczyny. Akurat padał deszcz gdy przyszły i wyglądały jak zmokłe kury. Były one "zmobilizowane" na okres siewów wiosennych. Co prawda w Pigrzy było dosyć robotników, ale władze powiatowe miały widać inny pogląd na te sprawy. Dziewczyny były siostrami i miały 19 i 20 lat. Młodsza była bardzo ładna i zalotna, a starsza brzydsza od siostry poważna i spokojna. Obie były bardzo perzadnymi dziewczynkami i mimo usilnych starań Michalkiewicza, nie mógł się pochwalić niczym więcej prócz niewinnego flirtu z młodszą. Pracowały przez tydzień i nawet zupełnie dobrze, choć były z miasta i takiej roboty nie znały.

Przez cały czas naszego pobytu w Pigrzy przychodziły natomiast dziewczyny z Bruchnowa do pracy na dniówkę. Pan Kramski płacił im zbożem i grochem, bo tak

wolały i majątek miał pod dostatkiem robotników, choć część tych co pracowali w majątku podczas okupacji niemieckiej odeszła do swoich gospodarstw. Te dziewczyny ze wsi w odróżnieniu od miejskich, bardzo chętnie zostawały z żołnierzami na noc tak, że częste stan w sypialniach podwajał się. Złościł się na to Downar Jan, który jako starszy wiekiem człowiek, nie lubił u żołnierzy rozpuszty. Kilkakrotnie pognął pasem wesołe dziewczyny z sypialni żołnierskich, ale one nie przejmowały się tym i na drugi dzień znowu wracały. Skąd brały siły na dzienną pracę i nocne hulanki było ich tajemnicą.

Ponieważ poza wartami żołnierze nie mieli co robić i właściwie tylko Downar miał stałe zajęcie, bo dałem mu nadzór nad oborą i udojami, a moi żołnierze by byli właściwi rekrutami, codzień w wolnym czasie robiłem im szkolenie z budowy broni automatycznej, użycia granatów, taktyki w natarciu i obronie, oraz uczyłem prawidłowego okopywania się i strzelania do tarcz. Stosunkowo krótki okres pobytu w Pigrzy tak wykorzystałem, że po nim już miałem pewność, że moi żołnierze będą umieli znaleźć się w każdej sytuacji w walce, co przydało się niedługo po tym, gdy byliśmy na terenach walk z Ukraińcami.

Zaraz po Wielkanocy przyjechał do mnie porucznik Wiśniewski i zarządził żebym odstawił do kompanii motocykl. Poza tym zobaczył u mnie składane walizki niemieckie, bardzo porządne, pozostałe po niemieckim magazynie lotniczym i uparł się żebym mu je oddał. Nie przywiązywałem znaczenia do takich rzeczy, a do tych walizek nie miałem co wkładać i oddałem mu te walizki. Był to człowiek, który na wojnie robił interes i w każdym miejscu co mógł garnął do siebie nie zawsze uczciwymi metodami.

Krótko po tym przyjechał do Pigrzy nieznajomy kapitan z obcą obstawą i powiedział, że jest nowym dowódcą pułku i pokazał mi swoje papiery. Chciał mnie skontrolować, ale ponieważ wkurzyłem jego nie wierzyłem jego papierom i nie było nikogo z nim ze sztabu pułku ani z naszej kompanii, więc nie uznałem go za dowódcę. Wyjechali zaraz, a ja posłałem gońca do dowódcy kompanii z zapytaniem kto to był. Por. Wiśniewski odpowiedział mi, żeby nie uznawać kapitana. Następnego dnia przyjechał gońiec ze sztabu pułku z wezwaniem żebym się natychmiast stawił i sztabie. Pojechałem do Torunia i najpierw zaszedłem do naszej kompanii. Por. Wiśniewski powiedział mi, że ten kapitan rzeczywiście został naszym dowódcą pułku i prosił żebym nie powiedział o tym, że on mi polecił nie uznawać kapitana. Poszedłem do sztabu i kazałem się meldować służbowemu. Od razu wezwali mnie do dowódcy pułku. Wszedłem do pokoju dowódcy i zobaczyłem naszego dotychczasowego dowódcę majora Michalskiego i tego nowego kapitana. Zameldowałem swoje wejście majorowi i poprosiłem o pozwolenie zwrócenia się do kapitana. Major uśmiechnął się do mnie i wskazał ręką kapitana. Zameldowałem mu stawienie się na rozkaz. Zapytał czemu nie chciałem wykonać jego rozkazu gdy przyjechał do mnie do Pigrzy. Odpowiedziałem mu, że w myśl ogólnych zarządzeń powinien przyjechać do mnie z kimś znajomym ze sztabu, ktoby stwierdził to, że naprawdę jest nowym dowódcą pułku, a papiery w czasie wojny może mieć każdy dywersant czy inny nieuczciwy człowiek. Zapytał mnie

czy teraz będę już mu wierzył, więc odpowiedziałem, że jeśli mówi to przy majorze Michalskim, którego znam jako dotychczasowego dowódcę pułku i on to potwierdza to wiem że tak jest. Odmeldowałem się i wyszedłem.

Major Michalski był przedwojennym zawodowym oficerem artylerii i walczył w 1939 roku aż do ranienia. W czasie okupacji był w AK i po wkroczeniu Sowietów został zatrzymany przez NKWD i miał do wyboru albo pójść "ochotniczo" do Wojska Polskiego, albo jechać do obozu na wschodzie i wybrać wojsko. Zawsze jeździł z czterema podoficerami w obstawie i mówił, że na podoficerach nigdy się nie zawiódł. Jego obstawę stanowili sierżanci, wszyscy z AK. Kiedyś jadąc z Lublina do Torunia, zatrzymany był na kontrolnym punkcie sowieckim w Garwolinie. Dowódca punktu starszyna - dziewczyna - wzięła papiery od kierowcy i weszła do biura żeby odnotować przejazd. W tym czasie podszedł do samochodu pięciu sowieckich podoficerów i jeden z nich zwrócił się do naszego majora słowami: "major jobtważumać zobiery nas w Warszawie". Major nawet nie drgnął, a jeden z sierżantów obstawy, były żołnierz 27 Dywizji AK z Wołynia złapał Sowietę za kołnierz pod szyją i piorąc go po mordzie powiedział spokojnie: "jak śmiesz odzywać się tak do polskiego majora". Stało się to co mogło być tylko z Sowietami - moskalamami. Bity po mordzie podoficer ściągnął kopytę i stanął wyprężony na baczność, inni stali jak oszupiali, a starszyna wybiegła z biura i stojąc na baczność przeciąła grzecznie: "gospodin major pażusta nie szumitie, pażusta ujeżdżajtie". Na tym punkcie kontrolnym było kilkadziesiąt Sowietów, a naszych było z kierowcą pięciu podoficerów i żaden Sowiet nie przyszedł z pomocą swemu bitemu koleśce przez naszego sierżanta. "Bije to znaczy mocny i ma prawo" - było myślą tych ludzi przywykłych od pokoleń uznawać tylko siłę.

Odczekali majora Michalskiego ze stanowiska dowódcy pułku, bo był "trefony" i nie uznawał w Polsce wszechwładzy sowieckich komendantów wojennych i dali nam na dowódcę kapitana sowieckiego Żyda nazwiskiem Cejcyń. Od początku nie lubiliśmy go, a on nas się bał.

Któregoś dnia przyjechał do mnie lejtenant lotnik z piśmem ze sztabu naszego pułku nakazującym wydanie mu 10-u litrów spirytusu. Powiedział, że mają lecieć bombardować Berlin i muszą uzupełnić płyn w żyrokompasach do czego potrzebna jest gliceryna odpowiednio rozcieńczona spirytusem. Tymczasem piloci zamiast uzupełnić żyrokompasy, wypili spirytus i teraz w nocy nie mogą lecieć. Wydałem mu ten spirytus. Po kilku dniach wieczorem, gdy już spałem, przyjechał tenże lejtenant i przywiózł cysternę 3 tysiące litrów benzyny i lotniczej. Najpierw chciał za nią 50 litrów, ale nie chciałem brać i w końcu oddał mi ją za 10 litrów spirytusu. Przełaliśmy tę benzynę do beczek do przewożenia spirytusu i przez długi czas w naszej kompanii wszyscy mieli benzynę do motocykli. ~~xxxxxxxx~~

Wojciech Kowin gerzelni był magnesem ściągającym sowieckich żołnierzy. Kiedyś przyszła cała kompania i chcieli żebym dał im "chacia po kacieczku spirtu". Dopiero seria i lka-u nad głowami "namówiła" ich żeby sobie poszli, bo gdyby dostali choć trochę tego spirtu, to roznieśliby wieś uzupełnić.

Innym razem pod bramy zjechał wóz i sowiecki woźnica chciał żebym kupił za "spirt" zegarki. Wiózł je wódnicze pod wozem, gdzie były małe raczno, butelki, stojące szafkowe i werniki dużych wiszących, wszystko zsypane razem. Naturalnie nie nie nadawało się do użytku, ale były "casy". Kiedyś znów przyjechał kierowca samochodem ciężarowym z budą i chciał sprzedać pościel i ubrania, ale razem z nimi w wozie miał dużą maciorę z prosiątami no i naturalnie wszystkie rzeczy były dokładnie zagnojone i podarte. Sprzedał więc maciorę i prosiąta za co dostał cztery litry spirytusu. Przez tą gorzelnię "kochali" mnie też różni obiboki pułkowi.

Przez cały czas w Pigrzy mieszkaliśmy z Michalkiewiczem w jednym pokoju, a żołnierze w dwóch innych, wszystko na pięttrze. Odkąd miżem lkm-y, zawsze jeden żołnierz dyżurował z lkm-em w oknie na pięttrze wychodzącym nad bramę wjazdową.

Na parterze było mieszkanie para arabskiego, oraz pokój jadalny i kuchnia, w której rządziła Ela, dziewczyna dwudziesto letnia, która była przez jakiś czas podczas okupacji służącą u jakiejś bogatej niemieckiej rodziny i umiała dobrze gotować, a pochodziła z samej Pigrzy z rodziny robotniczej. Mieszkała w pokoiku przy kuchni. Do pomocy miały dwie kobiety przychodzące z czworaków. Gotowały nam bardzo dobrze i smacznie i zarazem zajmowały się nabiątkiem, bo w majątku było kilkadziesiąt dobrych krów dojnych i mleko było odwirowane i robiły masło. Co dzień część mleka, masło i śmietanka były odwożone do Torunia do kompanii i sztabu pułku. Ela była całą naszą gospodynią i prowadziła rozliczenie nabiątku, wydawała produkty żywnościowe ze spiżarni do kuchni na potrzeby bieżące. Mnie traktowała po trochu jak starsza siostra i wogóle-pomimo, że mieszkała pomiędzy żołnierzami zachowywała się cały czas bardzo porządnie.

Któregoś dnia, gdy pojechałem do Torunia do kompanii, dowiedziałem się, że sowieci aresztowali całą wartę przy magazynach zajętych przez nasze wojsko i pilnowanych przez naszą kompanię. Były to wielkie magazyny w starych spichlerzach nad Wisłą. Niemcy mieli tam wszystko co było potrzebne do całkowitego wyposażenia żołnierza frontowego i tak urządzone, że jak goły człowiek wszedłby jednymi drzwiami i przeszedł przez te magazyny, to na końcu byłby całkowicie umundurowany i wyekwipowany. Poza tym jeden magazyn zapełniony był produktami żywnościowymi. Wszystkie bramy, bardzo masywne, były dobrze zamknięte, a tylko przy jednych drzwiach była wartownia i tam siedzieli stale kilku naszych żołnierzy z dowódcą warty - podoficerem. Sowietci bardzo chcieli zrabować ten magazyn. Któregoś dnia zrobili burdę pod wartownią i zaczęli strzelać. Nasi żołnierze twierdzili, że oni nie strzelali. W każdym razie jeden z sowieckich żołnierzy pod naszą wartownią został raniony, a ta przyszła patrolka z sowieckiej komendantury miasta i aresztowali wszystkich naszych wartowników. Magazyny zostały w krótkim czasie całkowicie zrabowane i gdy przyszła zmiara warty znalazła je otwarte i zupełnie puste. Z naszego dowództwa kompanii i ze sztabu pułku kilka dni starali się o zwolnienie aresztowanych żołnierzy, nim ich puścili wygłodzonych i wymęczonych, ale nie

oddali im broń. Gdy przyjechałem, porucznik Wiśniewski posłał mnie do kwaterdy miasta żebym starał się odebrać tę broń, foszedłem i łatwo doszedłem do porozumienia. Lówiłem wtedy czysto po rosyjsku z sybirskim akcentem i sowioci uważali mnie za swojego. Oddali mi karabiny, tylko za pistolet podoficere dali kolt bybenkowy bez naboju, bo nasza parabełka spodobała się któremuś z nich i nie było jej w magazynie.

Pewnego razu pan Kramski powiedział mi, że zamierza wrócić do Papowa plebanii na dzierżawę, bo majątków kołchołowych nie objęli parcelacją. Gdy poszyszałem nową miejscowość - Papowo - powiedziałem, że mój wuj Wacław Mulewicz kiedyś przed wojną dzierżawił majątek Papowo. Wóczas pan Kramski powiedział, że to było po sąsiedzku i że żna wuja Wacka i że on teraz mieszka w Toruniu. Podał mi adres wujostwa Wacków i zaraz pojechałem do Torunia odnaleźć ich. Nie zastałem ich akurat w domu, bo pojechali do Warszawy na ekshumację swoich dzieci, które poległy w Powstaniu Warszawskim. Po jakimś czasie ponownie pojechałem i zastałem wujostwo w domu. Bardzo się ucieszyli. Była też u nich ciocia Zosia Karwatowa. Dostałem od nich adres stryja Andrzeja w Irakowie i cici Ireney siostry Mamusi, która już wróciła do Warszawy. Dowiedziałem się też o śmierci Babci, która od Mamusi z Nowogródka pojechała zimą 1940 roku do Warszawy do cici Ireney i sginęła w szpitalu na Płockiej po kapitulacji Żoliborza. Wujostwo i ciocia Zosia Karwatową napisali zaraz przy mnie list do Mamusi, który zaadresowałem i wysłałem pocztą wojskową.

W tym czasie miałem zatarg z władzami cywilnymi. Do Pigrzy przyjechali na przeprowadzenie reformy rolnej, zrobili zebranie robotników majątkowych w górzelnii i jakiś działacz partyjny mówiąc o reformie powiedział, że kto z robotników majątkowych nie chce wziąć ziemi z reformy ten niech się wynosi, bo jest przeciw władzy ludowej. Jeden z robotników, który miał siedmioro dzieci powiedział, że jak mu dadzą 7 ha pola to weźmie, ale na trzy hektary nie pójdzie zdychać i woli być robotnikiem. Tenże działacz zagroził mu, że go aresztuje za anty propagandę, na to ja mu powiedziałem żeby nie streszył spokojnych ludzi, bo nikt nie da aresztować kogoś za to, że nie chce być właścicielem kawałka ziemi. Tenże działacz oburzył się na mnie i przygadał mi, że pewnie jestem z reakcyjnego podziemia. Wtedy mu powiedziałem co o nim myślałem i że ja już walczyłem w Wojsku Polskim, gdy on wysługiwał się w najlepszym niemiecom. Powstał śmiech wśród zebranych i obrażony działacz zaraz wyjechał, a na drugi dzień przyjechał mierniczy i powiedział, że będzie dzielił grunty na działki i nie mamy mu w tym przeszkadzać. Zapytałem go czy ma piśmie z naszego sztabu, a jak nie ma to niech zaraz spicrdala, bo mogę go popędzić. Obrażony wyjechał, a następnego dnia przyjechało bryczką czterech funkcjonariuszy UB i chcieli pisać protokół i mnie zabrać ze sobą na przesłuchanie, ale zobaczyli pistolet i moich żołnierzy z karabinami, więc zmienili zdanie i zaraz się wynieśli. To jednak zadecydowało, że nie pozostałem w Pigrzy dłużej, bo dowództwo naszego pułku przenosiło się na zachód, a w Toruniu nikt nie miał zostać i obawiano się, że wówczas byłbym narażony na

represje UB. Zastąpił mnie sierżant Sikora ze swoimi żołnierzami, tylko z moich wyprosił pozostać w Piłgry ~~Witwin~~ który zakończył się w młodszej siostrze Eli i chciał się z nią żenić. Zgodziłem się więc na to. Zabrali resztę żołnierzy i całą zdobyczną broń i pojechaliśmy do Torunia.

W kilka dni po tym kładowaliśmy się już na samochody. W Toruniu zostawił sierżant S... i na odjeździe dał mi Rolfe, bo sam miał już kilka szczeniaków po nim. Został też ppor. Hoppe i na swoim majątku plutonowy Czajński, który w odróżnieniu od innych bardzo zaprzyjaźnił się z funkcjonariuszami UB i czuł się na tym terenie zupełnie pewnie.

Mnie mianowali po zastępcą dowódcy kompanii. Nasza kompania, uszczuplona o żołnierzy pozostałych pod Toruniem, przeniosła się do Chodzieży, gdzie zatrzymał się sztab pułku, a nasi żołnierze pełnili służbę wartowniczą przy magazynach pułkowych. Inne kompanie naszego pułku poszły dalej na zachód i obejmowały majątki i inne obiekty zajęte przez jednostki WP aż za Odrę.

Dostaliśmy kwatery w dawnej szkole rolniczej, a w czasie okupacji szkole hitlerjungeńdu. Obok w zabudowaniach umieścili magazyny pułkowe. Szkoła była położona na przedmieściu Chodzieży niedaleko pięknego jeziora, a dalej wzdłuż brzegu jeziora ciągnęła się wieś.

Porucznik Wiśniewski pełnił funkcję po dowódcy batalionu, a kompanię w jego zastępstwie dowodził sierżant Zaleski, ja byłem po zastępcą dowódcy kompanii, a plutonowy Staniszek ^{nowy} szefem, bo szef został z ppor. Hoppe w Toruniu, bo miał tam czym handlować.

Nie mając co zrobić nasi podoficerowie i żołnierze przeprowadzali rewizje w domach Niemców i volksdeuców. Kiedyś byłem z nimi w mieszkaniu Niemki, mówiącej zresztą dobrze po polsku. Powiedziała, że jej mąż był w węgry, a przed wojną mieszkali w Polsce. W mieszkaniu zdawało się, że nic nie ma. Rzuciło mi się w oczy to, że Niemowle leżało w wielkim bliźniaczym wózku i to bardzo wysoko. Przekłem Niemce wzięść dziecko na ręce i w wózku pod ceratą znalazłem cały magazyn bel nowego, ładnego sukna. W kącie ~~leżała~~ leżała kupa starych ciuchów i ~~winnicy~~ śmiecia, a po jej przegarnięciu zobaczyliśmy znów bele materiałów. Było tam sukno i kilka bel materiału, z którego Niemcy szyli ubrania dla więźniów w obozach koncentracyjnych - taki mocny drellich w niebieskie paski. Gdy zapytałem Niemkę skąd ma ten materiał odpowiedziała, że to jej mąż przysłał z frontu. Dziwne było tylko to, że żołnierz frontowy z wernachtu miał dostęp do materiałów włókiennych. Gdy przejrzelismy dokładnie jej papiery, listy i fotografie, znalazła się fotografia mężczyzny w gestapojskim mundurze i Niemka przyznała się, że to był jej mąż. Tak to Niemowle wyglądała w węgry - nie nie miała "biedna" Niemka, a rubaszne materiały były dobrze ukryte. Z tych materiałów zabraliśmy od niej cały wóz. W kwaterach rozdzieliliśmy te materiały pomiędzy żołnierzy i podoficerów naszej kompanii. Sam wzięłem kawał sukna granatowego i trochę drellichu. Zapakowałem to do walizki i odesłałem przez Staniszka do Torunia dla wujostwa Wacków, którzy nie mieli się dostarczyć w co ubrać, bo wszystko stracili w Powstaniu.

Kiedyś szedłem z Rolfe, którego nie musiałem prowadzić na szczyt, bo jak się

nie poszczuło, to nikogo nie ruszał. Przechodziłem akurat koło domu gdzie wojsko robiło rewizję, bo doniesiono im, że w tym domu jest magazyn Wehrwofu. Szukali już długo i nic nie mogli znaleźć. Wszedłem z Rolfem i pies jak zwykle, gdy wszedł do obcego mieszkania, obwąchiwał wszystko i poszedł na strych gdzie siedział w jednym miejscu i zaczął szczekać, kierując łeb w jedno miejsce. Cały strych był pokryty gładką polepą bez żadnych pęknięć ani napraw. Mimo to Rolf wyczuł tam ukrytą broń. Żołnierze zerwali polepę i znaleźli duży skład broni, amunicji, granatów i radiostację wojskową.

Rolf był niezawodny w szukaniu broni. Często bawiliśmy się z nim tak, że któryś z nas zakopywał w piachu naboje, lub magazynek z automatu, a potem wołaliśmy Rolf'a i zawsze siedział przed znalezionym schowkiem i szczekał na niego, a nigdy nie starał się kopać w tym miejscu. Było to ważne przy szukaniu min. On miał za zadanie znaleźć, ale człowiek musiał minę rozbroić, bo pies ruszając minę zerwałby ją i sam zginął.

Rolf nie miał zupełnie nerwów. Kiedyś stałem z nim przy nodze leżącego smyczy, na grebli przy płytkim stawku. Przyszedł tam chłopiec z psem, dużym kudziatym wilczurem, który rwał się na smyczy do Rolf'a. Było przy tym kilku moich kolegów i kilkoro młodzieży - Polaków z Chodzieży. Chłopiec z wilczurem zaczął prześmiewać się z Rolf'a i powiedział, że jego pies nie ma co robić z tym starym niedołęgą. Powiedziałem mu żeby nie żałował i dałem rozkaz - Rolf bierz. W jednym momencie wilczur chwytając łapą do góry nogami w stawie, wystawiając z wody koniec pyska i łapy, a Rolf stał nad nim rozkraczony i cicho warczał. Powiedziałem - Rolf puść - i Rolf zaraz wrócił na miejsce do mojej nogi. Wilczur wyskoczył z wody i zwiózł ku ucieczce zebranych. Tak samo było z łapaniem ludzi.

Rolf jedno tylko wykonywał bez komendy. Gdy szedł z kimś z nas, bo wystarczyło żebyśmy założyli mu smycz i dał ją któremuś z żołnierzy i dał rozkaz - Rolf idź, a szedł z tym żołnierzem jak ze starym przewodnikiem, gdy zauważył, że ktoś podnosi rękę na jego przewodnika, rzucał się błyskawicznie i łapał za tę rękę nie kalecząc zresztą jej. Gdy się powiedziało - Rolf puść - puszczał od razu, ale na rozkaz - weź - rzucał się do ataku i mógł łatwo rozszarpać człowieka. Umiął też błyskawicznie odbierać broń. Wiele razy dla zabawy żołnierze udawali napaść z bronią. Rolf rzucał się na napastnika i łapał go za rękę trzymającą broń, a nigdy za samą broń. Robiliśmy doświadczenia i żołnierz z rozładowanym karabinem z odciągniętym zamkiem nie zdążył spuścić iglicy nim Rolf nie złapał mu broni. Gdy jednak szedł sobie sam, był zupełnie spokojnym psem i dzieci polskie z okolicy naszej kwatery bawiły się z nim jak najłepiej.

Już w połowie maja, gdy sowieckie jednostki wracały z niemieckich terenów, Rolf pobiegł ze suką. Sowietci chcieli go złapać, rzucił się więc na nich i wtedy zastrzelili go.

Przyszedł 8 maja - moje imieniny zbiegły się z kapitulacją Niemiec. Dzień ten był zupełnie "oszałały". Strzelały wszystkie rodzaje broni i kanonada była taka, jak w najzaciętszej bitwie.

Mieliśmy spirytus, bo zabrakło go duży zapas z ligrzy, i wszyscy pili "za zwycięstwo". Licznajomi żołnierze całowali się i ściskali na ulicach. Myśmy zorganizowali na prędko zabawę taneczną w sali na dole naszych kwater. Przyszli zaproszeni Polacy z okolicznych domów i żołnierze bawili się na całego. By z Zaleskim, Staniaszkiem i kilku innymi podoficerami z naszej kompanii, siedzieliśmy w domu obok naszych kwater, zajętych przez polską rodzinę i popijaliśmy nie wąsko. Od czasu do czasu przechodziliśmy do sali i tańczyli po trosze, a potem znowu wracaliśmy do gospodarzy do stołu. Zabawa trwała już kilka godzin, gdy przyszedł podoficer służbowy naszej kompanii i zameldował Zaleskiemu, że porucznik Rusiwał - szef plutonu gospodarczego naszego pułku wezwał dowódcę pułku, bo ktoś włamał się do magazynu pułkowego i ukradł spirytus. Po chwili nadjechał samochód pułkowy. Sierżant Zaleski jako poddowódca kompanii, wybiegł meldować się, a ja jeszcze dopiłem szklanekę spirytusu i wyszedłem za nim. Z majorem Cejcyńskim przyjechał też kapitan Susin /oba j dostali awanse/. Zaleski meldował majorowi stan kompanii, a ja chwając się na nogach, meldowałem kapitanowi Susinowi: "melduję, że nikt z naszej kompanii nie potrzebował włamywać się do magazynu pułkowego, bo mamy swój spirytus i niech porucznik Rusiwał nie rzuca na moich żołnierzy takich oszczerstw, bo to on sam wziął ten spirytus. Jakby powiedział to na mnie to bym mu darował, ale nie daruję mu, że ubliżył tak moim żołnierzom". Kapitan powiedział mi że bym poszedł się przespać, ale ja po pijanemu powtarzałem swoje. Major tymczasem obrzął porucznika za to, że na dzień zdjął wartość z pod magazynu, kazał Zaleskiemu przerwać zabawę i przykazał, żeby wszyscy byli na kwaterach i nigdzie się nie rozchodzili. Następnie obaj z kapitanem odjechali.

Zaraz po ich odjeździe, porucznik Rusiwał zamiast odejść, nąsiadł mnie za to, że powiedziałem kapitanowi, że to on ukradł magazyn. Myślałem pownie, że przed porucznikiem stanę na baczność i grzecznie go przeproszę, a we mnie zabrakło śmiałości. Nasi żołnierze chodzili dzisiaj głodni i nie wiedzieli nawet co dzieje się z ich rodzinami, a porucznik wsiadł do samochodu z żoną i córką z wnukami i cała jego rodzina miała się dobrze na naszym wickie. Zakląłem go ruskim, wyciągnąłem pistolet i krzyknąłem mu - spierdalać taki synu, bo zaraz nafaszeruję cię i zacząłem mu strzelać nad głowę. Porucznik starszy już i o krótkich nogach, ruszył takim biegiem, że pewnie i Kusocińskiemu trudno byłoby go dogonić. W każdym razie mój wystrzałek magazynek parabelki, on zniknął już w domu odległym o ponad sto metrów.

Tymczasem Zaleski przeprosił zebranych na zabawie gości i zakończył zabawę. Ja przez jakiś czas chodziłem po kwaterach. Wszyscy młodzi żołnierze siedzieli markotnie, bo na miejscu było dużo zabaw tego dnia, a naszą przzerwano i nie kazano im siedzieć jak w areszcie. Zrobił się już wieczór, gdy przeszedłem z się po salach sypialnych i zapowiedziałem, że wszyscy mają na moją komendę iść na zabawy na miasto i bawić się do rana. Nawet wyganiałem starszych gdy nie chcieli iść. Po tym sam poszedłem na miasto i byłem na kilku zabawach ale za duży wypitek przed tym i nie szło mi tańczenie. Koło północy wróciłem i położyłem się w mundurze na łóżko i zasnąłem.

Koło 8-ej rano zbudził mnie szef kompanii i powiedział, że przyjechał dowódca batalionu i kazał mnie zawołać. Poszedłem do kancelarii i zobaczyłem tam porucznika Wiśniewskiego, który przyjechał ze sztabu pułku. Porucznik ruszył już zdążyć meldować majorowi o wczorajszym moim strzelaniu i major dał mi za to pięć dni ścisłego aresztu. Porucznik Wiśniewski pytał mnie dlaczego poprzedniego dnia powiedziałem, że to ja rozbiłem magazyn więc mu powtórzyłem to co mówiłem kapitanowi. Zdjąłem pas i poszedłem z szefem na górę na drugie piętro, gdzie w jednym pokoju zrobili prowizoryczny areszt. Krótko po tym przyprowadzili ze sztabu dwóch sierżantów Wysockiego i Borowskiego, którzy też poprzedniego dnia na rozrabiali i dostali od majora po trzy dni aresztu ścisłego. Jeden z nich miał ustną harmonijkę i grał zupełnie dobrze. Gdy wyspaliśmy się, przynieśli nam z kuchni jedzenie, a koledzy kiełbasę, piwo, cranżadę i inne dodatki z butelką spirytusu włącznie. Wieczorem po apelu, gdy nie było obawy przyścia kontroli ze sztabu, szef otwierał nam drzwi i tylko prosił żebyśmy wrócili przed 8-mą rano, żeby nie wpadł. Tak minęło mi jedno nie pić dni aresztu w mojej całej służbie dotychczasowej. Moi żołnierze nie zapominali o mnie i ciągle przynosili mi coś do jedzenia, a stary Downar, brat Jana, będący wówczas kucharzem, nalewał mi i przynosił takie tłuste i wypełnione mięsem porcje, że nie mogłem ich zjeść w całości. Z tego wszystkiego straciłem tylko parabelkę, którą zabrał mi major Cejcyń. Lubił on zabierać przy łaźni okazji pistolety zdobywcze podoficerom, bo miał potem prezenty dla oficerów w ministerstwie obrony.

Po odbyciu aresztu porucznik Wiśniewski posłał mnie na kontrolę do chorążego Czachowskiego, który wówczas ze swym plutonem ochrony sztabu był w okolicy Rakła w dużym majątku. Wcześniej zli na Czachowskiego, przez którego podobno obaj siedzieli w areszcie, sierżanci Wysocki i Borowski, napisali anonimowy list do żony chorążego, w którym zawiadamiali ją, że Czachowski wozí ze sobą wesołe dziewczyny i kula z nimi do upadłego. Tymczasem żona chorążego zawiadomiła o tym liście żonę Wysockiego i ta pierwsza przyjechała do Chodzieży i akurat zastała sierżanta w wesołym towarzystwie. Zrobiła mu pięknie awanturę i została w Chodzieży, żeby go pilnować.

Pojechałem rowerem i gdy dojechałem na miejsce zastałem rzeczywiście hulankę na całego. Chorąży i jego zastępca mieszkali na piętrze we dwórze i zastępnym tam wesołe towarzystwo. Było kilka młodych prostytutek z Torunia i porzucane części damskiej garderoby świadczyły, że te wesołe dziewczyny czuły się tam jak u siebie w domu. Zwłaszcza jedna nie odstępowała chorążego i nawet wydawała rozkazy w jego zastępstwie żołnierzom. Sam chorąży był mocno podpity i chodził rozchełstany. Krótce po moim przyjeździe, przyjechała jego żona i chorąży wpadł w popłoch. Wartownik na jego szczęście, nie puścił jej od razu na górę i zaczęto na gwałt robić tam porządki. W pewnej chwili chorąży wystąpił do mnie z prośbą, żebym zgodził się zagrać przed jego żoną komedię i udawał, że jego kochanka przyjechała ze mną i jest moją dziewczyną. Nie chciałem się na to zgodzić. Chorąży musiał zejść do żony i okazało się, że wiedziała ona nawet jak ta dziewczyna chorążego nazywała się i o jakiej

jeździła z nim. Zrobiła mu na dworze piekielną awanturę i zapowiedziała, że do wieczora ma pozbyć się tych prostytutek. Diedak wił się jak piskorz, bo one też nie chciały rezygnować z wygodnego życia. Nie wiem jak się to skończyło, bo po przenocowaniu i załatwieniu swoich spraw pojechałem dalej do innego plutonu. Obserwowałem wtedy te majątki, które opuścili sowicci i oddali Polakom. Był to przecież teren czysto polski, a mimo to sowicci nie zostawili w tych majątkach nic prócz pustych budynków i nieobsianej ziemi. Cały inwentarz żywy i martwy, a nawet meble z dworów wywozili przed zdaniem tych majątków, na wschód. Nasi żołnierze spali na szemie na podłogach i dopiero z czasem zwozili inwentarz i meble z terenów zachodnich.

Dla uczczenia zwycięstwa zorganizowano w Chodzieży defiladę. Uczestniczyły w niej, oprócz naszej kompanii i 6-oj z naszego pułku, inne jednostki WP i z armii sowieckiej, stacjonujące przejściowo w Chodzieży. Cywilne władze zebrały wszystkie niemki z Chodzieży, kazały się im ubrać w mundury SA i zrobili wielką kukłę Hitlera, którą kazali nieść niemkom. Myśmy stali na placu, a one przyniosły tę kukłę na środek placu, gdzie był ułożony spory stos. Żyły ją na tym stosie i otoczyły go, a Wańka - kierowca majora, mocno podpity polewał kukłę benzyną mówiąc, że to dla Hitlera najlepszy "adikalczyk" i podpalił stos. Niemkom kazali płakać i zawodzić nad tym Hitlerem, a one naprawdę niektóre rżewnie płakały. Kilka z nich rzuciło w ogień czapki SA-mańskie, ale kazano im je wyciągnąć z ognia i ugassone spowrotem nałożyć. Po tym odbyła się defilada. Nasi żołnierze już wtedy zupełnie nie śle się prezentowali, bo każdy dowódca plutonu w wolnych chwilach ćwiczył swoich żołnierzy w mustrze.

Pod koniec maja zaczęto ściągać nasze kompanie z zachodu do Chodzieży. Wtedy kilku z nas posłano w "specjalnej misji", jak żartowaliśmy. Ponieważ kompanie z za Odry i z pod Szczecina miały wszystko tam pozostawić i przemaszerować na teren Pomorza i Poznańskiego do majątków zupełnie ogołoconych z inwentarza przez wojska sowieckie, więc wymyślono sposób po części temu zaradczący. Tworzono kolumnę z pięciu sztudebekerów z sowieckimi kierowcami, dodawano do tego pięciu żołnierzy i starszego podoficera i dostawialiśmy rozkazy wyjazdu do któregoś zajętego dotychczas przez naszą załogę majątku na zachodzie. Tam ładowali nam bydło i brzołę zarobkową. Na przewożony żywiec nie mieliśmy żadnych dokumentów, tylko kierowcy mieli obiecano, że jak dowiozą to dostaną po karnistrze spirytusu i wieprza na pięciu. Wyjechaliśmy z Chodzieży wczesnym rano i bez przerwy jadąc na drugi dzień byliśmy za Odrą. Kompania z naszego pułku stała w pięknym majątku jakiegoś niemieckiego barona. Podziwialiśmy obórę, gdzie całe ściany i strop były białymi kafelkami aż pod sufit, a żeby i posadzka była tak czysta, że można było uważać, że nie były wogóle używane. Był to byk wielki czarno-biały. Na sztudebeker zsiadły się tylko trzy krowy i to pierwsza miała głowę nad kabiną, a ostatniej ogon zwisał za tylną burtą. Na samochody wzięliśmy: na dwa sześć krów, na trzeci jednego buhaja, a pozostałe dwa po dwadzieścia loszek i po jednym knurze. Świnie wszystkie były ostrouche i zupełnie jeńskie w wadze choć o stu kilogramów.

W pałacu była sala jadalna ze stołem, przy którym mogło zasiąść wygodnie kilkadziesiąt osób, którego blat był z jednego pnia dębowego. Stół ten otaczały krzesła też z czarnego dębu z wysokimi oparciami wybitymi wytłaczaną skórą. W szczycie stołu stało krzesło - tron z poręczami, obite całe wytłaczaną skórą z herbem na oparciu. Cały sufit zajmował namalowany wielki herb. Był też tam serwis z kutego srebra z półmiskami tak wielkimi, że można było na nich położyć dużego tucznika, do tego misy i talerze ślicznej roboty. Oglądając te bogactwa z zachwytem. Tamte strony od czasów wojen szwedzkich nie widziały wojny i mogli się tam bogacić nie pomiernie. Nasi przodkowie też mieli nie gorsze bogactwa, ale ciągłe wojny i rekwizycje moskiewskie, a potem dzicz bolszewicka zniszczyły zupełnie kresowe dwory - muzea polskie.

Po przenocowaniu i załadowaniu nam przez miejscowych niemieckich robotników, wczesnym rankiem, zabieranego inwentarza, ruszyliśmy w drogę powrotną. Teraz musieliśmy kluczyć i często jechać pulnymi drogami, żeby nie przejechać przez punkty kontrolne sowieckie, bo nie mieliśmy żadnych dokumentów na przewożone zwierzęta, ale kierowcy zgnali takie objazdy, że przy nadłożeniu sporym drogi przejechaliśmy spokojnie. Po drodze nocowaliśmy we wsi, gdzie spotkaliśmy polską rodzinę. Krowy były załadowane po wydojeniu i cały dzień nie jadły i nie piły. Poprosiliśmy gospodarza żeby nakosił i rzucił krowom i świniom koniczyzny, a gospodyni żeby wydoiła krowy. No i z pod każdej krowy kobieta ta wyniosła po dwa wiadra mleka. Moi kierowcy wypili do kolacji po dwa kubki spirytusu i poszli spać. Myśmy też zasnęli. Kierowcy musieli poprawić sobie jeszcze w nocy, bo rano żaden nie mógł się podnieść. Budziliśmy ich kładąc kolejno pod pompę i polewając wodą z pompy po głowie i szyi tak długo, aż sam wstawał. Dwóch z nich nadawało się do jazdy, ale trzech nie było w stanie jechać. Zestawiliśmy więc dwa samochody po dwa i związaliśmy je krótko łańcuchami. Przednim kierował kierowca, a tylny siedział na bardzo krótkim holu. Szatulebekery miały tak mocne zderzaki, że ten sposób mógł być stosowany. Pijanych do nieprzytomności kierowców położyliśmy do kabin, moi żołnierze wsiedli i pojechaliśmy z tym, że dwa samochody prowadzili kierowcy, a trzeci ja sam. Po dwunastu godzinach dojechaliśmy do majątku zajętego przez jedną z naszych kompanii niedaleko Lekka. Tam wszystko rozkładaliśmy, i po przenocowaniu pojechaliśmy do Chodzieży. Tak przejechaliśmy kilkakrotnie, a poza mną jeździli i inni podoficerowie.

W końcu mając zebrał się w Chodzieży cały nasz pułk. Wtedy wyszło na jaw zachowanie się majora Gajcyna. Kolejne wracające z zachodu kompanie zaczęły wprowadzać na stadion sportowy ogródkony wybitym płotem. Tam zaczęły pozostawiać zdobyte motocykle i rowery i stawiać w szereg, potem nastąpiła komenda: "w lewo zwrot i naprzód marsz" i kompanie, wprowadzono ze stadionu, a motocykle i rowery były zabierane do pułkowego magazynu. Tak major obrabiał zdobyte wszystkie kompanie. Cały zabrane żołnierzo i podoficerom majątek był przebrany przez majora i jego świtę i w magazynie pułkowym pozostały tylko małe warte graty. lub zdekompletowane pojazdy.

Po zebraniu się całego pułku, załadowaliśmy się na samochody i żegnając Chodźcisz i poznane tam polskie rodziny, ruszyliśmy na wschód w kierunku Lublina. Jechaliśmy tym razem sztudebekerami z kierowcami sowieckimi, między innymi i z tymi którzy jeździli z nami w "misji specjalnej". Pogoda była śliczna i nikt nie chciał jechać w kabinach, gdzie było gorąco, a wszyscy siedzieliśmy na samochodach. Kierowcy pozdejmowali plandeki i jechali się bardzo przyjemnie. Locowaliśmy w polu i mimo, że nikt z nas nie miał kocy, ani płaszczy-paźetki, wcale nie marzliśmy nakryci tylko płaszcami. Sztudebekery były wspo-niakymi wozami terenowymi, ale miały tą wadę, że "wyłapywały" wszystkie gwoź-dzie i inne kawałki metalu z drogi tak, że kierowcy musieli ciągle zmieniać koła, a wieczorem zamiast kłasić się spać, do późnej nocy wulkanizować dziura-ne dętki i składać koła. Dostawali jedynie kałozuk i robili to w ten sposób, że oczyszczoną dętkę z nałożoną łożką kałozukową kładli na desce pod przed-nim zdorzakiem. Na łożkę nakrytą kawałkiem gazety, stawiali stary tłuok, a na nim lewarek i tak ustawionym podnosili samochód. W ten sposób dobrze przy-ci-skali łożkę. Potem wlewali do tłuoka trochę benzyny i zapalali. Po wypaleniu się benzyny i ostygnięciu tłuoka wszystko zdejmowali i dętka była zawulkani-zowana. Przy umiejętnym posługiwaniu się tym prymitywnym warsztatem można było wulkanizować zupełnie dobrze.

Po przejechaniu Warszawy, w której na Pradze spotkałem kaprala inwalidę bez nogi, którego zranien z widzenia i który był ranny przy forsowaniu Wisły we wrześniu 1944 roku. Kapral ten żebrał o kulach pod kościołem. Rodzinę miał jeszcze na wschodzie i po zwolnieniu z wojska nie miał środków do życia, bo nie miał żadnego wykształcenia, no i żebrał. Jechaliśmy na Lublin i przed Ga-rwolinem mieliśmy nieszczęśliwy wypadek. Sierżant Zaleski miał zdobyczny nie-miecki automat "bergman". leżał ten automat na naszych rzeczach na środku wozu. Oglądałem go tak jak i ja i nikt nie zauważył, że był odbezpieczony. Jeden z kaprali, starszy już człowiek, majstrował coś przy okularach scyzorykiem. Nagle przy jakimś silniejszym podrażeniu wozu na wybojach, automat Zaleskiego wystartował i kula rozbijając okulary i scyzoryk, raniła kaprala w piersi. Rana nie była ciężka, ale bolesna, bo prócz kuli poraniony był odka-kami scyzoryka i okularów. Zatrzymaliśmy zaraz samochód i stanęła reszta ko-lumny. Porucznik Wiśniewski kazał zejść wszystkim z wozu, na którym położyli-smy rannego i kierowca z jednym z oficerów pojechał do Otwocka, gdzie wów-czas mieściło się duże szpitali wojskowych. Myśmy czekali na powrót wozu, a kolumna pojechała dalej. Jeden z sierżantów przeniesionych ze sztabu do na-szej kompanii powiedział, że to ja postrzeliłem kaprala, bo kazałem śpiewać, a on nie chciał. To burałanie było śmieszne, że nie miałem automatu w ręku, ale było mi nieprzyjemnie. Karłow samochód wrócił i po jakimś czasie dogoni-liśmy kolumnę.

Nasza kolumna samochodowa, którą jechaliśmy była nominalnie jednostką WP, ale była całkowicie obsługiwana przez personel sowiecki - i kierowcy i dowodzący nią oficerowie byli krasnoarmiejcami nawet nie przemundurowanymi w polskie mundury. Takich jednostek "polskich" było wtedy, zwłaszcza technicznych,

bardzo dużo.

Na Lubelszczyźnie zaskoczyła nas wręcz wroga wobec nas postawa ludności. Była niedziela i szosą szło dużo ludzi z kościoła, a wśród nich sporo młodzieży. Kilku naszych podoficerów, korzystając z tego, że jechaliśmy akurat bardzo wolno, zeskoczyło z wozów i starało się nawiązać przyjaźnielską rozmowę z idącymi drogą dziewczętami. Jedna z nich niesła duży bukiet róż i nasz plutonowy przysadzał się żeby mu dała różę. Dziewczyna oburzona odpowiedziała złym głosem, że z wojskiem ludowym nie zawiera znajomości. Wyglądała tak, jakby chciała wymierzyć policzek plutonowemu. Nikt z idących nie pozdrowił nas ani nie odpowiadał na wesołe zaczepki naszych żołnierzy. Dopiero w Lublinie kilka kobiet podeszło do nas, gdy zatrzymaliśmy się na chwilę i zapytało czy my jesteśmy z 3-ej Dywizji, bo zawiadomili je o mającym ją nastąpić jej ~~przejeździe~~ przejeździe przez Lublin i chciały powitać żołnierzy. Tych kobiet zresztą im też było nie wiele. Pozostali przechodnie na ulicach Lublina zachowywali się wobec nas zupełnie obojętnie, tak jakby nas nie zauważali.

Po prznocowaniu na Majdanku, następnego dnia już po południu dojechaliśmy do Hrubieszowa i zatrzymaliśmy się w koczarach zajmowanych przed wojną przez 2-gi pułk strzelców konnych, a w tym czasie stał tam 4-ty pułk ułanów. Mieli otoki takie jak przedwojenny 4-ty pułk ułanów i jeździli na akcje przeciw UPA na południe od Hrubieszowa. Część koczarek odstąpionych naszemu pułkowi miała tylko gołe łózka piętrowe bez ścianek. Myśmy też nie mieli pościeli ani kocy i pierwszą noc przespaliśmy na gołych deskach, przykryci płaszcami. Następnego dnia chcieliśmy wyjść na miasto i w bramie warta 4-go pułku nie puściła nas bez przepustki. Sztab pułku i porucznik Wiśniewski zekwaterowali w mieście i nie mogliśmy uzyskać tych przepustek. Tymczasem Staniszek miałjechać do miasta sztudefakerem z mąką do piekarni na chleb dla naszego pułku. Żołnierze zażądowali mąkę i my wpadliśmy na pomysł, żebyjechać z nią samochodem zamiast żołnierzy. Wyjechaliśmy bez trudności z koczarek i pojechaliśmy do wskazanej Staniszkowi piekarni przez szefa szwadronu ułanów. Piekarnia mieściła się w wąskiej uliczce przy rynku. Zdjęliśmy mundury żeby ich nie zamyczyć i razem ze Staniszkim znieśliśmy mąkę do piekarni. Gdy już kończyliśmy, w drzwiach stanął jakiś osobnik w mundurze wojskowym bez odznak i ostro zapytał najbliższego stojącego Staniszka: "kto wy za jedni", a na to Staniszek odpowiedział mu: "nieważ powiedz ktoś ty za jeden, a potem dopiero pytaj". Na to on ostro: "jak pytam to odpowiadaj". Na to Staniszek już bez pytania wyrzucił go w mordę tak, że koziołkiem wyleciał za drzwi. Myśmy skończyli, Staniszek uzgodnił termin odbioru chleba i cęga za wypiek i ubrawszy się wyszliśmy na rynek. Zaraz z brzegu była knajpka, do której weszliśmy i wzięliśmy pokufku piwa. Siedzieliśmy przy jednym stoliku i popijaliśmy, gdy w oknach otwartych na oścież i w drzwiach stanęło kilkunastu umundurowanych, a kilku z nich, z tym co był w piekarni, podeszło do naszego stolika i obstąpili nas dookoła. Przy Staniszkowi stanął ten co już od niego dostał. Staniszek spokojnie powiedział żeby odstąpili od stolika, bo nie widzi czy mucha nie utepiła się w piwie, a jak chcą się napić piwa to mają inne wolne stoliki. Oni zamiast

odejść podsunęli się jeszcze bliżej. Wtedy my jak na komendę złapaliśmy pistolety i zerwaliśmy się z miejsca. Pistolety trzymaliśmy za lufy i każdy swego od razu uderzył i zaczęliśmy ich prać niczem Sienkiewiczowsy Ilonlicze. Oni z miejsca zaczęli się cofać mimo swej przewagi liczebnej i wypadli z knajpki na rynek, a my za nimi i praliśmy bez przerwy każdego, który tylko podłazł pod rękę. Trzeba zaznaczyć, że my bijąc kolbami pistoletów od razu ich mocno pokrawiliśmy, bo biliśmy ich po mordach. Oni pomimo, że było ich kilkunastu na nas pięciu nie stawiali większego oporu i wiali w stronę budynku zajętego przez UB, a my jechaliśmy na nich przez cały rynek, aż pod sam ich urząd. Oni schronili się do budynku, a my wróciliśmy dokończyć swoje piwo. Gdy siedliśmy, wparowała do nas tego właścicielka knajpki z tacą, na której noszą litr wódki, kieliszki i zakąski. Postawiła to na naszym stole i powiedziała żebyśmy wypili na jej konto za to, że zrobiliśmy im takie piękne widowisko piorąc ubiaków. Naturalnie nie wyleliśmy tej wódki, a potem cały czas naszego pobytu w Hrubieszowie mieliśmy w tej knajpce zawsze dobre przyjęcie.

W kilka dni po tym pojechaliśmy pierwszy raz w teren do Bełża. Jechał cały nasz batalion z bronią maszynową i granatnikami, bo miejscowe władze obawiały się napaści oddziałów UPA na Bełż, z uwagi na to, że na bocznicę w Bełżu zebranych było bardzo dużo ukraińskich rodzin przesiedlanych siłą do Związku, a ochrony było tam bardzo mało. Droga przeszła spokojnie i po południu stanęliśmy w Bełżu. Od razu zajęliśmy stanowiska na skraju osiedla dookoła stacji i staliśmy tam przez całą noc. UPA miało dobry wywiad wśród miejscowej ludności i naturalnie nie zaatakowało. Na drugi dzień podstawili wagony i załadowali przesiedleńców, a gdy pociąg odszedł na zachód, wysłaliśmy zwinęli obronę i pojechaliśmy spowrotem do Hrubieszowa.

Z naszego pułku najlepiej uzbrojoną i amunitionowaną kompanią była 6-ta chorągiew Paproty. Był to partyzant z AK, który całą wojnę przesiedział w lesie i był typem Kłocika. Z pierwszej wojny miał dziurę w środku czoła i nosił sumiaste włosy. Nikomu nie dał się "w kaszy zjeść" i bardzo dbał o swoich żołnierzy. Miał zdobyte dwa Adlery półpancerne, jakimi jeździli wyżsi oficerowie Niemcy, i na nich zamocowane ckm-y. Poza tym dużo karabinów maszynowych różnych typów, moździerzy, granatników i różnej broni maszynowej, a nawet dwa działka plot 20 mm niemieckie. Do tego miał tyle amunicji, że mógł prowadzić kilkudniową bitwę bez uzupełnienia. Wszyscy jego żołnierze mieli sukienne polskie mundury i dobre buty i najlepiej się prezentowali zśród wszystkich kompanii. Wogóle w naszym pułku jeśli był dobry dowódca i dbał o żołnierzy to i kompania miała dobry wygląd. Najgorzej natomiast wyglądała 3-ia kompania, gdzie dowódcą był porucznik zupełnie ofermowaty, starszy już wiekiem sefanducha. Żołnierze w tej kompanii chodzili obdarci i stale głodni.

Po tym pierwszym wyjeździe, przez jakiś czas jeździliśmy do Bełża i Zabuża pod sokalem i konwojowaliśmy transporty zboża zebranego tam zimą i nie wywiezionego z braku wojska do zabezpieczenia transportów przed napadami UPA. Mój pluton miał cztery lkm-y i stale jeździłem na końcu kolumny i kieraliśmy zepęte w drodze wozy. Za nami nie mógł nikt zostać.

Zboże to konwojowaliśmy do magazynów w Zamościu. Cały jeden kurs trwał dwie do trzech dob. Wyjeżdżaliśmy z Hrubieszowa rano po śniadaniu i zejeżdżaliśmy na miejsce załadunku pod wieczór. Przejazd trwał tak długo, bo dużo mostów było zerwanych i przejeżdżało się po prowizorycznych przeprawach, a poza tym jechaliśmy wolno żeby się nie rozciągać w kolumnie i trzeba było uważać na ewentualne miny założone na naszej drodze przejazdu przez UPA. Na miejscu nie mieli być zabezpieczeni ludzie do załadunku, ale nie zawsze tak było. Nocowaliśmy przed lub po załadunku, śpiąc na zbożu lub pod samochodami na ziemi, a rano jechaliśmy, omijając Hrubieszów, do Zamościa. Ten przejazd też trwał prawie do wieczora. W Zamościu różnie bywało z rozładunkiem i często musieli rozładowywać je żołnierze. Często przewoziliśmy luzem nasypane w skrzyniach wozów, a ładowane i rozładowywane przenosząc zboże w skrzyniach-nosiłkach, co przedłużało oprócz. Po zdaniu zboża wracaliśmy do Hrubieszowa już nie czekając na całą kolumnę, i tam dostawaliśmy kolację lub śniadanie, zależnie od tego kiedy dotarliśmy do koczar. Pułk dostawał prowiant dla całego stanu, a nam na drogę nie dawano nic i nie jechaliśmy z nami kuchnie polowe. Cały ten zaszczydzony prowiant dowództwo pułku sprzedawało na swoje konto i dobrze z tego żyło, a żołnierz nie raz przynierał głodem. Gdy dowódca dbał o swoich żołnierzy i umiał zdobyć żywność, to jakoś było znośnie, ale byli tacy jak dowódca 3-ej kompanii, który po przyjeździe do Bołza spokojnie siedział na kwatery do księdza i tam zjadał smaczne posiłki, a swoich żołnierzy zostawiał na nocleg w samochodach głodnych. Pomiędzy, jak już wspomnieliśmy, między kompaniami, często jeździłem z innymi kompaniami dla ich wzmocnienia, bo po kilku pierwszych wyjazdach całym batalionem, dowództwo pułku uznało, że nie ma strachu i posyłał w konwoje poszczególne kompanie, z tym że samochody ze zbożem były właściwie bezbronne, bo kierowca nie miał wcale broni, a z nim jechał jeden żołnierz z karabinem i kilkoma nabojami. Dlatego dodawali do takiej kompanii pluton karabinów maszynowych. Gdy jechałem z taką kompanią, dwa lkm-y stawiałem na przedzie kolumny na pierwsze dwa wozy, a z pozostałymi dwoma jechałem na dwóch ostatnich. W którejś z przejeżdżanych wsi zatrzymałem swoje wozy i zabezpieczywszy je lkm-ami, siedziałem z któryms z żołnierzy po chatkach i zabierałem wszystko co nadawało się do jedzenia bez gotowania. Czasem były to gotowane pierogi, jajka, chleb i bułki pieczone przez ukraińskie gospodynie na słodko z wiśniami słodzonymi miodem, a czasem miód. Latowali że był to zwykły rabunek, ale coś musieliśmy jeść. Utażło się między nami pojęcie, że nie wolno brać rzeczy, bo to jest rabunek, ale żywność była z tego pojęcia wyłączona. Najczęściej oprócz mojego plutonu, korzystali z tej żywności i żołnierze innych kompanii, którzy jechali z nami. Któregoś razu gdy jechałem z 3-cią kompanią do Bołza, po przyjeździe na miejsce okazało się, że nie ma ludzi do załadunku, bo porostu nie przyszli. Dowódca kompanii najspokojniej dał rozkaz żeby żołnierze sami ładowali. Boże leżało tam w budynku dawnej bożnicy żydowskiej, w dalszych pomieszczeniach z których trzeba było wynosić zboże w skrzyniach-nosiłkach przez kilka wyscików progów. W takiej skrzyni mieściło się sto kilogramów zboża. I na każdym

samochodzie był tylko jeden żołnierz, a ładowaliśmy po trzy tony żywności tak, że w tym wypadku każdy żołnierz musiałby przenieść po sześć ton. Żołnierze, między którymi dużo było starszych już ludzi, niechętnie szykowali się do tej dodatkowej pracy i dowódca kompanii wraz ze swoim zastępcą chorążym Wernerem Żydem, zaczęli ich poganiać. Na to krzyknąłem: "żołnierze na moją komendę kłóć się i odpoczywać". Wziąłem swoich żołnierzy i wypytawszy skąd mieli przyjść do załadunku, pojechałem do tej wsi trzema wozami i zrobiliśmy normalną łapankę. Braлиśmy wszystkich spotkanych mężczyzn, kobiety i dziewczyny z zagrod i z pola tak, że w krótkim czasie mieliśmy pełne wozy. Już wozy zawracały i mieliśmy wracać, gdy stojąc przed samochodem zobaczyłem jak jeden chłopak zeskoczył z samochodu i zaczął uciekać. Skoczyłem za wóz i krzyknąłem "stój". Wzięła mnie taka złość, że już przed odjazdem pokłóciłem się z porucznikiem, że zupełnie się wścickłem i sprąłem chłopaka automatem trzymając za lufę. Jeden z moich plutonowych wyrwał mi automat, bo już chciałem strzelać. Byłem taki rozwścieczony, że musiał mi moi uspakajać. Po tym już nikt nie chciał próbować ucieczki. Wróciliśmy do Bełza i przywiezieni ludzie szybko załadowali nam samochody. Po powrocie do Hrubieszowa porucznik słożył na mnie meldunek do sztabu pułku, że buntuję na żołnierzy, ale kapitan Susin tylko powiedział, że nie umie dowodzić. Fakt był taki, że jego żołnierze wszystko wykonywali na mój rozkaz, a jego nie chcieli słuchać.

Któregoś razu gdy jechaliśmy do Bełza zatrzymałem jak zwykle wozy we wsi i poszedłem szukać żywności. Wieś była już prawie pusta, bo już dużo z niej wysiedlili. W jednej zagrodzie, gdzie stało około stu pszczoł, znalazłem bankę miodu i zabrałem ją. Poszedł ze mną plutonowy z innej kompanii i on powiedział gospodarzowi, że będziemy tąd wracać o 6-ej po południu i żeby przygotował mi bankę miodu. Obrugałem go za to, ale już się stało. W innej chacie, gdzie była kobieta z kilkorgiem dzieci, natknąłem się na pieczenie bułek z wiśniami. Zaprowadził mnie tam rozchodzący się zapach pieczywa. Blachy z upieczonymi bułkami stały już na stole. Było tego z dwóch wypieków w dużym chlebowym piecu. W piecu piekł się trzeci, a na blachach przygotowany był czwarty wypiek. W dziurze było jeszcze ciasto na dalsze. Zapytałem kobiety dla kogo tyle piecze i odpowiedziała mi, że dla swoich dzieci i dla siebie. Śmiać mi się chciało, bo było tego na całą kompanię. Poczekałem aż te w piecu upiekły się i zabrałem wszystkie upieczone. Powiedziałem przy tym kobiecie żeby podziękowała ode mnie sotni za przygotowanie dobrego jedzenia. Mieliśmy miód i bułki. Gdy zajechaliśmy do Bełza rozdałem bułki moim ludziom i wszystkim starszym z towarzyszącej nam kompanii. Trochę był przy moim samochodzie jak na odpuszcie. Tym razem było dużo ludzi do załadunku i wyjechaliśmy z Bełza już o zmroku. Jechałem jak zwykle ostatnim wozem i zostaliśmy w tyle, bo zatrzymaliśmy się przy zepsutym wozie i czekaliśmy aż go naprawią. Dalej jechaliśmy we dwa wozy. W dużej wsi kościelnej Lyców, w której zbiegały się szosy z Bełza i Skala, zatrzymali nasze wozy kozacy. Byli bardzo wzbudzeni i zabierali się żeby nas rozbroić. Oba nasze wozy obiegł ich tłum i już włożyli na wozy i łapanali za lufy. Ani ja, ani Wasilewski - celowniczy lkm-u, nie mogliśmy strzelać

bo było ich za dużo i za blisko, a my staliśmy na skrzydłach wozów niczym nie zasłonięci więc roznieśliśmy nas na strzepy w mgłoniu oka. Zobaczyłem stojącego z tyłu oficera i zacząłem rugać po rosyjsku za zatrzymanie i zapytałem go "jowźeli tawariszcz Stalin wieliek wam razarużać sajuźników?". Imię Stalina i czyste rosyjska mowa z odpowiednią wiązką sybirskich przekleństw poskutkowało. Oficer krzyknął na swoich kozaków żeby przestali i powiedział, że nasi żołnierze rozbroili mu pół sotni i dlatego kozacy są tacy rozwścieczeni. Powiedziałem mu, że mogli to być inni żołnierze w polskich mundurach, ale nie nasi, bo my jedziemy z Bełża i nic nie wiemy. Po kilku jeszcze upewnieniach puścili nas wreszcie, ale ja, moi żołnierze i kierowcy, których już wyciągali z kabiniek, mimo chłodu wieczornego mieliśmy zupełnie mokre koszule. Gdyby nas rozbroili, nie wiadomo co przyszłoby im do głowy zwłaszcza, że zupełnie przyjaźnie rozmawiali z miejscowymi Ukraińcami, pomiędzy którymi było dużo ochotników UPA będących wszędzie w terenie na zwiadach.

Gdy dojechaliśmy do wsi, gdzie rano brałem miód i bułki zobaczyliśmy spaleniem zamiast chat i ślady niedawnej walki. Po doznaniu naszej kolumny dowiedziałem się, że spóźnienie nas uratowało, bo była zasadzka w tej wsi i to prawdopodobnie właśnie na nas. Był to skutek wypowiedzi głupiego plutonowego, któremu chciało się miód i powiedział, że o 6-tej wieczorem będziemy tędy wracać. Właśnie o 6-tej jechał samochód z NKWD-istami z Sokala i ich zasadzka zaatakowała. Ciężko ranili majora NKWD i kilku innych i zaczęła się bezładna strzelanina. Uratowało NKWD-istów to, że zasadzka za wcześnie otworzyła ogień. Na tę strzelaninę od strony Hrubieszowa nadjechali kozacy i rozwinięszy się w tyralierę stworzyli ogień. Na to z przeciwka, od strony Sokala nadjechała bateria szkoły oficerskiej z Chełma, która była w terenie na ostrym strzelaniu. Podchorążacy rozwinięli się w tyralierę i otworzyli ogień po wszystkich już tam obecnych, bo i UPA-owcy mieli częściowo mundury sowieckie. NKWD-isci i kozacy zaczęli wołać o przerwanie ognia i podnosić ręce. Podchorążacy rozbroili wszystkich, zabrali co lepsze buty i pasy, jeden ckm NKWD-istów i odjechali. Samochód NKWD był postrzelany ale nie uszkodzony, więc zabrali rannych i pojechali do szpitala do Hrubieszowa. Na zakończenie tej akcji wjechała nasza rozciągnięta kolumna już nie zaczepiana przez nikogo. Od ognia maszynowego zapaliły się słomiane strzechy chat i pożar strawił dużą część wsi, bo nie było konu go gasić. Zasadzka w tej wsi miała wszelkie cechy powodzenia, bo szosa wiała się tam w wąskim i głębokim jarze, którego stoki obrosnięte były gęstą tarniną, a po środku wsi płynął głębokim korytem strumień, na którym był zerwany most i przejeżdżało się po mocno prowizorycznej przeprawie. To zmuszało kierowców do bardzo wolnej jazdy, która stwarzała bardzo dogodne warunki dla zasadzki. Tylko dzięki zżemu dowódzeniu zasadzką, nie powiodła się im i zginęło kilku UPA-ców, a tylko kilkunastu sowieców było rannych. Nas uratowało spóźnienie i nie mieliśmy wogóle strat.

Jeszcze raz miałem innym razem szczęście na tej trasie. Jechaliśmy dwoma samochodami ze zbożem daleko w tyle za kolumną, bo czekałem na zepsuty samochód, i jechaliśmy akurat w niewielkim wykopie, gdy dostaliśmy ogień maszynowy z

lasu położonego niedaleko od szosy z prawej strony. Kierowcy zatrzymali wozy i wszyscy momentalnie znaleźliśmy się w rowie. Serie podziurawiły bory samochodów i zboże sypało się na szosę. Myśmy otworzyli ogień z obu lkm-ów i tak dość długo trwała wymiana ognia. Byłem w kłopotach, bo w miejscu gdzieśmy stali skarpa wykopu, w którym biegła szosa, zasłaniała wozy tak, że silniki i koła były bezpieczne, ale nie mogliśmy ruszyć dalej, bo skarpa zaraz się kończyła i wystawilibyśmy całe samochody pod serie UPA-owców. Zbliżała się noc i każdej chwili mogli nas ostrzelać z drugiej strony szosy, lub podejść, korzystając z nadchodzących ciemności. Na nasze szczęście w kolumnie usłyszeli strzasy i kilka wozów z żołnierzami zawróciło na pomoc, a załadunek widząc nasz ogień i słysząc nadchodzącą pomoc zrezygnowała z napadu i odeszła w głąb lasu. Wtedy myśmy skorzystali z przerwy w ogniu i szybko odjechali. Nie mieliśmy strat w ludziach, tylko wysypało się zboże z podziurawionych skrzyń.

Pomiędzy konwojami mieliśmy wyjazdy w teren całym batalionem do miejscowości gdzie byli ostrzelani ukraińscy prowadzący wysiedlenie Ukraińców pod przymusem na wschód do sowieców lub na ziemie odzyskane. Oni jeździli zwykle w sile szwadronu i bez ciężkiej broni i wprawdzie było tak, że nie wpuszczali ich do wsi, bo gdy się do niej zbliżyli dostawali ogień maszynowy i musieli odstępować. Byliśmy w kilku takich wsiach. Zwykle na takie akcje jechaliśmy sztudebkerami i kolumna przed wsią od razu rozdzielała się na dwie i otaczała ją jadąc na przełaj po polach z obu stron. Taki szybki manewr zaskakiwał i powodował masową ucieczkę. Na takie akcje zawsze jechali z nami miejscowi Polacy na przewodników. Kiedyś tak otoczyliśmy dużą wieś, w której stała duża cerkiew grecko-katolicka i były ruiny rozebranego w czasie okupacji niemieckiej murewanego kościoła. Prowadził nas do tej wsi młody milicjant pochodzący z tej wsi. Teren wokół wsi był pofalowany i przecięty kilkoma jarami tak, że samochody nie mogły objechać całej wsi dookoła i pozostał korytarz w zagłębieniu terenu, którym uciekali pieszo i końmi. Nasi żołnierze dopadli czterech uciekających wozem młodych chłopów. U jednego z nich znaleźliśmy rosyjską broszurę "Nastawienie po strzałkowemu dziełu" czyli instrukcję użycia broni, a broni przy nich nie znaleźliśmy. Było pytanie: po co chłopu taka instrukcja? Zabraliśmy z sierżantem Zaleskim tą czwórkę i poprowadziliśmy do samochodów, które już zjechały na plac w środku wsi. Obaj bracia Subocz, którzy tego dnia kucharyli w naszej kompanii, postawili już kocioł i rozpalili pod nim ogień. Koło nich stał milicjant - nasz przewodnik. Gdy zbliżyliśmy się do nich milicjant pobrał, podszedł do tego, który miał instrukcję i powiedział do niego: "czy ty pamiętasz jak mordowałeś moją rodzinę?" Zapytany zaczął zezować i kręcić się, a milicjant powiedział nam, że ten osobnik był podczas okupacji niemieckiej komendantem milicji ukraińskiej i w dzień siedział ze swoimi milicjantami na posterunku, a nocami mordował kolejno polskie rodziny w tej i okolicznych wsiach. On też rozbierał kościoły i postawił z cegły z kościoła u siebie oborę. Pelek Subocz akurat mieszał łopatką drewnianą w kotle i jak to usłyszał wyróżnął Ukraińca przez plecy tą łopatką tak, że od razu go powalił na ziemię. Był w naszej kompanii plutonowy z 27 pułku ułanów, który był tak spokojnym i

eichym człowiekiem ~~ty~~, że trudno było go rozgrywać i on po usłyszeniu opowiadania milicjanta wpadł w taką złość, że całe kulaki sobie pokaleczył bijąc nimi po mordzie tego drania. Wtedy zrozumiałem, że każdego praktycznie człowieka można doprowadzić do tego, że będzie znęcał się nad drugim. Trzeba tylko jego poglądy, pochodzenie czy inne odrębności, człowiek staje się powoli bestią, bo zło w nim potęguje się w miarę narastania nienawiści. Ja sam nienawidząc nożem ze śmiechem strzelać do uciekających przed nami ludzi nie pytając kto oni są i czy naprawdę są winni.

Wyjeżdżając z tej wsi zabraliśmy tych czterech zatrzymanych, a gdy odjechaliśmy kawałek w pole, porucznik Wiśniowski zatrzymał kolumnę i kazał wyprowadzić tych trzech, u których nic nie znaleziono. Za ostatnim samochodem zatrzymał ich, a Zaleski ja i Grydź zbiliśmy ich tam dokumentnie. Być może byli to ludzie niewinni i tylko ze strachu przed nami uciekali, ale nam wtedy było to obojętne - uciekał to znaczy czuje się winnym. Tak to ci, których we własnych stronach bili i strzelali sowieci, wzięci do wojska i odpowiednio nasyceni przez odpowiednią propagandę nienawiścią, byli gdzie indziej używani do bicia i strzelania do być może spokojnej ludności. Władze sowieckie posyłały nas na Ukrainców i rozniecały wśród nas swoją propagandą nienawiść do naszych pobratymców, a sami strzelali i mordowali naszych braci w tym samym czasie na innych terenach. Tak to dewiza "dziel i rządź" była praktycznie przez nich stosowana. Później dowiedziałem się, że gdy myśmy złapali jakiegoś działacza OUN czy UPA przekazywaliśmy go w Hrubieszowie NKWD, a oni po kilku dniach wypuszczali go na wolność. Dopiero gdy w 1946 roku doszło do zawieszenia broni i rozgraniczenia terenów działania pomiędzy UPA i WIL-em, co praktycznie kończyło wzajemne mordowanie się podziemia, sowieci zabrali się energicznie do wyniszczenia UPA po polskiej stronie.

Innym razem posłali nas na południe od Bełża. Jechaliśmy sztudebekerami w trzech kompaniach. W jednej wsi wogóle nikogo nie było. Dosłownie jak wymarła wioska. Drewniane domy kryte strzechą były jak niedawno opuszczone, nawet psów i kociąt nie było widać. Obory też były zupełnie puste. Według danych władz cywilnych z tej wsi nikogo jeszcze nie wysiedlili, więc cała ludność wraz ze swoim inwentarzem koczowała w lasach. Pojechaliśmy dalej i dojeżdżając do dużej wsi dostaliśmy z boku serię z lkm-u. Wszystkich jak zmiotko z wozów i od razu ruszyliśmy tyralierami do otoczenia wsi. Jedni pobiegli w prawo, inni w lewo. Szedłem z Kaczyńskim - celowniczym "dziekióra" czyli sowieckiego rkm-u talerzowego i z Redziem - celowniczym lkm-u niemieckiego MG-43. Zbiegliśmy bok wsi i zobaczyliśmy jak ze wsi do pobliskiego lasu gnęły tyraliery ludzi. Biegły przez wysokie zboża i nie można było odróżnić kto uciekał. Kaczyński będąc bliżej położył się na kopce siana i zaczął strzelać krótkimi seriami, ale słońce zasłaniało mu cel i górował. Uciekające tyraliery szły pod tym ogniem krótkimi skekami. Wyglądało na to, że był to wyćwiczony oddział. Wziąłem od Kaczyńskiego "dziekióra" i stojąc z wolnej ręki próbem za uciekającymi drugimi seriami. Kaczyński podawał mi tylko dyski, które wraz z amunicją szybko

kałowali. Gdy tyraliery skryły się w lesie przerwałem ogień i oddałem broń Maczyńskiemu. Nic chodziliśmy sprawdzać skuteczności ognia, tylko zrewidowaliśmy najbliższe gospodarstwa. Przez to, że zatrzymaliśmy się za wcześnie nikogo nie zatrzymaliśmy. We wsi zastaliśmy tylko kobiety i dzieci, a mężczyzn, poza kilku starcami, zupełnie nie było. Na nocleg wróciliśmy do Beżza, bo na takiej wsi można było spodziewać się napadu i spalenia samochodów. Któregoś razu pojechaliśmy za Beżz na południe wzdłuż Szokicji, czyli wzdłuż ówczesnej granicy. We wsi do której nas posłano podpadł mi jeden chłop w średnim wieku. Miał przeciętne gospodarstwo, ale czegoś kręcił się ciągle koło swojej stodoły. Zrobiliśmy w tej stodole rewizję i znaleźliśmy w zasięgu podplecionkami z żoły, na których leżało trochę słomy, skrzynie z rzeczami wyraźnie pochodzącymi z rabunku. Były tam różne rzeczy, odzież, płócienne rączniki, prześcieradła i całe zwoje płótna lnianego w takich ilościach, że wielokrotnie chciałem ucickać, ale żołnierze go przytrzymali. Pytany skąd na te dobro odowiedział, że to jego i że schował, bo bał się pożaru. Głupie było tłumaczenie, że gdyby zapaliła się stodoła to wszystkie te skrzynie spaliłyby się odrazu. Wziąłem chłopca, kazałem mu zabrać łopatę, wyprowadziłem go za stodołę i kazałem mu kopać mogiłę dla niego. Musiał położyć się na ziemi i odmierzyć dłużej nad nim z automatem i bawiłem się bezpiecznikiem. Powiedziałem mu, że jak nie wyda wszystkich swoich schowków, to będzie leżał w tym grobie, który sobie kopie. Po jakimś czasie powiedział, że po drugiej stronie, gdzie było wiązanie słomy, są też schowane skrzynie. Zaprowadziłem go do stodoły i kazałem mu odkopać te schowki. W sumie było tych skrzyń tyle, że załadowaliśmy je z ledwością na dwa samochody. W niektórych były kożuchy myskie i kobiece, oraz różnych nam milicjantów z Beżza chciał brać sobie część tych rzeczy, ale oberwał i odstąpił. W Beżzie oddaliśmy wszystkie te rzeczy za pokwitowaniem wójtowi na pomoc dla potrzebujących polskich rodzin. W samym Beżzie był kiedyś duży klasztor, który został spalony przez Niemców, gdy palili żydowskie domy w mieście. Do lochów wiodło zejście do połowy zasypane gruzem. W samych lochach było pełno rozsypanych kości, powywracanych trumien, częściowo porozbijanych i kilka stojących w całości. Rabusie pozabierali stare metalowe trumny, a kości z nich rozsypali po podłodze. Był w naszej kompanii kapral Z... pochodzący z pod Łytomierza, który interesował się starymi budowlami i wszedł w najgorsze dziury jeśli uważał, że zobaczy tam coś ciekawego. Nikt nie wiedział jak wszedł do tych lochów, gdy staliśmy koło nich. W tym czasie podoficerowie zaczęli przesławać się jeden z drugiego, że boją się duchów i od słowa do słowa zaczęli się, że wjdą do tych lochów pełnych szkieletów i wytrzymają tam dłużej od innych. Poszło kilku i mimo nieźlego wrażenia udawali odważnych. Gdy byli już głęboko w ciemnym lochu, kapral Z... który był tam wcześniej, załomotał wielkim trumny i zaryczał piekielnym śmiechem. Lasi "bohaterowie" rzucili się jak jeden do panicznej ucieczki do wyjścia

i wyprzedzali się po osypujących się gruzach. Gdy wygrumolili się wreszcie z tych lochów byli sino bladzi i ledwo łapali powietrze. Po pewnym czasie zjawiał się kapral Z... i gdy okazało się, że to on ich tak nastraszył, o mało go nie zbili. Cała kompania miała z nich świetną zabawę.

Poza tym zrujnowanym klasztorem, była w Beżwie kiedyś przepiękna, a w tym czasie już mocno zniszczona bożnica żydowska w stylu renesansu, podobno z XVI w. Przed wojną mieszkał przy tej bożnicy sławny na cały żydowski świat stary cadyk czyli coś w rodzaju żydowskiego biskupa. Był uważany za bardzo mądrego i po trosze jasnowidza. On podobno przepowiedział przed wojną, że Żydzi wyginą w Polsce, gdy wyginą kuropatwy, a te wyginęły prawie całkowicie podczas zimy 1939-40 roku.

Miejscowi mieszkańcy opowiadali mi, że gdy Niemcy z sowietami ustłili granicę na Sołkicji jesienią 1939 roku, już podczas pierwszych mrozów spędzili wszystkich Żydów z Beżwy i pognali ich przez Sołkicję na sowiecką stronę mówiąc im, że chcą przyjscia sowietów więc niech do nich idą. Tymczasem pogranicznicy sowieccy nie puścili tych Żydów i zapędzili ich spowrotem do Niemców i tak długo pędzili tych ludzi tam i spowrotem przez wezbraną rzekę, aż wszyscy potopili się.

Był w Beżwie jedyny ocalały w nim Żydek - fotograf. Nawet nie wiem jakim sposobem uniknął on śmierci. Miał archaiczny aparat i marny papier, ale robił z zamiłowaniem wszystkim fotografie i to bardzo tanio. Zrobiliśny u niego też kilka zdjęć pojedynczych i grupowych.

Kiedyś poszali nas do Krystynopola. Była to wówczas mała miejscowość - polska placówka nad samym Bugiem, oddzielona od reszty Kraju terenami opanowanymi przez UPA. Ponieważ zebrało się tam sporo mieszkańców okolicznych wsi, więc nie było widać braku pomordowanych przez Niemców Żydów - stałych mieszkańców miasteczka przed wojną. Było tam sporo ukłdzieży, a miejscowa ludność witała nas przychylnie. Żyła tam wtedy kobieta, której Bulbowcy wynordowali całą łączną rodzinę na jej oczach w jej gospodarstwie za Bugiem i która od tego czasu miała pomieszane zmysły. Cały czas była wesoła i chętnie rozmawiała z każdym kto chciał z nią mówić, ale mówiła nie składnie i mieszała rzeczywistość z jakimś najaczeniem do robiła bardzo przykre wrażenie. Tylko nigdy nie wspominała o swojej tragedii tak jakby tego zupełnie nie pamiętała. Żyła na łasce ludzi, bo nie nie robiła i nie nie miała.

Pałac w Krystynopolu, kiedyś własność książąt Wiśniowieckich, był mocno zrujnowanym, lecz jeszcze ładnym zabytkiem architektury. Miał mocno zniszczony park schodzący do samego Bugu tarasami. Lasi żołnierze poszli się wykąpać w Bugu i mało ich nie zagarnęli sowieccy pogranicznicy. Gdy tylko weszli do wody, sowieci wyskoczyli z ukrycia po drugiej stronie i zaczęli krzyczeć żeby zaraz wychodzili na ich brzeg grożąc użyciem broni. Na szczęście na naszym brzegu byli jeszcze nasi i ustawivszy linę zagrozili pogranicznikom, że będą strzelać w razie nie puszczania naszych, którzy byli w wodzie. Przy ostrej wymianie przekleństw nasi wrócili' cali na nasz brzeg, ale dalszej kąpieli już nie było. Taka to była nasza "pryjsza".

W tymczasem kapral Z... zauważył wyrwę w resztkach obornego muru z boku pałacu, prowadzącą do podziemi pod podwórkiem a pałacem i wszedł tam swoim obyczajem, jak zwykle ciekaw dawnej architektury. Łaził w tych podziemiach ponad godzinę i już balił się, że go gdzieś tam zawaliło. Gdy wyszedł, cały był osypany miazgą z gruzu, ale zadowolony i mówił mi, że w środku były jeszcze całkiem dobrze zachowane podziemia, ale zupełnie puste.

W tym wyjeździe nagle nasz batalion przerwali do Krasnego Stawu. Gdy stanęliśmy przed szkołą, w której mieliśmy zakwaterować i wyszedłem z kabinki, podszedła do mnie młoda cyganka i z wyraźnym cygańskim akcentem powiedziała: "daj mi rękę to ci powiem przyszłość, a jak prawdę ci powiem to położysz na niej dziesięć złotych". Zaśmiałem się z tego i chciałem jej wróżyć. Patrząc na moją prawą rękę mówiła mi przeszłość z imionami. Powiedziała, że byłem daleko na wschodzie z matką, że tam byłem bliski śmierci, że z tamąd poszedłem do wojska, że w ziemi niedaleko z tą poznałem dziewczynę Marysię i ona ~~zginęła~~ do mnie pisze, ale jej już nie zobaczę więcej. Mówiła, że miałem siostrę Jadwigę i ona zginęła podczas wojny w swoich stronach. Ja przyszłość powiedziała, że już niedługo wyjdę z wojska i osiedlę się nad wielką wodą i tam będę blisko śmierci, ale wyjdę z tego cało i tam ożenię się i będę miał córki. Powiedziała, że będą dwa razy żonaty. Nie pamiętam już dokładnie wszystkiego, ale co do przeszłości to wszystko było zgodne z prawdą. Wtedy nie powiedziała mi nic o Tatusiu. Potem z wszystkim po kolei wróżyła i wszystkim mówiła przeszłość z detalami i imionami bliskich. Nawet jednemu, który występował pod nazwiskiem przybranym podczas wojny, powiedziała jak naprawdę się nazywa. Byliśmy w tych stronach pierwszy raz i nie mogła tego wiedzieć od kogoś kto nas znał. Po kilku dniach spotkałem ją jeszcze raz i powiedziałem jej, że mi wszystkiego nie powiedziała. Ja to ona od razu powiedziała, że nie mówiła mi o moim Ojcu, który jest od początku wojny na zachodzie i będzie blisko śmierci, ale z tego wyjdzie i gdy ja z matką zamieszkałam nad wielką wodą, to po pewnym czasie Ojciec do nas przyjedzie. Wszystkim wróżyła z ręki i wszystkim mówiła prawdę. Pomyślałem, że poprostu nie ma nic dar czytania z myśli.

W Krasnym Stawie staliśmy kilka dni bezczynnie. Nagle wydano nam rozkaz jechać całym batalionem w teren dla ochrony aktywistów partyjnych, którzy mieli agitować na wsi na rzecz dostaw zboża. Jechaliśmy ponad pięćdziesiąt samochodów GAZ z kierowcami Polakami. Ja jednym własnym wozie jechałem około dwudziestu mężczyzn i kobiet w mundurach wojskowych, lecz nie wyglądających na żołnierzy. Poprowadzili nas polną drogą, gdzie samochody grzęzły w gliniastej-rozmańczej po deszczu, drodze. Kilkakrotnie żołnierze musieli pomagać i wypychać ugrzęzłe wozy. ~~Wjeżdżaliśmy wczesnym rankiem i drogę po~~ Wjeżdżaliśmy wczesnym rankiem i drogę po-
nad 20-tu kilometrów przebyliśmy z trudem do południa. Dojechaliśmy do dużej wsi leżącej w dolinie w poprzek szosy Kraśnik - Lublin. Od razu kasano nam otoczyć wieś i nikogo nie wypuszczać ani nie wpuszczać do wsi. Tyraliera spramoczyła wieś i zaległa kordon. W odległości kilkudziesięciu metrów od skraj-
ju zabudowań. W ogrodach za stodołami pracowały kobiety i dziewczęta i szybko przekonaliśmy się, że była to wieś czysto polska. Żołnierze leżeli na

zajętych pozycjach, a myśmy poszli po wsi. W jednym z mijanych domów usłyszeliśmy krzyki i przekleństwa, weszliśmy więc tam i zobaczyliśmy jak jedna z kobiet z tego aktywu partyjnego, który mieliśmy ochraniać w ich agitacji, trzymając w jednym ręku pistolet skierowany do zawodzącej gospodyni stojącej w kącie, drugą ręką wyciągała z kufra ręczniki, prześcieradła i płótno lniane. Dwa kosze pełne słoniny, masła, jajek i innych produktów stały już gotowe do zabrania, a ona ładowała rabowane rzeczy z kufra do tobołka. Zapytaliśmy czy to ma znaczyć, na co usłyszeliśmy że "gówno to was obchodzi i nacie pilnować wsi a nie wkręcić się po niej". Na taką odpowiedź "aktywistka" dostała solidnego kopniaka i kilka szturchańców tak, że wyleciała koziołkami z chaty, zostawiając całą swoją "zdobycz". Wrzeszczała przy tym, przeklinając nas i wyzywając od "śmierdzącej reakcji" i tp. epitetów. Okazało się, że cały ten aktyw tak samo pilnie "pracował" i "agitował" i wszędzie nasi podoficerowie wypisali im na mordach swoje "uznanie". Po tym już nie bali się ci "agitatorzy" podziemia i siedli na swój samochód i pojechali prosto do Lublina. W tym czasie czworo się strzęży przy drodze do wsi. Okazało się, że stojący przy drodze Wasilewski z mojego plutonu z lkm-em zatrzymał wóz, na którym jechało dwóch mężczyzn. Nie spodziewał się napaści i wstał od lkm-u i podszedł do wozu, żeby wytkumaczyć jadącym, że na rozkaz nie przepuszczać nikogo. Tymczasem gdy on podszedł do wozu, jeden z jadących wyciągnął z kieszeni pistolet i strzelił do niego, raniąc go w przedramię, a drugim strzałem ranił, nie spodziewającego się niczego złego, amuricyjnego. Po tym skoczył z wozu, złapał lkm i wpadł w zboże. Drugi zaciął konia i wjechał galopem do wsi. Furmana zaraz zatrzymali inni żołnierze, a bandziora wydali mieszkańcy wsi. Okazało się, że był to przywódca bandy koniokradów, którzy terroryzowali wieś i "dziażali" w całej okolicy. Był mieszkańcem tej wsi i po krótkim czasie złapali go nasi żołnierze, bo rzucił w zbożu lkm i schował się w swojej chacie. Furman był przypadkiem podwoźcą bandziora i za tego cała wieś poręczyła, że nic z tego nie wiadało. Bandziora przekazaliśmy najbliższemu posterunkowi milicji, a sami zebraliśmy ludzi i pojechaliśmy też przez Lublin cały czas szesną. Gdy przyjechaliśmy do Krasnego Stawu, już czekała na nas Informacja z Lublina. Prosto z samochodów kazali nam ustawić się wszystkim w dwuszeregu i poszkodowani "dziażacze" pokazywali kto ich bił. Wyglądali przy tym tak pociesznie z opuchniętymi i posiniaczonymi mordami, że śmiać nam się chciało. Dziwnym trafem wymienieni przez nich "reakcjonisci" byli prawie wszystko podoficerami wziętymi z frontu jako "pływy element" do formowania innych jednostek, byliśmy też wszyscy zapisani ogólnie do aparatu polityczno-wychowawczego w naszym pułku. Nie szkodziło to, że nie pamiętaliśmy tych funkcji, ale w dokumentach tak było odnotowane. Te zaskoczyło oficerów Informacji nastawionych na to, że to byli sami reakcjonisci z AK. Tymczasem nie było między nimi nikogo z AK. Zrobili więc na miejscu normalne dochodzenie i wyszło na jaw to co robił w terenie ten "bojowy aktyw partyjny". Nas zwolnili z odpowiedzialności i nikogo nie aresztowali, ale od razu odesłali nas spowrotem do Krubieszewa i posłali na UPA.

W rozmowach z miejscowymi mieszkańcami dowiedzieliśmy się, że ci "aktywiści" rekrutowali się z paśróđ krasnostawskich prostytutek i złodziei. Zupełnie jak za "dobrych czasów rewolucji" w Rosji.

Po powrocie do Hrubieszowa zastaliśmy straszne poruszenie wśród żołnierzy i podoficerów naszego pułku. Pewnego dnia gdy wszystkich wysłali w teren, major Cejcyń ze swoimi przybocznymi zrobił rewizję w rzeczach osobistych żołnierzy i podoficerów na kwaterach i zabrał wszystkie wartościowe rzeczy. Niektórzy mieli złote i srebrne przedmioty, biżuterię i wartościowe zegarki zdobyte w Niemczech. Nie wozili tego ze sobą na akcje, tylko zostawiali w swoich rzeczach w koszarach i do tego czasu nikt nikomu nic nie ukradł. Dopiero złodziejem okazał się dowódca pułku. Po powrocie z akcji, żołnierze od razu zauważyli brak tych przedmiotów i dowiedzieli się od służbowych kto był tego sprawcą. Tymczasem poszli pod kwaterę majora i podobno był tam taki tumult, że w koszarach ukraińskich myśleli, że to napad. Żołnierze wyzywali majora od złodziei, parszewych żydów i tp., a on nie pokazał się nikomu i następnego dnia wyjechał, pozostawiając zastępcę jako dowódcę. Ludzie o takim morale byli na wysokich stanowiskach w wojsku tylko z tego powodu, że byli sowieckimi oficerami, więc pewnymi politycznie.

Nas od razu zaczęli spowrotem posyłać w konwoje i na akcje.

Za Białym kilka kilometrów za ukraińską wsią, był spalony majątek i stała tam jedynie ocalała gorzelnia. Wówczas spirytus był najlepszym środkiem płatniczym, bo za niego od Sowietów można było wszystko kupić. Porucznik Wiśniewski pełniący nadzór nad batalionem, chciał żeby gorzelniany, który mieszkał w Białym, wygonił jeden zacier. Ten powiedział, że bez ochrony nie pójdzie do gorzelnii na kilka dni, potrzebnych do zrobienia zacieru i wypędzenia spirytusu. Wówczas porucznik zagryzał kto z nas pójdzie na ochotnika pilnować gorzelnii. Poszliśmy z sierżantem Wysockim, kapralem Grydziem i celowniczym lkm-u Turbuć. Myśmy mieli automaty z odpowiednią ilością amunicji, a Turbuć niemiecki lkm MG-43 z kilkoma skrzynkami amunicji. Gorzelnia była tak zbudowana, że wejście było tylko jedno, a we wszystkich oknach były solidne kraty. Przy wejściu był murek i w jego drzwiach postawiliśmy lkm, a sami siedzieliśmy w środku, zmieniając się kolejno przy lkm-ie. Zaraz pierwszego dnia, noca ktoś chciał cichaczem podejść do nas pod osłoną krzewów bzu, ale lotący przy lkm-ie Turbuć posłał kilka serii i potem był już zupełny spokój. Czwartego dnia gorzelniany zaczął pędzić okowitę. W pomieszczeniu gorzelnii było ciepło i kolejno spaliliśmy na rozesłanych na posadzce płaszczech. Właśnie stałem z sierżantem Wysockim przy lkm-ie, gdy zdarzył się wypadek. Gorzelniany chcąc przędzić okowitę, dał większe ciśnienie pary na kolumnę parnikową i w pewnej chwili pękło jedno z kontrolnych szkielek w kolumnie i strumień gotującej się bragi laskał prosto na śpiącego Turbuć. Na szczęście miał twarz nakrytą czapką, ale od szyi aż do cholewy buta cały bok był zalany bragą. Turbuć wykończył na dwór i zaczął się nieprzytomnie kręcić w kółko. Podbiegłem do niego i zatrzymałem go rozdartym i zdjąłem mu z niego bluzę mundurową i spodnie. Momentalnie wzdłuż całego boku powstał jeden obrzydliwy pęcherz. Turbuć cierpiał strasznie

nie. Gorzelany powiedziały mi, że najlepiej zagodzi ból z oparzenia olejem lnianym. Wzięłem automat i pobiegłem na wieś. Zachodziłem do kilku chat i w końcu dostałem butelkę oleju lnianego. Po powrocie posmarowałem delikatnie całe poparzone miejsce i rzeczywiście Burbuć mniej cierpiał. Tymczasem Wysocki z Grydziem napełniali bańki i karabiny spirytusem. Dla batalionu było 200 litrów i dla nas czterech tyleż samo. Reszta pozostawała dla gorzelanego za pracę i opał. Wzięłem ze wsi dwie furmanki, na jedną załadowaliśmy cały spirytus, a na drugą kazałem wziąć siano, przykryłem je kapą bawełnianą z kózka i położyliśmy na nią gołego Burbucia, przykrywając go tą kapą. Tak bez przeszkód dojechaliśmy do Beżza. Akurat nocowała tam 3-ia kompania. Poszedłem na plebanię, gdzie jak zwykle nocował dowódca kompanii i zastałem go jeszcze nie ubranego. Zarządziłem wysłanie jednego samochodu z poparzonym Burbuciem do szpitala do Hrubieszowa. Porucznik nie chciał się na to zgodzić twierdząc, że jest to bardzo ryzykowne wysłać samotny wóz. Upierałem się przy swoim, więc odesłał mnie do dowódcy kolumny. Dowódca kolumny - sowiecki lejtenant - też początkowo nie chciał się zgodzić, ale w końcu ustąpił i dał jednego sztudebckera załadowanego zbożem. Ułożyliśmy na nim, na zbożu, okrytego kapą Burbucia i pojechali. Tymczasem ustawiła się kolumna. Wysocki podjechał pod wozy i zdjawszy naczynie ze spirytusem, zaczęli z Grydziem ładować je na samochód. Wtedy niespodziewanie kolumna ruszyła i zatrzymała się ponownie o kilkaset metrów dalej. Ponieważ wóz konny już odjechał, więc musieliśmy przenosić wszystkie pozostałe naczynie. W tym czasie jeden karabin zginął. Gdy się o tym przekonałem, wyszedłem na czołgo kolumny i zatrzymałem wozy już ruszające w drogę. Dowódca kolumny podszedł do pierwszego wozu i dał rozkaz żeby ruszał. Wtedy odciągnąłem zamek z automatu i krzyknąłem, że jak nie wy to wpakuję na serię w silnik. Dowódca kolumny rzucił się do mnie, ale nastawiłem na niego automat i powiedziałem mu, że kolumna nie ruszy dopuki nie znajdzie się skradziony karabin. Wtedy przybiegł chorąży Werner i zaczął na mnie krzyżeć, że się upiłem i mam zaraz zejść z drogi. Ponieważ żołnierze powiedzieli mi wcześniej, że to on zabije nasz karabin, więc ogarnęła mnie wściekłość. Wycelowałem automat w niego i krzyknąłem: "ty parszywy żydzie zjadzieju jeden albo oddasz zaraz spirytus, albo ci wpakuję serię w twój zabrane bobech". Żyda jak zmiotko. Schował się pomiędzy wozy i żołnierzy ze swojej kompanii, a po chwili żołnierz przyniósł mi nasz karabin. Siadłem więc na wóz koło naszego spirytusu i kolumna ruszyła. Już bez przeszkód dojechaliśmy do Hrubieszowa. Zdałem spirytus do batalionu, a nasz zaraz rozdzieliliśmy na cztery równe części, dla każdego po 50 litrów. Część Burbucia, po odwiezieniu go w szpital, zaraz sprzedałem hurtom po 400 złotych i pieniądze mu odniosłem. Tymczasem chorąży Werner skożył na mnie spłinty report osądzając mnie od czci i wiary. Tylko, że kapitan Susin znał mnie dobrze i lubił i powiedział tylko chorążemu, żeby więcej na pod automat nie lał, a mnie zapytał jak było i nie mi nie zrobił.

Gdzieś w lipcu 4-ty pułk ułanów dostał rozkaz przemarszu do Chełma, nie wiedzieliśmy w jakim celu. Po jakimś czasie wrócił do Hrubieszowa i żołnierze

opowiadali, że w lasach po drodze zatrzymali pułk polscy partyzanci. Poprostu na drogę przed czoło pułku wyszedł oficer w polskim mundurze i zatrzymał, a potem podszedł do bryczki w której jechał dowódca pułku i grzecznie salutując powiedział, że im są potrzebne podwozy i proszą o wyznaczenie 6-iu wozów taborowych i oddelegowanie ich do dyspozycji oddziału, a jak będą im niepotrzebne to w całości je odeślą. Gdy na to dowódca pułku oburzył się, oficer spokojnie pokazał na skraj lasu, gdzie rzędem stały lufy 114-ów i automatów na całej długości kolumny pułku. Na ten widok dowódca przywołał szefa taborów i rozkazał rozładować sześć wozów na inne, a rozładowane skierować do dyspozycji partyzantów. Po chwili wozy zjechały w leśną drogę, a oficer podziękował i salutując zszedł z drogi do lasu. Po kilku dniach wrócili wysłani taborcy i Informacja od razu ich aresztowała i trzymali ich przez długi czas w areszcie mimo, że wykonali tylko rozkaz i sami wrócili do pułku. To nas najbardziej oburzało.

Dla pułku nie dawali mięsa na wyżywienie, tylko wskazywali gdzie są zalogłości w dostawach żywności i jechali od nas sami odbierać. Przy tej okazji zdarzały się różne zajścia.

Miedys wyznaczili nam odbiór żywności z ukraińskiej wsi zdaleka od Irubieszowa. Pojechał po odbiór kapral Łaskiewicz z czterema żołnierzami. We wsi odnaleźli sołtysa i Łaskiewicz wszedł do środka, a żołnierze zostali na ganku. Po chwili przed domem sołtysa zebrał się tłum chłopów w różnym wieku, mocno podnieconych przyjsciem żołnierzy, a sołtys wykręcał się twierdząc, że wieś już dawno zdała wszystko, tylko władze powiatowe ich gnębią i ciągle nadsyłają nowe dostawy. Tymczasem na ganku żołnierze byli coraz bardziej przyćmiewani przez tłum. Kapral Łaskiewicz rozkoscił się i palnął pięścią w stół, krzywiąc do sołtysa, że głównie go to obchodzi co sołtys mówi i on musi przyprowadzić żywność, bo pułk nie będzie miał co jeść. Rozkazał natychmiast zebrać odpowiednią ilość żywności, a dla siebie i żołnierzy kazał zrobić jajecznicę i dać bimbrowu. Po tym wyskoczył na ganek i ryknąłszy "rozejść się" złapał automat za szyjkę i zaczął walić na prawo i lewo rozstępujących się chłopów. Po chwili nikogo przed ganekiem nie było, a na stole u sołtysa stał litr bimbrowu i duża patelnia jajecznicy i kilka bochenek białego chleba. Łaskiewicz najspokojniej zawołał żołnierzy i zjedli i wypili sobie solidnie. Tymczasem sołtys zebrał żądany żywność i podstawił wóz dla odwiezienia żołnierzy do Irubieszowa. Wszedł akurat do kancelarii gdzie siedział porucznik Wiśniewski i był u niego szef powiatowego UB. Ten ostatni wymawiał porucznikowi, że posłał żołnierzy z kapralem na niechybny śmierć, bo ten według ich danych wywiadu stacjonowała sotnia UPA i napewno naszych wykończą. Tymczasem zjechały przed bramę wozy z żywnością i mocno podnieconymi naszymi żołnierzami. Kapral wszedł i zameldował wykonanie rozkazu. Przywiózł więcej jak miało być dostarczone. Prawdopodobnie poprostu UPA-owcy myśleli, że to była prowokacja i że wieś była otoczona przez wojsko, bo inaczej nie mogli sobie tłumaczyć zachowania naszego kaprała, a tymczasem Łaskiewicz już taki był, że nigdy nie okazał strachu, a im było mniej pewnie tym więcej dokazywał.

Inne spotkanie miał kapral Grydź gdy wysłali go po żywiec na północ od Hrubieszowa. Zajechali do wskazanej wsi i natknęli się na oddział WII-u. Dziwnym zrzędzeniem losu w tym oddziale było dużo żołnierzy i różnych szarż z Wileńskiego AK i Grydź spotkał swego krewniaka. Naturalnie przywitani się serdecznie i partyzanci zaprosili naszych na poczęstunek, po którym wszyscy byli mocno pijani. Dowódca oddziału zawołał sołtysa i rozkazał mu zebrać naznaczony żywiec dla naszego pułku i zapowiedział, że ma dobrze obsłużyć żołnierzy, bo to są ich znajomi. Zebrano żywiec i pijanych żołnierzy załadowano na wóz i odwieziono do Hrubieszowa. Naturalnie Grydź oficjalnie nie przyznał się do spotkania, tylko mnie ~~o tym~~ powiedział i przekazał mi radę od dowódcy oddziału, żeby od nas nikt nie dezertował do lasu, bo sowieci mszczą się na rodzinach tych którzy uciekają.

Innym razem wysłano kaprala Grydźa z kilku żołnierzami samochodem dalej na północ od Hrubieszowa po żywiec. Nie miałem co robić i pojechałem z nimi. W gminie dali nam wykaz zalegających i ruszyliśmy na wieś. Gdy przyjechaliśmy do wskazanej nam w gminie wsi, nikogo w niej nie znaleźliśmy. Wszystkie chaty były zupełnie puste. Po dłuższych poszukiwaniach żołnierze znaleźli się dzącego w pokrzywach za stodołą starszego już chłopca, który trząskł się ze strachu jak w febrze. Zapytany gdzie są ludzie ze wsi, wzruszył tylko ramionami, a na moje pytanie czego się boi odpowiedział, że "tęra nie wiadomo kto przyjeżdża". Powiedziałem mu, że jesteśmy polskim wojskiem i przysłali nas po żywiec dla pułku. Po ~~tem~~ pewnym czasie uspokoił się stary i opowiedział, że nie dalej jak dwa dni temu też jechali w polskich mundurach i zastrzelili 14-letniego chłopca pasącego krowy na wygonie pod lasem. Wcale nie sprawdził kto tam siedzi, tylko odrzucił strzelali i sabili. Tak już nie raz bywało i dlatego teraz jak usłyszą samochód to wszyscy chowają się gdzie kto może. Gdy uspokoił się i rozgadał zapytałem go o gospodarstwo z wykazu gminnego. Pokazał nam gdzie jechać, ale pokiwał głową i powiedział "oni ich zupełnie zniszczą, bo to jest gospodarstwo, gdzie gospodarują same kobiety, bo gospodarze jeszcze w czasie niemieckiej okupacji poszedł do partyzantki i tak tam dalej gdzieś się podziewa". Pojechaliśmy we wskazanym kierunku. Gospodarstwo kiedyś musiało być ładne i zadbane, ale wówczas było na każdym kroku zniszczone. W domu zastaliśmy dwie kobiety i kilkoró dzieci. Nie uciekały jak wszyscy we wsi. Gdy Grydź pokazał im nakaz z gminy, młodsza poszła z nami do obory i pokazała swój inwentarz. Była tam jedna krowa, kadra, jałówka i wieprz. Obora była duża i kiedyś musiało tam stać sporo bydła. Grydź chciał brać jałówkę, ale mu nie pozwoliłem, bo wieprz był zupełnie wystarczający na nasz przydział, a jałówka była dużo większa no i jeśli by się ucnowała, mogła zostać na chów. Kobieta powiedziała, że ciągle do nich przyjeżdżają i zawsze coś im zabiorą i to nawet bez pokwitowania. Dziękowała mi bardzo za pozostawienie tej jałówki, a przecież to nie było nic nadzwyczajnego, ale ona przywykła do rabusiów w polskich mundurach.

Naszym nieszczęściem było wówczas to, że UB i milicja, a nie raz i NKWD, nosili takie same mundury jak my i co oni nabroili z polską ludnością to spadało

za całe wojsko.

Gdy wyjeżdżaliśmy w teren objadaliśmy się wiśniami i czereśniami, bo było pełno przy drogach i po spalonych wsiach, już nie mówiąc o wsiach zamieszkałych przez ludność ukraińską, drzewy pigiowych i ślicznie dojrzających owocach. Bywało, że gdy trzeba było mieć pod obserwacją przyległy teren, to wkradaliśmy na duże drzewo czereśni i objadając owoce pilnowaliśmy okolicy. Nigdy już nie jadłem tak smacznych i soczystych czereśni i wiśni.

Kiedyś z naszej kompanii stał wartownik przy bramie i sierżant z innej kompanii przyczepił się do niego, bo mu nie oddawał za każdym razem ilekroć przechodził przez bramę, przepisowych honorów. Włóczęga się do tego Grydz i spokojnie powiedział sierżantowi żeby się nie wygłupiał i nie chciał żeby skrzywdził wartownika za każdym razem stawiał przed nim na baczność, gdy chodzi śladem tam i z powrotem. Wtedy sierżant wsiadł na Grydzia, że on jako kapral nie ma prawa zwracać uwagi jemu - sierżantowi, a Grydz nie wiele myśląc wyrzucił sierżanta w zęby, aż mu wybił kilka zębów.inni żołnierze widzieli zajście i sierżant nie miał swoich świadków i nie mógł zrobić Grydziowi, tylko rozpowiadał, że nasza kompania to same bandziory, bo strzelają i biją każdego. Była to aluzja do mnie, że strzelałem za porucznikiem Rusiwalcem i straszkiem autem chorążego Wernera.

Po zajściu ze spirytusem Werner zrobił nam też taką propagandę, że oficerowie nie chcieli z nami jeździć w teren i zaczęto nas posyłać samych. Dostawałem na piśmie rozkaz z batalionu tytułowany: "do dowódcy kompanii st. sierżanta Ścibor-Marchockiego", nakazujący brać taką to a taką kolumnę samochodową i którąś kompanię wzmocnioną moim plutonem i jechać przez przecznicę z Żabuzi pod Sekalem, czy z Bekza. No i jechaliśmy sami i wcale nam źle nie było bez naszych oficerów.

Gdy jechaliśmy w teren na ukraińskie wsie lub w konwoje, jeździły z nami kobiety i dziewczęta z Hrubieszowa, które zarabiały na życie handlem z Ukraińcami. Wiozły na wsie sól i naftę, a czasem i cukier, a za to brały mięso, słoninę, mąkę i kaszę. Była między nimi młoda, może 16-to letnia dziewczyna Danusia, która była zupełnie samotna, bo rodziców jej wymordowali w czasie okupacji niemieckiej na Wołyniu Bulbowcy. Mieszkała u znajomych i zarabiała handlem. Często z nami jeździła i wszyscy traktowali ją jak siostrę. Ona zachowywała się bardzo skromnie i nikt nie zaczepiał jej ani się do niej nie zalecał. Gdy nocowaliśmy w terenie okrywali ją swoimi płaszczami, żeby nie zmarzła i opiekowali się nią. Aż czasem dziwnie było patrzeć, jak to rozwydrzone i zdziwione wojsko było dla niej grzeczne i opiekuńcze.

Dłż w Hrubieszowie Dom Ludowy im. Wandy Wasilewskiej, w którym była dość duża sala ze sceną i odbywały się tam nieraz przedstawienia i wyświetlali filmy. Naprzeciw były budynki - jakiś dawny pałacyk z bocznymi oficynami, które zajmowało NKWD. Któregoś dnia było jakieś przedstawienie i kilku podoficerów z 6-tej kompanii, która akurat miała wolny dzień, było na sali. Jeden plutonowy siedział koło dziewczyny, którą znał już przed tym, a po jej drugiej stronie siedział lejtenant NKWD-ista.

Podczas przedstawienia dziewczyna bawiła się swoim ręcznym zegarkiem, który z jej w pewnym momencie upadł na podłogę. Plutonowy podniósł go i zażartował, że teraz należy mu się wykupić osyli casus. W tym momencie lejtnant wyjął pistolet i kierując go w stronę plutonowego powiedział: "addawaj czasy". Plutonowy nie wiele myśląc wykręcił lejtnantowi pistolet z ręki i powiedział mu żeby nie straszyć bronią, bo on się tego nie boi. Wtedy żołdactwo stojący z tyłu za linią z karabinem, zdzielił plutonowego w głowę kolbą tak, że go ogłuszył. Inni sowieci rzucili się na pozostałych Polaków, ale ci wyrwali się i wyskoczyli przez wybite okno na ulicę i uciekli do koszar. Od razu poszli do chorążego Paproty, który zrobił alarm kompanii, wziął oba Adlery z ckm-ami i ruszył do miasta, a za nim cała kompania uzbrojona po zęby poszła biegiem. NKWD-iści tymczasem pociągnęli za rękę wykręcając ją, nieprzytomnego plutonowego do swojej siedziby. Pewnie zatłukliby tam go na śmierć, gdyby nie chorąży Paprota, który zajechał pod siedzibę NKWD i ustawił z dwóch stron ckm-y na Adlerach, a nadbiegła kompania zajęła stanowiska dookoła siedziby NKWD. Gdy sowieci zobaczyli szkodowane ckm-y i gotowe do strzału młodzieńcze, wyszedł jeden z oficerów i zaczął pytać: "czte wy, po czemu wy tak szumicie". Na to chorąży zarządził natychmiastowe oddanie mu jego plutonowego. Po krótkim czasie wyprowadzono go. Ledwie stał na nogach, miał wywichniętą rękę i cały był posiniaczony, ale usmiechał się. Po tym kompania wróciła do koszar, a plutonowego zawieźli najpierw do szpitala, gdzie mu nastawili rękę, a potem wszyscy wrócili do koszar.

Po tym incydencie przyszedł rozkaz przerzucający nas na Kujawy. Widocznie po zejściu w Krasnym Stawie i w Hrubieszowie uznano nas za niepewnych. Pojechałiśmy tylko jeszcze raz do Bekza. Wracających zatrzymali nas w Warężu milicjanci z prośbą żebyśmy zanoceowali w Warężu, bo dostali wiadomość, że na tą noc szykuje się napad na Waręż oddziału UPA. Porucznik Wiśniewski, który był wtedy z nami, zgodził się i zostaliśmy. Samochody ustawili przed kościołem w ciasny czworobok i położyliśmy się na nich i pod nimi. Milicjanci, przeważnie miejscowi Polacy, siedzieli w budynkach poklasztornych po obu stronach kościoła. Był to stary zabytkowy klasztor i piękny kościół, jeszcze zupełnie w dobrym stanie. Dopiero krótko po naszym odjeździe z Hrubieszowa, jakiś większy oddział UPA napadł na Waręż i wtedy rozwalili po jednej stronie klasztor pomocnikami "lufttorpedami" i uszkodzili wtedy sam kościół. Noc przeszła spokojnie, bo napewno wywiad dał znać UPA-owcom o naszym pozostaniu. Obszedłem z kapralem Z... i obejrzałem przy okazji kościół i klasztor. Rozmawiałem też z milicjantami, miejscowymi mieszkańcami. Mówili mi, że ówczesny komendant był przysłany z Hrubieszowa i zupełnie nie znał miejscowych stosunków i był bardzo surowy i niewyrozumiały dla miejscowych i każdego mówiącego z ukraińską czarą zaliczał do czynnych członków UPA i potrafił zgnęcać się nad zupełnie niewinnymi. To nastawiło bardzo negatywnie wszystkich miejscowych Ukraińców do wszystkich bez wyjątku Polaków.

Następnego dnia rano porucznik Wiśniewski sprzedał milicjantom lkm wraz z

zapasem amunicji. Ponieważ mieliśmy odjeżdżać na Kujawy więc i moje kumy nie były już mi potrzebne i sprzedałem dwa swoje. Milicjanci płacili mi po 15 tysięcy złotych. Z tego dałem celowniczym Rodziowi i Wasilewskiemu po 5 tysięcy, sobie zostawiłem 5, a resztę rozdzieliłem po równi w swoim plutonie. Po przyjeździe do Hrubieszowa porucznik Wiśniewski zawołał mnie do siebie i zarządził żebym mu oddał pieniądze ze sprzedaży kumów. Powiedziałem mu, że nie mam już pieniędzy, bo je rozdałem, a nawet gdybym je miał to bym ich mu nie oddał, bo broń ja sam zdobyłem, a nie dostałem od niego. Na to porucznik nazwał mnie główniarzem. Odpowiedziałem mu, że starszym sierżantem zostałem na froncie, a nie za dupolansowatwo, a że jestem młody to ja nie proszę żeby mnie brali do wojska, a jeżeli jestem podoficerem to jemu nie wolno mnie ubliżać. Zagroził mi, że mnie zamknie i odda pod sąd, a ja mu na to, że jak będą mnie sądzić to wyjdę z wszystkimi jego sprawki i on, a nie ja będzie siedzieć. Na tym się narazie skończyło, ale zapamiętał mnie sobie i po przyjeździe na Kujawy odebrał mi mój pluton.

Wiśniewski sprzedał cały spirytus, który miał być jakoby dla batalionu i kupił od Sowietów, którzy wyciąywali się na wschód i szli wtedy całymi kolumnami, samochód osobowy DKW. Zakatwił też sobie papiery stwierdzające, że kupił go od przedwojennego właściciela prywatnego, mieszkańca Hrubieszowa. To dało mu prawo własności i samochód ten nie figurował jako zdobycz wojenna i nie

następnego dnia załadowali się na samochody i ruszyliśmy w kierunku Lubli-
lina. Na krzyżówkach za Hrubieszowem NKWD i UB zrobili na ten dzień kontrolny punkt i sprawdzali każdy nasz wóz. Kolumna nasza stała i każdy sprawdzony przez nich samochód odjeżdżał osobno, gdyż jechaliśmy przez tereny zamieszkałe przez ludność polską i nie było obawy napadu na pojedynczy samochód. Siedziałem w kabinie i z nudów czyściłem parabelkę. W pewnej chwili z obu stron podeszło do samochodu kilku ubowców i widząc mój pistolet zarządził pozwolenie na broń. Nikt z nas nie miał pozwolenia na zdobyczną broń, więc wyszedłem z kabinki i powiedziałem im, że porucznik jest na skrzyżowaniu i on ma to pozwolenie i poszedłem do przodu, a jak byłem już na skrzyżowaniu wskoczyłem na stopień odjeżdżającego właśnie samochodu i kazałem kierowcy dodać gazu i nie zatrzymywać się. UB-owcy widząc mój ucieczkę zaczęli wołać na "rogulincowszczyka" żeby zatrzymał mój wóz, ale nie już nie mogli zrobić, bo minęliśmy go i mieli przed sobą wolną drogę. Jak dopędziliśmy naszą kolumnę powiedziałem porucznikowi Wiśniewskiemu, że UB-owcy polują na broń. Zatrzymał kolumnę i zaczęliśmy na pozostawione wozy.

Te drodze do Zamościa był jeszcze jeden kontrolny punkt sowiecki. Gdy tam staliśmy, miejscowa ludność powiedziała nam, że kilka dni temu na tym punkcie zatrzymali Sowietci jakiegoś mężczyznę jadącego na rowerze i chcieli mu ten rower zabrać, a gdy nie chciał im go oddać, to go po prostu zastrzelili i wrzucili do przydrożnego okopu i teraz nie dają go nawet pochować. Widziałem tego trupa w wąskim przydrożnym okopie. Był nie tylko bez roweru, ale i bez butów i narynarki, bo i to przydało się "oswobodzicielom". Mieliśmy straszny ochotę

wystrzelać tych drani, ale to byłoby równoznaczne z koniecznością dezercji, a nasze rodziny były w ich rękach, a poza tym nie mieliśmy tam żadnego kontaktu z podziemiem i nie znaliśmy terenu. Tak więc musieliśmy spokojnie jechać dalej, a ci dranie pewnie jeszcze nie jednego spokojnego człowieka obrabowali i zamordowali pełniąc swą służbę.

W tym czasie w Krasnym Stawie pozostała część jednej kompanii z naszego pułku, a z nią starszy sierżant z 27 Dywizji AK, ten który jadąc z majorem Michałskim w Garwolinie "uczył" grzeczności w stosunku do polskiego oficera sowieckich "gieroji". W kilka dni po naszym odjeździe szedł on wieczorem ulicą koło więzienia pilnowanego ~~przez~~ wówczas przez PKWD. Gdy przechodził obok bramy sowiecki wartownik bez uprzedzenia strzelił i zabił sierżanta na miejscu. Na drugi dzień, gdy okazało się, że zabili naszego sierżanta, nasi chcieli zabrać ciało i przynajmniej pożądnie pochować, ale sowieci nie dali i powiedzieli, że nie pozwolą na pogrzeb, bo przerosłoby się on w manifestację społeczeństwa przeciw nim. Prostu zakopali ciało przy drodze w rowie i nawet nie postawili tam żadnego znaku. Nie pamiętam nazwiska tego podoficera z AK, który całą wojnę walczył o wolność Polski i został zamordowany przez naszych "przyjaciół i oswobodzicieli".

Do tym zajściu ściągnęli resztę naszych kompanii na Łujawy. My przejechaliśmy już zupełnie spokojnie i od razu porozrzucali nas po majątkach. Zaleski ze swoim plutonem i częścią mojego, zajął majątek Iatkowo pod Osięcinami, a mnie porucznik posłał do Michałówka, gdzie od dawna siedział plutonowy Czajński. Nie lubiłem go, bo był strasznie łakomy na zdobycz wszelkiego rodzaju. Nie gardził kradzieżą mienia państwowego i okradaniem żołnierzy. Przy tym zdradzał cięgoty do władzy, którą mógł uzyskać tylko w służbie w UB. Zresztą w końcu to wylądował.

Nie miałem co w Michałówku robić, więc pojechałem do Torunia i uruchowiłem motocykl Zładap 250, który kiedyś zdobył Zaleski, ale zabrał mu go, tak jak moją BMW 350, porucznik Wiśniewski z tym, że mającego już sprzedać, a Zaleskiego jeszcze stał. Naprawiłem go i przy okazji odwiedziłem Sikorę w Figrzy. Odwiedziłem też przy okazji pana Czerwińskiego - gorzelańskiego w Figrzy. Nie miał on własnych dzieci, ale mieszkali przez wojnę u niego dwie jego siostrzenice, których rodzice mieszkali na Śląsku. Stary zaprosił mnie na obiad i gdy przyszedłem i zobaczyłem, że miałem buty już mocno podarte, przy dziewczętach powiedział mi: "sierżant jesteś dupa, bo miałeś cały majątek i nie miałeś nawet sobie zrobić dobrych butów i teraz ja ci muszę te buty dać". Wstał od stołu i wyszedł, a po chwili wrócił z niemieckimi letniczymi butami, prawie nowymi. Podał mi je przynierzyć, a gdy pokazały się zupełnie dobre, dał mi je. Taki to był człowiek, szorstki i gburowaty, ale nadzwyczaj porządny i uczynny. Typ prawdziwego fonerzaka - dla obcych niechętny, ale gdy poznał kogoś to był naprawdę dobrym przyjacielem. Przecież pan Czerwiński nigdy nie ode mnie nic dostał, ani w niczym mu nie pomógł, a był dla mnie taki przyjacielski.

Pana Kranskiego już wtedy nie było w Figrzy, bo odszedł do Łapowa, a administrację Figrzą jakiś przysłany przez majora Cejcyńskiego facet.

Gdy przyjeżdżałem z Michałówka do Torunia i dostawałem od porucznika Wiśniewskiego rozkazy wyjazdu zauważyłem, że miał on podrobioną pieczęć pułkową, identyczną z tą, którą miał szef sztabu pułku. Musiał ją mieć już od dawna, bo jeszcze w Chodzieży i potem w Hrubieszowie wydawał różne pisma i zaświadczenia stemplowane tą pieczęcią. Był to nie zły interes, bo kwitowane odbiory różnych produktów i materiałów nie budziły zastrzeżeń, a nikt nie mógł potem dojść gdzie te produkty poszły.

Porucznik dawał mi na motocykl rozkaz wyjazdu na teren województwa pomorskiego i poznańskiego na okres jednego miesiąca i mogłem jeździć gdzie mi się podobało. O benzynę nie martwiłem się, bo każdy zatrzymany na drodze samochodów używał mi jej po trosze. Jeździłem więc po naszych plutonach i najczęściej byłem w Lutkowic, gdzie był prawie cały mój pluton. Nasi żołnierze byli użyci w majątkach do prac przy omłotach i pracowali razem z kobietami niemkami i Volksdeuczkami trzymanymi jako niewolne. Ludności polskiej pracującej w majątkach było wtedy bardzo mało. Żołnierze pracowali, a podoficerowie obijali się nie mając nic do roboty. Ze mną w Michałówku był z moich żołnierzy Kaczyński rkm-ista. Ten rkm został mi tylko z całego plutonu lian-ów. Żołnierze co pewien czas kradli zboże, siemię lniane lub mak, zależnie co złócili i sprzedawali to na wsi. Brali po prostu sobie sami zapłatę za pracę, bo nie płacili im za nią. Za kradym razem, gdy coś sprzedali, dzielili sprawiedliwie na równe części i zawsze Kaczyński przynosił mi część dla mnie i szosę podoficerów, a przede wszystkim dowódcę tego plutonu - plutonowy Czajński - nigdy nie nie dostali od żołnierzy.

Po przyjeździe na Kujawy dopiero zauważyłem jak bardzo zdziaczałem w okresie naszego pobytu w Hrubieszowie. Tani żołnierze i podoficerowie też zdziaczeli i to proporcjonalnie do młodości. Stawili wickiem mniej od nas najmłodszych. Dosłownie nie umieliśmy się początkowo normalnie odezwać do cywilnej ludności. Byliśmy aroganccy i niegrzeczni, byliśmy pewni, że wszystko nam wolno. Dopiero dłuższe obcowanie z polską ludnością Kujaw złagodziło nasze zachowanie.

Pierwszym z którym zaprzyjaźniłem się tam był szewc inwalida, który kiedyś pracował w majątku. Opowiadał nam wypadki z okresu wojny naprawiając nam buty.

Gdy Polacy wycofywali się z okolic Bydgoszczy, przechodził przez Michałówek oddział piechoty polskiej pod dowództwem podchorążego, któremu wymordowali niemiecy całą rodzinę w Bydgoszczy zaraz po wkroczeniu. Właśnie w okolicy Michałówek doszła podchorążego ta wiadomość. Podobno zapełnie się wściekła. Z pomocą swoich żołnierzy spędził kilkudziesięciu kolonistów niemieckich z okolicy i wszystkich ich wystrzelał pod murem majątku. Po wykonaniu tego doprowadził swój oddział dalej. Gdy zaraz po tym przyszli tam Niemcy, właścicielka majątku, starsza już kobieta wyszła naprzeciw nich i po niemiecku wytłumaczyła niemieckim oficerom jak było i że miejscowa ludność polska nie jest temu nic winna. Na szczęście trafili na jakiegoś oficerów, którzy uznali niewinność ludności i nikogo z miejscowych nie zamordowali w odwecie, tylko swoich pochowali z honorami i postawili im pomnik.

Był w pobliżu majątku gospodarz mający opinię strasznego sknery, który miał duży sad. Były tam ładnie dojrzewające jabłka. Kiedyś założyłem się, że on mi sam da tych jabłek. Wszedłem do sadu i zacząłem jeść jedno jabłko. Zobaczył mnie z okna gospodarz i zaraz wybiegł rozszokowany, a ja z daleka zacząłem chwalić jego sad i jabłka i powiedziałem mu, że takiego sadownika jak on trudno spotkać i że ma świetne odmiany jabłek. Stary rozpromienił się i powiedział, że jak mi tak smakują to mogą sobie ich nabierać. Nabrałem za pazuchę i grzecznie mu podziękowałem. Sąsiedzi jego byli tym bardzo zdziwieni, bo potrafili nie rozmawiać, a od razu spuszczać swoje psy i szczuć nimi.

Od czasu do czasu były zabawy po okolicznych wsiach i w domu ludowym w Osiecinach. Kiedyś wybrałem się z Rodzikiem i Grydziem na taką zabawę zorganizowaną we dworze w Płowcach. Początkowo zabawa była całkiem dobra i spokojna. Przywykliśmy już do kapel wiojskich na Łujawach i tańczyliśmy coraz to z innymi dziewczętami, bo było ich tam dużo. Już późnym wieczorem Rodź poprosił do tańca młodą dziewczynę i gdy zaczął z nią tańczyć, popchnął go jeden z młodych chłopców miejscowych. Rodź myślał, że ten zrobił to nie umyślnie i tańczył dalej, ale ten sam chłopak popchnął go znowu. Rodź przystanął i ostro mu powiedział, że żeby uważał i więcej nie popychał, lecz gdy zaczął tańczyć ten sam znowu go popchnął. Rodź stanął, ściągnął z pleców mój automat, który wtedy nosił i chciał nim bić, ale wyrwał go, bo Rodź był podпиты i bał się, że zacznie strzelać. W tym momencie kilku chłopaków napadło Rodzia. Wtedy ja zarzuciłem automat na plecy i otwartą dłonią, tak jak uczył mnie kiedyś Gank, zacząłem bić obu rękami na lewo i prawo, jednego w kark, a drugiego w gardło. Miałem wtedy nie przeciętną siłę, a ciosy kantem dłoni były prawidłowe i już po chwili kilku chłopaków atakujących Rodzia leżało na ziemi. Krzyknąłem na Rodzia i Grydzia żeby pilnowali mi boków, a sam biłem każdego, który na nas nacierał. Po krótkim czasie nie było chętnych do bitki. Dziewczyny z piskiem, uciekały na dwór, a większość chłopaków, którzy nas atakowali, leżało na podkoźce lub uciekło. Wziąłem obu moich kolegów i wróciliśmy do Łatkowa.

Kiedyś z Łatkowa wybrało się kilku naszych chłopaków podoficerów na odleglejszą wieś na zabawę już wieczorem i żeby nie marudzić poszli na skróty przez pola. Zrobiło się ciemno i w pewnej chwili jeden z nich zawołał, że widzi ścieżkę i ona ich napewno zaprowadzi do tej wsi. Zboczyli i wszyscy razem wpadli do rowu pełnego wody, bo ta widziona ścieżka była odłaskiem na wodzie. Po wyjściu z tego rowu już nie szukali drogi tylko jak nie pyszni wrócili do Łatkowa. Ich wypucowane mundury i buty całe były w błocie, a my mieliśmy z nich zabawę.

Któregoś razu kilku naszych podoficerów i żołnierzy będąc na odległej wsi na zabawie spotkali się z oddziałem Włł-u. Partyzanci sprawdzili naszymi dokumenty, a gdy przekonali się, że to zwykłe wojsko, bawili się razem, tylko naszymi pociętnymi guzikami blaszane z orłami bez koron, jakie były przy wszystkich mundurach wojskowych i dali guziki formy przedwojennej z orłami z koroną i powiedzieli żeby te sobie przyszyli, a nie łobili wron.

Kiedyś była duża zabawa w Domu Ludowym w Osiecinach było nas tam z Zaleskim

kilku naszych podoficerów i żołnierzy z Latkowa. Był wówczas w powiecie sekretarzem PPR-u jakiś kulawy osobnik, o którym miejscowi mówili, że był podczas okupacji w gestapo i posyłał Polaków do obozów koncentracyjnych. Jak po wkroczeniu Sowietów odrazu "przechrzcił się" na czerwoną tego nie wiedzieliśmy, ale był antypatyczny. Gdy siedzieliśmy w kilku przy stoliku poszedł do nas ten osobnik mocno już podпиты i zwrócił się do Zaleskiego: "towarzyszu sierżancie napijmy się". Na to Zaleski udał że nie słyszy, a stojący obok nas Grydź wziął go pod rękę i powiedział żeby szedł z nim to on z nim wypije. Podпиты sekretarz nie zauważył, że Grydź wyprowadza go na ulicę. Za Grydziem poszedł Telek Subacz i po wyjściu za drzwi obaj zaczęli "przedkładać" sekretarzowi, że ich sierżant nie jest dla takiego drania jak on towarzyszem. A tak dokładnie mu to "tłumaczyli", że w końcu zalał się juchą i został na chodniku. Po chwili przyszedł żołnierz z wojennej komendantury i powiedział, że komendant wzywa Zaleskiego. Ponieważ Zaleski nie umiał mówić po rosyjsku więc poszedłem z nim. Komendantura była akurat na przeciwko Domu Ludowego i z okien widzieli jak Grydź "tłumaczył" sekretarzowi. Komendant zapytał nas dlaczego nasi żołnierze robią na ulicy burdy. Odpowiedziałem mu, że to ten osobnik zaczepił naszych żołnierzy i niech cywile nie czepiają się wojskowych. Komendant poklepał mnie po ramieniu i powiedział: "nu niczewo kak eto z tak, tak biej sukinsynow Paliakow, puś nie trogajut sałdatow". Po i na tym to zajście się skończyło.

Krótko po tym w Latkowie przechodzący oddziałek sowiecki pod dowództwem starszyny chciał zabrać z okólnika młode konie, które się tam pały. Żołnierze cały czas mieli na te konie oko i zaraz wybiegło naszych na alarm cały pluton i zabił drogę Sowietom. Ponieważ oni byli rozproszeni przy łapaniu koni i nie spodziewali się napaści, łatwo nasi ich rozbroili. Przy tym nie jeden dostał porządne lanie. Było ich blisko dwudziestu. Mieli konie chłopskie zabrane po drodze, po które niedługo zgłosili się ich właściciele. Poprostu brali chłopca na podwędę, a potem na drodze wrucali go z wozu i sami jechali dalej. Byłem wtedy w Latkowie. Wzięliśmy zatrzymanych i poprowadziliśmy ich do Usiżcin do komendantury. Ludność była bardzo zdziwiona widząc jak polscy żołnierze prowadzą pod karabinami Sowietów. W komendanturze poszliśmy od razu do komendanta i powiedziałem mu, że złapaliśmy "wolno szlajuszczich się sałdatow", którzy planili honor krasnoj armii, bo przecież po tym ludność będzie mówiła, że to krasnoarmiejcy rabują. Komendant kazał wprowadzić starszynę i zaczął go prać po mordzie krzyząc: "kak nie umiejesz warawać tak nie waruj". Była to oryginalna sowiecka mentalność - nie ten złodziej, który kradnie, ale ten który da się złapać. Ten komendant podziękował za pomoc w utrzymaniu porządku.

Gdy jechałem z Latkowa nawaliła mi opona w tylnym kole i nie mogłem dalej jechać. Był już późny wieczór gdy dopedałem motor do gospodarstwa położonego na skraju miejscowości Dobrze. Zastukałem do drzwi domu, ale nikt nie chciał mi otworzyć. Przeskoczyłem więc wrota i wszedłem na podwórze myśląc, że od podwórza łatwiej dostanę się do domu i rozmówię z gospodarzem. Zobaczyłem, że

ktos był w obozrze i poszedłem tam. Chłop w średnim wieku kręcił się nie bardzo wiedząc czego chciał. Powiedziałem mu, że zepsuł mi się motor i muszę się dostać do Michałówka do swojego oddziału i zarządzić żeby zaprzęgi konie i odwieźć mnie. Chłop zaczął się kręcić po stajni, ale jakoś nie zaprzęgał. W końcu powiedział, że nigdzie nie pojedzie. Wyciągnąłem pistolet i zagroziłem mu, że będę strzelać jak zaraz nie zaprzęgnie. Przestraszył się i zaczął zaprzęgać. W tymczasem ktoś z jego rodziny pobiegł na posterunek milicji i przyprowadził milicjanta. Ten z początku myślał, że chodzi o jakiegoś pijaka zakłócającego spokój, ale jak mnie zobaczył i wytłumaczyłem mu, że jadę z meldunkami do Torunia i ponieważ zepsuł mi się motor, muszę dostać się do Michałówka, gdzie stoi nasz oddział, powiedział gospodarzowi żeby mnie odwieźć. Już bez oporu zaprzęgił konie i odwieź mnie do Michałówka. Tam miejscu zbudziłem Czajńskiego i kazałem mu dostać dla mnie rower. Po krótkim czasie przyprowadził mi żądany rower. Nie czekając pojechałem do Torunia. Po prostej drodze jechałem zupełnie dobrze, ale gdy zaczęły się wzniesienia, na pierwszym podejściu rower zaczął przepuszczać w torpedzie i nie mogłem jechać. Cóż pod każde wzniesienie musiałem rower wprowadzać. Gdy wreszcie dojechałem do Torunia, miałem wszystkiego dość. W warsztacie rowerowym powiedziano mi, że torpeda przepuszczała bo było w niej za dużo smaru. Oczyściłem ją więc i ponownie złożyłem. Spróbowałem na ulicy i nie przepuszczała. Sprzedałem kieszonkowy zegarek i za te pieniądze kupiłem nową oponę. Przenocowałem w Toruniu i wczesnie rano pojechałem z powrotem. Ta większych wzniesieniach rower znowu przepuszczał. Trochę więc jadąc, a trochę prowadząc rower doszedłem do wsi leżącej już niedaleko Michałówka. Tam spotkał mnie kapral z Michałówka jadący na rowerze w przeciwną stronę. Zatrzymałem go, a on mi powiedział, że UB aresztowało plutonowego Michalkiewicza i wiozę go wozem w tę stronę, a on jedzie do majątku zajmowanego przez pluton z naszej kompanii, żeby dostać tam pomoc. Zawróciłem kaprała i niedługo zobaczyliśmy wóz drobinisty, a na nim pięciu umundurowanych z plutonowym na czele, a pośród nich siedzącego Michalkiewicza. Położyłem rower na skraju rowu i trzymając pistolet w rękę zatrzymałem wóz. Plutonowy zeskończył z wozu i pokazał mi swoją legitymację funkcjonariusza UB z powiatowego urzędu w Aleksandrowie Kujawskim. Klepnąłem po tej legitymacji ręką tak, że upadła mu na ziemię i krzyknął na niego: "Ściągnij kopyta jak rozmawiasz ze starszym stopniem". On zaraz stanął przeprosił na baczność i tytułował mnie "obywatelu starszy ogniomistrz". Widocznie był u nich ktoś z artylerii i tak zaczął się bębnować. Powiedziałem mu, że mogą sobie aresztować jak chcą cywilów, ale wara im od żołnierzy i niech zaraz spierdalają, bo będę strzelać. Siedzący na wozie nie chcieli chęci sprzeciwu. Zawołałem Michalkiewicza żeby zszedł z wozu, a im kazałem zaraz odjeżdżać. Michalkiewicz był mocno podпиты i dlatego mogli go wziąć, a gdy mnie zobaczył zaczął wołać żeby UB-owców rozbroić, ale nie chciałem "przeginać pały" jak to się wtedy mówiło i puściłem ich wolno. Spowrotem szliśmy pieszko, bo mój rower był zepsuty, a Michalkiewicz był pieszko. Gdy oddaliśmy już kawałek od wsi, zbliżył się do nas na motorowerze jakiś mężczyzna i chciał nas wyminąć. Michalkiewicz gdy go zobaczył zaczął wołać żeby stanął, ale on minawszy nas dodał gazu. Był to

sekretarz PPR-u, którego na zabawie Michalkiewicz z drugim plutonowym mocno pobili i za to Michalkiewicza aresztowali. Ponieważ nie chciał on stanąć na wozanie, strzeleli za nim w powietrze, co od razu poskutkowało. Gdy podeszliśmy do niego, Michalkiewicz znów chciał go bić, ale mu nie dałem, tylko powiedziałem sekretarzowi, żeby wracał do domu i cały dzień z niego nie wychodził, bo może dostać kulę. Zaraz zawrócił i zwiął na największym gazie. Gdy wróciliśmy do Michałówka, od razu założyłem nową oponę i pojechałem do Iatkowa. W Osicinach oddałem do krawca poprzednie razem płaszcz żeby mi uszył z niego mundur i tym razem pojechałem do przymiarki. Przywiozłem z Torunia rozkazy dla wszystkich plutonów, żeby przejeżdżały do majątku w pobliżu Inowrocławia. Załaski miał odebrać mój mundur, a ja pojechałem spowrotem do Michałówka. Gdy zjechałem przed majątkiem z szosy na polną piaszczystą w tym miejscu drogę zobaczyłem przed sobą wóz drabiniasty pełen umundurowanych, a między nimi znajomego z poprzedniego dnia plutonowego. Musiałem jechać koleiną więc dałem sygnał i furman zjechał mi z drogi. Dodałem gazu i gdy mijając wóz plutonowy poznał mnie i krzyknął: "halt". Odkrzyknąłem mu: "pokaż mi w d..." i pojechałem dalej. Bliżej majątku zobaczyłem drugi wóz stojący z boku drogi, a w rowie siedzących kilkunastu umundurowanych. Toruńczyk stał z pistoletem w ręku z boku, a na środku drogi, w tym miejscu zupełnie wąskiej, ale twardej, stał umundurowany z automatem na piersi i podniesioną ręką zatrzymywał mnie. Zwolniłem wyciekając sprzęgło i hamując wolno, a gdy zbliżyłem się zupełnie do niego, nagle puściłem sprzęgło i dałem pełny gaz. Motor skoczył jak szalony i w najwyższym pędzie minąłem zgłupiałego UB-eka. Do majątku na wprost wjeżdżało się na podjazd przed dwór, a na podwórzu wjazd był pod kątem proctym w prawo. Przed bramą przystanęliśmy i bliźkiem wpadłem w bramę podwórza. Podjechałem do bocznej furtki prowadzącej do dworu i krzyknąłem: "chłopcy pod broń, UB jedzie". Okazało się, że we dworze był tylko wartownik i pijany Michalkiewicz, bo wszyscy żołnierze przechodzili się żegnać swoje sympatie. Objeżdżałem się i zobaczyłem wolno pozuwające się pod murem postacie UB-ickie z nastawionymi automatami. Zawołałem Michalkiewicza i zabrawszy go na tylne siedelko, wyjechałem z podwórza bramą na pole. Wyjechałem kawałek w pole i już podjechałem pod stertę słomy. Postawiłem za nią motor, a sam wsiadłem na nią i przez lornetkę obserwowałem podwórze. UB-iacy zobaczyli jak wyjeżdżał i obsadzili podwórze i zawrócili. Po pewnym czasie pojechałem spowrotem do majątku. UB-iacy odjechali, a nasz wartownik słysząc jak porucznik wyawiać plutonowemu, że mnie nie zatrzymał na drodze, a ten mu tłumaczył, że "on przecież miał pistolety i mógł strzelać". Plutonowy Ślesiański chyba nie nocował w majątku, ale wyjechał go, bo wiedział, że UB nie pojechałoby nocą na wyprowadzenie na wojsko. Najspokojniej położyłem się apac, tylko jak zwykle położyłem pod poduszkę pistolet. Rano załadowali się na wozy majątkowe, a ja pojechałem przedem motorem, zabierając Michalkiewicza, żeby mi znów czegoś nie napisał. Na następne miejsce postoju już całej naszej kompanii wybrano duży majątek w pobliżu Inowrocławia. Dwór był tam spalony i rozlokowali nas po oficynach.

W tym majątku właściwie nie mieliśmy nic do roboty, bo ani nie było co pilnować, ani nie było roboty do wykonania. Z tamtąd wybraliśmy się na dożynki do sąsiedniego majątku i nawet dobrze nawiliśmy się tam i wróciliśmy nad ranem. W kilka dni po tym przyszedł rozkaz żebym z plutonem przeszedł do Bydgoszczy gdzie mój pluton miał pełnić służbę wartowniczą w magazynach pułkowych, a ja miałem zgłosić się do sztabu pułku. Żalowski chciał żebym mu zostawił motor, ale nie chciał mi oddać pieniędzy, które wsadziłem w jego remont, więc do czasu gdy mi je zwróci zabrakł motor do Bydgoszczy. W sztabie pułku okazało się, że chcieli mnie posłać do szkoły oficerskiej pol-wych., na co nie chciałem się zgodzić i poprosiłem kapitana Pola - szefa sztabu pułku - żeby mi pomógł i on wziął mnie do sztabu. Właściwie nie miałem tam żadnej funkcji i czasem jeździłem z rozkazami do kompanii w teren, a częściej grzebałem się przy zdobycznych samochodach.

Kapitan Pol i adiutant kapitan Rojowski byli kolegami z AK i trzymali się razem. Wzięli sobie do dyspozycji samochód DKW i jak ja nim jeździłem to było wszystko dobrze, ale gdy tylko kapitan Pol siadł za kierownicę i był choćby po jednym małym kieliszku, to zaraz musiał wóz uszkodzić. Po kilku jego wyczynach i moich naprawach, wolałem mu nie dawać prowadzić, a samemu go zawozić gdzie chciał. Mieszkał w kilku podoficerów za sztabu w zajeździe za hotelem dworcowym w pokojach na piątym. Na parterze mieszkał wtedy architekt z Wilna pan Bismund z żoną. Byli to bardzo mili ludzie i nieraz bywałem u nich. Zajazd był kiedyś częścią hotelu dworcowego przeznaczoną dla służby, stangretów i koni ziemian przyjeżdżających do Bydgoszczy i miał oprócz pokoi noclegowych różnej wielkości, duże stajnie, w których mieliśmy garaże, a obok nas mieli garaże i warsztat Wilnianie - Wiesztort i spółka - spółka transportowa mająca autobus kursujący na linii do Łodzi i samochód ciężarowy z budą kursujący do Elbląga. Była to smutna resztką wielkiej spółki Wileńskiej obsługującej przed wojną wszystkie liczne linie komunikacji autobusowej województwa Wileńskiego. Organizatorem i kierownikiem spółki najstarszego z trzech braci Wiesztortów aresztowali Sowietci zaraz po wkroczeniu do Wilna i zginął gdzieś na wchodzie, a zaraz po wojnie w Bydgoszczy spółkę prowadził średni brat. Najmłodszy był wówczas w wojsku w transporcie samochodowym i stacjonował w Bydgoszczy. Całą obsługę techniczną obsadzili dawni pracownicy z Wilna. Autobusem jeździł stary kierowca, który w latach 1919 - 21 był kierowcą Marszałka Piłsudskiego. Lubił wspominać jak wosił Dziadka jeszcze w czasie wojny i po jej zakończeniu. Z reguły Marszałek jeździł bez żadnej obstawy nawet na drogach przyfrontowych, a on jako kierowca nie miał wcale broni. Wspominał jak w czasie ruszenia ofensywy z Łódzi w lipcu 1920 roku Marszałek kazał mu jechać za poruszającymi się na północ polskimi dywizjami i jak jechali po terenie zupełnie przez nikogo nie kontrolowanym, gdzie nie było ani wojska ani policji i tylko chłopcy wyłapywali rozpierszonych po terenie bolszewików. I w takich warunkach Marszałek jeździł bez żadnej obstawy. A już po wojnie gdy jeździł do Wilna z Warszawy, też nikogo z sobą nigdy nie brał i jeździli w dwóch, tylko Marszałek mu mówił, że jak

trzeba zrobić przerwę w podróży to niech zatrzymuje się poza miejscowościami bo karszażek nie lubił zbiegowisk.

Starzy mechanicy i kierowcy opowiadali mi jak Wiesztort zorganizował swoją spółkę. W wojsku służył w kolumnie samochodowej i po wyjściu do cywila został kierowcą w żydowskiej spółce samochodowej, która wówczas posiadała w swojej obsłudze wszystkie linie komunikacji autobusowej na Wileńszczyźnie. Wiesztort jeździł jako kierowca na linii do Łaroczy. Po drodze, dość daleko od przystanku była plebania, której proboszcz był kanonikiem i często jeździł do Wilna. Gdy kanonik chciał jechać, gospodyni zatrzymywała autobus Wiesztorta i ten zawsze zabierał kanonika i sadzał go na służbowym miejscu koło siebie. Kiedyś kanonik zapytał Wiesztorta dlaczego jeździ żydowskim autobusem, a nie swojej swojej spółki. Wiesztort pochwodził z wiejskiej rodziny z okolic Wilna i nie miał możliwości finansowych na taką imprezę. Kanonik zajął się nim. Gdy był przetarg w urzędzie wojewódzkim o koncesję na linię komunikacyjną Wilno - Łarocz, kanonik załatwił to, że ma dużej konkurencji oddane koncesję Wiesztortowi. Następnie kanonik załatwił to, że firma Fiata, za poręczeniem archidiecezji Wileńskiej, dała Wiesztortowi na dogodne raty cztery autobusy. Wiesztortwerbował swoich kolegów kierowców i zorganizował spółkę, która działała tak sprawnie, że nie tylko wypłacili wzięte autobusy, ale zaczęli w krótkim czasie przejmować inne linie komunikacyjne na Wileńszczyźnie. Zasada była prosta i oparta na więzach koleżeństwa i wiary w eskowika. Wiesztort werbował znajomych sobie kierowców, którym ufał i oni pracowali uczciwie tak, że nie potrzebna była kosztowna kontrola. Kraci i kolegów ze wsi brał na bileterów i linie były obsługiwane jak najlepiej. Tam gdzie była żydowska konkurencja, a kierowcami u żydów byli kierowcy wyszkoleni w wojsku po przejściu do cywila jeżdżący autobusami, Wiesztort gwarantował im przyjęcie do pracy, a oni w tym czasie obsługiwali żydowskie autobusy, które psuły się w drodze. Za takim autobusem Wiesztort puszczał swój pusty i gdy żydowski zepsuł się, przejmował pasażerów, którym żyd miał skłamać wracać pieniądze za bilety, autobus Wiesztorta i jechał bez awarii. Tak w krótkim czasie Wiesztort i Spółka przejęli wszystkie linie komunikacji autobusowej w województwie Wileńskim i żydzi mieli tylko samochody ciężarowe do przewozu swoich towarów. Wiesztort tak zorganizował swoją spółkę, że wszyscy pracownicy byli jej udziałowcami. W Wilnie mieli już ładnie urządzone dworce autobusowe. Poza tym Wiesztort wysyłał zdolnych chłopców na wojnę do szkół dając im stypendium. No i ponieważ działalność Wiesztorta nie zgadzała się z teoriami sowieckimi więc musiał zginąć.

Z wszystkimi mechanikami i kierowcami od Wiesztorta bardzo się zaprzyjaźniłem i dużo się od nich nauczyłem z dziedziny motoryzacji.

Mam dwa motocykle - DKW -350 sztabowy i mój Zündap 250 - trzymaliśmy w garażu obok warsztatu Wiesztorta, a samochody stały na placu.

Któregoś dnia powiozłem kapitana Poła pod lasko do jednej z naszych kompanii motocyklami DKW 350 i w drodze o małe nie rozbiliśmy się. Jechałem dość szybko bo szosa była dobra i nagle za zakrętem wpadłem na odcinek zupełnie zerwanego szutru i wielkie doły. Zaraz na pierwszą dole pękła sprężyna amortyzatora.

przedniego koła. Jakoś udało mi się wyhamować nie wywracając się. Ustawilem złączoną sprężynę tak, że utrzymywała po trosze widełki przodu i wolno dojechałem do majątku, gdzie stała nasza kompania, a tam pożyczili mi taką sprężynę od ich motocykla. W powrotnej drodze już bardziej uważałem i dojechaliśmy bez przeszkód.

Niedługo po tym ktoś ukradł oba nasze motocykle. Po jakimś czasie DAW 350 zobaczyłem w warsztacie Graczkowskiego. Poznałem go od razu, choć był przemalowany, bo miał znaki, które mu zrobiłem przy zdejmowaniu złączonej i zakładaniu nowej sprężyny w widełkach i przywróty przez mnie pojemnik na narzędzia. Zapytałem mistrza kto tym motocyklem przyjechał i dowiedziałem się, że jakiś polski oficer. Pojechałem zaraz do sztabu i powiedziałem o tym Polowi, a ten zaczął kręcić, że sam nie może jechać i że to napewno pomyłka i w końcu dał mi rejestrację tego motoru i powiedział że bym sam sprawdził numery silnika i ramy. Gdy wróciłem do warsztatu Graczkowskiego już tego motoru nie było, a mistrz powiedział mi, że ten oficer nie czekał na naprawę, bo bardzo się spieszył i tak pojechał. Wtedy domyśliłem się, że w tej kradzieży brał udział, a przynajmniej o niej wiedział sam kapitan Pol i gdy mu powiedziałem o motorze to mnie zatrzymał, a równocześnie dał znać, żeby motor zabrali. Gdy dłużej byłem w sztabie to dopiero zobaczyłem jak oficerowie naszego pułku, od dowódcy pułku zaczynając, rozkradali niemiłe państwowe bez żadnej żenady i prawie jawnie. Z zajętych majątków przez nasza kompanie brali nasowo tuczniki, nasze i inne produkty na swoje potrzeby, a były one bardzo duże. W Bydgoszczy była restauracja, w której cała sztaba oficerska co wieczór bawiła się do upadłego. Pito najlepsze trunki i do tego najwyśmienitsze zakąski z tym, że każdy z nich przywodził ze sobą różne znajome panie. Właściciel tej restauracji zwany przez oficerów "Tatuńciem" wszystko dawał na konto dostaw wieprzowiny i innych produktów z naszych majątków. Mieraz sam byłem tego świadkiem. Był to kapitan Rójowski brał mnie z samochodem i jechaliśmy do któregoś majątku, gdzie stała nasza kompania. Tam ładowano mi na tylne siedzenie świeżo ubite wieprze, nasze, śmietaną i inne produkty i jechaliśmy z tym prosto do "Tatuńcia" i zdawaliśmy mu to wszystko. Taka dostawa odbywała się raz lub nawet dwa razy w tygodniu. Kilka razy zawoziłem sam kapitanów do "Tatuńcia" na wieczorną hulankę. Muszę powiedzieć, że "Tatuńcie" był porządnym człowiekiem i gdy widział, że siedzą w samochodzie i czekam na swoich kapitanów, to zawsze przyjechał mi przez kelnera porządną kolację i szklankę dobrego wina, a gdy mu za pierwszym razem powiedziałem, że nie mam pieniędzy na zapłacenie tego poczętunku, to mi powiedział że bym się tym nie trapił, bo on to i tak wpisze na konto Pola, bo jak mają na hulankę to niech płacą. Ja wtedy na takie czekanie zabierałem ze sobą książkę i czekając czytałem. Jolałem to niż dawać samochodu i następnie jego remont, bo jak już wspomniałem Polowi wystarczył jeden kieliszek żeby rozbić wóz. Nie wiem czy po wypiciu ślepk czy po prostu od razu był zamoczony, ale kiedyś zupełnie nie wyglądał na podbitego i motorem wjechał prosto na tramwaj. Miał wtedy tylko szczęście, że jemu nie się nie stało, bo tramwaj jechał akurat pod górę a motorniczy zdążył zatrzymać wóz.

Nawet kiedyś wywrócił Opla do góry kołami. Cały dach był pognięty i wszystkie szyby pocięzione, a on wyszedł bez najmniejszego szwanku. Raz wybieraliśmy się do kina i dałem mu samochód i wracając z kolegami po seansie spotkaliśmy rotbitą karetkę pogotowia i nasz samochód ze zgniecionym przodem. Naturalnie kapitan "nie zauważył" jadącej z przeciwka karetki i skręcając w lewo najechał na nią. Szczęściem że wtedy nie było rannych ani zabitych tylko obie samochody były mocno uszkodzone. Miałem później robotę, bo i rana była zagięta i maska z błotnikiem pognięta, a części zamiennych wtedy nie było i trzeba było naprawiać stare, lub samochód wyrzucić na złom. Najlepsze było to, że kapitan Pol miał zawodowe prawo jazdy na samochody i motocykle - tak zwane wówczas "czerwone", a ja tylko "zielone" czyli późniejszą trójkę.

Któregoś dnia pojechałem z kapitanem Rojowskim samochodem do majątku najowanego przez kompanię chorążego Paproty. Moby Rojowski jechał na kontrolę, ale celem wyjazdu było dostarczenie wieprzowiny dla "tatulańca". Chorąży poczekał nas dobrą obiadem i ciągle dolał nam szklanek spirytusu tak, że gdy skończyliśmy już byliśmy już zupełnie pijani. Chorąży zawsze chciał mnie ściągnąć do siebie do kompanii, bo miał zastępcę starszego sierżanta Żyda, z którym ciągle nie mógł się dogadać. Ten sierżant w tym właśnie czasie dostał awansu na chorążego i Paprota nie mógł tego przeboleć. Powiedział wprost przy obiedzie Rojowskiemu: "to wy takich żydziaków nie ma wartych awansujecie, a takich jak Marchocki trzymacie jako kierowców? Z tego nic dobrego nie będzie". Zabitego wieprza położyli mi na tylnym siedzeniu, a chorąży na pożegnanie dał mi półkę szoniny i litr spirytusu i zapowiedział Rojowskiemu żeby nie ważył się tego mi zabrać, bo "wy lubicie innym zabierać". Taka była opinia chorążego Paproty o naszych sztabowcach. Sam byłem jednym z nielicznych dowódców, który dbał o żołnierski byt i nigdy w jego kompanii nie było gwałtownego ani obdartego żołnierza. Rojowski miał wtedy dobrze "w czubie", a ja też i pojechaliśmy spowrotem do Bydgoszczy. Szosa była tam wąska i kręta, a ja jechałem po kawalersku i co Rojowski wołał żebym jechał wolniej, to ja dodawałem gazu. Czasem na zakrętach zarzucało tyłem wozu, ale dojechałem na miejsce bez awarii. Tylko przy wysiadaniu miałem trudności. Obecnie panuje opinia, że kropla alkoholu we krwi grozi wypadkiem, a wtedy mażo który kierowca wojskowy jechał zupełnie trzeźwy i wypadków było stądunkowo bardzo mało.

W tym czasie Wańka już odszedł spowrotem do czerwonej armii, a major miał kierownicę Niemca czeskiego. Dostał się on do naszej niewoli nad Odrą i gdy okazał się dobrym kierowcą i mechanikiem, major wziął go do siebie, a później dał mu książeczkę wojskową polską i unundurował go. Trać wojnę był ten Niemiec pracownikiem zakładów Skoda i w czasie wojny musiał coś nabroić w Czechach, bo nie chciał tam wracać i został w Bydgoszczy. Major miał wtedy dwa samochody zdobyczne i na zmianę nimi jeździł, a sztabowym Dodge'm jeździł jako kierowca spowrotem sierżant Borowski, który jeździł nim z majorem Michalskim, a w Chodzieży Cejcyń za burdę posadził go wraz z sierżantem Wysockim najtrzy dni ścisłego i odebrał do naszej kompanii. Wysocki już pozostał na stałe w kompanii, a Borowskiego zabrali spowrotem do sztabu jak odszedł

Wańka. Wańka był Rosjaninem zamieszkałym przed wojną w Nijowie. Był kierownikiem w hotelu dla cudzoziemców i wyższych władz sowieckich. Opowiadał nam jako normalną rzecz, że w tym hotelu było kilkanaście dziewczyn zatrudnionych na normalnych etatach, które pełniły tam funkcję prostytutek "obsługujących" przyjeżdżających dygnitarzy sowieckich. Uważał to za zupełnie normalną rzecz i wcale się tym nie gorszył, tylko śmiał się, że władze sowieckie głosiły całkowite zniesienie prostytucji w Rosji jako "poniżającej człowieka", a dla siebie zatrudniali prostytutki na etatach, żeby im sami nie musieli płacić.

Wańka był pijakiem i rzadko bywał trzeźwy, ale major Gejcyń bał się z kierownikami Polakami jeździć i puki nie miał Nijowa to trzymał Wańkę, który przyjeżdżał z nim do pułku.

Gdy przyjechałem do Bydgoszczy zastałem już tam szpital polowy 3-jej Dywizji, w którym wówczas byli już prawie sami ozdrowieńcy. Duża ich część, a w tym prawie wszyscy miedzi chodzili stale po nieście. Większość z nich było kulakami bez rąk i nóg. Ci o jednej nodze chodzili o kulach. Przewodził im młody, 19-letni plutonowy bez nogi. Był on na wszystkich zabawach tanecznych i zawsze w otoczeniu swoich kolegów inwalidów. Kiedyś poszliśmy z Borowski i Michalkiewiczem na zabawę w sali domu ludowego nad Brdą. Sala była duża i zawsze było tam pełno. Inwalidzi o kulach stali zwykle przy bufecie i przyglądali się tańczącym. W pewnej chwili plutonowego, który stał zupełnie spokojnie przy bufecie i popijał piwo, potrącił podpity sowiecki marynarz z flotylii rzecznej. Było ich wtedy w Bydgoszczy dość dużo, bo prowadzili zdobywczo barki z Niemiec kanałami Bydgoskim, Brdą do Wisły i dalej Bugiem do kanału Królewskiego i Frypoci. Plutonowy myśląc, że marynarz potrącił go nieumyślnie, spokojnie zwrócił mu uwagę, żeby uważał i nie rozpychał się, a ten nie wiele myśląc uderzył plutonowego tak, że ten upadł. Inwalidzi skrzyknęli się i za chwilę "bojowy" marynarz leżał na podłodze we krwi, bo kule poszły w ruch. Stałem nie daleko i widziałem zajście. Koło mnie siedział przy stoliku jakiś NKWD-ista i podnosząc się z krzesła krzyknął na naszych inwalidów "picirekratititie bie szaligany". W tym momencie już stojąc plutonowy poskoczył do NKWD-isty i zdusił go kulią, a potem zkrępał za kołnierz i podskakując prowadził go do drzwi, a inni go bili kulami. Wtedy już na całej sali wszystkich sowieckich wojskowych bili nas, czym który miał. Na alarm przybiegła sowiecka patrolka i ją też pobili. Dopiero polska patrolka z komendy miasta i oficerami na czele uspokoiła inwalidów i uratowała sowieców, a nieprzytomnego, zalanego krwią marynarza nabrała pogotowie. Po tym wydali zakaz opuszczania szpitala, ale to nic nie pomogło, bo oni i tak wychodzili. Już pod koniec mojego pobytu w Bydgoszczy spotkałem tego plutonowego na stacji. Był zupełnie zgaszony, stał ze uniesioną głową i ponuro patrzył przed siebie. Podszedłem do niego i przyitałem się. Chazało się, że go wypisali ze szpitala i sam nie wiedział co ze sobą zrobić. Nie przyjął propozycji pracy przy wyrobie szczotek, a nie miał żadnego wykształcenia i rodzina jego była jeszcze na Syberii. Takim był w szpitalu nadrabiał wesołością, ale gdy pozostał sam, czuł się zupełnie zagubionym. Liczyłem, że ja mu nie mogę pomóc, bo sam nie miałem. Takich jak on było w

W tym czasie tysiące i potem długo jeszcze zebrali po pociągach i dworcach i upijali się dla utraty pamięci.

W szpitalu tym był jeden oddział zamknięty, gdzie leżały same kobiety i dziewczyny z Bydgoszczy i okolic, które po zgwałceniu przez Sowietów były zarażone chorobami wenerycznymi. Była tam między innymi jedna dziewczynka 11-letnia zgwałcona przez kilku Sowietów i zarażona syfilisem.

Któregoś dnia nagle major Cejcyń wziął Borowskiego z Dodge'm, mnie i jeszcze dwóch podoficerów ze sztabu i pojechaliśmy na szosę w kierunku Iakła. Była tam, kilkanaście kilometrów od Bydgoszczy dość stroma góra z ostrym zakrętem u jej podnóża, a szosa w tym miejscu była wąska i wysadzona starymi lipami. Jadąc z góry z nadmierną szybkością kierowca sztudebekera nie utrzymał wozu w zakręcie i zaczepił skrzynią i tylnymi kołami o drzewo. Samochód okręcił się przy drzewie i zjechał na błądź za rów. Tym samochodem jechał jakiś major z ministerstwa obrony, przyjaciel naszego Cejcyńa, który przewoził z sobą meble i inne rzeczy do Warszawy, gdzie dostał mieszkanie. Major w cywili wypadł z samochodu na kolana i podczas uderzenia ołówki kopionki wbił mu się do jamy brzusznej, co wraz z innymi obrażeniami powodowało poważne zagrożenie życia. Ranę majora przygodny samochód odwiózł do szpitala w Bydgoszczy, a kierowca zbiegł obawiając się kary za rozbicie wozu. Nasz major chciał zabrać rozbity samochód, ale gdy tam zajechaliśmy, już byli przy wozie ludzie z obozu w Potulicach. Trzech młodych strażników z pięciu niemieckimi jeńcami, z ciągnikiem Lantz Bulldog. Oni myśląc, że samochód był porzucony chcieli go zabrać dla obozu. Major zakatwił z nimi to, że mieli zabrać samochód na przechowanie. Wtedy pierwszy raz zetknąłem się ze strażą więzienną. Byli to chłopcy, którzy przeczuli całą wojnę w Potulicach, gdzie Niemcy trzymali polskie kobiety z dziećmi - rodziny rozstrzelanych lub wziętych do obozów koncentracyjnych Polaków z Pomorza. Kośli oni w nienawiści do Niemców, widząc umierające z głodu, zimna i ciężkiej pracy swoje matki i siostry, oraz zagłodzone młodsze rodzeństwo. Gdy obóz zajęli Sowietci, wzięto ich - tych młodzieńców 18 - 19-letnich na strażników obozowych i spędzono tam jeńców wojskowych i cywilnych Niemców i Volksdeucezów z Pomorza. Chłopcy ci rozmawiali z nami i opowiadali swoje przeżycia zupełnie spokojnie, ale do jeńców odnosili się z największą nienawiścią. Jednemu z nich rozwiązał się owijacz na nodze. Nie poprawił go sobie sam tylko krzyknął na Niemca, a ten na czworakach podbiegł do nogi, owinał owijacz, pocałował bóg, dostał kopniaka i znowu na czworakach odszedł do swojej roboty przy szykowaniu samochodu do przetransportowania na holu. Myślny nie byli grzeczni i układni w stosunku do Niemców, ale zachowanie się tych młodzieńców przewyższało wszystko, co widzieliśmy, bo co innego w złości zastrzelić poddającego się wroga, co nicraz zdarzało się, zwłaszcza po spaleniu polskich żołnierzy wziętych przez Wehrmacht do niewoli w rodgajach, a co innego znęcać się bez przerwy nad jeńcami w obozie. Ci chłopcy może wcale nie byli źli, tylko nienawidzili, a nienawiść robi z człowieka, nawet wnet spokojnego, bestię.

Pólin, jesienią 1945 roku zaczęła się demobilizacja starszych roczników naszego pułku. Gdy przyszedł rozkaz demobilizacji zapowiedziano nam, że każdy może wybierać, albo pozostać w Polsce, lub zgłosić się na powrót w swoje strony na Kre-ty. Młodzi wszyscy zapowiedzieli, że zostają, ale wśród starszych dużo było takich, którzy mając tam rodziny i nie wiedząc czy je, sowieci wypuszczą, woleli deklarować się na powrót. Tak z mojego plutonu zgłosili się obaj Downarzy Jan i Wincenty, Panicz, Żych i Porejko. Wszystkich deklarujących się na powrót zebra- li razem w barakach na Fordonie. Pojechałem tam żeby się ze swoimi pożegnać i starzy przy tym popłakali się. Wyściskali i wyciskowali mnie, a Porejko zapytał z żalem: "czy my się jeszcze kiedyś zobaczymy?". Biedni zawierzyli i jeszcze raz ich oszukano. Mieli zapewnienie, że zaraz będą zwolnieni z wojska i odesza- ni do domów, a tymczasem odstawiono ich do sowieckiego punktu zbornoego, prze- mundarowano i odeszono do dalszej służby na daleki wschód. Przed samym przekro- czeniem granicy przez ich transport, uciekł jeden z młodszych i bardziej przed- sięwziętych i wrócił do pułku. On nam przywiózł tę wiadomość o losie pozosta- łych. Prosił kapitana Pola żeby mu wydał papiery demobilizacyjne, ale Pol nie chciał i żołnierz odszedł z niczym. Dopiero w PUR-ze wyrobił sobie cywilne papi- ery.

Na demobilizację żołnierzy na odprawę były pobierane różne produkty żywnościow- e, których ci żołnierze nigdy nie zobaczyli. Sam widziałem jak kilkudziesięciu kilogramów świeżego masła z mleczarni zawieziono prosto do willi zajmowanej przez majora Cejcyna. To samo spotkało samochód kiełbas i słoniny. Produkty te zostały prosto sprzedane prywatnym handlarzom, a żołnierze dostawali po bo- chonku chleba i pół kilograma kaszy jęczmiennej jako cały suchy prowiant na pięć dni. W tym ostatecznym czasie złodziejstwo dowództwa stało się zupełną plagą. A najwięcej machlojek popełniał sam Cejcyn. Zgromadził on duży majątek i myślał że ada mu się zostać w Polsce. Miał już w Łodzi zajęte duże mieszkanie i część rzeczy wojskowym transportem tam wywiózł. Tymczasem dostał rozkaz powrotu do armii czerwonej. Jego kochanka pseudo żona - sierżant - Żydówka Łódzka nie po- jechała z nim, tylko zagarbiła cały jego majątek i mieszkanie w Łodzi.

Na Fordonie w barakach po niemieckich zbierali tabory, konie i inny sprzęt zdo- byczny, a w tartaku na Zimnych Wodach zbierali zdobyczą broń oraz wydawano no- we sorty mundurów demobilizowanym żołnierzom. Na Zimnych Wodach służbę warto- wniczą pełnili żołnierze mojego plutonu, a na Fordonie pluton chorążego Czechow- skiego.

któregoś dnia zawołał mnie kapitan Rojowski i kazał żebym wziął sierżanta Bor- owskiego i jednego zaufanego podoficera z dawnego mojego plutonu i był wieczor- em gotowy do drogi DKW-ką. Pojechałem na Zimne wody po Michalkiewicza i powi- działem Borowskiemu o rozkazie. Wieczorem śniadł z nami do samochodu kapitan Ro- jowski i kazał jechać do obozu w Fordonie. Kie dojeżdżając do samego obozu kaza- ła zatrzymać wóz, Borowskiego pozostawił w samochodzie, a mnie i Michalkiewicza wziął ze sobą i poszliśmy pieszo do baraków zajmowanych przez nasze oddziały. Nie spotkaliśmy żadnego wartownika i obchodząc cały obóz nikogo żywego nie wi- dzieliśmy. Kapitan kazał wyprowadzić z baraku kilka koni i zaprzęć parę dół

wozu drabiniastego stojącego przed barakiem, a kilku innych przywiązać do drabin woza i jechać z nimi do Bydgoszczy. Gdy byliśmy już gotowi sam poszedł do samochodu i jechał przodem, a ja z Michalkiewiczem za nimi koni. Tak bez przeszkód dojechaliśmy do Bydgoszczy, gdzie czekał na nas kapitan i podał nam sędres, na który mieliśmy odprowadzić konie. Gdy tam dojechaliśmy, już tam na nas czekał kapitan i przekazał konie na przechowanie jakiemuś mężczyźnie, którego tytułował komisarzem. Nam zapowiedział żeby o tym wyjeździe nikomu nic nie mówić i kazał jechać na kwaterę i iść spać. Gdy jechaliśmy na ten wyjazd kapitan mówił nam, że mamy skontrolować zabezpieczenie obiektu. Następnego dnia przeniósł Michalkiewicza do sztabu, a pod wieczór zawołał nas trzech do swego mieszkania i dał nam po tysiąc złotych i zapowiedział, żebyśmy o tym wyjeździe zapomnieli i nie ważyli się o nim komuś mówić. Zrozumieliśmy wtedy że prosto wykorzystano nas do dokonania zwykłej kradzieży, a konie kapitan sprzedał na swoje konto. Gdyby to zrobił majorowi Michalskiemu to nie darowałibyśmy mu tego, ale major Cejcyń sam okradał wszystkich żołnierszy i sprzedawał mienie państwowe, więc nic nie powiedzieliśmy. Po niedługim czasie kapitan Pol dał Borowskiemu i Michalkiewiczowi papiery demobilizacyjne i odeszli obaj z pułku do cywila. Borowski miał już wtedy rodzinę w Olsztynie i pojechali tam razem z Michalkiewiczem. Tymczasem śledztwo w sprawie kradzieży koni Cejcyń powierzył kapitanowi Rojowskiemu i naturalnie zagmatwał on tak tę sprawę, że nikt potem już nie doszedł prawdy. W kilkanaście dni po tym major Susin wyprawił swoje imieniny. Miał on mieszkanie w dawnej dzielnicy oficerskiej i niedawno ożenił się z bardzo sympatyczną panną z Poznańskiego. Zaprosił na ten dzień do siebie na wieczór majora z jego "żoną" - żódką Źydówką, która w stopniu sierżanta prowadziła mu kancelarię i z którą żył w tym czasie jako wojenne małżeństwo zupełnie jawnie. Poza tym major Susin zaprosił kilku oficerów ze sztabu i mnie zapowiedział że bym wziął Dodgę'a i przywiózł ich wszystkich i mnie też zaprosił. Byłem jedynym w tym pułku, który szedł z nim od siebie i lubił mnie, choć miał do mnie żal, że nie chciałem iść na służbę oficerską, a ja nie chciałem służyć w wojsku po wojnie i dla tego nie zalekałem mi na stopniu oficerskim. Gdy wieczorem zajechaliśmy na miejsce, major posadził wszystkich dookoła stołu, a mnie koło siebie. Wszystkim postawił dużo kieliszków, a mnie szklankę i zaczęła się uczta. Majorowa jak przystało na pannę ze dworu, była świetną gospodynią i zakąski i gorące dania były świetne, tylko major stałe mi nalewał do pełna szklankę i dość prędko zaczęło mi się kręcić w głowie. Najlepsze było to, że Cejcyń był markotny z tego powodu, że nie wykrył jeszcze sprawców kradzieży koni, a Rojowski zapomniał go, że wszystko zrobił żeby to wykryć. Chciało mi się śmiać na takie zapewnienia. Rojowski zobaczył mój uśmiech i przestraszył się, że po pijanemu wygada prawdę i zaczął nalewać żódkę żódkę więcej nie pił, bo przecieć muszę ich odwiedzić. Rzeczywiście miałem już dobrze w czubie i major Susin zaprowadził mnie do kuchni, gdzie stała kobieta i kazał mi przespać się. Tymczasem po chwili weszła majorowa i zatrząskła się, że pewno jestem głodny i dała mi znowu jeść i do tego należała szklankę kawy.

A nalowki majorowa miała pierwszorzędne i choć wogóle nigdy nie lubiłem pić wódki, to te nalowki bardzo mi smakowały. W rezultacie gdy po północy nicliśmy wracać, ledwo stałem na nogach. Schodziłem po schodach trzymając się oburącz poręczy i z trudem wsiadłem do kabinki. Przedtym musiałem założyć sporemotem palec rozdzielczy, który wyjąłem żeby być pewnym że mi nie ukradną za przechodu z ulicy i mocno się nabiedziłem nim go założyłem. Wszyscy byli mocno podgici i nie zwracali na mnie uwagi, bo trzcziwi cgyba baliby się ze mną jechać. Nocą ulice miasta były puste i jechałem wtedy zupełnie po kawalersku, a ale dwoiłem wszystkich do ich domów bez przeszkód.

Któregoś dnia wysłali mnie z jakimś rozkazem do Torunia do porucznika Wiśniewskiego, który tam urzędował. Ponieważ swój płaszcz oddałem do krawca na przeczyszczenie na mundur, a nowego jeszcze nie dostałem, wzięłem płaszcz od Broza - ordynansa kapitanów Pola i Rojowskiego. Na ulicy w Toruniu spotkałem znajomego podoficera i zatrzymałem się na chwilę żeby z nim porozmawiać. Akurat przechodził patrol ze Szkoły Oficerskiej Artylerii. Chodzili oni stale po kolumnastu z oficerem i "robili porządek". Legitymowali z reguły każdego wojskowego, który stał i rozmawiał z kimś. Oficer zarządał ode mnie dokumentów, a gdy pokazałem mu swoją książeczkę wojskową, zapytał dlaczego nie mam niesztyck na płaszczu. Powiedziałem mu, że płaszcz pożyczym i dlatego nie mam niesztyck, a ale on nie uznał tłumaczenia i zabrał mnie do komendy miasta na wyjaśnienie. Pomiędzy podchorążakami było już kilku zatrzymanych oficerów, podoficerów i szeregowych. Tłumaczyłem, że wieszę pilną pocztę wojskową, ale to nie nie pomogło. Nie mogłem robić awantury, bo nie by to nie pomogło i poszedłem z nimi. Zaprowadzili mnie z innymi zatrzymanymi do komendy miasta i najspokojniej zamknęli nas w areszcie. Gdy dopominaliśmy się o widzenie z oficerem służbowym komendy, odpowiadano nam, że nikogo już nie ma i dopiero nazajutrz będzie komendant placu, który rozpatrzy nasze zatrzymania. Musieliśmy wszyscy przesiedzieć w areszcie przez całą noc. Na dobitkę nie dali nam nic do jedzenia i picia, bo powiedzieli, że nie zostaliśmy zaprewiantowani. Wszyscy kłogli jak szowcy, ale nic to nie pomogło. Następnego dnia około 9-tej zaprowadzili nas kolejno do kancelarii gdzie urzędował jakiś kapitan, który po sprawdzeniu u nich dokumentów powiedział, że niewłaściwie zachowywałem się w garnizonie Toruń, bo stałem na ulicy i wpisał mi na pozwoleniu na broń notatkę żeby mnie po powrocie do jednostki ukarali za złe zachowanie się w garnizonie Toruń. Były to pomysły generała Hulēja - komendanta Oficerskiej Szkoły Artylerii i zarazem komendanta garnizonu Toruń. Był to przedwojenny pułkownik artylerii stracił rękę w 1939 roku i był przekonany, że takim "pruskim dryfem" zrobi prawdziwe wojsko. Doszło do tego, że nikt nie chciał jechać do Torunia służbowo, bo nikt nie mógł uniknąć przykrości.

W Toruniu siedział jak wspominałem porucznik Wiśniewski i zajmował duże mieszkanie na piętrze przy starym rynku, a w terenie było jeszcze kilku techników naszych w Figrzy i szef z kilku siedział w majątku koło Solca Rajawskiego. Wtedy gdy byłem Staniszek wybierał się wozem konnym do szefa, bo ten miał się stantąd wynosić i mieli jakąś rzecz zabierać do Torunia. Pojechałem z

nim, bo chciałem zobaczyć starych znajomych. W drodze przez las zatrzymał nas gajowy i powiedział, że koło szosy za krzakami leży jakiś człowiek i on nie wie co ten tam robi i prosił żebyśmy tam poszli i zobaczyli. Koło samej drogi, lecz zakryty krzakami leżał mężczyzna w średnim wieku przywalony jakimś kawałkiem szyny. Był nieprzytomny, ale jeszcze oddychał, choć widać było, że był mocno poturbowany. Był to napewno obrabowany przez sowietów mieszkaniec niedalekiej miejscowości. Miał spodnie spięte spinaczami co wskazywało na to, że jechał rowerem i prawdopodobnie ten rower był winny jego pobicia. Ponieważ jechaliśmy w przeciwną stronę, a trzeba było zawieźć go do szpitala w Toruniu więc polecieliśmy gajowemu żeby się tym zajął. On sam bał się ruszać tego człowieka żeby nie był posądzonym o napad.

W tej samej okolicy nieco wcześniej zdarzył się wypadek z naszymi żołnierzami. Plutonowy z pięciu żołnierzami pędził stado bydła z jednego majątku do drugiego, gdzie nie było zupełnie inwentarza. W tych lasach wyszło im na przeciw kilku sowietów i chcieli im odebrać to bydło, a ich szynych rozbroić. Po sprzeczek plutonowy, gdy mu chcieli odebrać automat wygarnął do nich serię i kilku zabił, a reszta uciekła. Następnego dnia przyjechało do majątku NKWD i chciało aresztować plutonowego "za napad na sowieckich żołnierzów". Na szczęście ostrzegli go koleździ i zwiak. Przyjechał do sztabu i kapitan Pol dał mu książeczkę wojskową na inne nazwisko i posłał do kompanii za Nakło, a oficjalnie zrobili raport o dezercji plutonowego.

Gdy wróciłem do Bydgoszczy pokazałem kapitanowi Polowi notatkę z Torunia, a on się z tego uśmieł i kazał wypisać mi drugie pozwolenie. Będąc w Toruniu dowiedziałem się, że już został zdemobilizowany sierżant S... i właśnie rozieszane za nim listy gołcze, bo zaraz po rozpoczęciu pracy w jakimś przedsiębiorstwie dokonał jakiejś większej kradzieży i kilku oszustw, a wszystko dla zdobycia alkoholu, gdyż był kompletnym nałogowcem i już nie mógł wytrzymać bez picia nawet kilku godzin, no a zarobki w tym czasie były wszędzie niskie i nie mogły starczyć na zapotrzebowanie sierżanta. Było nam z tego powodu bardzo przykro, bo przeżyliśmy z nim spory kawałek czasu razem. Janek Sikora długo siedział po mnie w Bigrzy. Po tym dostał urlop i pojedechał odwiedzić swoją rodzinę. Pochodził ze Śląska Zaolziańskiego i rodzice jego mieszkali o kilka kilometrów za granicą. Wówczas Czesi byli dla ustąpienia do Polaków i Janek nie mógł dostać normalnej przepustki na odwiedzin. Pojechał on do najbliższej strażnicy WOP-u i zawiadzał jej komendanta przedrzeć nocą przez granicę i przez następny dzień przesiedzieć u rodziców, a następnego dnia znów przeszedł granicę w drodze powrotnej. Miał ze sobą pistolet i w drodze powrotnej musiał się ostrzeliwać czeskimi strażnikami. Wracając do Bydgoszczy już za Gnieznem do przedziału w którym siedział wszedł sowiet z pistoletem w rękę i zarządził od pasażerów oddanie portfeli, zegarków i pieniędzy. Sikora sięgnął niby to po portfel, a wyciągnął pistolet i jednym strzałem pokożył rękę, a sam momentalnie uciekł do innego wagonu. Pociąg długo trzymali na stacji i poszukiwano zabójcy "żołnierza radzieckiego". Na szczęście nikt Sikory nie wydał i spokojnie dojechał do Bydgoszczy.

Chcieli Sikorę tak jak i mnie posłać do szkoły oficerskiej pol-nych, ale nie zgodził się i wytargował skierowanie do Oficerskiej Szkoły Samochodowej, która wówczas mieściła się w Bydgoszczy. Widziałem go jeszcze kilka razy już jako podchorążaka.

Kiedyś posłali mnie ze sztabu z jakimiś meldunkami do dowództwa okręgu, które mieściło się wtedy w Poznaniu. Tam też miałem przygodę z powodu braku naszywki na płaszczu. Gdy wszedłem do kancelarii ogólnej, gdzie miałem przekazać meldunki, jakiś sierżant z biurka rozkazał mi wyjść i ponownie wejść meldując swoje wejście. Dla spokoju zrobiłem co kazał i miał głupią minę jak mu zameldowałem, że starszy sierżant melduje sierżantowi swoje wejście. Zapytałem dlaczego nie mam naszywek, więc rozpiąłem płaszcz i pokazałem naszywki na mundurze. Różniej był już zupełnie grzeczny i szybko załatwił mnie.

Skorzystałem z bytności w Poznaniu i odwiedziłem ciocię Zosię Chrzanowską, której adres podała mi wuj Wacek Hulewicz. Mieszkała ona na Solcu w swoim domu, który jej upaństwowili, zupełnie samotna. Żyła w zupełnej nędzy, bo wszystko co miała chowała dla swojej wychowawicy Bajki, która w tym czasie była w Anglii i nie miała zamiaru wracać.

W początku grudnia zebrano wszystkie samochody osobowe zdobyte na Ziemiach Wodach i mieliśmy je odstawić do składnicy w Poznaniu. Celem zostawił sobie jeden w garażu, a pozabierał samochody wszystkim oficerom. Żeby oszczędzić benzynę major wymyślił to, że na ZUS-y wstawiono samochody nie będące na chodzie, a dobre kazał brać za ZIS-ami na hol. Te na holu mieliśmy prowadzić wszyscy podoficerowie ze sztabu posiadający prawo jazdy. Ja prowadziłem Super Opla. Był on w dobrym stanie i można było nim jechać, ale major nie pozwolił. Jechał z nami porucznik, który miał przekazać wszystkie samochody w składnicy, a my tylko je odstawić. Już niedaleko Poznania w okolicy Biedruska nawaliła mi opona i ponieważ był już wieczór więc zostawili mnie z samochodem koło jakiegoś liskiego domu i sami pojechali dalej. Zamknąłem samochód i poprosiłem mieszkańców pobliskiego domu o nocleg. Gdy już się rozebrałem i właśnie myłem się, przyjechał patrol z Biedruska i oficer dowodzący nim zabrał ode mnie dokumentów. Nie miałem rozkazu wyjazdu, bo był napisany łącznie dla wszystkich i miał go przy sobie porucznik. Zabrał mi więc książeczkę wojskową i prawo jazdy i zapowiedział, że mam zgłosić się po nie w ich garnizonie rano łącznie z rozkazem wyjazdu. Rano przyjechali po mnie tylko kierowca ZIS-a z jednym z naszych podoficerów. Oni też nie mieli rozkazu wyjazdu i ~~nie~~ nie chcieli jechać do Biedruska, tylko zaciągnęli mnie do Poznania. W drodze pod samym Poznaniem o mały nie rozbił nas pociąg. Szosa przechodziła tam przez kilkutorową linię kolejową i gdy ZIS wjechał na tor przed nim opadł szlaban, a niedaleko zobaczyliśmy nadjeżdżający pociąg. Jechał prosto na nasz samochód i już chciałem wyjechać, gdy kierowca ZIS-a ruszył i złamawszy szlaban w ostatniej chwili ściągając mnie z toru. Pociąg dosłownie stanił się o Opla. Niedaleko za tym przejeżdżając znów nawaliła mi opona w przednim kole, ale kierowca ZIS-a nie zatrzymał się i jechał dalej z nie zmniejszoną szybkością, mimo, że na dawnych znakach hamując co chwila.

Spalona opona spadła i jakiś czas jechałem na gołej feldze, lecz ta po pewnym czasie rozklepała się i przepiłowała drążek łączący oba przednie koła i od tej chwili jechałem kierując tylko jednym kołem, a drugie latało po całej jezdni co powodowało rzucanie przodem wozu na obie strony. Tylko sztywny hol przytrzymywał trochę skoki. Tak dociągnął mnie aż do miejsca, gdzie stała cała kolumna. Okazało się, że zdanie tych zdobywczych samochodów nie było wcale takie proste i porucznik jeździł od urzędu do urzędu żeby wreszcie to załatwić. Trwało to kilka dni, a myśmy stali z samochodami na polnej drodze i na zmianę musieliśmy ich pilnować, a nie mieliśmy żadnego prowiantu, bo wysyłając nas uważano, że to tylko kwestia odstawy i powrotu na drugi dzień do Bydgoszczy. Upominaliśmy się u porucznika o pieniądze na zakup żywności i wyjazd po nią do miasta, bo baza zdobywczego sprzętu znajdowała się na zupełnych peryferiach ówczesnego Poznania. W pobliżu nie było żadnego sklepu spożywczego, a mieszkańcy pobliskich domów zaopatrywali się w odległym mieście. Porucznik naciskany przez nas powiedział żebyśmy zdjeli z gorzszych samochodów jakieś części, lub kilka kół i sprzedali, a za uzyskane w ten sposób pieniądze kupili żywność. Jak każdy na swoją rękę zaczął odkręcać poszczególne części to większość samochodów nie była sprawna. Najwięcej zabrali kierowcy ZIS-ów, bo mieli na co ładować zdjęte z samochodów części i koła. Wreszcie na trzeci czy czwarty dzień udało się porucznikowi załatwić zdanie tych nieszczęśliwych samochodów i podjeżdżaliśmy kolejno do komisji kwalifikacyjnej. Ponieważ wszyscy byliśmy zli na majora Cejcyna za posłanie nas w takie warunki, każdy opowiadał dał komisji o wszystkich brakach zdawanych samochodów i poszły one w większej części jako do kapitalnego remontu. Po zdaniu chciałem żeby porucznik jechał ze mną do Biedruska po moje dokumenty, ale nie chciał i pojechał do Bydgoszczy koleją, a my ZIS-ami. Niektórzy jechali nocą, a my jednym samochodem zanieśliśmy po drodze i dojechaliśmy do Bydgoszczy wypocząci, ale ostatni. Tymczasem po oddaniu przez porucznika protokółów zdawczo-odbiorczych z samochodów, major Cejcyń rozkazał się na porucznika za to, że źle zdał wozy, bo chciał się wykazać w ministerstwie, że przekazał wszystkie wozy na chodzie. Porucznik tłumaczył się, że wozy były w dużej części rozszabrowane, a zrobili to kierowcy. Nerwni przez majora kierowcy, którzy już przyjechali wyparli się wszystkiego i zwinili wszystko na mnie. Gdy zaszedłem na kwatery od razu czekał na mnie geniec ze sztabu z rozkazem natychmiastowego stawienia się u majora. Zostałem przywiązany części w worku na podłodze, pistolet na kółku, a drugi wsadził mi za pasek na brzuchu i poszedłem do sztabu. Od razu zawołał mnie Cejcyń i napadł na mnie, że mam oddać pod sąd za kradzież części. Zawołał chorążego Czachowskiego i kazał mu zrewidować mnie. Chorąży bardzo dokładnie przy najonobraczał mnie i powiedział, że nic nie mam przy sobie. Naturalnie wyczuł pistolet i kazał mi wziąć plutonowego Michłkiewicza i iść zrobić w mojej kwaterze dokładną rewizję, a mnie kazał czekać w ogólnym biurze.

Zaraz podszedłem do kapitana Pola i powiedziałem mu, że w moim pokoju mam rz-
części do jego motocykla, który akurat remontowałem. Pol zawołał sierżanta
Wysockiego i kazał mu iść za chorążym Czachowakiem i powiedzieć mu, że Pol
zna jego sprawki. Po dłuższym czasie powrócił chorąży i zameldował majorowi,
że nic nie znalazł, oprócz podartej dętki motocyklowej. Major wciąknął się, z-
chrzyczał chorążego i wezwał mnie pytając gdzie podziękem pistolet. Powiedzi-
ałem mu najspokojniej, że pewnie któryś z kolegów wziął go podczas mojej nie-
obecności. Tymczasem Pol posłał Michalkiewicza z krowem i kazał im wszystko
trafne z mojej kwatery przenieść do jego mieszkania, bo bał się, że rozkosz-
czony Cejcyń może sam pojechać sprawdzić prawdziwość słów chorążego. Major
tymczasem powiedział mi, że póki nie oddam mu pistoletu to będzie mnie trzy-
madł w areszcie, albo odda do aresztu garnizonowego. Tymczasem wrócił Michal-
kiewicz i major dał mi rozkaz odprowadzenia mnie do pułkowego aresztu na
Zimne Wody. Po wyjściu ze sztabu obaj wygłupialiśmy się i specjalnie kazałem
Michalkiewiczowi prowadzić mnie środkiem ulicy z nastawionym groźnie automa-
tem. Gdy zajechaliśmy autobusem na Zimne Wody i Michalkiewicz oddał pisemny
rozkaz majora o areszcie ścisłym, na który mnie skazał, porucznik Rusiwał, któ-
ry tam rządził, kazał zaraz od siebie z domu przynieść kanapki i kawę z mle-
kiem i dał mi takie śniadanie, a po tym powiedział żebym kładł się w jego
biurze na tapczanie i przespał się, bo pewnie jestem zmęczony. Taki to był
ścisły areszt dla mnie, bo właściwy areszt mieścił się w betonowym bunkrze,
gdzie była wilgoć i nie było ogrzewania. Ale wówczas wszyscy już w naszym puł-
ku nie lubili majora Cejcyńskiego i robili mu stale na złość. Pod wieczór przyje-
chał kapitan Kojewski i powiedział mi, że ponieważ pułk ma się w najbliższym
czasie rozwiązać i gdyby do tego czasu był w areszcie to musieliby mnie
przekazać do aresztu garnizonowego i mógłbym przez dłuższy czas siedzieć, bo
nie wiadomo kiedy rozpatrzyliby moją sprawę, więc zaproponował mi żebym wziął
jego parabelkę, która była uszkodzona i oddał ją majorowi, a jemu oddał swoją.
Po namyśle zgodziłem się i na drugi dzień byłem już wolny. Cejcyń jak tylko
mógł to sabierak podoficerem zdobył pistolety i potem je dawał jako zapła-
ni oficerom w ministerstwie i dlatego uparł się żebym oddał mu swój, natomiast
obu kapitanom zależało żebym jak najszybciej wyszedł z aresztu, bo miałem im
naprawić ich motocykle, które sobie wzięli z magazynu pułkowego. W magazynie
tym były motocykle i rowery odebrane podstępnie w Chodzieży podoficerom i
oficerom gdy wracali z zachodu. Były one wszystkie po części rozszabrowane
i te które wzięli sobie kapitanowie wymagały remontu. Pol wziął sobie motor
Ardie 350 i ten miał tylko małe ustęki, a między innymi urwane łożo z bloku,
na którym zamocowane była dźwignia sprzęgła. Dźwignia uszkodzona, części i samie-
żam do warsztatu specjalistycznego miasta. Był to mistrz nad mistrza. Testrując
kierowce spawał tak, że nie trzeba było wogóle tych miejsc szpacłować, a tyl-
ko po oczyszczeniu z nagaru od razu malować. Części duralowe spawał tak, że nie
można było odróżnić miejsca spawu.

Motor Pola miałem gotowy gdy odchodziła kolumna z aktami pułku odwozonymi do
ministerstwa. Pojechałem nim w ostatniej chwili, gdy kolumna już miała ruszać.

Motor zakładowali na samochód a mnie Pol kazał też jechać i taki brudny pros-
to z warsztatu pojechałem z nimi. Gdy dojeżdżaliśmy do lasów Solskich, major
Cejcyn zatrzymał kolumnę i rozkazał mieć broń w pogotowiu, a w razie gdyby
nas zatrzymywano, nie stawać tylko strzelać i jechać dalej. Obawiał się party-
zancki, która w tych lasach dość była silna. Na wypowiedź majora odezwał się
zupelnie głośno jeden z oficerów: "sam uważaj, bo jak co do czego dojdzie to
ci pierwszy Marchocki strzeli w łeb". Major musiał to posłyszeć, bo zaraz wsiadł
do kabinki i kazał swemu kierowcy wyprzedzić całą kolumnę i pojechać
sam.

Wyjechaliśmy z Bydgoszczy już wieczorem i do Warszawy dojechaliśmy następnego
dnia w południe i w ministerstwie już zastaliśmy samochód, którym jechał
Cejcyn. Udawał że nic nie słyszał. Zdjęliśmy motor Pola i on pojechał dalej
nim do domu do Lublina, a mnie Rojowski dał kilka czystych blankietów podpi-
sanych i opieczętowanych druków "Rozkaz Wyjazdu" i powiedział żebym sobie
pojechał na Święta gdzie mi się podoba.

Właściwie nie wiedziałem po co mnie ciągnęli do Warszawy. Wyszedłem z podwór-
ka ministerstwa, które właśnie się wówczas w budynkach przy alejach Jerozo-
lińskich, i poszedłem na dworzec główny, gdzie dowiedziałem się, że pociąg do
Bydgoszczy już odszedł, a następny będzie na drugi dzień w południe. Nie chcia-
łem nocować na dworcu i kolejarz poradził mi jechać do Łodzi, a stamtąd do
Bydgoszczy. Pociąg do Łodzi miał odejść za chwilę, więc wsiadłem do niego.
Było w nim bardzo tłoczno i nie znalazłem miejsca w przedziale. Pociąg
ruszył normalnie, ale już od Piastowa zaczął się niesamowicie wlec. Co jakiś
czas stawał i maszynista coś tam klepał i dokonywał i znów ruszał. Jechali-
śmy tak wolno, że gdy znudziło się nam, to wyskakiwaliśmy z wagonu i szliśmy
normalnym krokiem po peronie. W przedziale było kilku żołnierzy i dla zabi-
cia czasu śpiewaliśmy, opowiadaliśmy sobie różne przejęcia i kawały, ale i to
nam się znudziło. Ponieważ byłem w brudnym waciaku, więc wczepiłem się do po-
ręczy pod ławkę i zasnąłem nie martwiąc się zbytnio o to, że ciągle ktoś poty-
kał się o moje nogi sterczące na korytarz. Do Łodzi zajechaliśmy w rekordowy
w tym czasie 14-tu godzin. Po przyjeździe przejechałem na dworzec Inkielski i w-
siadłem do pociągu odchodzącego do Bydgoszczy. Ten pociąg szedł już normal-
nie. Po pewnym czasie przyjadł się do mnie jakiś sowiecki żołnierz i zapy-
tał się mnie: "ty pławajuszczyj?". Tym mianem określali Sowietów, którzy uwra-
żli się ze swoich jednostek i jeździli pociągami w celach rabunkowych. Gdy
mieli tego już dość to wracali do swojej jednostki, Sowiet myślał tak o mnie
i z wyglądu byłem w swoim brudnym waciaku podobny do nich. Byłem ciekawy czy
coś ode mnie chciał i potwierdziłem. On mi zaraz zaproponował, żebym z nim po-
szedł do spóźki rabować. Powiedział, że już ich znaję i dlatego jak ja w pola-
niejszej szapce wejdę do wagonu, to nikt nie zwróci na mnie uwagi, a on za mną we-
jdzie i będzie mi podawał walizki. Powiedziałem, że nie mam broni, ale on mnie
zapewnił że ma pistolet, a ja mam być tylko jego zasłoną i potem odbierać
walizki podane przez niego. Poszedłem z nim na najbliższym przystanku ogląda-
jąc się i po drodze zauważyłem dwóch sokistów.

Wszedłem do wagonu, a on za mną i wyszedłem zaraz zostawiając otwarte drzwi i zawołaniem sokiściów. Sowieta nie zauważył tego, bo trzymał pasażerów przedziału pod pistoletem, a drugą ręką podawał do tyłu walizkę zdjętą z bagażnika. Podawał, bo myślał, że tam stoję, a tymczasem podbiegli sokiści i od tyłu wsiadli pod karabiny. Ja naturalnie nie czekałem na zakończenie i związałem do innego wagonu. Widziałem tylko przez okno jak sokiści prowadzili rozbrojonego sowietę. Dalej już jechałem bez przygód. Jadący w tym samym przedziale studenci z uniwersytetu Łódzkiego w rozmowie proponowali mi, żebym po demobilizacji przyjechał do Łodzi, a oni obiecywali mi pomoc w nauce i rozpoczęciu studiów. Dojechałem do Bydgoszczy w przeddzień Wigilii. Poszedłem do miasta i kupiłem sobie nowe buty saperki, bo moje wymagały zelowania i nie miałem w czym chodzić, gdy je oddadzą do naprawy. Totem kupiłem bochenek chleba i dwa śledzie i to z herbatą była moja wieczerza wigilijna w 1945 roku. Mieszkałem już wtedy w pokoju sam i mieszkała w nim mała myszka, która nie umie się bać i gdy tylko siadałem do stołu do jedzenia, ona wychodziła z dziury i siadała przy moim stole, a gdy jej dawałem kawałek skórki chleba to jadła na miejscu. Ona była moim gościem wigilijnym.

W pierwszy dzień Świąt odwiedziłem państwa Ejsmondów, z którymi poznałem się w czasie pobytu w Bydgoszczy. Tam Ejsmond jako architekt po przyjeździe z Wilna, pracował jako ekspert w dyrekcji kolei i jeździł po wszystkich stacjach sprawdzając czy budynki stacyjne nadawały się do remontu, czy na rozbiórkę. Mówił mi, że tam gdzie stały budynki budowane przed wojną przez Polaków, to nawet gdy były bardzo postrzelane przez artylerię, to zawsze nadawały się do remontu, a niemieckie zawsze tylko na rozbiórkę.

W drugi dzień Świąt wypisałem sobie rozkaz wyjazdu do Lęborka i pojechałem odwiedzić stryja Andrzeja, który wtedy siedział jako pełnomocnik pod Lęborkiem w dużym majątku, gdzie była górnica przetwarzająca melasę i przetwórnia owocowa - warzywna. Podobnie miał on tam pilnować sprawnej odbudowy i uruchomienia tych zakładów. Byłem tam kilka dni. Podczas tego pobytu pojechałem z milicjantami z ochrony zakładu i z sekretarką stryja do sąsiedniej wsi, gdzie było przedstawienie - Jasełka po Kaszubsku - wystawiane w czysto kaszubskiej wersji, a potem była zabawa taneczna. Z przedstawienia nie nie rozumieliśmy, tylko na zakończenie św. Józef powiedział czysto po polsku: "za to, że naród polski jest wierny - będzie Polska od morza do morza potężna i wielka". Jako nie parsiadłem śmiechał, bo był na tym przedstawieniu funkcjonariusz UB i miał strasznie głupią minę słuchając tej przepowiedni.

Do powrocia do Bydgoszczy właściwie nie miałem co robić. Nie mogłem nigdzie chodzić, bo nie miałem książeczki wojskowej, którą mi zabrala patrolka z Niedźwiedzia, a kapitan Pol nie wystawił mi nowej. Siedziałem więc dalej na dawnej kawalerii i po trochu remontowałem motocykl Rejowskiego, ale nie miałem pieniędzy i wszystkie utknęło w miejscu. Nie miałem zaprowiantowania i jedłem wtedy gdy coś zarobiłem, a zarabiałem dokonując drobnych napraw samochodów i motocykli korzystając z narzędzi z warsztatu Wiesztorta. Tam też miałem motor Rejowskiego. Gdy go rozebrałem okazało się,

Wszedłem do wagonu, a on za mną i wyszedłem zaraz zostawiając otwarte drzwi i zawieszając schistów. Sowiec nie zauważył tego, bo trzymał pasażerów przedziału pod pistoletem, a drugą ręką podawał do tyłu walizkę zdjętą z bagażnika. Podał mi, bo myślał, że tam stoję, a tymczasem podbiegli sokiści i od tyłu wzięli go pod karabiny. Ja naturalnie nie oczekiwałem na zakończenie i zwiąknąłem do innego wagonu. Wiadziałem tylko przez chwilę, jak sokiści prowadzili rozbrojonego Sowiet. Dalej już jechałem bez przygód. Jadący w tym samym przedziale studenci z Uniwersytetu Łódzkiego w rozmowie proponowali mi, żeby po demobilizacji przyjechać do Łodzi, a oni obiecywali mi pomoc w nauce i rozpoczęciu studiów. Pojechałem do Bydgoszczy w przeddzień Wigilii. Poszedłem do miasta i kupiłem sobie nowe buty saperki, bo moje wymagały renowacji i nie miałem w czym chodzić, gdy je oddałem do naprawy. Potem kupiłem soczewek chleba i dwa śledzie i to z herbatą była moja wieczerza wigilijna w 1945 roku. Mieszkałem już wtedy w pokoju sam i mieszkała w nim matka myszka, która nie miała się nie bała i gdy tylko siadałem do stołu do jedzenia, ona wychodziła z dziury i siadała przy moim stole, a gdy jej dawałem kawałek skórki chleba to jedła na miejscu. Cna była moim gościem wigilijnym.

W pierwszy dzień Świąt odwiedziłem państwo Ejsmondów, z którymi poznałem się w czasie pobytu w Bydgoszczy. Pan Ejsmond jako architekt po przyjeździe z Wilna, pracował jako ekspert w dyrekcji kolei i jeździł po wszystkich stacjach sprawdzając czy budynki stacyjne nadawały się do remontu, czy na rozbiórkę. Mówił mi, że tam gdzie stały budynki budowane przed wojną przez Polaków, to nawet gdy były bardzo postrzelane przez artylerię, to zawsze nadawały się do remontu, a niemieckie zawsze tylko na rozbiórkę.

W drugi dzień Świąt wypisałem sobie rozkaz wyjazdu do Łęborzka i pojechałem odwiedzić stryjka Andrzeja, który wtedy siedział jako pełnomocnik pod Łęborzkiem w dużym majątku, gdzie była górnica przetwarzająca melasę i przetwórnia owocowa - warzywna. Podobno miał on tam pilnować sprawnej odbudowy i uruchomienia tych zakładów. Byłem tam kilka dni. Podczas tego pobytu pojechałem z milicjantami z ochrony zakładu i z sekretarką stryjka do sąsiedniej wsi, gdzie było przedstawienie - Jasełka po Kaszubsku - wystawiane w czyste Kaszubskiej nomenklatury, a potem była zabawa taneczna. Z przedstawienia nie nie rozumieliśmy, tylko na zakończenie św. Józef powiedział czysto po polsku: "za to, że Panóć Polaki jest wielki - będzie Polska od morza do morza potężna i wielka". Miał nie parować mi łechaczem, bo był na tym przedstawieniu funkcjonariusz UB i miał straszyć głupią miną słuchając tej przepowiedni.

Do powrotu do Bydgoszczy właściwie nie miałem co robić. Nie mogłem nigdzie znaleźć, bo nie miałem książeczki wojskowej, którą mi zabrali patrolki z Biedraka, a kapitan Pol nie wytworzył mi nowej. Siedziałem więc dalej na dawnej inwalidzie i po trzech remontach motocykl Kojowskiego, ale nie miałem pieniędzy i wszystko utknęło w miejscu. Nie miałem zaprowiantowania i jadłem wtedy gdy coś zarobiłem, a zarabiałem dokonując drobnych napraw samochodów i motocykli korzystając z poradami z warsztatu Wieszterta. Tam też miałem motor Kojowskiego. Gdy go rozmontowałem okazało się

Gdy go rozobrałem okazało się, że trzeba było przetoczyć mu wał i zrobić szlif cylindra. Dałem to do wykonania do warsztatu specjalistycznego i nie miałem co do wykupić. Pewnego dnia wpadł nagle Rojewski, ale gdy mu powiedziałem, że potrzebuję pieniędzy, nie mi nic dał i tak odjechał. Stary mechanik Wiesztort Brzozowski powiedział mi: "Idź sierżant do Starego i pożycz". Wahałem się dłuższy czas, ale mnie przekonał i poszedłem. Wiesztort nieszkał przy warsztatach w kamienicy od frontu na piętros. Gdy poszedłem do niego był akurat w domu, powiedziałem mu, że Brzozowski mi poradził, bo nie mam pieniędzy na skłócenie remontu motocykla, a Wiesztort tylko spytał mnie ile mi potrzeba i kiedy będą mógł mi oddać. Pożytyłem trzy tysiące złotych i zaraz poszedłem wykupić części z remontu i w krótkim czasie zjechałem motor. Już gotowy zostawiłem w warsztacie Wiesztorta z tym, że powiedziałem Brzozowskiemu żeby nie wydał go Rojewskiemu, bez pieniędzy i pojechałem do Łyberka odwiedzić wujka Wacka, który w tym czasie pracował w PWE-ach łyberkach. Gdy wróciłem okazało się, że Rojewski był i chciał zabrać motor, ale pieniędzy nie chciał dać, bo twierdził, że jest bogatszy od niego i naszą mu podarować pieniądze. Wobec tego, że musiałem oddać pieniądze Wiesztortowi, a nie miałem nic pieniędzy własnych, musiałem sprzedać ten motor. Wtedy za zdobywcze motory nie płacili dużo i nie było im wiele chętnych, bo przy rejestracji takiego motoru trzeba było płacić duży podatek w urzędzie skarbowym. Sprzedałem ten motor do znajomego warsztatu i po oddaniu Wiesztortowi zostało mi za ledwie 500 złotych. Był już wtedy koniec stycznia 1946 roku. Przypadkowo spotkałem plutonowego Grydzia, który mi powiedział, że wszystkich młodych żołnierzy z naszego pułku wyślali do Warszawy do batalionów odbudowy stolicy, zwanych w skrócie BGS-ami a on i kilku jeszcze podoficerów pozostałych do końca czekają na porucznika L....., który na ich odezwał do jakiejś jednostki w celu demobilizacji, bo naszego sztabu już nie ma, a tylko porucznik L.... jako pełnomocnik załatwia ostatnie sprawy. Poszedłem z Grydziem do budynku, w którym kiedyś stacjonował nasz sztab i zastaliśmy porucznika. Zdziwił się, że jeszcze jestem w Bydgoszczy, bo Rojewski mu powiedział, że pojechałem sobie w nieznane. Wpisał mnie na listę pozostałych podoficerów pułku, wypisał wszystkie potrzebne dokumenty i wysłał mnie jechać do Świecia do 46 pułku piechoty, który ten wówczas stacjonował w poszarach przed wojną zajmowanych przez Marynarkę Wojenną. Pojechaliby tam i okazało się, że pułk ten był punktem zbornym, w którym organizowali bataliony marszowe, odsyłane następnie na uzupełnienie wojsk podległych generałowi Michiewiczowi, zwalczających partyzantkę polską na Białostoczczyźnie. Małmo po kilku dniach od naszego tam przybycia przyjechał jeden plutonowy z poprzedniego wyłanego batalionu i opowiadał nam o ich działalności. Z rozkazu tego generała ataczali podejrzane wsie i robili w nich rewizje w ten sposób, że zrywali wszystkie strzechy, rozwalali piece i zrywali podłogi. Najczęściej nie nie znajdowali i szli do następnej wsi. Jeśli znaleźli jakąś kolwiek broń to wszystkich powyżej 16-tu lat UP brało na śledztwo i dostawali wyroki. Nie chcieliśmy być w takich warunkach i postanowiliśmy uciec

demobilizacji. Zebrało się nas takich podoficerów z różnych jednostek jedena-
stu w batalionie. Dowódca batalionu na zbiórze chciał wysłuchać mnie, a gdy mu
powiedziałem, że chcę być zdemobilizowanym i nie pragnę żadnej funkcji, wyzna-
czał kolejność sierżantów, potem plutonowych i nikt nie chciał być dowódcą plu-
tonu. Ponieważ 1926 rocznik zstrajkiwali jeszcze rok dla zachowania kadry i
wyszkolenia nowej, więc gdy porucznik E... wypisywał mi dokumenty, powiedziałem
żem żeby wpisał mi 20-ty rocznik i potem w 46 pułku twardo tego się trzyma-
łem. Jeden plutonowy przyszedł z WOI-u też miał podrobiony rocznik i na jego
nieścieszcie dostali za nim jakiś atest z wpisaną właściwą datą urodzenia,
no i dali mu zaraz za oszukiwanie władzy 15-cie dni ścisłego aresztu. Mnie
kilkokrotnie szef sztabu batalionu zagabywał o to, że nie wyglądam na 26 lat
i zapewne jestem młodszy, ale nie przyszedłem się, a żadnych innych dokumentów
nich nie mieli i musieli to przyjąć za prawdę. Próbowali jeszcze z nami prze-
ciągać sprawę demobilizacji i ciągle mówili nam, że czegoś im brakuje. Tymcza-
sem robili z nas oficerów i podoficerów służbowych w batalionie i pułku. Trzy-
ponieważ dokładnie co drugi dzień robili że mnie oficera inspekcyjnego w ba-
talionie, a innych też nie oszczędzali, więc w końcu zrobiliśmy strajk. Leżeli-
śmy na kółkach w sali podoficerskiej i nie wychodziliśmy na zbiórki mimo, że
szef sztabu i dowódca batalionu osobiście nas wołali. Myśmy nawet nie wy-
stawiali z kółek i tylko na ich wszystkie namowy i groźby odpowiadaliśmy
"rocznik WOI Nr. 130 z listopada 1945 roku mówi, że roczniki nasze są do demo-
bilizacji". Po tym oficerowie kłogli i prędko wychodzili od nas. Jedzenie przy-
nosili nam żołnierze i po dwóch dniach takiego strajku wreszcie wydali nam
dokumenty demobilizacyjne. Tylko plutnik "Gnie miaz" pieniędzy i wziął od nas
adresy i obiecał przysłać nam nasze odprawy demobilizacyjne, a nie były one
tyż male bo miałem dostać prawie cztery tysiące złotych. Nigdy tych pieni-
żek z nas nie otrzymałem. Tak to bogacili się Bohaterscy "oficerowie ludowi
pełniący" uciążliwe" funkcje plutników pułku. W czasie wojny zawsze starali się
się płacić kłód po bitwie, bo zostawała im gotówka poległych, a po wojnie oni
"gubili" adresy zdemobilizowanych.

W południe 1 lutego wychodziliśmy w dziesięciu z koszar już jako zdemobilizo-
wani. Śpiewaliśmy na całe gardło starą piosenkę: "Zanuśmy ten wesoły śpiew,
ten śpiew: nuda wżyciatkie śpiewy, by nam się już nie nudził czas - do cywila
już idziemy"....

Zaczynaliśmy nowe życie w cywilu, bez pieniędzy, z całym dobytkiem w jednym
plecak i z radością. Nie martwiliśmy się wtedy o przyszłość, byliśmy zdrowi
i cali i dla nas skończyła się już wreszcie wojna. Przynajmniej tak się nam
wydawało.